

TOM III/2009

**Tytuł - „BEZ DEKRETU”
Autor - ALEKSANDER ŚCIOS**

**Blog 2009.01 - 2009.06
249 - 300**

SPIS TREŚCI

TOM III/2009.....	1
Tytuł - „BEZ DEKRETU”	1
Autor - ALEKSANDER ŚCIOS	1
Blog 2009.01 - 2009.06.....	1
SPIS TREŚCI	2
STYCZEŃ 2009.....	3
249. III RP CZY „TRZECIA FAZA”? - część 1 - TEST ZBRODNI	3
250. III RP CZY „TRZECIA FAZA”? część 2 NA POČĄTKU BYŁA ZBRODNI	5
251. ZNAMIE	8
252. III RP CZY „TRZECIA FAZA”? część 3 - TAKTYCZNA DEFENSYWA	10
253. III RP CZY „TRZECIA FAZA”? część 4 - PRZECIWKO NARODOWI	13
254. III RP CZY „TRZECIA FAZA”? - cz.5 - ROLA AGENTURY	16
255. KRĘGI PIEKŁA	18
256. III RP CZY „TRZECIA FAZA”? część 6 - CUI BONO?	21
257. KONTRAKT „ZBIORÓW PRYWATNYCH”	24
LUTY 2009	26
258. III RP CZY „TRZECIA FAZA” cz.7 - AGENCI CZY DYSYDENCI?	26
259. NIE BÓJCIE SIĘ ŚWIĘTOŚCI KSIĘDZA JERZEGO	29
260. III RP CZY „TRZECIA FAZA”-cz.8 - FAŁSZYWA OPOZYCJA	32
261. III RP CZY „TRZECIA FAZA” cz.9 - FAŁSZYWA OPOZYCJA II	34
262. KRĄG PIERWSZY	37
263. KRĄG DRUGI - „JESTEŚCIE W MOICH RĘKACH”	38
264. KRĄG TRZECI - ŁĄCZNIK	40
MARZEC 2009	42
265. KRĄG CZWARTY - MAFIA	42
266. KRĄG PIĄTY - LUDZIE ZNIKĄD	46
267. KRĄG SZÓSTY - NADZORCY	48
268. KRĄG SIÓDMY (OSTATNI) - SŁUDZY	52
269. GRA	55
270. „BO ZŁYCH INACZEJ POKONAĆ NIE MOŻNA...”	57
271. PUŁKOWNIK KOMOROWSKI W IPN	59
KWIECIEŃ 2009	60
272. MY - Z IPN-u	60
273. LIKWIDACJA W IMIENIU WSI.	63
274. DYPLOMACJA IDIOTÓW- czyli GRY OPERACYJNE	66
275. TRZECI ŚWIAT	68
276. FARFAŁ ZDOLNIE STEROWANY	71
277. ONI - INTEGRACJA	72
278. SPRZĄTANIE PRZED KOMISJĄ	76
279. ABWEHRGRUPPE	77
280. SUKCESORZY - OD BERMANA DO MICHNIKA	78
MAJ 2009.....	81
281. SUKCESORZY - OD BERMANA DO MICHNIKA - 2	81
282. SUKCESORZY - OD BERMANA DO MICHNIKA - 3.....	84
283. SUKCESORZY - OD BERMANA DO MICHNIKA - 4.....	88
284. GRA SZYFRANTEM.....	91
285. ŚWIĘTO POLSKIEJ GŁUPOTY	93
286. SUKCESORZY - OD BERMANA DO MICHNIKA - 5.....	95
287. JA - PSEUDONIM.....	98
288. O ZABOBONIE - tekst ukryty w "piwnicy" przez adm24	100
289. PRZYWILEJ DZIENNIKARSKIEGO MILCZENIA	101
CZERWIEC 2009	102
290. POWRÓT DO „NOWEJ POLSKI”	102
291. TRZY RAZY „NIE”	104
292. PAŃSTWO „NIESPRZYJAJĄCYCH OKOLICZNOŚCI”	108
293. JAK SB BUDOWAŁA NOWĄ POLSKĘ.....	111
294. IPN - NAPRZECIW OCZEKIWANIOM PLATFORMY	114
295. O RADOŚCI POLITYKA.....	115
296. MEDIALNY ORĘŻ „OBROŃCÓW PRAW CZŁOWIEKA”	115
296. KRĘGI ŚLEDZTWA - PROKURATURA	117
297. AFERA MARSZAŁKOWA - „POLITYCZNA PROWOKACJA”	120
298. „OJCOWSKA” KOMBINACJA	123
299. DLACZEGO BUZEK - CZYLI BAŁ W OPERZE	125
300. W TAJNEJ SŁUŻBIE JEJ SOWIECKIEJ MOŚCI	126

STYCZEŃ 2009

05.01.2009 20:27 38

249. III RP CZY „TRZECIA FAZA”? - część 1 - TEST ZBRODNI

Stronnicy i beneficjanci nazwali go „kamieniem milowym w rozwoju demokracji” i „historycznym kompromisem”. Inni woleli dostrzegać w nim „agenturalny sabat”, współczesną „targowicę” lub „spisek elit” - upatrując w paktowaniu z komunistami zdradę ideałów „Solidarności”. Był zdarzeniem na tyle istotnym, że dał podstawę wykreowania osobliwego tworu państwowego o nazwie III Rzeczpospolitej, która przywłaszczając sobie kolejną cyfrę bytu publicznego, nie zechciała jednak skorzystać z tradycji Polski międzywojennej. Nie przypadkiem definicja „okrągłego stołu” określa nasz stosunek do III RP i pełni funkcję wyznacznika politycznych sympatii i antypatii.

Wśród wielu, funkcjonalnych określeń, jakich użyto w odniesieniu do zdarzeń z roku 1989 na szczególną uwagę zasługuje nazwa, którą nadał im Jerzy Urban, mówiąc o „konsumpcji konkubinatu”. Mimowolna lub zamierzona trafność tego określenia zachęca do podążenia tropem „nieprawego związku”, poszukiwania jego genezy i ukazania fundamentów, na jakich został zbudowany. Wprawdzie na temat „okrągłego stołu”, napisano już setki mniej lub bardziej mądrych tekstów, nadal niewiele jest takich, które proponują optykę pozbawioną nachalnej ideologii, sięgającą poza horyzont doraźnych, politycznych podziałów. Z tej perspektywy określenie „konsumpcja konkubinatu” zasługuje na rozwinięcie i pogłębienie.

Zbliżająca się 20 rocznica zdarzeń z roku 1989, wywoła zapewne propagandową ofensywę zwolenników „historycznego kompromisu” i uruchomi medialne kampanie dezinformacji. Co najgorsze - kolejny raz pogłębi istniejące wśród Polaków podziały i zdezorientuje miliony odbiorców, zastępując prawdę historyczną politycznie „poprawnym” bełkotem.

Konieczna zatem wydaje się próba przedstawienia tych zdarzeń w ich właściwym kontekście historycznym. Zestawienie faktów, przytoczenie oryginalnych tekstów, przypomnienie słów i wypadków z lat 80 -tych. Obraz, który chciałbym nakreślić i kryjąca się za nim teza nie pretenduje do miana analizy historycznej. Jako tzw. spiskowa teoria dziejów, bywa pogardliwie odrzucana przez ludzi zamkniętych w zaklętym kręgu „politporawnych” dogmatów, często niezdolnych już do wysiłku samodzielnego myślenia. Dla wielu będzie nadto przerażająca, by stać się łatwo przyswajalnym sposobem widzenia rzeczywistości.

Jakkolwiek, z perspektywy bieżącej polityki, retrospektywa zdarzeń z lat 1984 - 1989 może wydawać się czynnością jałową, jestem przekonany, że zrozumienie mechanizmów rządzących współczesną Polską, jest niemożliwe bez tego zabiegu. Jego konieczność staje się jeszcze mocniej zauważalna, gdy próbujemy wyjaśnić źródła dzisiejszych decyzji politycznych, przyczyny kreowania określonych postaw i poglądów, genezę narodzin lęku przed rzetelnymi badaniami historycznymi, powstania tematów objętych anatema, rozlicznych zaniechań i fałszerstw, jakich dopuszcza się establishment III RP, by zachować owoce „konsumpcji konkubinatu”.

Zasadniczym pytaniem, jakie pojawia się przy temacie „historycznego kompromisu” jest kwestia wskazania zdarzenia, cezury czasowej, która wyznacza początek drogi do „okrągłego stołu”? W którym momencie począł się ów nieformalny, pokątny związek części środowisk opozycyjnych z władzą komunistyczną? Czy doszło do niego na skutek sprzyjających obu stronom zdarzeń, w efekcie naturalnego „biegu rzeczy”, wynikającego z wolnych, indywidualnych decyzji, czy też mieliśmy do czynienia z realizacją zamierzonego planu, kombinacji opartej na wyznaczonych regułach, przeprowadzonej z żelazną logiką i premedytacją?

Te pytania wydają się szczególnie ważne, gdy podziela się zdanie Alaina Besancona, iż komunizm dopuszcza możliwość sprzeciwu, natomiast nie znosi, aby go rozumiano. Próba uświadomienia sobie, czym był proces dochodzenia do „okrągłego stołu” i jakie mechanizmy nim sterowały może okazać się intelektualnym, ozdrowieńczym zabiegiem.

Przed 20 laty to właśnie Alain Besancon, oceniając ówczesne zdarzenia podzielił się z czytelnikami „Biuletynu Dolnośląskiego” istotną refleksją:

„Jestem zaniepokojony olbrzymią przysługą którą oddaje Gorbaczowowi Wałęsa i jego doradcy, akceptując co najmniej w części władzę komunistyczną w Polsce, zgadzając się na dialog z nią, udając, że wierzy, że można poprawić sytuację w Polsce, gdy partia jest wciąż u steru. Sądzę, że Polska miała wielką szansę, żeby zerwać sieć kłamstwa tkaną przez Gorbaczowa.”

O jakim kłamstwie mówił Besancon, w odniesieniu do człowieka, który stał się bożyszczem zachodnich polityków, sławionym za „pierestrojkę” i demontaż „imperium zła”? Sugestię znajdziemy w innym fragmencie wypowiedzi Besancona, w której wyjaśnia swoją koncepcję kompromisu z władzą komunistyczną - „Dla partii kompromis jest to częściowe porzucenie programu komunistycznego i środków działania komunizmu w taki sposób, ażeby substancja społeczna całkowicie nie zanikła i mogła odżyć, by na nowo podtrzymać władzę komunistycznego rządu. Polska znajduje się według mnie właśnie w epoce kompromisu. Kompromis jest zawsze pożądany przez partie komunistyczną” [...] Partia komunistyczna wyniosła Gorbaczowa na jego obecne miejsce po to, aby wprowadzał w życie jej linię polityczną, zresztą dość starą, bo ciągnącą się od Andropowa. ZSRR stracił swoją potęgę. Gorbaczow nie zamierza uwolnić swojego kraju, ani liberalizować partii komunistycznej - to nie jego problem. On usiłuje przywrócić potęgę władzy komunistycznej. Chce tego dokonać za pomocą środków, które już omówiłem. Najważniejszy - to pomoc Zachodu”.

Środki, o których mówił wówczas Besancon to: wsparcie materialne Zachodu, moralna sankcja Zachodu dla władzy komunistycznej oraz utrzymanie się przy władzy dzięki Zachodowi i części społeczeństw państw komunistycznych.

Stanowisko francuskiego sowietologa i historyka idei, w zdumiewający sposób współbrzmi z wnioskami Anatolija Golicyna, zawartymi w książce „Nowe kłamstwa w miejsce starych - komunistyczna strategia podstępów i dezinformacji”, przy czym opinie Golicyna, sformułowane w roku 1984 wyprzedzają wypowiedź Besancona o nowe, odważne teorie. W rozdziale zatytułowanym „Zachodnia błędna interpretacja wydarzeń w Polsce”, na str.482 Golicyn pisał:

„Ponieważ Zachód nie zdołał zrozumieć ani strategii komunistycznej, ani potęgi dezinformacji, ani uznać faktu zaangażowania do nich wszystkich zasobów służb bezpieczeństwa i wywiadów Bloku, z agentami wysokiego szczebla, posiadającymi wpływy polityczne, pojawienie się „Solidarności” w Polsce zostało przyjęte jako spontaniczne wydarzenie, porównywalne do Powstania Węgierskiego z roku 1956 i zwiastujące upadek komunizmu w Polsce. [...] Istnieją mocne podstawy, by twierdzić, że polska wersja „demokratyzacji”, oparta częściowo o model czechosłowacki, była przygotowywana i kontrolowana od początku, w ramach polityki i strategii Bloku. Od dwudziestu lat polska partia komunistyczna, PZPR, pracowała nad budową „dojrzałego społeczeństwa socjalistycznego”, w którym Partia i jej organizacje masowe mogłyby odgrywać aktywniejszą i skuteczniejszą rolę polityczną.”

Wprawdzie trudno nam - ludziom pamiętającym czas „Solidarności” roku 1980 - bezkrytycznie podzielić pogląd autora, nie można jednak odmówić Golicynowi racji, gdy dowodzi:

„Początki ruchu „Solidarności” w stoczni noszącej imię Lenina, śpiewanie „Międzynarodówki”, używanie przez członków Solidarności starego sloganu: „Proletariusze wszystkich krajów, łączcie się!” oraz stała obecność portretu Lenina, wszystkie te rzeczy pasują do faktu ukrytego kierowania organizacją przez Partię. Bez tego przewodnictwa i pomocy, to dyscyplina „Solidarności”, a przede wszystkim fakt odniesienia sukcesu w negocjacjach z polskim rządem, byłyby niemożliwe. Ukryte wpływy Partii wewnątrz polskiego Kościoła Katolickiego, działały na związkowców jako czynnik powodujący umiarkowanie, oraz zapewniający kompromis pomiędzy „Solidarnością” a rządem. W skali międzynarodowej, strategiczne cele, stojące za utworzeniem „Solidarności”, są zbliżone do tych z czasów „Praskiej Wiosny”. W skrócie, miały one na celu oszukać zachodnie rządy, polityków i ogół opinii publicznej, co do rzeczywistej natury współczesnego komunizmu w Polsce, zgodnie z taktyką osłabiania i wzorcowego ewoluowania dezinformacji. Mówiąc bardziej konkretnie, intencją było wykorzystanie „Solidarności” do propagowania wspólnych działań z wolnymi związkami zawodowymi, socjaldemokratami, katolikami oraz innymi grupami religijnymi, dla dalszego wspierania celów strategii komunistycznej w krajach wysoko rozwiniętych, a w mniejszym stopniu w Trzecim Świecie. [...] Kania ujawnił, że około 1 miliona członków partii należało do „Solidarności”. W roku 1981, spośród 200 członków Komitetu Centralnego PZPR, 42 osoby były jednocześnie członkami „Solidarności”. Bogdan Lis, zastępca Wałęsy, był członkiem Komitetu Centralnego Partii. Zofia Grzyb, inna liderka „Solidarności”, była członkiem Politbiura. Ci przywódcy nie zostali usunięci z Partii za swoje członkostwo w „Solidarności”. Przeciwnie, „Solidarność” uznawała przewodnią rolę Partii, a Partia uznawała istnienie „Solidarności”.

Nie miejsce tu, by cytować szczegółowe analizy autora, wskazujące, w jaki sposób polska partia komunistyczna, na przestrzeni lat 60-tych i 70-tych została włączona w globalny mechanizm sowieckiej strategii inicjowania „odnowy” w bloku państw satelickich ZSRR. Logika wywodu Golicyna wydaje się niepodważalna, gdy na stronie 491 swojej książki stwierdza:

„Utworzenie „Solidarności” i początkowy okres jej działania jako związek zawodowy, może być odczytywane jako eksperymentalna, pierwsza faza polskiej „odnowy”. Mianowanie Jaruzelskiego, wprowadzenie stanu wojennego, oraz zawieszenie „Solidarności”, stanowi drugą fazę, przeznaczoną na wprowadzenie tego ruchu pod ścisłą kontrolę oraz zapewnienie stanu politycznej konsolidacji. W trzeciej fazie można oczekiwać [pisane w 1984 r.], że zostanie uformowany rząd koalicyjny, skupiający przedstawicieli partii komunistycznej, reprezentantów reaktywowanej „Solidarności”, oraz Kościoła. W tym rządzie mogłoby się znaleźć również kilku tak zwanych „liberałów”.

Tego rodzaju rząd, w nowym stylu we Wschodniej Europie, byłby odpowiednio wyposażony i przygotowany do rozwijania strategii komunistycznej, poprzez prowadzenie kampanii na rzecz rozbrojenia, na rzecz „stref bezatomowych” w Europie, być może nawet w sprawie powrotu do Planu Rapackiego, ale przede wszystkim za rozwiązaniem NATO i Układu Warszawskiego, aż po ostateczne ustanowienie neutralnej, socjalistycznej Europy. Uaktywnienie innych elementów strategii komunistycznej na Europę, takich, jak eurokomunizm i negocjacje KBWE, nastąpiłoby w odpowiedniej porze, by zgrać je w czasie z ukonstytuowaniem się takiego rządu.”

Nasz obecny stan wiedzy o agenturalnej przeszłości wielu osób, które w latach 80-tych postanowiły zawrzeć z komunistami „historyczny kompromis”, pozwala pełniej zrozumieć słowa Golicyna o „wprowadzeniu tego ruchu pod ścisłą kontrolę” i przebiegu „trzeciej fazy”. Stała obecność w gronie tzw. doradców „Solidarności”, ludzi o poglądach lewicowych, wywodzących swoje przekonania z rodzinnych, komunistycznych „tradycji”, nakazuje dostrzec w tym fakcie element celowości. Nie można też zapominać, że niektórzy z przywódców ruchu robotniczego, podpisujący porozumienia z Gdańska, Szczecina i Jastrzębia byli, (o czym dowiedzieliśmy się po latach) tajnymi współpracownikami bezpieki.

Selekcja, jakiej policja polityczna PRL poddała w latach 80-tych środowiska opozycyjne sprawiła, że starannie dobrano ludzi, przeznaczonych do realizacji „trzeciej fazy polskiej odnowy”. Musiano jednakże zastosować pewne mechanizmy „naturalnego” doboru, by dopuszczona do „konkubinatu” grupa spełniała oczekiwania komunistów, była przewidywalna i sterowalna. Należy, zatem przypuszczać, że wiele poszczególnych epizodów naszej najnowszej historii to zdarzenia inspirowane przez policję polityczną, tajnych współpracowników lub agenturę wpływu i (poza innymi funkcjami) stanowiły one rodzaj testów selekcyjnych, dzięki którym dokonano wyboru grupy „koncesjonowanych opozycjonistów”.

Nietrudno dostrzec, że podstawowym mechanizmem tej selekcji był stan wojenny, którego wprowadzenie pozwoliło komunistom poznać autentyczne postawy i zachowania Polaków w warunkach ekstremalnych, w obliczu terroru i politycznych represji. Ujawnione wówczas zachowania poszczególnych osób - przywódców związkowych „Solidarności” i członków innych środowisk opozycyjnych stanowiły dla komunistów cenną wskazówką, dzięki której można było określić krąg ludzi uległych, podatnych na sugestie, korupcję czy zastraszenie. Warto zacytować znamienne słowa Mieczysława Rakowskiego, wypowiedziane w roku 1988, w wywiadzie dla francuskiego „Le Monde”, gdy był premier, pytany o opozycję polityczną stwierdził: „„W Polsce dużo ludzi znajduje się w opozycji, ale w wielu przypadkach okazuje się, że jak troszkę poskrobać to mają oni takie same poglądy jak my. Nie pochwalają tylko niektórych metod.”

To „poskrobanie”, stało się wypróbowaną metodą wyrównywania różnic światopoglądowych.

W sposób dla komunistów „naturalny”, czyli poprzez represje i szykany wymuszono w latach 80-tych emigrację tysięcy Polaków, pozbywając się przy tym ludzi o poglądach radykalnych, antykomunistycznych. Stosowanie na ogromną skalę prowokacji, intensywne gry i kombinacje operacyjne, masowe użycie terroru, jako elementu sprawowania totalitarnej władzy, ale też budowanie systemu przywilejów i zależności, według zasady divide et impera - pozwoliło podzielić i poróżnić środowiska opozycyjne, a tym samym - przejąć nad wieloma z nich kontrolę.

W tym kontekście, według przedstawionej powyżej zasady, musiało zaistnieć zdarzenie przełomowe, które kończąc „fazę drugą” jednocześnie wyznaczyło początek przygotowań do „historycznego kompromisu” i otworzyło komunistom drogę do „fazy trzeciej”. Musiało być to wydarzenie na tyle spektakularne i ekspresyjne, by zaangażowało uwagę całego społeczeństwa, a swoim ekstremizmem zmusiło do reakcji jedyną, niezależną od komunistów strukturę - Kościół Katolicki.

Według zasady stopniowania bodźców, poprzedziło je kilka incydentów „mniejszej wagi”, mających na celu wytworzenie odpowiedniej atmosfery zagrożenia, ale też stanowiących rodzaj sondażu, badania nastrojów i reakcji.

Przypomnę chronologię tych zdarzeń:

7 lutego 1984 r - w Sławęcinie k. Inowrocławia zamordowano Piotra Bartoszcze,

10 lutego 1984 - uprowadzono w Toruniu Piotra Hryniewicza,

21 lutego 1984 - uprowadzono w Toruniu Gerarda Zakrzewskiego,

24 lutego 1984 r - w Stalowej Woli zamordowano Zbigniewa Tokarczyka, działacza „Solidarności” i KPN -u

2 marca 1984 - uprowadzono w Toruniu Antoniego Mężydłę i Zofię Jastrzębską,

7 września 1984 - w Krakowie zamordowano Tadeusza Frąsja, nauczyciela i przewodniczącego „Solidarności”

Warto zapamiętać ten mechanizm zbrodni, ponieważ po raz drugi posłużono się niemal identyczną metodą w roku 1989, przygotowując bezpośrednio grunt pod obrady „okrągłego stołu”.

Jednocześnie, w roku 1984 mają miejsce inne, charakterystyczne fakty.

Oto w styczniu 1984 roku dochodzi do spotkania Prymasa Polski kard. Józefa Glempa z gen. Wojciechem Jaruzelskim. Tematem rozmów jest m.in. kwestia uwolnienia przywódców „Solidarności” i powołanie Fundacji Rolniczej. Kilka dni później Prymas spotyka się w Gdańsku z Lechem Wałęsą. W lipcu władze ogłaszają amnestię, obejmującą wszystkich skazanych (58 osób) i tymczasowo aresztowanych (602 osoby).

17 września 1984 roku, na ręce Sekretarza Konferencji Episkopatu Polski abp. Bronisława Dąbrowskiego, Urząd ds. Wyznań (będący de facto agendą służby bezpieczeństwa) złożył pismo urzędowe, tzw. Pro memoria.

Znalazły się w nim następujące słowa:

„Pomyślny i pokojowy rozwój naszej Ojczyzny jest przedmiotem troski władz i obywateli. [...] Z przykrością należy stwierdzić, że dotychczasowe osiągnięcia narodu usiłuje podważyć, stawiając sobie na cel niszczenie jego dorobku w imię obcych interesów, niewielka lecz wciąż aktywna grupa ludzi. Z ubolewaniem stwierdzamy, że do grupy tej należą niektórzy duchowni rzymskokatolicki.

[...] Powstała nielegalna, sprzeczna z prawem PRL i prawem kanonicznym kontrrewolucyjna organizacja duchownych i świeckich o ogólnokrajowym zasięgu. Cele, strukturę tej organizacji oraz jej zasięg, a także metody jej działania ujawnił w dniu 26 sierpnia 1984r ks. Jerzy Popiełuszko w kościele p.w. św. Stanisława Kostki w Warszawie. Załączamy teksty jego wystąpień. [...] Kościół p.w. św. Stanisława Kostki stał się od pewnego czasu główną ostoją omawianej organizacji. [...] Władze państwowe oczekują od Episkopatu, że zostaną niezwłocznie podjęte zdecydowane kroki zmierzające ku likwidacji omawianej organizacji, oczekują też, że możliwość odrodzenia się tego typu działalności w ramach struktur kościelnych będzie niemożliwa. Dalsze tolerowanie sprzecznej z Konstytucją i ustawami PRL działalności niektórych duchownych, wykorzystywanie świątyń i obrządków religijnych w tych celach, a zwłaszcza osłanianie i tolerowanie kontrrewolucyjnej organizacji..... Zmusi również władze do podjęcia stosownych działań prawem przewidzianych wobec organizacji i osób do niej należących, a zwłaszcza wobec jej przywódców”.

Kilka dni wcześniej, 11 września 1984 roku korespondent moskiewskiego dziennika „Izwestia” brutalnie zaatakował księdza Popiełuszkę, wyrażając opinię, iż „ksiądz najwyraźniej wciąż czuje się bezkarny”.

Dwa dni po wystosowaniu „Pro memoria”, 19 września w nr.38 tygodnika „Tu i Teraz” ukazuje się felieton Jana Rema (Jerzego Urbana), zatytułowany „Seanse nienawiści”. Autor napisał:

„ [...] Co tam więc robi natchniony polityczny fanatyk, Savonarola antykomunizmu? Daje on świadectwo ideowej i intelektualnej degeneracji części inteligentów formacji żoliborskiej, dowodzi uwiadu tegoż Żoliborza, który przed wojną z przesadą nazywany był czerwonym, ale różowym był w każdym razie. Mam bardzo dokładne relacje o treści kazań księdza Jerzego Popiełuszki, które składa nadzwyczaj pilny bywalec tych imprez. Mowy tego polityka bardzo różnią się stylistyką od pokrewnych duchem pogadanek, jakie były głoszone na różnych latających uniwersytetach i petzających kursach naukowych. Na tamte intelektualne imprezy młodzi biegali, aby usłyszeć coś przeciwnego niż na szkolnych lekcjach o Polsce i świecie współczesnym, poznać odmienne fakty, odwrotne interpretacje. Ks. Popiełuszko nie zaspokaja niczyjej ciekawości, nie zapełnia białych plam historii ani nie przeprowadza politycznych przewodów, od których mózg staje, by odwrócić się w przeciwnym niż dotychczas, antysocjalistycznym kierunku. Jednym słowem ten mówca ubrany w liturgiczne szaty nie mówi niczego, co byłoby nowe lub ciekawe dla kogokolwiek. Urok wieców, jakie urządza jest całkiem odmiennej natury. Zaspokaja on czysto emocjonalne potrzeby swoich słuchaczy i wyznawców politycznych. W kościele księdza Popiełuszki urządzone są seanse nienawiści. [...]”

Równy miesiąc później, 19 października 1984 roku doszło do porwania księdza Jerzego, a w dniach następnych Kapelan „Solidarności” został bestialsko zamordowany. Doszło do zdarzenia, które zostało zaplanowane przez partię komunistyczną pod kierunkiem Jaruzelskiego i wykonane przez przestępcze struktury policji politycznej PRL, pod nadzorem Kiszczaka. Wydarzenia dokonane z premedytacją i intencją - zamierzonego jako fundamentalny „test” i sprawdzian przed przejściem do „fazy trzeciej”, której zwieńczeniem miał stać się „okrągły stół”.

CDN...

Źródła:

<http://www.encyklopedia-solidarnosci.pl/wiki/index.php?title=001189087003>

CZY III RP ZACZĘŁA SIĘ NAD GROBEM KSIĘDZA POPIELUSZKI?

Anatolij Golicyn - „Nowe kłamstwa w miejsce starych” - Biblioteka Służby Kontrwywiadu Wojskowego Warszawa 2007

http://www.encyklopedia-solidarnosci.pl/wiki/index.php?title=SG_Kalendarium

08.01.2009 19:32 15

250. III RP CZY „TRZECIA FAZA”? część 2 NA POCZĄTKU BYŁA ZBRODNIA

Teza, iż porwanie i zabójstwo księdza Jerzego Popiełuszki było zdarzeniem zaplanowanym jako początek drogi do „okrągłego stołu”, może wydawać się karkołomna, jeśli w ocenie działań partii komunistycznej w Polsce nie uwzględni się, że były one pozbawione autonomii i poddane nakazom sowieckiego okupanta. Wszelkie wydarzenia, których zasięg obejmował całe społeczeństwo, a ich skutki mogły decydować o przyszłości Polski, - jeśli były efektem działań partii i służb komunistycznych, - musiały uwzględniać interes ZSRR i stanowiły część globalnej strategii sowieckiej. Bez zrozumienia mechanizmów tej zależności, nie sposób dokonać prawidłowej oceny rzeczywistości lat 80-tych.

„Nasza jedyna obecnie strategia”, - mówił Lenin już w lipcu 1921 roku -, „to stać się silniejszym, a co za tym idzie, mądrzejszym, bardziej racjonalnym, bardziej oportunistycznym. Im bardziej będziemy oportunistyczni, tym szybciej zgromadzą się masy dookoła nas. Gdy zwyciężymy nad masami przez naszą racjonalną postawę, użyjemy wtedy ofensywnej taktyki, w najściślejszym znaczeniu tego słowa”.

Anatolij Golicyn w rozdziale zatytułowanym „Nowa metodologia” przedstawia dwie metody analizowania zdarzeń w świecie komunizmu:

„Wedle konwencjonalnych poglądów, opartych na przestarzałej metodologii, każde z wydarzeń wskazujących na zmiany w reżimie komunistycznym było objawem spontanicznego wzrostu tendencji odśrodkowych wewnątrz międzynarodowego komunizmu. „Nowa metodologia” prowadzi do całkowicie odmiennego wniosku stwierdzającego, że wszystkie one tworzą część serii zazębiających się strategicznych operacji dezinformacyjnych, zaplanowanych na potrzeby wdrażania długoterminowej polityki Bloku i jej strategii. Istotą „nowej metodologii”, która odróżnia ją od starej, jest wzięcie pod uwagę nowej doktryny i uwzględnienie roli Dezinformacji.

Konwencjonalna metodologia często próbuje analizować i interpretować wydarzenia w świecie komunistycznym w oderwaniu, w systemie „rok po roku”; inicjatywy komunistów są traktowane jako spontaniczne działania na rzecz osiągnięcia celów krótkoterminowych.”

Przedstawienie tej istotnej uwagi było konieczne, by spróbować spojrzeć na zabójstwo księdza Jerzego poprzez pryzmat planowanej przez władców Kremla „odnowy”, dostrzec w nim element dalekosiężnej strategii partii komunistycznej, w której dla Polski przewidziano rolę pola doświadczalnego. Tę fazę strategii Golicyn charakteryzuje następująco:

„Dysponując wieloma partiami u władzy, ściśle powiązаныmi ze sobą, które zawsze potrafią wykorzystywać okazje dla poszerzania swojej bazy i wykształcenia doświadczonych kadr, stratedzy komunistyczni są wyposażeni obecnie, przy realizowaniu swojej linii politycznej, w takie techniki i strategię gotowe do puszczania w ruch, jakie byłyby w ogóle poza wyobraźnią Marksa, niedostępne do praktycznego użycia przez Lenina i nie do pomyślenia przez Stalina. Wśród takich, nierozpoznawalnych dawniej strategii, są: wprowadzenie fałszywej liberalizacji we Wschodniej Europie, a prawdopodobnie i w samym Związku Sowieckim, oraz wykorzystywanie fałszywej niezależności przez reżimy w Rumunii, Czechosłowacji i Polsce”.

Z tego punktu widzenia należy zdecydowanie odrzucić pogląd, jakoby zdarzenie to było efektem wewnątrzpartyjnych rozgrywek lub jakiegokolwiek samowoli. Istota funkcjonowania systemu komunistycznego, oparta na totalnym podporządkowaniu wszystkich struktur państwa, wyklucza taką możliwość. Oportunizm - zgodnie z leninowską dyrektywą, był sposobem działania jednostek i całych państw.

Po skutecznym przeprowadzeniu polskiej „fazy drugiej”, czyli stanu wojennego, którego celem miało być wprowadzenie ruchu „Solidarności” pod ścisłą kontrolę oraz zapewnienie stanu politycznej konsolidacji, należało spodziewać się podjęcia działań zmierzających do „fazy trzeciej”. Od roku 1982, w sukcesji po Breżniewie na moskiewskim tronie zasiada wieloletni szef KGB Jurij Andropow. W opinii wielu historyków to on właśnie rozpoczął proces tzw. liberalizacji i odwilży w ZSRR.

Po raz kolejny analiza Golicyna, sporządzona w początkach lat 80-tych wyda się profetyczną prognozą. Na stronie 511 swojej książki autor napisał:

„Mianowanie byłego szefa KGB, który był odpowiedzialny za przygotowanie fałszywej strategii liberalizacji w ZSRR, informuje, że był to czynnik decydujący przy wyborze Andropowa, a także wskazuje na rychłe nadejście takiej „liberalizacji” w bliskiej przyszłości. [...]”

Mianowanie Andropowa, uwolnienie przywódcy „Solidarności” oraz zaproszenie przez polski rząd Papieża do odwiedzenia Polski, wszystko to wskazuje, że stratedzy komunistyczni prawdopodobnie planują ponowne pojawienie się „Solidarności” na scenie politycznej, oraz utworzenie na wpół demokratycznego rządu w Polsce (pomyślanego jako koalicja partii komunistycznej, związków zawodowych i Kościoła), następnie, poczynając od około roku 1984 pojawią się reformy polityczne i gospodarcze w ZSRR.”

Krótki epizod rocznych rządów Konstantina Czernienki można uznać za potwierdzenie skuteczności strategii dezinformacji. Po „betonowym” starcu, rządy światowe z wielką ulgą (i nadzieją) odebrały dojście do władzy „reformatora” Gorbaczowa, szybko zapominając, że był protegowanym kagebisty Andropowa.

Przy zachowaniu proponowanej powyżej optyki, w procesach zachodzących w Polsce można bez trudu dostrzec odbicie kremlowskiej strategii. Istnieją przecież jawne dowody, wskazujące, że zabójstwo księdza Jerzego było zewnątrznie inspirowane i wpisane w taktykę działań sowieckich. We wrześniu 1984 r. w centralnej prasie sowieckiej wydrukowano materiał o organizacji antykomunistycznej w kościele św. Stanisława Kostki. W praktyce bloku komunistycznego, publikacja „Izwestii” była publicznym ponagleniem polskich towarzyszy, by jak najszybciej rozwiązali problem niewygodnego kapłana. Tezy zawarte w artykule zostały dokładnie powtórzone w „Pro memoria” skierowanym do Episkopatu Polski przez Urząd do Spraw Wyznań. W części I cytowałem fragmenty tych publikacji i przedstawiłem kalendarium roku 1984 - zbrodniczą chronologię, prowadzącą do mordu na księdzu Jerzym.

W kontekście planowanej „fazy trzeciej”, na uwagę zasługuje również przemówienie Jaruzelskiego wygłoszone 3 czerwca 1984 roku, na zakończenie XVI Plenum KC PZPR, w którym pada zapowiedź przejścia kontroli nad „ludźmi pracy”:

„Jak pamiętamy, miliony ludzi domagały się tak niedawno demokratyzacji, decentralizacji, samorządności. Poszliśmy daleko w tym kierunku. I spójrzcie - co się okazuje? Wykorzystanie stworzonych możliwości jest wysoce niepełne. Zwiększoną odpowiedzialność niezbyt chętnie bierze się na własne barki. Od okrzyku do okrzyku, od skrajności do skrajności - to jakże często u nas choroba. Dlatego zdarza się, że przegrywamy. Raz z autokratyzmem, drugi raz z żywiołem; raz - z konserwatywnym bezwładem, drugi - z nieokiełznaną demagogią. Jaki z tego wniosek? Nasza partia jest siłą w państwie kierowniczą i w społeczeństwie przewodnią.[...]”

Główne partyjne zadanie - to być ideowym przewodnikiem i organizatorem, wyrazicielem i wykonawcą robotniczej woli we wszystkich, wielkich i małych sprawach, siłą żywotnie ludziom pracy potrzebną. Walczyć z tym, co słusznie oburza - z niesprawiedliwością, z naruszaniem robotniczej godności, ze społecznym złem. Słowem - być wśród ludzi.[...] Mówiliśmy otwarcie o wielu ważnych dla Polski sprawach [...]. Bierzymy przeszkodę po przeszkodzie. Intensywnie pracujemy nad planem na przyszłe pięciolecie. Nad założeniami rozwojowymi do 1995 r. Wiążemy je ściśle z braterską współpracą ze Związkiem Radzieckim, z innymi państwami socjalistycznymi. Jutro jest, musi być naszą szansą. Aby się spełniła, partia musi być z robotnikami, robotnicy z partią”.

Zwiastunem „nowego otwarcia” mogło być bezterminowe odroczenie procesu czterech działaczy KOR - (Michnika, Kuronia, Romaszewskiego, Wujca) oraz lipcowa powszechna amnestia. Dotarcie do robotników, do społeczeństwa wymagało przetarcia szlaków wiodących do przywódców opozycji, by z ich grona wyselekcjonować grupę gotową do podjęcia rozmów. Można i trzeba pytać, - po co partii komunistycznej potrzebne było zabójstwo Kapelana „Solidarności”? Jakie cele spodziewano się osiągnąć? Czy śmierć księdza Jerzego była, jak chcą niektórzy „wypadkiem przy pracy”, próbą zastraszenia społeczeństwa, aktem bezmyślnego okrucieństwa, uderzeniem w Kościół? Czy - jak twierdzą inni - prowokacją, wymierzoną w „Solidarność”, grą wewnątrz partii komunistycznej, efektem „wojny służb”?

Nim spróbuję odpowiedzieć na to pytanie, zacytuję fragment skazanej na zapomnienie książki Wojciecha Sumlińskiego - Kto naprawdę Go zabił?, w której autor, w sposób spójny i rzetelny przedstawia prawdę o śmierci księdza Jerzego. Opisując realia roku 1984, Wojciech Sumliński trafnie kreśli obraz polskiego Kościoła i tak charakteryzuje stosunek komunistów do tego „problemu”:

„W tym okresie prymas Józef Glemp oficjalnie stał na stanowisku, że najlepszym rozwiązaniem w relacjach z władzami PRL jest unikanie napięć, siłą rzeczy był więc zwolennikiem prowadzenia polityki kompromisu w kontaktach z władzami (aby zrozumieć tę postawę, należy pamiętać, iż będąc odpowiedzialnym na cały Kościół w Polsce, prymas nie mógł nie uwzględniać doświadczeń najczarniejszych dni okresu stalinowskiego i zakończonego właśnie stanu wojennego). Znaczna część duchowieństwa, działając zapewne z cichym przyzwoleniem księdza prymasa, otwarcie przeciwstawiała się reżimowi Jaruzelskiego i Kiszcza - w efekcie Kościół stał się jedyną znaczącą działającą jawnie instytucją, która potrafiła dać odpór reżimowym władzom.

Kościół był postrzegany przez kierownictwo MSW jako wróg numer jeden - zinstytucjonalizowany, mający oparcie w społeczeństwie, ideologicznie wrogi przeciwnik ustroju PRL. Innymi słowy - grupa Jaruzelskiego i Kiszcza postrzegała Kościół jako zagrożenie.

Postawę tę odzwierciedlają między innymi fragmenty wypowiedzi na forum Biura Politycznego KC PZPR (jesień 1984):

„W dalszym ciągu Kościół toleruje podważanie ustroju socjalistycznego. Mimo oficjalnych zakazów praktycznie pozwala części kleru i działaczy opozycyjnych na wykorzystanie obiektów sakralnych do dyskredytowania socjalistycznego państwa i jego władz. Toleruje wywoływanie napięć na tle umieszczania krzyży w szkołach i obiektach użyteczności publicznej. Nie przeciwstawia się przejawom nietolerancji ze strony niektórych księży wobec ludzi wierzących, osłania działaczy antysocjalistycznych”.

Niewątpliwie, ma rację autor, gdy twierdzi, że Kościół był wrogiem numer jeden, a partia komunistyczna dostrzegała w nim największe zagrożenie. Trzy lata po wprowadzeniu stanu wojennego, rozlicznych represjach, wytężonej „pracy” bandytów z Grupy „D” Departamentu IV MSW, wewnątrzkościelnych działaniach tajnych współpracowników i reszsy agentury wpływu - Kościół nadal stanowił niezdobyty bastion, był suwerenną i autonomiczną strukturą wewnątrz sowieckiego dominium. Przede wszystkim - był w posiadaniu wartości, o której partia komunistyczna w Polsce mogła tylko marzyć - rządu dusz, autentycznego, nieprzymuszonego wpływu na polskie społeczeństwo, opartego na wierze i tradycji.

Dla sowieckich strategów było oczywiste, że chcąc przeprowadzić w Polsce eksperyment „historycznego kompromisu” muszą brać pod uwagę zachowanie i postawę Kościoła Katolickiego. Ten czynnik wydawał się na tyle istotny, że od reakcji Kościoła mogło zależeć powodzenie lub klęska planowanej „odnowy”. W ramach tego założenia, pod nadzorem sekretarza KC PZPR Świrgonia i Czyrka powstał projekt zatytułowany „Założenia polityki wyznaniowej państwa”, stanowiący kamień węgielny pod zaostrenie kursu w stosunku do Kościoła. O protokole posiedzenia Biura Politycznego KC PZPR z 25 września 1984 roku, na którym dyskutowano ten projekt, wspomina w swojej książce Wojciech Sumliński. Można zastanawiać się, na ile ów dokument, (o którym Kościół musiał przecież wiedzieć) zawierał realne dyrektywy, na ile zaś stanowił jeden z elementów strategii dezinformacji, mając za cel wymuszenie ugodowej postawy hierarchii kościelnej?

Już w trakcie „fazy drugiej”, po wprowadzeniu stanu wojennego, wykorzystanego również jako test zachowań społecznych, komuniści mieli okazję przekonać się, że pragmatyczna i kompromisowa postawa Prymasa Polski może stanowić dla nich ważny atut w planowaniu kolejnych kroków. Czym innym jednak była polityka kompromisu, forsowana przez większość Episkopatu, wynikająca z wielowiekowej mądrości Kościoła, od akceptacji porozumienia z władzą komunistyczną i odegrania roli jednego ze wsporników tej ugody. By osiągnąć tak dalece korzystną konwersję postawy hierarchii kościelnej, nie ryzykując jednocześnie efektu radykalizacji, musiano zastosować środek adekwatny do zamierzonego celu.

Porwanie i zabójstwo księdza Jerzego stanowiło decyzję perfekcyjnie zaplanowaną i niezwykle trafną - z punktu widzenia sowieckiej strategii. Zapewne nigdy nie dowiemy się, kto był autorem tego istic szatańskiego planu. Gdy spojrzeć, z perspektywy naszej dzisiejszej wiedzy, na sytuację istniejącą w roku 1984, nie sposób wskazać żadnego alternatywnego zdarzenia, które w podobny sposób mogło wywrzeć wpływ na sprawy polskie. Można wyróżnić trzy przyczyny, dla których ten mord stanowił zbrodniczo idealny środek do celu.

W osobie księdza Jerzego „spotykają się” dwa, elementarne czynniki, decydujące wówczas o kształcie polskiej rzeczywistości - „Solidarność” i Kościół Katolicki. Jego kapłaństwo i patriotyzm, siła wiary i wierność ideałom „Solidarności”, wprost pretendują tego Kapłana do roli, jaką przeznaczyli Mu oprawcy. Jednocześnie, „Solidarność” i Kościół - to dwa największe zagrożenia, z którymi partia komunistyczna nie jest w stanie sobie poradzić, a które musi podporządkować swoim planom, jeśli chce zagwarantować swoje przetrwanie.

Uderzenie właśnie w Niego, to cios w te dwa porządki - znienawidzone, lecz przecież potrzebne, by móc nadal sprawować władzę i zachować dotychczasowe zdobycze. Było to uderzenie nie tylko symboliczne, godzące w to wszystko, co dla Polaków miało największą wartość, lecz nade wszystko obliczone na wywołanie określonej reakcji przywódców Kościoła i opozycji. W roku 1984 nie było w Polsce innej osoby, która łączyłaby w swojej działalności te dwie, najważniejsze dla społeczeństwa wartości.

Ksiądz Popietuszek był dla Kościoła polskiego błogosławieństwem. Nie wolno jednak ukrywać, że Jego działalność stanowiła problem dla hierarchów, że była wykorzystywana przez władze komunistyczne jako argument przeciwko Kościołowi, dając asumpt do stosowania rozlicznych szykan i ograniczeń. Z zachowanych dokumentów i przekazów wiemy, że wśród wielu hierarchów i dygnitarzy kościelnych postawa Kapelana Solidarności spotykała się z krytyką i niechęcią. Również Prymas Polski nie był wolny od takich odczuć. Być może nadejście kiedyś czas, gdy poznamy rolę, jaką w tym procesie odegrała agentura ulokowana w Kościele i w otoczeniu księdza Jerzego - współodpowiedzialna za Jego męczeństwo i śmierć.

Wojciech Sumliński pisze w swojej książce: „SB miało wśród kościelnych hierarchów wyrobić księdzu Popietuszcemu opinię karierowicza. Funkcjonariusze realizowali to zadanie z właściwą dla SB perfidią i cynizmem”.

Wolno w tej sytuacji powiedzieć, że zniknięcie Kapłana mogło zostać przez niektórych ludzi Kościoła odebrane jako „rozwiązanie problemu”, jako przywrócenie właściwych (w ich rozumieniu) proporcji pomiędzy posługą kapłańską, a zaangażowaniem w kwestie polityczne, mogło przysporzyć im argumentów, przemawiających za prowadzeniem zachowawczej, ograniczonej działalności duszpasterskiej.

W tym sensie, działalność Kapłana z Żoliborza, nie tylko dla władz komunistycznych była przeszkodą w procesie tzw. normalizacji stosunków państwo - Kościół, choć z pewnością nikt w polskim Kościele nie oczekiwał, że zakończona zostanie bandyckimi metodami.

Wreszcie - zabójstwo Kapelana Solidarności było oczywistym ostrzeżeniem, aktem zastraszania i wymuszenia posłuszeństwa. Precyzja uderzenia w postać bliską Kościołowi i „Solidarności” miała jednoznacznie wskazać, że władza nie cofnie się przed żadnymi środkami, by wyegzekwować posłuszeństwo. Zabójstwo Kapłana było czytelnym sygnałem dla Kościoła, że nie może dłużej liczyć na pobłażliwość partii komunistycznej i musi brać pod uwagę, że władza zastosuje metody z lat stalinowskich. Choć reakcje społeczne (choćby powołanie Komitetów Obywatelskich Przeciw Przemocy, działalność księży Suchowolca i Niedzielaka) zaprzeczały intencjom władz, nie można wykluczać, że wielu kapłanów i działaczy opozycyjnych poczuło się poważnie zagrożonych.

Cele, jakie władze komunistyczne osiągnęły poprzez zabójstwo księdza Jerzego i sposób przeprowadzenia operacji, nakazują twierdzić, że mieliśmy do czynienia ze szczegółowo zaplanowaną, przeprowadzoną z żelazną konsekwencją wielowątkową kombinacją operacyjną, stanowiącą preludium „fazy trzeciej”.

Myślę, że wszystkie elementy tej kombinacji zostały zrealizowane z premedytacją. Od początku zakładano, że ksiądz zostanie zamordowany w okrutny sposób, tak, by widok poddawanego torturom Kapłana wstrząsnął kościelnymi świadkami oględzin zwłok. Od początku zakładano, że ujawnieni i osądzeni zostaną funkcjonariusze odpowiedzialni za porwanie - co miało wskazać na determinację działań bezpieczeństwa, ale również zamknąć sprawę i uchronić od odpowiedzialności prawdziwych morderców i mocodawców zbrodni. Od początku zakładano, że w kolosalnej, rozpisanej na setki głosów i wiele lat operacji dezinformacyjnej wezmą udział wyselekcjonowani działacze opozycji i ludzie Kościoła. Ten aspekt sprawy wydaje się może najważniejszy, w kontekście przygotowań do „historycznego kompromisu”, bowiem władze komunistyczne „dzieląc się” prawdą o zabójstwie Kapłana, uczyniły z grupy opozycjonistów i kościelnych dygnitarzy, uczestniczących w kampanii dezinformacji faktycznych współników w zbrodni i zakładników swoich planów. Wiemy, że powstały wówczas układ i zmowa milczenia obowiązujące do dnia dzisiejszego, co pozwala nazwać zabójstwo księdza Jerzego morderstwem założycielskim III RP.

W kolejnej części przedstawię reakcje wielu osób i środowisk, które zdają się potwierdzać, że współbrzmienie głosów części opozycji i władz komunistycznych nie było przypadkowe i stanowiło integralną część kombinacji, związanej z zabójstwem księdza Jerzego. Przywołam obecnie, jako przykład słowa Lecha Wałęsy z wywiadu, udzielonego „Tygodnikowi Mazowsze” 13 grudnia 1984r. Od zamordowania Kapelana „Solidarności” upłynęły niecałe dwa miesiące, gdy przewodniczący Związku mówi: „[...] Od początku, od Sierpnia wiedziałem, że ruch będzie etapowy, że wielkich rzeczy w pierwszym etapie osiągnąć nie będzie można. [...] Ruch „S” jest w moim odczuciu silniejszy, głębszy niż kiedykolwiek. [...] Polska jest szachownicą, na której my gramy w szachy, a partner w warcaby. Oni mówią o zwycięstwach, my też mówimy, że to jednak my zwyciężamy. A tu nikt nie może zwyciężyć, tu trzeba się umówić do jednej gry. Niezależnie od tego, jakie mamy poglądy, pracować musimy w jednym kierunku. A ten kierunek to jest nasz kraj, to jest Ojczyzna, którą trzeba robić. [...]”

CDN...

Źródła:

Anatolij Golicyn - „Nowe kłamstwa w miejsce starych” - Biblioteka Służby Kontrwywiadu Wojskowego Warszawa 2007

http://www.geocities.com/wojciech_jaruzelski/Lodz.html

Wojciech Sumliński - Kto naprawdę Go zabił - Rosner i Wspólnicy Warszawa 2005. str.123 i nast.

<http://www.encyklopedia-solidarnosci.pl/wiki/index.php?title=TL-1984/12>

DLACZEGO TAK TRAKTUJECIE KSIĘDZA JERZEGO?

09.01.2009 20:28 25

251. ZNAMIE

Od kilku dni media donoszą o rzekomej współpracy abp. Józefa Kowalczyka z funkcjonariuszami tajnych służb PRL. Według wtorkowego wydania „Rzeczpospolitej”, abp Kowalczyk był w przeszłości kontaktem informacyjnym służb PRL. Natychmiast, we wtorek wieczorem Katolicka Agencja Informacyjna opublikowała oświadczenie Komisji Historycznej Metropolii Warszawskiej i wywiad z samym abp. Kowalczykiem, który stanowczo zaprzeczył, jakoby miał współpracować z PRL-owskimi służbami. Głos w sprawie zabrał też rzecznik Episkopatu, ks. Józef Kloch. Stwierdził, że tajne służby PRL zarejestrowały dzisiejszego nuncjusza apostolskiego w Polsce bez jego wiedzy jako kontakt informacyjny, ale brak jest przesłanek wskazujących na współpracę. Taki wynik miała przynieść analiza Komisji Historycznej Metropolii Warszawskiej, która materiały z archiwów IPN na temat abp. Kowalczyka zbadała na jego własną prośbę.

Sam abp. Kowalczyk w wywiadzie dla KAI powiedział: „Zaufania Ojca Świętego i Stolicy Apostolskiej do mnie nie zdradziłem ani nie nadużyłem. Ojciec Święty Jan Paweł II, w sposób dla mnie zaskakujący, osobiście powierzył mi posługę nuncjusza w Polsce potwierdzając pełne zaufanie do mojej osoby, którym mnie wcześniej darzył.”

Dziś, na temat rzekomej współpracy arcybiskupa zabrał głos Episkopat Polski, stwierdzając w oświadczeniu: „Znamy dostatecznie długo i dobrze nuncjusza apostolskiego abp. Józefa Kowalczyka oraz jego „wypróbowaną” wierność Ojcu Świętemu i Kościołowi, aby mieć moralną pewność co do jego jednoznacznie negatywnej postawy wobec wszelkiej świadomej współpracy z zadeklarowanymi wrogami Kościoła”.

Zapewne, nie napisałbym ani jednego słowa na ten temat, uznając, że wiedza o rzekomej współpracy arcybiskupa jest obecnie zbyt ograniczona, a wszelkiego rodzaju spekulacje nie służą jej pogłębieniu, gdyby nie zaskakująca refleksja, jaka narzuciła mi się podczas lektury oświadczenia Józefa Kowalczyka i dzisiejszej deklaracji Episkopatu. Sprawa wydaje się zbyt poważna, by pozostawić ją bez komentarza, tym bardziej, że funkcyjne media dostatecznie gorliwie dbają o dezinformowanie czytelników.

Przed wszystkim wyjaśnienia wymaga termin „kontakt informacyjny”. To szczególna kategoria osobowego źródła informacji właściwa dla Departamentu I MSW - czyli tego, co bezpieka nazywała wywiadem. Tak naprawdę z wywiadem miał on niewiele wspólnego, bo zajmował się inwigilacją polskich uchodźców politycznych. Rządził się swoimi regułami i miał własną terminologię. W Departamencie I kontakt informacyjny był tym samym, czym dla właściwej SB tajny współpracownik.

Zdarzało się, że Departament I werbował swoje kontakty informacyjne już za granicą, bywało też, że werbowano je w kraju i rezydenci peerelowskiego wywiadu dostawali na nie tzw. naprowadzenie: kto został zwербowany i w jaki sposób można się z nim skontaktować, kiedy już np. przybędzie do Watykan.

Na stronie IPN znajdziemy uzupełnienie terminu „kontakt operacyjny”, w postaci następującej definicji: „Jedna z kategorii współpracy z Wywiadem Cywilnym PRL; w przypadku obywatela polskiego - zawsze świadoma, w przypadku cudzoziemca - mogła być nieświadoma.”

Przypomnę, że w kategorii „kontakt informacyjny” zarejestrowany był m.in. abp. Juliusz Paetz ps. Fermo, podczas swojej współpracy z SB w Rzymie.

Rzecz, która w sposób szczególny zwróciła moją uwagę był rodzaj argumentacji, jakiej użył obecnie abp. Józef Kowalczyk, a która została powtórzona w oświadczeniu Episkopatu Polski.

Otóż, fundamentalną przesłanką, mającą świadczyć o „jednoznacznie negatywnej postawie wobec wszelkiej świadomej współpracy z zadeklarowanymi wrogami Kościoła” Józefa Kowalczyka, miałby stanowić fakt, iż był zaufanym człowiekiem Ojca Świętego Jana Pawła II, a powierzenie mu posługi nuncjusza było wyrazem tego zaufania.

Pomijając już oczywisty błąd retoryczny tego argumentu, polegający na nieuprawnionym (w kontekście przedmiotu sprawy) odwołaniu się do autorytetu, trzeba zwrócić uwagę, że ów argument, wobec wiedzy, jaką posiadamy o metodach i zasadach pracy operacyjnej bezpieki, nie stanowi żadnego dowodu na zaprzeczenie faktu współpracy. Przeciwnie.

Oczywistym jest przecież, że współpracownikiem „wywiadu” PRL mógł zostać tylko ten, kto spełniał określone warunki i stanowił dla Departamentu I wartościowy nabytek. Zasadniczym warunkiem, w przypadku werbowania osób w środowiskach wrogich PRL (a do takich przecież zaliczano Watykan) było posiadanie przez tajnego współpracownika zaufania swojego środowiska. Tylko wówczas mógł być przydatnym źródłem informacji, jeśli zasługiwał na zaufanie (przełożonych, współpracowników, przyjaciół) w miejscu, gdzie wykonywał swoją misję. Już tylko ten fakt czyni zupełnie nieprzydatnym argument zastosowany przez abp. Kowalczyka, powtórzony w oświadczeniu Episkopatu.

Wiemy również, że zaprzeczanie współpracy agenturalnej było elementem szkolenia agentury i opierało się na zasadach pracy operacyjnej. Wprowadzenie przeciwnika w błąd - czyli dezinformacja, stanowiła podstawową metodę działań policji politycznej PRL.

W doskonałym artykule „Agenturalne strategie obronne”, autorstwa historyka krakowskiego Oddziału IPN Filipa Musiała, możemy przeczytać:

[...] Inną metoda jest stosowanie dezinformacji częściowej - czyli przekazywanie nam treści, która w części jest prawda, a w części kłamstwem. W tym wypadku przygotowana dla nas wypowiedź musi być prawdziwa w tej części, którą jesteśmy w stanie sprawdzić. Jednocześnie zawarte w niej kłamstwo powinno być dla nas niemożliwe do weryfikacji. W ten nurt wpisują się np. wypowiedzi: "to nie możliwe by on był współpracownikiem, bo przecież jest to znany opozycjonista". Druga część tego zdania jesteśmy w stanie zweryfikować, zwłaszcza jeśli dotyczy to osób z pierwszych stron gazet, albo tych, które spotkać możemy na kartach szkolnych podręczników. Oczywiście druga część zdania ma sprawić, byśmy za pewnik przyjęli także jego początek. Tymczasem to, że ktoś był opozycjonista, nie wyklucza jego tajnych relacji ze Służbą Bezpieczeństwa. Agentów werbuje się przecież przede wszystkim w środowisku wroga. Możemy mieć do czynienia z kimś, kto toczył podwójne życie - pozornie będąc opozycjonistą, faktycznie paraliżował działalność antysystemową. Zdarzały się też wypadki osób, które np. najpierw podjęły współpracę z bezpieką, a następnie po jej zerwaniu odegrały niezwykle istotną rolę w zwalczaniu komunistycznej dyktatury. [...]

Gdy wyczerpują się argumenty merytoryczne, zazwyczaj pada pytanie odwołujące się z pozoru do zdrowego rozsądku: "Komu wierzysz? Legendzie opozycji czy esbeckim świsłkom? ... "Autorytetem" stawiającym to pytanie, nie zaprzęta głowy stwierdzenie, że dokumenty świadczące o współpracy automatycznie rewidują "legendarność" pozornego opozycjonisty."

W innym miejscu artykułu autor podkreśla: „Odżegnywanie się przez tajnych współpracowników od związków z resortem jest jak najbardziej naturalne i niczego innego nie powinniśmy się spodziewać. Jeśli zdamy sobie sprawę z zasad pracy operacyjnej, to raczej wypadki przyznania się do współpracy powinniśmy uznać za zaskakujące - świadczą bowiem o trwałym wyrwaniu się spod wpływu komunistycznego aparatu represji.”

Sposób dowodzenia abp. Kowalczyka i Episkopatu Polski, nawet jeśli uwzględnimy szczególny charakter argumentu z autorytetu, w przypadku Jana Pawła II, w niczym przecież nie odbiega od charakteryzowanej powyżej postawy częściowej dezinformacji i wydaje się bezprzedmiotowy wobec istoty zarzutów o agenturalnej przeszłości arcybiskupa.

Warto natomiast zwrócić uwagę, że z punktu widzenia potrzeb Departamentu I MSW, pozycja jaką w hierarchii watykańskiej zajmował Józef Kowalczyk była optymalną do podjęcia kontaktów i prób werbunku.

W wywiadzie dla Katolickiej Agencji Informacyjnej arcybiskup wspomina:

„Poczynając od 1976 roku jako pracownik Kurii Rzymskiej zostałem włączony, po uzgodnieniu z Konferencją Episkopatu Polski, w skład utworzonego wówczas Zespołu Stolicy Apostolskiej do Stałych Kontaktów Roboczych z władzami PRL-u, co dawało dodatkowe obowiązki. Były to przede wszystkim okresowe wyjazdy, wraz z delegacją Zespołu, do Polski na rozmowy z przedstawicielami KEP, przede wszystkim z abp. Bronisławem Dąbrowskim jako sekretarzem generalnym Konferencji, a także władzami PRL, głównie z Urzędem ds. Wyznań.[...] po wyborze papieża Jana Pawła II zostałem, z jego osobistej woli, przeniesiony w dniu 18 października 1978 r. do pracy w Sekretariacie Stanu w charakterze kierownika Sekcji Polskiej. [...]

Przed wszystkim w mojej gestii była troska o wszystkie teksty Ojca Świętego w języku polskim, o ich publikację. Chodziło tu o listy apostolskie, encykliki, homilie, katechezy środowe, orędzia itp. 17 listopada 1978 roku Sekretarz Stanu powierzył mi, jako kierownikowi Sekcji Polskiej, kolejne zadanie, mianując mnie przewodniczącym Komisji do spraw Publikacji Pism Karola Wojtyły sprzed powołania go na Biskupa Rzymu. Praca, jakiej dokonaliśmy przy współdziałaniu Libreria Editrice Vaticana, była ogromna i obejmowała m.in. setki umów dotyczących tłumaczenia i wydania tych pism w różnych językach na całym świecie. Pisemne sprawozdanie z tych prac złożyłem w 2000 roku.

Poza tym zajmowałem się przyjmowaniem i przekazywaniem prywatnej i urzędowej korespondencji w języku polskim do Ojca Świętego i odpowiadaniem na nią w uzgodnieniu z Papieżem. Przekazywałem tę korespondencję - zarówno urzędową, jak i prywatną - adresatom zgodnie ze stylem działania Kurii Rzymskiej. Do moich zadań należały także rozmowy z przedstawicielami Konferencji Episkopatu Polski i Rządu, a zwłaszcza z urzędowymi pracownikami ambasady przy Stolicy Apostolskiej”.

Jest rzeczą całkowicie naturalną, że osoba abp. Kowalczyka musiała być w centrum zainteresowania służb komunistycznej policji politycznej, a jego liczne spotkania z przedstawicielami Departamentu I MSW mogły sprzyjać nawiązaniu kontaktu operacyjnego.

Nie wając się dokonywać ocen, czy charakter tych kontaktów przekroczył ramy oficjalnych, chciałbym zwrócić uwagę, jak ważnym, z perspektywy strategii służb sowieckich był „odcinek watykański” i jakie bywały konsekwencje działalności agentury, ulokowanej w otoczeniu Ojca Świętego.

Zapewne niewiele osób wie, że życzeniem pułkownika Ryszarda Kuklińskiego było, by zdobyte przez niego plany operacyjne wprowadzenia w Polsce stanu wojennego zostały przekazane osobom, których wpływ i autorytet mógł uchronić społeczeństwo polskie przed eskalacją wewnętrznego konfliktu. W głęboko słusznej ocenie Ryszarda Kuklińskiego, bezpośrednie ostrzeżenie członków „Solidarności” przed stanem wojennym, mogło spowodować totalny opór całego społeczeństwa lub zbrojne powstanie, co skończyłoby się przelewem krwi i wejściem do Polski armii sowieckiej. Dlatego w październiku 1981 roku, dokumenty zdobyte przez pułkownika zostały przekazane osobiście przez ówczesnego szefa CIA Williama Caseya, osobie najwyższego zaufania - Papieżowi Janowi Pawłowi II.

Niech ilustracją wagi problemu, o którym mówię, w kontekście zarzutów o współpracę agenturalną, wysuwanych nie tylko przeciwko abp. Józefa Kowalczyka, będzie fragment listu z czerwca 2007 roku, skierowanego przez Adama Ocytko - Prezesa Światowego Kongresu Polaków Katolików i byłego Przewodniczącego Komitetu Obrony Pułkownika Ryszarda Kuklińskiego do wielu polskich osobistości. W liście tym czytamy m.in.:

„[...] Piątą prawdą związaną z działalnością pułkownika Ryszarda Kuklińskiego jest sprawa agentury komunistycznej w polskim Episkopacie. Pan Pułkownik przekazał Amerykanom pełne plany wprowadzenia w Polsce stanu wojennego wraz z życzeniem by zostały one przekazane jako ostrzeżenie dla władz „Solidarności”. Władze USA prośbę pułkownika Ryszarda Kuklińskiego spełniły. Te dokumenty zostały dostarczone Ojcu (Świętemu Janowi Pawłowi II w październiku 1981 roku. Przywiózł je osobiście wspomniany ówczesny szef CIA William Casey. Niestety - trafiły do rąk najważniejszego sowieckiego szpiega w Watykanie, uprzednio agenta SB i IW, polskiego księdza działającego w najbliższym otoczeniu Jana Pawła II - i stały się przyczyną zadenuncjowania Sowietom faktu, że istnieje polski oficer mający dostęp do najtajniejszych sowieckich tajemnic wojskowych. Ten agent w sutannie ponosi też odpowiedzialność jako pierwotna przyczyna sprawcza za wymordowanie członków rodziny pułkownika Kuklińskiego. Jak amoralnym był jego czyn pokazuje, że nie było możliwe, by nie miał świadomości, że wydaje polskiego bohatera i naraża go na straszne tortury i śmierć. Sprawa ta pokazuje, jak w soczewce, czym była komunistyczna agentura, jaki był stopień jej zbrodniczości i szkodliwości dla Polski, pokoju i świata. My Polacy żyjący poza granicami ojczyzny mamy nieco inną optykę widzenia wielu spraw. Zdajemy sobie sprawę, że komunisci, gdyby nie mieli pewności, że całkowicie kontrolują Episkopat Polski, nigdy by nie podpisali tzw. układu okrągłego stołu. Sprawa wydania pułkownika Kuklińskiego woła nie tylko ku tronowi Bożej Sprawiedliwości, zgodnie ze słowami Pisma (Świętego: „Krew sprawiedliwych głośno woła do Mnie z ziemi!” - ale też przypomina o konieczności skutecznego przeprowadzenia dzieła oczyszczenia i polskiego Kościoła i Polski z tej agentury.

W sprawie ustalenia tożsamości agenta, który wydał Sowietom pułkownika Kuklińskiego prowadzimy od ponad roku korespondencję z Jego (Świątobliwością Benedyktem XVI. Powołaliśmy także własny zespół roboczy, który ustalił ważne fakty. Nie ulega wątpliwości, że chodzi tu o osobę nadal pełniącą jedną z najwyższych godności w Kościele polskim”.

Obawiam się, że stanowisko, jakie w sprawach współpracy agenturalnej ludzi polskiego Kościoła zajmuje Episkopat Polski, tożsame z postawami osób, podejrzewanych o agenturalną przeszłość, długo jeszcze będzie znamię naszej tragicznej, narodowej hańby.

Źródła:

<http://katalog.bip.ipn.gov.pl/dictionary.do>

http://www.rodaknet.com/rp_art_4066_czytelnia_musial.htm

<http://ekai.pl/wywiad/x17394/abp-kowalczyk-zaufania-ojca-swietego-nie-zdradzilem-ani-nie-naduzyłem/>

<http://sk2.pl/28651>

11.01.2009 19:39 41

252. III RP CZY „TRZECIA FAZA”? część 3 - TAKTYCZNA DEFENSYWA

„W wyniku tegoż właśnie epizodu, jeśli już do tego określenia wrócę, nastąpiło bardzo poważne ożywienie działalności przeciwnika. Można powiedzieć, że najbardziej skrajne, opozycyjne siły, o jawnie kontrrewolucyjnym charakterze, prą do swego rodzaju konfrontacji. [...]

I drugie - to są rachuby na reanimację „Solidarności” czy też pod jakimś innym szyldem, bardziej dzisiaj ugodowym, pojednawczym w formie, ale faktycznie chodzi o to, aby mówiąc obrazowo, wjechać okrakiem na trumnie w działalność de facto legalną czy półlegalną. Również dla Kościoła to kolejna wielka okazja do wzmocnienia jego pozycji, i tak przecież w Polsce mocnej. To swego rodzaju lokomotywa samonapędzająca, pomnażająca jego możliwości. Eksploatacja śmierci Popiełuszki to temat na dziesięciolecie, a na pewno i więcej. Oczywiście skala i ostrość tej eksploatacji może być bardzo różna, może być bardzo gorąca, a może być bardzo zminimalizowana, i o to w tej chwili dzisiaj przede wszystkim chodzi. Ale nie ulega wątpliwości, że jest to osłabienie naszych pozycji w stosunku do Kościoła w danym momencie. Że jest to przesunięcie części tego wielkiego środka naszego społeczeństwa, które nie było jeszcze z nami, ale nie było i nie jest z opozycją. Przesunięcie jego części bliżej Kościoła i bliżej przeciwnika. Na niektórych odcinkach faktycznie zostaliśmy odrzuceni do tyłu i zepchnięci do defensywy. **Z tym że chcę zaznaczyć, że jest to taktyczny wymiar defensywy, o czym jeszcze potem będę mówił właśnie, ażeby nie odebrać tego w sposób katastroficzny, bo takich powodów również nie ma**”. (podkr.moje)

Powyższy cytat pochodzi z wystąpienia Wojciecha Jaruzelskiego, wygłoszonego na posiedzeniu Rady Ministrów na początku listopada 1984 roku. „Epizodem”, który spowodował ożywienie działalności przeciwnika, nazywa Jaruzelski zabójstwo księdza Jerzego. Słowa generała ludowego wojska, skierowane do partyjnych towarzyszy, świadczą o doskonałym rozeznaniu nastrojów społecznych i trafnej diagnozie rozwoju sytuacji powstałej po zabójstwie Kapelana Solidarności. Jednocześnie, „przesunięcie” społeczeństwa bliżej Kościoła i bliżej przeciwnika nazywa Jaruzelski „taktycznym wymiarem defensywy”. Czy

to sformułowanie było retorycznym wybiegiem, mającym na celu uspokojenie towarzyszy, czy też Jaruzelski pozwolił sobie na szczere wyznanie, podkreślając dobitnie, że sytuacja znajduje się pod kontrolą?

Proponując „nową metodologię” analizowania zdarzeń w świecie komunizmu, o której pisał Golicyn, zwróciłem uwagę, że każde z wydarzeń wskazujących na zmiany w reżimie komunistycznym tworzyło część serii zaszewiających się, strategicznych operacji dezinformacyjnych, zaplanowanych na potrzeby wdrażania długoterminowej polityki Bloku i jego strategii. Choć Golicyn, zdawał się przeceniać potencjał wszechwładnych wpływów służb sowieckich i nie brał pod uwagę działań niezależnych od woli Kremla, nie sposób sądzić, by do katalogu działań inspirowanych mogło nie należeć zabójstwo księdza Popiełuszki.

Z całą pewnością, było ono precyzyjnie zaplanowaną i równie perfekcyjnie wykonaną kombinacją operacyjną policji politycznej PRL, której efekty władza komunistyczna była w stanie przewidzieć i nimi sterować. O „taktycznym wymiarze defensywy” niech świadczy dalszy ciąg wystąpienia Jaruzelskiego z listopada 1984 roku, gdy mówi o porozumieniu z Kościołem:

„Jednocześnie powinniśmy ten tok rozumowania, nie oczywiście w takiej formie, jak ja to dzisiaj ujmuję, ale dobitnie doprowadzać do świadomości Kościoła, że dla nas porozumienie to nie jest jakiś koniunkturalny chwyt, jakiś taktyczny zabieg. Nie pamiętam, czy kiedyś towarzyszom to mówiłem, czy nie, ale w jednej z rozmów z prymasem [on] się wyraził w ten sposób: „no to tak, panie generale, dzisiaj to wszystko jest, tak jakoś się układa, no bo ta władza, pan wybaczy, nie jest taka jeszcze silna, ale jak się wzmocni, to starym zwyczajem, a patrząc jeszcze szerzej na w ogóle sytuację w[e]spólnocie socjalistycznej pod tym kątem, no to nas złapie za gardło”. Dlatego ja myślę, że jest to w jakiejś mierze rozumowanie, [z] którym trzeba znaleźć określony i dla nas właściwy kontakt. W ten sposób, że my traktujemy to poważnie i że konstruktywne współistnienie na gruncie realiów socjalistycznych Polski i dobra naszego narodu jest naszym autentycznym i poważnym założeniem. I że widzimy w tym stosowną rolę Kościoła w sprawach, w których zbieżność celów, humanistycznych celów, patriotycznych celów, pokojowych celów jest oczywista i na niej trzeba budować”.

Jaruzelski określił wówczas bardzo konkretny plan działań, których celem było włączenie Kościoła w zamysł budowania podstaw „historycznego kompromisu”. Taktyka polegała na stopniowym angażowaniu Kościoła w rzekome problemy władzy i absorbowaniu jego uwagi:

„Nie trzeba się bać wychodzenia z naszą platformą, z naszymi oczekiwaniami i z naszymi postulatami w stosunku do kleru. Tu chodzi o nadrzędny interes. I na szczeblu centralnym, i na szczeblu wojewódzkim, miejskim, gminnym itd. Informować o sytuacji gospodarczej, o patologii, o przestępczości, pokazywać, ilu w tym jest wierzących, praktykujących aktywistów Kościoła, o programach demograficznych i potrzebach stąd wynikających. Co może Kościół tutaj pomóc, a nawet może publikować. Wojewoda czy ktoś inny zwrócił się do biskupa z prośbą, żeby to [pomóc] w takich i to w takich sprawach. Oni będą w bardzo nieprostej sytuacji. Bo [jak] odrzucić publicznie tego typu ofertę, tego typu chęć współdziałania?”

Gdyby okazało się to niewystarczające, należało przypomnieć Kościołowi, jak bardzo ważna może okazać się rola organów bezpieczeństwa:

„[...] że tolerowanie przez Kościół, a tym bardziej jeszcze jakieś podniecanie przez niektórych duchownych atmosfery przeciwko przedstawicielom tych organów, jest bardzo niebezpieczną zabawą. Poza wszystkim innym ona może się zemścić i na interesach Kościoła, bo po prostu te organy przestaną strzec i wielkich dóbr zgromadzonych w obiektach sakralnych, i na plebaniach.”

Nie zapomniano przy tym o zadaniach dla wiernych sojuszników:

„Trzeba zadbać o to, żeby te bliskie środowiska katolików świeckich, PAX, ChSS, Caritas i nie tylko świeckich, bo Caritas to przecież duchowni. Żeby oni nie poszli w rozsypkę, żeby tam się nie zaczęły jakieś wahania. Musimy ich tutaj podtrzymywać. Jeszcze bardziej może dobitnie dokumentować, że są naszymi bliskimi sojusznikami, że mają wszystkie możliwości uczestniczenia w życiu publicznym.”

Jaruzelski doskonale zdawał sobie sprawę z nastrojów panujących wśród części Episkopatu, z głosów hierarchów, w których nie brakowało dezaprobaty dla księży „zaangażowanych politycznie”. Tendencje te należało pogłębić:

„[...] Ale wiecie, że każde przedobrzeń ma swoje i w konsekwencji dla tych przedobrzeń i ujemne skutki. Rodzi pewność siebie, puchnie bogactwem, tworzy różnego rodzaju zagrożenia dla tego, co jest zasadniczą platformą Kościoła, platformą religijną. Polityka włączana zbyt nachalnie do działalności kościelnej Kościół obiektywnie kompromituje. Takie kazanie, jakie wczoraj przeczytaliśmy, przytoczone zostały, one stanowią bardzo bolesne uderzenie. I Kościół to też czuje, czy mądrzy ludzie w Kościele, i tego się też obawia. Co mądrzejsi czują, że stereotyp nieskazitelnego Popiełuszki niełatwo będzie utrzymać. On jest męczennikiem nie za wiarę, ale za politykę, za sianie nienawiści”[...]

Nas ten przypadek wiele nauczył pod tym względem. Oby Kościół też się z tego nauczył nie mniej niż my. I chodzi o to tylko, proszę towarzyszy, żeby te działania, o których tutaj mówię, nie zabrzmiły jako jakiś z naszej strony kampania antykościelna, czy jeszcze gorzej antyreligijna. Bo byłoby to niemiłe. Na odwrót - to musi być budowane i propagandowo osłonięte w ten sposób, że my to robimy w obronie stosunków, w obronie dobrych, pozytywnych stosunków, którym szkodzi ekstrema”.

<!--[if !supportEmptyParas]--> <!--[endif]--><!--[if !supportEmptyParas]--> Cytuję obszernie fragmenty wystąpienia I sekretarza PZPR, by ukazać sposób, w jaki władza komunistyczna zamierzała wykorzystać zabójstwo księdza Jerzego, w celu zdobycia poparcia Kościoła. Od zachowania i postawy hierarchów zależało przecież powodzenie lub klęska „fazy trzeciej”. Nie trzeba chyba przypominać, że oficjalna, nagłaśniana przez media interpretacja mordu na księdzu Jerzym starała się narzucić pogląd, że zdarzenie to było prowokacją, wymierzoną w rząd Jaruzelskiego i Kiszczaka, efektem wewnątrzpartyjnych rozgrywek „betonu” z „liberałami”. To obowiązujące do dziś propagandowe kłamstwo, musiało zostać utrwalone w świadomości społeczeństwa, głosami tych, którym Polacy wierzyli i którym ufali.

Warto zauważyć, jak wyglądały niektóre z ówczesnych wypowiedzi władz komunistycznych, Kościoła i przywódców opozycji, by dostrzec ich wzajemną korelację.

Kuria Warszawska w komunikacie z 22 października 1984r. do proboszczów i rektorów Archidiecezji Warszawskiej - „poleca modłom całego ludu Bożego sprawę księdza Popiełuszki, żywiąc przy tym nadzieję, że odpowiednie władze dołożą wszelkich starań aby znaleźć zaginionego i wyjaśnić ten oburzający całe społeczeństwo i niegodziwy napad na niewinnych ludzi”.

W najgorętszym okresie, tuż po porwaniu księdza Jerzego, 22 października Prymas Glemp wyjeżdża z 3 dniową wizytą do NRD. Dopiero 26.10 wydaje odezwę - „Nie mając znaku o życiu księdza Popiełuszki obawiamy się, że mogło i w Polsce dokonać się zabójstwo, jak tego przykłady mieliśmy w krajach dotkniętych plagą terroryzmu. [...] Będziemy domagać się, aby wyjaśniono wszystko, co w ludzkiej mocy o przyczynach, uwarunkowaniach i sprawcach tego haniebnego czynu”.

„Porwanie księdza Jerzego Popiełuszki - znanego kapłana w parafii św. Stanisława Kostki na Żoliborzu w Warszawie” - głosi oświadczenie Episkopatu Polski z dn.22 października 1984 roku - „budzi głęboki niepokój. Z jednej strony istnieje obawa o jego życie, z drugiej strony istnieje obawa, że porywanie pewnych osób może się stać w naszym kraju metodą rozgrywek politycznych. Posiadane dotychczas wiadomości o okolicznościach porwania, wskazują na to, że sprawcy działali z motywów politycznych. Każde porwanie człowieka spotyka się z potępieniem. Tym bardziej wymaga napiętnowania porwanie kapłana, który pełni służbę społeczeństwu”.

23 października Lech Wałęsa w kościele św. Brygidy w Gdańsku mówi:

- „Ktoś zrobił nam wszystkim wielkie świństwo. Na pewno planował sobie reakcję góry i społeczeństwa, w którym z wami wszystkimi jestem. My nie chcieliśmy przejmować władzy. I dlatego nie będziemy się mieszać do rozgrywek o władzę. Nas powinno interesować to, jak w to wszystko chciano nas wmanipulować. Inspiratorzy tej prowokacji, porywając księdza Popiełuskę, chcieli zobaczyć jak się zachowamy, czy się przestraszymy. Na pewno chcieli byśmy bez opamiętania ruszyli, jak to mięso armatnie. Idźmy tym tokiem myślenia i nie dajmy się wmanipulować. [...] Musimy pamiętać, by nasze poczynania nie dawały nikomu foteli ani nie powodowały gabinetowych przesunięć. Dlatego ktoś postawił na rewolucję, licząc że my pójdziemy jak stado baranów i zrobimy mu (inspiratorowi) rewolucję...[...] Dlatego my pójdziemy drogą ewolucji - bezpiecznej, pokojowej ewolucji. My się nie pchamy do władzy i władzy urządzać nie będziemy.[...] Musimy znaleźć bezpieczne, chrześcijańskie rozwiązanie, które nie będą nas nic kosztowały. Nie dajmy się wciągnąć w czyjeś manipulacje”.

26 października 1984 na plebanię kościoła św. Stanisława Kostki przybywa Prymas Glemp. Po mszy koncelebrowanej z księżmi z rocznika ks.Jerzego wypowiada opinię, że pracujący na parterze plebani zespół informacyjny, złożony z przyjaciół ks.Jerzego, winien niezwłocznie opuścić plebanię. Życzenie to powtórzy w dniu następnym, w imieniu prymasa biskup Kazimierz Romaniuk. W sobotę 27.10 o godz.19 zespół opuścił plebanię. W wystąpieniach Prymas podkreślał wówczas, że „należy cierpieć w milczeniu, samemu, krzyżenie o tragedii jest niepotrzebne”.

W dniu 27 października ukazuje się felieton PAP, zatytułowany „Przeciw prowokacji”:

- „Jeszcze nie zostało wyjaśnione kto i z jakich motywów porwał a może również zabił księdza Popiełuskę, ale już wiadomo kto ten dramat politycznie dyskontuje i do czego zmierza. Chodzi o zburzenie spokoju w Polsce. Chodzi o przerwanie początków procesów normalizacji stosunków z Zachodem. Chodzi o skłócenie za wszelką cenę państwa i Kościoła, o wymuszenie konfliktu.

Pod pozorem troski o ks.Popiełuskę w Warszawie na Żoliborzu organizuje się strukturę i okupuje część pomieszczeń plebani i kościoła, wbrew stanowisku właściwych władz kościelnych. Złecili się tam licznie weterani konfrontacyjnych działań, specjaliści od wzniecania awantur, majstrowie prowokacji....[...] Porwanie księdza Popiełuszki było prowokacją polityczną. Obecnie montowana jest kolejna prowokacja, cała seria prowokacji. Zmierzają się do ulicznych niepokojów. Wystąpieni przeciwnicy stabilizacji i porozumienia za wszelką cenę starają się doprowadzić do starcia.”

Tego samego dnia, 27 października wydane zostaje oświadczenie KC PZPR. Czytamy tam m.in.:

- „Polska socjalistyczna może być tylko Polską prawną. Dywersja, prowokacja i terror były zawsze i są z gruntu obce leninowskiej ideologii, moralności naszej partii [...] KC oświadcza z całą mocą, że nie będzie pobłażania dla anarchii i terroryzmu w żadnej postaci. [...] KC zwraca się do wszystkich członków partii, do całego społeczeństwa, do władz państwowych o zdecydowane przeciwstawianie się podejmowanym przez wrogów Polski Ludowej próbom żerowania na prowokacyjnym przestępstwie, na ludzkich emocjach i uczuciach, w celu naruszania spokoju i stabilizacji wewnętrznej kraju”.

W dwa dni później swoje stanowisko przedstawia Rada Krajowa PRON:

- „Porwanie księdza Popiełuszki jest oczywistą próbą wbicia noża w niezabliźnioną do końca ranę.[...] Cios zadany zwolennikowi określonej postawy politycznej miał stworzyć wrażenie, że zamiast proponowanego dialogu, władze dążą do brutalnej likwidacji swoich przeciwników. Mimo oczywistości, że temu właśnie miał służyć zamach, rzeczą smutną jest fakt, że są ludzie, którzy nie czekając na ostateczny wynik śledztwa, z góry przesądziła sprawę i zgodnie z celami prowokacji wzywają do wystąpień, do aktów nienawiści, do działań szkodzących krajowi, ukrywając swe intencje pozornym przyłaczaniem się do modlitwy Kościoła i jego troski o porwanego”.

W nr.107 „Tygodnika Mazowsze” z 22 listopada 1984 roku pojawia się obszerny artykuł Jacka Kuronia, zatytułowany „Zbrodnia i polityka”, w którym, autor wyjaśnia, że za zbrodnią na księdzu nie mógł stać Jaruzelski. Pisząc o generale, Kuroń dowodzi „Jedno jest pewne - głupcem nie jest. Można mu stawiać różne zarzuty, ale pewną sprawność rządzenia w tych trudnych warunkach zachowuje. A skoro nie jest głupcem, musiałoby się przyjąć, że jest niebezpiecznym szaleńcem. Z tym, że takie założenie zwalnia całkowicie od myślenia. Wszystko zaczyna się odbywać w sytuacji nieobliczalnej, nic w ogóle nie jesteśmy w stanie przewidzieć, bo szaleńiec pojutrze może abdykować, albo przyłączyć Polskę do Australii. Takich założeń w myśleniu politycznym przyjmować nie można.

Nic nie wskazuje na to, że stał za tym sam Jaruzelski. Nie on, a więc kto?”

Następnie autor dochodzi do wniosku, że za zabójstwem musiał stać aparat policyjny, „ale podporządkowany jakimś ośrodkom politycznym”.

- „Znaczy to, że mamy do czynienia przynajmniej z dwiema grupami, z których jedna jest lojalna wobec Jaruzelskiego, a druga prowadzi wobec niego swoją własną politykę. [...] Po co grupa konkurencyjna czy też policja miałyby to robić? Nie sądzę żeby chodziło tu o usunięcie Jaruzelskiego. [...] Raczej chodziło o to, by zmusić Jaruzelskiego do prowadzenia określonej polityki. Jakiej? To dość oczywiste - oczywiście niestęchanie represyjnej. Policji jest potrzebna represyjna polityka, bo zwiększa jej znaczenie. Tym samym wyjaśnia się pierwszy wariant, to znaczy ten, że zrobił to sam aparat policyjny.” [...]

Tytuł następnego rozdziału nie pozostawia wątpliwości, kogo Kuroń upatruje jako „ofiary” prowokacji. - Generał Jaruzelski kontra aparat policyjny”

- „Jaruzelski jest teraz w niestęchanie trudnej sytuacji. Ma dwa wyjścia: albo cofnąć się i próbować dogadać ze swoimi przeciwnikami w aparacie władzy - co jest właściwie niemożliwe i na co jest już za późno, albo próbować się porozumieć ze społeczeństwem, co dla niego, autora 13 grudnia jest niestęchanie trudne, wręcz niewykonalne.”

Dalej Kuroń pyta - „Czekać czy działać?” „W obliczu tej sytuacji środowiska opiniotwórcze, rozliczne elity społeczeństwa polskiego podzieliły się. Da się wyodrębnić dwa stanowiska taktyczne. Pierwsze: skoro Jaruzelski to załatwia, nie trzeba mu przeszkadzać - im większe będzie miał trudności ze społeczeństwem, tym mniejsze prawdopodobieństwo, że będzie mógł zrobić to, co zaczął, tym większe, że powie nie. I druga propozycja: skoro Jaruzelski musi się teraz liczyć ze społeczeństwem jak nigdy po 13 grudnia i w tym sensie jakby częściowo cofnął 13 grudnia - trzeba na niego naciskać, żeby dał jak najwięcej.

A więc gen. Jaruzelski rozpoczął walkę ze swoim aparatem. Żeby mógł ją skończyć i umocnić się, musi mieć spokój społeczny. Jeśli damy mu ten spokój nie żądając nic w zamian, to oczywiście nie będzie musiał nam nic dać. Dlatego trzeba naciskać na władzę, ale w taki sposób, aby nie stało się dla niej konieczne zastosowanie terroru.”

<!--[if !supportEmptyParas]--> <!--[endif]-->

W klasycznym dziele Sun Tzu „Sztuka wojny” znajdziemy słowa, których trafność ma związek z ówczesną grą, prowadzoną przez władze komunistyczne. Nakazują one w zabójstwie Kapelana Solidarności upatrywać odbicia sowieckiej strategii podstępny i dezinformacji, stosowanej z powodzeniem od 40 lat.

„Każda wojna oparta jest na podstępie. Dlatego, gdy jesteśmy gotowi do ataku, powinniśmy wywoływać wrażenie, że nie jesteśmy; gdy używamy naszych sił, musimy robić wrażenie nieaktywnych; gdy jesteśmy blisko, musimy sprawić, aby wróg sądził, że jesteśmy daleko; kiedy jesteśmy daleko, musimy spowodować, aby wierzył, że jesteśmy blisko. Należy zarzucić przynęty, aby zwabić wroga. Udać nieporządek i zmiażdżyć go.”

W numerze 6 pisma „Praworządność”, z roku 1985, poświęconym zbrodni na księdzu Popieluszcze, na str. 16 autor artykułu dzieli się z czytelnikami niezwykle ważnym i trafnym spostrzeżeniem:

„Wystąpienie telewizyjne Kiszczaka stanowi wyraźną cezurę: po równym tygodniu - od soboty, do soboty - kończy się akt pierwszy tragedii rozpoczętej w piątkową noc, 19 października na szosie w pobliżu Torunia.

Jest rzeczą uderzającą i zdumiewającą zarazem, jak dalece w następnych dniach zmieni się zachowanie władzy, przy czym mamy tu na myśli jej wszelkie człony i ekspozytury: partię, rząd, organa ścigania, środki masowego przekazu. Przez cały uprzedni tydzień, system robił wrażenie, że stara się nie oddychać, że rozplaszczony na ścianie czeka z przerażeniem na potężne uderzenie fali społecznego gniewu. W tym okresie - poza wspomnianymi wyżej notuje się jedno tylko nowe aresztowanie, nie słychać o rewizjach i przesłuchaniach, nie ma wieści o biciu w komisariatach.[...] To wszystko zmienia się jak za dotknięciem różdżki w sobotę 27 października. Rozdaniem kart jest cytowany wyżej komentarz PAP z porannej prasy, otwarciem licytacji - telewizyjne wystąpienie ministra spraw wewnętrznych, jakby - paradoksalnie - system poczuł ulgę w chwili, gdy zmuszony był przyznać publicznie, że zbrodnia urodziła się w jego własnych trybach, jakby wreszcie uznał, że ma rozwiązane ręce i że nadeszła chwila kontrataku”.

Choć autor „Praworządności” z roku 1985, nie posiadał naszej dzisiejszej wiedzy o okolicznościach zabójstwa i nie mógł właściwie ocenić zachowań poszczególnych uczestników tych zdarzeń, dostrzegł przecież, że zmiana taktyki władz jest oznaką gry prowadzonej ze społeczeństwem i poprzedza „chwilę kontrataku”. Najbliższe lata przyniosły potwierdzenie tezy, że zabójstwo Kapelana „Solidarności” - ów mord założycielski III RP - otworzył drogę do „okrągłego stołu”.

<!--[if !supportEmptyParas]--> <!--[endif]-->

CDN...

Źródła:

Anatolij Golicyn - „Nowe kłamstwa w miejsce starych” - Biblioteka Służby Kontrwywiadu Wojskowego Warszawa 2007

<http://www.ipn.gov.pl/download.php?s=1&id=3935> - przemówienie Jaruzelskiego w tekście „Dwa nowotwory” Grzegorza

Majchrzaka, Jana Żaryna. Biuletyn IPN 10/2004

„Tygodnik Mazowsze”, rok 1984, nr 104, str. 3

<http://www.encyklopedia-solidarnosci.pl/wiki/index.php?title=008385006012>

<http://www.encyklopedia-solidarnosci.pl/wiki/index.php?title=008385006016>

http://www.encyklopedia-solidarnosci.pl/wiki/index.php?title=SG_Kalendarium

15.01.2009 18:49 26

253. III RP CZY „TRZECIA FAZA”? część 4 - PRZECIWKO NARODOWI

Próba przedstawienia zdarzeń polskiej historii lat 80-tych, jako części globalnej taktyki podstępny i dezinformacji, realizowanej przez sowieckich strategów, musi doprowadzić do postawienia pytania - o „polską specyfikę” działań, których początek wyznaczyło morderstwo na księdzu Jerzym. Dlaczego właśnie tymi, a nie innymi środkami posłużono się w modelowaniu „ustrojowej transformacji”? Dlaczego polska droga ku „historycznemu kompromisowi” miała inny przebieg, niż wydarzenia w pozostałych państwach Bloku Sowieckiego? Nie chodzi, przy tym o rozpoznany już cel ostateczny, jaki stawia przed sobą „zreformowany” ruch komunistyczny. W tej kwestii, podzielam opinię byłego pracownika Amerykańskiej Agencji Wywiadu Wojskowego, autora wydanej w 1998 roku książki „Origin of the Fourth World War” Jeffreya Nyquista, który analizując tezy Golicyna pisze: „Nie mamy dostatecznej wiedzy, w jaki sposób działają wewnętrzne struktury „byłego” Związku Sowieckiego. Mechanizmy ich funkcjonowania są zbyt utajnione. Nie znamy nawet poglądów czołowych sowieckich graczy (ich orientacji ideologicznej). Obserwując ich zachowania w ciągu ostatnich piętnastu lat, jestem pewien tylko jednego: Golicyn ma bezspornie rację w odniesieniu do ostatecznych celów rosyjskiej polityki. Niezależnie od tego, co mogą oznaczać „zmiany” przeprowadzone w świecie komunistycznym, istnieje konsekwentne dążenie do wykorzystania tych zmian w celu odsunięcia Ameryki od Europy, zbudowania wojskowego przymierza z Chinami, odnowienia sowieckiego przemysłu zbrojeniowego, użycia zorganizowanych grup przestępczych jako sprzymierzeńców w tajnej wojnie, sabotowania amerykańskiego systemu gospodarczego poprzez kontrolowanie podaży surowców mineralnych i penetrację głównych banków, ostatecznego odizolowania i destabilizacji Stanów Zjednoczonych, i odebranie wszelkich szans na odwrócenie sytuacji i ewentualne użycie amerykańskiego potencjału atomowego. Po osiągnięciu tych celów Moskwa i Pekin planują podzielenie świata na sfery wpływów, przy czym mniejsze państwa miałyby swój udział w „podziale łupów”.

Każdy, upływający rok zdaje się potwierdzać zasadność tej prognozy.

Sam Anatolij Golicyn pisząc o błędach konwencjonalnej metodologii podkreśla, że najczęściej próbuje się analizować i interpretować wydarzenia w świecie komunistycznym w oderwaniu od całości, w systemie „rok po roku”, a inicjatywy komunistów są traktowane jako spontaniczne działania na rzecz osiągnięcia celów krótkoterminowych. „Wedle konwencjonalnych poglądów, - pisze Golicyn - opartych na przestarzałej metodologii, każde z wydarzeń wskazujących na zmiany w reżimie komunistycznym było objawem spontanicznego wzrostu tendencji odśrodkowych wewnątrz międzynarodowego komunizmu”[...] Punktem wyjściowym do opracowania „nowej metodologii” jest założenie, że 81 partii (komunistycznych) zadeklarowało zaangażowanie się politykę długofalową i zgodziło się na realizację jej celów w miarę swoich możliwości i potencjału. Co więcej, ponieważ różnorodność ta była koncesjonowana, można było dokonać podziału pracy między partię i każdej z nich przypisać specjalną rolę strategiczną, zgodną z jej charakterem narodowym i sugestiami Lenina. We wcześniejszym kontekście historycznym twierdził on: „ (...) potrzebujemy wielkiej orkiestry. Musimy wyciągnąć

wnioski z naszych doświadczeń jak ustawić wszystkie partie, dać jednej sentymentalne skrzypce, innej groźnie brzmiący kontrabas, zaś batutę dyrygenta trzeciej”. [...] Metaforycznie można powiedzieć, że stara metodologia słyszy tylko pozbawione harmonii dźwięki, zaś „nowa” stara się zrozumieć symfonię jako całość”.

Pora zatem, by spojrzeć na polskie doświadczenia lat 80 -tych z perspektywy potrzeb i dążeń partii komunistycznej, a szerzej - polityki sowieckich strategów. Odmienność od pozostałych państw Bloku komunistycznego polska „droga ku demokracji” domaga się próby wskazania charakterystycznych cech, decydujących o wyborze. Ocena zdarzeń z tego okresu nie jest zadaniem łatwym, ponieważ za każdym z nich kryje się gigantyczna dawka dezinformacji, każde podlega ocenom ambiwalentnym. By efektywnie sprostać temu zadaniu, nie wolno zapominać o dwóch przesłankach.

Po „historycznym” XXII Zjeździe KPZR, podczas którego zdecydowano o porzuceniu koncepcji dyktatury proletariatu na rzecz idei „państwa całego narodu”, nowa polityka sowiecka, realizowana odtąd poprzez podstęp i dezinformację dopuszczała odstępstwo od komunistycznej doktryny, po to by utrzymać się u władzy i zachować nienaruszony stan posiadania. Drugim, zasadniczym odstępstwem, była rezygnacja Sowietów z dominacji w ruchu komunistycznym. Odtąd główną siłą scalającą ruch komunistyczny wewnątrz i na zewnątrz Bloku nie był już dyktat ZSRR, ale lojalność wobec wspólnego programu, w tworzeniu, którego swój udział mieli przywódcy wielu partii komunistycznych. W praktyce oznaczało to, że każde z trybów - państw komunistycznych, działających w globalnej strukturze prowadzi „własną” politykę wewnętrzną, pod warunkiem, że jest ona zgodna - kompatybilna z zasadą działania całości mechanizmu.

Najtrudniejszą przeszkodą intelektualną, przed jaką staje obserwator zdarzeń z lat 80-tych wydaje się konieczność odrzucenia tezy, jakoby stanowiły one bezsporne dowody na słabnięcie systemu komunistycznego i miały świadczyć o postępującym rozkładzie. To rzecz niezmiernie trudna - ponieważ zdecydowana większość ludzi twierdzi, że komunizm rozpadł się na ich oczach, że sami doświadczyli zmian polskiej rzeczywistości. Oglądając w telewizji upadek muru berlińskiego, egzekucję Causescu, czy wreszcie - wyprowadzenie sztandaru PZPR, gotowi byłiby przysiąc, że stali się świadkami historycznego wydarzenia i wspólnie z niezbyt rozgarniętą artystką, obwieściliby koniec komunizmu.

Lenin uczył, że wszechświatowa rewolucja jest celem, który usprawiedliwia wszelkie środki. Taktyczny odwrót, bądź wielka prowokacja, żeby mogły być przeprowadzone skutecznie, domagają się otoczenia tajemnicą zarówno planów jak i mechaniki ich koordynacji. Czy zatem w latach 80-tych mieliśmy do czynienia z totalną manipulacją, doskonale przeprowadzoną sztuczką światowego prestyżytatora, który „wyciągając z rękawa” kolejne rekwizyty nasycił oczy pospółstwa i oszukał ich rozsądek?

„Prowokacja polityczna to użycie najświętszych symboli narodowych i najgłębszych jego uczuć przeciwko narodowi” - twierdził Cat Mackiewicz. Sztukę prowokacji przeciwko własnemu narodowi, polscy komuniści posiadli w stopniu na tyle dostatecznym, by powierzono im zadanie przeprowadzenia eksperymentu, którego efekty miały służyć globalnej strategii Bloku komunistycznego. Do jego przeprowadzenia potrzebowano użycia dwóch „symboli narodowych”, uosabiających tradycje i dążenia narodu - Kościoła Katolickiego i „Solidarności”.

Skuteczność polskiej „fazy drugiej”, czyli stanu wojennego, pozwoliła komunistom na wprowadzenie ruchu „Solidarności” pod ścisłą kontrolę oraz zapewniła stan wewnętrznej, politycznej konsolidacji. „Naszpikowanie” Związku agenturą, w okresie jego legalnej działalności, uczyniło to zadanie łatwiejszym.

Zdaniem Golicyna, wykreowani przez KGB oraz jego filie (SB, Stasi, etc.) dysydenci, znani na Zachodzie, mieliby tworzyć niekomunistyczne partię lub organizację opozycyjne w wypadku, gdyby system komunistyczny zaczął się rozpadać. Powołując się na przykład „Praskiej Wiosny”, Golicyn wskazywał na Dubczeka, którego odpowiednikiem w ZSRR miał być Sacharow, w Polsce zaś Wałęsa i jego środowisko doradców.

„Nowa strategia polegała na dezinformacji. Należało przekonać Zachód o wewnętrznej słabości systemu komunistycznego i możliwości jego liberalizacji. Było to zgodne z oczekiwaniami państw zachodnich, które, w dobie broni masowego rażenia, za wszelką cenę dążyły do uniknięcia starcia militarnego i liczyły na wewnętrzną ewolucję ustroju komunistycznego. Nowa strategia zakładała zamiast ostrej rywalizacji zbliżenie ze światem kapitalistycznym. Efektem owego zbliżenia miało być stopniowe upodabnianie się obu systemów. O tym mówiła, szalenie popularna w kręgach zachodniej socjaldemokracji, teoria konwergencji, zakładająca trwałe zespolenie obu ustrojów poprzez obumieranie klasycznego kapitalizmu i autentycznego komunizmu” - pisał Robert Kowalewski w „Fatalnej fikcji”.

Dla sowieckich strategów było oczywiste, że chcąc przeprowadzić w Polsce eksperyment integracyjny muszą brać pod uwagę pozycję Kościoła Katolickiego, który dla Polaków stanowił najważniejszy drogowskaz moralny. Jednocześnie Kościół był tym miejscem i realną strukturą, w której mogły wzrastać i rozwijać się środowiska opozycyjne. Ten czynnik, nie występujący w takim stopniu w żadnym innym państwie komunistycznym, wymagał szczególnych działań i zabiegów. To od reakcji Kościoła mogło zależeć powodzenie lub klęska planowanej „odnowy”. Dlatego specyfika komunistycznej strategii, w warunkach polskich oznaczała przede wszystkim wykorzystanie siły oddziaływania Kościoła Katolickiego. Z wykreowaniem lojalnej i funkcjonalnej opozycji poradził sobie wcześniej. Być może, to właśnie istnienie w Polsce silnej i niezależnej od władz organizacji Kościoła, zdecydowało o polskim modelu transformacji ustrojowej.

W nr.1(24) Biuletynu IPN z roku 2003, znajdziemy zapis dyskusji - „O metodach walki z Kościołem prowadzonej przez peerelowskie służby bezpieczeństwa” - w której z Antonim Dudkiem, Janem Żarynem i prok. Andrzejem Witkowskim rozmawia Barbara Polak. Opinie historyków IPN -u o działaniach policji politycznej PRL, pozwalają prześledzić mechanizmy, jakie władze komunistyczne zastosowały wobec Kościoła, by doprowadzić do ewolucji postaw hierarchów i skłonić ich do akceptacji „historycznego kompromisu”.

Antoni Dudek mówi:

„Spoglądając na historię opozycji w stanie wojennym i później, wyraźnie zauważymy, że bez wsparcia tych kilkudziesięciu czy kilkuset księży opozycja nie byłaby w stanie zrobić nawet połowy tego, co robiła. Plebanie służyły za miejsca spotkań, przechowywano tam literaturę drugiego obiegu, a niekiedy nawet lokowano podziemne drukarnie. Służba Bezpieczeństwa oczywiście miała tego świadomość, więc jej dezintegracyjne działania były kontynuowane. Po wprowadzeniu stanu wojennego główne uderzenie kierowano na „Solidarność”, natomiast Kościół starano się nie ruszać, nie drażnić. Dlatego zmieniono nawet - uchwalony przez Radę Państwa i rozesłany po kraju - dekret o stanie wojennym, usuwając, oprotestowane przez biskupów, dwa artykuły ograniczające swobodę działania Kościoła. Duchowieństwo było potrzebne jako stabilizator sytuacji.

-Ta sytuacja zmienia się jednak chyba dość zasadniczo po oficjalnym zniesieniu stanu wojennego?

A. Dudek: Po zniesieniu stanu wojennego w 1983 r. opozycja wyraźnie osłabła i automatycznie w MSW rozpoczęła się nowa kampania wymierzona w Kościół. Właśnie z początkiem 1983 r. nasiliła się działalność komórek „D”, w których jedną z

głównych postaci był Grzegorz Piotrowski. Trwało to do zabójstwa ks. Popiełuszki, kiedy ta działalność została wyhamowana. W latach 1983-1984 nastąpiło też wyraźne zamrożenie w relacjach między Episkopatem a władzami. Przede wszystkim chodziło o negocjowaną od 1981 r. ustawę o stosunkach między państwem a Kościołem. Projekt ustawy, ustalony przez wspólną komisję w końcu 1983 r., zablokowało Biuro Polityczne. Był to sygnał, że skrzydło dogmatyczne - jednoznacznie wrogi Kościołowi w kierownictwie PZPR - bierze górę. Zabójstwo ks. Popiełuszki, a zwłaszcza ataki na Kościół podczas procesu toruńskiego, jeszcze bardziej pogorszyły atmosferę. Ocieplenie w stosunkach z Kościołem nastąpiło dopiero w drugiej połowie lat osiemdziesiątych, w związku z pieriestrojką Gorbaczowa. Około 1987 r. władze rozpoczęły tworzenie planu kontrolowanej transformacji systemu. Wznowiono dyskusje na temat ustawy, a także konwencji, którą miałyby podpisać PRL ze Stolicą Apostolską. Nastąpiła wyraźna odwilż. Na działania dezintegracyjne trzeba zatem patrzeć jako na funkcję wydarzeń na najwyższym szczeblu i relacji między Episkopatem a kierownictwem partii. Trzeba też pamiętać, że działania SB były tylko jednym z kilku środków stosowanych przez władze w rozgrywce z Kościołem".

Trudno nie dostrzec faktu, że relacje władz komunistycznych z Kościołem uległy zasadniczej zmianie po zabójstwie księdza Popiełuszki. Już z cytowanych w poprzedniej części, oficjalnych wystąpień hierarchów, w reakcji na to morderstwo można było dostrzec, że uderzenie odniosło zamierzony efekt. Mimo, iż deklaracje te wyrażają sprzeciw wobec zabójstwa kapłana, próżno poszukiwać w nich wskazania winnych zbrodni lub potępienia prawdziwych intencji działań inspiratorów. Można odnieść wrażenie, że z chwilą „usunięcia” Kapelana „Solidarności” odblokowały się możliwości porozumienia, znikła przeszkoda, oddzielająca od siebie dwie przeciwstawne siły.

Gorzkie słowa Józefa Mackiewicza z roku 1982, zawierają przecież głęboką refleksję o komunistycznej prowokacji z użyciem „najświętszych symboli narodowych”:

„Niewątpliwie ruch „Solidarności” w PRL nie był nigdy dążącym do obalenia komunizmu, lecz do ulepszenia go. Poprawienia, zarówno warunków ekonomicznych, jak i społecznych. - „Więcej chleba i wolności!” Był w tym konsekwentny. Zgodził się na dominującą rolę partii komunistycznej, byle w jej polsko-katolickim wydaniu. Nie można zresztą dążyć do czegoś („obalenie ustroju”), gdy się samo takie dążenie (kontrrewolucja, użycie siły, etc. etc.) przeżywa „oszczerstwem”, „prowokacją” etc. W tym swoim dążeniu do „Porozumienia Narodowego” znalazł też pełne poparcie ze strony Kościoła, od prymasa Wyszyńskiego poczynawszy, na papieżu Janie Pawle II skończywszy”.

Wzajemne zbliżenie nabiera rozpędu z chwilą objęcia na Kremlu władzy przez Michaiła Gorbaczowa. Z całą pewnością, ów protegowany szefa KGB - Andropowa, był godnym następcą sowieckich doktrynerów i pozostał wierny strategii leninowskich celów. Konstruuując „głasność” i pierestrojkę, jako narzędzia propagandowej ofensywy na Zachód, nie zapomniał o „polskiej specyfice” i konieczności znalezienia antidotum na „dziedziczną chorobą, która nas toczy od tysiąca lat” - jak obrazowo w roku 1984 nazwał Kościół i religię gen. Jaruzelski.

Gdy spojrzeć na kalendarium wydarzeń po zabójstwie księdza Jerzego, uderzająca wydaje się dynamika, z jaką następuje proces ewolucji Kościoła w kierunku porozumienia z władzą.

Jeszcze 28 lutego 1985 roku podczas spotkania sekretarza Episkopatu abp. Bronisława Dąbrowskiego z gen. Czesławem Kiszczakiem, w sprawie procesu toruńskiego, postawa Kiszczaka wskazuje na eskalację wrogości wobec Kościoła. Generał uchyla się od odsłonięcia prawdy o morderstwie księdza Jerzego i sugeruje, że atak adwokatów rodziny księdza burzy dobre stosunki między rządem a Kościołem. Odrzuca propozycję biskupa dialogu władzy z opozycją, oskarża Lecha Wałęsę o „antypolskość”, a przedstawicielom Kościoła zarzuca brak zdecydowanej reakcji wobec sankcji prezydenta USA Ronalda Reagana, w efekcie których ubożeje społeczeństwo polskie, a PRL traci 15 mld dolarów rocznie.

Sytuacja zmienia się, gdy w rządy na Kremlu obejmuje Gorbaczow. Już 25 kwietnia, a zatem w pół roku po zabójstwie Kapelana „Solidarności”, dochodzi do kolejnego spotkania abp Bronisława Dąbrowskiego i ks. Alojzego Orszulika z gen. Kiszczakiem. Tematem spotkania jest sprawa zdjęcia, założonych przez SB podsłuchów w placówkach kościelnych. Atmosfera spotkania wydaje się odbiegać od dotychczasowej praktyki. Gen. Jaruzelski proponuje nawet powołanie wspólnej komisji, w obecności której demontowano by sprzęt. Kiszczak zaś ujawnia kulisy rozmowy z Grzegorzem Piotrowskim i Adamem Pietruszką w Sądzie Najwyższym. Przekonuje hierarchów kościelnych, że w rozmowie z oskarżonymi nakłaniał ich do wskazania inspiratorów zbrodni, ale odmówili. Potwierdza prawomocność wyroku i zapewnia, że Rada Państwa nie skorzysta z prawa łaski w najbliższym czasie.

W czerwcu 1986 roku, biskupi obradujący w Gnieźnie na 214. Konferencji Plenarnej Episkopatu zwracają w swym komunikacie uwagę, iż „liczne grupy społeczne i zawodowe oczekują od władz publicznych stworzenia i rozszerzenia możliwości legalnego działania, niezależnego od partii politycznych. [...] Potrzebne jest wprowadzenie takich rozwiązań społecznych i prawnych, które nie będą powodować politycznych dyskryminacji i przyniosą trwałe rozwiązanie problemu więźniów politycznych. [...]

Ale jest jeszcze drugie oblicze władzy, które nie pozwala hierarchom Kościoła zapomnieć, z kim ma do czynienia i zdaje się poddawać myśl, że odstąpienie od „dialogu” może skończyć się powrotem metod „nieznanych sprawców”. 19 listopada 1984 r. napadnięto na ks. Eugeniusza Kościółkę proboszcza z Kazimierzówki koło Lublina, był torturowany, kluty bagnetem i przypalany (m.in. po genitaliach). W ten sam sposób kilka tygodni wcześniej napadnięto i torturowano księdza Ziomka z parafii Matczyn k.Lublina, próbując spalić go żywcem. W kwietniu 1985 roku pobity i poparzony przez „nieznanych sprawców” zostaje ks. Tadeusz Isakowicz-Zaleski, kapelan nowohuckiej „Solidarności”. Na brzuchu i policzku wypalono mu (najprawdopodobniej przy użyciu papierosów) literę „V”. Do ponownego napadu dojdzie w grudniu.

Gdy kilka lat później generał ludowego wojska Kiszczak mówi zupełnie wprost, w wywiadzie z Witoldem Beresiem i Jerzym Skoczylasem, że „Stan wojenny i Okrągły Stół, to były dwa końce tej samej polityki.” - nie wypada nie wierzyć jego słowom. Nikt nie kwestionuje faktu, że Polska była tym krajem, w którym udział policji politycznej, w doprowadzeniu do „historycznego kompromisu” był największy, zatem strategia działań nie mogła odbiegać od ogólnie stosowanych metod sowieckich.

Anatolij Golicyn wspomina, iż podstawę strategii oparto na sprawdzonych wzorcach. Jednym z nich był tajny podręcznik szkoleniowy „tylko do użytku wewnętrznego”, który napisał oficer GRU Popow. Podręcznik ten na około osiemdziesięciu stronach opisywał techniki dezinformacji. Podręcznik Popowa definiował dezinformację jako środek tworzenia sprzyjających warunków do uzyskania przewagi strategicznej nad przeciwnikiem. Stwierdzał, że dezinformacja musi działać zgodnie z wymaganiami strategii wojskowej i dyplomacji i podkreślał, że w każdej sytuacji powinna być zależna od prowadzonej polityki.

Książka klasyfikowała różne typy dezinformacji - strategiczną, polityczną, wojskową, techniczną, ekonomiczną i dyplomatyczną. Wymieniała także kanały, którymi można rozpowszechniać dezinformację:

- deklaracje i przemowy czołowych mężów stanu i przedstawicieli rządu danego kraju;
- oficjalne dokumenty rządowe;
- gazety i inne materiały publikowane w danym państwie;
- zagraniczne publikacje inspirowane przez oficerów służb specjalnych pracujących z obcymi dziennikarzami i ekspertami;
- specjalne operacje wspierające;
- agentów wpływu i innych agentów oraz oficerów w obcych krajach.

Logika działań namiestników sowieckich w Polsce opierała się zatem na prowadzeniu oficjalnych, coraz bardziej „pokojowych” rozmów z przedstawicielami Episkopatu - z jednej strony, co wyczerpywało dyspozycje pkt.1 i 2, przy jednoczesnym prowadzeniu „specjalnych operacji wspierających”, w których nieodzowny udział mieli tzw. nieznani sprawcy. W kolejnych częściach warto będzie wspomnieć o roli, jaką w tym procesie odegrały media oraz szczególnie zasłużonej postawie agentury wpływu.

W strategii polityki międzynarodowej, kanały rozpowszechniania dezinformacji działały oczywiście w innym wymiarze. Gdy zatem 26 kwietnia 1985 roku przywódcy państw stron Układu Warszawskiego podpisują w Warszawie protokół o przedłużeniu jego istnienia na kolejne 20 lat, co mogłoby świadczyć o sile i trwałości tej militarnej struktury, I sekretarz KPZR Michaił Gorbaczow stwierdza „konieczność [...] otwartego omawiania pojawiających się różnic poglądów i wypracowania wspólnego stanowiska. Należy w porę usuwać nieporozumienia i wzajemne pretensje, nie dopuszczając do ich nawarstwiania. [...] Stwierdza też, że [...] każda z bratnich partii samodzielnie określa swoją politykę i jest za nią odpowiedzialna przed swoim narodem. [...]”

W tym samym roku, podczas listopadowego spotkania Gorbaczowa z prezydentem Ronaldem Reaganem, sowiecki przywódca zadeklarował rozbrojenie Związku Sowieckiego i uznał się za pokonanego w zimnej wojnie. Jednocześnie dał do zrozumienia, że w krajach komunistycznych tamtejsza elita podjęła przygotowania do zajęcia odpowiadającej jej aspiracjom pozycji społecznej w nowych warunkach ustrojowych. Stosownie spodziewając się, iż Reagan będzie chciał zakończyć swoją prezydenturę spektakularnym sukcesem, sowiecki gensek podkreślał, że bardzo liczy na wsparcie tych procesów przez Stany Zjednoczone.

W teorii motywacji, która nieobca była sowieckim strategom, zwraca się uwagę, że choć bodźce negatywne i pozytywne, stosowane na przemian wpływają korzystnie na motywację, to w dłuższym okresie stanowią czynnik demotywujący. Od 1986 roku mamy zatem do czynienia z narastaniem bodźców pozytywnych, przy czym „polski eksperyment” nadal okazuje się „awangardą” w krajach Bloku Sowieckiego.

Przed kilkoma laty Jan Olszewski, oskarżyciel posiłkowy z ramienia rodziny księdza Jerzego podczas procesu toruńskiego, powiedział w wywiadzie dla tygodnika „Nasza Polska” (nr 41 z 12.X.2004 r.) słowa, które nawiązując do 20 rocznicy mordu założycielskiego III RP, wydają się dotyczyć istoty specyficznej „polskiej drogi” - „Ta rocznica, przygotowywana wielkim nakładem środków, przy dużym zaangażowaniu Kościoła, „Solidarności” i różnych środowisk społecznych, rocznica, która powinna być przede wszystkim przypomnieniem przestępstwa moralnego, ideowego i politycznego księdza Jerzego, w tej chwili schodzi na drugi plan, a właściwie znika. [...]gdzieś ginie to całe przestępstwo księdza Jerzego, którego aktualność jest w tej chwili uderzająca, a które musi być bardzo niewygodne dla elity władzy w dzisiejszej Polsce. Po pierwsze, jest to przestępstwo związane z bezinteresowną służbą publiczną, której brak ks. Popiełuszko wytykał ówczesnej władzy. Po drugie, nawiązuje ono do obrony interesów i godności świata pracy, który dzisiaj podlega równie przykrym doświadczeniom jak wówczas, chociaż w nieco inny sposób, ale jest to problem tak samo uderzający i ważny. I jeżeli ta rocznica rozplynie się w szumie informacyjnym wokół jakiejś doraźnej sensacji, to ztraci się jej głębsza wymowa, czyli to, za co zginął ksiądz Jerzy. A to, jak najbardziej leży w interesie obecnego układu rządzącego.”

Źródła:

http://archiwum.sw.org.pl/pdf/AnatolijGolicyn-Nowe_klamstwa_w_miejsce_starych-1984.pdf

Robert Kowalewski - „Fatalna fikcja” - Fronda nr.23/24

Biuletyn IPN nr.1 (24) 2003 - <http://www.ipn.gov.pl/download.php?s=1&id=3903>

<http://www.encyklopedia-solidarnosci.pl/wiki/index.php?title=013684108001>

Bereś W., Skoczylas W. - Generał Kiszczak mówi... prawie wszystko. Oficyna Wydawnicza BGW, Warszawa 1991

http://www.encyklopedia-solidarnosci.pl/wiki/index.php?title=SG_Kalendarium

18.01.2009 15:31 17

254. III RP CZY „TRZECIA FAZA”? - cz. 5 - ROLA AGENTURY

„Wdrażanie programu Dezinformacji może być w pełni zrozumiane tylko wtedy, jeśli weźmie się pod uwagę wykorzystywanie przez komunistów ich potencjału wywiadowczego, a szczególnie agentów wpływu, działających zarówno na Zachodzie, jak i w krajach komunistycznych. Ponieważ zwykle brakuje dokładnych informacji na ten temat, oceny wpływów komunistycznych w konkretnych krajach czy obszarach rzadko uwzględniają zasoby komunistycznych służb wywiadowczych”. - pisał Golicyn w książce „Nowe kłamstwa w miejsce starych, komunistyczna strategia podstępów i dezinformacji”- ilustrując na przykładzie Finlandii użycie sowieckiej agentury wpływu. Ta kategoria tajnych współpracowników nie ma ścisłego określenia. Oddanie łącznej, charakterystyki tej struktury utrudnia duże zróżnicowanie i zindywidualizowanie operacji wywiadowczych, odmienność lokalnych warunków działania oraz różnorodność motywów podejmowanej współpracy. W przeszłości najliczniejszą grupę stanowili agenci, działający z pobudek ideowych, ale korzystający z materialnego wsparcia tajnych służb, głównie dla utrzymania organizacyjnych form reprezentowanego ruchu i jego propagandy. Później zastąpili ich płatni agenci. Z takich właśnie związków rozwinął się w drugiej połowie XX w. wywiad polityczny i agentury wpływów.

„Zadaniem agentów wpływu jest urabianie opinii publicznej lub określonych środowisk w danym kraju. Urabianie w różnym kierunku. Najczęściej chodzi o pozyskanie sympatii dla państwa, dla którego się pracuje, czasami dla służb, dla których się pracuje. Mogą też być bardziej zawite kombinacje, na przykład tworzenie atmosfery niechęci wobec kogoś lub czegoś” - tak zadania agentów wpływu przedstawiał człowiek „dobrze poinformowany”, szef PRL-owskiej bezpieki Czesław Kiszczak.

Jest rzeczą oczywistą, że tak złożona, wielowymiarowa kombinacja, jaką było doprowadzenie do obrad „okrągłego stołu” musiała zakładać użycie agentury wpływu, ale też licznych osobowych źródeł informacji, w tym wszelkiej maści tajnych współpracowników. Trudno też zakwestionować fakt, że policja polityczna PRL miała ogromny - jeśli nie kluczowy - udział w przeprowadzeniu „transformacji ustrojowej”. Jednakże precyzyjne wskazanie konkretnych, udokumentowanych przykładów

działalności agentury wpływu na procesy zachodzące w Polsce lat 80-tych, wydaje się nierealne. Trafnie przedstawiona, przez Rafała Brzeskiego charakterystyka działań najcenniejszej agentury, wyjaśnia przyczyny tego stanu: „Agent wpływu nie wykrada tajemnic z sejfów i nie sposób go przytapać na „gorącym uczynku”. Najczęściej nie kontaktuje się potajemnie z oficerem prowadzącym i nie otrzymuje od niego instrukcji wywiadowczej lub wynagrodzenia. Wyjeżdża na jawne seminaria lub konferencje naukowe, pobiera stypendia naukowe lub wyklada na zagranicznym uniwersytecie, zagranicznymi wydawcami publikują jego książki, otrzymuje nagrody twórcze, spotyka się z politykami, ludźmi ze świata gospodarki i nauki. Zebrane „wrażenia” ubrane we „własne przemyslenia” publikuje w mediach lub rozpowszechnia w „politycznych salonach” albo podczas spotkań z politykami i decydentami własnego kraju. Formalnie nie robi nic nielegalnego, tylko skutki jego działalności są niszczące.”

Dlatego zawsze, gdy mamy do czynienia z sytuacjami, w których można dopatrywać się działań agentury wpływu - czy będzie to sugestia dotycząca wyjazdu księdza Popiełuszki do Rzymu, autorstwa Kiszczaka, przedstawiona przez hierarchę kościelnego jako własna, czy też artykuły prasowe i memoriały z propozycjami „paktów antykrzysowych” - będziemy zawsze poruszać się w sferze domniemań i spekulacji. Choć w dalszej części przedstawię przykłady takich działań, przestrzegalbym przed formułowaniem jednoznacznych wniosków. Wiele zdarzeń z lat 80-tych, związanych z działaniem struktur „Solidarności” czy stanowiskiem Kościoła Katolickiego, można zakwalifikować w kategoriach inspirowanych przez agenturę wpływu. Czy takimi były rzeczywiście - nie sposób odpowiedzieć.

Można natomiast, z całą pewnością, prześledzić proces adaptacji aparatu bezpieczeństwa PRL, do wyznaczonej mu przez sowieckich strategów roli moderatora i „konwojenta” polskich przemian. To niewątpliwie jeden z najważniejszych elementów, decydujących o powodzeniu operacji.

Momentem, który zapoczątkował ten proces, było powierzenie w roku 1981 nadzoru nad ministerstwem spraw wewnętrznych Ciesławowi Kiszczakowi - oficerowi Informacji Wojskowej, szefowi WSW i II Zarządu Sztabu Generalnego. Z pewnością, ta nominacja stanowiła zapowiedź rozprawy z „Solidarnością”, ale jej głębszy sens ma związek z długofalową strategią sowiecką. Zadaniem Kiszczaka było skonsolidowanie wszystkich - wojskowych i cywilnych formacji policji politycznej PRL do walki z opozycją oraz rozbudowa sieci agenturalnej. Jeszcze jako szef służb wojskowych, w listopadzie 1980 r. Kiszczak wydał „Wytyczne do planowania działalności WSW na rok 1981”, w których nakazał rozbudowę agentury zarówno w objętych kontrolą WSW jednostkach, wśród żołnierzy i ich rodzin, ale też w obiektach i zakładach przemysłowych, jak i w cywilnym otoczeniu ich działalności.

Ścisła integracja służb i rozbudowa sieci agenturalnej była, według koncepcji przedstawionej przez Golicyna, jednym z kroków na drodze zmierzającej do „transformacji ustrojowej”. Kiszczak wykonał swoje zadanie i doprowadził do ścisłej współpracy „wojskówki” z cywilną bezpieką. Było to o tyle łatwe, że obie służby łączył jeden, podstawowy cel - walka ze społeczeństwem w obronie dominacji sowieckiego okupanta. Wybór Kiszczaka - najwierniejszego z wiernych, stanowił dostatecznie mocne potwierdzenie, że był człowiekiem, którego Kreml obdarzał ogromnym zaufaniem. Na stanowisku ministra spraw wewnętrznych Kiszczak zastąpił Mirosława Milewskiego - topornego „sowieciarza”, generała MO, którego liczne, przestępcze działania (choćby afera „Żelazo”) Sowietci akceptowali, dopóki był im potrzebny. Ta zmiana „jakościowa” zapowiadała nowe zadania, jakie stawiano przed policją polityczną PRL.

Warto zauważyć charakterystyczną prawidłowość, związana z rozbudową sieci agenturalnej.

Od 1981 r. wzrost liczebności tajnych współpracowników miał charakter lawinowy i sięgał blisko 30 proc. rocznie. Dynamika wzrostu początku lat 80-tych, była porównywalna z pierwszą połową lat 50-tych. Znamienny był najszybszy wzrost liczby tajnych współpracowników w roku 1982 oraz po zniesieniu stanu wojennego. W rekordowym 1984 r. liczba pozyskanych tajnych współpracowników w całym kraju (18 756) była ponad trzykrotnie większa niż liczba wyeliminowanych (5442). Gwałtowny wzrost liczby agentury nie wynikał wyłącznie z zagrożenia władz komunistycznych przez konspiracyjne struktury „Solidarności”, ale z celowej polityki kierownictwa resortu spraw wewnętrznych. Kiszczak forsował rozwój sieci agenturalnej jako podstawowej metody kontroli społeczeństwa. Liczba spraw operacyjnych pod koniec 1984 r. osiągnęła poziom 24 343, zbliżony do stanu z 1956 r. (24 170). W latach 1986-1988 odnotowano dalszy, choć już słabszy niż w początku lat 80. wzrost ogólnej liczby TW w pionach operacyjnych SB. Według dostępnych danych częściowych oraz wykonanych na ich podstawie szacunków najwyższy w historii PRL wzrost liczebności tajnych współpracowników nastąpił pod koniec 1988 r., gdy ich liczba sięgnęła niemal 100 tys. Było to więcej niż w szczytowym okresie epoki stalinowskiej. Jeśliby doliczyć do tej liczby kontakty operacyjne (około 15 tys. w roku 1985), służbowe oraz lokale kontaktowe, to ogólna liczba osobowych źródeł informacji znacznie przekraczała 100 tys. Dane te należałoby jeszcze zweryfikować o liczbę agentury służb wojskowych. Raport z Weryfikacji WSI wskazuje na blisko 10 tysięcy współpracowników tych służb w roku 1990. Wszystkie instrukcje operacyjne z tego okresu kładą szczególny nacisk na pozyskiwanie TW i ustanawiają limity werbunkowe. Podczas jednej z narad resortu MSW (październik 1982 r.) pod przewodnictwem gen. Kiszczaka, przedstawiono zalecenia dla KW MO, których przedstawicielem radzono, aby „zintensyfikować pracę nad pozyskiwaniem osobowych źródeł informacji oraz pracę z tymi źródłami [...] uznano, że każdy pracownik operacyjny powinien mieć na łączności do 25 źródeł i średnio odbywać dwa spotkania dziennie”. Pod pojęciem „źródła” rozumiano TW, kontakty operacyjne, służbowe i konsultantów. Warto zaznaczyć, że skuteczna praca SB bez tajnych współpracowników oraz pozostałych osobowych źródeł informacji nie byłaby możliwa. Liczna sieć tajnych współpracowników umożliwiała SB szerokie kontrolowanie społeczeństwa, a także wpływanie na los konkretnych osób i środowisk.

Należałoby zatem postawić pytanie: o związek rozbudowy sieci agenturalnej, z celami komunistycznej strategii. Jak bowiem wyjaśnić, że najwyższy w historii PRL wzrost liczby tajnych współpracowników nastąpił właśnie w roku 1988 - w czasie - gdy władza komunistyczna otwarcie już zmierzała do zawarcia „historycznego kompromisu”?

Trzeba podkreślić, że aparat bezpieczeństwa, będąc policją polityczną państwa totalitarnego, nie ograniczał się jedynie do walki z przejawami opozycji politycznej i oporu społecznego, ale dążył do objęcia swoją kontrolą właściwie wszystkich form aktywności obywateli PRL-u. Wbrew rozpowszechnionemu przekonaniu, funkcja represyjna nie była jedyną funkcją bezpieki w komunistycznym systemie władzy. Obok niej aparat bezpieczeństwa wypełniał również funkcje kontrolną oraz funkcję diagnostyczno-zapobiegawczą (informacyjno-polityczną), które, choć stanowiły przez lata mniej znaną „twarz bezpieki”, były co najmniej równie ważne, jak funkcja represyjna.

Jak zauważa Zdzisław Zblewski z krakowskiego oddziału IPN, w opracowaniu „Aparat bezpieczeństwa wobec opozycji” - „Bezpieka stanowiła dla kolejnych ekip rządzących jedno z najistotniejszych źródeł informacji o sytuacji w kraju. Przekazywane przez policję polityczną raporty i analizy pozwalały nie tylko rozpoznać stan nastrojów społecznych, ale także

przewidywać pojawienie się ewentualnych zagrożeń w przyszłości. Znaczenie tej funkcji aparatu bezpieczeństwa wzrosło zwłaszcza w ostatniej dekadzie PRL-u”.

Autor opracowania zwraca również uwagę na zjawisko rosnących wpływów bezpieki w okresie lat 80-tych: „Oczywiście, możliwość wywierania wpływu na decyzje podejmowane przez, skupione wokół generała Jaruzelskiego, centrum władzy była przywilejem jedynie niewielkiej garstki wybranych funkcjonariuszy wysokiego szczebla z generałami Kiszczakiem, Pożogą oraz majorem Garstką na czele. Nie ulega jednak wątpliwości, że przedstawiane przez nich propozycje konkretnych przedsięwzięć politycznych były efektem wysiłków całego aparatu bezpieki. Sądzę również, że w miarę postępów procesu polskiej „normalizacji” wpływ „bezpieki” na polskie życie polityczne, w tym również na decyzje podejmowane w warszawskim „Białym Domu”, nie malał, a rósł, co prowadzi do być może nieco paradoksalnego stwierdzenia, że mimo nieporównanie mniejszego natężenia represji i terroru, rola policji politycznej w Polsce lat osiemdziesiątych była bardzo znacząca i może być porównywana jedynie ze znaczeniem, jakie bezpieka posiadała w latach 1948-1954”.

Czy rzeczywiście paradoksalnego? Oparcie przemian w całym Bloku Sowieckim na sprawdzonym aparacie bezpieczeństwa, było przecież jednym z założeń strategii podstępnej i dezinformacji. Przypomnę - o czym pisałem już w poprzedniej części, że w 1957 roku, gdy zapadła strategiczna decyzja o stosowaniu dezinformacji, Komitet Centralny KPZR poprosił o tajne publikacje na ten temat będące w posiadaniu KGB i GRU, w szczególności o tajny podręcznik szkoleniowy „tylko do użytku wewnętrznego”, który napisał oficer GRU Popow. Podręcznik ten na około osiemdziesięciu stronach opisywał techniki dezinformacji. Poproszono także o instruktaż autorstwa pułkownika Rainy z KGB, zatytułowany „Wykorzystanie agentów wpływu”. Podręcznik Popowa definiował dezinformację jako środek tworzenia sprzyjających warunków do uzyskania przewagi strategicznej nad przeciwnikiem. Stwierdzał, że dezinformacja musi działać zgodnie z wymaganiami strategii wojskowej i dyplomacji i podkreślał, że w każdej sytuacji powinna być zależna od prowadzonej polityki. Wśród kanałów dezinformacyjnych wymieniał m.in. zagraniczne publikacje inspirowane przez oficerów służb specjalnych pracujących z dziennikarzami i ekspertami, specjalne operacje wspierające oraz agentów wpływu i inną agenturę. W myśl strategii sowieckiej tylko skonsolidowane, „odnowione” służby policyjne były zdolne podjąć się zadania praktycznej realizacji planów, związanych z „pierestrojką”, w tym polskiej „drogi do demokracji”. Przeprowadzenie fazy pierwszej (Solidarność) i drugiej (stan wojenny), było możliwe dzięki wykorzystaniu aparatu bezpieczeństwa oraz licznej agentury.

Przed jakościowym skokiem w fazę trzecią, należało przygotować do tej operacji opozycję i Kościół oraz wytworzyć w społeczeństwie polskim przeświadczenie, iż następuje naturalny proces osłabienia systemu komunistycznego, a wszelkie zmiany mają charakter spontaniczny i niezależny. To właśnie zadanie powierzono agenturze wpływu oraz całej rzeszy tajnych współpracowników, ulokowanych w strukturach „Solidarności”, Kościele Katolickim, organizacjach opozycyjnych, mediach, w środowiskach emigracyjnych. Z tej przyczyny przez całe lata 80- te obserwujemy wzrost liczby zarejestrowanych TW i nacisk kierownictwa resortu na pracę operacyjną z agenturą. Antoni Dudek w „Reglamentowanej rewolucji” cytuje opracowanie SB z 1987 r., w którym pisano, że choć całkowicie pod kontrolą operacyjną jest tylko 10% struktur nielegalnych, to w sposób operacyjny kontrolowanych jest 84%. Kilkadziesiąt stron dalej ocenia, że pojawienie się na fali protestów wiosennych 1988 r. nowych liderów robotniczych i studenckich utrudniło SB działalność operacyjną prowadzoną przy pomocy licznej agentury uplasowanej w strukturach konspiracyjnych jeszcze w pierwszej połowie dekady. Kulminacja liczby tajnych współpracowników w roku 1988, wskazuje na maksymalne wykorzystanie potencjału sieci agenturalnej w tym czasie i pełną synchronizację działań z inicjatywami politycznymi, podejmowanymi przez przedstawicieli partii komunistycznej. W kolejnej części spróbuję przedstawić przykłady takich działań i wskazać na ich rzeczywiste znaczenie w drodze do „porozumienia narodowego”.

Poza wymiarem praktycznym i doraźnym wykorzystania agentury, pozostaje do rozważenia kwestia budowania „społeczeństwa agenturalnego” - owego ideału „homo sovieticus” - poddanego samokontroli i ograniczeniom, podatnego na indoktrynację i sterowanie. Ulokowanie w społeczeństwie polskim ponad 100 tysięcznej armii tajnych współpracowników bezpieki (nie licząc pracowników etatowych i agentury nierejestrowanej) musiało zaważyć na przebiegu procesów „transformacji ustrojowej” i mieć realny wpływ na decyzje kształtujące oblicze III RP. Wielu z nich uważa się przecież za dobrych Polaków, szczyrych patriotów, którym dzięki kolaboracji z sowietyzmem udało się bezkrytycznie rozmontować opresyjny system. Wiemy, że agenci chodzą w Polsce z dumnie podniesionym czołem, nie doznają dyskryminacji ani nie odczuwają moralnego dyskomfortu. Co więcej, tkwi w tym myśleniu pewne racjonalne jądro, gdyż komuniści z pewnością nie oddaliby władzy środowiskom niepodległościowym i rzeczywiście antykomunistycznym.

Skutki przejścia tej agenturalnej armii do rzeczywistości państwa niepodległego, odczuwamy i będziemy odczuwać jeszcze przez wiele pokoleń. To swoisty „koń trojański” komunistycznych namiestników i ich esbeckich pacholców, a jednocześnie „polisa ubezpieczeniowa”, gwarantująca im bezkarność.

Źródła:

Anatolij Golicyn - Nowe kłamstwa w miejsce starych, komunistyczna strategia podstępnej i dezinformacji.” Biblioteka Służby Kontrwywiadu Wojskowego .Warszawa 2007r.

„Generał Kiszczak mówi... prawie wszystko”, - Witold Bereś, Jerzy Skoczylas; wyd. Polska Oficyna Wydawnicza BGW Warszawa 1991 r.

http://ojczyzna.pl/ARTYKULY/BRZESKI-R_Wojna-Informacyjna.htm

Biuletyn IPN 3/2005 - Tadeusz Ruzikowski - „Agenci”

Biuletyn IPN 12(83) 2007 - Zdzisław Zblewski - „Aparat bezpieczeństwa wobec opozycji”

Antoni Dudek - „Reglamentowana rewolucja. Rozkład dyktatury komunistycznej w Polsce 1988-1990” (s. 67)

Andrzej Zybertowicz - „W uścisku tajnych służb. Upadek komunizmu i układ postnemecklaturowy”, Wydawnictwo ANTYK, Warszawa 1993, s. 19-56.

POLITYCZNA AGENTURA WPLYWU - 2 - POD SOWIECKIM NADZOREM

20.01.2009 14:35 46

255. KRĘGI PIEKŁA

- „Inicjatorem porwania musiała być osoba mająca bardzo duże możliwości i wpływy. O ile mam pewną hipotezę dotyczącą „podwykonawców” porwania, o tyle tutaj nawet takiej hipotezy nie odważę się postawić. Ale sposób działania wobec nas przypomina to, w jaki sposób próbowano zniszczyć Romana Kluskę, Gudzwatego, a później pewną firmę komputerową z

Poznania". Przed kilkoma miesiącami Wojciech Wybranowski, pisząc w „Naszym Dzienniku” o sprawie porwania Krzysztofa Olewnika zacytował powyższe słowa Włodzimierza Olewnika.

Zdaniem rodziny Olewników, faktycznego pomysłodawcy i szefa całej akcji należy szukać bardzo wysoko. Czy można określić - jak wysoko i spróbować dostrzec, dokąd prowadzą tropy związane z osobami występującymi w sprawie porwania? Sposób prowadzenia śledztwa, liczne fałszerstwa, błędne tropy, „samobójstwa” sprawców - nakazują przypuszczać, że prawdziwi mocodawcy, ów polityczny układ, o którym wspominają Olewnikowie to ważne i wpływowe postaci.

Prawdopodobna wydaje się teza, że za uprowadzeniem stały osoby mające zamiar przestępczego przejścia przedsiębiorstwa Olewników. Ma tego świadomość także, Włodzimierz Olewnik, gdy mówi: „W tej sprawie wcale nie chodziło o okup, chodziło o przejście mojego majątku”. Czy Olewnikowie dostali „propozycję nie do odrzucenia”? Czy dotyczyła włączenia do spółki wspólnika, który był związany z lokalnymi działaczami SLD, czy też „tylko” zapłaty haraczu? Może propozycja wiązała się z handlem rosyjską stalą i miała związek ze spółką „Krup-stal”, której właścicielami byli Krzysztof Olewnik i Jacek Krupiński?

Jak twierdzili reporterzy RMF FM, którzy dotarli do analizy sporządzonej na potrzeby śledztwa, wskazuje ona na zaniedbania, uchybienia i błędy policjantów oraz prokuratorów. Śledczy w raporcie mówią wprost: gdyby śledztwo prowadzono poprawnie, na jaw mogłyby wyjść fakty, które świadczą na przykład, że osoby powiązane ze sprawą nielegalnie handlowały stalą i wprowadzały do obrotu stal pochodzącą z kradzieży lub sprowadzaną do Polski bez opłat granicznych i cel. Ten wątek (nie jedyny) pominięto w śledztwie.

Czy dobre układy, jakimi dysponował w Płocku Jacek Krupiński, wsparte jeszcze lepszymi możliwościami ojca Krzysztofa - Włodzimierza Olewnika wśród miejscowych polityków SLD sprawiły, że głównym odbiorcą stali od spółki „Krup -stal” był płocki PERN, podległy Orlenowi? To prawdopodobnie sprzedaż stali do dużej, państwowej firmy pozwoliła spółce na szybki rozwój. Niekoniecznie zatem „fakty z przeszłości” mogły mieć związek ze sprawą porwania, a raczej potencjalna przyszłość, rysująca się przed spółką.

Warto pamiętać, że w latach 2001- 2002, czyli w okresie porwania Krzysztofa Olewnika decydowały się w Płocku losy priorytetowej dla miejscowych działaczy SLD inwestycji - przeprawy mostowej przez Wisłę. Przetarg na budowę mostu rozstrzygnięto w 2002 roku. Niewykluczone, że przejście kontroli nad niewielką spółką i realizacja zamówień na dostawę stali do budowy mostu, mogło okazać się niezwykle dochodowym interesem. Kto mógł za nim stać?

Towarzysz minister Cwiakalski wspominał niedawno o „układzie płockim”, mówiąc : „W Płocku działał lokalny układ, który mógł być zamieszany w porwanie i śmierć Krzysztofa Olewnika, a później w utrudnianie śledztwa i mylenie tropów. Mieliśmy tam do czynienia z przenikaniem się pewnych powiązań i znajomości”.

Jednak dokładne prześledzenie powiązań ludzi tego układu, nakazuje mówić o znacznie szerszym spektrum. Powiązania, wzajemne relacje i znajomości prowadzą bardzo, bardzo daleko...

Niemal natychmiast po uprowadzeniu Krzysztofa Olewnika pojawiają się na scenie politycy, oferujący pomoc rodzinie porwanego. Wkrótce po uprowadzeniu do rodziny Olewników z ofertą "pomocy" zgłosili się przestępcy z Sierpca. Między innymi Eugeniusz D.(pseud.Gienek), który zaproponował Włodzimierzowi Olewnikowi, że zdobędzie informacje o losach porwanego. Postawił tylko jeden warunek: gwarantem dobrej współpracy między „Gienkiem” a Włodzimierzem Olewnikiem ma być Grzegorz Korytkowski, lokalny polityk SLD, były wicestarosta, dobry znajomy Jacka Krupińskiego, ale przede wszystkim bliski współpracownik i protegowany mazowieckiego barona SLD, Andrzeja Piłata. Korytkowski organizował i prowadził zwycięską kampanię sejmową Piłata i był jego „prawą ręką” w kontaktach z lokalnymi działaczami SLD.

Co istotne - wkrótce potem Korytkowski został dyrektorem ds. korporacyjnych w płockim Orlenie i doradcą prezesa Zbigniewa Wróbla.

Tandem „Gienek” - Korytkowski, wyciągnął od rodziny Olewników kwotę 160 tys zł , przy czym wiadomo, że 25 tys. osobiście wziął Korytkowski. W 2005 roku działacza SLD zatrzymało CBŚ. Postawiono mu jednak dwa błahе zarzuty: nielegalnego posiadania kilkunastu sztuk amunicji i nielegalnego posiadania niemieckiego dokumentu tożsamości. Nie usłyszał nawet zarzutu wyłudzenia pieniędzy. O udziale w sprawie Korytkowskiego media informowały dość obszernie, nie ma, zatem potrzeby rozwijania tego wątku. Tym bardziej, że nie on wydaje się tu najważniejszy, a ludzie, którzy za nim stali.

„Patronem” politycznym Korytkowskiego jest Andrzej Piłat - wieloletni aktywista partii komunistycznej, sekretarz stanu w Ministerstwie Infrastruktury w okresie rządu Włodzimierza Cimoszewicza, poseł i tzw. baron SLD na płockim Mazowszu. To postać wpływowa i znacząca, bowiem nazwisko Piłata znajdziemy w kontekście działalności niezwykle ciekawych spółek i osób. W czasach, gdy porwano Olewnika, Andrzej Piłat to główna postać w szeregu poskomunistycznych działaczy zaangażowanych w realizację budowy płockiego mostu. Wydaje się jednak, że są w karierze Piłata ważniejsze interesy. W tym kontekście warto tu wskazać na szczególną rolę, jaką polityk SLD odgrywał w płockim Orlenie.

Przed kilkoma laty Wojciech Sumliński w artykule „Rurociąg przyjaciół” pisał: „

„Trzecia nitka rurociągu naftowego Przyjaźń to najbardziej tajna inwestycja w historii III RP. Tajemnicą jest, jakimi kryteriami kierowano się przy wyborze wykonawcy. Nie wiadomo nawet, po co w ogóle zaczęto budować rurociąg. A wszystko dlatego, by ukryć skok na publiczną kasę kolejnej grupy trzymającej władzę. W tym wypadku w jej skład wchodzi ministrowie z SLD, byli generałowie Wojska Polskiego, policji i służb specjalnych.” [...] Na początku 2002 r. Przedsiębiorstwo Eksploatacji Rurociągów Naftowych (PERN) ogłosiło przetarg na budowę trzeciej nitki rurociągu naftowego Przyjaźń: od granicy polsko-białoruskiej w Adamowie do Plebąki koło Płocka. Szefem PERN został Stanisław Jakubowski, członek władz krajowych SLD. Choć w przetargu (rozstrzygniętym we wrześniu 2002 r.) brali udział potentaci z branży budowy rurociągów, koordynowanie projektu, a więc i kontrolę nad wydatkowaniem publicznych pieniędzy, powierzono utworzonemu na potrzeby przetargu konsorcjum Prochem-Megagaz.[...] Według Wiesława Kaczmarek, który był ministrem skarbu w rządzie Leszka Millera, kiedy decydowano o przetargu, wszystko zaaranżował Andrzej Piłat, wiceminister infrastruktury i były mazowiecki baron SLD. - To Piłat, który był moim partyjnym przełożonym, forsował Stanisława Jakubowskiego na prezesa PERN - opowiada Kaczmarek. Według byłego ministra, wygrana Jakubowskiego w konkursie miała umożliwić Megagazowi zwycięstwo w przetargu. Skoro Kaczmarek wiedział o ustawieniu przetargu, dlaczego wcześniej nic nie powiedział? To kolejna - po sprawie Andrzeja Modrzejewskiego, byłego prezesa Orlenu - tajemnica, o której Kaczmarek mówi z dwuletnim opóźnieniem. Były minister skarbu sugeruje, że zwycięstwo Megagazu ma związek z tym, iż członkiem rady nadzorczej tej firmy jest syn Piłata.”

„Megagaz” to szczególna, nomenklaturowa spółka. Wojciech Sumliński pisał:

„Jej prezesem jest Zbigniew Sowiński, mający wielu przyjaciół w MON i Sztabie Generalnym Wojska Polskiego. W czasie gdy rozstrzygano przetarg, wiceprzewodniczącym rady nadzorczej Megagazu był Wiesław Huszcza, były skarbnik SdRP.[...] Przewodniczącym rady nadzorczej Megagazu był Jerzy Napiórkowski, wiceminister finansów w latach 1986-1990, jeden z

bohaterów tzw. afery karabinowej (Polaków, których oskarżono o nielegalny handel bronią z Irakiem, zatrzymano w 1992 r. w Niemczech i USA). Wiceprzewodniczącym rady nadzorczej Megagazu podczas zawierania kontraktu z PERN był Roman Kurnik, były kadrowiec SB, potem zastępca Marka Papały, komendanta głównego policji, a następnie doradca wiceministra spraw wewnętrznych Zbigniewa Sobotki. Bezpośrednio przed zawarciem kontraktu pomiędzy PERN i Prochem-Megagaz wiceprzewodniczącym rady nadzorczej w tej ostatniej spółce był również Andrzej Celiński, obecnie jeden z liderów SDLP. [...] W spółce Megagaz aż się roi od byłych funkcjonariuszy SB, UOP i emerytowanych wysokich oficerów Wojska Polskiego. W Megagazie zatrudniony jest m.in. generał w stanie spoczynku Andrzej Ratajczak, jeszcze rok temu pełnomocnik dowódcy wojsk lądowych ds. mienia wojskowego, a wcześniej odpowiedzialny za logistykę w Śląskim Okręgu Wojskowym, oraz gen. Marian Robełek, były zastępca szefa Sztabu Generalnego Wojska Polskiego.

Udziałowcem Megagazu jest Biuro Podróży First Class SAZ SA. W jego radzie nadzorczej zasiadają m.in. emerytowany admirał Romuald Waga, członek Rady Bezpieczeństwa Narodowego przy Prezydencie RP, Piotr Barański, szef kadr w nie istniejącym już Ministerstwie Współpracy Gospodarczej z Zagranicą, i Roman Kurnik."

Warto dodać, że wszczęte na wniosek jednej z płockich gazet postępowanie prokuratorskie w sprawie nieprawidłowości przy przetargu, zostało przez płocką Prokuraturę Okręgową szybko umorzone w roku 2004.

Publikacja Sumlińskiego na temat „Megagazu” wywołała jednak prawdziwą burzę. Wymieniała bowiem jako wiceprzewodniczącego rady nadzorczej Andrzeja Celińskiego, który w tym czasie był członkiem sejmowej komisji śledczej ds. Orlenu. Poseł Andrzej Grzesik z komisji śledczej zacytował podczas posiedzenia komisji artykuł Sumlińskiego we Wprost, wskazując, że spółka, w której Celiński był członkiem rady nadzorczej za polskie pieniądze buduje trzecią nitkę naftociągu Przyjaźń, na czym skorzystają wyłącznie Rosjanie. Po drugie - o czym przypominał artykuł redakcyjny Wprost - „Andrzej Czyżewski, mieszkający w Niemczech był prokurator, ujawnił, że trzy lata temu przekazał Celińskiemu materiały o mafii paliwowej, a poseł nic z nimi nie zrobił. Dlaczego? Czyżby były one niewygodne dla spółki J&S, której rola w aferze Orlenu jest nieporównanie większa, niż się wydaje? Czy jest przypadkiem, że postępowanie Celińskiego jest zaskakująco zbieżne z interesami J&S?” - pytało Wprost.

Podczas przesłuchania Wiesława Kaczmarka przed sejmową komisją ds. Orlenu, na pytanie Celińskiego - „Czy ma pan jakąś wiedzę, skąd wynikała inspiracja tygodnika „Wprost” w pańskiej sprawie? Kto inspirował tygodnik „Wprost”, aby pana spróbować w ten sposób zahaczyć czy zaczepić?” - Kaczmarek udzielił odpowiedzi, która niekoniecznie musiała zadowolić pytającego:

„Czy ja mam jakąś wiedzę? Rozumiem Rozmawiamy w kategoriach firmy Megagaz - bo tak rozumiem w podtekście pana pytania. Moja wiedza mniej więcej polega na tym: że dość upowszechnioną na rynku była sytuacja, że prezes tej korporacji Megagaz może wszystko - ja nie znam tego człowieka - że ma różne możliwości i różne kontakty, że jest to jeden z takich przypadków dobrze osadzonej osoby, która prowadzi tę firmę jako firmę, która realizuje ciekawe projekty. Wiem, że w tej sprawie osobą mocno zaangażowaną był pan minister Andrzej Piłat, no bo na niego właściwie w rozmowie ze mną powoływał się pan premier Miller. Czy to są czy to są źródła inspiracji? Trudno mi powiedzieć. Natomiast ja parokrotnie spotkałem się z takim ostrzeżeniem, że, no, prezes tego Megagazu dużo może, bo jest ułożony, powiązany itd.”

Andrzej Celiński to były senator z województwa płockiego, poseł II kadencji z okręgu płockiego, polityk Unii Demokratycznej, od 1999 roku związany z SLD. Nie trzeba dodawać, że bliski znajomy Andrzeja Piłata.

Jak wkrótce mogliśmy się dowiedzieć, że udział Celińskiego we władzach innej spółki - toruńskiej „Elany” (której prezesem był Stanisław Mańka, były dyrektor handlowy Petrochemii Płock) stał się powodem wykluczenia posła SLD z obrad komisji orlenowskiej, na czas przesłuchania Danuty Gaszewskiej - współwłaścicielki (razem z Andrzejem Czyżewskim) spółki Dansztof z Bogatyni. Wniosek o wykluczenie Celińskiego miał związek z zeznaniami Gaszewskiej, która oświadczyła, że toruńska spółka „Elana”, we władzach, której zasiadał Celiński, pełniła niezwykle ważną rolę w strukturze tzw. mafii paliwowej.

- „Spółka BGM dostarczała komponenty, Petrochemia Płock dostarczała sprzedawaną bez akcyzy benzynę krakingową, a „Elana” z Torunia - toluen. W spółkach takich jak „Dansztof” mieszano te składniki i otrzymywano „mieszanke benzynopodobną” - tłumaczyła zasady pracy spółek mafii paliwowej Gaszewska. W oświadczeniu przed komisją wymieniła kilkanaście osób publicznych, które - jej zdaniem - są powiązane z mafią paliwową. Chodzi m.in. o prezydenckiego doradcę Stanisława Cioska, czy ministra obrony narodowej Jerzego Szmajdzińskiego, sędziów i prokuratorów. Wspólnicy „Dansztovu” z mafii paliwowej szczycili się ochroną funkcjonariuszy państwowych - powiedziała Gaszewska. Pan Krzysztof Choma i pan Wejman szczycili się zaplecem, czyli ochroną przez funkcjonariuszy państwowych, takich jak pan (Stanisław) Ciosek czy pan (Jerzy) Szmajdziński. Byłam świadkiem rozmów na ten temat - dodała.”

Warto zacytować, co na temat niektórych wymienionych wyżej postaci i metod działania „mafii paliwowej” mówił eks - prokurator Andrzej Czyżewski, podczas rozmowy dla portalu „Bez Skazury” w październiku 2004r.:

„Oni, ci z bezpieki, najczęściej nie mają nic, poza tym, że są skadrowanymi pracownikami bezpieki. Kartoteką zawiaduje dalej generał Roman Kurnik, personalnie SB z lat 80., i tymczasem zespoły operacyjne. Proszę zwrócić uwagę kto to jest Roman Kurnik. Publikacje na jego temat znowu przeszły bez echa.. A to do niedawna przecież szef departamentu personalnego MSWiA, facet ważniejszy od premiera, Pierwszy kadrowy PRL...A więc to on może z kartoteki wyjmować i pewne działania kierować w określone strony uznając, że to się organizacji opłaci. Roman Kurnik był w latach 80. szefem kadr Służby Bezpieczeństwa w czasach, gdy MSW kierował generał Kiszczak. Pod koniec lat 80. trafił jako szyfrant do ambasady Polski w Japonii. Po zmianach ustrojowych, znalazł się w Komendzie Głównej Policji. Przez wiele lat pracował tam jako dyrektor departamentu kadr. Zna wszystkich w SLD i to m.in. dzięki niemu szefem policji w 1997 r. został Marek Papała. Kurnik został jego zastępcą. Po wyborach wygranych przez AWS, Kurnik odszedł z policji i przeszedł do biznesu, w którym zresztą tkwi do dziś. Zasiadał w radach nadzorczych wielu spółek, m.in. Mennicę Ochrona i Przedsiębiorstwo Budowy Gazociągów i Obiektów Towarzystwujących „Megagaz”, Biuro Podróży S.A.Z) [...]

Nie od dziś mówi się otwarcie, że PKN Orlen, szczególnie w okresie rządów SLD był miejscem łączącym polityków i mafiozów. Wolno zatem pytać - jaka była rola Andrzeja Piłata i Andrzeja Celińskiego - wpływowych działaczy mazowieckiej lewicy, na sprawy płockiego Orlenu w okresie lat 2000-2002? Czyje interesy reprezentował Andrzej Piłat, zabiegając o wygraną spółki „Megagaz” w przetargu na budowę trzeciej nitki rurociągu naftowego Przyjaźń? Czy istnieje związek pomiędzy zaangażowaniem polityków SLD w budowę nowego mostu na Wiśle i związanymi z tym projektem inwestycjami, a działalnością spółki „Krup-stal”, realizującą zamówienia dla płockiego Orlenu?

Aktywność biznesowa Piłata wiązała go z jeszcze jedną, specyficzną spółką.

W roku 2006 Tygodnik „Wprost” poinformował, że za rządów SLD, na ochronie obiektów należących do Kancelarii Prezesa Rady Ministrów prawie 7 mln zł zarobiła firma ochroniarska Ekotrade. W radzie nadzorczej spółki zasiadali wówczas m.in.

wiceminister spraw wewnętrznych i administracji w rządzie Leszka Millera Zbigniew Sobotka, wiceminister infrastruktury w rządzie SLD Andrzej Piłat oraz Jerzy Jerschina, w latach 80. rezydent I Departamentu MSW w Berlinie i Wiedniu. Od 2002 r. umowy z agencją Ekotrade podpisywał Andrzej Szeląg, ówczesny dyrektor Centrum Obsługi KPRM (tzw. gospodarstwa pomocniczego kancelarii premiera). Andrzej Szeląg to dobry znajomy Sobotki i Piłata, ale też dwóch biznesmenów z Wiednia - Andrzeja Kuny i Aleksandra Żagla oraz rosyjskiego szpiega Władimira Ałganowa. Szeląg był też bliskim znajomym gen. Marka Papaty i Edwarda Mazura.

Ekotrade to jedna z największych spółek ochroniarskich w Polsce. "Trafiali do niej najczęściej byli funkcjonariusze, z doświadczeniem wyniesionym ze specjalnych formacji mundurowych" - pisała o spółce prasa w latach 90. EkoTrade chroniło (i chroni) najważniejsze budynki administracji państwowej - sądy, prokuratury, gmach Sądu Najwyższego, Naczelnego Sądu Administracyjnego. W maju 2005 r. firma otrzymała z rąk Aleksandra Kwaśniewskiego godło "Teraz Polska".

O tym, że właściciele i zarządzający Ekotrade mają szerokie znajomości w świecie polityki i służb specjalnych - pisał Leszek Szymowski we „Wprost” - świadczą zdjęcia wykonane podczas uroczystego przyjęcia z okazji 10-lecia firmy w 2001 r. Wśród gości są m.in. kontradmirał Kazimierz Głowacki, były szef WSI, i Jerzy Jaskiernia, minister sprawiedliwości w rządach Józefa Oleksego i Włodzimierza Cimoszewicza, oskarżony później o kłamstwo lustracyjne. Jaskiernia zapewnia, że ze spółką nic go nie łączy, zna jedynie jej prezesa Jacka Jerschinę. Tak samo twierdzi obecny na przyjęciu Marek Ungier, który w 2001 r. był ministrem w kancelarii prezydenta Kwaśniewskiego.[...] Z dokumentów zachowanych w IPN wynika, że członek rady nadzorczej Ekotrade dr Jerzy Jerschina w latach 70. i 80. pracował w Berlinie Zachodnim jako agent I Departamentu MSW (wywiad cywilny)”. [...] Syn Jerzego Jerschiny - Jacek Jerschina chwalił się, że jest zatrudniony na niejawnym etacie w Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego”.

Udział Andrzeja Piłata - plockiego „barona” SLD w przedsięwzięciach, w których spotykamy całą plejadę postaci z kręgów komunistycznej nomenklatury, powiązaną biznesowo, służbowo i agenturalnie ze wschodnim sąsiadem, czy obecność Andrzeja Celińskiego w spółkach uwikłanych w działalność „mafii paliwowej” - może nie mieć żadnego związku ze sprawą Krzysztofa Olewnika. Również uczestnictwo tych postaci w interesach plockiego Orlenu, w okresie lat 2000-2002 może wydawać się incydentalne, w stosunku do sprawy porwania. Czy jednak można zdecydowanie wykluczyć, że krąg wzajemnych powiązań i relacji, poczynawszy od sierpeckich gangsterów, poprzez Grzegorza Korytkowskiego i jego politycznych „patronów” nie sięga ludzi „dobrze ułożonych i powiązanych” - jak określał to Wiesław Kaczmarek? Na tyle „dobrze powiązanych”, że udaje im się bez najmniejszego problemu wywierać wpływ na przebieg śledztwa i skutecznie blokować próby wyjaśnienia prawdziwych okoliczności zbrodni.

Nie przypadkiem wymieniam w niniejszym tekście nazwiska dwóch dziennikarzy, których odwagę i rzetelność niezwykle cenię. Mam bowiem nadzieję, że znajdą się podobnie odważni ludzie mediów - dziennikarze śledczy, którzy zechcą podążać tropem wielu zagadkowych powiązań i relacji, wiodącym w kolejne kręgi wtajemniczenia.

Obawiam się, że jeśli w powyższym wywodzie zawarte, choć „ziarno prawdy” i za sprawą porwana i zabójstwa plockiego biznesmena stoją ONI, nie należy liczyć na żadną komisję sejmową ani rzetelne wyjaśnienie sprawy. Ani teraz, ani w przyszłości. Niech usprawiedliwieniem takiej opinii, będzie fragment wypowiedzi cytowanego już, byłego prokuratora Andrzeja Czyżewskiego:

„Gdy wszczęto postępowanie prokuratorskie po tym, jak pani Danuta Gaszewska złożyła zeznania w Jeleniej Górze, a później w innych miejscach, i podała świadków, to 25 grudnia 2000 roku został znaleziony powieszony chłopak dwudziestoparoletni na terenie posesji swoich rodziców pod Wierzchownią. Pracował w Wierzchowni, był kierowcą jednego z tych bandziorów i prawdopodobnie - bo opowiadał to swemu bratu - widział tam Kaucza, Rychlika, Wieczarzaka i innych, w ośrodku w Wierzchowni. A później widział ich we Wrocławiu, bo oni go tam ze sobą zabierali - najpierw zabrali go w sierpniu 2000 roku do Wrocławia. Tam jest willa Barańskiego, Jeremiasza Barańskiego, tego słynnego „Baraniny”, który „powiesił” się w wiedeńskim areszcie. W willi „Baraniny” odbywały się spotkania notabli wrocławskich. Bywał tam Władysław Frasyniuk, tak bywał Aleksander Grad z Platformy Obywatelskiej, Grzegorz Schetyna, wrocławski prominent Platformy no i oczywiście, tzw. lewica.

Skąd obecność Barańskiego w tym towarzystwie? Szefem na Śląsk, rzekłbym - mafijnym przełożonym partnera pani Danuty Gaszewskiej, Krzysztofa Chomy, był właśnie pan Jeremiasz Barański, słynny „bohater” afery Dębskiego.[...] W Polsce też praktykowano taką „demokrację sterowaną” i w moim przekonaniu, a mogę też się powołać na osobę, która była w kierownictwie pewnej partii, polski Kongres Liberalno-Demokratyczny był taką partią. Od samego początku mafia wyłoniła z siebie partię polityczną, uważając że w ten sposób uzyska warunki do ujawnienia pieniędzy które posiada, sił, kontaktów w społeczeństwie itd. [...] Ta grupa, jak pan widzi, dysponuje swoimi prokuratorami, swoimi biegłymi, swoimi bankowcami, swoimi sędziami, swoimi wreszcie ministrami.”

Źródła:

http://www.dziennik.pl/wydarzenia/article159520/Politycy_SLD_zarobili_na_porwaniu_Olewnika.html
http://fakty.interia.pl/fakty_dnia/news/uklad-plocki-zamieszany-w-porwanie-olewnika,1092274?source=rss
<http://www.naszdziennik.pl/index.php?typ=po&dat=20080429&id=po02.txt>
<http://www.wprost.pl/ar/?O=109790&l=1281>
<http://www.polskieradio.pl/krajiswiat/archiwum/media/przemilczane/arttykul188.html>
<https://www.wprost.pl/ar/60896/Rurociag-przyjaciol/?O=60896&pg=0>
<http://www.wprost.pl/ar/?O=70427&l=1148>
<http://wiadomosci.wp.pl/page,3,wid,7170430,wiadomosc.html>
<http://wyborcza.pl/1,76842,2431492.html?as=58&ias=183&startsz=x>
<http://www.bezcenzury.net/index.php?main=article&action=view&article=137&images=thumb180>

25.01.2009 13:39 33

256. III RP CZY „TRZECIA FAZA”? część 6 - CUI BONO?

Wśród krytyków „okrągłego stołu”, panuje niemal powszechne przekonanie, że był on rezultatem porozumienia komunistów z tą częścią środowisk opozycyjnych, która okazała się najmocniej podatna na współpracę agenturalną - co wydaje się

poglądem mocno logicznym, zważywszy, że lepiej jest zawrzeć układ z kontrolowanym, obliczalnym „wrogiem”, niż z nieznanym i nieprzewidywalnym „sojusznikiem”.

Według tej opinii, podpisanie porozumień w Magdalence nastąpiło na mocy paktu, zawartego pomiędzy szefem policji politycznej - Kiszczakiem, a ludźmi, których ta sama policja predestynowała do roli swoich partnerów. Na dowód, że jest to twierdzenie prawdziwe przytoczyć można dziesiątki nazwisk tajnych współpracowników, którzy znaleźli swoje miejsce przy „okrągłym stole” lub stali się jego beneficjentami i orędownikami. Przypadek Lecha Wałęsy urasta tu do miary symbolu. Można powiedzieć, że władza komunistyczna „wyprodukowała” grupę ludzi, którzy poprzez (inspirowany zewnętrznie) proces „transformacji ustrojowej” przeprowadzili komunistów bezproblemowo z totalitarnej rzeczywistości PRL do sterowanej demokracji III RP. Doskonale ów proces przedstawia *Free Your Mind*, gdy w artykule - „Okrągły stół” jako legalizacja peerelu” - pisze:

„Właśnie z taką sytuacją mieliśmy do czynienia u schyłku peerelu - komuniści byli przestępcami, zbrodniarzami, a co gorsza, ludźmi przetrzymującymi w represyjnym systemie całe społeczeństwo polskie. O ile więc negocjowanie można było z nimi podjąć (choć może lepsze byłoby siłowe przejęcie władzy), to należało potraktować je tak, jak negocjacje z porwaczami. Tymczasem mitologia „okrągłego stołu” nie tylko przedstawia obie strony negocjacji jako „równe” czy „partnerskie”, ale i legalne. „Pacta” zawarte przy „okrągłym stole” należało uznać jako zawarte ze zbrodniarzami i w bardzo specyficznym kontekście (troska o zniewolonych, przetrzymywanych bezprawnie w komunizmie, obywateli; obecność sowieckich wojsk okupacyjnych; podporządkowanie „ludowego” wojska i „ludowych” sił bezpieczeństwa Moskwie itd.). Tymczasem uznano je jako porozumienie niemalże równoprawnych stron. W ten sposób dokonano rzeczy niebywałej i skandalicznej - zalegalizowano peerel z całą jego infrastrukturą, zaś III RP konsekwentnie skonstruowano jako jego polityczno-prawną kontynuację.”

Należałoby dodać, że „legalizacji PRL-u” dokonali wyznaczeni przez komunistów „legislatorzy” - z których wielu, z partijną i esbecką elitą łączył stosunek zależności agenturalnej.

O procesie kreowania własnej opozycji (poczynając od doświadczeń operacji „Trust”) pisze również Anatolij Golicyn i stwierdza, że powołani przez KGB i jego filie (SB, Stasi, etc.) dysydenci, powszechnie znani na Zachodzie, mieliby tworzyć niekomunistyczne partie lub organizacje opozycyjne w wypadku, gdyby system komunistyczny zaczął się rozpadać. Powołując się na przykład „Praskiej Wiosny”, Golicyn wskazywał na Dubczeka, którego odpowiednikiem w ZSRR miał być Sacharow, w Polsce zaś Wałęsa i jego środowisko doradców. Ponieważ to właśnie służby sowieckie, opanowały do perfekcji gry operacyjne z udziałem własnej agentury, byłoby rzeczą dalece naiwną uważać, że tak rozbudowana kombinacja operacyjna, jaką była polska droga do „historycznego kompromisu” mogła zostać przeprowadzona bez udziału tego elementu.

Na podstawie dzisiejszej wiedzy o przeszłości wielu, koncesjonowanych opozycjonistów mamy świadomość, że „konstruktywny” stosunek do komunizmu, dążenia integracyjne i idee porozumienia, szerzące się wśród części opozycji w latach 80 -tych, należy prędzej przypisać grom operacyjnym i wykonywaniu dyrektyw oficerów prowadzących, niż trosce o przyszłość Polski. Rzesze tajnych współpracowników, wiodących Polaków do „świetlanej” przyszłości wykonywało jedynie poruczenia szefa bezpieczeństwa i zabezpieczało przed oczami rodaków swoje zafajdane życiorysy.

Problem z oceną pojawia się wówczas, gdy mamy do czynienia z ludźmi, o których agenturalnej przeszłości nic nie wiemy - czy to z powodu braku rejestracji w archiwach policji politycznej (co należało do praktyk, związanych ze szczególnie cenną agenturą) - czy też, z powodu zniszczenia dokumentacji w latach 1989-90. Ich zachowania w latach 80-tych, ale przede wszystkim postawa, jaką wykazują od czasu „legalizacji PRL-u” wskazuje na zamierzone i konsekwentne dążenie do porozumienia z komunistami, a po osiągnięciu tego celu - na osłonę prawną i polityczną interesów zbrodniarzy komunistycznych i peerelowskiej nomenklatury.

Mając świadomość, że nad jednostkami ulegającymi jego „urokowi”, komunizm roztacza władzę absolutną i kontrolę bezwarunkową - nie sposób wierzyć, by wszyscy opozycyjni piewcy Jaruzelskiego i Kiszczaka działali w patriotycznym lub ideologicznym porywie. Część z nich - jak wiemy to w przypadku już zidentyfikowanej agentury - wykonywała bowiem złe, a w najlepszym wypadku sugerowane dyrektywy. Dopiero kombinacja działalności zarejestrowanych, osobowych źródeł informacji oraz inspiracje, wynikające z aktywności wyjątkowo cennej, a głęboko utajnionej agentury, mogły dać pożądany efekt.

W tym kontekście pojawia się problem działalności agentury wpływu - problem, tym poważniejszy, że w przypadku Polski lat 80-tych, klasyfikacja tej agentury wymyka się standardowym ocenom. Definicje, które przypomniałem w poprzedniej części tego cyklu, zdają się dotyczyć agentów wpływu działających na terenie innych państw, wykonujących zadania służące interesom obcego (często wrogiego) państwa i korzystających ze wsparcia obcego wywiadu. Jeśli na podstawie tak zdefiniowanej roli agenta wpływu, zechcemy dokonać oceny działań szczególnie zasłużonych twórców „okrągłego stołu” - co do których współpracy agenturalnej archiwa milczą - pod mianem obcego państwa możemy identyfikować wyłącznie Związek Sowiecki. Na słuszność wyboru wskazuje aż nadto poszlak; począwszy od zbieżności polskich przemian z sowieckim procesem „pierestrojki”, poprzez troskliwość, z jaką niemal wszystkie ekipy III RP otaczały sowieckie interesy w Polsce (obecność wojsk okupacyjnych, bazy wojskowe, ochrona tajemnic Układu Warszawskiego, brak weryfikacji WSW/WSI, kontakty establishmentu z agentami GRU, KGB, zaniechanie dywersyfikacji surowców energetycznych, etc.), po obecną politykę wobec putinowskiej Rosji, w wykonaniu „naszych ludzi” w Warszawie. Dowodem bezpośrednio wskazującym na komunistyczne mocarstwo jest ochrona, jaką państwo zwane III RP otacza namiestników sowieckich i członków peerelowskich organizacji przestępczych, nakazując upatrywać w nich światłych Europejczyków, patriotów lub „ludzi honoru” oraz ukrywanie przez to państwo szeregu zbrodni, dokonanych przez bezpiekę, na rozkaz funkcjonariuszy partii komunistycznej. Natomiast konsekwencją ugruntowanej wiedzy, że „polska” policja polityczna - (niezależnie, czy będzie to SB, Departament I MSW (wywiad cywilny), WSW czy Agenturalny Wywiad Operacyjny) - była wyłącznie przedłużeniem służb sowieckich i wykonywała dyspozycje okupanta, powinno być stwierdzenie, że współpraca z tymi strukturami była tożsama z działalnością na rzecz obcego państwa.

Zawsze zatem, gdy mamy do czynienia z aktem kolaboracji agenturalnej z policją polityczną PRL, możemy twierdzić, że w istocie chodzi o działanie na rzecz sowieckiego okupanta. Tylko semantycznemu kłamstwu, jakim od 20 lat posługuje się III RP zawdzięczamy, że ta ewidentna, logiczna i oparta na wiedzy historycznej konstatacja, wydaje się Polakom twierdzeniem obrazoburczym i przesadnym.

Pora więc, by wskazać na przykłady takich przedsięwzięć ludzi opozycji, które noszą wszelkie znamiona aktywności agentury wpływu, lecz z powodu braku jednoznacznych potwierdzeń, mogą być postrzegane w ten sposób, jedynie w kontekście

finalnej oceny interesów, którym działania te służą. Podane przykłady mają wyłącznie wymiar prezentacji zjawiska i nie powinny stanowić dowodu na agenturalne zaangażowanie.

Podstawowym pytaniem, jakie warto zadać sobie w tych przypadkach, będzie zawsze pytanie - cui bono?

Z pewnością, w tę formułę można wpisać szereg publikacji zamieszczonych w prasie podziemnej, tuż po zabójstwie księdza Jerzego, nawołujących do „nieulegania prowokacji” i wskazujących na ekipę generała Jaruzelskiego, jako na ofiary walki wewnątrzpartyjnych frakcji. Siła tych argumentów, skorelowanych z oficjalną wykładnią władz komunistycznych była na tyle znacząca, że przetrwała próbę 25 lat i nadal zastępuje prawdę o zdarzeniu. Ponieważ zbrodnia na Kapelanie „Solidarności” jest „kamieniem węgielnym”, na którym zbudowano porozumienie „okrągłego stołu”, poświęciłem tej kwestii wcześniejsze teksty z cyklu „III RP czy III Faza”. Cytowane już przeze mnie, wystąpienie Wałęsy w kościele św. Brygidy w Gdańsku, czy artykuł Jacka Kuronia, zamieszczony w 107 numerze „Tygodnika Mazowsze” zawierają, w moim przekonaniu, wszelkie cechy głosów służących interesom władzy komunistycznej. Tak też zostały wykorzystane w czasach PRL-u. W szerszym tle - tym samym interesem wydawał się kierować Wałęsa, gdy od grudnia 1981 r. stanowczo odmawiał zwołania statutowych władz „Solidarności”, nawet wówczas, gdy nie groziło to już praktycznie żadnymi represjami. Obecni w kraju członkowie Komisji Krajowej bezskutecznie domagali się tego przez osiem lat (od 1987 r. zorganizowani jako Grupa Robocza KK, później w ramach Porozumienia na rzecz Demokratycznych Wyborów w NSZZ „Solidarność”). Ze strony Wałęsy padały wówczas absurdalne argumenty o „niesprawdzeniu się” członków KK, o wygaśnięciu mandatów, o „zdradzie” niektórych z nich. Wieloletnia, niezgodna ze statutem związku, współpraca Wałęsy z grupami nieformalnymi, służyła osłabieniu NSZZ Solidarność i wyeliminowaniu ze struktur decyzyjnych aktywnych i bezkompromisowych działaczy - na rzecz grupy - która zdominowała oblicze „odnowionej” „Solidarności” podczas obrad „okrągłego stołu”.

Gdy w roku 1989, nie przywrócono legalności funkcjonującemu przecież nieprzerwanie (choć w podziemiu) związkowi, a zarejestrowano nowy, o tej samej nazwie - wieloletnie działania obstrukcyjne przewodniczącego „Solidarności” nabrały złowrogo sensu. „Uśmiercając” na wniosek negocjatorów „strony społecznej” NSZZ Solidarność, powołano de facto do życia nowy związek, którego zadanie miało polegać na powstrzymaniu roszczeń rewindykacyjnych świata pracy. Jakże prawdziwie brzmią w tym kontekście słowa Józefa Mackiewicza, że „prowokacja polityczna to użycie najświętszych symboli narodowych i najgłębszych jego uczuć przeciwko narodowi”.

Do działań charakterystycznych dla agentury wpływu, można zaliczyć również apel działaczy opozycyjnych z października 1986 roku, gdy Lech Wałęsa, Stefan Bratkowski, Bronisław Geremek, Tadeusz Mazowiecki, Stanisław Stomma, Klemens Szaniawski, Jan Józef Szczepański, Jerzy Turowicz i Andrzej Wielowieyski wystąpili o zniesienie przez USA sankcji gospodarczych wobec PRL. To ekonomiczne „koło ratunkowe”, rzucone ekipie Jaruzelskiego, doskonale komponowało się z polityką sowieckiej „pierestrojki” i spełniło swoją propagandową funkcję. Zniesienie w lutym 1987 roku sankcji gospodarczych, nie poprawiło w żadnym stopniu codziennej sytuacji społeczeństwa polskiego, służyło natomiast uwiarygodnieniu, wspieranej przez Sowietów ekipy generalskiej i stanowiło ważne wsparcie w negocjacjach komunistów z Międzynarodowym Funduszem Walutowym i Bankiem Światowym.

Innym, znamienym przykładem, niech będzie artykuł Bronisława Geremka z jesieni 1986 roku, zamieszczony w „Tygodniku Mazowsze”. Autor, wspierając apel o zniesienie sankcji gospodarczych, wyraża opinię, że należy podjąć negocjacje z władzą za wszelką cenę, nawet bez warunków wstępnych. Czytamy:

„[...] jedynie przyjęcie takiej perspektywy stwarza szansę pozytywnych rozwiązań skierowanych ku przyszłości [...] istnieje realna potrzeba kontraktu w duchu umów posierpniowych[...] Przedmiotem porozumienia może być przyszłość gospodarki narodowej, a więc działanie na rzecz strukturalnej reformy gospodarczej, a także utrzymanie i rozszerzenie tego, co określa się mianem »polskiej swoistości«: miejsce Kościoła, nieskolektywizowane rolnictwo, aspiracje społeczne”.

Najpełniejszy wykład projektu tzw. „paktu antykrzysowego”, został dokonany przez Bronisława Geremka w wywiadzie z 15 grudnia 1987 r. dla legalnie wydawanego tygodnika „Konfrontacje” i stanowił zauważalny gest gotowości części środowisk opozycyjnych do ugody z komunistami. Geremek sformułował w wywiadzie konkretną propozycję, nawiązując do projektów wysuwanych jeszcze w 1981 r. na forum „pierwszej” „Solidarności”. Przedstawiał pakt jako wsparcie rządu w sprawach reform gospodarczych i na tej płaszczyźnie - możliwości nawiązania współpracy. Ten sam zarys ugody z władzami komunistycznymi Geremek przedstawił wiosną 1989 r. w ankiecie na temat miejsca opozycji w PRL w perspektywie najbliższych trzech lat - „Opozycja '91” - publikowanej przez legalnie wydawane pismo „Res Publica”.

Nie można też zapomnieć, o poprzedzających wystąpienia Geremka publikacjach Adama Michnika, który w wydanej w roku 1985 książce „Takie czasy” (pisaną w warunkach więziennych) sformułował propozycję kompromisu z rządem PRL i Moskwą, pisząc m.in. - „Solidarność” powinna odrzucić filozofie „wszystko albo nic”. [...] Dla komunistów może to być droga do uzyskania legitymacji, dla nas zaś droga do godziwego życia”.

Warto w tym miejscu zauważyć, że Anatolij Golicyn, podsumowując scenariusz i techniki przeprowadzenia czechosłowackiego eksperymentu z roku 1968, (w rozdziale 19 swojej książki „Nowe kłamstwa w miejsce starych”) wyjaśnia, jakie cele w długofalowej strategii dezinformacji osiągnięto dzięki zainscenizowaniu „spokojnej rewolucji” i w jaki sposób nastąpiło odwrócenie jej efektów na korzyść komunistów. Wśród rzeczywistych celów „rewolucji”, dokonanej przy udziale agentury wpływu, Golicyn wymienia m.in.:

- stworzenie nowego, demokratycznego wizerunku partii, jej instytucji i przywódców, podnosząc w ten sposób ich wpływ, prestiż i społeczną popularność;
- uniknięcie autentycznego kryzysu i powstania ludowego, wyprzedzając prowokując sztuczny, kontrolowany kryzys poprzez skoordynowane działania Partii, służb bezpieczeństwa, intelektualistów, związków zawodowych i innych organizacji masowych; (strajki roku 1988 - mój dopisek),
- sprowokowanie rzeczywistej, krajowej i zagranicznej opozycji do ujawnienia się, co umożliwi później całkowite zlikwidowanie jej, bądź zneutralizowanie;
- zapewnienie bezpiecznej i łagodnej sukcesji od starszego do młodszego pokolenia przywódców komunistycznych;
- wspieranie i poszerzanie strategicznej dezinformacji Bloku co do politycznej ewolucji, upadku ideologii, pojawienia się nowych odmian komunizmu, oraz rozpadu bloku na niezależne, narodowe reżimy;
- stworzenie podstaw do przyszłej kompromitacji zachodnich mężów stanu (zwłaszcza konserwatystów) oraz zachodnich służb dyplomatycznych i wywiadowczych, zwodząc ich „demokratyzacją” i dezawuuując ich opinie i prognozy;
- przećwiczenie praktyczne i zdobycie doświadczeń przed przyszłym wprowadzaniem „demokratyzacji” w Czechosłowacji, Związku Radzieckim czy gdziekolwiek w Europie Wschodniej, podczas końcowej fazy realizowania dalekosiężnej polityki Bloku.

Nietrudno dostrzec, że wymienione powyżej wystąpienia i publikacje ludzi „konstruktywnej” opozycji, odniosły w perspektywie długofalowej strategii skutki zbliżone lub identyczne, z tymi, które wymienia Golicyn. Świadczy to, że porozumienie „okrągłego stołu” było potrzebne komunistom do łagodnego i bezkarnego wyjścia ze stworzonego przez siebie systemu i wejścia w uprzywilejowanej pozycji w kapitalizm państwowy. Niekoniecznie natomiast, wynikało z rzeczywistych potrzeb społeczeństwa polskiego. Bez użycia „najświętszych symboli narodowych”, (o których mówi Mackiewicz) co w tym przypadku oznaczało współpracę opozycji i Kościoła - cele strategii komunistycznej nie mogłyby zostać zrealizowane.

Na szczególną uwagę zasługują sytuacje, gdy działacze opozycyjni podejmują rozmowy z przedstawicielami policji politycznej PRL, lub nawiązują kontakty bezpośrednio z przywódcami sowieckimi. Czy będą to rozmowy Jacka Kuronia z majorem Janem Lesiakim z roku 1985, prowadzone w konwencji negocjacji politycznych, czy list Geremka z roku 1988, adresowany do Gorbaczowa (pod uwagę George’a Sorosa), czy wreszcie liczne wizyty Michnika w Moskwie w roku 1989 - mamy do czynienia z niezwykle charakterystycznym czynnikiem, który nakazuje oceniać rolę tych osób w zupełnie innym świetle, niż czyni to oficjalna propaganda III RP. Jest to o tyle wspólny i symptomatyczny rys, że pozwala poszerzyć definicję działań agentury wpływu na nowe, niedostrzegalne dotychczas wymiary.

O tym jednak, chciałbym napisać już w kolejnej części.

Źródła:

http://www.polis2008.pl/index.php?option=com_content&view=article&id=222:okrgy-stoq-jako-legalizacja-peerelu&catid=27:radio-tyrana&Itemid=13

http://www.encyklopedia-solidarnosci.pl/wiki/index.php?title=SG_Kalendarium

http://archiwum.sw.org.pl/pdf/AnatolijGolicyn-Nowe_klamstwa_w_miejsce_starych-1984.pdf

30.01.2009 19:10 21

257. KONTRAKT „ZBIORÓW PRYWATNYCH”

Każdemu, co mu się należy - suum cuique - jak twierdzili Starożytni. Zatem i obrońców każdy ma takich, na jakich zasługuje. Dlatego niespecjalnie zdziwiło mnie oświadczenie ppłk Edwarda Kotowskiego, który występując w obronie dobrego imienia abp. Józefa Kowalczyka napisał: „Abp. J. Kowalczyka będę bronić z całych sił, nawet przed sądem, bo ja znam pełną prawdę o tym, że nasza znajomość miała tylko i wyłącznie naturalny charakter służbowy, wynikający z powierzonych nam przez nasze zwierzchnie władze stanowisk, a rozmowy które prowadziliśmy służyły rozwijaniu bilateralnych stosunków polsko-watykańskich i służyły normalizacji stosunków Państwo-Kościół w Polsce, co ostatecznie się stało”.

Zaskakujący natomiast, może okazać się brak reakcji hierarchów Kościoła na głos tego właśnie obrońcy. Jak dotychczas bowiem, nic nie wskazuje, by wypowiedź pana doktora Kotowskiego (tak obecnie tytułuje się „Pietro”) została odebrana jako „niedźwiedzia przysługa”.

A przecież obrony kontaktu informacyjnego „Cappino” podjął się nie byle kto, bo jeden z najważniejszych „specjalistów” esbeckich ds. watykańskich.

Edward Kotowski zaczynał swoją karierę w policji politycznej PRL od pracy w Departamencie IV MSW, zajmując się „rozpracowywaniem” duchowieństwa najpierw w Olsztynie, a później w Warszawie. W październiku 1978 r., a więc kiedy rozpoczął się pontyfikat Papieża Polaka, por. Kotowski został przez kierownictwo MSW przekazany z pionu czwartego do pierwszego, czyli do tzw. wywiadu PRL. Jego wyjazd do Rzymu nastąpił pod dyplomatycznym przykryciem, czyli esbek oficjalnie pracował w ambasadzie jako II sekretarz, któremu podlegały m.in. wszystkie sprawy konsularne. Kotowski był także pracownikiem Zespołu ds. Stałych Roboczych Kontaktów między Rządem PRL a Stolicą Apostolską. Głównym zadaniem „Pietra” (pod takim pseudo pracował Kotowski) w Rzymie była praca operacyjna ze źródłami informacyjnymi przekazanymi przez Departament IV MSW, pion R, i pozyskiwanie nowych agentów, lub przejmowanie agentów przekazanych mu przez pion IV z Warszawy. Jego pracę w Warszawie nadzorował naczelnik Wydziału XVI departamentu I MSW, płk Kazimierz Walczak. Kotowski zakończył pracę w Rzymie w styczniu 1984 r., już w randze kapitana. Nie wrócił jednak w szeregi SB, lecz został przeniesiony do Urzędu do Spraw Wyznań. Tam zakończył karierę w stopniu majora, na etacie niejawnym jako starszy inspektor, realizując na rzecz Departamentu IV „ważne zadania z zakresu problematyki wyznaniowej ze szczególnym uwzględnieniem odcinka watykańskiego”.

„Pietro” był tzw. oficerem prowadzącym trzech, niezwykle ważnych informatorów bezpieki: „Fermo” - Juliusza Paetza, „Cappino” - Józefa Kowalczyka i „Proroka” - którego personaliów jeszcze nie znamy. O tym ostatnim, ksiądz Tadeusz Isakowicz Zaleski, który natrafił na dokumenty potwierdzające działalność tego „kontaktu informacyjnego”, napisał dziś na swoim blogu, że był najgroźniejszym z agentów działających w Watykanie. Dokonania agenta „Proroka” SB oceniała bardzo wysoko. W jego charakterystyce za lata 1983 - 1984 czytamy: „W okresie podlegającym niniejszej ocenie źródło „Prorok” przekazało ogółem 246 materiałów i informacji depezymowych, z których wykorzystano 97, w tym w informacjach dla kierownictwa partyjno-rządowego (KPR) 66. Najwięcej informacji dotyczyło problematyki watykańskiej (112, z których 39 wykorzystano w opracowaniach dla KPR). Materiały te pogłębiały i rozszerzały nasze rozeznanie, przy czym dotyczy to zwłaszcza tych informacji, które relacjonowały przebieg i rezultaty wizyt członków Episkopatu Polski w Watykanie”. W analogicznej ocenie dotyczącej działalności KI „Prorok” w latach 1985 - 1987 czytamy, że źródło to „przekazało ogółem 405 informacji, z których aż 195 stanowiło podstawę do opracowania samodzielnych bądź zbiorczych opracowań. 73 materiały zostały ocenione jako wartościowe, a 2 jako bardzo wartościowe”. Dotyczyły one m.in. „polityki wschodniej Watykanu, stosunków państwo - Kościół i Watykan - PRL”.

Trzeba pamiętać, że tzw. wywiad PRL - Departament I MSW, był strukturą całkowicie podporządkowaną służbom sowieckim, a wszystkie informacje zdobyte przez watykańską placówkę były natychmiast przekazywane wywiadowi Układu Warszawskiego i KGB.

W wywiadzie dla dziennika „Polska”, ksiądz Zaleski definiuje, jaki zakres informacji interesował Kotowskiego i czego dowiadywał się od swoich informatorów:

„Interesowało go, jaki jest rozkład dnia Ojca Świętego, z kim się przyjaźni, kogo przyjmuje na prywatnych audiencjach, jak się zachowuje na audiencjach prywatnych. Znalazłem nawet raport uzyskany od jednego z kontaktów informacyjnych, który opisywał wystrój pokoju prywatnego, w którym papież przebywał najczęściej. Informował bezpiekę bardzo szczegółowo, mówiąc, jaki kolor ma obicie krzesła, na którym siedział papież. Przekazywał informacje o tym, co papież najczęściej jada. Mówił o bezpieczeństwie, jakie papież zażywa lekarstwa. A także skąd wyjeżdża papamobile. Podawał szczegóły dotyczące budowy auta i jego wnętrza[...] Czy łatwiej wejść na teren Watykanu z krawatem, czy bez? Na kogo gwardia szwajcarska ma

bacniejsze oko? Kiedy i które miejsca parkingowe są wolne? Co robić, gdy popsuje się watykański bankomat i wyświetla się komunikaty po łacinie? [...] Wiemy, że na długo przed zamachem „Prorok” zbierał informacje dotyczące papieża. Pracował od końca lat 70. I był w Rzymie w chwili zamachu na Jana Pawła II. To „Pietro” (Kotowski) przekazywał w swoich raportach szczegółowe informacje dotyczące papieża, uzyskane od swoich kontaktów informacyjnych. **Nie zeznał jednak nigdy przed opinią publiczną, jakie metody wywiadu stosował w operacjach de facto prowadzonych przeciwko Ojcu Świętemu**”. (podr. moje)

Krakowski historyk IPN, Marek Lasota w artykule „Lustracja. Kłopoty z Judaszem”, zamieszczonym w Rzeczpospolitej z dn. 25.02.2006 roku, pisząc o agenturze ulokowanej w Watykanie stwierdza: „Każda informacja, którą przekazywał tajny współpracownik, miała znaczenie. Teraz uspokajają oni swoje sumienie, powtarzając jak mantrę, że nie mówili nic istotnego. To iluzja”. I dodaje rzecz szalenie istotną: „Kwestionariusz pytań dotyczących kardynała Wojtyły, które SB zadawała swoim tajnym współpracownikom, był niezwykle wyczerpujący. Niektóre są oczywiste - jaki jest jego stosunek do ZSRR. Ale pojawiały się też takie, których sens jest zagadkowy - jakiej marki żyletek używa Wojtyła? [...] Pozornie błahe informacje układały się jak puzzle. Powstawał portret figuranta. Otwierały się możliwości operacyjne - szantażu, a niekiedy nawet fizycznego unicestwienia niepokornego księdza”.

Nie trzeba chyba udowadniać, że informacje uzyskane przez tzw. wywiad PRL musiały być niezwykle przydatne w planowaniu zamachu na Ojca Świętego. W strukturze megasłużb sowieckich Departament I MSW, a w szczególności jego wydział III, prowadzący działania na terenie Watykanu, musiał cieszyć się uznaniem moskiewskich zwierzchników. Sieć agenturalna, prowadzona m.in. przez ppłk Kotowskiego stanowiła niezastąpione źródło informacji o stosunkach wewnątrz Kościoła. Żadna inna ze służb państw Bloku Sowieckiego, nie dysponowała takimi możliwościami w zakresie pracy operacyjnej na terenie Watykanu.

Wolno zatem pytać, - czy obecny „obrońca” Kościoła, na jakiego kreuje się Edward Kotowski mógł nie mieć świadomości, że zdobywane od kontaktów informacyjnych przekazy posłużyły służbom sowieckim do zorganizowania zamachu na Ojca Świętego? Czy tej świadomości mogli nie mieć „Fermo”, „Cappino” i „Prorok”? Ich współpraca z „dyplomata” Kotowskim trwała przez całe lata 80-te.

Jeśli rozmowy prowadzone przez tego esbeka z Kl „Cappino” miały służyć „rozwijaniu bilateralnych stosunków polsko-watykańskich i normalizacji stosunków państwo - Kościół w Polsce”, dlaczego dziś, gdy stosunki te są już „znormalizowane”, ppłk Kotowski nie podzieli się z historykami IPN-u i swoją wiedzą na temat działań operacyjnych prowadzonych przeciwko Janowi Pawłowi II? Brał w nich przecież czynny udział, a prowadzona przez niego agentura dostarczała Sowietom nieocenionych informacji. Czemu zatem i komu służy „specjalistyczna” wiedza pana doktora Kotowskiego? Czyż III Rzeczpospolita, utworzona na mocy porozumienia, zawartego przez szefa ppłk Kotowskiego z grupą koncesjonowanej opozycji, przy współudziale wielu hierarchów Kościoła, nie spełnia jeszcze wymagań esbeckich patriotów?

Może odpowiedź na te pytania przybliży nam publikacja sprzed 5 lat, zamieszczona w poskomunistycznym „Tygodniku Przegląd”, autorstwa Grzegorza Sołtysiaka, zatytułowana „Jak wybrać Jaruzelskiego” Sołtysiak odkrywco przypomina, że „ocena obrad Okrągłego Stołu i konsekwencji porozumień wzbudza wiele kontrowersji. Dla jednych była to udana próba ratowania Polski, dla innych - zmowa elit. Podobnie ocenia się wybór gen. Jaruzelskiego na prezydenta PRL.[...] Do tej pory najmniej informacji mamy na temat zachowania się w całej sprawie strony kościelnej i jej oceny obrad Okrągłego Stołu, w tym reakcji Watykanu. A przecież właśnie wtedy rozmowy z przedstawicielami Stolicy Apostolskiej były niezwykle intensywne.[...] Ostatecznie wznowienie stosunków dyplomatycznych nastąpiło 17 lipca 1989 r., nuncjuszem apostolskim w Polsce został mianowany abp Józef Kowalczyk”.

Dla zilustrowania zachowań „strony kościelnej”, autor artykułu w „Tygodniku Przegląd” cytuje dokument zatytułowany „Notatka z rozmowy z biskupem Jerzym Dąbrowskim, Zastępcą Sekretarza Episkopatu Polski, odbytej 23 czerwca, z jego inicjatywy”. To niezwykle interesujący dowód i zachęcam do jego uważnej lektury:

„Warszawa, 23 czerwca 1989 r.

Notatka z rozmowy z biskupem Jerzym Dąbrowskim, Zastępcą Sekretarza Episkopatu Polski, odbytej 23 czerwca, z jego inicjatywy.

1. Nawiązanie stosunków dyplomatycznych między PRL i Stolicą Apostolską może nastąpić „w okolicach” daty 1 września 1989 r., a więc w 50. rocznicę wybuchu II wojny światowej i w tę samą rocznicę opuszczenia Polski przez nuncjusza na skutek rozpoczęcia działań wojennych. Obecnie Jan Paweł II, który sam zadecyduje o ostatecznej formule dokumentów z tym związanych, dokonuje przeglądu różnych jej wariantów.

2. O tym jednak, czy dojdzie do tego aktu we wrześniu br., zadecyduje dalszy rozwój sytuacji społeczno-politycznej w Polsce. O ile dojdzie w okresie letnim do powstania realnych przesłanek rokujących „pomyślnie skonsumowanie” porozumień tzw. okrągłego stołu, to wówczas niewątpliwie to nastąpi. Jeśli obecna sytuacja „charakteryzująca się tym, że najważniejsze strony tego porozumienia, tak partia, jak i „Solidarność”, nie mają siły, aby je zrealizować”, utrzyma się, to trzeba będzie szukać innej okazji do tego aktu. Niewykluczone jest, że wówczas sprawa przesunie się w czasie daleko, tj. do 1991 r., tj. do czwartej wizyty Jana Pawła II w Polsce w 200. rocznicę Konstytucji 3 Maja”.

3. Jednym z testów dalszego rozwoju sytuacji w kraju będzie rezultat przeprowadzenia wyborów Prezydenta PRL. Kierownictwo Episkopatu uważa, że najlepszym kandydatem byłby tu Gen. W. Jaruzelski, ale pod warunkiem że wybierany byłby spośród kilku kandydatów. To ten wybór uczyni wiarygodnym. Zdaniem bp. J. Dąbrowskiego, wybór Gen. W. Jaruzelskiego jest możliwy, o ile inni kandydaci będą tak dobrani, że na ich tle ten wybór stanie się oczywistą koniecznością. Dodał, że po raz drugi partia nie może już tak się skompromitować, jak to nastąpiło podczas wyborów, i stąd ten wybór powinien być gruntownie przygotowany.

4. Stwierdził, że istotną sprawą jest wybór sposobu głosowania w tej sprawie przez Zgromadzenie Narodowe („Jeśli np. będzie głosowanie jawne, to senatorowie i posłowie opozycyjni nie będą oddawać głosów na rzecz Generała z uwagi na wiadome zaszłości. Natomiast przy głosowaniu tajnym część z nich będzie oddawać głosy na rzecz tej kandydatury, ponieważ publicznie nie będzie wiadomo, kto jak głosował. Przy tym tajnym głosowaniu istnieje jednak ryzyko, że posłowie partyjni mogą głosować przeciwko Generałowi. Z drugiej strony, nie należy też wykluczać, że to samo zrobią oni i przy głosowaniu jawnym”).

5. Stwierdził, że najważniejszą sprawą jest odbudowa partii, „która jest w stanie rozkładu i zbuntowała się przeciwko swojemu kierownictwu”. („A może trzeba ją rozwiązać i odbudować od nowa?”). Dodał, że widoczne jest to, że „obecnie toczy się rywalizacja o przywództwo w PZPR między M. F. Rakowskim a M. Orzechowskim”. W odniesieniu do M. Orzechowskiego stwierdził: „Bardzo szybko przeistoczył się w superliberała. Zbyt szybko, stąd ludzie Go nie zaakceptują”.

6. Nawiązując do wizyty prof. B. Geremka w Anglii, stwierdził, że popełnił on poważny błąd, zapowiadając "szybkie spotkanie M. Gorbaczowa z L. Wałęsą". ("Jest to nietakt i wobec M. Gorbaczowa, i wobec władz polskich. Widać, że B. Geremek zbyt podniecił się swoimi sukcesami").

7. Rozwój sytuacji społeczno-politycznej w kraju ocenia pesymistycznie. Przewiduje poważne napięcia jesienią tego roku na tle ekonomicznym. Uważa, że "Zachód nie spieszy się z udzieleniem Polsce pomocy, a partia, podobnie jak "Solidarność" L. Wałęsy, jak się okazuje, nie są w stanie wcielić w praktyce porozumień tzw. okrągłego stołu. Co więcej, coraz bardziej widać, że wiele sił opozycyjnych i partyjnych jest przeciwnych tej polityce, która jest rezultatem tego stołu".

Otóż ten ważny dokument, o czym dowiadujemy się z treści artykułu pochodzi „ze zbiorów prywatnych” dr. Edwarda Kotowskiego. Jak wolno przypuszczać jest tzw. dokumentem operacyjnym i został sporządzony w zakresie obowiązków służbowych ppłk Kotowskiego. Niezależnie od adresata tej notatki, jej obecność w „zbiorach prywatnych” oficera SB powinna dziwić i niepokoić. Pojawia się pytanie - jakie jeszcze dokumenty ma w swoim posiadaniu Edward Kotowski i czy zawierają równie istotne informacje o „stosunkach bilateralnych państwo - Kościół”? Na jakiej zasadzie dokumenty tej treści znajdują się w „zbiorach prywatnych”? Czy są one znane historykom IPN?

W swoim oświadczeniu, wydanym w obronie abp. Kowalczyka, napisał Kotowski m.in., że „zna pełną prawdę”. To jedyne słowa, z którymi bez zastrzeżeń się zgodzę.

Zgodzą się z nimi również ci ludzie Kościoła, którzy współpracowali z rezydentem „Pietro”, żarliwie wspierali budowę III RP i zabiegają dziś o „zabetonowanie IPN-u”. Oni wiedzą, czym są „zbiory prywatne”...

Źródła:

http://rp.pl/artykul/255044_Oficer_Pietro_broni_nuncjusza_.html

<http://www.isakowicz.pl/index.php?page=news&kid=8&nid=1456>

http://www.polskatimes.pl/stronaglowna/81900,agent-prorok-spiegowal-jana-pawla-ii-w-watykanie,id,t.html#material_ZNAMIE

<http://www.przegląd-tygodnik.pl/index.php?site=artykul&id=4785>

LUTY 2009

02.02.2009 20:31 29

258. III RP CZY „TRZECIA FAZA” cz.7 - AGENCI CZY DYSYDENCI?

Najwyższa pora, by w cyklu o powstawaniu III RP oddać sprawiedliwość trzem głównym architektom tego tworu, czy jak nazywa ich FYM „stolarzom okrągłego stołu”. Tylko wrodzonej skromności Kuronia, Geremka i Michnika zawdzięczamy, że przez ostatnie 20 lat polskie społeczeństwo żyło w błogim przeświadczeniu, jakoby to komuniści dobrowolnie oddali władzę, a czerwona „trójca” Ciosek - Pożoga - Urban była twórcą koncepcji „historycznego porozumienia”. Nic bardziej błędnego. Z prezentowanych poniżej dokumentów wynika jednoznacznie, że udział korowskich dysydentów w wydarzeniach lat 80-tych był znacznie większy, niż się powszechnie uważa, a postawiona zgodnie z kanonami poprawności politycznej diagnoza prowadzi do wniosku, że to im właśnie zawdzięczamy wydarzenie Polski z łap ekipy Jaruzelskiego i wymuszenie okrągłostołowego konsensusu. Ukazanie prawdziwej roli „ojców” III RP jest zatem historyczną koniecznością i aktem sprawiedliwości dziejowej.

Pierwszy z bohaterów - Jacek Kuroń, już w niecały rok po zabójstwie księdza Jerzego odbył owocną rozmowę z przedstawicielami towarzysza Kiszczaka - płk Wacławem Królem i mjr. Janem Lesiakiem. Z przebiegu rozmowy esbecy sporządzili szczegółową notatkę, w której m.in. czytamy:

„NOTATKA SŁUŻBOWA z rozmowy z Jackiem KURONIEM, przeprowadzonej w dniu 1985-09-14

[...]W przypadku znalezienia formuły porozumienia TKK - zdaniem J. Kuronia - winna zobowiązać się do wydania polecenia rozwiązania wszystkich struktur konspiracyjnych i swojego przedstawicielstwa na Zachodzie. Ocenia, iż takiej decyzji TKK podporządkowałby się cały układ organizacyjny. Poza tą decyzją - wg J. Kuronia - pozostałaby „Organizacja Solidarności Walczącej” oraz różne - jak z ironią podkreślił - „partie polityczne”, co jednak nie miałyby - jak stwierdził - większego znaczenia;

- stwierdził, iż wiadomo mu, że były ze strony władzy propozycje ewentualnego reaktywowania „Solidarności”. Odmówił odpowiedzi co do czasu, miejsca i osób w nich uczestniczących. Propozycje sformułował następująco:

- a) eliminuje się z nazwy związku słowo „Niezależny”,
- b) struktura organizacyjna tylko branżowa
- c) związek przyjmuje na siebie odpowiedzialność za aktywny udział w łagodzeniu nastrojów społecznych wynikających z obniżenia stopy życiowej oraz za rozwiązanie problemów ekonomicznych,
- d) sporządzona zostaje liczba osób, które nie mogą być członkami tego związku.

W ocenie J. Kuronia były to propozycje, które mogły stanowić podstawę do negocjacji. Jednak skończyło się tylko na propozycji.

[...]J. Kuroń z kontekstu całej rozmowy mógł wywnioskować, że jest to nieoficjalny sondaż na temat ewentualnych negocjacji w sprawie utworzenia podstaw do ruchu odbudowy gospodarki. Świadczy o tym jego deklaracja, że przemysli swoje postępowanie i ewentualnie zrezygnuje z udzielania wywiadów o ostrej treści antypaństwowej”.

O ile w przypadku tej rozmowy, moglibyśmy jeszcze mieć wątpliwości, kto i komu stawia warunki i tworzy strategię działań na następne lata, o tyle w esbeckim sprawozdaniu, późniejszym o trzy lata, nie sposób doszukać się już tych wątpliwości:

„1988, 7 września - załącznik do informacji dziennej na temat strategii politycznej grupy skupionej wokół Jacka Kuronia.

ZAŁĄCZNIK DO INFORMACJI DZIENNEJ Z DNIA 1988.09.07 dot.[yczy] taktyki postępowania środowiska postkorowskiego w związku z „okrągłym stołem”.

Środowisko postkorowskie wypracowało w ostatnich dniach taktykę swojego działania na najbliższy - decydujący w jego odczuciu - okres. Głównym architektem tej krytyki jest J. KURON. Sprowadza się ona do trzech zasadniczych elementów:

[...]nie będzie[my] odnosić się do walki politycznej z opozycją. W radzieckich publikatorach będziemy musieli coraz bardziej przybliżać społeczeństwu poglądy tak zwanej konstruktywnej i liberalnej opozycji w Polsce. W tym kontekście trzeba patrzeć na zaproszenie w u[biegłym] r[oku] do Moskwy przez Związek Filmowców Wajdy i Michnika. Ten ostatni nie przyjechał z uwagi na Wasz niepotrzebny sprzeciw. Dla ZSRR liczy się obecnie przede wszystkim pomyślny rozwój stosunków z USA i w tym kontekście istnieje potrzeba zbudowania w K[rajach] S[ocjalistycznych] mostów porozumienia pomiędzy różnymi siłami społecznymi, dlatego nie powinniśmy nam przeszkadzać w kontaktach z polskimi intelektualistami. Znaczna część z nich przeszła do opozycji na skutek błędów w polityce PZPR i niewłaściwych ocen poszczególnych ludzi. Dlatego musimy mieć własne rozpoznanie i ocenę działaczy opozycji. W związku z tym Ambasada Radziecka w Warszawie, i nie tylko ona, otrzymała polecenie opracowania pełnego kompendium wiedzy dot[yczącego] opozycji, personalnego „Who is who?”

Szyfrogram Nr 663 Nadany za nr 8 dnia 89-01-23 godz. 13.20 z Moskwy

[...]W ubiegłym tygodniu naczelny „Moskowskich Nowostiej” [Jegor] Jakowlew otrzymał list od Adama Michnika, w którym ostro krytykuje korespondenta Izwiestii w Warszawie za zamieszczanie w korespondencjach fałszywych ocen „Solidarności” i opozycji. W zakończeniu listu Michnik stwierdza, że tacy ludzie jak [Leonid] Toporkow przeszkadzają w „poszukiwaniu nowych dróg i wzajemnym zrozumieniu”. Zapytuje „po co potrzebni nam tacy pośrednicy między Polakami a Rosjanami”. Gospodarze nie wiedzą, co zrobić z listem. Konsultowali z naszym źródłem w Ambasadzie. Sugerowali ew[entualne] wykorzystanie listu przez ministra [Jerzego] Urbana w czasie najbliższego pobytu w Moskwie. Oceniam, że list jest ze strony opozycji „kolejną próbą porozumienia się”. Z kserokopią listu będzie zapoznany minister Urban.”

„Szyfrogram Nr 7048 Nadany za nr 31 dnia 13 [lipca 1989 r.] godz. 17.10 z Moskwy

Według źródłowych informacji Adam Michnik w dniu 14 bm. spotyka się w redakcji gazety „Moskowskie Nowosti” z Jegorem Jakowlewem. W czasie rozmowy ze źródłem Michnik dał do zrozumienia, że odbył spotkania w KC KPZR. Szczegółów żadnych nie podał. Źródło sugeruje, że mógł być omawiany temat wizyty Wałęsy w Moskwie. Michnik oświadczył, że 18 bm. musi być w Warszawie.”

/-/ Źarski

Szyfrogram Nr 7086 Nadany za nr 32 dnia 14 [lipca 1989 r.] godz. 15.30 z Moskwy

Według potwierdzonych informacji w dniu 12 bm. Adam Michnik był przyjęty przez kierownika grupy konsultantów w Wydziale Zagranicznym KC KPZR. W dniu dzisiejszym o godzinie 15.00 kierownik Wydziału Zagranicznego KC KPZR Walentin Falin przyjmuje A[ndrzeja] Wajdę. Jest duże prawdopodobieństwo, że wraz z W[ajdą] będzie Michnik. W dniu 15 bm. Wajda, Holoubek i Michnik mają zorganizowane spotkanie z grupą moskiewskich deputowanych.

Potwierdzono informację, że spotkania Michnika i Wajdy w KC KPZR mają na celu doprowadzenie do zaproszenia przez M[ichała] Gorbaczowa, L[echa] Wałęsy. Spotkanie Michnika z Jakowlewem w dniu dzisiejszym w redakcji „Moskowskich Nowosti” aktualne. Gospodarz w dniu dzisiejszym wysłał depeszą obszernie sprawozdanie z wizyty Michnika w KC KPZR w dniu 12 bm”.

Zamieszczenie obszernych cytatów z archiwalnych dokumentów, wydawało mi się konieczne, by zwrócić uwagę na fakt niezwykle i osobiście, którego znaczenie bywa zwykle przemilczane lub niezauważane. We wszystkich powyższych przykładach mamy do czynienia z takim rodzajem działalności opozycyjnej, który znacząco przekracza ramy tego, co pod pojęciem takiej aktywności zwykliśmy rozumieć. Obserwując tak istotne, odmienne od innych, obszary działań Kuronia, Geremka i Michnika, należy postawić pytanie - z kim, tak naprawdę mamy do czynienia? Kim są ci ludzie i jaką rolę spełniali w najnowszej historii Polski? Ponieważ żaden z bohaterów tej opowieści nigdy nie zechciał podzielić się ze społeczeństwem, wspomnieniami na temat poruszanych tu spraw - tym bardziej powinniśmy zwrócić uwagę na specyfikę ukazanych sytuacji.

Jacek Kuroń (co wynika przecież z uwag samych esbeków) prowadzi z przedstawicielami Kiszczaka konsultacje polityczne, kreśli strategię działań wobec ruchu związkowego, dokonuje ocen konkretnych propozycji politycznych, wysuwanych przez władze. Jacek Kuroń nie występuje w tych rozmowach w roli opozycjonisty, a prowadzący ją oficerowie SB zdają się uwzględnić szczególnie status swojego rozmówcy. Kuroń to partner w politycznych negocjacjach, świadomy swojego znaczenia i misji, jaką przyszło mu odegrać. W tym przekonaniu utwierdza nas druga z prezentowanych notatek, w której stwierdza się, że środowisko Kuronia „wypracowało w ostatnich dniach taktykę swojego działania”, po czym następuje dokładny opis tej strategii. Dodajmy - skutecznej i konsekwentnej - o czym świadczy fakt, że została perfekcyjnie zrealizowana podczas obrad „okrągłego stołu”, w porozumieniu „ze stroną rządową”.

W treści obu dokumentów należy wyróżnić rzecz bardzo istotną i charakterystyczną - NZSS „Solidarność”, inne osoby i środowiska opozycyjne występują w kontekście wypowiedzi Kuronia jako „oni”, są przedmiotem jego (i jego grupy) działań, spełniają rolę wykonawcy i odbiorcy ustaleń.

W kolejnych przykładach, dotyczących Geremka i Michnika mamy do czynienia z zjawiskiem jeszcze większej miary, na tyle niezwykłym, że wzrasta nasz - szaraków, szacunek wobec tych postaci. Trzeba bowiem pamiętać, że od czasów zainstalowania w Polsce namiestników sowieckich, władcy kremłowscy rozmawiali o sprawach podbitego ludu tylko i wyłącznie z funkcjonariuszami partii komunistycznej lub reprezentantami policji politycznej. Ta zasada - obowiązująca w przypadku wszelkich reżimów okupacyjnych, była święta i nienaruszalna. Jeśli zatem Bronisław Geremek decyduje się na pisemne wystąpienie (za wiedzą George’a Sorosa) do genseka KPZR, a Adam Michnik prowadzi liczne rozmowy z sowieckimi politykami w Moskwie - trzeba pytać: w jakim charakterze występują te postaci, kim są, że Sowietci traktują ich jak pełnoprawnych partnerów?

Czy władza ekipy Jaruzelskiego jest już tak słaba, a rola „demokratycznej opozycji” na tyle mocna, by Sowietci dostrzegli w niej nowych namiestników? Czy może Michał Gorbaczow wspiera „konstruktywną opozycję” przeciwko pupilowi Moskwy - Jaruzelskiemu, by zmusić go do ustępstw i posadzić Polaków przy „okrągłym stole”? A może tych trzech - Kuroń, Geremek i Michnik - to wytrawni, polityczni gracze, tytani intelektu, którzy swoją nieugiętą i bezkompromisową postawą zmusili sowieckiego najeźdźcę do kapitulacji? Jako ludzie o wysokiej świadomości politycznej, pewni swoich kompetencji i racji ideologicznych, postanowili przeprowadzić Polaków (z ich wolą lub wbrew woli) z krainy komunistycznych błędów i wypaczeń, do państwa zwanego III RP. Nie raz przecież w historii, mniej lub bardziej wybitne jednostki samodzielnie rozstrzygały sprawy państw i narodów.

To wizja uwodząca, lecz niestety sprzeczna z faktami.

Pomocą w wyjaśnieniu roli, jaką w naszej najnowszej historii wykonali „ojcowie założyciele” mogą być tezy Anatolija Golicyna, pochodzące z książki „Nowe kłamstwa w miejsce starych. Komunistyczna strategia podstępów i dezinformacji”.

Golicyn przedstawiając „Drugą operację dezinformacyjną”, polegającą na „ewolucji” systemu sowieckiego pisał:

„Poważne wyzwanie, jakie dla reżimu stanowiła rzeczywista opozycja, wymagało specjalnych środków. Przygotowania, czynione przez Komitet Centralny KPZR i KGB, jak postępować wobec takich i innych problemów, zostały dokładnie opisane. Polegały one na wykorzystywaniu techniki politycznej prowokacji i profilaktyki, które były już stosowane z sukcesem przez twórcę GPU Dzierżyńskiego w latach dwudziestych.

[...]nie ma najmniejszych wątpliwości, iż ruch dysydencki jako całość jest [pisane w 1984 r.] fałszywym ruchem opozycyjnym, kontrolowanym przez KGB, analogicznym do „Trustu”, i że wielu z jego przedstawicieli jest aktywnymi i chętnymi współpracownikami Komitetu Centralnego KPZR i KGB. Zaakceptowawszy tylko taką interpretację faktów, możemy pojąć, dlaczego totalitarny, neostalinowski reżim mógł zezwalać, oczywiście do pewnego stopnia, na zachodnie kontakty oraz swobodę poruszania się wybitnych figur „opozycyjnych”. Rzecz jasna, istnieje cały szereg indywidualnych dysydentów, którzy są uczciwymi ludźmi, którzy zostali wciągnięci w ten ruch, nie zdając sobie sprawy z tego, jak będą wykorzystywani i że staną się ofiarami prześladowań. Ruch dysydencki nie mógłby wypełniać swoich funkcji wewnętrznych, gdyby nie odnosił sukcesów w pozyskiwaniu ludzi niewinnych”.

Określając strategiczne cele dezinformacji o „ruchach dysydenckich”, Golicyn podkreślał:

„Utworzenie fałszywego i w pełni kontrolowanego ruchu opozycyjnego, jak ruch dysydencki, służy strategicznym celom wewnątrz krajowym i zagranicznym. Na skalę krajową jest jak motor do napędzania przyszłościowej, fałszywej liberalizacji reżimu komunistycznego; podburza niektóre, być może opozycyjne elementy do ujawnienia się, a tym samym do wystawienia na kontratak władzy i służb bezpieczeństwa, inni są neutralizowani lub doprowadzani do desperacji. W wymiarze zewnętrznym „dysydenci” mogą posłużyć jako wehikuł, poruszający maszynę informacyjną, wykorzystywaną do rozgrywania różnych zagadnień dezinformacji, odnośnie ewolucji systemu komunistycznego. Odpowiednio nagłośniona fala prześladowań dysydentów, częściowo prawdziwych, po części fałszywych, wyzwała sympatie Zachodu oraz delikatne przymierza z poszkodowanymi, czyli tymi, którzy są w rzeczywistości tajnymi wytworami reżimu. Przygotowuje scenariusz, w której rozgrywać się będzie przyszła dramatyczna „liberalizacja” systemu, a zacznie się ona od uwypuklenia kontrastów pomiędzy neostalinowcami oraz przyszłym „socjalizmem z ludzką twarzą”. Kształtuje kadrę ludzi, którzy znani już i rozpoznawani na Zachodzie, mogą być w przyszłości wykorzystani jako przywódcy i poplecznicy „systemu wielopartyjnego” pod rządami komunistycznymi. „Dysydenckie” związki zawodowe i intelektualiści mogą być używani do promowania solidarności z zachodnimi partnerami i angażowania ich do wspólnej kampanii na rzecz rozbrojenia i zreformowania zachodniego „kompleksu wojskowo-przemysłowego”. Po upływie dłuższego czasu dojdzie do tego, że zachodnie środowiska i osoby indywidualne, zaangażowane w obronę prześladowanych dysydentów, staną przed dylematem uznania za błąd własnego poparcia dla dysydentów, albo przyjęcia do wiadomości, że komunizm przeszedł radykalną zmianę, wytwarzając „zbieżność”, co może być dla nich perspektywą łatwiejszą do zaakceptowania, a nawet pożądaną.” (Str.352)

Otóż poszukując wyjaśnienia „fenomeny” niezwykle skutecznych, a jednocześnie niekonwencjonalnych działań Kuronia, Geremka i Michnika wolno brać pod uwagę, że mieliśmy do czynienia z fałszywym i w pełni kontrolowanym ruchem dysydenckim. Mogą za tym przemawiać następujące przesłanki:

- wspólny wszystkim trzem światopogląd, mający źródło w rodzinnych tradycjach tzw. żydokomuny i wyznawanych, lewicowych idei;
- niekwestionowanie systemu komunistycznego i oparcie postulatów opozycyjnych na gruncie państwa socjalistycznego;
- liczne, zwykle bezproblemowe kontakty ze środowiskami zachodniej lewicy i ośrodkami opozycji;
- łatwość w propagowaniu własnych publikacji i przekazów,
- dobre, towarzyskie kontakty z członkami polskiej partii komunistycznej;
- wspieranie „reformatorskich” dążeń partii komunistycznej, propagowanie idei porozumienia i współdziałania.

Przytoczone powyżej przykłady aktywności opozycyjnej, mogą być oczywiście uzupełnione o inne, liczne dowody, wskazujące na szczególny charakter działalności trzech „autorytetów”. Należy mieć nadzieję, że dostęp niezależnych historyków do archiwów innych, byłych państw Bloku Sowieckiego ułatwi nam dotarcie do prawdy o tych postaciach. Myślę, że podstawowym błędem, który fałszował końcowy wynik analizy było twierdzenie, że mieliśmy (bądź mamy) do czynienia z działalnością agenturalną, podczas gdy udział w kontrolowanym ruchu dysydenckim należy zakwalifikować do zupełnie nowej, jakościowo odmiennej sfery aktywności. Lecz to już temat na kolejną część cyklu.

CDN...

Źródła:

http://www.videofact.com/mark/kuron_%20z_SB2.htm

http://www.videofact.com/mark/kuron_%20z_SB4.htm

[MEMORIAŁ GEREMKA - JAK POWSTAWAŁA III RP](#)

- http://www.ipn.gov.pl/ftp/pdf/Biuletyn_5-6_2008.pdf

[ZRÓBMY "PRZEWROT MAJOWY"](#)

http://www.ipn.gov.pl/porta1/pl/24/1351/nr_42004.html

http://www.abcnet.s4w.pl/files/Gol_R_20.pdf

07.02.2009 19:31 18

259. NIE BÓJCIE SIĘ ŚWIĘTOŚCI KSIĘDZA JERZEGO

Mogliśmy się niedawno dowiedzieć, że za sprawą osobistej interwencji Benedykta XVI przebieg procesu beatyfikacyjnego ks. Jerzego Popiełuszki uległ przyspieszeniu. Zdaniem delatora procesu - ks. Hieronima Fokcińskiego, inicjatywa papieża wynika z faktu, że odbyło się już posiedzenie komisji teologów w tej sprawie. Teraz wyniki postępowania trafią do kardynałów, a wynik ich dyskusji przekazany zostanie papieżowi. Jeżeli będzie pomyślny, Benedykt XVI wyda zgodę na ogłoszenie dekretu o męczeństwie Kapelana „Solidarności”. Jednocześnie lub wkrótce potem ustalona zostanie data Jego beatyfikacji.

Informacja ta wywołała obawy, że zamknięcie procesu kanonicznego zostanie wykorzystane jako pretekst do definitywnego zakończenia śledztwa, w sprawie zabójstwa księdza oraz uniemożliwi ustalenie wszystkich sprawców i współsprawców zbrodni. Tym samym - nigdy już nie uda się zakwestionować wersji zdarzeń zatwierdzonej w procesie toruńskim.

Wiemy, że wśród ludzi Kościoła dość powszechny jest pogląd, jakoby ustalenia prokuratora Witkowskiego i innych osób, domagających się weryfikacji oficjalnej, stworzonej przez policję polityczną PRL wersji wypadków z października 1984 roku, stanowiło działanie na szkodę Kościoła i opóźniało proces beatyfikacyjny księdza Jerzego. Pojawiają się też głosy sugerujące, jakoby wszelkie odstępstwa od ustaleń sądowych, były inspirowane przez środowiska wrogie Kościołowi. Postulator procesu

beatyfikacyjnego, ks. Tomasz Kaczmarek wielokrotnie miał twierdzić, że „można się domyślać sił, stojących za nagłośnieniem, burzących ustalony w 1985 r., podczas pamiętnego procesu toruńskiego, klarowny obraz porwania i morderstwa: - W tę sprawę zaangażował się „Polsat” i „Wprost”, chyba nie muszą nic więcej dodawać...” -twierdził ks.Kaczmarek.

Warto wspomnieć, że wcześniej w „Gazecie Wyborczej” pojawiła się oszczerca notatka autora anonima, sugerująca, że Andrzej Witkowski i Wojciech Sumliński działają na zlecenie... Piotrowskiego, by wybielić morderców. Gdy prokurator Witkowski skierował przeciwko GW zawiadomienie o przestępstwie znieważenia prokuratora, pojawiła się jej łagodniejsza wersja, że obaj dali się złapać na esbeckie fałszywki.

„Jeśli nie ma pewności, kiedy i w jakich okolicznościach zmarł ani kto go zabił, jeżeli nie wiemy, czy torturami nie zmuszono go na przykład do zaparcia się wiary, to takie wątpliwości mogą poważnie opóźnić przebieg procesu. To każe stawiać raz jeszcze pytania o motywację autorów ostatnich rewelacji. Czy chodzi o prawdę? Czy o szukanie nowinek za wszelką cenę? To drugie byłoby nikczemnością.” - twierdził ks. prof.dr hab. Zygfryd Glaeser z Wydziału Teologicznego Uniwersytetu Opolskiego w odpowiedzi na pytanie - na ile pogłoski, że ks. Popiełuszko był w radzieckiej bazie torturowany i - być może - zmuszany do jakichś słów lub czynów, mogą opóźnić proces beatyfikacyjny?

„Spotkałem się z ważnymi ludźmi Kościoła, którzy prosili mnie, by sprawy już nie ruszać, bo to tylko może opóźnić proces beatyfikacji, a chyba wszystkim zależy, by nastąpiła ona jak najszybciej- mówił przed dwoma laty Wojciech Sumliński. W swojej książce „Kto naprawdę Go zabił” dziennikarz napisał: „Dociekanie prawdy w okresie poprzedzającym wyniesienie księdza Jerzego na ołtarze w opinii „autorytetów” (czyli tych, którzy utraty autorytetu się obawiają), a także niektórych przedstawicieli duchowieństwa, mogłoby zostać ocenione jako uderzenie w proces beatyfikacyjny. Świadczyć o tym może m.in. reakcja księdza Andrzeja Przekazińskiego, który pytany o wydarzenia sprzed dwudziestu jeden lat, odpowiada krótko:”Rozgrzebywanie tej sprawy może zaszkodzić procesowi beatyfikacyjnemu”. Z kolei odkrywanie prawdy po wyniesieniu księdza Jerzego na ołtarze niechybnie zostałoby uznane za podważenie samej beatyfikacji. Kto wówczas, wobec argumentów tak poważnych, ośmieliłby się powrócić do tej sprawy?”

W licznych tekstach na temat „mordu założycielskiego III RP” przypominałem, że wszelkie próby wyjaśnienia prawdziwych okoliczności tego zabójstwa były i są skutecznie blokowane. W niewyjaśnionych okolicznościach ginęli świadkowie, innych zastraszano i nakłaniano do milczenia. Ludzi, którzy wykazali dość odwagi, by naruszyć tajemnicę bezpieki nazwano szaleńcami i fantastami. Odmówiono im prawa do zajmowania się sprawą, przemilczano ich argumenty, szykanowano lub skazano na zapomnienie. Tak postąpiono z prokuratorem Andrzejem Witkowskim, tak również potraktowano Wojciecha Sumlińskiego. To przy „okrągłym stole”, na mocy porozumienia z komunistami, postanowiono, że faktyczni decydenci tego mordu (jak i setki innych) pozostaną bezkarni. Ta haniebna zasada obowiązuje nadal, czego dowodem są dzieje śledztwa w sprawach księdza Jerzego, ks.Suchowolca czy ks.Zycha oraz wielu innych zbrodni komunistycznych.

Czy rzeczywiście, wyniesienie księdza Jerzego na ołtarze będzie równoznaczne z kategorię zamknięciem sprawy i musi oznaczać, że nigdy nie poznamy prawdziwych okoliczności tego mordu, jego sprawców i inspiratorów? Czy musimy obawiać się tej beatyfikacji, niczym upiornego dzieła, które sprawi, że świętość kapłana zostanie okupiona prawdą o Jego śmierci?

Myślę, że takie obawy znajdują przyczynę w pewnym zamęcie pojęć i porządków i choć są wyrazem usprawiedliwionych obaw i naturalnego pragnienia sprawiedliwości, wynikają też z niezrozumienia - czym jest proces beatyfikacyjny i jakie znaczenie będzie miał dla Polaków fakt wyniesienia księdza Jerzego na ołtarze. Warto też zastanowić się - na ile głosy niektórych przedstawicieli Kościoła, potępiające próby dotarcia do prawdy, łączące z tym dążeniem zarzut działania na szkodę Kościoła i procesu beatyfikacji, wynikają z troski o przebieg tego procesu, na ile zaś mogą być inspirowane racjami politycznymi i zamiarem ukrycia prawdy?

Jako zupełny laik z zakresu prawa kanonizacyjnego, nie jestem oczywiście uprawniony do rzeczowej polemiki z tezami teologów i znawców przedmiotu. Są wszakże ogólnie dostępne dokumenty oraz wypowiedzi, które pozwalają w innym świetle spojrzeć na problem. Poszukując ich, trafiłem na opracowanie księdza Arkadiusza Damaszkę SDB z Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego w Warszawie, zatytułowane „Współcześni męczennicy za wiarę - Wymagania procesu kanonizacyjnego”. Jak pisze autor : „Niniejsze opracowanie ma na celu rozważenie męczeństwa w odniesieniu do norm prawa kanonicznego, które regulują przebieg procesu kanonizacyjnego. Najważniejszymi dokumentami w tym zakresie są: konstytucja Jana Pawła II *Divinus perfectionis magister* oraz Normy Kongregacji Spraw Kanonizacyjnych, oba akty prawne z 1983 r.” W rozdziale „Męczeństwo-Elementy kanoniczne” autor pisze m.in.: „Do zaistnienia męczeństwa za Chrystusa, konieczny jest prześladowca. Jest on osobą fizyczną lub prawną, która zadaje śmierć ze względu na nienawiść do wiary. Prześladowca działa bezpośrednio sam lub zleca tę czynność innej osobie.[...] Prześladowcą mogą być systemy społeczno-polityczne wraz z wrogim religii ustawodawstwem, administracją i sądownictwem. Również terrorystyczna działalność niektórych partii komunistycznych wpisuje się w koncepcję zbiorowego prześladowcy [...] Tym niemniej, należy, o ile to tylko jest możliwe, wskazać konkretne osoby bezpośrednio odpowiedzialne za śmierć męczennika”.

Jako kolejny element konieczny w koncepcji męczeństwa, autor wymienia fakt śmierci fizycznej (naturalnej i realnej) i pisze: „Fakt śmierci należy ocenić we wszystkich jego okolicznościach, wraz ze wskazaniem jej dokładnej daty”. Z całości wyводу jednoznacznie wynika, że Kościół nie traktuje wskazania daty śmierci jako warunku koniecznego dla ustalenia faktu męczeństwa.

„Następnym ważnym elementem męczeństwa jest przyczyna. Odpowiedź na pytanie, dlaczego osoba została zamordowana, sprowadza się do przestrzeni wiary lub określonej cnoty. Prześladowca działa z nienawiści do wiary, do dobrego dzieła lub określonej cnoty. Wskazanie tak zdefiniowanej przyczyny wynika z brzmienia wyroku skazującego, dialogów oprawcy z męczennikiem i innych okoliczności śmierci. Nienawiść do wiary ujawnia się w momencie męczeństwa lub też może być wpisana w system ideologiczny. Udowodnienie nienawiści do wiary u prześladowcy stanowi niewątpliwie najistotniejszy problem spraw najnowszych męczenników. Trudność ta odnosi się m.in. do systemów totalitarnych. W trakcie poszczególnych procesów kanonizacyjnych wykazano, że nienawiść do wiary dotyczyła konkretnych zagadnień, jak np. stanu kapłańskiego, misji duszpasterskiej, prawa do życia. Należy odróżnić nienawiść prześladowcy od sporów i różnic politycznych. Choć można stwierdzić ogólnie, że systemy: nazistowski i stalinowski były zbrodnicze, to jednak każdy fakt męczeństwa należy zbadać indywidualnie oraz zweryfikować motywację po stronie zadającego śmierć. Mogą wystąpić różne przyczyny, ale o męczeństwie mówimy, kiedy nienawiść do wiary jest elementem przeważającym”.

Ten fragment opracowania cytuję obszernie, mając na uwadze, że niezależnie od przebiegu zdarzeń, które doprowadziły do męczeńskiej śmierci księdza Jerzego, jej autentyczną i niepodważalną przyczyną była nienawiść. Do wiary, Kościoła, człowieka, prawdy. Nienawiść podniesiona do rangi systemowego fundamentu.

Jako ostatni „składnik kanonicznej koncepcji męczeństwa” ksiądz Damaszek wymienia osobę umęczoną za wiarę. *„Męczennik, powodowany miłością do wiary, powinien akceptować zadaną mu śmierć. Jest to akt ludzki. Niekiedy następuje faktyczne wyznanie wiary przed śmiercią. W innych sytuacjach nie ma bezpośredniego słownego przyznania się do Jezusa, ale życie męczennika i okoliczności śmierci wskazują na oddanie życia dla Boga”.*

Ktokolwiek znał księdza Jerzego lub potrafi odczytać Jego życie i słowa, nie może mieć wątpliwości, że swoją postugą wypełnił tę dyspozycję.

Z cytowanego powyżej opracowania, (do którego całościowej lektury zachęcam) można wnioskować, że ewentualne ustalenie, (w drodze procesu karnego) innej niż obecnie daty śmierci księdza Jerzego lub nawet wskazanie innych sprawców, nie może stanowić istotnej przeszkody w procesie beatyfikacyjnym. W żaden sposób, bowiem potencjalne, nowe ustalenia nie podważają faktu męczeńskiej śmierci za wiarę, a tylko ta okoliczność ma zasadnicze znaczenie.

Ważniejsze wszakże, od moich dyletanckich rozważań są słowa hierarchy Kościoła, którego głosu nie sposób pominąć.

„Nawet jeśli znajdą się dowody, że ks. Popiełuszko zginął później niż 19 października, nie przeszkodzi to beatyfikacji”. Taką opinię wyraził w październiku ubiegłego roku abp. Kazimierz Nycz, metropolita warszawski. I dodał: *„Moment śmierci jest ważny, ale nie najważniejszy. Ważne są przede wszystkim szczegóły męczeństwa, a te są znane i opisane”.* Słowa te zostały wypowiedziane w reakcji na hipotezy prokuratora Andrzeja Witkowskiego, jakoby ks. Popiełuszko zginął 25 października. *„Jeśli komuś udałoby się to udowodnić, prowadzący proces beatyfikacyjny musieliby uzupełnić dokumentację. Ale ani ewentualna inna data śmierci, ani nieznanostwo zabójców nie byłoby przeszkodą w dokończeniu procesu, gdyż mordercą ks. Jerzego był cały system, który działał z nienawiścią do wiary”* - stwierdził arcybiskup. (podr..moje)

Ten sam sens, wynika z niedawnej wypowiedzi abp. Nycza . Na pytanie: *„Istnieje powszechne przekonanie o męczeństwie ks. Jerzego Popiełuszki. W Polsce podniosły się jednak głosy mówiące o tym, że nie wszystkie okoliczności śmierci ks. Jerzego zostały wyjaśnione. Czy zdaniem Księdza Arcybiskupa może to wpłynąć na proces beatyfikacyjny? - metropolita warszawski odpowiedział:*

„Będziemy to obserwować i będziemy do dyspozycji, jeśli chodzi o uzupełnianie czy odpowiadanie na wszelkie pytania, które by się pojawiły. Teraz IPN opracowuje dwutomową książkę, wielkie dzieło na temat ks. Popiełuszki - tyle jest materiału. Myślę, że kwintesencję tego wszystkiego, dzięki życzliwości IPN, zawarliśmy już w dotychczasowym procesie. Nie powinno się zdarzyć nic nowego. Natomiast jeśli chodzi o sam moment czy sprawców męczeństwa, którzy dokonali go w 1984 r., to sądzę, że istotną rzeczą jest tutaj to, iż cały system był przeciwny, miał w sobie odium fidei. I ks. Popiełuszko, który działał jako człowiek Ewangelii i nauki społecznej Kościoła, który stosował zasadę: „Nie daj się zwyciężyć złu, ale zło dobrem zwyciężaj”, stał się ofiarą tego systemu i nie ma wątpliwości, że z punktu widzenia podmiotowego było to męczeństwo za wiarę i w obronie godności człowieka, która jest także umocowana w Ewangelii.[...]”

Odnosząc się do doniesień prasowych na temat śmierci księdza Jerzego Popiełuszki, arcybiskup Nycz wyraził nadzieję, że beatyfikacja będzie możliwa bez względu na to, jaka data zgonu zostanie potwierdzona. Zauważając, że część dokumentów jest w Moskwie, metropolita powiedział, że Kościół nie będzie czekał „aż komunizm w stolicy Rosji upadnie”. Zaznaczył też, że najważniejsze jest to, iż ksiądz Popiełuszko poniósł śmierć męczeńską za wiarę.

Można pytać, - dlaczego zatem istnieją tak poważne rozbieżności w opiniach, związanych z wpływem nowych ustaleń na proces beatyfikacyjny? Czy ludzie Kościoła, (ale też wielu świeckich) rozpowszechniający pogląd, jakoby poszukiwanie prawdy o zabójstwie szkodziło beatyfikacji działają w dobrej wierze, czy wykorzystują ten argument, by uciszyć głosy podważające „wersję toruńską”? Trzeźwy głos abp. Nycza zdaje się podważać twierdzenia tych osób i nakazuje z wielką rezerwą odnosić się do intencji autorów.

Szkodliwość argumentacji użytej przez obrońców „ustaleń toruńskich” oraz szczególna perfidia tego motywu, wiąże się z pogwałceniem powszechnie obowiązującej zasady etycznej, zgodnie z którą poszukiwanie prawdy zawsze prowadzi do dobra. Dlatego też, nigdy prawda nie może być przeszkodą dla świętości, a jej poszukiwanie nie stoi w sprzeczności z prawem kanonizacyjnym.

W roku 1997 w Krakowie, Jan Paweł II wypowiedział do ludzi nauki słowa, które trzeba odczytać również w kontekście wypowiedzi negujących sens poszukiwania prawdy o zabójstwie:

„ Jak ważne jest, by ludzka myśl nie zamykała się na rzeczywistość Tajemnicy, by człowiekowi nie brakło wrażliwości na Tajemnicę, by nie brakowało mu odwagi pójścia w głąb!”

Wymiar Tajemnicy nie dotyczy wyłącznie kwestii teologicznych, bądź filozoficznych. Odwaga „pójścia w głąb”, wola stawiania trudnych pytań, poszukiwania na nie odpowiedzi - to również zmaganie się z tajemnicą - szczególnie, gdy przykrywa ją wieloletnia powstawa kłamstw i manipulacji. Tchórzliwa ochrona tajemnicy, pod pozorem troski o Kościół będzie zawsze świadectwem ludzkiej ułomności - nigdy zaś - dowodem mądrości i wiary.

Myślę, że nie wolno bać się beatyfikacji księdza Jerzego, że ten akt świadectwa męczeństwa nie może kolidować z wymogiem szukania prawdy i nie stanie na przeszkodzie w jej odkryciu. Wbrew woli establishmentu III RP, wbrew nieszczerym intencjom fałszerzy - ta prawda zostanie ujawniona.

Wyniesienie na ołtarze, kanoniczne potwierdzenie świętości, byłoby największym darem w 25 -lecie śmierci Kapłana. Darem dla całej Polski. Nawet, jeśli podczas uroczystości beatyfikacyjnych obecni będą ludzie chroniący faktycznych morderców i mocodawców, gdyby nawet oni sami próbowali wykorzystywać świętość księdza Jerzego, by na zawsze ukryć swój udział w zbrodni - w niczym nie zmieni to faktu, że Kapłan - męczennik stanie się Patronem nowej, wolnej i solidarnej IV Rzeczypospolitej.

„To, co teraz pozostaje do zrobienia dla ludzi w Polsce i czcicieli ks. Jerzego, bo kult naprawdę jest wielki, to modlitwa o rychłą beatyfikację i o to, byśmy jako Polacy otrzymali jak najszybciej taki przykład i wzór, i takiego orędownika, jakim jest ks. Jerzy Popiełuszko” - mówił niedawno abp. Nycz.

Wiem, że ksiądz Jerzy, jako patron Polski, patron „Solidarności” pomoże nam znaleźć prawdę. Również tę o swojej śmierci.

Źródła:

<http://cogito62.salon24.pl/99525.html> - GRA ZBRODNIĄ - ZDŁAWIONE ŚLEDZTWO

<http://cogito62.salon24.pl/99805.html> - GRA ZBRODNIĄ - FAŁSZERZE Z WSI

<http://cogito62.salon24.pl/98523.html> - CZY III RP ZACZEŁA SIĘ NAD GROBEM KSIĘDZA POPIELUSZKI?
<http://cogito62.salon24.pl/101295.html> - DLACZEGO TAK TRAKTUJECIE KSIĘDZA JERZEGO?
 Wojciech Sumliński - „Kto naprawdę Go zabił” - Rosner i Wspólnicy Warszawa 2005 str.197
<http://www.seminare.pl/25/05-Damaszk.pdf>
http://www.ipn.gov.pl/wai/pl/18/8212/PRZEGLAD_MEDIOW_22_pazdziernika_2008_r.html
<http://duchowy.pl/content/view/2938/84/>
<http://www.polskieradio.pl/iar/wiadomosci/artukul71922.html>

13.02.2009 13:29 35

260. III RP CZY „TRZECIA FAZA”-cz.8 - FAŁSZYWA OPOZYCJA

W opisie zdarzeń lat 80-tych, nie można pominąć roli, jaką na przestrzeni lat PRL-u odegrała fałszywa opozycja. Próba zdefiniowania tego terminu i przedstawienia zjawiska wymaga historycznej retrospekcji oraz zastosowania „nowej metodologii”, w miejsce dotychczasowej, powierzchownej oceny faktów.

Jako pierwowzór sowieckiej koncepcji tworzenia fikcyjnych ruchów dysydenckich, Golicyn przywołuje operację „Trust”, gigantyczne przedsięwzięcie bolszewickich tajnych służb nadzorowane przez Biuro ds. Dezinformacji OGPU (następca osławionej CzeKa), w które zaangażowano ponad 5 tys. funkcjonariuszy i agentów. W roku 1921 powołano do życia Monarchistyczną Organizację Rosji Środkowej, rzekomo kierującą antybolszewickim podziemiem w Związku Radzieckim. Nawiązała ona kontakt z organizacjami białych Rosjan na Zachodzie i ludziła je informacjami o rychłym wybuchu powstania przeciw czerwonej władzy. Agenci „Trustu” przeniknęli do organizacji emigracyjnych i zdolali zwabić do ZSRR w fikcyjnych tajnych misjach wielu ich działaczy. W taki sposób ujęto w ZSRR i zamordowano także najstynniejszych tajnych agentów lat 20-tych - Borysa Sawinkowa i agenta brytyjskiego Sidneya Reilly'ego. Częścią operacji „Trust” było również przejęcie przez agenturę ruchu o nazwie „Zmiana Znaków Drogowych”, który następnie został wykorzystywany przez sowieckie służby w celu zwodzenia emigracji i europejskich intelektualistów. Zwolennicy ruchu, inspirowani przez OGPU utrzymywali, że reżim sowiecki przechodził ewolucję w kierunku od państwa ideologicznego do tradycyjnego, narodowego i kapitalistycznego. Biała emigracja rosyjska - argumentowali - nie powinna zwalczać sowieckiego reżimu, a wprost przeciwnie, współpracować z nim, by pobudzać i utrzymywać rozwój tych trendów ewolucyjnych. Ruch wywarł znaczny wpływ zarówno na rosyjskich emigrantów, jak i na zachodnie rządy, z którymi fałszywi dysydenci utrzymywali kontakty, w efekcie doprowadziło to do wypracowania przychylności i warunków dogodnych dla reżimu komunistycznego, by mógł osiągnąć swoje cele, a mianowicie dyplomatyczne uznanie przez Zachód i pomoc ekonomiczną. Ruch publikował w Paryżu i Pradze, przy nieoficjalnym wsparciu obu rządów, tygodnik „Zmiana Znaków Drogowych”, a w Berlinie gazetę „W Przeddzień”. W 1922 roku, rząd sowiecki zezwolił na wydawanie w Moskwie i Leningradzie dwóch czasopism, „Rosja” i „Nowa Rosja”. Miały one na celu wywierać podobny wpływ na inteligencję wewnątrz kraju. „Zachodni teoretycy zbieżności celów i interesów - pisał Golicyn - nieświadomie i naiwnie przyjmują w zasadzie to samo przesłanie dezinformacyjne, które kolportowali zwolennicy ruchu „Zmiana Znaków Drogowych”, mianowicie, że ideologia komunistyczna podupada, że komunistyczne reżimy są coraz bliższe zachodniemu modelowi państwa, i że pojawiają się duże szanse na dalsze poważne zmiany w tych reżimach, co byłoby pożądane i korzystne dla zachodnich interesów, czyli powinno być popierane i promowane”. Jak będziemy mogli się przekonać, wypracowany przez OGPU model sowieckiej dezinformacji, pozostał niezmienny przez następne dziesięciolecia.

Poddając szczegółowej analizie postać nieoficjalnego przywódcy dysydenckiego Andrieja Sacharowa, Golicyn wskazuje, że we wszystkich swoich publikacjach (bez problemu wydawanych na Zachodzie), Sacharow przepowiadał zmiany w Związku Radzieckim i w innych krajach socjalistycznych. Zmiany te miały polegać na pojawieniu się „wielopartyjnego systemu tu oraz tam” oraz w ideologicznych dyskusjach między „stalinowcami” a „realistami” czy „leninowcami”. W tej walce Sacharow przewiduje zwycięstwo realistów (leninowców), którzy według niego potwierdzą „politykę wzrastającego pokojowego współistnienia, wzmocnienia demokracji oraz rozszerzenia reform gospodarczych”. Przyszłe zmiany w systemie sowieckim są postrzegane przez Sacharowa jako kontynuacja obecnych wydarzeń politycznych i reform gospodarczych. W rozumowaniu Sacharowa najbardziej uderzającym punktem są wybrane przez niego kluczowe daty przyszłych wydarzeń, a mianowicie lata 1960-80, na które przewiduje on ekspansję politycznej demokracji i reform gospodarczych w krajach socjalistycznych; następnie 1972-85 kiedy ma dojść do zmian siłowych w strukturach wojskowych i politycznych Stanów Zjednoczonych.

„Inaczej mówiąc, - pisze Golicyn - widać charakterystyczną zbieżność prognozowanych przez Sacharowa dat z ustanowieniem dalekosiężnej polityki Bloku w 1958-60, jej harmonogramem czasowym, w tym z rozpoczęciem fazy finałowej około roku 1980. Nie jest to zbieg okoliczności, ponieważ Sacharow jako ukryty rzecznik strategów komunistycznych i tajny orędownik ich dalekosiężnej polityki, w ten sposób stara się promować trendy sowieckie, by zaszczepić i utrzymywać je w mentalności Zachodu, zwłaszcza w odniesieniu do idei zbieżności, nieoddzielnej od projektów dalekosiężnej polityki. Prognozy Sacharowa, czytane jako dezinformacja i odpowiednio rozszyfrowane, zapowiadają oczywiste zwycięstwo Bloku Radzieckiego i jego dalekosiężnej polityki, której Zachód podda się w pełni, z minimalnym oporem” - twierdzi Golicyn.

Niewątpliwie, głównym celem opisanej strategii działania fałszywych dysydentów było rozpowszechnianie idei zbieżności - „konwergencji”. Zakładała ona, że obydwa rywalizujące za sobą i początkowo krańcowo odmienne systemy ideologiczne i polityczne, w miarę rozwoju wzajemnych kontaktów, będą stopniowo coraz bardziej upodabniały się do siebie. Założenie byłoby może i trafne, z tym jednak, że „konwergencja” nie działała symetrycznie. I działać nie mogła, bo w Związku Radzieckim i całym obozie socjalistycznym panowała surowa indoktrynacja marksistowska, zaś ludzie, poza nielicznymi wyjątkami, byli całkowicie odcięci od wszelkich niemarksistowskich idei. Tymczasem na Zachodzie było zupełnie inaczej. Dzięki działającym legalnie i wpływowym partiom komunistycznym, marksizm bez przeszkód utorował sobie drogę do szkół i na uniwersytety, co wkrótce doprowadziło do sytuacji, że znaczna część wpływowych środowisk opiniotwórczych znalazła się pod wpływem idei marksistowskich. Tym samym - „konwergencja” w wydaniu sowieckim - prowadziła do „oswojenia” Zachodu z komunizmem i sączyła w umysłowość ludzi Zachodu jad marksistowskiej indoktrynacji.

Golicyn zauważa również, że sowieckie ataki na teorie zbieżności (głoszone przez fałszywych dysydentów) miały w pierwszej kolejności cele obronne i wewnętrzne, po drugie zaś służyły strategicznym celom polityki zagranicznej. Pomagały wykreować na Zachodzie zaufanie do tych teorii jako solidnego i skutecznego oręża do uporania się z komunistycznym wyzwaniem. Strategia komunistyczna wiedzieli, że oficjalne krytykowanie przez nich teorii zbieżności będzie odebrane na Zachodzie jako dowód ich własnego zaniepokojenia, co do ich skuteczności oraz oddziaływania takich teorii na ich własne rządy, a przede wszystkim na naukowców. „Krytykowanie przez Sowietów Sacharowa i teorii zbieżności może być

postrzegane jako sowieckie wysiłki podjęte dla wypracowania na Zachodzie wiarygodności co do osoby Sacharowa oraz jemu podobnych, szczerych przeciwników i męczenników obecnego sowieckiego systemu, którzy wyrażają prawdziwy bunt przeciwko reżimowi. Maskując więc własną teorię zbieżności i przedstawiając ją jako doktrynę „opozycji”, Sowieci mogą osiągnąć na Zachodzie większy efekt dla popularyzowania ich koncepcji zbieżności, to znaczy uzyskać zbieżność na ich, sowieckich warunkach”.

Doświadczenia sowieckich strategów, zostały przeniesione w warunki PRL-u w niemal niezmiennionej formie. Podobnie jak w ZSRR, zaangażowano do akcji aparat bezpieczeństwa, a budowę rodzimej opozycji rozpoczęto od środowisk inteligenckich i oparto na ludziach ideowo wypróbowanych. Do kreowania grup dysydenckich przystąpiono natychmiast, gdy tylko władza komunistyczna „uporała się” z autentyczną opozycją - organizacjami niepodległościowymi i zbrojnym podziemiem, dokonując ich fizycznej „likwidacji”. Wart odnotowania jest fakt, że doświadczenia sowieckie z operacji „Trust”, bezpieka wykorzystwała w 1948 roku do likwidacji Zrzeszenia „Wolność i Niezawisłość”, tworząc tzw. V komendę WiN, kryptonim „Muzeum”. Przy pomocy przewerbowanych oficerów WiN i AK - oraz w większości nieświadomych mistyfikacji - szeregowych członków organizacji, utworzono komendę - dowództwo, na czele której stanął niezidentyfikowany oficer AK o pseudonimie „Kos”. Bezpieka podjęła także „grę wywiadowczą” z wywiadami państw zachodnich - amerykańskim i brytyjskim - przyjmowano przesłanych z zachodu drogą lotniczą i morską agentów, dolary, tonę złota, nowoczesny sprzęt łączności (w tym 17 radiostacji), wysyłając w zamian fałszywe informacje oraz emisariuszy i kurierów a także ludzi na przeszkolenie wywiadowcze i dywersyjne.

Analogia z operacją „Trust” jest ewidentna i wynika w równym stopniu z obecności sowieckich doradców, jak z faktu, że „polska” bezpieka od samego początku stanowiła jednolite ogniwo w megasłużbach komunistycznego imperium. Wkrótce zatem - zgodnie z logiką moskiewskiej strategii - należało spodziewać się podjęcia dalszych operacji dezinformacyjnych - w tym wykreowania własnego ruchu dysydenckiego.

Choć przyjęto używać zamiennie określeń dysydent - opozycjonista, warto zauważyć, że etymologia łacińskiego słowa *dissidens, dissidentis*, pochodzącego od *dissidēre*, oznacza „siedzieć po przeciwnej stronie” „nie zgadzać się”, podczas gdy *oppositio* (opór) i *opponens, opponentis* pochodzi od *opponere* - czyli „przeciwstawiać się”, „narażać się”. (za W.Kopalińskim) Dysydentem zatem będzie „różnowierca, innowierca; odszczepieniec; odstępcą od dogmatów kościoła panującego”, opozycjonistą zaś, „przeciwnik, ten kto przeczy, przeciwstawia się”. Rozróżnienie to wydaje się o tyle istotne, że w przypadku ruchów dysydenckich, inspirowanych przez komunistów mamy zawsze do czynienia z ludźmi, którzy kwestionowali, w mniejszym lub większym stopniu, (w zależności od radykalizmu) dogmaty partii komunistycznej, lecz wywodzili swoje racje z ideologii marksistowskiej. Co znamienne - żaden z dysydentów, bez względu na to, jak dalece w swoich odstępstwie od doktryny by się nie posunął, nie odrzucał samej doktryny, przynajmniej w tym zakresie, w jakim on sam, uznawał swoje mniemania za identyczne z komunizmem.

W doskonałym eseju Jacka Bartyzela - „O fałszywej historii jako mistrzyni fałszywej apologetyki” znajdziemy wyczerpujący opis „fenomeny opozycji w stosunku do grupy rządzącej PRL”. Autor pisze m.in.:

„Ażby zrozumieć naturę i sens tej opozycji należałoby prześledzić całą (w tym „sekretną”) historię marksizmu i międzynarodowego ruchu komunistycznego, zwłaszcza pod kątem jego głównego wewnętrznego, od końca lat 20., pęknięcia na nurt stalinowski i trockistowski oraz ze szczególnym uwzględnieniem frakcyjnych kłótni i dintojr w obrębie jej „polskiego” (terytorialnie) sektora, od SDKPiL, poprzez KPRP i KPP (nie zapominając o KPZU i KPZB), dalej Centralne Biuro Komunistów Polskich i PPR, aż po PZPR”.

Definiując dysydenta tzw opozycji demokratycznej, Bartyzel napisał :

„To działacz na ogół wyrzucony za nieprawomyślność z kompartii (zauważmy, że nawet w tych „ucukrowanych” biografiach „ojców wolnej Polski”, od Kuronia po Kołakowskiego, wylanie ich z PZPR traktuje się jako uczynioną im wielką krzywdę!), znacznie rzadziej występujący sam, któremu socjalizm taki, jakim go widzi (często zupełnie trafnie), socjalizm realny, coraz mniej przestaje się podobać; który odmawia legitymizacji swoim dawnym towarzyszom, nadal rządzącym; który wreszcie zaczyna wątpić i krytykować ten lub ów „dogmat” diamentu i histmatu, analizować kto, kiedy i dla czego popełnił błąd doktrynalny, a w konsekwencji reinterpretować doktrynę wedle własnego poglądu i gustu. Potem rozgląda się w poszukiwaniu podobnie myślących lub gotowych przyjąć jego interpretację i zaczyna „działać”. Jak by jednak dysydent daleko nie zaszedł w rewizji obowiązującej wykładni doktryny, czego by nie zakwestionował, to przecież nie oznacza to utraty wiary. Owszem, dysydent może zabrnąć w swojej herezji niesłychanie daleko, ale zawsze pozostaje jakieś nienaruszalne residuum doktrynalne, jakaś najwęższa choćby lina, trzymająca go na uwierzy wiary. Może on zwątpić nie tylko w geniusz Stalina, ale i Lenina - zachowa wiarę w Marksa. Zwątpi w „starego Marksa”, opętanego złym duchem Engelsa - zachwyci go humanizm „młodego Marksa”. A jeśli i nawet ten zblednie, to jakże regenerujący wiarę wyda mu się podniecający zastrzyk „zerotyzowanego” neomarksizmu Marcuse’a. Przystanie mówić o walce klas, ale wiara w mesjańską rolę klasy robotniczej nigdy w nim do końca nie wygaśnie. Dojdzie wreszcie nawet do tak przerażającego odkrycia, że kolektywistycznego raję wolnych wytwórców nigdy nie da się urzeczywistnić, ale przecież wciąż będzie wierzył w moralną przynajmniej wyższość socjalistycznego projektu nad egoizmem własności prywatnej i ohydą dzikiego kapitalizmu. To nieutralne residuum, o którym przed chwilą wspominałem, oznacza zatem zatrzymanie się przynajmniej na pozycjach łzawego, humanitarnego socjalizmu à la Jaurès. Jak w tym sławnym ongiś wierszyku o niemożliwych panach inteligentach Wiktora Woroszyńskiego, który przecież liczni dysydenci uważali za wybornie oddający ich stan ducha, gdzie „doktor Marks” jest jednym z dobroczyńców ludzkości, jak lekarz trędowatych, doktor Schweitzer, tyle że lekiem na choroby człowieka przezeń przyniesionym jest teoria wartości dodatkowej”.

Gdzież zatem w polskiej rzeczywistości szukać genezy tego zjawiska i w jakim czasie umiejscowić historyczny początek fałszywych ruchów dysydenckich? Czy istniało środowisko, w którym można byłoby wyodrębnić wszystkie, powyżej wskazane elementy ?

„W moim przekonaniu rewolucje w Europie Wschodniej zostały zaplanowane ze znacznym wyprzedzeniem przez KGB i utajnioną komórkę działającą w obrębie Komunistycznej Partii Związku Sowieckiego, w bezpośrednim związku z wielką strategią opracowaną pod koniec lat 50. przez komitet sowieckich strategów, działający pod kierownictwem Leonida Breżniewa (w którego składzie był m.in. Generał KGB, Nikołaj Mironow, miłośnik starożytnej Sztuki Wojennej Sun Tzu). Realizacja nowej strategii związana była z przeświadczeniem, że po śmierci Stalina niezbędne są gruntowne reformy systemu, które pozwolą na jego przetrwanie. Starannie przygotowane zmiany miały być przeprowadzone przez tajne struktury KGB, a jednym z najistotniejszych punktów było wykorzystanie ruchu dysydenckiego, który mógłby być

zaakceptowany przez Zachód” - pisał Jeff Nyquist, wyznaczając (za Golicynem) lata 50-te, jako okres, w którym należy rozpocząć poszukiwania.

Przyjrzyjmy się zatem zjawisku, które historyk Andrzej Friszke nazwał „jasnym światłem w pejzażu PRL”. W 149 numerze paryskich „Zeszytów Historycznych” z 2004 roku, to właśnie Andrzej Friszke opisał początki działalności Klubu Krzywego Koła. „To wyjątkowe - pisze Friszke - w skali całego obozu socjalistycznego legalne forum debaty ideowo-politycznej było u zarania w 1955 r. „nie tylko kontrolowane, ale też inspirowane przez aparat bezpieczeństwa”.

Dowiadujemy się, że w 1955 r., gdy już rozwijała się „odwilż”, ludzie związani z komunistycznym aparatem władzy - głównie Ewa i Juliusz Garzteccy oraz Stefan Król - założyli Klub Krzywego Koła, by poddać kontroli rozdyktowane środowiska młodej inteligencji. Swoje pomysły konsultowali z władzami, otrzymywali polecenia i składali meldunki, a na działalność klubu błogosławieństwa udzielił sam Jakub Berman. Zdaniem Friszkego dokumenty odnalezione w IPN potwierdzają tę tezę. Garzteccy byli członkami partii komunistycznej. Ponadto Garztecki pracował w zbrodniczej Informacji Wojskowej. Wśród założycieli Klubu znalazły się również osoby związane z samym Komitetem Centralnym PZPR. Gdy pod koniec działalności Klubu jego członkowie poprosili prof. Stefana Żółkiewskiego o wzięcie udziału w jakiejś inicjowanej przez Klub akcji, odmówił, mówiąc: „Nie będę nawet o słuszne cele jednoczył się z policją”. Aleksander Małachowski przyznawał w swoich wspomnieniach, że wiele osób twierdziło w tamtych latach, iż „sponsorem politycznym Klubu był Komitet Centralny PZPR”.

Klub skupiał ówczesną elitę intelektualną, a prowadzone w nim dyskusje dotyczyły m.in. problematyki kulturowej, politycznej, filozoficznej, artystycznej i ideologicznej. Wśród osób uczestniczących w zebraniach znajdziemy niemal wszystkie znaczące postaci tzw. opozycji demokratycznej: Jana Józefa Lipskiego, Aleksandra Małachowskiego, Witolda Jedlickiego, Stanisława Ossowskiego, Pawła Jasienicy, Antoniego Słonimskiego, Władysława Bartoszewskiego, Jana Olszewskiego, Leszka Kołakowskiego, Ludwika Hassa, Anielę Steinsbergową, Karola Modzelewskiego, Jana Strzeleckiego, Annę Rudzińską, Jacka Kuronia i Adama Michnika, ale także Jerzego Urbana - by wymienić tylko niektórych.

Dlaczego właśnie Klub Krzywego Koła? Otóż, nie tylko i nie głównie z powodu, że został „zainspirowany” przez bezpiekę i działał pod egidą Komitetu Centralnego. Przyczyny są znacznie głębsze. Tezę, że stanowił on niemal modelowy przykład, działań podjętych przez partię komunistyczną w ramach strategii podstępów i dezinformacji, spróbuję wykazać w kolejnej części.

Przesłanką, która łączy ten odległy czas z latami 80-tymi i polską drogą do „historycznego kompromisu”, niech będą słowa jednego z mniej znanych dyskutantów Klubu Krzywego Koła. W artykule „Bój o legendę „Solidarności” dr Jan Ryszard Sielezin, opisując rozmowy stoczniovców z ekipą rządową podczas strajków w roku 1980, zauważył: „Strona partyjno-rządowa była jednak wyraźnie zadowolona z pracy ekspertów MKS i już wówczas uważała, że powołanie tej grupy doradców „stwarza perspektywę porozumienia” na warunkach na ogół korzystnych dla partii. Ekspert strony rządowej Antoni Rajkiewicz pisał w 1990 r.: „Skład grupy doradców Komitetu strajkowego zdaje się wskazywać, że można liczyć na kompromisy (...) po drugiej stronie mogą siedzieć znajomi, z którymi spotykałem się w Klubie Krzywego Koła czy też w grupie Doświadczenie i Przyszłość”.

CDN...

Źródła:

Anatolij Golicyn - Nowe kłamstwa w miejsce starych” - str.329-350

J.Bartyzel - <http://www.polskiejutro.com/art.php?p=8689>

<http://wydawnictwopodziemne.com/2007/09/30/odpowiedz-na-ankiete-2/>

<http://wyborcza.pl/1,75515,2443926.html>

17.02.2009 13:30 28

261. III RP CZY „TRZECIA FAZA” cz.9 - FAŁSZYWA OPOZYCJA II

Gdyby zapytać historyków, czy Lew Dawidowicz Trocki był członkiem „demokratycznej opozycji”, a Nikołaj Iwanowicz Bucharin należał do ludzi walczących z komunizmem, łatwo domyślać się odpowiedzi przeczącej. Podobnie, pytanie o antykomunizm Wiktora Czernowa, Andreja Żdanowa czy Lwa Borysowicza Kamieniewa należałoby uznać za bezsensowne, ponieważ wszyscy wymienieni należeli do szerokiego „nurtu” ideologii komunistycznej, choć każdy z nich był na swój sposób odstępca od ortodoksyjnej doktryny.

Jeśli zatem mamy odpowiedzieć na pytanie - czym była w Polsce fałszywa opozycja - będzie ono nierozdzielnie związane z równie ważnym problemem - jak mogło dojść do tego, że mianem „demokratycznej opozycji” obdarzono w Polsce ludzi, którzy głosili sekciarskie poglądy, w ramach ogólnoswiatowej pseudoreligii komunistycznej? Jak i dlaczego szlachetne *oppositio* zostało obtudnie powiązane z trywialnym *revisio*, a powstały z tego megalomaniacznego twór nazwano „demokratyczną opozycją”?

Istotne rozróżnienie semantyczne, pomiędzy pojęciem dysydenta, a opozycjonisty, które przedstawiłem w poprzedniej części, staje się wyjątkowo dostrzegalne, gdy spojrzymy na postawy owych dysydentów, poprzez pryzmat odstępstwa od dogmatów marksizmu - jako świeckiej teorii zbawienia ludzkości. Jak pisał Jacek Bartyzel w cytowanym już wcześniej esej „O fałszywej historii jako mistrzyni fałszywej apologetyki” : „Żaden dysydent wszelako, bez względu na to, jak dalece w swoich herezjach i w swoim nieposłuszeństwie by się nie posunął, nie odrzuca samego chrześcijaństwa, przynajmniej w tym zakresie, w jakim on sam, w rozstrzygnięciu swojego indywidualnego rozumu i sumienia, uznaje swoje mniemania za identyczne z chrześcijaństwem. Co więcej, im bardziej gorliwym jest dysydentem, tym bardziej skłonny będzie do głoszenia, że to właśnie on głosi „czystą” i „nieskażoną” ewangelię, podczas gdy Kościół „urzędowy”, jak powiada, wiarę chrześcijańską wypacza, fałszuje i nadużywa do niecznych celów. Dlatego jedyną rzeczą, jaką należy wykluczyć jest jednocześnie bycie dysydentem i utrata wiary w ogóle; „niewierzący dysydent” to *contradictio in adiecto*; dysydent, który by jednak wiarę stracił, z tą samą chwilą przestaje być dysydentem”. (podr..moje)

Gdzież zatem przeprowadzić linię graniczną, pomiędzy dogmatem karykaturalnej wiary, jaką jest marksizm, a wyznaniem, które wiedzie kacerza poza obszar komunistycznej doktryny?

„Albo biurokracja, coraz bardziej stająca się organem światowej burżuazji w robotniczym państwie, obali nowe formy własności i odrzuci kraj do kapitalizmu, albo klasa robotnicza rozgromi biurokrację i otworzy drogę do socjalizmu” - pisał Lew Dawidowicz Trocki.

„System biurokratyczny budzi uzasadniony sprzeciw i nienawiść mas: jednocześnie utożsamia się on z socjalizmem, tłumi bezwzględnie wszelką lewicową opozycję, a tym samym stwarza ideologii prawicowej warunki do rozprzestrzenienia się w

masach: ludzie szukają ideowych symboli, które by wyraziły ich sprzeciw wobec systemu wyzysku i dyktatury, a w braku opozycji lewicowej wyrażającej ich istotne interesy, znajdują stare symbole tradycyjnej prawicy. [...] Jedyną skuteczną drogą zwalczania tradycyjnej prawicy nie jest zatem obrona dyktatury biurokratycznej, lecz jej konsekwentne zwalczanie i demaskowanie z lewicowych pozycji. Program klasy robotniczej nie posługuje się mglistymi symbolami, lecz realiami społecznymi: w swej krytyce i radykalizmie swych postulatów program ten dystansuje wszelkie frazesy nacjonalistyczne i klerykalne, zwraca się przeciw samej istocie dyktatury biurokratycznej i odpowiada interesom mas. Ma więc wszelkie szanse zwycięstwa w walce o poparcie mas. Walka z prawicą rządzącą i z prawicą w stanie spoczynku jest nierozdzielna. Tym, którzy sądzą, iż demokracja robotnicza otwiera siłom prawicowym dostęp do władzy, skoro pozwala na wielopartyjność i pozbawia się takiego narzędzia jak policja polityczna, odpowiadamy: nie mówiliśmy o państwie ponadklasowym, lecz o klasowej demokracji robotniczej” - twierdziło kilkadziesiąt lat później dwóch młodych heretyków, którzy w „Liście otwartym do partii” wyznawali swoje credo w imię komunistycznego *revisio*.

A przecież tych dwóch - Jacka Kuronia i Karola Modzelewskiego - uznano w Polsce za ludzi „demokratycznej opozycji”, więcej nawet - za przywódców ruchu, który obalił komunizm.

Jeśli można nazwać diabła wyborczym teologiem, czy przez to samo nabywa cech świętości? Kto i jak sprawił, że „wierzący” dysydenci zostali uznani opozycją, a spór w ramach doktryny przedstawiono nam jako walkę z komunizmem?

Może wskazaniem dla rozwiązania tego dylematu będzie opis zdarzenia z roku 1975, który Jacek Bartyzel przedstawia jako „osobiste doświadczenie, dzięki któremu bardzo prędko mogłem zorientować się z „pierwszej ręki”, jakie są rzeczywiste poglądy Kuronia”? Autor eseju pisał:

„Kuroń jął opowiadać, jak to odwiedził go niedawno jakiś człowiek, który przedstawił się jako dawny żołnierz antykomunistycznego podziemia, który usłyszał w Wolnej Europie o powstaniu KOR-u. Rozentuzjuszony tym faktem, zaoferował swoją gotowość włączenia się w podjętą przez KOR, jak sądził, walkę o wyzwolenie Polski od bolszewików. Tu jednak spotkało go srogie rozczarowanie, gdyż Kuroń bezceremonialnie - co sam podkreślał - wyśmiał jego „anachronizm” i niesłuszność antybolszewizmu delikwenta, wyjaśniając mu, że celem „opozycji demokratycznej” w żadnym wypadku nie jest obalanie socjalizmu - ustroju przecież i najlepszego z możliwych, i bezalternatywnego”.

Warto zapamiętać to zdanie - **celem „opozycji demokratycznej” w żadnym wypadku nie jest obalanie socjalizmu** - by właściwie zrozumieć fenomen polskiej „transformacji ustrojowej” i rolę jaką odegrali dysydenci.

Ten sam Kuroń w swojej książce „Wiara i wina” szczerze pisał na s. 54, że wyznając swojej dziewczynie uczucie powiedział „Kocham cię prawie tak bardzo jak partię”, a wspominając październik 1956 roku zanotował: „To była noc z 18 na 19 października. Ja wtedy byłem na budowie Huty Warszawa. Tam był najbardziej burzliwy element, w barakach regularnie wybuchały awantury, w tym okresie w ogóle dostali szału. Pojechałem ich uspokajać. Wszyscy byli pijani. Tam też dotarła plotka o wojskach radzieckich. Przemawiałem, tłumaczyłem, że trzeba się uspokoić, mówiłem: my, komuniści. Jakiś facet zerwał się mnie bić, wołał: Wy, komuniści, zamordowaliście mojego ojca. Był cały podziargany, na ręce miał wytatuowane „śmierć komunie”. Był pijany. Skoczyły do niego baby i o mało go nie rozszarpały. Ulga i poczucie solidarności z tymi kobietami”.

Andrzej Friszke opisując środowisko „marcowych komandosów” twierdzi, że „cechowała ich zdolność do myślenia kategoriami systemu, zasad, idealistycznych celów, a nie pragmatyki czy przystosowania. PRL jako państwo była ich państwem, rodzice je współtworzyli i niekiedy nim rządzili. Nie bali się aparatu władzy i jego przedstawicieli, przynajmniej do czasu, co wyróżniało ich wśród kolegów, którzy z niekomunistycznych domów wynieśli przestrożę, aby uważać i nie nadstawiać głowy.

Adam Michnik po latach powie - „nasz spór z Gomułką jest sporem wewnątrz rodziny (...), bo odwoływaliśmy się do wspólnych korzeni. Marksistowska pępowina nie została jeszcze do końca zerwana” i z rozrzuśnięciem wspomina w jednej ze swoich książek jak ogarniało go „radosne uczucie wyzwolenia”, gdy idąc wiejskimi drogami, z drużyną prowadzoną przez Kuronia śpiewali rosyjskie i żydowskie piosenki, a z chałup patrzyło na nich spode łba ponure chłopstwo... Jesienią 1967 r., podczas publicznej dyskusji na uniwersytecie, Michnik, jak odnotowywała SB, mówił: „Demokratyzm wywalczony przez liberałów na Zachodzie daje aktualnie robotnikom możliwość wyboru partii, zawiązywania nowej, ogłaszania swoich poglądów, wyboru informacji prasowej itp. Nasz socjalistyczny demokratyzm nie daje żadnego wyboru - istnieje jedna partia, jeden związek zawodowy, a nad tym wszystkim stoją jedni i ci sami ludzie, jeden system wyborczy, który jest wielką fikcją”.

„Czytają archiwalne numery „Po prostu”, dyskutują o książkach Kołakowskiego, Róży Luksemburg, Miłosza, Trockiego. Chcą przywrócić swobody Października”.

To do nich - schizmatycznych antagonistów, wiernych i zagubionych - Lew Trocki pisał w roku 1937: „Reakcyjne epoki, takie jak nasza, nie tylko dezintegrują i osłabiają klasę robotniczą, lecz również obniżają ogólny poziom ideologiczny ruchu i odrzucają myślenie polityczne wstecz do etapów dawno już przebytych. W tych warunkach zadaniem awangardy jest ponad wszystko nie dać się porwać wstecznej fali - trzeba płynąć pod prąd. Jeśli niekorzystna relacja sił uniemożliwia awangardzie utrzymanie zdobytych wcześniej pozycji politycznych, trzeba utrzymać się przynajmniej na pozycjach ideologicznych, ponieważ jest w nich wyrażone drogo okupione doświadczenie przeszłości. Głupcom taka polityka wydaje się „sekciarstwem”. W rzeczywistości tylko ona przygotowuje nowy gigantyczny skok naprzód wraz z falą nadchodzącego historycznego przypiływu”.

Ich „gigantyczny skok naprzód” rozpoczął się od spotkania z charyzmatycznym „guru” - ambasadorem marzeń, jak nazwała Jana Józefa Lipskiego „Gazeta Wyborcza”. Miejsce, w którym doszło do spotkania był warszawski Klub Krzywego Koła. „Spotykaliśmy się często i z wolna przeobrażałem się ze zbuntowanego adepta marksizmu w pilnego czytelnika i wyznawcę polskiej myśli demokratycznej” - wspominał Michnik.

To w Klubie Krzywego Koła, założonym z błogosławieństwem bezpieki i Komitetu Centralnego zbierali się wszelkiej maści schizmatycy i apostości, by pod okiem Lipskiego przekuć prąśne, marksistowskie *revisio*, na awangardowe *oppositio*. Wśród ludzi, którzy zetknęli się z fenomenem „jasnego światła w pejzażu PRL” (jak nazwał środowisko KKK Friszke), dokonała się rewolucyjna, jakościowa przemiana, w trakcie której „płynący pod prąd” stali się „demokratycznymi opozycjonistami”, ortodoksi komunizmu „zgubili żęby”, a trefni wyznawcy Marksa nabrali egalitarnej ogłady. Co najważniejsze - metamorfoza, nad której przebiegiem czuwał Lipski - nie poczyniła szkód w monolocie powierzonej mu „owczarni”, nie spowodowała strasznego *contradictio in adiecto* - błędu logicznego, w którym „niewierzący dysydent” stanąłby przed groźbą utraty wiary.

Magdalena Grochowska z „Gazety Wyborczej” w sentymentalnym panegiryku, poświęconym Lipskiemu napisała: „Co czwartek bywa w domu kultury na Starym Mieście, w salce z ogromnym stołem, gdzie odbywają się wykłady Klubu Krzywego Koła. Wśród prelegentów: Jasienica, Kołakowski, Kotarbiński, Lipiński, Ossowsky, Pomian, Bartoszewski, Strzelecki, Beylin. Chodzi o coś więcej niż dyskusje. Rozszerzać ramy wolności, budować samorządność, wciskać się w każde pęknięcie systemu, działać społecznie, jak kazali pozytywiści. Tworzą ośrodek badania opinii publicznej przy Polskim Radio. Rozmawiają z radami robotniczymi o wspólnym organizowaniu spółdzielni mieszkaniowych; wspierają dyskusyjne kluby filmowe. Inicjatywa Lipskiego wskrzesza przedwojenną grupę literacką Przedmieście, do programu wpisują „prawo społeczeństwa do samostanowienia”.

„Polska wyminęła właśnie niebezpieczeństwo „ukonstytuowania się części aparatu partyjnego i państwowego w nową klasę”, która chciała oddzielić się od społeczeństwa tańcuchem przywilejów - pisał Lipski w „Po prostu” w kwietniu 1956 r. Dzień przed VIII Plenum KC PZPR, 18 października 1956 r., przypominał w referacie w Klubie, że „kandydatów na posłów należy wysunąć na zasadzie autentycznego porozumienia rad robotniczych i stowarzyszeń społecznych”.

Jeśli dziś, ktoś chce upatrywać w tych działaniach „ducha opozycyjności”, niech zrozumienie przestanie, które Lipski i jego środowisko musiało doskonale pamiętać:

„Bolszewicy-leninowcy stoją w pierwszych szeregach wszystkich rodzajów walki, gdzie chodzi choćby o najskromniejsze interesy materialne bądź demokratyczne prawa klasy robotniczej. Aktywnie działają w masowych związkach zawodowych, dbając o ich umocnienie i podnoszenie ich bojowego ducha. Nieprzejednanie walczą przeciwko wszelkim próbom podporządkowania związków zawodowych burżuazyjnemu państwu i związania proletariatu „przymusowym arbitrażem” oraz wszelkimi innymi formami policyjnej opieki - nie tylko faszystowskiej lecz i „demokratycznej” - głosił Trocki w „Programie Przejściowym” - (Agonia kapitalizmu a zadania Czwartej Międzynarodówki), określając „zadania związków zawodowych w epoce przejściowej”. Kiedy nadszedł czas, gdy polscy robotnicy dojrzeli do myśli o wolnych związkach zawodowych, czy mogło zabraknąć wśród doradców Kuronia lub Michnika, czy sam Jan Józef mógł nie skorzystać z tak dogodnej okazji? Lenin powiedział: „Trzeba zrozumieć(...), że należy być przygotowanym na wszelkie możliwe sztuczki, podstępny, nielegalne metody, na przemilczanie, zatajanie prawdy, byleby tylko dostać się do związków zawodowych, pozostać w nich i tam za wszelką cenę prowadzić komunistyczną robotę”, zatem jak tłumaczył Trocki w „Ich moralność, a nasza” : „Konieczność uciekania się do podstępów i sprytu, zgodnie z wyjaśnieniem Lenina, wynika z faktu, że reformistyczna biurokracja, zdradzająca robotników na rzecz kapitału, szczuje na rewolucjonistów, prześladowuje ich, a nawet korzysta przeciwko nim z burżuazyjnej policji. „Spryt” i „zatajanie prawdy” są w tym wypadku tylko środkami uzasadnionej samoobrony przed zdradziecką reformistyczną biurokracją.”

A przecież „reformistyczna biurokracja szczuła na rewolucjonistów”, bo jak wspominał w 1980 roku Seweryn Blumsztajn,: - „[...]my korowcy, zaczęliśmy „Solidarność” przeszkadzać. Związek robił już prawdziwą politykę, wyłaniał się coraz ostrzejszy nurt, który atakował KOR stereotypami komunistycznej propagandy: czerwoni, stalinowcy, nieprawdziwi Polacy. To był element walki o władzę.”

To w środowisku stworzonym przez Lipskiego, w kręgu Klubu Krzywego Koła począł się flirt marksistowskich schizmatyków z „otwartymi katolikami”, którego consumatum „przeorało” polski katolicyzm i stworzyło nowy typ „chrześcijańskiego kompromisu”. Jeden z prekursorów tego kierunku, Tadeusz Mazowiecki, w książce „Wróg” z 1952 roku głosił: „Ideologia lancy ullańskiej na usługach kapitalistycznej wolności zastąpiła im [polskiej emigracji politycznej] historyczną szansę wydobycia Polski z wielowiekowych zaniedbań cywilizacyjnych (...). Tego, że nie fraki, ale kombinezony robotnicze, nie proporzyski kawalerskie, ale kielnie murarskie wyznaczają kierunek rzeczywistego rozwoju Polski - nie mogą strawić”. W artykule z 3 numeru „Więzi” z 1961 głosił : „Polska nie tylko ma ustrój socjalistyczny, ale i w takiej perspektywie ustrojowej będzie się ona rozwijać (...). Nie można walczyć o humanistyczną perspektywę świata socjalistycznego”, a w 10 numerze „Więzi” z 1967 dowodził, że „polska droga zakłada wierność zasadzie sojuszu z ZSRR, który określa nasze miejsce na mapie politycznej świata (...). Dziś zasada sojuszu polsko-radzieckiego staje się elementem narodowego myślenia politycznego”, postulując wraz z Andrzejem Wielowieyskim w artykule „Otwarcie na Wschód” potrzebę „zerwania z politycznym antykomunizmem”, które miałyby „decydujące znaczenie dla autorytetu i rozwoju Kościoła w świecie”, ułożenie stosunków dyplomatycznych między Watykanem i Warszawą”.

Czyż Jan Józef Lipski, który w tekście „Dwie ojczyzny, dwa patriotyzmy (uwagi o megalomanii narodowej i ksenofobii Polaków)” z 1981 roku pisał - „Strzeżmy się i podejrzliwie patrzmy na każdą nową ofensywę „patriotyzmu” - jeśli jest bezkrytycznym powielaniem ulubionych sloganów megalomanii narodowej. Za frazeologią i rekwizytornią miłą przeważnie Polakowi - czają się przeważnie cyniczni socjotechnicy, którzy patrzą, czy ryba bierze na ullańskie czako, na husarskie skrzydło, na powstańczą panterkę” i pouczał swoją „owczarnię”, że „[...]jednym z najistotniejszych zagadnień naszej teraźniejszości i przyszłości jest wyzbycie się megalomanią narodową i ksenofobii, a przynajmniej ich stępienie do stanu niegroźnego dla dalszych losów narodu polskiego. Jeśli to się nie stanie - byle agent, przebrawszy się w ullańskie czako i zawiesiwszy ryngraf na piersi, poprowadzi naród dokąd zechce, podbijając bębenka „dumy narodowej” i manipulując fobiami;[...]” - mógł pozostać obojętny na dialektykę „katolickich myślicieli”?

Sam przecież głosił, że „socjalizm jest wytworem [...] etyki chrześcijańskiej znajdującej się u podstaw kultury europejskiej [...] Jest wytworem pozytywnego odzewu na przykazanie miłości bliźniego”, przeciwstawiając patriotyzm oparty na chrześcijańskiej miłości bliźniego szowinizmowi, megalomanii narodowej, egoizmowi i ksenofobii. Jego wierny uczeń, w wydanej w 1977 r. książce „Kościół, lewica, dialog” pisał już wprost: „Ludzie lewicy laickiej winni pragnąć zbratania z wszystkimi ludźmi dobrej woli, winni pragnąć zbratania z chrześcijanami nie mimo ich wiary, ale dzięki ich wierze; winni pragnąć, by każdy prześladowany chrześcijanin widział w nich właśnie, wyznawcach laickiego humanizmu, najbliższych i najuczciwszych przyjaciół. Tylko wtedy staną się godni swych wspaniałych antenatów z początku naszego stulecia”.

W marcu 1983 r. Lipski mógł już napisać do Jedlickiego: „Rzeczywiście, w 1956 r. Matki Boskiej i Piłsudskiego nie było aż tyle (...) jak dziś, to prawda. No, ale ludziom załamały się różne stare (lub zastępcze) złudzenia - i wrócił Piłsudski, a nawet Pan Roman (nie masz pojęcia, jak sobie zgodnie żyją). (...) Z nacjonalizmem dzieją się dziwne rzeczy: dominuje dość obskurantki, ale światły też zupełnie mocno się już rozepchnął, a obok tej opozycji pojawiły się inne: np. katolicyzm ludowy i hierarchiczny. Ten ludowy (...) jest bardzo radykalny”.

W cytowanym już artykule Magdaleny Grochowskiej, znajdziemy wspomnienia o Lipskim ludzi „demokratycznej opozycji” : „Jego przyjaźń zmuszała nas do wysiłku - opowiada Barbara Toruńczyk, założycielka i naczelna „Zeszytów Literackich”. - Budził nasze zainteresowania historią, zapoznawał z literaturą, pchał do czytania i pisanie. Formował nas. Myśmy wtedy chcieli prawdziwszego komunizmu. On - zawsze socjalista, liberał i antykomunista. Ale to nie był antykomunizm totalny jak

u tych, którzy czekali, że przyjedzie Anders i anuluje okres PRL-u. On rozumiał, że rzeczywistość historyczno-polityczna zmieniła się zasadniczo, kształtuje nowe generacje i tego faktu nie można wziąć w nawias. Umiał sobie powiedzieć: to istnieje naprawdę i do tego trzeba teraz dostosować taktykę życiową. Wzór osobowy, który krzawił, to było coś więcej niż wzorzec zachowań politycznych. Również stosunek do człowieka - że o drugim trzeba pamiętać, opiekować się nim, na przykład rodzinami uwięzionych. To był cały sposób życia. On nam pokazywał, jak żyć w komunizmie bez świntuszenia i oszustw”.

Myśmy wtedy chcieli prawdziwego komunizmu...

„Jeśli odważamy się wzywać lud do rewolucyjnej zmiany społecznej - pisał Trocki w broszurze „O partii robotniczej - to ponosimy straszliwą odpowiedzialność, którą musimy traktować bardzo poważnie. A czymże jest nasza teoria, jeśli nie po prostu narzędziem działania? Tym narzędziem jest dla nas teoria marksistowska, bo aż do dziś nie wymyślono lepszego. Robotnik nie lubi fantazjować w sprawie narzędzi - jeśli są najlepsze, to będzie się z nimi obchodził ostrożnie, nie będzie ich porzucał ani żądał narzędzi fantastycznych, nie istniejących”.

Wszystko co powyżej zawarłem jest koniecznym skrótem, linią, wykreśloną poprzez rozliczne życiorysy, w których akty prawości miesza się z nikczemnym zaprzaństwem. Do wielu z poruszonych wątków, powrócę. To streszczenie historii nie może nieść prostych, gotowych odpowiedzi. Będzie, co najwyżej szkicem, który zainspiruje do głębszych poszukiwań, do zasypywania „semantycznej przepaści”, jaka powstała w świadomości Polaków, traktujących komunizm jako system zbrodniczego kłamstwa. Świadomy wybór cytatów, w miejsce analizy być może zachęci do refleksji. Trocki, którego myśl wyznaczała granice *revisio*, nieprzekraczalne - jak się wydaje dla adeptów Lipskiego uczył, że „*Materializm dialektyczny nie zna dualizmu środka i celu. Cel w sposób naturalny wynika z samego historycznego ruchu. Środki są w sposób organiczny podporządkowane celowi. Najbliższy cel staje się środkiem dla celu bardziej odległego*”. Tym trudniej w środowisku, nazywającym się „demokratyczną opozycją” wskazać jeden cel, który jednocześnie nie byłby tylko środkiem...

Wyrosła z tego kręgu grupa ludzi nie mogła obalić komunizmu. Nawet gdyby bardzo tego chciała. Ich polityczna „transformacja”, zapoczątkowana schizmą roku 1956, utrwalona antysemitką, na wskroś stalinowską traumą, nie pozbawiła „dysydentów” wiary, nie naraziła ich na *contradictio in adiecto*. Czy zdefiniujemy ich działania jako obłudne i wyrachowane, czy będziemy w nich widzieć przejaw młodzieńczych, rewizjonistycznych mrzonek - w niczym nie zmieni to faktu, że mieliśmy do czynienia z „opozycją” wewnątrz systemu komunistycznego - nigdy zaś - opozycją przeciwko systemowi. Oni sami też, nigdy nie twierdzili, że walczą z komunizmem. Ich bitwy i działania dotyczyły tylko tych obszarów komunizmu, które nie przystawały do wizji dysydenckich, które były sprzeczne z ich sposobem widzenia doktryny. Nieznajomość „dualizmu środka i celu” pozwalała im z równym skupieniem traktować Kościół, jak robotników czy naród, w równym stopniu podziwiać Wojtyłę jak Kiszczaka, na równi stawiać niepodległość jak „socjalizm z ludzką twarzą”. Wykorzystując imperatyw walki o wolność i nasze marzenia o „drodze ku Niepodległej”, łatwo przyszło im przyoblec się w szaty obrońców sprawiedliwości i usankcjonować nasze złudzenia pod szyldem awangardowej „demokratycznej opozycji”.

Nie sposób nie dostrzec jak tezy Golicyna o pozornym i sterowanym charakterze przemian w Bloku Sowieckim znajdują mocne uzasadnienie w fałszywym *oppositio* konstruktorów tych przemian, w ich dążeniu, wspólnie z komunistami do „historycznego kompromisu”. Nie sposób również nie widzieć, że prawdziwe oblicze tego sojuszu zdradza państwo, nazwane III RP - najcięższy dowód winy i historyczny akt oskarżenia.

CDN...

Źródła:

http://www.geocities.com/lbc_1917/2051kuron.htm

http://www.kuron.pl/osobie_cz1b.html

<http://www.polityka.pl/archive/do/registry/secure/showArticle?id=3358137>

http://niniwa2.cba.pl/jan_jozef_ambasador_marzen.htm

<http://www.marxists.org/polski/trocki/1937/08/stalinizm-bolszewizm.htm>

http://www.marxists.org/polski/trocki/1938/prog_przejscowy.htm#Przeciwko%20oportunizmowi%20i%20wyzutemu%20z%20z%20rewizjonizmowi

TEKST, KTÓRY DZIENNIKARZ JANKE SZYBKO UKRYŁ, CHRONIĄC ODBIORCÓW PRZED ZGORSZENIEM

18.02.2009 20:46 91

262. KRAĞ PIERWSZY

Układ zawył. W momencie, jak zawsze nieprzypadkowym i głosem, jak zwykle niezawodnym. Gdy tylko na horyzoncie sejmowej komisji ds. zabójstwa Olewnika pojawił się Antoni Macierewicz, nienawiść wzburzyła umysły i splątała słowa. Pozostał skowyt - prawdziwy język sfory. Kto potrafi go ustyszeć, odkryje z kim ma do czynienia...

„Marszałek Sejmu Bronisław Komorowski, gdy tylko Prawo i Sprawiedliwość do komisji zgłosiło kandydatury Macierewicza i Zbigniewa Wassermann, powiedział że kandydatura tego pierwszego nie wchodzi w grę. Zdaniem marszałka Macierewicz nie posiada certyfikatu dostępu do informacji tajnych”.

Fakt, że szef kontrwywiadu wojskowego, wykonując dyrektywę polityczną ukarał Macierewicza odebraniem certyfikatów, w odwiecie za likwidację WSW/WSI, po to, by marszałek sejmu - wierny obrońca tej służby mógł znaleźć dogodny pretekst, urasta do rangi symbolu hipokryzji. Czy rację ma Macierewicz, twierdząc, że jego uprawnienia są aktualne - czy prawomocnie uprawnienia już utracił - jest w tej sytuacji bez znaczenia, skoro sprawa certyfikatu ma jedynie walor politycznego wykrętu.

Ale marszałek polskiego sejmu, powiedział dziś sejmowej reporterce I programu radia rzecz, wobec której motyw certyfikatu wydaje się prostodusznym wybiegiem. Komorowski stwierdził bowiem, że jeśli klub PiS-u nie wycofa kandydatury Macierewicza, powołanie komisji stanie pod znakiem zapytania. A przecież czekają na nią Polacy, czeka rodzina Olewników-dodał Komorowski.

Prymitywna perfidia „argumentu” marszałka sprowadza się do szantażu - albo komisja, albo Macierewicz. Perfidia aluzyjna zdaje się wskazywać - albo pozwolicie nam urządzić medialny spektakl i zaspokoić wścibstwo cyrkowej gawiedzi kilkoma „pionkami”, rzuconymi „na żer”, albo chcecie dociekać rzetelnie prawdy o układzie stojącym za zabójstwem Olewnika i roli, jaką służby III RP odegrały w tej sprawie.

Gdy przed kilkoma tygodniami w tekście KRĘGI PIEKŁA przedstawiłem potencjalny krąg wzajemnych powiązań i relacji; poczynawszy od sierpeckich gangsterów i Grzegorza Korytkowskiego, poprzez Andrzeja Piłata, Andrzeja Celińskiego, po wojskowo -bezpieczniacką spółkę „Megagaz” i interesy mafii paliwowej, napisałem, że „jeśli w powyższym wywodzie zawarte, choć „ziarno prawdy” i za sprawą porwana i zabójstwa plockiego biznesmena stoją ONI, nie należy liczyć na żadną komisję sejmową ani rzetelne wyjaśnienie sprawy. Ani teraz, ani w przyszłości”. Podtrzymuję tę opinię. Handel sowiecką stalą czy miliardowe interesy z plockim ORLENEM stanowią dostatecznie wysoką barierę.

Warto jednak z obecnej sytuacji wyciągnąć wnioski. Bezbłędny test, jakiemu klub Prawa i Sprawiedliwości poddał Platformę, proponując Macierewicza do komisji, obnażył już dziś rzeczywiste intencje polityków tego ugrupowania. Skowyt -w miejsce gładkich słów. Agresywny lęk przed Macierewiczem nie da się uzasadnić inaczej, jak czyni to sam „kontrowersyjny” polityk - „*Rozumiem, że skala tego ataku jest wprost proporcjonalna do skali skuteczności mojego działania*”.

Gdyby ktoś miał wcześniej ufnosć, że rząd Platformy odważy się ujawnić tajemnicę zabójstwa Olewnika i wskazać na faktycznych mocodawców zbrodni, niech rozstanie się z tą nadzieją. Skuteczność, to ostatnia cecha, której potrzebują członkowie sejmowej komisji.

Wypada liczyć, że klub PiS-u nie ugnie się przed szantażem Komorowskiego i konsekwentnie będzie forsował kandydaturę Macierewicza - głośno zadając pytanie - kto i dlaczego boi się skutecznego działania?

Pisałem kiedyś - Śłuchajcie Pana Marszałka. Śłuchajcie. Szczególnie wówczas, gdy odczuwa lęk.

http://wiadomosci.gazeta.pl/Wiadomosci/1,80271,6292091,Macierewicz_o_swoim_udziale_w_komisji_wzbudza_wscieklosc_.html?skad=rss

<http://wiadomosci.onet.pl/1919033,11,1,1,,item.html>

<http://www.rmf.fm/fakty/?id=151614>

<http://cogito62.salon24.pl/381462.html>

<http://cogito62.salon24.pl/94608.html>

22.02.2009 13:07 33

263. KRĄG DRUGI - „JESTEŚCIE W MOICH RĘKACH”

Nie wiążę z pracami komisji śledczej w sprawie Olewnika nadmiernych oczekiwań. Histeryczna reakcja Platformy na Macierewicza stanowi dostateczny argument, że celem powołania komisji nie jest dotarcie do najgłębszej prawdy o motywach zabójstwa i faktycznych jego mocodawcach. Nienawistna panika, z jaką Bronisław Komorowski zwalczał kandydaturę posła PiS-u świadczy, że intencją rządzących może być uczynienie z prac komisji spektaklu medialnego, który przyniesie Platformie kilka punktów procentowych i zadowoli oczekiwania niewybrednych odbiorców. Docieklivość i kompetencje byłego szefa SKW mogłyby pokrzyżować te plany i doprowadzić do zdemaskowania prawdziwych mechanizmów rządzących III RP. Do takich efektów postępowania, towarzysze marszałka Komorowskiego nie mogą dopuścić. Choć życzę członkom komisji dotarcia do prawdy, wolę pragmatyzm niż infantylną wiarę.

Niezależnie zatem, jak daleko w odkrywaniu kolejnych „kręgów” polskiego piekła, mają doprowadzić nas członkowie komisji pod wodzą posła Biernackiego, warto rozpocząć wędrówkę na własną rękę, nie oglądając się na polityczne dyrektywy i medialne manipulacje. Zebranie i analiza dostępnej już wiedzy pozwoli uniknąć licznych pułapek i „ślepych torów”, jakich nie brakuje w tej sprawie. Ponieważ okoliczności porwania i śmierci Olewnika są, po procesie sądowym dokładnie znane, pozostaje wątek ewentualnych mocodawców oraz wskazania przyczyn uprowadzenia.

Podstawowym zabiegiem, który ułatwi zrozumienie tematu powinno być przedstawienie kontekstu ówczesnych wydarzeń, politycznego tła, na którym się rozegrały. Jest to o tyle istotne, że bez retrospektywnego spojrzenia na lata 2001-2002, trudno byłoby konstruować prawidłowe wnioski.

Trzeba przypomnieć, że na blisko dwa miesiące przed porwaniem, 3 września 2001 roku wybory parlamentarne w Polsce wygrał SLD z wynikiem 41%. Również, w okręgu plockim największe, bo 45% poparcie zdobyło SLD-UP, a na drugim miejscu znalazł się PSL. W samym Płocku najwięcej głosów wyborców (6200) zdobył Andrzej Piłat i Zbigniew Siemiątkowski (5400). 19 października 2001r. - po dymisji rządu Jerzego Buzka, Leszek Miller został zaprzysiężony na premiera.

Dla Andrzeja Piłata - tzw. mazowieckiego barona, który w eseldowskim rządzie został sekretarzem stanu w ministerstwie infrastruktury sprawą priorytetową była budowa nowej przeprawy mostowej przez Wisłę. Jak się wydaje, plocki klub SLD najwyraźniej czekał na nominacje Piłata i „nowe rozdanie”, bowiem jeszcze 4.10.2001 r. zablokował uchwałę Rady Miasta Płocka w sprawie przekazania 72.200 mln zł z budżetu miasta na budowę nowego mostu. Za to już 25.10. po powołaniu nowego rządu z Piłatem jako wiceministrem, lokalne pismo „Tygodnik Płocki” donosi - „Rosną szanse na most w Płocku”, wiążąc tę inwestycję z powołaniem Piłata na stanowisko ministerialne i przytaczając jego wypowiedź: „Moim najważniejszym celem będzie doprowadzenie do wybudowania w Płocku przeprawy mostowej. Nie dam odetchnąć osobom odpowiedzialnym za tę inwestycję w Ministerstwie Infrastruktury. Jest to dla mnie sprawa honorowa...”

Pierwsza informacja o porwaniu Olewnika pochodzi z „Tygodnika Płockiego” z datą 15.11.2001r. - „Płocka policja poszukuje syna znanego biznesmena - Miasto huczy od plotek”(porwania dokonano w nocy 26 na 27 października). W tym samym numerze znajdziemy wzmiankę o sesji Rady Miasta, zatytułowaną „Rusza budowa mostu?” z której wynika, że władze Płocka (eseldowski prezydent Stanisław Jakubowski) podpisały porozumienie z Generalną Dyрекcją Dróg Publicznych, zgodnie z którym, ta instytucja zobowiązała się zrealizować pięć z sześciu etapów budowy nowego mostu. „W latach 2001 - 2002 inwestycja ma być finansowana na następujących zasadach: 50 milionów zł z budżetu państwa oraz 14,7 mln zł z budżetu Płocka, w tym 10 milionów z GDDP. - Treść porozumienia została bardzo przychylnie przyjęta przez GDDP i Ministerstwo Infrastruktury” - donosi Tygodnik.

Jednocześnie SLD podejmuje działania, mające zapewnić komunistom wpływy w największej polskiej firmie - PKN ORLEN. Jeszcze przed wyborami, 23.08.2001 roku „Tygodnik Płocki” informuje, że „Przychody grupy kapitałowej (ORLEN), pomimo spowolnienia gospodarki w naszym kraju, wzrosły dzięki największej ze spółek czyli PKN Orlen S.A. Poprawa wyników była możliwa dzięki wzrostowi sprzedaży paliw silnikowych w drugim kwartale, wzrostowi notowań paliw silnikowych oraz wyższemu marżom rafineryjnym na benzynach. (...)Poprawa wyników związana jest z konsekwentną realizacją przez zarząd strategii, w tym programu redukcji kosztów. Dotychczasowe wyniki za 2000 roku i pierwszą połowę 2001 roku są podstawą do pomyślnej prognozy na kolejne miesiące, a założony program redukcji kosztów zostanie zrealizowany najprawdopodobniej z

nadwyżką. Warto podkreślić, że wszystkie te rezultaty osiągamy w sytuacji głębokiej dekonunktury w gospodarce - powiedział Andrzej Modrzejewski, prezes PKN Orlen S.A."

Dobre wyniki firmy nie przeszkodziły SLD w przeprowadzeniu „pałacowego przewrotu” w PKN ORLEN, jak nazwał zdarzenie „Tygodnik Płocki” z 14.02.2002r.; informując o odwołaniu przez Radę Nadzorczą prezesa Modrzejewskiego i powołaniu na to stanowisko Zbigniewa Wróbla. W oficjalnym komunikacie wydanym przez szefową Biura PR i Promocji, powodem odwołania miała być „malejąca zdolność prezesa do kierowania spółką, w związku z utratą zaufania głównych akcjonariuszy oraz istotnie pogarszające się wyniki finansowo - ekonomiczne spółki.” Pamiętamy, że do odwołania Modrzejewskiego użyto UOP-u (nadzorowanego przez Siemiątkowskiego), a po latach, sprawa stała się argumentem za powołaniem sejmowej komisji orlenowskiej. Gdy w trzy miesiące później, przybył do Płocka z „gospodarską wizytą” premier Leszek Miller, lokalna prasa donosiła: „Premier podczas wizyty w Płocku (16 maja) zapoznał się z pracami przy budowie nowej przeprawy mostowej, otworzył instalację DRW III w Polskim Koncernie Naftowym ORLEN S.A., oraz odwiedził Bazę Surowców PERN „Przyjaźń” S.A. w Plebance. Spotkał się także z władzami miasta oraz członkami płockiego SLD. Najbardziej interesująca dla płocczan była część wizyty dotycząca budowy nowej przeprawy mostowej. Leszek Miller wraz z towarzyszącymi mu między innymi ministrem skarbu państwa Wiesławem Kaczmarkiem, sekretarzem stanu w Ministerstwie Infrastruktury Andrzejem Piłatem, wojewodą mazowieckim Leszkiem Mizielińskim, marszałkiem województwa Adamem Struzikiem, prezydentem Płocka Wojciechem Hetkowskim wybrał się w rejs po Wiśle”.

„**Jesteście w moich rękach**” - powiedział premier Leszek Miller przejmując ster statku wycieczkowego „Rusalka” w czasie rejsu po Wiśle w Płocku” - donosił tygodnik.

Ogólne przedstawienie ówczesnych realiów politycznych wydaje się konieczne z dwóch powodów. Możemy na tej podstawie, wyodrębnić ważne dla działalności SLD obszary interesów i na ich tle spojrzeć na główne postaci dramatu. Bez świadomości, jak działał ówczesny „układ płocki” i jakie interesy leżały w zakresie jego zainteresowań, poznanie prawdy o zabójstwie Olewnika wydaje się niemożliwe.

Budowa płockiego mostu to inwestycja rzędu 190 mln zł, okazja intratnych zamówień dla firm i ważny, przetargowy argument wyborczy. Choć pierwsze koncepcje i starania o nową przeprawę przez Wisłę pochodzą z początku lat 90, dopiero w sierpniu 2000 roku urząd wojewódzki wydał pozwolenie na budowę nowego mostu. Od razu też pojawił się kłopot ze sfinansowaniem inwestycji: zmiany w ustawie samorządowej spowodowały, że za potężną budowę miał zapłacić sam Płock, bo skarb państwa nie mógł pomagać powiatom grodzkim, a miasta nie stać było na wydanie kilkuset milionów złotych. Udało się ominąć zakaz, zawierając kontrakt wojewódzki dla Mazowsza. Przetarg i wybór wykonawcy (wygrało konsorcjum Mostów Płockich i Łódzkich), przypadło ogłosić prezydentowi Płocka Wojciechowi Hetkowskiemu (SLD) w 2002 roku.

Przejęcia zarządu nad ORLENEM, po wygranych wyborach w 2001 roku, komuniści dokonali metodami policji politycznej, inicjując kombinację operacyjną, która doprowadziła do odwołania Modrzejewskiego i wymiany władz spółki. Prace sejmowej komisji ds. ORLENU ujawniły ogrom patologii, do jakich dochodziło w spółce za rządów SLD. Raport końcowy stwierdza, że to na spotkaniu w kancelarii Millera 7 lutego 2002 roku zapadła decyzja o bezprawnym zatrzymaniu prezesa Andrzeja Modrzejewskiego przez UOP.

Członkowie komisji postulowali postawienie przed Trybunałem Stanu byłego premiera i byłej minister sprawiedliwości Barbary Piwnik. Zdaniem członków komisji odpowiedzialność karną powinni ponieść kierujący wówczas UOPem Zbigniew Siemiątkowski, a także prokuratorzy i funkcjonariusze UOP związani z decyzjami o bezprawnym zatrzymaniu Modrzejewskiego. Dziś wiemy, że działania rządu Millera, sprzężone z uaktywnieniem sowieckiej agentury, prowadzone przy udziale postperelowskich służb i zależnego od nich biznesu, miały doprowadzić do przejęcia przez Rosjan polskiego sektora paliwowego. Raport komisji potwierdzał również, że prezydent Aleksander Kwaśniewski - mimo nieformalnej wiedzy - nie przeciwodził staraniom rosyjskich firm, a wręcz ułatwiał opanowanie polskiego rynku, kreując swojego przyjaciela - Jana Kulczyka na osobę upoważnioną do rozmów na ten temat.

Nakreślony powyżej obraz zdarzeń z lat 2001 i następnych, byłby niepełny, gdyby nie wspomnieć, że płoccy działacze SLD prowadzili bardzo ożywione, oficjalne kontakty z ambasadą Rosji, a osobą, która inicjowała tę więź był Andrzej Piłat. W latach 2001-2006 wielokrotnie gościł w Płocku radca handlowy Ambasady Rosji w Polsce Nikołaj Iwanowicz Zachmatow, a w 2002 roku prezes zarządu PERN „Przyjaźń” S.A. Stanisław Jakubowski - SLD (był wcześniej prezydentem Płocka) powołany został do składu polskich członków Rady Biznesu Polska - Rosja, w której zasiadali m.in. Marek Goliński z Business Center Club, Aleksander Gudźowaty, Zbigniew Niemczycki z Polskiej Rady Biznesu, Kazimierz Pałgan z Krajowej Izby Gospodarczej czy Henryk Bochniarz. Związki Zachmatowa z płockimi działaczami były na tyle bliskie, że zaproszono go w roku 2003 na obchody 40 rocznicy rozpoczęcia eksploatacji pierwszego odcinka rurociągu „Przyjaźń”.

Warto zapamiętać tę okoliczność, gdyż nazwisko Zachmatowa występowało w opublikowanym w 1997 r. przez „Życie” artykule „Korpus agentów”, w którym z imienia i nazwiska wymieniono 22 pracowników rosyjskich placówek dyplomatycznych, identyfikując ich jako oficerów lub agentów rosyjskiego wywiadu wojskowego (GRU) lub Służby Wywiadu Zagranicznego (SVR). 51-letni wówczas Nikołaj Iwanowicz Zachmatow, radca ambasady rosyjskiej, znalazł się wśród współpracowników SVR. Krótko po tej publikacji opuścił Polskę, by powrócić w 1999 r. i zostać szefem przedstawicielstwa handlowego Federacji Rosyjskiej. Myślę, że nie przez przypadek Nikołaj Zachmatow pojawi się jeszcze w interesach ludzi płockiego ORLENU i w otoczeniu głównych bohaterów tej opowieści.

Nim spróbujemy określić krąg osób istotnych dla sprawy, trzeba zadać pytanie o potencjalne motywy porwania i zabójstwa Krzysztofa Olewnika. Jako zupełnie niewiarygodny należy uznać motyw porwania dla okupu. Porywacze przez dwa lata zwlekali z podjęciem pieniędzy, mimo, iż rodzina Krzysztofa była gotowa zapłacić okup niemal natychmiast. Wielokrotnie wydawano rodzinie szczegółowe dyspozycje, określając miejsce i czas, a następnie rezygnowano, nim dochodziło do przekazania pieniędzy. Działanie takie należy uznać za pozorowane, mające jedynie symulować zamiar porwania dla okupu. Można założyć, że kryminaliści, którzy dokonali porwania chcieliby jak najszybciej uzyskać pieniądze, tym bardziej, że przez cały czas przetrzymywania ofiary ponosili koszty jej utrzymania, przewożenia, rozmów telefonicznych. Z każdym dniem wzrastało również ryzyko, że zostaną namierzeni przez policję lub wpadną, (co rzeczywiście się zdarzyło) podczas dokonywania innych przestępstw. Wyraźnie widoczna w działaniach sprawców brawura i nonszalancja, świadczy niewątpliwie, iż musieli przez cały czas mieć poczucie bezkarności, gwarantowane im przez zleceniodawców. Tak długi okres przetrzymywania Olewnika dowodzi, że bezpośrednim motywem uprowadzenia nie mogły być pieniądze. Przeczy temu doświadczenie życiowe (lecz również kryminalistyczne) i elementarna logika. Gdy wreszcie, po ponad dwóch latach okup został podjęty, porywacze bardzo szybko podzielili się częścią (100 tys.euro) łupu. Dotychczas nie wiadomo, co stało się z kwotą 200 tys.euro.

Wolno zatem przyjąć, że porwania dokonano na zlecenie, a przez cały okres przetrzymywania ofiary sprawcy otrzymywali wsparcie od mocodawców i szczegółowe instrukcje postępowania. Świadczy o tym aż nadto przesłanek.

Oczywiście, wykluczenie (jako wiodącego) motywu porwania dla okupu, nie daje dostatecznej podstawy, by wskazać inny, bardziej wiarygodny, a nade wszystko oparty o fakty motyw. Ponieważ bardzo często zarzuca się autorowi niniejszego bloga, że postępuje się rozumowaniem dedukcyjnym, wywodząc od ogółu, do szczegółu, na podstawie założonego wcześniej zbioru przesłanek, w tej sprawie warto zastosować myślenie indukcyjne, próbując wyprowadzić ogólne wnioski z przesłanek, które są poszczególnymi przypadkami tych wniosków.

Innymi słowy - spróbujmy przyjrzeć się niektórym, głównym bohaterom tej ponurej tragedii, by na podstawie ich życiorysów, działań i słów przejść do kolejnych etapów, na coraz wyższy, ogólniejszy poziom.

Niewątpliwie, na uwagę zasługuje postać przywódcy grupy porywaczy - Wojciecha Franiewskiego, który jako pierwszy zdecydował się na „samobójstwo” w więziennej celi. Jego życiorys to niemalże klasyczna opowieść o przestępczej karierze; od drobnych włamań i kradzieży „Syrenek” w latach 70 -tych, po zuchwałe, liczne kradzieże aut, w latach 80-tych, potrącenie polonezem milicjanta oraz próba rozjechania funkcjonariusza, który ratował kolegę. Lista jest znacznie dłuższa łącznie z podrobionymi prawami jazdy i dowodami rejestracyjnymi. Opowieść jest niemal klasyczna, bowiem w kryminalnej biografii Franiewskiego są zdarzenia, które nakazują z wielką uwagą spojrzeć na tę postać.

Otóż Franiewski wielokrotnie, w bardzo brawurowy sposób (skok z okna, wycięcie dziury w ścianie) uciekał z aresztów i więzień PRL-u, gdy tylko przyszła mu na to ochota. Liczne, lecz niewielkie wyroki nie były w stanie zatrzymać przestępcy w więziennych murach. Ktoś słabo zorientowany w realiach komunistycznego „wymiaru sprawiedliwości” i więziennictwa, uznałby Franiewskiego za niegorszego „kozaka”, który kpi sobie z murów i krat. Taką też opinię miał wśród współwięźniów i kolegów „z wolności”. Inaczej jednak sądzą ludzie zorientowani w realiach. Były naczelnik CBŚ mówi wprost: „To się nie zdarza. To wykluczone, żeby jednemu człowiekowi udało się uciec tyle razy”, a prof. Andrzej Rzepliński ma sensowną teorię na ten temat: „To milicja decydowała, kiedy kogoś schować do więzienia, bo był tam potrzebny, a kiedy nie”.

Istnieją zatem poszlaki, że Wojciech Franiewski był tajnym współpracownikiem bezpieki, (jakich wielu funkcjonowało w środowisku przestępczym), co dostatecznie tłumaczyłoby, iż uciekał z aresztów, konwojów i komend, kradł, włamywał się do aut dyplomatów, a jednak dostawał liczne przepustki i zawsze wychodził przed terminem. Co bardzo znamienne - nigdy w swojej przestępczej karierze nie popełnił „przestępstw przeciwko zdrowiu i życiu”. Jak zatem człowiek ten mógł nagle zaplanować porwanie i zamordowanie Olewnika, skoro nie leżało to w zakresie jego przestępczego proceduru? Czy agenturalnej przeszłości Franiewskiego nie należy kojarzyć z rolą, jaką w utrudnianiu i fałszowaniu śledztwa spełniali funkcjonariusze policji i służb IIIRP? Czy Franiewski był człowiekiem zatrudnianym do różnych „delikatnych” robót, za którymi stały interesy stróżów prawa i na tej zasadzie zlecono mu dokonanie porwania Krzysztofa Olewnika?

W czasie procesu (w sprawie innej, niż zabójstwo) przed Sądem Rejonowym w Płocku, w którym zeznawał jeden z oprawców Olewnika - Ireneusz Piotrowski, potwierdził on, że Wojciech Franiewski znał drugą z ważnych w tej sprawie postaci - Grzegorza Korytkowskiego. Na pytanie mecenas Borkowskiego - „czy Korytkowski znał się z Franiewskim, odpowiedź Piotrowskiego była, że tak, że oni się znali. To była szokująca wypowiedź” - wspomina adwokat. I dodaje - „Ponieważ rozprawa nie dotyczyła bezpośrednio tej kwestii, nie mogłem zadać w tej sprawie więcej pytań”.

Franiewski nie doczekał procesu w sprawie porwania i powiesił się w celi aresztu, tuż przed jego rozpoczęciem. Jeśli rzeczywiście znał Grzegorza Korytkowskiego, (a nie ma podstaw, by w tej kwestii Piotrowski kłamał) byłaby to wyjątkowo ważna przesłanka, potwierdzająca kierunek, w którym należy poszukiwać mocodawców zbrodni.

Ale Grzegorz Korytkowski to już człowiek, który otwiera drogę do kolejnego, znacznie głębszego kręgu „polskiego piekła”.

CDN...

Źródła:

<http://www.tp.com.pl/article1435.html>

<http://www.tp.com.pl/article1295.html>

<http://www.tp.com.pl/article1473.html>

<http://www.tp.com.pl/article1154.html>

<http://www.tp.com.pl/article1918.html>

<http://www.tp.com.pl/modules.php?name=News&file=article&sid=2316>

<http://www.tp.com.pl/modules.php?name=News&file=article&sid=3140>

<http://serwis.gazeta.pl/kraj/1,34317,2324238.html>

http://historia-porwania-krzysztofa-olewnika.blog.onet.pl/1,AR2_2008-09-08_2008-09-14,index.html

25.02.2009 17:05 79

264. KRĄG TRZECI - ŁĄCZNIK

O Grzegorz K. i jego udziale w sprawie porwania Olewnika, media napisały już wszystko. Prócz tego, co najważniejsze. Nie ma zatem sensu powielać rewelacji o pieniądzach wytudzonych od Włodzimierza Olewnika lub rozpisywać się o kontaktach K ze światem przestępczym. Tym bardziej, że prokuratura zamierza postawić bytemu wicestarosie sierpeckiemu właśnie zarzut wytudzenia, co w moim odczuciu, ma na celu uwolnienie polityka SLD od znacznie poważniejszych podejrzeń. Podobnie, w roku 2005, gdy Olewnik żył jeszcze, a mnóstwo poszlak wskazywało na prawdziwą rolę K, prokuratura postawiła mu zarzuty nielegalnego posiadania broni i amunicji oraz niemieckiego dokumentu tożsamości, zaś Maciej Kujawski, rzecznik warszawskiej Prokuratury Okręgowej poinformował wówczas, iż „nie było podstaw, żeby mu cokolwiek zarzucić w tej (porwania Olewnika) sprawie”.

Jeśli więc K usłyszy obecnie oskarżenia o wytudzenie, może to świadczyć, że zdaniem prokuratury, głównym motywem jego działań była chęć zarobku na nieszczęściu rodziny Olewnika i okradzenie bogatego biznesmena z pieniędzy. Wytudzając - czyli doprowadzając Włodzimierza Olewnika do niekorzystnego rozporządzenia mieniem, musiałby K uczynić to poprzez wprowadzenie w błąd, co do możliwości kontaktu ze sprawcami porwania, gdy w rzeczywistości, takich sposobności nie miał. Jednym słowem - oszust - lecz nie współnik porywaczy i zabójców. Taka konstrukcja procesowa roli Grzegorza K w pełni

koresponduje z tym, co on sam ma do powiedzenia na temat swojego udziału, gdy tłumaczy, że był jedynie pośrednikiem i przekazywał biznesmenowi informacje uzyskane od sierpeckiego gangstera Eugeniusza D. Podkreśla również, że jego uwikłanie w sprawę wynikało z chęci pomocy znajomemu przedsiębiorcy.

Na sugestywne pytanie dziennikarza - „Chciał Pan imponować panu Olewnikowi, że jest Pan dobrze poinformowany? - K odpowiada: „Być może. Zachowywałem się wtedy trochę jak James Bond, który chciał pojechać, nogą otworzyć drzwi, zabrać Krzysia pod pachę i przywieźć do domu. Dzisiaj wiem, że działałem odruchowo i naiwnie, ale w dobrej wierze, w dobrej intencji chciałem pomóc przyjacielowi”.

Mamy zatem do czynienia z całkiem przyzwoitym człowiekiem, choć niewolnym od słabostek i finansowych pokus. Co więcej, Grzegorz K próbuje w tym samym wywiadzie wskazać, w jakim kierunku powinny iść poszukiwania rzeczywistych winowajców, gdy mówi: „Należałoby się przyjrzeć osobom, które będąc w najbliższym otoczeniu zrozpaczonej rodziny, forsują tezę, że politycy SLD stoją za tą brutalną zbrodnią”.

Myślę, że media, jak i prokuratura zdają się nie doceniać pana K i roli, jaką można tej postaci przypisać. Czy postępują tak z nieświadomości, czy ignorując z góry powyższy plan - liczę, że dowiemy się, jeśli sejmowa komisja zechce dokładnie przyjrzeć się tej postaci.

Co dziś wiemy o przeszłości tego pana? Interesujące informacje przynosi strona internetowa, poświęcona w całości sprawie Krzysztofa Olewnika.

„K po studiach był wuefistą w podstawówce w Sierpcu (jako uczeń zapowiadał się na lekkoatletę). Na początku lat 90-tych wyjechał na budowę do Niemiec. Tam też poznał pewnego człowieka - Adama W. - który został później urzędnikiem Ministerstwa Pracy. Spotykali się później, gdy K był wicestarostą sierpeckim, imieniny itp. Sam K nie chce rozmawiać o swoim znajomym. Po powrocie z Niemiec K handlował samochodami i pracował z barze swojej żony. I nagle został szefem biura Andrzeja Piłata, a w 2000 roku wicestarostą w Sierpcu. Mówił:

- Ja Piłatowi jestem potrzebny, żeby mu szynki i balerony od Olewnika przywozić.

Działalność obu panów znana jest w Płocku i nie tylko. K wraz z Piłatem, który został pełnomocnikiem rządu do usuwania skutków powodzi opróżnili magazyny jednej firmy odzieżowej z odzieży wybrakowanej i wystali ją powodzianom. W prasie było o tym głośno. K pozwał wtedy dziennikarza, ale wycofał się z tego. Dziennikarz - Paweł Kazimierzczak z gazety płockiej - dostał później zarzut wyłudzenia pieniędzy od Olewnika.

K lubił chwalić się znajomościami z politykami. O Kaliszu mówił "Rysio", o Millerze, że są kumplami. Przyjaźnił się z Kęsickim - komendantem policji w Drobinie. W 2001 roku poznaje Joannę Grączewską - pracownicę działu windykacyjnego w firmie Olewnika.

- „Należałam do SLD w Płocku - wspomina Grączewska - ale gdy zaczęłam pracować w Drobinie u Olewnika, przeniosłam się do Sierpca. A tam szefem koła SLD był K. To było miesiąc po porwaniu Krzysztofa. Na pierwszym zebraniu SLD, gdy K dowiedział się, że pracuję u Olewnika, zaczął mnie wypytywać, co wiem o porwaniu. Wielokrotnie potem dawał mi do zrozumienia, że może wiedzieć, gdzie znajduje się Krzysztof. Powiedział, że może być pośrednikiem między porywaczami a Olewnikiem. Wiedział, że Krzysztof jest przetrzymywany, że bandyci podają mu narkotyki”. Chwalił się, że to on decyduje, co Olewnik ma napisać w listach do rodziny. Pokazywał jej tekst, wiernie potem odwzorowany w jednym z listów porwanego, znalezionym w miejscu wskazanym przez kidnaperów.

Wypytywał ją, gdzie wyjechał Olewnik, w jakiej kondycji jest firma, jaka jest rentowność. Kiedy Grączewska zaczęła o tym informować publicznie, została wyrzucona z SLD. Andrzej Piłat - szef mazowieckiego SLD uzasadniał decyzję tym, że "zdradziła ideały lewicy".

Gdy w 2002 roku K stracił stanowisko wicestarosty sierpeckiego, z pomocą przyszedł mu Piłat. Załatwił mu posadę dyrektora spraw socjalnych w Orlenie, a potem stanowisko prezesa Orlen Laboratorium. Od ponad roku Grzegorz K jest prezesem Spółdzielni Mieszkaniowej "Koloniaszka" na warszawskiej Woli.

Ten człowiek, o jakże bogatym życiorysie znał również wielu mniej, lub bardziej ważnych gangsterów. Do kręgu jego znajomych można zaliczyć Krzysztofa Mrozowskiego pseudo "Fragles". To bandyta powiązany z gangiem "Mutantów". Grupa zajmowała się wymuszeniami, egzekucjami na zlecenie a także kradzieżami TIR-ów ze stałą kwasoodporną. Miała kontakty z rosyjską i ukraińską mafią. Mrozowski to człowiek, którego znał również Krzysztof Olewnik i Jacek Krupiński. Obaj, już na długo przed porwaniem otarli się o gang "Mutantów". Cztery lata przed porwaniem Olewnik kupił kradzione BMW, którym wcześniej jeździł Krzysztof Brodacki ps. "Rudy", killer z gangu "Mutantów". W kupnie trefnego BMW pomagał Olewnikowi Wojciech Kęsicki, szef policji w Drobinie. Nie warto chyba dodawać, że K znał dobrze Jacka Krupińskiego i rodzinę Olewników i prawdopodobnie to on właśnie pomógł firmie Krup-Stal w załatwieniu intratnego kontraktu na dostawę stali do budowy płockiego mostu.

Znajomymi K byli porywacze i zabójcy Olewnika - szef grupy - Wojciech Franiewski (o którym pisałem w poprzednim wpisie) oraz Ireneusz Piotrowski ps "Bokser", który więził i maltretował Krzysztofa Olewnika. Co do tych znajomości, były prezes Orlen Laboratorium tłumaczył je „błędami młodości”, lecz kontaktów z gangsterami nie zerwał.

Warto postawić ważne pytanie, na które odpowiedź wydaje się tylko jedna - jak człowiek bez żadnych kompetencji, niemal przypadkowy „gość z ulicy”, staje się z dnia na dzień wysokim urzędnikiem samorządowym, a następnie prezesem w największej polskiej firmie? Co było „motorem” kariery Grzegorza K? Za prezesury Zbigniewa Wróbla, K został zastępcą dyrektora do spraw korporacyjnych i kontaktów ze związkami zawodowymi, następnie prezesem Orlen Laboratorium, pełnił także funkcję dyrektora biura i szefa kampanii wyborczej Andrzeja Piłata, a przed wyborami 2005 roku organizował kampanię wyborczą Jolanty Szymanek-Deresz, startującej z okręgu płockiego.

Ponad wszelką wątpliwość, Grzegorz K był człowiekiem „przydatnym”, a nawet niezbędnym w tamtym okresie. Jego znajomości z przestępcami musiały stanowić ważny atut, decydujący o użyteczności dla środowiska tzw. polityków lewicy. Nie trzeba szczególnej przenikliwości, by zrozumieć, że K spełniał rolę „łącznika”, pomiędzy politykami SLD, a strukturami przestępczymi i ta „właściwość” zdecydowała o pozycji, jaką zajmował w okręgu płockim. Nikt inny jak właśnie on nadawał się do roli, którą przyszło mu odegrać w sprawie porwania Olewnika. Znał wszystkie strony: porywaczy, porwanego, zleceńodawców i „koordynatorów” porwania - czyli ludzi mafii pruszkowskiej. Będę jeszcze o tym pisać, ale dość zauważyć, że średnio inteligentni, pospolici kryminaliści - porywacze, nie mieli żadnych szans na rozgrywanie sprawy przez kilka lat. Ich zadanie mogło polegać na porwaniu i przetrzymywaniu Olewnika. Koordynacją akcji, inicjowaniem rzekomych prób uzyskania okupu, kontaktami z rodziną porwanego i „zabezpieczeniem” sprawy musieli zajmować się „fachowcy”. Taki nadzór nad porwaniem był sprawowany od początku... do chwili obecnej.

Nie zachłanność na łatwe pieniądze była powodem kontaktów K z Włodzimierzem Olewnikiem, choć zdobyte w ten sposób kwoty w poważny sposób umniejszały majątek „niepokornego”. Myślę, że K miał obserwować nastroje w rodzinie Olewnika i utrzymywać ją w „oficjalnym” przekonaniu, że porwanie jest dziełem pospolicznych kryminalistów, którym chodzi wyłącznie o okup. Z drugiej strony (i nie ma w tym sprzeczności) - jego zaangażowanie miało zostać odebrane przez Olewnika jako czytelny sygnał, że szansa powrotu syna zależy od współpracy z lokalnymi politykami SLD, że tylko oni mogą mieć wpływ na dalszy przebieg sprawy. „Umocowanie” K - pomiędzy szefem mazowieckiego SLD - Andrzejem Piłatą, a szefem grupy porywaczy - Wojciechem Franiewskim i „ludźmi z miasta” - stwarzało mu idealną pozycję, dzięki której przepływ informacji i decyzji był zapewniony i optymalny. Nie pozbawione sensu byłoby pytanie - czy to właśnie Grzegorz K, miał być owym „naznaczonym” przez „układ płocki” współnikiem w interesach Olewnika, którego odrzucenie, według jednej z hipotez, stało się powodem porwania syna biznesmena?

Ważnej roli K, dowodzi również fakt, że był i jest człowiekiem chronionym, przez tzw. stróżów prawa i wymiar sprawiedliwości. Nie kto inny, jak sam komendant Komendy Wojewódzkiej Policji w Płocku - Maciej Książkiewicz, nadzorujący grupę policjantów prowadzących działania operacyjne w sprawie porwania, osobiście anulował policyjny wniosek do sądu o objęcie podsłuchem K, pomimo, iż istniały wszelkie przesłanki, aby został on sprawdzony. Notatka na ten temat znajduje się w aktach operacyjnych tzw. grupy Mindy. Gdy w maju 2005 roku CBŚ zatrzymało K postawiono mu kompletnie „abstrakcyjne”, w stosunku do sprawy zarzuty i wypuszczono na wolność. Włodzimierz Olewnik powiedział wówczas - „Na temat związku Grzegorza K. z tą sprawą mam swoje zdanie, ale wolę go na razie nie upubliczniać”.

W związku z jednym z zarzutów - posiadania fałszywego dokumentu - istnieje niezwykle interesujący wątek, związany z obiegiem pieniędzy pochodzących z okupu. Lata 2001 -2003 (kiedy zbierane były pieniądze i podejmowane kolejne, rzekome próby ich podjęcia) to czas kiedy euro dopiero pojawiło się na polskim rynku. 300 tys. euro porywacze chcieli otrzymać w nieistniejących banknotach o nominale 1000 euro. Ostatecznie, kwotę okupu zebrano w banknotach 500 euro. Numery banknotów Olewnikowie szczegółowo spisali. Gdy po jakimś czasie, w obiegu zaczęły pojawiać się pieniądze pochodzące z okupu, stało się to na terenie Niemiec. Byłoby to logiczne, gdyż w Polsce wydawanie tak dużej sumy i to w obcej walucie, o dużych nominałach mogło wzbudzić podejrzenia. Podobno pierwszy banknot został przywieziony do Polski przez kobietę, która wymieniła pieniądze w bankomacie tuż przy granicy, potem pojawiły się inne, ale wszystkie zostały przywiezione z Niemiec. Jak mogły tam się znaleźć? Otóż, istnieje zadziwiająca zbieżność, że Grzegorz K miał w domu fałszywy, niemiecki dowód tożsamości, co stało się przyczyną postawienia mu w 2005 roku zarzutu. Dokumenty znalazła policja w czasie przeszukania. W jakim celu polityk SLD i ówczesny prezes w Orlenie przechowywał fałszywe dokumenty, na podstawie których można było przekroczyć granicę? Czy policja (a nie sąd?) sprawdzała, kiedy i w jaki sposób korzystano z tych dokumentów? Czy założono na ich podstawie konto w niemieckim banku?

Gdy poznawałem osobę Grzegorza K., nasunęło mi się nieodparte skojarzenie z inną barwną postacią, której podobieństwo kariery życiowej wydaje się równie spektakularne. Oba łączy płocki Orlen, osoba Andrzeja Piłata i nie tylko...

Myślę o Robertcie G, z zawodu weterynarzu, startującym w 1997 r. do sejmu z listy Unii Wolności. Człowiek ten nagle, w 1999 r. za czasów ministra rolnictwa Jacka Janiszewskiego został wiceszefem służb weterynaryjnych. Rok później, już za czasów ministra Artura Balazsa, został wiceministrem rolnictwa nadzorującym sprawę weterynarii. Gdy po wyborczym zwycięstwie SLD w roku 2001 i zmianie rządu zamiast - jak cała stara ekipa - pójść w odставку, wszedł do najpotężniejszej spółki paliwowej. Został w Orlenie dyrektorem biura ds. biopaliw, ubiegając Andrzeja Śmietankę, doradcę prezydenta Kwaśniewskiego. W Orlenie Robert G pełnił kilka ról: dyrektora biura ds. biopaliw, zastępcy dyrektora ds. rozwoju spółki, członka rady fundacji „Dar serca”. Był najbardziej zaufanym człowiekiem prezesa Wróbla, jego łącznikiem ze wszystkimi działami. Do niego zwracali się interesanci, chcący coś załatwić u prezesa Orlenu.

Nasz bohater Grzegorz K musiał doskonale znać pana G, gdy obaj pracowali w Orlenie, przyjęci w tym samym czasie na eksponowane stanowiska, ciesząc się zaufaniem prezesa Wróbla - protegowanego Millera i Kwaśniewskiego. Łączył ich również fakt, że obaj posiadali wpływowych, politycznych patronów; Grzegorz K - Andrzeja Piłata, zaś Robert G - Artura Balazsa z ówczesnego Stronnictwa Konserwatywno Liberalnego. Orlenowska kariera pana G wydaje się jeszcze bardziej zadziwiająca, gdy weźmiemy pod uwagę, że poprzednik Wróbla, prezes Andrzej Modrzejewski (którego pozbyto się metodą kombinacji operacyjnej), był jednym z totumfackich właśnie Artura Balazsa, nazywanego „ojcem chrzestnym” polityczno-biznesowych powiązań w szeroko pojętej branży rolnej. Najwyraźniej Orlen, w roku 2002 stał się miejscem gdzie potrafiąco połączyć wiele interesów...W ówczesnych interesach tej spółki, a raczej ludzi, którzy w niej pracowali i polityków z nią związanych, należy poszukiwać odpowiedzi na wiele, niepokojących pytań.

Myślę, że warto będzie jeszcze wrócić do pana G - tym bardziej, że prócz wspólnego miejsca i czasu, jakie łączą tę postać z głównymi bohaterami sprawy Olewnika, jest jeszcze na horyzoncie osoba, z którą znajomość spina, niczym niewidzialna kłama wielu orlenowskich „najemników”. To wspomniany już w poprzednim tekście Nikołaj Zachmatow, szef przedstawicielstwa handlowego Federacji Rosyjskiej przy ambasadzie rosyjskiej.

Ale to już temat, który otwiera drogę do kolejnego, jeszcze głębszego kręgu „polskiego piekła”.

CDN...

Źródła:

<http://www.polskatimes.pl/fakty/kraj/82268, chcialem-tylko-pomoc-olewnikom,id,t.html#material>
http://historia-porwania-krzysztofa-olewnika.blog.onet.pl/1,AR2_2009-01-26_2009-02-01,index.html
<http://miasta.gazeta.pl/plock/1,89420,2705837.html>
<http://serwisy.gazeta.pl/kraj/1,34317,2319039.html>

MARZEC 2009

02.03.2009 11:24 53

265. KRĄG CZWARTY - MAFIA

By uczynić następny krok i zejść w głębszy krąg polskiego piekła, trzeba wpierw zdefiniować dwa terminy, bez których świadomości sprawa uprowadzenia i zabójstwa Krzysztofa Olewnika będzie tylko kryminalną zagadką. Mafia i ORLEN.

Jeżeli mówić o „polskiej mafii”, to raczej jako o organizacji postkomunistycznej nomenklatury oraz byłych funkcjonariuszy i współpracowników komunistycznej policji politycznej, niż o „zwykłej” mafii kryminalnej. Cechą, która zdecydowanie odróżnia „klasyczną” mafię - powstałą jako tajna społeczność sprzeciwiająca się władzy, od polskiej hybrydy jest fakt, że „nasza” mafię zorganizowało państwo komunistyczne, a udoskonalili III RP. Totalitarny ustrój PRL - u bez problemu kontrolował i czerpał korzyści również z tak ważnej sfery aktywności, jak zorganizowana przestępczość. Jakie były początki tego zjawiska?

W „Alfabecie Mafii” Ewy Ornackiej i Piotra Pytlakowskiego, można usłyszeć m.in.: „Tymczasem już wtedy (lata 80-ąte) w głębokim cieniu działała prawdziwa przestępczość zorganizowana - czarny rynek walutowy. Cinkciarze stali przed Peweksami i hotelami. Skupowali głównie od obcokrajowców, waluty, płacili ceny realne, a nie oficjalne, które były wielokrotnie niższe. Przykładowo w latach 70-ątych, państwowe banki płaciły, za USD zaledwie 30 zł, a cinkciarze 140. Sprzedawali je po 160. Różnica pomiędzy ceną skupu, a sprzedaży dawała duży zysk. Dlaczego onnipotentne państwo przymykało oczy na konkurencję, która bezczelnie pozbawiała budżet wpływów? Koników walutowych chroniła organizacja sterująca tym rynkiem. Cinkciarze czasem zamykano, ale szybko wychodzili na wolność. Gazety pisały, że w sieci wpadają tylko płotki, a rekiny pozostają bezkarne. (...) Rekiny - prywatni bankierzy, obracali wielkimi pieniędzmi, mogli sfinansować każdą transakcję. Rekiny nigdy nie wyszły z ukrycia. Chroniła ich potęga SB MSW. W zamian SB, otrzymywała cenne informacje i, co może było jeszcze cenniejsze, nieformalnie opodatkowała czarny rynek dewiz. Dziś wiadomo, że SB, korzystała z tzw. lewej kasy. Organizowana za nią operacje specjalne, ale też wysocy oficerowie resortu spraw wewnętrznych zaspokajali z tych pieniędzy swoje prywatne potrzeby. Państwo nie miało nad SB, praktycznie żadnej kontroli”. Warto też zacytować, co „Alfabety mafii” mówi o „Pruszkowie”:

„Milicja zmieniona w policję dopiero uczyła się nowych obowiązków. Wszelkimi siłami odcinano się od PRL, przy okazji spuszczając ze smyczy tzw. osobowe źródła informacji, czyli agentów milicji i SB w świecie przestępczym. Wielu znanych w latach 90-ych gangsterów w poprzedniej dekadzie zajmowało się cinkciarstwem. Wśród waluciarzy SB miała mocną agenturę. Większość esbeków zweryfikowano negatywnie i rolę się odwróciły. Teraz oni stali się agenturą świata przestępczego. Gangsterzy wykorzystywali ich kontakty i znajomości z milicjantami przemianowanymi na policjantów, z prokuratorami, a nawet z sędziami. Wszyscy przestępcy, znani dzisiaj jako ojcowie chrzestni mafijnych grup, w latach 80-ych dziwnie łatwo wyjeżdżali do Niemiec (RFN) na wielomiesięczne pobyty. Bez problemów dostawali paszporty w czasach, kiedy nie było to wcale takie proste. Niemiecką mekką polskich złodziei był wtedy Hamburg i inne miasta nadmorskie. Bywali tam „Nikoś”, „Pershing”, „Wariat”, „Oczko”, a także podobno „Masa”, „Kielbasa” i „Stowik”. - Istniał dyskretny nadzór ze strony SB nad pruszkowską bandą „Barabasza”. (...) To była swego rodzaju opieka. (...) Za czyny, które ludzie „Barabasza”, popełniali, można było trafić do ciupy na bardzo długo. A oni nie trafiali. (...) W „Uroczej” (knaipa w Pruszkowie w latach 80-ych), bandyci „Barabasza” zajmowali połowę sali, drugą okupowali milicjanci po służbie. (...) Po kilku półlitrowkach, lody przełamywano i dochodziło do ogólnego zbratania, stoliki łączono i pito wspólnie. (...) Tak rodzą się nieformalne więzi. (...) Dzisiaj już wiemy, że wielu zwykłych złodziei z czasów PRL, członków bandyckich grup dokonujących włamań i napadów, dzięki opiece ludzi z perelowskich służb specjalnych w III RP zmieniło się w opromienionych sławą mafiosów, liderów „Pruszkowa”, „Wotomina” i wielu innych przestępczych grup zorganizowanych”.

W roku 2006 Sylwester Latkowski i Wojciech Sumliński w artykule „Przyjaciele mafii” napisali.: „W zeznaniach Zdzisława Herszmana i Wojciecha Papiny, ważnych postaci w polskiej mafii, pojawiają się największe afery III RP, w tym zabójstwo generała Marka Papaty czy sprawy badane przez sejmową komisję ds. PKN Orlen. Z tych zeznań wynika, że w latach 90. setki oficerów byłej SB i milicji mających kontakty z przestępczym podziemiem po prostu stanęło na jego czele. I zaczęli wykorzystywać państwowe służby, w tym BOR i policję. To nie przypadek, że najgroźniejszymi polskimi przestępcami zostali Jeremiasz Barański (Baranina), Andrzej Kolikowski (Pershing), Leszek Danielak (Wańka) czy Nikodem Skotarczak (Nikoś) - współpracownicy milicji lub SB. Dla swoich opiekunów prowadzili oni lewe interesy jeszcze w latach 70. i 80. Mafia miała swoich ludzi w sferach bankowych, biznesowych i w policji, przekształconej z milicji. Po tym przekształceniu część funkcjonariuszy pracowała na dwa fronty - w policji i dla mafii. Historie opowiedziane przez Zdzisława Herszmana, Wojciecha Papinę, Marka Minchberga i innych świadków pokazują, że siłą mafii nie był kij bejsbolowy czy karabin maszynowy, ale oparty na powiązaniach z czasów PRL układ, w którym „Pruszków” to były tylko „doty”. [...]

„Zeznania świadków wskazują, że to agenci tajnych służb PRL (a niekiedy także III RP) organizowali nielegalny handel paliwami, alkoholem, zakładali firmy ochroniarskie, działali w handlu zagranicznym, handlu bronią, podejmowali działalność parabankową. Każdy, kto wszedł im w drogę, był korumpowany, szantażowany albo likwidowany.[...] Układ musi w jakiejś formie istnieć do dziś, skoro tak trudno jest rozwikłać największe afery III RP. Jak bowiem inaczej wyjaśnić fakt, że mimo iż zeznania, które cytujemy, są znane od kilku lat, tajne służby, policja i prokuratura nic z tą wiedzą nie zrobiły”.

Powstająca na początku lat 90-ych „polska „mafia, tworzona była w dwojaki sposób: od góry - przez coraz bardziej skorumpowanych polityków i urzędników, którzy wykorzystując władzę przejmowali strategiczne działy gospodarki państwa oraz od dołu - przez coraz lepiej zorganizowanych drobnych przestępców. Można powiedzieć, że w tym procesie nieuczciwi politycy „kryminalizowali się”, a przestępcy „cywilizowali”. Obie grupy spotykają się zazwyczaj w połowie drogi, - gdy politycy potrzebują partnerów z gotówką w celu przejęcia kolejnego atrakcyjnego kąska gospodarki (ewentualnie osłony interesu przed innymi lub może sztuczne stworzenie monopolu) lub, gdy kryminaliści poszukują osłony i kontaktów dla legalizacji zasobów finansowych zdobytych w wyniku przestępstw. Wiele wskazuje na to, iż swoistymi pośrednikami między tymi grupami, są ludzie znający świetnie oba środowiska, czyli byli funkcjonariusze komunistycznych służb specjalnych.

Myślę, że w sprawie porwania i zabójstwa Olewnika doszło właśnie do takiego spotkania w połowie drogi, gdy interesy politycznych bossów wymagały wsparcia ze strony przestępców, przy czym do bezpośredniego wykonawstwa użyto pospolicznych kryminalistów, zza których plecami działali „fachowcy” z mafii. Miejscem, w którym spotykały się interesy wszystkich stron był płocki Orlen, którego ówczesny zarząd nieprzypadkowo nazywano „SLD w miniaturze”.

Z chwilą objęcia władzy przez komunistów, rząd Millera natychmiast przystąpił do „odzyskania” Orlenu. Usunięcie Modrzejewskiego, przy współudziale służb specjalnych, zarządzanych przez Siemiątkowskiego, otworzyło tzw. lewicy drogę do zarządu spółki. Prezesem został Zbigniew Wróbel popierany przez prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego (miał go wspierać także najbogatszy Polak Jan Kulczyk, akcjonariusz PKN Orlen). Inni członkowie zarządu (wszyscy w randze wiceprezesa) również mieli wpływowych protektorów. Janusz Wiśniewski zawdzięczał nominację Krzysztofowi Janikowi, Jacek Strzelecki - Leszkowi Millerowi, Sławomir Golonka był protegowanym Wiesława Kaczmarka, a Andrzej Macenowicz (

współpracownik WSI, pseudo.Parys) - Józefa Oleksego. Nic dziwnego, że gdy w szeregach SLD zaczęły się rozłamy, walki frakcyjne zaczęły się też w zarządzie Orlenu. Mówiło się wręcz o dwóch zarządach - "małym", który tworzyli Zbigniew Wróbel i Sławomir Golonka, i "dużym", skupiającym pozostałych menedżerów. W ten sposób w PKN Orlen i spółkach, które do niego należały, krzyżowały się wpływy i interesy finansowe wszystkich frakcji SLD.

W artykule - „Państwo mafia” - Jana Pińskiego z roku 2005, w którym autor przedstawia efekty działalności sejmowej komisji śledczej ds.PKN Orlen, możemy przeczytać:

„W Polsce działa mafia, której oparciem są najwyżsi rangą politycy - wynika z przyjętego sprawozdania sejmowej komisji śledczej badającej tzw. sprawę Orlenu [...]. Jeżeli tropem komisji podaży prokuratura, to polski establishment powstały po 1989 r. przestanie istnieć. Podobnie stało się we Włoszech w 1994 r., gdy seria skandali korupcyjnych (słynna operacja "Czyste ręce") zmiotła ze sceny 80 proc. polityków, zarówno chadeków, jak i socjalistów. "Skala i proceder działań przestępczych związanych z branżą paliwową wskazują, że mamy do czynienia ze zorganizowaną przestępczością opartą na powiązaniach kapitałowo-osobowych, powiązanych również z kręgami administracji rządowej i szeroko rozumianych organów ścigania. [...]Raport komisji czyta się jak kryminał: kilkaset firm zamieszanych jest w pranie brudnych pieniędzy i oszustwa podatkowe, które rocznie kosztują skarb państwa, czyli nas, podatników, miliardy złotych. To wszystko wiąże się z lewymi interesami prywatnych firm z PKN Orlen i jego poprzedniczką - Petrochemią Płock [...]"

Jak wiemy - raport komisji śledczej okazał się niewiele znaczącym dokumentem, nad którym pochylili się jedynie tropiciele „teorii spiskowych”, a żadne z zawartych w nim wniosków nie doczekały się nigdy realizacji. Nie będzie nadużyciem stwierdzenie, że w latach rządów Millera „polska mafia” - czyli triumwirat służb, biznesu i polityków, przy wsparciu pospolitych przestępców najpełniej „objawił” się w płockim układzie, działającym w cieniu PKN Orlen. Dlatego próba dotarcia do prawdy o „sprawie Olewnika”, musi odstąpić kulisy tego układu, musi ukazać ludzi polityki, służb, biznesu i wymiaru sprawiedliwości, tworzących ponurą, mafiijną rzeczywistość III RP. Ponieważ ten układ nie miał barw partyjnych i łączył „ponad podziałami”, można mieć uzasadnione wątpliwości czy efekty pracy obecnej komisji sejmowej nie będą identyczne, jak w przypadku komisji „orlenowskiej”.

To pogłębienie znaczenia pojęć „mafia” i „Orlen”, funkcjonujących w tle sprawy Krzysztofa Olewnika powinno wystarczyć, by we właściwym świetle ocenić rolę Andrzeja Piłata - tzw. barona SLD na Mazowszu, politycznego patrona kariery Grzegorza K - bohatera poprzedniej odsłony „Kręgów”, zatytułowanej „Łącznik”. Wiemy, że Grzegorz K był bardzo bliskim współpracownikiem Andrzeja Piłata. To Piłat otaczał Korytowskiego opieką i zapewniał polityczne poparcie. Dzięki temu, Korytowski w czasie rządów lewicy (2001 - 2005), niemal z ulicy został jednym z dyrektorów w płockim Orlenie.

Sam Piłat to postać nietuzinkowa, skoro jego nazwisko pojawia się w kontekście działalności niezwykle ciekawych spółek i osób (Megagaz, EkoTrade). Przypominałem o tym w pierwszym tekście „Kręgów”, a szeroko o spółkach, z którymi związany jest Piłat pisałem w styczniowym tekście KRĘGI PIEKŁA.

W czasach, gdy porwano Olewnika, Andrzej Piłat to główna figura, w szeregu poskomunistycznych działaczy zaangażowanych w realizację budowy płockiego mostu. Wiemy, że kontrakty na dostawę stali do tej inwestycji, mogły być powodem zainteresowania spółką Krup - Stal, której właścicielami byli Krzysztof Olewnik i Jacek Krupiński. Prawdopodobnie Krup - Stal, za wiedzą Krupińskiego handlowała również stalą pochodzącą z napadów na tiry oraz przemycaną na ogromną skalę z Rosji, a nieograniczony zbył w płockim Orlenie zapewniał spółce Grzegorz K. i jego polityczny patron.

Jednak Andrzej Piłat nie stronił też od innych interesów. Włodzimierz Olewnik twierdził, że na krótko przed porwaniem syna otrzymywał liczne, lukratywne propozycje. Chodziło głównie o ułatwienia w zakupie kolejnych państwowych zakładów mięsnych. Propozycje padały ze środowiska płockiej lewicy. Jedną z takich propozycji była oferta kupna upadających państwowych zakładów mięsnych na Służewcu i w Mławie - po wyjątkowo atrakcyjnej cenie. Swoją pomoc przy tej transakcji zadeklarował właśnie Andrzej Piłat. Propozycje korzystnych interesów składał także były Komendant Komendy Wojewódzkiej w Płocku - Maciej Książkiewicz. Chciał, aby Włodzimierz Olewnik kupić jakiś zakład "na spółkę" z kolegą komendanta. Olewnik jednak nie skorzystał z tej propozycji. Obawiał się, że za transakcją może się kryć konieczność zapłacenia łapówki. W sprawie ofert występuje również pośrednik w handlu świniami, niejaki Andrzej Ł., który proponował Olewnikom swoje usługi krótko przed porwaniem. Ponieważ wiarygodność pośrednika od początku budziła podejrzenia handlowców z firmy Olewnika, nie skorzystano z jego propozycji. Wkrótce po porwaniu Andrzej Ł. zaoferował Włodzimierzowi Olewnikowi swoją pomoc w zdobywaniu informacji o losach Krzysztofa. Pod tym pozorem otrzymał od rodziny Olewników 160 tysięcy złotych. Jak wynikało z informacji TVN-owskiego „Superwizjera”, Andrzej Ł. mógł być współpracownikiem ABW.

Jeśli sam Olewnik twierdzi dziś uparcie, że „w tej sprawie wcale nie chodziło o okup - chodziło o przejęcie mojego majątku”, nie ma powodu, by nie wierzyć jego słowom. Skoro wkrótce po porwaniu banki wypowiedziały firmie Olewnika kilkanaście milionów złotych kredytów, a wszelkie możliwe urzędy rozpoczęły nękające kontrole, doprowadzając przedsiębiorstwo na skraj bankructwa - musiał być to scenariusz opracowany przez zleceniodawców porwania i stanowił integralną część koncepcji ich działania. Również nasytanie na rodzim Olewników wszelkiej maści naciągaczy, żerujących na tragedii miało na celu doprowadzenie do finansowego upadku Włodzimierza Olewnika. Jak twierdzi sam poszkodowany, na różnego rodzaju „pomocników” przeznaczył w sumie olbrzymią kwotę 5 mln złotych. Czy zatem firma miała upaść, aby zainteresowane osoby mogły ją kupić od syndyka za cenę znacznie poniżej rzeczywistej wartości? Odrzucenie, której z wymienionych powyżej ofert mogło skłonić „towarzyszy spod ciemnej gwiazdy” do aktu zemsty i porwania Krzysztofa Olewnika? Istnieje jednak jeszcze inna możliwość, która, jak sądzę nigdy nie była przedmiotem zainteresowania organów ścigania i nie została uwzględniona jako motyw działania mocodawców.

Otóż, nie można wykluczyć, że firmy Włodzimierza Olewnika i jego syna Krzysztofa były potrzebne lokalnej mafii, jako ogniwa w systemie nielegalnego transferowania pieniędzy do kasy SLD. Mechanizm takich transakcji, w których komuniści mieli ogromne doświadczenie został precyzyjnie opisany we Wprost z roku 2004, w artykule Jarosława Jakimczyka „Przelewy w Płocku”. Autor twierdzi, że w Płocku funkcjonowała wzorcowa lewa kasa, z której finansowano polityków SLD i opisuje przypadek szanowanego przedsiębiorcy Zbigniewa D, który w roku 1999 zapisał się do SLD, dając się zwieść mirażowi władzy, jaki roztoczyli przed nim płoccy działacze. Prawdziwym powodem ich zainteresowania osobą Zbigniewa D. były jego trzy firmy: Atlantic, PPH Viz-Atlantic i PHU Novum. Były one wykorzystywane w systemie nielegalnego transferowania pieniędzy do kasy SLD w Płocku, a samemu przedsiębiorcy powierzono organizację systemu finansowania partii. Biznesmen zgodził się, licząc, że SLD wygra wybory samorządowe w 2002 r. i mu się odwdzięczy.

Jakimczyk pisał m.in.:

„Zbigniew D. został dopuszczony do największych tajemnic partii, bo cieszył się zaufaniem ówczesnego mazowieckiego barona SLD - Andrzeja Piłata (obecnie sekretarza stanu w Ministerstwie Infrastruktury), którego poznał w latach 60. Według

źródła zbliżonego do plockiej rady miejskiej, Zbigniew D. prowadził lewą kasę partii w mieście. Pieniądze wpływające do kasy nie były oficjalnie ewidencjonowane, nie trzymano ich na koncie w banku. Sumy te zapisywano w specjalnym zeszycie. Po każdej operacji wpłaty lub wypłaty wydzierano i niszczone kartkę z poprzednim saldem. Na nowej kartce odnotowywano jedynie stan bieżący - pod hasłem "bilans otwarcia". Na tej kartce podpisywały się dwie zaufane osoby, w tym trzymający lewą kasę Zbigniew D. Przed nim funkcję kasjera - jak twierdzi nasz informator - pełnił Stanisław Jakubowski, obecny prezes PERN, który wcześniej był wiceprezydentem, a następnie prezydentem Płocka. [...] Tylko w 2002 r. w zeszycie dokumentującym funkcjonowanie lewej kasy SLD w Płocku zaksięgowano 1,5-2 mln zł. Z relacji, jakie mamy, wynika, że pieniądze wpłacał do lewej kasy m.in. Wojciech Hetkowski, mąż zaufania posła Piłata, który kieruje obecnie organizacją miejską SLD w Płocku (wcześniej był on prezydentem Płocka). Przynosząc gotówkę, Hetkowski miał czasem mawiać "wygraliśmy przetarg", co oznaczało, że w rządzonym wówczas przez SLD Płocku o wyniku przetargu zdecydowała łapówka.[...] Jak funkcjonowała lewa kasa? [...] kampania Wojciecha Hetkowskiego w 2002 r. wymagała zaangażowania dodatkowych funduszy ze względu na dogrywkę w drugiej rundzie wyborów. Jej koszty pokryto z pieniędzy księgowanych w zeszycie prowadzonym przez Zbigniewa D. Płock dosłownie zalepiono plakatami Hetkowskiego. Pieniądze na druk plakatów i produkcję gadżetów pochodziły m.in. z drukarni Rytter Investment Zbigniewa Ryttera. Drukarnia Ryttera wystawiła firmom Zbigniewa D. faktury za fikcyjne usługi. Przykładowo: fakturę 0676/MP02/TV wystawiono 25 października 2002 r. dla spółki Atlantic SA za "widokówki/sprzedaż widokówek/5400 szt.". W rzeczywistości żadna z trzech firm Zbigniewa D. nigdy nie zamawiała w drukarni Rytter Investment żadnych usług. Chodziło wyłącznie o przepompowanie pieniędzy na potrzeby SLD. [...] Spółki Zbigniewa D. same również wystawiały faktury za fikcyjne usługi, na przykład dla firmy plockiego dealera samochodów Auto Skoda - Wojciechowski. Tymczasem spółki te nigdy nie wykonywały żadnych usług dla tego dealera. Chodziło tylko o to, żeby pieniądze od Wojciechowskiego zasiliły lewy fundusz wyborczy Wojciecha Hetkowskiego. Firmy Zbigniewa D. na podobnej zasadzie wystawiły też faktury obciążające Urząd Miasta w Płocku. Jako tytuł płatności wpisywano najczęściej książki. Z dokumentów, do których dotarliśmy, wynika, że po lewe faktury zgłaszał się i kwitował ich odbiór Adam Zbyszewski, społeczny asystent posła Andrzeja Piłata. Gdyby podliczyć wszystkie lewe faktury, w których zamawiającym lub odbiorcą w 2002 r. były firmy Zbigniewa D., wysłaby suma około 800 tys. zł".

Gdy Hetkowski przegrał wybory, Zbigniew D. upomniął się o zwrot kosztów. Zaczął się też obawiać wyników kontroli prowadzonej w jego firmach przez urząd skarbowy. Dzięki kontaktom Hetkowskiego z naczelnik US w Płocku inspektorzy skarbowi kontrolujący firmy Zbigniewa D. nie zgłosili żadnych zastrzeżeń do faktur z 2002 r. Zakwestionowali natomiast kilka rachunków za usługi, które zostały faktycznie wykonane. Gdy Zbigniew D. chciał złożyć zastrzeżenia do protokołów pokontrolnych, został zatrzymany przez Centralne Biuro Śledcze i pod zarzutem oszustwa trafił do aresztu śledczego. Przesłuchujący Zbigniewa D. oficerowie CBŚ w początkowej fazie śledztwa pytali go o nielegalne operacje finansowe, których beneficjentem był plocki SLD i związane z nim firmy. Gdy ze stanowiska zastępcy komendanta głównego policji odwołano gen. Adama Rapackiego (nadzorował on CBŚ), przesłuchujący przestali się interesować finansowaniem SLD w Płocku. Podczas ostatnich przesłuchań podejrzanemu sugerowano nawet, by "dogadał się jakoś" z przewodniczącym plockiego SLD Wojciechem Hetkowskim. Gdy Zbigniew D. zorientował się, że został kozłem ofiarnym, postanowił ujawnić rolę, jaką w tuszowaniu nielegalnych operacji finansowych SLD odegrali Wojciech Hetkowski oraz urzędnicy skarbowi i zawiadomił generalnego inspektora kontroli skarbowej Wiesława Ciesielskiego (SLD). Ciesielski został też poinformowany, że liderzy plockiego SLD używali jego nazwiska "jako swoistego strasznaka i legitymacji (...) nieuczciwych działań". Z pisma Zbigniewa D. wynika, że Wojciech Hetkowski zapewniał go, iż wiceminister Ciesielski uzna kontrolę w jego firmach "za niebytą". "To jest kumpel Andrzeja Piłata i Andrzej z nim na ten temat już rozmawiał. Wszystko będzie dobrze - nie masz czym się denerwować" - uspokajał Hetkowski Zbigniewa D. miesiąc przed jego aresztowaniem. Płocka prokuratura rejonowa zareagowała na zawiadomienie Zbigniewa D. postawieniem mu nowych zarzutów. Dopiero w kwietniu 2004 r., gdy Zbigniew D. złożył skargę w Prokuraturze Krajowej, wszczęto odrębne śledztwo "w sprawie składania fałszywych zeznań w Urzędzie Skarbowym w Płocku, tworzenia fałszywych dowodów w postępowaniu podatkowym, poświadczenia nieprawdy oraz płatnej protekcji". Nikomu jednak nie postawiono zarzutów.

Opisuję obszernie sprawę „plockich przelewów”, ponieważ zastosowany w niej mechanizm nielegalnego pozyskiwania środków na działalność SLD, mógł zostać z powodzeniem i na znacznie większą skalę, zastosowany wobec Włodzimierza Olewnika. Tych samych ludzi, wykorzystujących firmy Zbigniewa D, znajdujemy w otoczeniu Olewnika. Łudząco podobny jest również sposób działania organów kontroli skarbowej, traktowanych jako aparat represji i nacisku. Jeśli przedsiębiorca, tuż przed porwaniem syna, otrzymywał propozycje dochodowych interesów - byle z udziałem ludzi wskazanych przez lokalnego „barona” Piłata - sens tego przedsięwzięcia musi mieć związek z nielegalnym finansowaniem struktur SLD. Odmawiając „propozycjom nie do odrzucenia” Olewnik, (któremu zapewne przedstawiono kulisy tych operacji) naraził się na zemstę mafijnego układu. Niewykluczone, że porwaniem syna chciano wymusić ustępstwa i zgodę na „współpracę” oraz zagwarantować milczenie plockiego przedsiębiorcy. Wolno przypuszczać, że zastosowany „środek przymusu” musiał być adekwatny do wagi interesu, którego dotyczył, dlatego sędzę, że chodziło o sprawę i pieniądze znacznie większe, niż w przypadku wyzyskania firm Zbigniewa D.

Przestępcza logika działań „plockiego układu” uprawnia do twierdzenia, że za porwaniem i zabójstwem Krzysztofa Olewnika stoi „polska mafia”, twór komunistycznej bezpieki, doskonale wkomponowany w pejzaż III RP. Dlatego poszukiwań najgłębiej ukrytych mocodawców i decydentów tych działań, nie wolno ograniczać do partii postkomunistycznej i lokalnego środowiska plockiego. Podobnie, jak w klasycznej strukturze mafijnej, to nie „żołnierze”, nie „caporegima” i nie „bossowie” podejmują strategiczne decyzje i rozdzielają role poszczególnych postaci. Trzeba dotrzeć do tych, którzy z pozoru najmniej połączeni ze sprawą, tworzą głównodowodzących - niczym mafijna „commission”.

Nie opuszczając zatem bardzo ważnej osoby - Andrzeja Piłata - trzeba pójść dalej, do kolejnego kręgu „polskiego piekła”.

CDN...

Źródła:

<http://alfabetmafii.onet.pl/index.html>

<https://www.wprost.pl/ar/92647/Przyjaciele-mafii/>

<http://www.wprost.pl/ar/81259/Panstwo-mafia/>

<http://cogito62.salon24.pl/381462.html>

<http://www.wprost.pl/ar/61621/Przelewy-w-Plocku/?l=1125>

266. KRĄG PIĄTY - LUDZIE ZNIKĄD

„Kim są prawdziwi szefowie polskiej mafii, przełożeni Pershinga, Dziada czy Oczka”? - pytały przed 10 laty Ewa Ornacka i Violetta Krasnowska w tygodniku „Wprost”, w artykule „Ojcowie chrzestni”. „Pershing, Dziad czy Oczko, uważani za najważniejszych przywódców polskich zorganizowanych grup przestępczych, byli co najwyżej dowódcami „prywatnej policji”, chłopcami do brudnej roboty i pilnowania cudzych interesów. Z przestępczych „inwestycji” trafiło do ich kieszeni jedynie 5-10 proc. zysków. Nie mogli kierować podziemną Polską, gdyż za mało wiedzieli, byli zbyt łatwo identyfikowani, przez lata o ich losie decydowali prowadzący ich lub inwigilujący funkcjonariusze milicji oraz służb specjalnych.” - pisały autorki artykułu.

Kto zatem rządzi tym światem - (o którego korzeniach pisałem w poprzedniej części „Kręgów”) - gdzie szukać prawdziwych szefów układu, zwanego „polską mafią”? Czy można zlokalizować środowiska, z których wywodzą się mafijni „caporegima” i „bossowie”?

W sprawie Krzysztofa Olewnika, należy przyjąć jako pewnik tezę, że za bezpośrednim przebiegiem porwania i zabójstwa oraz wieloletnią, skomplikowaną operacją utrudniania i fałszowania śledztwa na wszystkich szczeblach władzy stał układ mafijny, łączący polityków, funkcjonariuszy służb, biznesmenów i kryminalistów.

Świadczy o tym przede wszystkim zakres działań, jakie podejmowano przez ostatnie 8 lat, by skutecznie ukryć prawdę o motywach porwania oraz ludziach, stojących za zbrodnią. Świadczy klasyczna (zgodna z mafijnym „kodem Omerta”), choć czasem wymuszana „samobójstwem” „zmowa milczenia” - począwszy od sprawców uprowadzenia, poprzez policjantów i prokuratorów, po dziennikarzy i polityków. Wreszcie - dowodem są nazwiska osób, występujących w sprawie, ich wzajemne powiązania i rzeczywiste relacje.

By wejść na drogę, prowadzącą do odpowiedzi na pytanie postawione na wstępie, posłużę się słowami „wysokiego funkcjonariusza służb specjalnych IIIRP”, cytowanymi przez autorki artykułu:

„Trzeba sięgnąć do początków tworzenia się zorganizowanych struktur przestępczych, czyli do przełomu lat 80. i 90. Do czasów żywiłowej gospodarki rynkowej, młodego kapitalizmu, a zarazem czasów rozpadu PZPR, czystek w milicji, SB i Ministerstwie Spraw Wewnętrznych Milicjanci i negatywnie zweryfikowani esbecy masowo przechodzili wówczas do biznesu. Przychodziło im to tym łatwiej, że w wielu firmach pracowali ich „podopieczni”, że mieli „haki” na członków formujących się wtedy zarządów i rad nadzorczych. Trafiali przede wszystkim do przedsiębiorstw zajmujących się handlem paliwami i alkoholem. Opanowali firmy ochroniarskie, banki, spółki polonijne i przedsiębiorstwa handlu zagranicznego. Te ostatnie były w czasach PRL często przykrywką dla działań służb specjalnych.

Dopiero, gdy firmy ustabilizowały swoją pozycję na rynku, zatrudnieni w nich funkcjonariusze milicji i służb specjalnych przypomnieli sobie o prowadzonych przez siebie przez lata tajnych współpracownikach i zaczęli korzystać z ich usług. Swoich byłych podopiecznych, często ludzi, którzy stali się niemal z dnia na dzień bogatymi i szanowanymi biznesmenami, nazywali „dyzmami”. Podręcznikowym typem „dyzmy”, człowieka znikąd, bez życiorysu, był na przykład K., kioskarz z Radomia, który w połowie lat 90. jako parlamentarzysta trafił do ważnej instytucji doradzającej ministrowi spraw wewnętrznych, dzięki czemu zyskał dostęp do najściślejszych tajemnic państwa.[...]

Prawdziwi szefowie polskiej mafii są de facto finansistami. Nierzadko zapraszają do interesów całkiem legalnie działających przedsiębiorców. Dotychczas żadnemu ministerialnemu urzędnikowi czy ważnemu politykowi nie udowodniono współpracy z przestępcami.”

Warto dostrzec, że tak przedstawione zasady funkcjonowania „polskiej mafii” są aż nadto widoczne w sprawie Krzysztofa Olewnika. Zdradza je zakres wzajemnych relacji pomiędzy głównymi bohaterami oraz ich usytuowanie w hierarchii IIIRP.

Czy pojawiający się „z ulicy” Grzegorz K, protegowany Andrzeja Piłata, nie odpowiada charakterystyce „dyzmy”, jak opisuje ludzi „znikąd” cytowany artykuł? Niewykluczone, że akurat tych bohaterów połączyła wspólna pasja sportowa, bowiem Grzegorz K był nauczycielem wychowania fizycznego w sierpeckiej podstawówce, a Andrzej Piłat działaczem sierpeckiego TKKF -u „Kubuś”, reprezentując go nawet na II Wojewódzkim Zjeździe Ognisk TKKF województwa płockiego, w roku 1981 r. Ale czy tylko pasja sportowa łączyła tych dwóch?

Ileż tajemnic nagłych i zaskakujących karier można rozwikłać, dostrzegając prawidłowość, że w III RP, a szczególnie w interesującym nas czasie i miejscu pojawiało się wielu ludzi „znikąd” powoływanych na znaczące stanowiska, wyłącznie w tym celu, by służyć interesom swoich politycznych „patronów” lub spełniać rolę „łączników”. Kto pamięta dziś Stanisława Alota, zwykłego nauczyciela z prowincji, który nie miał żadnego doświadczenia w kierowaniu wielkimi firmami, aż nagle został szefem ZUS-u? Albo Władysława Jamrożego, przeciętnego, prowincjonalnego lekarza, który najpierw został szefem PZU, a potem Totalizatora?

W kontekście sprawy Olewnika i nierozzerwalnie z nią związanych interesów płockiego Orlenu, warto ponownie wspomnieć o postaci Roberta G, startującego bezskutecznie w 1997 r. do sejmu z listy Unii Wolności. W 1999 r. ten nieznaný dotąd kielecki weterynarz został zastępcą głównego lekarza weterynarii kraju, a rok później - wiceministrem rolnictwa. Oba stanowiska zawdzięczał Arturowi Balazsowi z SKL, który kierował wówczas tym resortem. Gdy po wyborczym zwycięstwie SLD w roku 2001 i zmianie rządu zamiast - jak cała stara ekipa - pójść w odstawkę, wszedł do najpotężniejszej spółki paliwowej. Został w Orlenie szefem biura ds. biopaliw, choć przed tą nominacją był dyrektorem Stowarzyszenia Rzeźników RP. Przypomnę, że podobnie - Grzegorz K, w tym samym niemal czasie dostał w spółce eksponowane stanowisko prezesa Orlen Laboratorium. Robert G pełnił w Orlenie kilka ról: dyrektora biura ds. biopaliw, zastępcy dyrektora ds. rozwoju spółki, członka rady fundacji „Dar serca”. Był najbardziej zaufanym człowiekiem prezesa Wróbla, jego łącznikiem ze wszystkimi działami. Ale nawet po „upadku” ekipy Wróbla, Robert G nadal pracował w Orlenie. Obaj panowie - K i G - musieli doskonale się znać. Łączył ich również fakt, że obaj posiadali wpływowych, politycznych patronów; Grzegorz K - Andrzeja Piłata, zaś Robert G - Artura Balazsa z ówczesnego Stronnictwa Konserwatywno Liberalnego.

Co ważne - nazwisko Roberta G przewija się również w sprawie tajemniczej śmierci szefa Ośrodka Studiów Wschodnich Marka Karpa, o której wspominałem przed rokiem w tekście CZEGO SIĘ BOI POSEŁ GRAŚ?

Marek Karp, który w roku 2004 miał zostać ekspertem komisji „orlenowskiej”, przed swoją śmiercią sprawdzał rosyjskie kontakty „wpływowej osoby z branży paliwowej”. Jak się później okazało szukał w Rosji powiązań Roberta G, z rosyjskimi firmami paliwowymi i związanych z tym przepływów pieniężnych. Prawdopodobnie także badał, czy istniały związki G z rosyjskimi służbami specjalnym. Karp miał trafić na ślad istnienia tajnego ośrodka, w którym dochodziło do cyklicznych spotkań polityków i biznesmenów związanych z przemysłem paliwowym, z funkcjonariuszami służb Federacji Rosyjskiej.

12 sierpnia 2004 roku w Białej Podlaskiej jego auto zmasakrował białoruski tir. Choć Karp cudem przeżył wypadek, zginął w niewyjaśnionych okolicznościach miesiąc później, tuż po opuszczeniu szpitala. Kilka dni przed wypadkiem odwiedził ABW, mówił, że czuje się zagrożony. Nieoficjalnie wiadomo, że kontaktował się w Agencji głównie z gen. Maciejem Hunią, ówczesnym szefem kontrwywiadu. Na kilka dni przed wypadkiem Karp zgłosił się też do wiceprzewodniczącego komisji śledczej ds. Orlenu Zbigniewa Wassermana, twierdząc, że ma ważne informacje na temat G. Obiecał, że szczegóły poda podczas następnego spotkania. Nie zdążył.

Wiosną 2004 roku, gdy Karp kierował jeszcze Ośrodkiem Studiów Wschodnich, zorganizował w Magdalence spotkanie z przedstawicielami Agencji Wywiadu i MSZ. Ośrodek przedstawił im szczegółowy raport o zmianach w rosyjskich firmach należących do skarbu państwa - kontrolę nad nimi przejęli właśnie ludzie prezydenta Rosji Władimira Putina. Tych ludzi nazywano "siłownikami" - pochodzili z kręgu służb specjalnych i tzw. resortów siłowych. Raport dotyczył przede wszystkim spółek zajmujących się eksportem paliw, energii i surowców.

Z Robertem G, Karp zetknął się parę lat wcześniej. We wrześniu 2000 roku był z nim w delegacji rządowej, która odwiedziła Gruzję, Armenię, Uzbekistan i Azerbejdżan. Po powrocie Karp opowiadał swojemu przyjacielowi, jak ku jego zdumieniu Robert G, wtedy wiceminister rolnictwa, początkowo prawie niewidoczny, nagle ożywił się w Azerbejdżanie. Interesował się jednak nie sprawami rolnymi, lecz handlem ropą i gazem. G - jak twierdziła prasa - miał doskonałe układy w ambasadzie rosyjskiej. Był w bardzo bliskich, przyjacielskich stosunkach z Nikołajem Zachmatowem, szarą eminencją rosyjskiej ambasady, oficjalnie przedstawicielem handlowym Federacji Rosyjskiej, również dobrym znajomym Andrzeja Piłata. Postać nieżyjącego już Nikołaja Zachmatowa - pułkownika Służby Wywiadu Zagranicznego (SVR) - nieprzypadkowo przewija się w niemal każdej części „Kręgów”. Stanowi niewidzialną klamrę, łączącą ze sobą orlenowskich „najemników” i ich interesy.

Myślę, że sprawa Marka Karpa ma głęboki związek ze sprawą uprowadzenia i zabójstwa Olewnika, ukazuje bowiem niemal identyczny mechanizm, jakim posłużono się, by wyeliminować niewygodną dla układu osobę. Również w jego sprawie lokalne układy polityczne mieszają się z globalnymi interesami „polskiej mafii”, z bezprawiem organów ścigania i udziałem służb specjalnych.

To osobom związanym z rządem Leszka Millera zależało na pozbyciu się Karpa ze sceny politycznej. Karp zginął, - jak twierdzą jego przyjaciele - bo przeszkadzał lewicy w prowadzeniu własnej polityki ze Wschodem. Problemy dyrektora OSW rozpoczęły się w 2000 r. Miał już wtedy własne gospodarstwo hodowlane w Ludwinowie, pod Białą Podlaską. Wyremontował zrujnowany dworek, a potem postanowił hodować krowy. Miał ich kilkaset sztuk. Jednocześnie cały czas pracował w Warszawie, dlatego bieżące zarządzanie gospodarstwem przekazał dwóm miejscowym biznesmenom, jak się potem okazało - związanym z lewicą. Zaczęli go oszukiwać: sprzedawali na lewo jałówki, dziwne rzeczy działy się z drewnem opałowym. Kiedy Karp się w tym zorientował, postanowił zrezygnować z ich usług. Nie było to takie proste. Ostrzegli go, że całe miejscowe władze siedzą u nich w kieszeni i że będzie miał kłopoty. I rzeczywiście je miał. Nasiliły się, gdy Karp przestał „podość się” lewicy, czyli na początku 2002 r. Prokuratura sprokurowała przeciwko niemu fałszywy akt oskarżenia o rzekome, finansowe nadużycia, uderzając również w przyjaciela Karpa - biznesmena Mirosława Cieluszeckiego - jednego z najbogatszych ludzi Podlasia. Nadzorujący sprawę prokurator okręgowy w Białymstoku Sławomir Luks, groził Karpowi, że cela obok Cieluszeckiego (biznesmen był aresztowany) jest wolna. Karp miał wielokrotnie mówić, że zachowanie Luksa podczas przesłuchania przypominało próbę zastraszenia rodem z lat 80. Na marginesie - warto w tym miejscu przypomnieć, że ten sam Sławomir Luks - już jako prokurator apelacyjny w Białymstoku nadzorował sprawę Krzysztofa Olewnika, prowadzoną wówczas przez olsztyńskich śledczych.

Sugerowano również, by Karp zrezygnował ze stanowiska dyrektora OSW. Gdy poddał się politycznym naciskom, nowym dyrektorem został Jacek Cichocki (obecny sekretarz Kolegium ds. służb specjalnych przy Radzie Ministrów), lecz Karp zachował wpływy na działalność OSW i był szarą eminencją ośrodka. Nadal jednak przeszkadzał. Komu? Jego przyjaciele wskazywali te same środowiska: służby specjalne, osoby związane z rządem Leszka Millera, czy szerzej: z polską lewicą. Zwracano uwagę na aferę paliwową oraz postępowanie prowadzone przez komisję śledczą ds. PKN Orlen, a wreszcie - mafię ze Wschodu. Sam Karp twierdził, że wypadek spowodowali „nasi”. Wykluczył Rosję i inne kraje wschodnie. Był przekonany, że w całej sprawie maczały palce polskie służby specjalne.

Ważnym łącznikiem obu - z pozoru odległych spraw - są osoby „orlenowskich bossów” - Grzegorza K, w sprawie Olewnika i Roberta G, w sprawie Karpa. W obu przypadkach ludzie ci odegrali rolę „czarnych charakterów”, rolę nigdy niewyjaśnioną, w prowadzonych przez prokuraturę śledztwach. Za oboma dyrektorami PKN Orlen stali ludzie reprezentujący interesy establishmentu III RP: „lewicowego” - Piłat i „prawicowego” - Balazs.

W kontekście tej sprawy wolno się zastanawiać - na ile fakt, że ludzie tacy jak Konstanty Miodowicz czy Jan Maria Rokita, pełniący w tamtym czasie kluczową rolę w szeregu „Balazsowskich” fundacji (m.in. Fundacji im. Józefa Ślisza), których głównym celem działalności był transfer unijnych funduszy pomocowych do struktur związanych z SKL - może mieć związek z zakresem prac komisji Olewnika? Można się również zastanawiać - czy i na ile fakt, że sekretarzem generalnym i wiceprezesem SKL - u był Bronisław Komorowski - ma związek z nieskrywaną niechęcią obecnego marszałka sejmu wobec pomysłu powołania komisji?

Wolno też dociekać, - jaki związek ze sprawą śmierci Marka Karpa miał Zbigniew Chrzanowski b. poseł SKL i wiceminister rolnictwa - prywatnie przyjaciel Roberta G. Nagły wyjazd Chrzanowskiego do USA w roku 2004 miał charakter ucieczki. „Poseł wyjechał nagle z Polski, wraz z całą rodziną, na dzień przed śmiercią Marka Karpi. Swoją spory majątek przekazał bratu w zarządzanie. Dopiero po wylądowaniu w USA zrzekł się mandatu poselskiego.” - informował w 2004 roku „Tygodnik Siedlecki”.

Te i inne pytania, w kontekście obecnych polityków PO warto wiązać z twierdzeniami Andrzeja Czyżewskiego - byłego prokuratora z Ławy, który w stanie wojennym został internowany za działalność w „Solidarności”, a następnie wyjechał do Niemiec i uzyskał tamtejsze obywatelstwo. Po 1989 r. wrócił do Polski już jako przedstawiciel zachodnich firm paliwowych i dokładnie poznał mechanizmy rządzące tą branżą. Wiedza Czyżewskiego na temat funkcjonowania „polskiej mafii”, stała się przyczyną kilku zamachów na jego życie i sprawiła, że był w Polsce ścigany listami gończymi, w związku z fałszywymi, prokuratorskimi oskarżeniami.

Według Czyżewskiego, istniała w Polsce nieformalna grupa, usytuowana powyżej kierownictwa SLD, która po wyborach w 2001 r. decydowała o nominacjach w resortach sprawiedliwości i spraw wewnętrznych, w Komendzie Głównej Policji i Centralnym Biurze Śledczym, a więc w instytucjach kluczowych z punktu widzenia „polskiej mafii”. Organa te - czego nie trzeba udowadniać - miały również ogromne znaczenie w fałszowaniu śledztwa i zacieraniu śladów w sprawie zabójstwa Olewnika i opisaną powyżej sprawę Marka Karpa.

Czyżewski opowiadając o mafii paliwowej na Dolnym Śląsku, podkreślał, że szefem struktur mafijnych tym regionie był Jeremiasz Barański, znany jako "Baranina", a w jego willi we Wrocławiu spotykali się mafijni "baronowie". Ale nie tylko oni. Wśród gości "Baraniny" mieli być także politycy, m.in. Jerzy Szmajdziński, Władysław Frasyniuk oraz obecni posłowie Platformy Obywatelskiej - Grzegorz Schetyna i Aleksander Grad.

Choćby z tego względu, twierdząc, że z pracami komisji śledczej w sprawie Olewnika nie należy wiązać nadmiernych oczekiwań. Ktokolwiek też sądziłby, że rzecz dotyczy wyłącznie lewicowego SLD, a lata 2001 - 2004 były czasem rządów jednej, „czerwonej mafii” - byłby w poważnym błędzie.

Istnieją bardzo mocne przesłanki, że hierarchia i relacje panujące w niższych kręgach przestępczości zorganizowanej, są wiernym odwzorowaniem stosunków istniejących w świecie polityki i biznesu - odpowiadającym wyższym kręgom „polskiej mafii”. Chcąc zatem dotrzeć do kolejnego „kręgu piekła” trzeba odtworzyć te relacje i ukazać je w powiązaniu z rozlicznymi interesami „prawicowych” i „lewicowych” polityków. Rozpoczynając od użytecznych, choć groźnych „dymów”, nieprzypadkowo umiejscowionych w Orlenie, który „łączył polityków i mafiosów”, znajdziemy się w kręgu większych graczy. Tu zaś pojawia się niewielka spółka, w której władzach - jak w soczewce - można dostrzec wszystkie elementy odpowiedzialne za działalność „polskiej mafii” i prowadzące do jej prawdziwych „ojców chrzestnych”.

Niech wprowadzi nas w ten krąg poseł PO Paweł Graś, swoim poselskim pytaniem, skierowanym do ministra skarbu, podczas sejmowego posiedzenia w dniu 1 lipca 2004 roku:

„Panie ministrze, w związku z doniesieniami przewijającymi się w ostatnich tygodniach przez prasę, głównie dziennik „Życie” i tygodnik „Wprost”, chciałbym prosić o skomentowanie opisywanych tam faktów dotyczących ogromnego, bo miliardowego przetargu na budowę trzeciej nitki rurociągu naftowego „Przyjaźń”. Czy według pana wiedzy mogło dojść, jak sugeruje prasa, do takiego wyreżyserowania przetargu, że jego głównym beneficjentem była tajemnicza spółka Megagaz, której zysk, jak donosi „Życie”, w 2003 r. wyniósł całe 834 zł? Co ciekawe, przez władze tej spółki w różnych okresach jej funkcjonowania przewijało się wielu prominentnych przedstawicieli SLD-owskiego establishmentu, jak Wiesław Huszcza, skarbnik SdRP, pan Andrzej Celiński, pan Roman Kurnik, kadrowiec Służby Bezpieczeństwa, Jerzy Napiórkowski, były wiceminister finansów, Jan Piłat, syn ministra Andrzeja Piłata, a także cała plejada emerytowanych generałów wojska, policji i służb specjalnych. Czy ma pan wiedzę na temat okoliczności nominacji Stanisława Jakubowskiego na szefa Przedsiębiorstwa Eksploatacji Rurociągów Naftowych, zleceniodawcy kontraktu? Czy mogło być tak, że była ona, jak opisuje prasa, efektem politycznych nacisków i czy miała bezpośredni związek z powierzeniem kontraktu właśnie spółce Megagaz? Czy wobec informacji, że pan prezes Jakubowski za łapówkę w wysokości 30 tys. zł, co zostało udokumentowane nagraniem, próbował nakłonić dziennikarza do zmiany treści artykułu, zamierza pan wyciągnąć wobec prezesa jakieś wnioski personalne? I wreszcie czy według pana skarb państwa sprawował należyty nadzór nad procedurami przetargowymi, a przede wszystkim nad spółką PERN, z której, według doniesień prasowych, poprzez sieć spółek krzaków mogło dojść do wycieku milionów złotych? Dziękuję”.

CDN...

Źródła:

<http://www.wprost.pl/ar/7351/Ojcowie-chrzestni/?O=7351&pg=1>

http://sierpc.com.pl/pokaz_zdjecie.php?id=h754

<http://cogito62.salon24.pl/69018.html>

<http://serwisy.gazeta.pl/kraj/1,34317,2319039.html>

<http://serwisy.gazeta.pl/kraj/1,34317,2324238.html>

<http://serwisy.gazeta.pl/kraj/1,34317,2319026.html>

<http://www.bialorus.pl/index.php?pokaz=archiwum&&Rozdzial=archiwum&&strona=516&&wybrane=9705>

<http://wiadomosci.onet.pl/1438990,2677,1,kioskart.html>

<http://www.bezcenzury.net/print.php?id=145>

http://www.mafiapress.pl/d_979_Zeznania_Czyzewskiego.html?Chapter=2

<http://www.wprost.pl/ar/68329/Chrzanowski-nie-znałem-Karpia/>

<http://orka2.sejm.gov.pl/Debata4.nsf/3f5a7893a6296630c125745f00379385/6a89c68622e9595dc1257478004688cf?OpenDocument>

TEKST, KTÓRY STAŁ SIĘ PRZEDMIOTEM MANIPULACJI ADMINISTRACJI S24

11.03.2009 18:40 49

267. KRĄG SZÓSTY - NADZORCY

Postaci, wymienione w dotychczasowych tekstach „Kręgów”, nie znalazły się tu przypadkowo. Również, role, jakie przyszło im odegrać w dramacie Krzysztofa Olewnika i jego rodziny nie były incydentalne. Choć wykraczałem niekiedy daleko, poza bezpośredni związek z tematem głównym, zawsze istniało racjonalne uzasadnienie takich odstępstw - jak potrzeba wykazania kontekstu zdarzeń z roku 2001, czy przedstawienie powiązań środowiskowych. Nie ma w tej narracji żadnego przypadku, ponieważ nie uznaję jakichkolwiek zasad koincydencji. Powoływanie się na nie, zawsze świadczy o zamiarze usprawiedliwienia tego, czego nie jest się w stanie zrozumieć.

Wojciech Franiewski, Grzegorz K., Andrzej Piłat - każdy z nich odegrał w sprawie Olewnika ściśle określoną i wyznaczoną mu rolę. Posługując się terminologią mafijną, powiedzielibyśmy, że mamy do czynienia z żołnierzem (soldiers) - którego rola polegała na wykonywaniu poleceń, kapitanem (caporegima) - dowodzącym na danym obszarze, prowadzącym interesy przynoszące zyski szefowi i zastępcą bossa (underboss) - równie ważnym jak boss, lecz nie podejmującym kluczowych decyzji.

Zapewne można wskazać kilka innych postaci, mogących mieć związek ze sprawą - jak Zbigniew Siemiątkowski, Jolanta Szymanek-Deresz czy Andrzej Celiński. Niewykluczone, że rzetelnie prowadzone śledztwo lub dociekliwość posłów speckomisji doprowadziłaby do ujawnienia nowych nazwisk. A jednak to ci trzej, wymienieni przeze mnie ludzie, poprzez swoje role i specyficzne miejsce w dramacie zasługują na specjalną uwagę.

Analiza ich wzajemnych relacji i kontaktów pozwala bowiem odkryć, że mieliśmy do czynienia z działaniem zorganizowanym i koordynowanym, a symboliczne określenie tych osób ma głęboko prawdziwy sens.

Szczególnie ważkich argumentów, świadczących, że rodzina Olewników znalazła się w kręgu interesów „polskiej mafii” dostarcza Andrzej Piłat. Ten partyjny funkcjonariusz, absolwent Wyższej Szkoły Nauk Społecznych przy KC PZPR, tzw. działacz związkowy i gospodarczy zajmuje, - śmiem twierdzić - jedno z kluczowych miejsc w nieformalnej strukturze prawdziwych „władców” IIIRP.

Ze względu na lokalizację, wyznaczoną Piłatowi przez „partię”, miał on wprost idealne i praktycznie nieograniczone możliwości kreowania działań w sprawie Olewnika. Jako tzw. baron SLD na Mazowszu posiadał nadzór nad wszystkimi, ważniejszymi interesami tej grupy, zatem również tymi, które związane były z rodziną Olewników. Znane są liczne, wielowątkowe obszary zaangażowania Piłata w sprawy Orlenu, budowy płockiego mostu, czy prywatyzacji przedsiębiorstw przemysłu mięsnego. Pisałem o tym w poprzednich częściach. W każdym z tych obszarów, on sam lub jego protegowani mogli mieć motyw, by złożyć Olewnikom „propozycję nie do odrzucenia”, a porwaniem Krzysztofa Olewnika wymóc na ojcu określone zachowanie lub dokonać aktu zemsty.

Nie te jednak okoliczności - moim zdaniem - decydują o znaczeniu postaci Piłata. Niezależnie, bowiem jak ważnym był ogniwem w łańcuchu komunistycznej mafii, ani on sam, ani jego protegowani nie mieli możliwości, by przez wiele lat, w sposób tak precyzyjny i konsekwentny nadzorować śledztwo, zacierać ślady i tropy, utrzymywać znowę milczenia.

By znaleźć racjonalne wyjaśnienie tych okoliczności, należy przyjrzeć się środowiskom i osobom, wśród których Andrzej Piłat był „umocowany”. W wyłaniającym się z tego przeglądu obrazie, nie ma najmniejszego przypadku, bowiem każda z postaci, składających się na mafijny „układ” III RP zajmuje ściśle określone, właściwe swoim predyspozycjom i powierzonym zadaniom miejsce. Charakterystyka owych grup interesu, nakazuje obdarzyć Piłata większą uwagą, niż zasługiwałby na to komunistyczny aparatchyk.

Andrzej Piłat został oddelegowany na bardzo specyficzny i ważny, z punktu widzenia interesów układu „odcinek”. Jak już wcześniej wspominałem, znajdujemy jego nazwisko w radach nadzorczych dwóch spółek - Megagaz i Ekotrade. Co prawda, w tej pierwszej zasiadał 23 - letni syn Piłata, nie sposób jednak sądzić, by objął to stanowisko ze względu na własne doświadczenia zawodowe lub wykształcenie, a tym bardziej, by miał na nim funkcjonować samodzielnie. Na tle wielu innych potomków komunistycznej nomenklatury, dobrze ulokowanych w strategicznych spółkach, przykład Jana Piłata potwierdza, że rodzinne sukcesje były sposobem na wychowanie „młodego narybku” i prowadzenia interesów pod „przykryciem”.

Szeroko znana jest sprawa wygranego w 2002 roku, przez konsorcjum Megagaz - Prochem przetargu na budowę III nitki Rurociągu „Przyjaźń” i rola jaką odegrał w niej Andrzej Piłat. To na jego żądanie, przy milczącej aprobacie premiera Millera, prezesem płockiego PERN-u został Stanisław Jakubowski, którego zadanie polegało na dopilnowaniu, by konsorcjum z udziałem maleńkiej firmy Megagaz, w radzie nadzorczej której zasiadał 23-letni Jan Michał Piłat, syn Andrzeja, wygrało przetarg na prawie miliard złotych. Inwestycja zbyteczna, z punktu widzenia polskich interesów, choć korzystna dla Rosjan zakończyła się kompletnym fiaskiem, a w listopadzie 2005 roku PERN (już po usunięciu Jakubowskiego) rozwiązał umowę uzasadniając to „nienależytym wykonywaniem jej zapisów przez Konsorcjum Prochem-Megagaz”. Straconych, ogromnych kwot nikt, nigdy nie odzyskał.

Nie ten jednak aspekt jest najważniejszy, w związkach Piłata ze spółką Megagaz. We władzach tej nomenklaturowej spółki znajdziemy całą plejadę komunistycznych funkcjonariuszy: Wiesława Huszcę - skarbnika SdRP, Jerzego Napiórkowskiego - peerelowskiego wiceministra finansów, gen. Andrzeja Ratajczaka - byłego pełnomocnika dowódcy wojsk lądowych ds. mienia wojskowego, a wcześniej szefa logistyki w Śląskim Okręgu Wojskowym, czy gen. Mariana Robeteka, byłego zastępcę szefa Sztabu Generalnego Wojska Polskiego. Nie trzeba chyba dodawać, że w Megagaz zatrudniano głównie byłych funkcjonariuszy SB, WSW, UOP i emerytowanych, wysokich oficerów tzw. Ludowego Wojska Polskiego. Nie można też zapominać, że bezpośrednio przed zawarciem kontraktu pomiędzy PERN i Prochem-Megagaz wiceprzewodniczącym rady nadzorczej w tej ostatniej spółce był Andrzej Celiński - poseł ziemi płockiej.

Jednak najbardziej wpływową i interesującą, z punktu widzenia przedmiotu sprawy postacią jest niewątpliwie Roman Kurnik - w roku 2002 wiceprzewodniczący rady nadzorczej spółki Megagaz i spółki S.A.Z. Biuro Podróży First Class (udziałowcy Megagaz).

Ten był milicjant ma za sobą niezwykle bogatą przeszłość zawodową. W latach 80 -tych był szefem kadr w Służbie Bezpieczeństwa, Po roku 1989, Roman Kurnik przechodzi pozytywnie weryfikację i składa wniosek o przyjęcie do służby w UOP. Jednak jego kandydaturę odrzuca Krzysztof Kozłowski, pierwszy szef Urzędu Ochrony Państwa.

Z pomocą przychodzi mu szef MSW Czesław Kiszczak, który 16 lutego 1990 roku wręcza Kurnikowi nominację na zastępcę dyrektora Departamentu Kadr Ministerstwa Spraw Wewnętrznych.

Droga zawodowa Kurnika pełna jest intrygujących zdarzeń. Zacytuję obszernie informacje, jakie zebrał o tej postaci dziennikarz Sylwester Łatkowski, szukając związków Kurnika z zabójstwem gen. Papąły.

Z dokumentów uzyskanych przez Łatkowskiego z IPN-u wynika, że „ostatni uzyskany przez Kurnika stopień wojskowy to szeregowy. Przed 1989 rokiem wyjeżdżał w 1974 roku do Wielkiej Brytanii, w roku 1984 do Szwecji i w 1986 do Japonii. Z własnoręcznie napisanego życiorysu, z dn. 31 maja 1976 roku możemy dowiedzieć się, że Kurnik odebrał „staranne”, proletariackie wykształcenie:

„Urodziłem się 1 stycznia 1953 w Łańcucie w rodzinie inteligenckiej. Ojciec mój był kierownikiem Wydziału Finansowego Prezydium Powiatowej Rady Narodowej w Łańcucie oraz członkiem Plenum KP PZPR”. Jak zapewniał, w młodości udzielał się w organizacjach młodzieżowych. Uczęszczał do Liceum Ogólnokształcącego nr 1 im. H. Sienkiewicza w Łańcucie. „W okresie tym pracowałem społecznie w ZMS jako członek Zarządu Szkolnego, w ZHP jako drużynowy(...) Szkołę średnią ukończyłem z wynikiem dobrym. W 1972 zostałem przyjęty na studia w Instytucie Organizacji i Kierownictwa Uniwersytetu Warszawskiego i Polskiej Akademii Nauk. W miesiącu wrześniu tego roku wstąpiłem do ZSP, gdzie pełniłem funkcję przewodniczącego Komisji Ekonomicznej. W 1974 roku zawarłem związek małżeński z Elżbietą. W styczniu 1976 roku wstąpiłem do PZPR i odbywam obecnie staż kandydacki”. Pomimo takich referencji, jego podanie o przyjęcie do Akademii Spraw Wewnętrznych zostało odrzucone. „Nie wiadomo, jak by się dzisiaj potoczyła droga życiowa Romana Kurnika, - pisze Łatkowski - gdyby nie to, że wżenił się w rodzinę milicyjną. Jak się dowiaduję z ankiety personalnej Kurnika, ojcem jego żony Elżbiety był ppłk Sławomir Rusinowicz - od 1946 w Milicji Obywatelskiej, potem w Komendzie Stołecznej MO. Teściowa w latach 1950-1956 pracowała w Komendzie Głównej MO.[...]

Kilka miesięcy po odrzuceniu podania do Akademii Spraw Wewnętrznych Roman Kurnik składa podanie o przyjęcie do służby w charakterze funkcjonariusza MO. 27 grudnia 1976 Roman Kurnik - młodszy inspektor, zobowiązuje się do utrzymywania w

ściśle tajemnicy wszystkiego, co jest wiadome w związku z czynnościami w MSW. Skierowany do pracy w MSW został 15 stycznia 1977 roku. W aktach personalnych odnotowano, że Roman Kurnik został polecony do MSW przez ojca swojej żony, ppłk. Sławomira Rusinowicza.

Pracując w MSW studiował na Uniwersytecie Warszawskim. 29 marca 1977 roku uzyskał tytuł magistra organizacji i zarządzania. 7 maja 1976 roku Roman Kurnik zdał egzamin specjalistyczny na oficera Milicji Obywatelskiej z wynikiem bardzo dobrym. 4 grudnia 1978 roku zostaje inspektorem w IV grupie uposażenia. 12 lipca 1979 otrzymuje nominację na podporucznika MO, a 28 czerwca 1982 roku - porucznika MO. 7 sierpnia 1982 roku zostaje starszym inspektorem. W raporcie z 24 czerwca 1980 roku informował, że „wyrokiem Sądu Rejonowego dla m.st. Warszawy w dniu 22 czerwca 1980 roku został rozwiązany mój związek małżeński z Elżbietą Kurnik, z powództwa żony”.

Następnie informuje o zawarciu małżeństwa z Grażyną z domu K. Podaje, że należała do ZSMP i jest obecnie w PZPR. Jako funkcjonariusz MO pracuje w MSW na stanowisku starszego referenta departamentu kadr. Siostra żony także pracowała w resorcie od 1960-1962 w Biurze „B” MSW (pion inwigilacji). Zwolniona z pracy za podejrzenie kradzieży 10 złotych. [...] Karierze Kurnika pomagało umiejętne wżenianie się. Ojciec jego drugiej żony był jednym z bliższych współpracowników Babiucha. Kiedy trafił na Rakowiecką, znalazł się w jednym pokoju z Alicją Werens, platerówką. Werensowa prowadziła sprawy kadrowe pracowników departamentu kadr. Była na tyle zaufana, że została kadrową kadr. Kurnik wtedy prowadził sprawy kadrowe biura „A” (szyfrów, od aut.). Plotkowano o nich różnie. Werensowa wsparta karierę młodego wówczas chłopaka.

Czym zajmował się Roman Kurnik w MSW do 1984 roku (bo później zmienił się charakter jego pracy), mówi opinia służbowa z 15 listopada 1983 roku:

„Aktualnie jest odpowiedzialny za dobór kandydatów i obsługę kadrową departamentu Kadr, Komitetu Dzielnicowego PZPR w MSW, Zarządu Ochrony Funkcjonariuszy i Biura „A”. Dodatkowo ma przydzielone zadania współpracy z kierownictwem Wydziału dotyczące obsługi towarzyszy będących nomenklaturą MSW.”

Dzięki aktom osobowym KGP można wyodrębnić z opisu kariery zawodowej Romana Kurnika inną drogę niż ta przedstawiana oficjalnie - funkcjonariusza wydziału kadr MSW. Kurnik niechętnie o niej wypowiada się publicznie i wśród znajomych. Okazuje się, że Kurnikiem zainteresowała się Służba Wywiadu i Kontrwywiadu MSW, z jej szefem na czele, podsekretarzem stanu, generałem brygady Władysławem Pożogą, zastępcą ówczesnego ministra spraw wewnętrznych Czesława Kiszcza. Departamenty I (wywiadu) i II (kontrwywiadu) nie miały nic wspólnego z pracą MO, co jednoznacznie pokazuje, że Roman Kurnik, pomimo noszenia później policyjnego munduru, miał związek ze służbami specjalnymi PRL.

23 lutego 1984, po wcześniejszym odbyciu kursu kodowego i szyfrowego, wiceminister spraw wewnętrznych, gen. bryg. Władysław Pożoga deleguje porucznika Romana Kurnika na trzy miesiące do Ambasady PRL w Sztokholmie na stanowisko drugiego szyfranta.

Oczywiście akta nie zawierają informacji, jakie prawdziwe zadanie miał wykonać na terenie Szwecji Roman Kurnik w tym okresie. Kurnik jednak musiał się sprawdzić w pracy dla tajnych służb PRL, bo 19 czerwca 1985 roku generał Pożoga wnioskuje o delegowanie porucznika „wraz z rodziną w charakterze szyfranta do pracy w przedstawicielstwie dyplomatycznym PRL w Tokio (Japonia) na okres 2 lat”. W związku z tym Roman Kurnik przechodzi do Grupy „Z” Biura „A” MSW w stopniu młodszego inspektora. Biuro „A” - to biuro szyfrów podlegające szefowi wywiadu i kontrwywiadu MSW. Oficjalnie Kurnik został delegowany do pracy w MSZ. Po dwóch latach, pierwszego czerwca 1988 roku, wraca do Polski, którą wkrótce czeka zmiana ustrojowa. Do tej zmiany ludzie służb specjalnych PRL już się przygotowywali. Kurnik rozwiązuje stosunek służby z MSZ i po urlopie składa raport o powrót do MSW”. [...] Gdyby lewica nie doszła ponownie do rządu, - cytuję Łatkowski słowa funkcjonariusza MSW - Kurnik znalazłby się dawno poza resortem. Kiedy komendantem głównym został Roman Hula (od 17 lipca 1991 do 14 stycznia 1992.), zawiesił Kurnika. Ten przychodził do pracy, ale odsunięto go od wykonywania ważnych spraw. Miał dobrowolnie odejść sam na wcześniejszą policyjną emeryturę”.

Po odwołaniu Huli nastąpiła era Kurnika. Zaczął budować swoją pozycję w policji i MSW. Obsadzał swoimi ludźmi komendy wojewódzkie i komendę główną. W 1997 roku z nominacji nowego szefa Policji, gen. Marka Papąły (którego Kurnik sam wytypował na to stanowisko) zostaje zastępcą Komendanta Głównego, jednak po zwycięstwie AWS w wyborach 1998 roku odchodzi do biznesu. Warto w tym miejscu zauważyć, że wbrew oczekiwaniom swojego protektora gen Papąły szybko „zerwał się z łańcucha”. Zorganizował Biuro do spraw Narkotyków i Biuro ds. Przestępczości Zorganizowanej kierowane przez Adama Rapackiego, które wykryło wiele spraw niewygodnych dla ówczesnej władzy, zdecydował o powołaniu wydziału policji, którego funkcjonariusze mieli przenikać w struktury gangów. W czerwcu 2002 r. pojawiły się w prasie informacje na temat tajemniczego raportu gen. Papąły zawierającego informacje o powiązaniach i interesach byłych esbeków. Chodziło m.in. o agencje ochrony założone przez byłych funkcjonariuszy SB, w których gangsterzy mieli swoje udziały, o pranie brudnych pieniędzy, obrót nieruchomościami itp. Papąła miał się zorientować, że jego znajomi, byli funkcjonariusze MSW z okresu PRL, a także ci, którzy pozostali w resorcie, są powiązani z gangsterami z Pruszkowa.

Jeśli obszernie informuję o przeszłości Romana Kurnika, to wyłącznie dlatego, że postrzegam tę postać jako kluczową dla zrozumienia historii śledztwa w sprawie zabójstwa Krzysztofa Olewnika, a szerzej - działalności esbecko - politycznego układu. Kariera zawodowa byłego milicjanta świadczy, że jest człowiekiem trwale związanym ze środowiskiem tzw. wywiadu PRL i w III RP otrzymał zadanie pilnowania interesów swoich mocodawców.

W roku 2001, po dojściu do władzy SLD, Kurnik został mianowany doradcą w gabinecie politycznym szefa MSWiA Krzysztofa Janika. Wiceministrem MSWiA był wówczas Zbigniew Sobotka. Ale to Kurnik, wspólnie z drugim, wpływowym esbekiem - Józefem Semikiem rządzą policją. Trzecim „nadzorcą” był Zbigniew Chwaliński - z-ca komendanta głównego - postać równie intrygująca jak Kurnik, której poświęcę kiedyś więcej uwagi.

W artykule „Trąd” z roku 2003, po wybuchu tzw. „afery starachowickiej”, Wojciech Sumliński i Viletta Krasnowska pisali:

„Przy okazji rozprawy z systemem „politycznego nadzoru” stworzonego przez Zbigniewa Sobotkę wyszło na jaw, jak wielką władzę skupili w swoich rękach Józef Semik i Roman Kurnik, doradcy byłego wiceministra spraw wewnętrznych, wywodzący się z milicyjno-esbeckiego układu. Za jego kadencji większość wyższych oficerów została „podwójnie oteczkowana” - obok oficjalnych teczek personalnych utworzono teczki zawierające materiały mogące kompromitować funkcjonariuszy. W Komendzie Głównej Policji człowiekiem starego układu jest generał Zbigniew Chwaliński, zastępca komendanta głównego. To były oficer Służby Bezpieczeństwa - departamentów III i III A (przemysł, kontrakty międzynarodowe). Po roku 1989 Chwaliński pracował na stanowisku dyrektora Biura Informatyki KG Policji, mając dostęp do wszelkich danych”. Autorzy artykułu cytują również słowa Marka Biernackiego, na temat ówczesnej pracy policji, które warto mieć na uwadze w kontekście sprawy

Krzysztofa Olewnika: „Gdy policjant trafia na polityczną sprawę, woli udawać, że tego nie widzi, bo wie, że może mieć tylko kłopoty. Policjanci bardziej udają, że coś robią, niż pracują naprawdę, bo tak jest bezpieczniej - mówi Biernacki.

Natomiast w artykule z tego samego okresu, „Zabiję cię glino” Ewy Ornackiej i Violetty Krasnowskiej, możemy przeczytać:

„Przy okazji afery starachowickiej wyszło na jaw, jak wielką władzę skupili w swoich rękach doradcy byłego wiceministra spraw wewnętrznych Zbigniewa Sobotki - Roman Kurnik i Józef Semik (nadzorujący pionierzy kryminalne). [...] Semik został zwolniony ze stanowiska zastępcy komendanta głównego, bo nie mógł się skupić na pracy nawet godzinę dziennie. Gdy doszło do przecieku w sprawie starachowickiej, to Kurnik i Semik faktycznie kierowali policją, a nie Kowalczyk. To oni, a nie Sobotka wzywali gen. Kowalczyka i wypytywali o szczegóły operacyjne śledztw, choć nie mieli do tego prawa. Wzywali też dyrektora CBŚ Kazimierza Szwańcowskiego. Mimo odwołania ze stanowiska doradcy Józef Semik nadal jest szefem Międzyresortowego Centrum ds. Przestępczości Zorganizowanej i Międzynarodowego Terroryzmu. I dzięki temu ma wgląd w najtajniejsze materiały z poszczególnych śledztw oraz akcji grup specjalnych. Miał też, oczywiście, dostęp do szczegółów akcji CBŚ w Starachowicach. - **Polityczny nadzór nad policją jest traktowany jako dostęp do informacji ze śledztw, żeby wiedzieć, co zagraża swoim i ewentualnie tuzować sprawy. To absolutna degrengolada** - mówi „Wprost” Marek Biernacki, minister spraw wewnętrznych i administracji w rządzie Jerzego Buzka.”

Warto dodać, że Międzyresortowe Centrum ds. Zwalczania Przestępczości Zorganizowanej i Międzynarodowego Terroryzmu, pozwalało na powoływanie tzw. grup zadaniowych, do których trafiali ludzie delegowani z różnych innych służb, m.in. policji, Straży Granicznej, WSI, ABW i policji finansowej. Nadzorujący je Semik i Kurnik mieli dzięki temu bezpośredni wgląd we wszystkie, najważniejsze sprawy, prowadzone w okresie lat 2001-2003, w tym również sprawę porwania Krzysztofa Olewnika. Niejako na marginesie głównego tematu, warto byłoby prześledzić na ile pozbycie się z policji, w roku 2003 Adama Rapackiego, miało związek z wiedzą generała o mafijnych powiązaniach polityków. Ponieważ nie uznajemy przypadków, warto zauważyć, że odwołanie Rapackiego zbiegło się ze wzmocnieniem „Pruszkowa”. W tym samym czasie „ukonstytuował” się nowy zarząd gangu. Tworzyli go Adam Danielak (syn Leszka Danielaka), Artur Danielak (syn Mirosława Danielaka), Kazimierz Klimas, Andrzej Horek, Sławomir Fabiański oraz Jacek Genejak. Szefem doradców nowego zarządu został Wojciech Paradowski, przed kilku laty kandydat na wiceministra budownictwa. Co najistotniejsze - nowy zarząd „Pruszkowa” stał się nieprzenikniony dla policyjnych agentów. Uważa się, że gang musiał w tym czasie otrzymać od kogoś instrukcje, jak się bronić przed tzw. wtyczkami. Instrukcje były na tyle szczegółowe, że bandyci zaczęli likwidować wówczas policyjnych informatorów, a od kul zginęło co najmniej 11 osób.

Roman Kurnik, uważany „od zawsze” za człowieka SLD był znajomym Andrzeja Piłata. Miejsce, w którym interesy obu bohaterów się łączą jest oczywiście spółka Megagaz, w której Kurnik, podczas zawierania kontraktu z PERN-em, był wiceprzewodniczącym rady nadzorczej (łamiąc ustawę antykorupcyjną), a syn Piłata członkiem tej rady. „Kontrakt stulecia”, podpisany w roku 2002 przez Megagaz-Prochem z PERN-em, - dzięki opisanej powyżej „pomocy” Andrzeja Piłata - dawał ogromne zyski, nieznanej, niewielkiej spółce i ludziom z nią związanym. Roman Kurnik mógł zatem słusznie uważać się za „dłużnika” Piłata i gdy przyszedł moment, gdy to on mógł wspomóc kolegę, z pewnością tej pomocy nie odmówił.

Bez wątpienia, zatem Andrzej Piłat i ludzie z nim związani mogli, poprzez działania Romana Kurnika (i Józefa Semika) wywierać dowolny wpływ na przebieg śledztwa w sprawie Olewnika i posiadali pełną, niczym nieograniczoną wiedzę na ten temat. Myślę, że udziałowi tych właśnie osób, posiadających realną władzę i wpływy na policję i służby, należy zawdzięczać, że śledztwo brnęło w „ślepe zaułki” i było skutecznie blokowane. Znajomość realiów pracy organów ścigania w latach 2001-2004 pozwala uznać, że „nadzór polityczny”, jaki byli obecni sprawowali nad policją, był efektywny i zabezpieczał interesy „bossów” na tyle pewnie, że mogli czuć się bezkarni. Generał Józef Semik, po odejściu Romana Kurnika nadal pełnił rolę doradcy ministra spraw wewnętrznych Ryszarda Kalisza i miał wgląd w najtajniejsze policyjne śledztwa. Swoją pozycję i nietykalność Semik miał zawdzięczać gen. Tadeuszowi Rusakowi - w latach 1997-2001 szefowi WSI, z którym był w zażyłych kontaktach.

Mam nadzieję, że poseł Marek Biernacki nie „zapomniał” swoich spostrzeżeń sprzed kilku lat i w toku prac obecnej komisji sejmowej zainteresuje się rolą Romana Kurnika i Józefa Semika, jaką mogli odegrać w sprawie Olewników.

Niemniej istotny pozostaje fakt, że Andrzej Piłat, w okresie rządów SLD zasiadał w radzie nadzorczej spółki EKOTRADE. Prócz niego, w radzie nadzorczej zasiadali m.in. wiceminister spraw wewnętrznych i administracji w rządzie Leszka Millera Zbigniew Sobotka (nadzorujący pracę policji), oraz Jerzy Jerschina, w latach 80. rezydent I Departamentu MSW w Berlinie i Wiedniu - a zatem człowiek związany bezpieczniecko - kryminalnym, tzw. „układem wiedeńskim”.

Ekotrade - to spółka zajmująca się m.in. ochroną mienia, związana z funkcjonariuszami i informatorami służb PRL. Przed trzema laty, Leszek Szymowski, tak pisał o tej spółce, w artykule „Dworzenie cara Aleksandra”:

„Skądami, przestępcza rola w aferze starachowickiej i wyrok skazujący nie przeszkodziły w biznesowej karierze Zbigniewa Sobotki. Sobotka - były wiceminister spraw wewnętrznych i zastępca Krzysztofa Janika - od 1997 r.

związany jest z firmą ochroniarską EkoTrade.[...] Prezesem Zarządu EkoTrade jest syn Jerzego - Jacek Jerschina. [...] Jacek Jerschina chwali się, że jest zatrudniony na niejawnym etacie Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Jak wynika z zebranych przez nas dokumentów, z opresji często ratował go Robert Rzesos - do niedawna szef Centrum Finansowo - Bankowego „Nowy Świat” (w tym samym czasie człowiek odpowiedzialny za przetargi związane z budową luksusowego hotelu), a dziś członek rady nadzorczej Fundacji Uniwersytetu Warszawskiego. Policjantom, którzy półtora roku temu chcieli zatrzymać i jego i Jerschinę za pijackie awantury, Rzesos zagroził zwolnieniem z pracy. „Poinformował nas, że poprzez swoje kontakty doprowadzi nas do zwolnienia z pracy oraz, że skończymy w więzieniu” - czytamy w notatce policyjnej z 27.04.2005. Sam Rzesos zaprzecza wszystkiemu. Autorowi niniejszego tekstu grozi procesem sądowym. Twierdzi, że nigdy nie wszczywał awantur i nie groził funkcjonariuszom. Dysponujemy kserokopią notatki policyjnej i kopią aktu oskarżenia przeciwko niemu. Podczas rozmowy z policjantami, Rzesos powoływał się na znajomość z Ryszardem Kaliszem - byłym sekretarzem stanu w kancelarii Kwaśniewskiego, późniejszym ministrem spraw wewnętrznych, dziś postem SLD”.

Rzeczywiście, Robert Rzesos mógł czuć się „mocnym” człowiekiem, skoro jego nazwisko znajdziemy w aneksie nr.16 Raportu z Weryfikacji WSI, jako tajnego współpracownika.

Na uwagę zasługuje fakt, że towarzystwo związane z Ekotrade powoływało się otwarcie na wpływy u Ryszarda Kalisza - w latach 2004 - 2005 ministra spraw wewnętrznych i administracji, który jak wiemy, potraktował obcesowo rodzinę Olewników i ich sprawę.

Obecność we władzach Ekotrade Zbigniewa Sobotki - odpowiedzialnego w latach 2001-2003 za nadzór nad policją, stwarzało Andrzejowi Piłatowi więcej, niż dogodne (pamiętając o znajomości z Kurnikiem) warunki do kontrolowania sprawy Olewników i wpływania na przebieg śledztwa.

Sądzę, że tych osób i łączących ich relacji, w żaden sposób nie wolno pominąć, dokonując rzetelnej oceny ówczesnych działań policji i służb specjalnych. Prześledzenie ich wzajemnych powiązań i kontaktów może okazać się niezwykle pomocne w ustaleniu mechanizmów, jakimi posługiwano się, by wpływać na sprawę Olewnika, fałszować śledztwo, wpływać na świadków i oskarżonych. Warto też dostrzec, „za plecami” głównych postaci obecność ludzi ze środowiska WSW/WSI - z pewnością nieprzypadkową.

Wchodząc do Piekła, autor „Boskiej komedii” przeczytał nad piekielną bramą napis - „*Lasciate ogni speranza, voi ch'entrate*” - Porzućcie wszelką nadzieję, wy, którzy wchodziście.

Zapewne dla niektórych z czytelników, opis kręgów „polskiego piekła” wyda się na tyle przygniatający ogromem zła, sięgającego najwyższych poziomów władzy państwowej, że poczują się pozbawieni nadziei i utwierdzą w przekonaniu, że jakiegokolwiek zmiany są już niemożliwe. W wielu komentarzach, taką właśnie myśl można wyczytać. To naturalne wrażenie, do jakiego może skłaniać się każdy uczciwy człowiek, dostrzegając, iż „z tych słów groza świta!”

A jednak celem powyższych tekstów nie jest wzbudzanie negatywnych odczuć i nie powinny prowadzić do skrajnych ocen i defetyzmu. Dobrą radę daje wędrowcowi przewodnik Dantego, gdy mówi: „*Tu oczyść serce podłością zatrute, Tu zabij w sobie wszelki strach znikomy*”

Myślę, że ogólnie dostępna wiedza, jaką już posiadamy na temat działalności „polskiej mafii” może okazać się bronią zabójczą dla tego środowiska. Choćby dlatego, że wiedzieć - to przestać się bać. Nazwać zło po imieniu - to pozbawić je atrybutu zastraszenia, związanego z atmosferą tajemniczości i grozy wobec „nieznanego” Tak - myślę - powinien reagować człowiek wolny. Takie przestanie z posiadanej wiedzy, powinno wynieść wolne społeczeństwo i mam nadzieję - wyniesie, jeśli członkowie sejmowej komisji ds. Olewnika okażą się ludźmi odważnymi i rzetelnie pokażą prawdziwe oblicze IIIRP.

Byłoby dobrze o tym pamiętać, nim otworzymy drogę do kolejnego „piekielnego kręgu”.

CDN...

Źródła:

<https://www.wprost.pl/ar/60896/Rurociag-przyjaciol/?O=60896&pg=0>

<http://www.latkowski.com/blog/id,1488#1488>

<http://www.wprost.pl/ar/?O=51093&pg=1>

<http://www.wprost.pl/ar/?O=51424&pg=0>

<http://www.dziennik-ustaw.info/grupy/dworzanie-cara-aleksandra,watek,218444.html>

http://www.wsi.emulelinki.com/aneks_16.htm

16.03.2009 17:58 42

268. KRĄG SIÓDMY (OSTATNI) - ŚLUDZY

„Największa trudność, gdy chodzi o komunistyczne zafaszowanie, polega na tym, że są one tak ogromne i tak konsekwentnie stosowane, iż niekomuniście trudno uwierzyć, by ktoś mógł posuwać się tak daleko. Są jednak fakty - dowody tak liczne, że nie pozwalają na jakąkolwiek wątpliwość” - pisał Jan Maria Bocheński w książce „Lewica, religia, sowietologia”.

Problem, o którym mówił ojciec Bocheński dotyczy wszystkich sfer życia publicznego, w których mamy do czynienia z działaniami tzw. postkomunistów - czyli ludzi, (jak trafnie definiował Rafał Ziemkiewicz) którzy „przeszli z peerelu do wolnej Polski w zwartych strukturach, nawet nie pytani przez nikogo o swe bandyckie sprawy. Przenieśli tu polityczne mordy, mafijne interesy, sprowadzili polską demokrację do poziomu latynoskiego, a polski wolny rynek do poziomu sycylijskiego.”

Nie ma żadnego przypadku w faktie, że porwanie Krzysztofa Olewnika nastąpiło tuż po objęciu rządów przez poskomunistyczny układ, gdy schizofrenia i wyborcze ogłupienie moich rodaków osiągnęło apogeum podobne, jak to z roku 1993. Metoda zastosowana wobec „niepokornego” Włodzimierza Olewnika, polegająca na porwaniu syna, w akcie zemsty za odrzucenie „ofert nie do odrzucenia”, wiodąca do pogwałcenia, upokorzenia i zubożenia nieposłusznego biznesmena, pochodzi z arsenału działań mafijnych i w tych kategoriach musi być postrzegana i analizowana.

Stuszość tej oceny wynika z konstatacji, iż wewnętrzna struktura mafii ma zawsze charakter korporacyjny, zbliżony do struktury przedsiębiorstwa, w której ściśle określone są role poszczególnych członków organizacji, a od innych form zorganizowanej przestępczości odróżnia się specyficzną hierarchią oraz sferą wpływów politycznych i gospodarczych, sięgających najwyższych szczebli władzy.

W poprzednich tekstach „Kręgów” wskazałem, w jaki sposób funkcjonował układ wzajemnych relacji pomiędzy poszczególnymi postaciami dramatu, a także, jakie pozycje zajmowały te osoby w strukturze zwanej „polską mafią”. Poczynając od bezpośredniego wykonawcy - Wojciecha Franiewskiego, poprzez „łącznika” - Grzegorza K., po politycznego „underbossa” - Andrzeja Piłata i kontrolujących sprawę śledztwa wysoko ulokowanych esbeków - „nadzorców”. Schemat tej konstrukcji, nie wynika z towarzysko - biznesowych powiązań postkomunistycznej kamaryli. To schemat działania mafii, która od 20 lat oplata wszystkie sfery życia publicznego w Polsce.

Tylko człowiek o złej woli lub skończony ignorant mógłby twierdzić, że ośmioletnie zmagania rodziny Olewników z indolencją organów ścigania i wymiaru sprawiedliwości, są efektem sumy jednostkowych przypadków, pomyłek, zaniedbań i błędów. Wewnętrzna, niezwykle spójna prawidłowość istniejąca w zachowaniach policjantów, prokuratorów czy polityków, przy jednoczesnej analizie wspólnych im powiązań i zależności - nakazuje wykluczyć działania przypadkowe lub powodowane ludzkimi ułomnościami i błędami.

Sądzę, że posługując się myśleniem indukcyjnym, jakie od początku stosowałem w tekstach „Kręgów” - czyli wyprowadzając ogólne wnioski ze szczegółowych przesłanek, będących przypadkami tych wniosków - nie można dojść do innych konkluzji, niż przedstawione powyżej.

Jak pisałem wcześniej, powstająca na początku lat 90-ych „polska „mafia”, tworzona była w dwojaki sposób: od góry - przez coraz bardziej skorumpowanych polityków i urzędników, którzy wykorzystując władzę przejmowali strategiczne działy

gospodarki państwa oraz od dołu - przez coraz lepiej zorganizowanych drobnych przestępców. Można powiedzieć, że w tym procesie nieuczciwi politycy „kryminalizowali się”, a przestępcy „cywilizowali”. Obie grupy spotykają się zazwyczaj w połowie drogi, - gdy politycy potrzebują partnerów z gotówką w celu przejęcia kolejnego atrakcyjnego kęsa gospodarki (ewentualnie osłony interesu przed innymi lub może sztuczne stworzenie monopolu) lub, gdy kryminaliści poszukują osłony i kontaktów dla legalizacji zasobów finansowych zdobytych w wyniku przestępstw. Pośrednikami między tymi grupami, są ludzie znający świetnie oba środowiska, czyli byli funkcjonariusze komunistycznej policji politycznej, występujący najczęściej w czasach PRL-u jako oficerowie prowadzący dzisiejszych kryminalistów lub polityków. W sprawie porwania i zabójstwa Olewnika doszło właśnie do takiego spotkania w połowie drogi, gdy interesy politycznych „underbossów” wymagały wsparcia ze strony przestępców, przy czym do bezpośredniego wykonawstwa użyto pospolitych kryminalistów, zza których plecami działali „fachowcy” z mafii. Cała operacja wymagała ustawicznej, kompleksowej kontroli: w stadium śledztwa sprawować ją mogli ludzie tacy jak Roman Kurnik, Józef Semik czy Zbigniew Sobotka - posiadający niemal nieograniczone wpływy na pracę policji i służb specjalnych, a na szczęble politycznym - Zbigniew Siemiątkowski, Ryszard Kalisz czy Krzysztof Janik.

Utrata władzy wykonawczej przez postkomunistów w roku 2005, nie miała żadnego wpływu na przebieg sprawy Olewnika. Nie mogła mieć, ponieważ niezmiennie pozostały nieformalne układy interesów, których przedstawiciele sprawują faktyczną władzę w Polsce - niezależnie od wyników wyborczych i zmiany barw partyjnych. Trwałe ułożenie w polskiej policji, a w jeszcze większym stopniu, w służbach specjalnych ludzi z peerelowskiego aparatu represji, podległych dyrektywom Kurnika czy Czempńskiego, zapewniało bezpośredni nadzór nad przebiegiem poszczególnych postępowań i stwarzało postkomunistom poczucie bezpieczeństwa. To właśnie poprzez te - wynikające z mafijnych zależności układy, które przez cały okres IIIRP jednoczą w imię wspólnych interesów, tak z pozoru różne środowiska jak „prawicowców” ze „stajni” Artura Balazsa, ludzi SKL -u i Platformy Obywatelskiej, z esbecko - agenturalną grupą skupioną wokół Aleksandra Kwaśniewskiego czy Leszka Millera, możliwe jest istnienie „polskiej mafii”.

Wspólnotą brudu - nazwał Andrzej Zybortowicz ową grupę ludzi, „którzy mają wspólnie coś za skórą, mają interes, żeby się wzajemnie chronić, ale jednocześnie trzymają się wzajemnie na uwięzi”.

Czy to oznacza, że wszystkich ich łączy bezpośredni związek ze sprawą Olewnika, czy musieli posiadać wiedzę na jej temat? Oczywiście, że nie. Wystarczy, że obowiązują ich jednakowe prawa, podobne do tych z mafijnego „kodeksu Omerta”, narzucające „zmowę milczenia” i „pełne posłuszeństwo”. Wystarczy, że wszyscy oni wiedzą, komu i ile można powiedzieć, kto i gdzie jest najważniejszy, kogo i dlaczego należy chronić lub słuchać. Ta „tajemna” wiedza łączy ze sobą tak wiele środowisk życia politycznego, biznesowego czy medialnego, że nie sposób wytyczyć innej linii granicznej, niż ta, wynikająca z mafijnego układu III RP.

W efekcie - sprawa porwania i zabójstwa Krzysztofa Olewnika, nie mogła zostać nigdy wyjaśniona, gdyż odstaniała kulisy „polskiej mafii”, ujawniała jej skryte mechanizmy działania oraz prawdziwe oblicza i interesy ludzi, mieniących się stróżami porządku, praworządności i demokracji. Warto dodać, że niekoniecznie musieli być to ludzie z pierwszych stron gazet, osoby publicznie znane lub zajmujące medialnie eksponowane stanowiska.

Podczas obrad „orlenowskiej” komisji śledczej, której działalność odstoniła wiele kurtyn IIIRP, doszło do niezwykle ciekawego zdarzenia. W trakcie przesłuchania Krzysztofa Kluzka - w roku 2002 członka rady nadzorczej PKN Orlen, padło pytanie o „stowarzyszenie koneserów”. Kluzek pytany, czy był członkiem tego nieformalnego stowarzyszenia odpowiedział: „nie byłem godny, na szczęście”. Na liście członków stowarzyszenia, nazwanego przez Kluzka „grupą lobbującą, lobbystyczną [...] grupą, która jest, że tak powiem, lubią te whisky, wino, ale jednocześnie załatwiają między sobą określone jakieś interesy, bo tam jest to napisane w statucie. [...] Grupa trzymająca władzę, ja bym to tak określił” - widnieją nazwiska, które przeciętnemu odbiorcy niewiele powiedzą. Oto wymieniani tam panowie: Pięgrzyka, Sasala, Lwa i Marcina Rywinów, Cytryckiego, Gmyrka, Golonkę, Gościmskiego, Kotta, Pachowskiego, Sidora, Szymczychę, Wojtynę i Wróbla.

To „stowarzyszenie koneserów”, funkcjonujące „na zapleczu” polityki i biznesu miało ogromny, choć nigdy niewyjaśniony wpływ na działalność największej polskiej firmy paliwowej, konsolidując interesy wielu grup i środowisk. Można się zastanawiać - co łączy (prócz zamyłowania do whisky i wina) producenta filmowego z weterynarzem, magistra ekonomii w Leningradzkim Instytucie Finansowo-Ekonomicznym, (w IIIRP - ministra skarbu państwa) z członkiem zarządu TVP, sekretarza stanu w kancelarii Kwaśniewskiego z prezesem banku?

Skoro wiemy, że to właśnie w plockim Orlenie zatrudnieni byli krewni wielu prominentnych osób, jak córka Alicji Grześkowiak, żona Zbigniewa Siemiątkowskiego czy brat Marka Belki, określenie spółki, jako miejsca „łączącego polityków i mafiosów” nabiera wyrazistego sensu.

Tragedia rodziny Olewników, rozgrywająca się na tle gigantycznych interesów, związanych z przejęciem Orlenu przez ekipę Millera, w trakcie gangsterskiej ekspansji politycznych cwaniaków, wielorakiej agentury i pospolitych kanalii - nie mogła mieć innego finału.

To wówczas, w latach 2002 -2003 można zaobserwować proces, który więcej mówi o polskiej rzeczywistości, niż drobiazgowo analizy socjologiczne i raporty politologów.

Możemy bowiem dostrzec, że dojście do władzy postkomunistów i zawłaszczenie przez nich ogromnych obszarów gospodarki i polityki, zbiega się w czasie z odbudową struktur kryminalnych mafii, że stosunki i relacje istniejące w świecie polityki i biznesu - odpowiadające wyższemu kręgom „polskiej mafii”, zostają dokładnie odwzorowane w niższych kręgach przestępczości zorganizowanej. By wyjaśnić ten proces, należy przypomnieć o faktycznych „capo di tutti capi”, o prawdziwych „bossach” „polskiej mafii” kryminalnej i politycznej.

„Oto Sołncewo - podmoskiewskie przedmieście, w którym rezyduje jedna z najsilniejszych w świecie mafii nazywana Sołncewską Bracią. Powstała z byłych funkcjonariuszy KGB wspieranych kadrami GRU, stanowi absolutnie piorunującą mieszkankę. Zagrożenie ze strony tej mafii w mniejszym stopniu wynika z tego, że korzysta z parasola ochronnego w postaci rosyjskich służb specjalnych. Prawdziwe niebezpieczeństwo bierze się ze stosowanych przez nią metod rodem ze specsłużb, z prowokacjami, szantażem, zabójstwami i tzw. gramami operacyjnymi włącznie. Równie ponurą sławą, co starsi gangsterzy cieszy się młody narybek mafii szkolony przez weteranów wojny w Afganistanie. Są uczeni torturowania, przypalania, dżgania nożami, duszenia i zabijania. Ich bezwzględność jest przerażająca. Stanowią isticie diabelskie narzędzie w rękach mafii” - pisał w 2007 roku Jerzy Jachowicz, w artykule „Długie ręce rosyjskiej mafii”.

Słynny „Pruszków”, dobrze zorganizowany gang oprychów, niesłusznie i mocno na wyrost określanych mianem mafiozów, był tylko spółdzielnią usługową, wykonującą polecenia wysokich oficerów PRL-owskich służb specjalnych oraz wyżej ułożonych

agentów, takich jak Jeremiasz Barański czy ludzie ze środowiska wiedeńskiego. O genezie „polskich mafiosów”, z których większość była od czasów PRL-u współpracownikami SB, pisałem wcześniej.

Faktyczną władzę nad „Pruszkowem” sprawowała mafia z Sołncewa, traktując polskich „mafiosów” jak własną, wysuniętą na Zachód filię. Według rosyjskiego miesięcznika „Kompromat”, specjalizującego się w przestępczości zorganizowanej w Rosji, mafia sołncewska w Polsce - inaczej niż w wypadku Węgier czy Litwy - nie tworzyła własnych struktur, lecz podporządkowała sobie najsilniejszy, działający u nas gang.

W artykule „Pruszków pod Moskwą” z roku 2003, Ewa Ornacka, Wojciech Sumliński i Violetta Krasnowska napisali m.in.: „Kilkanaście miesięcy temu, gdy w aresztach znaleźli się bossowie polskiej mafii, wydawało się, że „Pruszków” został rozbity. Okazało się jednak, że największy polski gang wciąż istnieje, bo jest potrzebny mafiosom z „Sołncewa”. To oni doprowadzili do szybkiej reaktywacji „Pruszkowa”.

W tym samym czasie, gdy nowy komendant policji Leszek Szreder pozbywał się, przy aplauzie postów SLD generała Adama Rapackiego, „ukonstytuował” się nowy zarząd „Pruszkowa”. Stworzyli go Adam Danielak (syn Leszka Danielaka), Artur Danielak (syn Mirosława Danielaka), Kazimierz Klimas, Andrzej Horek, Sławomir Fabiański oraz Jacek Genejak. Szefem doradców nowego zarządu został Wojciech Paradowski, typowany przed laty na ministra budownictwa w rządzie Jana Krzysztofa Bieleckiego. Co najistotniejsze - nowy zarząd „Pruszkowa” stał się nieprzenikniony dla policyjnych agentów. Uważa się, że gang musiał w tym czasie otrzymać instrukcje, jak bronić się przed tzw. wtyczkami. Instrukcje na tyle szczegółowe, że bandyci zaczęli likwidować wówczas policyjnych informatorów, a od kul zginęło co najmniej 11 osób. Kilka miesięcy wcześniej odwołano ppłk. Tomasza W., naczelnika IV wydziału CBŚ, szefa tzw. przykrywkowców, czyli policjantów przenikających do gangów.

„Odrodzenie” kryminalnych struktur „Pruszkowa”, zbiegło się w czasie z pierwszym okresem rządów poskomunistycznych i należy traktować to zdarzenie w kategoriach odbudowy „zbrojnego zaplecza”, służącego celom układu przejmującego wówczas władzę. Bez wątpienia, również sami gangsterzy zdawali sobie sprawę, że rządy SLD przyniosą im okres spokojnego działania i prosperity. Niech świadczy o tym zdarzenie, sprzed wyborów parlamentarnych z 2001 roku, gdy Danuta Waniek, wówczas postanka SLD, otrzymała list napisany w areszcie przez Zygmunta Raźniaka, ps. „Bolo”, jednego z liderów „Pruszkowa”. „Bolo” pisał: „Przychodzą do mnie do celi różni ludzie, którzy się nie przedstawiają i wypytują o kontakty mafii z politykami SLD. Obiecują, że jak ujawnię odpowiednie informacje, to zwolnią mnie z więzienia ze względu na stan zdrowia”. Policjanci wyśmiali list „Bola”, traktując go jako taktikę obrony, twierdząc, iż gangster postanowił przestawić swoją kryminalną sprawę na tory polityczne i szukać obrony w obozie przyszłych zwycięzców. Jestem przekonany, że ów „Bolo” posiadał doskonałe rozeznanie sytuacji i całkiem niezły instykt polityczny.

Podobnie, jak w obszarze hierarchii i zależności istniejących pomiędzy „Sołcewem”, a „Pruszkowem”, identyczny - choć z pewnością funkcjonujący na innym poziomie układ - można zaobserwować w przypadku relacji w świecie polityki i wielkiego biznesu.

Czas rządów tzw. lewicy to okres rozkwitu, działającej pod nadzorem WSW/WSI mafii paliwowej, to próba sprzedaży Rosjanom polskiego sektora paliwowego i trwałego uzależnienia Polski od rosyjskich dostaw, to czas negocjacji i ustaleń najwyższych polityków III RP z funkcjonariuszami KGB i rosyjskimi „dyplomatami”. Osoby realizujące ten plan - Aleksandra Kwaśniewskiego, Leszka Millera, Wiesława Karczmarska czy Jana Kulczyka łączą wieloletnie, nigdy nieujawnione związki z peerelowskimi lub sowieckimi służbami.

W kontekście ówczesnej aktywności rosyjskiej agentury, należy oceniać bliskie kontakty Władymira Ałganowa z pełnomocnikiem Kwaśniewskiego - Janem Kulczykiem, czy związki pułkownika Nikołaja Iwanowicza Zachmatowa, oficjalnie radcy ambasady rosyjskiej z Andrzejem Piłatem i Robertem G. To wśród rosyjskich agentów i działających pod przykryciem biznesmenów i dyplomatów, należy upatrywać prawdziwych „capo di tutti capi” „polskiej mafii”, a na Kremlu poszukiwać składu mafijnej „commission”.

Ujawnione w tym okresie, przykłady „współpracy” polityków poskomunistycznych z agenturą generała Putina świadczą, że mieliśmy do czynienia z identycznym procesem, jak w przypadku reaktywacji „Pruszkowa” przez mafię sołncewską. Zbliżenie to odbywało się na podobnej zasadzie bezwzględnej podporządkowania i dotyczyło strategicznych interesów polskich, poddanych dominacji rosyjskiej.

Jak WSW/WSI było delegaturą sowieckiego GRU na Polskę, a tzw. wywiad PRL-u i pozostałe struktury SB - zależne od KGB - tak „mafiozi” „Pruszkowa” działali jako filia „Sołcewa”, a „polska mafia”, złożona z komunistycznych aparatczyków, biznesmenów i funkcjonariuszy podlegała całkowitej kontroli i zadaniowaniu przez „rosyjskich przyjaciół”.

Jerzy Jachowicz, kończąc cytowany już artykuł „Długie ręce rosyjskiej mafii” napisał:

„Kiedy mówimy o bliskiej przyszłości „czerwonej mafii” w Polsce, musimy mieć świadomość, że przyniesie ona ze sobą tragedję rosyjskiej ekspansji i mocarstwowości. Będą się więc uciskać wszędzie, gdzie są do wzięcia wielkie pieniądze. I to wielkimi metodami. Będą przejmować banki, towarzystwa ubezpieczeniowe, wielkie spółki budowlane, firmy prawnicze jako zaplecze swoich działań, magazyny jubilerskie, domy mody, organizację wielkich imprez masowych itd. Drogę będą im torowały niebotyczne pieniądze, korupcja na ogromną skalę, a wszystko pod płaszczykiem legalnych, zgodnych co do joty z literą prawa działań. Czy jesteśmy w stanie obronić się przed prawdziwym imperium zła, jakie niesie ze sobą rosyjska mafia?”

Daleki jestem od twierdzenia, jakoby porwanie i zabójstwo Krzysztofa Olewnika miało związek z interesami rosyjskiej mafii. Nie usprawiedliwiłoby takiego poglądu, pojawiające się w sprawie doniesienia o roli spółki „Krup-Stal”, handlującej rosyjską stalą z przemytu i związkach jednego z właścicieli spółki z gangiem „pruszkowskim”. Nie uprawnia do takich uogólnień, nawet obecność ludzi „Pruszkowa” wokół głównych postaci porwania Olewnika.

W tym kontekście, na szczególną uwagę zasługuje reakcja marszałka Komorowskiego, który będąc od początku przeciwnikiem powołania komisji, gromko przestrzegał postów, by nie próbowali zastąpić śledztwa prokuratorskiego i nie przesłuchiwali np. „pruszkowskiego” gangstera „Żaby”. To zastanawiająca i nieostrożna uwaga pana Komorowskiego. Czy polityczny opiekun WSW/WSI tak bardzo obawia się ujawnienia roli „Pruszkowa” i służb specjalnych IIIRP w sprawie Olewnika?

Należy jednak uświadomić sobie, że istnieje zależność przyczynowo skutkowa, pomiędzy ekspansją interesów „polskiej mafii” (nawet tych lokalnych), przypadającą na okres porwania Olewnika, a podporządkowaniem jej struktur kryminalnych i politycznych wpływom rosyjskim. Bez tej świadomości, rozpoznanie istoty wielu działań związanych z PKN Orlen, podejmowanych przez ówczesnych polityków i podległe im służby, oraz ich aktywność w innych obszarach gospodarki (rolnictwo, biopaliwa, przemysł mięsny, handel) byłoby obarczone ryzykiem poważnego błędu.

Zapewne niektórzy z czytelników „Kręgów” odczują pewien niedosyt, iż w ostatniej części nie pojawiają się precyzyjne wskazania dotyczące mocodawców porwania i zabójstwa Krzysztofa Olewnika, że nie wymieniam (poza już ujawnionymi) nazwisk osób odpowiedzialnych za tę tragedię. Koniecznym wyjaśnieniem niech będzie stwierdzenie, że nie taki był cel moich tekstów i nie posiadam „tajemnej” wiedzy na ten temat. Wierzę, że czytający sami potrafią dokonać ocen i wyciągnąć wnioski. Zbyt łatwe uogólnienia, a w jeszcze większym stopniu bezpodstawne oskarżenia, pozbawiłyby (w moim odczuciu) wiarygodności - autora i jego tekstu.

Jestem natomiast przekonany, że jeśli prace sejmowej komisji w sprawie Olewnika, będą prowadzone rzetelnie, z determinacją dotarcia do prawdy - ujawnione w trakcie jej działań osoby i łączące je relacje będą zbieżne z obrazem, jaki przedstawiłem w „Kręgach”. Nie ma innej drogi do „polskiego piekła”. Co więcej - odkrycie mechanizmów działania „polskiej mafii”, które doprowadziły do fałszowania śledztwa i ukrywania prawdy o zleceniodawcach zbrodni - może doprowadzić do wstrząsu porównywalnego z efektem dziesięciu komisji „rywinowskich”. Przestrzegalbym jednak, przed widzeniem tej sprawy jednowymiarowo, wyłącznie w kategoriach politycznych i traktowania jej jako okazji do zdobycia argumentów przeciwko tej, czy innej opcji politycznej. Za globalnym, wielowątkowym obrazem „polskiej mafii” kryje się bowiem konkretna, osobista tragedia młodego człowieka i jego rodziny - skrzywdzonych przez pospolitych kryminalistów i przez lata poniżanych przez przedstawicieli własnego państwa. Ich piekło, nie miało politycznych barw i rozciągało się na całą przestrzeń III RP. Wyłącznie niebywalej odwadze, sile i determinacji tych ludzi zawdzięczamy, że dojdzie do próby wyjaśnienia okoliczności, w jakich rozgrywał się ten dramat.

Przedstawiona w moich tekstach wizja, choć nawiązuje tytułem i konstrukcją do „dantejskiego” Piekła i posiłkuje arcydziełem „Boskiej komedii”, daleka jest od literackich iluzji. Nie ma w niej miejsca na dramatyczną ornamentykę, figury retoryczne czy poetykę przekazu. Obraz polskich „Kręgów” niesie z sobą znacznie większą grozę, niż czyni to dzieło literackie Dantego. Dotyczy bowiem realnej, codziennej rzeczywistości, doświadczalnej i dotykanej przez każdego, kto zechce przedrzeć się przez zasłonę milczenia i zakłamania, kto ma odwagę widzenia więcej, niż ukazują to zwodnicze przekazy medialne.

Jeśli kiedykolwiek mamy stanąć przed szansą zmiany tej rzeczywistości, to tylko wówczas, gdy sami przemierzmy i dogłębnie poznamy kręgi „polskiego piekła”. Nie ma innej drogi do wyjścia.

Źródła:

<http://www.komisje5.paroles.com.pl/dzialy/orlen/18181/>

<http://www.komisje5.paroles.com.pl/dzialy/orlen/18182/>

http://www.mafiapress.pl/d_976_Krzysztof_Kluzek_obciaza_Kwasnie.html?Chapter=2

<http://gospodarka.gazeta.pl/gospodarka/1,33211,1798196.html>

http://www.dziennik.pl/opinie/article96728/Jachowicz_Dlugie_rece_rosyjskiej_mafii.html?service=print

<http://www.wprost.pl/ar/53363/Pruszkow-pod-Moskwa/?O=53363&pg=1>

<http://serwisy.gazeta.pl/kraj/1,34317,2324234.html>

<http://www.axisglobe.com/article.asp?article=732>

http://wiadomosci.gazeta.pl/Wiadomosci/1,80708,6201514,Komorowski_Kazdy_mezczyzna_powinien_miec_prawo_do.html

21.03.2009 19:12 151

269. GRA

Koncepcja jest prosta. Doprowadzić Polskie Radio i TVP do takiego stanu zniszczenia, by jedynym i wymarzonym przez wszystkich rozwiązaniem, stała się nowa ustawa medialna. Zabiegu dokonuje się według sprawdzonych metod prowadzenia gier operacyjnych, w atmosferze manipulacji i przy czynnym współudziale świadomych i nieświadomych celów operacji dziennikarzy.

Pomysł przetestowano w pierw w Polskim Radio, gdzie koalicja PO-SLD-LPR-Samoobrona doprowadziła do zawieszenia Czabańskiego i Targalskiego, a obecnie realizuje plan zrujnowania publicznej rozgłośni. Propozycje oszczędnościowe Roberta Wijasa z Samoobrony, protegowanego Adama Hromiaka, by zamiast kosztownych audycji misyjnych, nadawać w PR tanie programy muzyczne, zwolnić część pracowników, a pozostałym zredukować płace, musiały zostać z zadowoleniem powitane przez ministra Grada, dając mu do ręki dogodny argument za usunięciem dotychczasowego zarządu spółki, pod zarzutem braku działalności misyjnej.

Podobnie w TVP, rękami Samoobrony i LPR-u usunięto Andrzeja Urbańskiego, Sławomira Siwka i Marcina Bochenka, a pełniący obowiązki prezesa Piotr Farfał „wymia z telewizji ludzi PiS”. Żadnej reakcji medialnej nie doczekało się zwolnienie ośmiu dyrektorów, w tym szefowej telewizyjnej „Jedynki”.

Koncepcja działania koalicji została przygotowana podczas tajnego spotkania Romana Gierycha z politykami Platformy, o czym pod koniec roku donosiły media. „Dorzędziśmy watahę w telewizji” - meldował Giertych Sikorskiemu, nie kryjąc zamiarów, jakie postawił przed sobą układ.

Dokładnie przed rokiem, w tekście HUNOWIE przedstawiłem scenariusz wspólnych, choć skrywanych przed społeczeństwem działań PO i SLD, związanych ze „skokiem” na media. Wówczas politycy Platformy liczyli na samodzielne zawłaszczenie mediów, nie przewidując skutecznego weta prezydenta wobec tzw. ustawy medialnej. Ten błąd naprawiono w drugim podejściu, montując koalicję „wszystkich ze wszystkimi”, a zamiast środków politycznych sięgnięto po działania właściwe dla służb specjalnych.

Prowokacja, której jesteśmy świadkami, nie mieści się w arsenale metod politycznych i jestem głęboko przekonany, że jej autorów należy poszukiwać wśród „zaplecza” PO, związanego ze specsłużbami i agenturą.

Nie sądzę, by przeszłość Adama Hromiaka - szefa Rady Nadzorczej PR, komunistycznego funkcjonariusza, po moskiewskich szkoleniach KGB, była bez znaczenia w ocenie koncepcji, jaką obecnie zastosoano. Również osoba Piotra Farfała, (czego większość obserwatorów zdaje się nie rozumieć) poprzez związki z tzw. skrajnie prawicowymi organizacjami, będącymi w każdym państwie przedmiotem głębokiej penetracji służb specjalnych, odpowiada charakterowi prowadzonej operacji.

Organem prasowym, nadzorującym jej prawidłowy przebieg wydaje się być nieoceniona w tego rodzaju grach „Gazeta Wyborcza”. Koncepcję użycia Farfala w planach zamachu na media przedstawiła przed miesiącem Agnieszka Kublik, pisząc m.in.:

„Dziś jednak to już nie PiS odpowiada za to, co się dzieje w mediach publicznych. Tylko rządząca większość może uwolnić TVP od ludzi typu Farfala szybko uchwalając nową ustawę medialną. Platforma jednak prace nad ustawą niezrozumiale przeciąga. Być może dlatego, że obawia się, że cokolwiek zrobi, PiS i tak będzie krzyczał, że PO chce skoczyć na media. Platformo, nie bój się. Skacz mediom publicznym na ratunek. Tak szybko, jak to tylko możliwe. Teraz za każdy dzień dłużej rządów Farfala na Woronicza odpowiada Platforma Obywatelska”.

Miesiąc wcześniej Kublik pochwaliła kluby PO i SLD za przyspieszenie rozmów w sprawie ustawy i wskazała cel tych zabiegów pisząc, iż *„to ludzie Jarosława Kaczyńskiego, Romana Giertycha i Andrzeja Leppera chce z mediów publicznych usunąć PO-PSL i SLD. Ale do tego potrzebna jest ustawa”.* Zapomniała dodać, że „czyszczeniem” mediów mają zająć się ludzie Giertycha i Leppera, wykonując tę robotę według ściśle określonego planu.

Potrzeba bowiem, by operacja znalazła zrozumienie i poparcie w jak największej grupie społeczeństwa, by zrodziła „naturalne”, nieodparte przekonanie, że po wyczynach obecnych decydentów jedynym ratunkiem jest uchwalenie ustawy medialnej, autorstwa SLD-PO-PSL. Jednocześnie w świadomości społeczeństwa utrwała się pogląd, jakoby za obecne niszczenie mediów publicznych odpowiadał PiS, przemilczając fakt, że to ludzie sympatyzujący z tą formacją są „wycinani”, a partia Kaczyńskiego nie ma obecnie żadnego wpływu na bieg zdarzeń.

By osiągnąć cele operacji, należało „zwerbować” do współpracy dziennikarzy, co, do których istniało podejrzenie, że mogą opowiadać się po stronie przeciwników ustawy, lub w najlepszym wypadku zająć stanowisko pasywne. Ponieważ odpowiednio wyedukowane „masy” dziennikarskie nie wykazywały najmniejszych reakcji obronnych w przypadku zwalniania ludzi rzetelnie wykonujących swoje obowiązki, których jedynym przewinieniem było podejrzenie o „sprzyjanie PiS-owi”, trzeba było poruszyć kogoś, kto należy do środowiskowego „salonu” i wypełnia jego kryteria „apolityczności”.

Pierwszy test stanowiło zwolnienie szefa Trójki, Krzysztofa Skowrońskiego. Reakcje środowiska dziennikarskiego (które mieliśmy okazję podziwiać na Salonie) tylko w części spełniły oczekiwania inicjatorów, dlatego postanowiono zastosować środki bardziej radykalne. Kolejnym krokiem było uderzenie w Agnieszkę Romaszewską - o tyle celne, że pośrednio miało sugerować zamach na TV Bielsat.

W tym wypadku, inicjatorzy gry doczekali się jak najbardziej prawidłowych reakcji, o czym zaświadcza słowa Igora Janke, nazywającego ten błąd *„największym skandalem w mediach publicznych od lat. To po bardziej poważna sprawa niż wyrzucenie Skowrońskiego z trójki. Bo „Trójka” z dnia na dzień się nie rozpadnie. A TV Bielsat może. To, co zrobił Farfał to więcej niż zbrodnia. To piramidalna głupota. Niestety, LPR pokazała, co potrafi. Giertych może być dumny ze swojego podwładnego”.*

Do utrwalenia medialnego efektu decyzji Farfala przyczyniła się sama Romaszewska, identyfikując atak na siebie, z zagrożeniem istnienia stacji Bielsat.

Niejako „przy okazji” pozbyto się Anity Gargas, szefowej redakcji publicystyki w TVP1 i jej programu „Misja specjalna”. Ten fakt nie wywołał wszakże reakcji środowiska, bo osoba odwołanej nie była związana ze środowiskowym „salonem”, a sam program podejmował tematy, z których każdy mógł wywoływać wśród „konstruktywnych” dziennikarzy poczucie winy za zaniechanie i tchórzostwo.

Napisałem wówczas na blogu Gospodarza Salonu m.in.:

„Ów młody człowiek, którego Pan posądza o zbrodnię i „piramidalną głupotę” ma dziś swoje „5 minut”. Za obecne dzieło, czeka go w IIIRP świetlana przyszłość. Wykonuje bowiem dokładnie to, czego od niego się oczekuje, działając racjonalnie i konsekwentnie.

Gdy pod koniec roku „wymiatął PiS” (to ponownie tytuł dzieła A.Kublik) nikt z dziennikarzy nie rozrywał szat, zatem efekt propagandowy tych działań nie zaspokoił oczekiwań mocodawców pana Farfala.

Potrzebny był ruch, decyzja która spowoduje okrzyk „to więcej niż zbrodnia!”. Wcześniejszy test z Krzysztofem Skowrońskim wypadł całkiem korzystnie, a środowisko dziennikarskie zareagowało zgodnie z oczekiwaniem.

Zwolnienie pani Romaszewskiej, w której obronie stają nawet tacy sztandarowi obrońcy demokracji jak tow.Marek Borowski, idealnie wpisuje się w ten scenariusz. Po tej decyzji, nikt już nie będzie miał prawa krytykować Platformy i tzw.lewicy za „skok na media”. Gdy wkrótce nastąpi jeszcze jedna - równie „bolesna” decyzja personalna Farfala - dziennikarze będą gotowi zaakceptować każde draństwo nowej ustawy medialnej, byle tylko pozbyć się zniechęconego „faszysty”. Głos krytyków, (w tym opozycji) zostanie zasypany stosem pochwalnych elaboratów, sławiących „demokratów” z SLD i PO”.

Nie trzeba było długo czekać, bo już następnego dnia media zakrzyknęły, iż Farfał pozbywa się z TVP Bronisława Wildsteina, czego zapowiedzią miało być przeniesienie na późne godziny nocne emisji popularnego programu „Bronisław Wildstein przedstawia”.

Niewykluczone, że w najbliższych dniach dojdzie do kolejnych posunięć personalnych i decyzji, mających uzasadniać konieczność dokonania natychmiastowych zmian w mediach publicznych - czyli przyjęcia ustawy medialnej.

Trzeba przyznać, że zastosowany przez obecny układ rządzący mechanizm, zbliżony do „syndromu obłożonej twierdzy” okazuje się niezwykle skuteczny. Gdy dojdzie do głosowania nad ustawą, a następnie ewentualnego weta prezydenta, Platforma zbije na całej operacji podwójny kapitał. Po pierwsze - przekona społeczeństwo, że tylko „apolityczne” zmiany proponowane w ustawie mogą sensownie zmienić obraz polskich mediów i uwolnić je od prymitywnego, zachłannego „partyjnictwa”. Po wtóre - (w przypadku sprzeciwu PiS-u) pozwolą na propagandowe wykorzystanie tego faktu i obarczenie partii opozycyjnej i prezydenta odpowiedzialnością za obecną sytuację, oraz zarzutem utrwalania szkodliwego układu. Mętne i miażdżące wypowiedzi polityków PiS-u, zdają się jedynie potwierdzać, że partia Kaczyńskiego stanie się wygodnym i łatwym celem ataków.

Można natomiast zastanawiać się - czym układ stojący za rządami Platformy i PSL-u okupił korzystne decyzje „giertychowskich” i „lepperowskich” figurantów? Czy tak naprawdę skuszono SLD? Jakie łupy otrzymają te partie, gdy dojdzie do zniszczenia mediów publicznych i zawłaszczenia rynkiem przez dwie „komercyjne” stacje?

Być może będziemy świadkami nieoczekiwanych nominacji i „uśmiechów fortuny” skrywanych skrzętnie w medialnej wrzawie? Może kilka spraw, dotyczących osób związanych z tymi partiami, nie ujrzy nigdy światła dziennego, a tym bardziej sali sądowej? Obawiam się jedynie, by zapłatą dla komunistów, za wspólną wyprawę po „narodowe srebra” nie była sprawa Krzysztofa Olewnika i skierowanie prac komisji śledczej na ślepe, boczne tory.

Obawiam się również, że w tej nierównej walce, nie możemy liczyć na wsparcie dziennikarzy. Choć są wśród nich postaci trzeźwo oceniające realia, dostrzegające grozę sytuacji i potrafiące postawić trafną, odważną diagnozę, zdecydowana większość ogranicza swoje reakcje wobec zakusów bandy Hunów do spektakularnych, (wielce użytecznych inicjatorów operacji) działań, „w obronie kolegów, koleżanek i demokracji”. Widoczny w tych działaniach konformizm, brak pogłębionej analizy sytuacji, zdefiniowania celów i środków, zdaje się wypełniać ambicje dziennikarzy i ich aspiracje bycia „IV władzą”. Tymczasem, to nie Farał, nie Wijas, ani żaden inny figurant jest obecnie problemem mediów publicznych. Rozwiązania systemowe, jakie zawiera ustawa autorstwa PO-SLD-PSL, związane z likwidacją abonamentu i finansowaniem mediów według woli i prowinencji, politycznych decydentów, musi doprowadzić do likwidacji misji publicznych mediów i skończy się kulturą katastrofą. Zadania misyjne mediów publicznych - choćby te, które trafnie wymienił kiedyś Krzysztof Kłopotowski, jak:

- wpajanie szacunku dla wykształcenia i wysokiej kultury,
- poprawa smaku prywatnego i publicznego,
- propaganda postaw obywatelskich służących demokracji,
- zachęta do kreatywności
- pobudzanie patriotyzmu polskiego, w ramach Unii Europejskiej -

zostaną sprowadzone do kilku, prostych jak cepy funkcji propagandowych, służących bieżącym, politycznym grom. Pomijam już kwestie specyprawnień rozszerzonej KRRiT, czy nowego bytu politycznego - Funduszu Zadań Publicznych, których rolą będzie „regulacja” rynku medialnego, według partyjnego i biznesowego rozdzielnika. Trudno wyobrazić sobie bardziej korupcjogenny układ sił.

Ten realny problem, zdaje się nie istnieć w wystąpieniach większości dziennikarzy i zajmuje marginalne miejsce w politycznych sporach blogerów. Skupieni na szokujących opinię publiczną ruchach „pionków”, zdajemy się zupełnie nie dostrzegać realnego zagrożenia, nie zauważać prawdziwych graczy, a zaintrygowani widowiskowym, kontrowersyjnym manewrem, pomijamy autentyczne niebezpieczeństwo. Od analiz bełkotu jednego czy drugiego polityka, po pogoń za propagandową sieczką, od bieżących, pozorowanych sporów, wzbudzanych jako zastona medialna, po roztrząsanie rzekomych afer, w łonie „jednej rodziny” - pozwalamy wytrawnym graczom prowadzić niebezpieczną, antynarodową grę.

Dla nich - stawką jest kasa, lub awans na wyższy stopień służbowy. Dla nas - przyszłość polskiej kultury, w której wolne, publiczne media odgrywają niepoślednią rolę. Niewykluczone, że po niedługim czasie, pod rządami nowej ustawy medialnej również to miejsce - Internet - stanie się obszarem złożonych gier operacyjnych. Kto wówczas wygra?

Koncepcja jest prosta....

Źródła:

http://www.skokstefczyk.pl/fakty_biznes_wydarzenia/60_polityka/375_posld_samoobrona.html

<http://www.niezalezna.pl/article/show/id/12833>

http://wiadomosci.gazeta.pl/Wiadomosci/1,80273,6110421,Farfal_wymiata_PiS.html?skad=rss

http://wiadomosci.wp.pl/kat,1342,title,Giertych-dorznelismy-watahe-w-telewizji,wid,10699848,wiadomosc_prasa.html?icaid=17b52

http://wiadomosci.gazeta.pl/Wiadomosci/1,80708,6101369,Giertych_wyslal_do_Sikorskiego_smsa_o_TVP_Pitera_.html

<http://cogito62.salon24.pl/64781.html>

http://wyborcza.pl/1,75478,6260378,Farfal_w_rekach_Platformy.html

<http://jankepost.salon24.pl/392594.html>

26.03.2009 17:41 84

270. „BO ZŁYCH INACZEJ POKONAĆ NIE MOŻNA...”

„Porwanie księdza Jerzego Popiełuszki - znanego kapłana w parafii św. Stanisława Kostki na Żoliborzu w Warszawie - budzi głęboki niepokój. Z jednej strony istnieje obawa o jego życie, z drugiej strony istnieje obawa, że porywanie pewnych osób może się stać w naszym kraju metodą rozgrywek politycznych. Posiadane dotychczas wiadomości o okolicznościach porwania, wskazują na to, że sprawcy działali z motywów politycznych. Każde porwanie człowieka spotyka się z potępieniem. Tym bardziej wymaga napiętnowania porwanie kapłana, który pełni służbę społeczeństwu”. - głosiło oświadczenie Episkopatu Polski z dn.22 października 1984 roku. Bardzo ważne oświadczenie.

Przypominam te słowa, gdy pojawia się oczekiwana od dawna publikacja IPN-u - „Aparat represji wobec księdza Jerzego Popiełuszki 1982-1984”, tom 1. Książka zawiera informacje powstałe w czasie śledztwa prowadzonego przez Prokuraturę Wojewódzką w Warszawie przeciwko ks. Jerzemu Popiełuszcze. Ich uzupełnienie stanowią dokumenty wytworzone przez Urząd ds. Wyznań, notatki służbowe funkcjonariuszy SB, plany czynności operacyjno-śledczych oraz doniesienia tajnych współpracowników SB wykorzystywane przez komunistyczną policję polityczną do inwigilacji kapłana „Solidarności”. Gdy we wrześniu 1983 r. wszczęto śledztwo przeciwko księdzu, materiały zgromadzone przez SB - właśnie donosy, podsłuchy, nagrania z kazań, zdjęcia i inne - były wykorzystywane przez prokurator Annę Jackowską do postawienia mu zarzutów.

W sposób zupełnie naturalny, uwagę mediów przykuwają te fragmenty publikacji, które dotyczą ujawnienia sieci agenturalnej działającej w otoczeniu księdza Jerzego. Dobrze się stało, że historycy IPN-u przecinają wszelkie wątpliwości, co do osoby księdza Henryka Jankowskiego, rozstrzygając, iż to on był kontaktem operacyjnym „Libella” vel „Delegat”. Choć od czasu znanej publikacji Piotra Adamowicza i Andrzeja Kaczyńskiego w „Rzeczypospolitej”, można było z dużym prawdopodobieństwem zidentyfikować postać KO Delegat, obecne, oparte na mocnych, naukowych dowodach orzeczenie, stanowi ważny krok w ujawnianiu ponurej prawdy o polskiej rzeczywistości. Dobrze również, iż książka zawiera odtajnione dane personalne tajnych współpracowników bezpieki, w tym księdza Andrzeja Przekazińskiego (TW „Kustosz”), Tadeusza Stachnika (TW „Tarcza”, „Miecz”), że ilustruje szczególnie podłe działania księdza Michała Czajkowskiego oraz wskazuje na współpracę hierarchów Kościoła - bp Kazimierza Romaniuka, bp.Alojzego Orszulika, abp Jerzego Dąbrowskiego (TW „Ignacy”) - z policją polityczną PRL.

Nazwiska te - o czym nie należy zapominać - pojawiają się w kontekście kilkuletnich, wielowątkowych działań bezpieki, skierowanych przeciwko księdzu Jerzemu i są dowodem jak ważną rolę w prześladowaniach i represjach wobec kapłana Solidarności powierzono sieci tajnych współpracowników, w tym również agentury ulokowanej w Kościele.

Ten aspekt publikacji IPN-u - w kilka tygodni po haniebnym „zamknięciu” lustracji przez polskich hierarchów - przypomina, że nawet skala systemowego fałszu IIIRP, podniesiona do racji stanu, nie może uchronić przed prawdą.

Myślę jednak, że stałoby się bardzo źle, gdyby temat IPN-owskiej publikacji został zdominowany przez medialny szum, wywołany ujawnionymi w niej nazwiskami współpracowników bezpieki. Zwykle bowiem (a szczególnie w IIIRP) dzieje się tak, że przekaz medialny ma za zadanie przykryć, a nie ujawnić niewygodną dla państwa prawdę i bywa wykorzystywany do kanalizowania uwagi na ściśle określone, choć dalekie od istoty sprawy elementy. Książka „Aparat represji wobec księdza Jerzego Popiełuszki 1982-1984” zawiera właśnie tego rodzaju przekaz, który wydaje się być wyjątkowo niewygodny dla elit IIIRP. Już tylko fakt, że tak słynące z poszanowania prawdy media, jak TVN, czy „Dziennik” oraz wielu publicystów zawodowo fałszujących polską rzeczywistość podejmują wyłącznie temat ujawnionych nazwisk konfidentów, roztrząsając przy tym rzeczy oczywiste, powinien skłaniać do głębszej refleksji nad publikacją IPN-u.

Rozpoczynając ten tekst cytatem oświadczenia Episkopatu z roku 1984, podkreśliłem zdanie, którego sens już wówczas wywołał sprzeciw i wzburzenie wielu środowisk. Na tyle zdecydowany, że członkowie NZS-u planowali nawet zorganizowanie wiecu przed siedzibą prymasa, a dość powszechnie w kręgach opozycji niepodległościowej zaczęto oskarżać kardynała Glempa o „trzymanie z władzą, nie z narodem”.

W oświadczeniu bowiem, powtarzano tezę PRL-owskiej propagandy, że ksiądz Jerzy był tak naprawdę działaczem politycznym, a jego porwanie stanowiło element walki politycznej.

Dlaczego to właśnie zdanie z deklaracji polskich biskupów warte jest przypomnienia, w kontekście obecnej publikacji IPN-u? Ponieważ zawierało ono jedno z podstawowych kłamstw komunistycznej propagandy - nie tylko w stosunku do działalności księdza Jerzego - ale w stosunku do wszystkich działań represyjnych, jakich doświadczał polski Kościół w latach okupacji sowieckiej. Było identycznym kłamstwem, jak to twierdzenie propagandysty z PAP-u, który 27 października 1984 pisał, iż „porwanie księdza Popiełuszki było prowokacją polityczną. Obecnie montowana jest kolejna prowokacja, cała seria prowokacji”; jak stanowisko Rady Krajowej PRON, w którym mogliśmy przeczytać - „rzeczą smutną jest fakt, że są ludzie, którzy nie czekając na ostateczny wynik śledztwa, z góry przesądziła sprawę i zgodnie z celami prowokacji wzywają do wystąpień, do aktów nienawiści, do działań szkodzących krajowi, ukrywając swe intencje pozornym przyłączaniem się do modlitwy Kościoła i jego troski o porwanego”; jak słowa z artykułu Jacka Kuronia, ze 107 numeru „Tygodnika Mazowsze” - „A więc gen. Jaruzelski rozpoczął walkę ze swoim aparatem. Żeby mógł ją skończyć i umocnić się, musi mieć spokój społeczny. Jeśli damy mu ten spokój nie żądając nic w zamian, to oczywiście nie będzie musiał nam nic dać. Dlatego trzeba naciskać na władzę, ale w taki sposób, aby nie stało się dla niej konieczne zastosowanie terroru.”.

Było kłamstwem, ponieważ morderstwo na księdzu Jerzym nie miało niczego wspólnego z aktem politycznym. Nie wynikało z działalności politycznej kapłana, a sprawcy nie działali z żadnych „motywów politycznych”. Wiedział to Kościół, wiedziała ówczesna władza. Wie o tym dziś „elita” IIIRP.

Nie można zapomnieć, że systemowa walka z Kościołem katolickim, a w szczególności z duchownymi, prowadzona była zawsze pod sztandarem zwalczania „rozpolitykowanego kleru”. I choć komuniści starali się przekonać społeczeństwo, że nie walczą z całym Kościołem, religią czy Bogiem, działalność duchowieństwa stanowiła dla nich zagrożenie ideologiczne, na tyle ważne, że w jednym z dokumentów SB księży nazwano wprost „nosicielami obcej nam ideologii”. Gdy, dbając o pozory legalizmu władza stawiała duchownych przed sądami, starała się zawsze pokazać społeczeństwu, że nie represjonuje księży za głoszone przez nich prawdy wiary, za wierność Ewangelii, za głoszenie słów prawdy - lecz rozprawia się z rzekomymi przestępcami, winnymi szpiegostwa, nadużyć finansowych, - ogólnie łamania obowiązującego w Polsce Ludowej prawa. Bardzo wyraźnie widać tutaj analogię do metody stosowanej w latach 30. przez nazistów, którzy walkę z Kościołem prowadzili w myśl hasła „Nie męczennicy, lecz przestępcy”. Tym samym celom służyło nagłośnienie pokazowych procesów „duchownych-przestępców”, które miało odsunąć niebezpieczeństwo przybierania przez Kościół szat męczeństwa. Obraz księdza - rozpolitykowanego agitatora, zaangażowanego w polityczne spory i podziały - służył komunistom jako doskonały pretekst do zwalczania Kościoła, do walki z wiarą i przesłaniem Ewangelii.

Dokładnie ten sam obraz miał wytonić się z akt śledztwa, prowadzonego przez Prokuraturę Wojewódzką w Warszawie w roku 1983 - którego dotyczy tom 1 publikacji historyków IPN-u. Gdy w grudniu 1983 r. ks. Jerzy został aresztowany, bezpośrednim powodem zastosowania tej sankcji były „antysocjalistyczne” i „wybuchowe” materiały znalezione w mieszkaniu przy ul. Chłodnej. Gdy 12 lipca 1984 r. skierowano przeciwko niemu akt oskarżenia, posłużono się artykułem 194 kodeksu karnego, który mówił o działaniu przeciwko porządkowi publicznemu.

Włączone do akt donosy tajnych współpracowników bezpieki, przedstawiały księdza jako kapłana zaangażowanego politycznie, karierowicza, żadnego politycznego przywództwa, podkreślały jego antykomunizm, mówiły o „krnąbrności” wobec władz kościelnych i państwowych, wskazywały na wypowiedzi i działania o rzekomo politycznym kontekście. Ten obraz, wyłaniający się z meldunków TW i KO nie był tworzony na potrzeby propagandy komunistycznej, nie stanowił projekcji życzeń esbeków. Sądzę, że tak naprawdę myśleli, tak postrzegali księdza Jerzego ludzie współpracujący z policją polityczną, w tych kategoriach wdziali rzeczywistość i dzieło Kapłana Solidarności.

”Z donosów wynika, że wielu duchownych nie było w stanie go zaakceptować, był dla nich chodzącym wyrzutem sumienia” - napisał we wstępie książki Jan Żaryn.

Tak samo jak oni, opisywali żoliborskie msze za Ojczyznę funkcjonariusze komunistyczni - „Na spektakle te składają się spreparowane urywki poezji i prozy polskiej o wydźwięku politycznym”. Pieśni śpiewane w kościele, mają również charakter „polityczny i antypaństwowy. [...] „Ks. J. Popiełuszko staje się inspiracją dla różnego rodzaju ekstremistów”. - pisał towarzysz Jerzy Śliwiński - dyrektor Wydziału ds. Wyznań przy Urzędzie Prezydenta Warszawy.

Dla reszty donosicieli, opłatających zdradziecką sieć księdza Jerzego, jego rzekome „politykierstwo” i zaangażowanie w pomoc opozycji, miało usprawiedliwiać ich własną podłość, miało dawać alibi aktom pospolitej zdrady. Było wyborem „dialogu” z władzą, prowadzenia z nią moralnie niepewnej, „dyplomatycznej gry”, świadczącej jakoby o politycznej dojrzałości i pragmatycznym nastawieniu, przedkładającej „dobro Kościoła” nad utopijne mrzonki. Był to w pełni świadomy wybór wizji świata, w którym wszystko ma wymiar względny, a dobro i zło nie istnieje. W tak zamkniętej rzeczywistości nie ma miejsca na świętość, a męczeństwo za wiarę zdaje się być wyborem szaleńca.

Ksiądz Jerzy, podczas mszy za Ojczyznę 27 maja 1984 roku wygłosił kazanie, którego treść musiała doprowadzić do wściekłości władców PRL-u. Ale stokroć mocniej jego słowa obnażyły nędzę postaw tych wszystkich, którzy poszukiwali „kompromisu” z ówczesną władzą. Powiedział m.in.:

„W dużej mierze sami jesteśmy winni naszemu zniewoleniu, gdy ze strachu albo dla wygodnictwa akceptujemy zło, a nawet głosujemy na mechanizm jego działania. Jeżeli z wygodnictwa czy lęku poprzemy mechanizm działania zła, nie mamy wtedy prawa tego zła piętnować, bo my sami stajemy się jego twórcami i pomagamy je zalegalizować”.

Nie przypadkiem, w procesie beatyfikacyjnym księdza Jerzego najczęściej wątpliwości budziło to, czy można go uznać za męczennika za wiarę. Część hierarchów, w tym prymas, skłaniała się początkowo do wersji, że zginął z przyczyn politycznych. Nie wiemy, czy tymi wątpliwościami należy tłumaczyć fakt, że prymas odmawiał złożenia zeznań w procesie. Warto natomiast przypomnieć, że ówczesna postawa kard. Glempa spotkała się z uznaniem władz partyjnych. Wynika to ze stenogramów XVII Plenarnego Posiedzenia KC PZPR, które miało miejsce cztery dni przed wyłowieniem zwłok księdza Jerzego.

„Myślę, że (...) prymas potrafi współdziałać z nami, żeby w interesie ogólnym, w interesie narodu, nie dopuścić do nieobliczalnego biegu wydarzeń” - mówił wtedy gen. Wojciech Jaruzelski.

Nie sposób nie dostrzec, jak słowa z komunikatu PAP-u z 27 października 1984 roku, zatytułowanego „Przeciw prowokacji”, sugerujące, iż w akcie porwania księdza Jerzego „chodzi o zburzenie spokoju w Polsce. Chodzi o przerwanie początków procesów normalizacji stosunków z Zachodem. Chodzi o skłócenie za wszelką cenę państwa i Kościoła, o wymuszenie konfliktu” - współbrzmia z ówczesną postawą wielu hierarchów Kościoła.

Zatem, wszystko - byle nie męczeństwo, byle nie uznanie, że zginął męczennik za wiarę i prawdę, że doszło do starcia dobra ze złem, a czyn sprawców wynikał z najniższych, nienawistnych pobudek. Jeśli zginął - to dlatego, że „politykował”, że „nie zachował ostrożności”, „był nieposłusznym mitomanem”, który „konspirował dowartościowując jakiś manieryzm, który zawsze reprezentował”.

Tak widzieli to donosiciele, tak postrzegali liczni biskupi, tak uzasadniała komunistyczna propaganda. Ten obraz, aż nadto wyraźnie wylania się z treści ostatniej publikacji IPN-u.

Dlatego zawsze, gdy słyszę w moim kraju tak chętnie formułowany pogląd, jakoby ten czy ów ksiądz zbyt „wtrącał się do polityki”, a Kościół „powinien zajmować się modłami, nie zaś angażować w sprawy polityczne” - wiem, że mordercy księdza Jerzego pozostawili w umysłach moich rodaków haniebny testament swojej obecności.

Wielu historyków zwracało uwagę, że relacje władz komunistycznych z Kościołem uległy zasadniczej zmianie po zabójstwie księdza Popieluszki. Mimo, iż oświadczenia hierarchów z tego okresu wyrażają sprzeciw wobec zabójstwa kapłana, próżno poszukiwać w nich wskazania winnych zbrodni lub potępienia prawdziwych intencji inspiratorów. Można odnieść wrażenie, że z chwilą zabójstwa Kapelana „Solidarności” odblokowały się możliwości porozumienia, usunięta została przeszkoda oddzielająca od siebie dwie, przeciwstawne siły. Otworzyła się droga do „historycznego kompromisu”. Powstał nienazwany obszar, w którym mogło nastąpić przedziwne spotkanie katów i ofiar, gdzie zatarto różnicę między dobrem i złem, a nakazy moralne i etyczne sprowadzono do poziomu własnej miernoty, nieludzkiej pychy i kazuistycznego zaprzęstwa. Ten obszar, „płaszczynę porozumienia” nazwano później IIIRP.

Jest rzeczą niezwykle charakterystyczną, że niedawna decyzja biskupów polskich o zakończeniu nigdy niedokonanej lustracji wpisuje się w tę samą „filozofię” postrzegania rzeczywistości - w konformistycznych kategoriach korzyści i strat, poprzez wizję osiągnięcia pozornych efektów propagandowych, fałszywie pojmowanego realizmu, mającego uzasadnić antywangeliczny lęk przed prawdą i świętością.

Książka historyków IPN-u pokazuje, że ksiądz Jerzy zginął, ponieważ na drodze swojej świętości spotkał ludzi, którzy jego postawę wierności Ewangelii odebrali jako zagrożenie. Wielu z nich, w tym ludzie tego samego Kościoła, któremu służył kapłan z Żoliborza nie potrafiło, nie mogło zaakceptować takiej postawy. Woleli widzieć w nim zaangażowanego politycznie kapłana, niż dostrzec prawdziwą, przerastającą ich wielkość. Zbyt mocno obnażała ich własną nędzę, zbyt wyraziście kontrastowała z ich załganą, ograniczoną wizją świata. Wzbudzała nienawiść - jak zawsze, gdy zło czuje się zagrożone dobrem.

Oni przegrali, nie rozumiejąc słów Juliusza Słowackiego - „Panie! Bo złych inaczej pokonać nie można, Tylko w śmierci godzinie miłością anioła”.

Ich przyziemna, tchórzliwa logika, musiała przegrać z logiką wiary.

„To nie jest książka o donosicielach, to książka o świętości ks. Jerzego” - określił publikację IPN-u abp Kazimierz Nycz. Jest w tym zdaniu zawarta głęboka mądrość, która nakazuje, by nie kończyć drogi na jednych słowach księdza Jerzego, zanotowanych po spotkaniu z prymasem Głempem - „Zarzuty mi postawione zwały mnie z nóg. SB na przesłuchaniach szanowała mnie bardziej”, lecz dostrzec następujący po tym zdaniu dopisek: „Nie jest to oskarżenie. Jest to ból, który uważam za łaskę Boga prowadzącą do lepszego oczyszczenia się”.

Oni - chcąc budować własne państwo na zabójstwie Kapłana - przegrali i wciąż przegrywają ze świętością księdza Jerzego.

http://www.rzeczpospolita.pl/tematy/plus_minus_a_1.html

http://www.rzeczpospolita.pl/tematy/plus_minus_a_3.html

http://www.rp.pl/artykul/153227,281268_Esbeckie_gry_wokol_ksiedza_Jerzego_Popieluszki.html

<http://cogito62.salon24.pl/379830.html>

<http://www.kurierlubelski.pl/module-dzial-viewpub-tid-9-pid-68250.html>

<http://info.wiara.pl/wydruk.php?grupa=4&art=1147839887>

<http://cogito62.salon24.pl/385219.html>

30.03.2009 20:43 23

271. PUŁKOWNIK KOMOROWSKI W IPN

Tajna instrukcja: „W związku z coraz powszechniejszym „przemycaniem w publikacjach, głównie o tematyce historycznej i pamiątkarskiej, szkodliwych politycznie treści” przez autorów „związanych w obozie opozycyjnym”, postuluje się:

„Zabezpieczyć systematyczny dopływ informacji o zamierzeniach wydawniczych wydawnictw regionalnych, w celu wcześniejszego ujawniania pozycji zgłoszonych przez autorów znanych z negatywnego stosunku obecnej władzy oraz wywodzących się ze środowisk wrogich.

- Zapewnić dopływ informacji o zamierzeniach edytorskich dot. najnowszej historii Polski celem ujawniania i zapobiegania edycji prac zawierających wrogię, bądź szkodliwe politycznie treści.

- Zabezpieczyć dopływ informacji o osobach ze środowisk wrogich [...], które gromadzą materiały bądź przygotowują do wydania prace historyczne i pamiętnikarskie. Droga operacyjną uzyskiwać oceny przygotowywanych prac lub zdobywać prace do wglądu przed ich skierowaniem do wydawnictw.

- W ramach operacyjnej kontroli osób i grup ze środowisk twórczych, znanych z wrogiej postawy, zapewnić dopływ informacji o pozycjach pamiętnikarskich, przekazywanych przez autorów-amatorów do oceny profesjonalnym twórcom.

- Pozyskiwać w charakterze konsultantów, krytyków i historyków zajmujących się historią najnowszą, znanych z partyjnej i odpowiedzialnej postawy politycznej, w celu uzyskiwania od nich ocen o pracach budzących uzasadnione wątpliwości.

- Powodować wnikliwą ocenę przygotowywanych do wydania prac, szczególnie opracowanych przez osoby znane z wrogiego stosunku do [...] oraz wywodzące się ze środowisk wrogich. W uzasadnionych wypadkach informować wydawnictwo o usiłowaniach przemycenia wrogich treści, celem zapobiegania niepożądanym publikacjom.” -

Powyższy tekst to oryginalne pismo płk. W. Komorowskiego z Wydziału IV Departamentu III MSW skierowane do Naczelników Wydziału III KWMO, KMMO, KSMO z dn.20 marca 1973, w związku ze sprawą obiektową „Hanza”. Tekst pochodzi z publikacji Sławomira Cenckiewicza zatytułowanej - „Nauka pod lupą” Środowisko historyków w opiniach Służby Bezpieczeństwa przełom lat 60-tych i 70-tych, zamieszczonej w nr.2/3 Głaukopisu z 2005 roku.

Czy takiej treści instrukcja, powstała już w służbach podległych obecnemu układowi rządowemu? Czy wydano już zarządzenie, jak ma wyglądać praca historyka?

Myślę, że to kwestia czasu - stąd poddaje Krzysztofowi Bondarykowi gotowy i zbieżny z oczekiwaniami władzy tekst - celem wykorzystania wobec „opozycyjnych” historyków i ich publikacji. Nie wykluczam bowiem, że kierownictwo ABW chętnie korzysta z doświadczeń „starszych kolegów”, a wielu z nich zajmuje w służbach IIIRP eksponowane stanowiska.

Perelowski Departament III MSW postanowił założyć sprawę obiektową „Hanza” w „celu zapobiegania wykorzystywania stowarzyszenia (chodziło o Polskie Towarzystwo Historyczne) dla upowszechniania poglądów niezgodnych z socjalistyczną historiozofią”.

Dzisiejsza wypowiedź premiera polskiego rządu, dotycząca IPN-u - „Instytut ma szansę przetrwać tylko wtedy, jeśli będzie ideologicznie i politycznie neutralny. A jeśli będzie jednostronnie nadużywać środków publicznych, to one się skończą [...] Apeluję do pracowników IPN, aby nie nadużywali środków publicznych, bo jeśli tak dalej będą tak jednostronni, nie będą mogli ich w przyszłości używać.” - wpisuje się w najgorsze tradycje totalitarnej władzy, podporządkowującej sobie każdą sferę życia publicznego. Jest nikczemnym, bezprzykładnym aktem politycznego szantażu, zastosowanym wobec państwowej instytucji naukowej. Jedyna różnica w sposobie działania komunistów i obecnego układu polega na stosowanych środkach - choć i w tej dziedzinie rząd Tuska nie cofa się przed inwigilacją i represjami karnymi wobec nieprawomyślnych dziennikarzy i historyków.

Przed 30 laty, protopłasci naukowego zamordyzmu stosowali wobec historyków i instytucji naukowych cały zestaw przemysłnych, stopniowanych środków - od rozmów ostrzegawczych poczynając i zamknięcia drogi awansu - po zakaz publikacji i represje administracyjne. Następcy „tradycji” płk.Komorowskiego używają szantażu ekonomicznego, słusznie upatrując w tej metodzie skuteczną formę nacisku, wobec instytucji zależnej od budżetowej samowoli.

Od początku przejścia władzy przez obecny układ, IPN- był postrzegany jako instytucja groźna dla jego interesów. Nie przypadkiem - ponieważ jakkolwiek akt pamięci historycznej oraz publikacje odkrywające tajemnice PRL-u, stanowią śmiertelne zagrożenie dla ludzi, którzy na kłamstwie i zdradzie zbudowali swoje gliniane pomniki „autorytetów” IIIRP.

Przez 20 lat owe „autorytety” stworzyły medialny obszar pamięci dla idiotów, dla pogardzanego społeczeństwa, będącego użytecznym tłem prawdziwych procesów IIIRP. Taką pamięć tworzyli nam Michnik i Wajda, gdy w 1989 roku jeździli do Moskwy, odbierać od towarzyszy radzieckich instrukcje przeprowadzenia polskiej „transformacji ustrojowej”. O taką pamięć zabiegał Mazowiecki, odcinając nas „grubą kreską” od wiedzy o zbrodniczym systemie. Uosobieniem tej „narodowej pamięci” ma być Lech Wałęsa, którego patologiczna pycha i wrodzony prymitywizm został cynicznie wykorzystywany przez wszelkiej maści cwaniaków, sprawujących faktyczną władzę nad społeczeństwem. Fakt, że wygodne i skuteczne narzędzie, jakim była w życiorysie Wałęsy agenturalna karta, może stać się bezużyteczne - wywołuje wściekłość tego środowiska.

Jak gigantyczne fałszerstwo historii Polski Ludowej, było dla komunistów podstawową racją stanu, tak kontynuatorzy ich władzy - zalegalizowani farsą „okrągłego stołu” - nie mogli odstąpić od fałszowania najnowszej historii. Tak jedni, jak drudzy nie zdołaliby zachować swoich wpływów bez systemowego kłamstwa.

Po dzisiejszej wypowiedzi premiera - kolejnej, w serii wywierania politycznych nacisków na najważniejszą instytucję historyczną - można być pewnym, że jego zaplecze uczyni wszystko, by wymóc ograniczenie kompetencji IPN i zmusić niezależnych historyków do milczenia. Każdy pretekst - nawet tak dalece niezwiązany z Instytutem, jak książka Pawła Zyzaka, zostanie wykorzystany do przeprowadzenia zamachu. Milczenie opozycji, milczenie mediów, cisza środowisk naukowych - powinna przerażać.

Pułkownik Komorowski wrócił.

http://www.glaukopis.pl/index.php?menu_id=3&id=10

<http://www.tvn24.pl/0,1593276,0,1,tusk-grozi-likwidacja-ipn,wiadomosc.html>

http://www.rp.pl/artykul/2,284044_Premier_teraz_i_zawsze_obronimy_Walese.html

<http://cogito62.salon24.pl/93479.html>

KWIECIEŃ 2009

01.04.2009 19:31 44

272. MY - Z IPN-u

„Historyk, który mówi krytycznie o tak zwanej spiskowej teorii dziejów, jest historykiem niepoważnym, hołdującym historii dla idiotów lub prostaczków, którzy wierzą w to, co widzą w telewizji i czytają w gazetach. Jest bowiem historia prawdziwa i historia medialna, fasadowa. Ta prawdziwa w dużej mierze toczy się za kulisami. A za nimi działają przede wszystkim tajne służby” - to ważne zdanie z wypowiedzi zmarłego niedawno prof. Pawła Wieczorkiewicza, warto przypomnieć w chwili, gdy rządzący Polską układ chce groźbą i szantażem narzucić nam wizję historii dla idiotów i prostaków. Wizję, - którą dzięki medialnym fałszerstwom podziela połowa moich rodaków, uznając okres po roku 1989 za

najlepsze lata Polski w minionym stuleciu. Człowiek, który wypowiedział te znamienne słowa miał świadomość życia w państwie, w którym głos profesora - historyka, zawierający tak wielki ciężar prawdy o naszej rzeczywistości, może się ukazać dopiero po jego śmierci. To haniebny znak czasu.

Najwyraźniej, 20 lat systemowego fałszowania najnowszej historii, niedostatecznie zadowolono ambicje twórców IIIRP, skoro mają chęć sięgać po najważniejszą instytucję historyczną i posługując się metodami terroru politycznego próbują zniszczyć pamięć Polaków, za cenę obrony własnych, zafajdanych życiorysów.

Ludzie, którzy stworzyli kolejną hybrydę komunizmu, nadając jej niezastępowane miano IIIRP doskonale wiedzą, dlaczego lęk przed IPN-em przybiera cechy politycznej paranoi.

Otóż, niemal każda, kolejna publikacja Instytutu dotycząca historii najnowszej, zadaje kłam systemowej wizji tego państwa, dowodząc, iż powstało ono w procesie gigantycznej i w pełni kontrolowanej operacji komunistycznych służb i zostało zbudowane na relacjach agenturalnych. Czy będzie to książka Cenciekiewicza i Gontarczyka o Wałęsie, czy ostatnia publikacja o represjach wobec księdza Jerzego - obraz wyłaniający się z rzetelnych badań historycznych, musi przerażać wizją gier operacyjnych, zza których policja polityczna PRL jawi się, jako kreator i decydent we wszystkich obszarach polskiej rzeczywistości ostatnich lat.

To obraz, który establishment IIIRP próbuje ukryć przed wzrokiem swoich obywateli. Jako nieprzystający do oficjalnej wersji solidarnościowych czy korowskich „herosów”, którzy siłą patriotyzmu i potęgą własnej mądrości zdolali obalić ustrój komunistyczny. Tego obrazu - państwa jako tworu służb i agentury - nie chce dostrzegać samo społeczeństwo; obawiając się, że otwarcie oczu wymusi wysiłek intelektualny, że spowoduje rewolucję w systemie fałszywych wartości i pojęć, pozbawiając Polaków nędznych przywilejów kontrolowanej demokracji i złudnego poczucia bezpieczeństwa.

Z tej, być może przyczyny medialna „historia dla idiotów i prostaczków” znajduje posłuch u rzeszy moich rodaków i sprawia, że Instytut Pamięci Narodowej nie cieszy się szacunkiem i zaufaniem, na jaki zasługuje.

Marianna Birthler, pełnomocnik rządu niemieckiego ds. akt Stasi i szefowa Instytutu Gaucka, powiedziała kiedyś, że „Historie komunizmu i służb specjalnych składają się na historię Europy”. Ta niechętnie przyjmowana prawda oznacza, że teczki po byłych komunistycznych służbach specjalnych są dziś dziedzictwem archiwalnym całej Europy. Są świadectwem okresu bezprawia i pogardy czasów komunizmu, choć również bohaterstwa i odwagi ludzi gotowych powiedzieć „nie” ideologii Imperium Zła. Oznacza to również, że pozbywając się lub ukrywając przed społeczeństwem archiwa służb komunistycznych, dokonuje się tym samym historycznego fałszu, zubaża i zniekształca własną przeszłość. Nie istnieją żadne racje moralne ani polityczne, które byłby w stanie usprawiedliwić takie postępowanie.

Holdujący temu pogładowi politycy, publicyści (a nawet część historyków) są przekonani, że wystarczy „zakazać”, „ograniczyć dostęp”, „spalić”, „zabetonować” lub po prostu wpisać takie czy inne zastrzeżenie do kolejnej wersji ustawy o ujawnianiu informacji o dokumentach organów bezpieczeństwa państwa, by zapobiec niepotrzebnemu wstrząsowi związanemu z odkrywaniem stresującej, niewygodnej przeszłości. Nic bardziej błędnego.

Dzięki przemianom na geopolitycznej mapie Europy archiwa komunistycznych specsłużb nabrały międzynarodowego charakteru. Od tej chwili, powstałe na gruzach sowieckiego obozu państwa zaczęły dysponować dossier nie tylko własnych obywateli, ale i obywateli krajów obcych. Stało się tak, ponieważ każda z policji politycznych w „demoludach” była integralną częścią sowieckiego systemu kontroli i represji - w pełni zależną i dyspozycyjną wobec sowieckiego hegemonu i spełniała określoną przez okupanta rolę w mechanizmie megasłużb komunistycznych. System ten zakładał, że archiwa poszczególnych służb służą celom strategicznym całego Bloku Sowieckiego i na tej podstawie wymuszał ściśle współdziałanie i znaczną transparentność posiadanych informacji. Wszelchobecna w komunizmie zasada „kontroluj kontrolującego” powodowała, że służby jednych państw zbierały i archiwizowały informacje o innych (tu rolę szczególną powierzono Stasi), a wszystkie zbiory danych musiały być przekazywane do moskiewskiej centrali.

Można przypomnieć instrukcję pracy wywiadu SB PRL przygotowaną przez sowieckie KGB w 1980 r., zgodnie z którą prowadzono wspólnie długofalowe działania operacyjne w celu: „wywierania wpływu na papieża, pogłębiania różnic poglądów między Watykanem a Stanami Zjednoczonymi, pogłębiania wewnętrznych różnic w Watykanie, analizowania, planowania i prowadzenia działań operacyjnych szkodzących watykańskiemu planom umocnienia kościołów i rozwoju nauki religii w krajach socjalistycznych, wykrywania kanałów, którymi Kościół katolicki w Polsce zwiększa swe wpływy i podsyca działalność Kościoła w Związku Sowieckim”. To były faktyczne zadania, które KGB m.in. stawiała przed wywiadem PRL i które ów wywiad realizował.

Już tylko ten fakt, że w okresie PRL-u nie mieliśmy do czynienia ze służbami chroniącymi bezpieczeństwo obywateli i interesy państwa polskiego, świadczy o naiwności tych, którzy zakładają kontrolę instytucji państwowych nad wiedzą historyczną ukrytą w dokumentach z okresu PRL. Lecz, czy tylko o naiwności?

Jestem przekonany, że za głosem szeregu postaci domagających się dziś likwidacji IPN-u, widoczne są znacznie groźniejsze intencje, niż tylko ochrona komunistycznej agentury i jej interesów. W tych intencjach, nawet żądanie ograniczenia uprawnień jedynej instytucji zarządzającej zasobami historycznymi archiwów bezpieki, urasta do rangi aktu zdrady.

Wiemy oto, że istotna wiedza o przeszłości jest ukryta w wielu dokumentach znajdujących się poza Polską, i to nie tylko w rękach służb Federacji Rosyjskiej. Dowodów na to, że Rosjanie dysponują dokumentami obciążającymi polskie elity i że mogą się posunąć w tej kwestii do szantażu, jest aż nadto. Dzięki likwidacji WSI wiemy, że w 1990 r. ostatni szef Wojskowej Służby Wewnętrznej gen. Edmund Buła przekazał Sowietom całą kartotekę kontrwywiadu wojskowego. W Raporcie z Weryfikacji WSI, w części dotyczącej operacji o kryptonimie „Gwiazda” możemy dowiedzieć się, że jeszcze w latach 90-tych (a nawet później) Rosjanie wykorzystywali w pracy operacyjnej wiedzę zdobytą w czasach Związku Sowieckiego na temat oficerów Ludowego Wojska Polskiego, którzy później znaleźli się w szeregach armii III RP. Już tylko z tej przyczyny, ujawnienie w Raporcie nazwisk oficerów WSW/WSI i nielegalnie werbowanej agentury, stanowiło akt historycznej i politycznej dalekowzroczności. Byłoby rzeczą absurdalną uważać, że rosyjskie służby, dysponując największym na świecie zbiorem archiwów nie zechciałyby używać ich do rozgrywek politycznych i utrzymywania kontroli nad ludźmi uwikłanymi we współpracę agenturalną.

Warto w tym miejscu odwołać się do opublikowanych u nas pamiętników Borysa Jelcyna, który w szczególny sposób opisał konsternację Lecha Wałęsy podczas przekazania mu części dokumentacji tzw. komisji Michaiła Susłowa. Czytamy tam m.in.: „Wiadomo, że KGB usiłowało kierować likwidacją związku zawodowego „Solidarność”. Przywiozłem Lechowi Wałęsie kopie materiałów komisji Susłowa - pełne dossier „Solidarności”. Polscy i radzieccy czekiści rozłożyli na czynniki pierwsze całe życie przywódców tego ruchu robotniczego. Niekiedy czytanie owych dokumentów wywoływało wręcz przerażenie - do tego stopnia bezlitosny był kagiebowski rentgen. Położyłem rękę na teczce i powiedziałem: „Tutaj jest wszystko. Proszę”. Wałęsa

zbladł". Opisuując tę sytuację, rosyjski prezydent chciał zapewne podkreślić, że KGB dysponuje pełną dokumentacją na temat "Solidarności", i dać do zrozumienia, że polskie elity ogarnia strach na samą myśl o ujawnieniu jakichkolwiek dokumentów, nad którymi nie sprawują pieczy.

O istotnym dowodzie, świadczącym, iż archiwum polskiej bezpieki znajduje się w Moskwie, pisał przed laty Sławomir Cenckiewicz, wskazując na dokument z 20 stycznia 1990 r., podpisany przez płk. Henryka Jasika, dyrektora Departamentu I MSW, dotyczący sytuacji w pogrążonej wówczas w chaosie Niemieckiej Republice Demokratycznej. Oto szef PRL-owskiego wywiadu zwraca uwagę, że kryzys polityczny w NRD na tyle wstrząsnął wschodnioniemieckim państwem, że "aktualnie działalność wywiadu (NRD) jest znacznie ograniczona". Nie to jednak jest w tym dokumencie najciekawsze. Jasik odnotowuje, że podczas szturm na berlińską siedzibę Stasi "w jednym z przeszukiwanych pokoiów znaleziono, a następnie zabezpieczono materiały dot. działalności „Solidarności” i jej przywódcy oraz korespondencję obywateli polskich (materiały te zostały uzyskane w wyniku działań operacyjnych MSW NRD)". Niewykluczone, że chodzi o "urobek" z działalności tzw. grupy operacyjnej Warszawa, powołanej jesienią 1980 r, o której pisałem w tekście GRUPA OPERACYJNA "WARSZAWA"- STASI W POLSCE.

I oto dyrektor Departamentu I MSW dodaje, że dokumentacja dotycząca współpracy wywiadowczej NRD z bratnimi krajami socjalistycznymi, w tym z wywiadem PRL, została "zniszczona bądź zmicrofilmowana i w kontenerach przekazana partnerom radzieckim na przechowanie".

„Nie jest jasne - pisze Sławomir Cenckiewicz - , skąd wywiad PRL/RP pozyskał informacje o istnieniu i "zabezpieczeniu" materiałów o "Solidarności" i "jej przywódcy". Rezydentura w Berlinie mogła mieć własne źródła informacji w NRD, ale mogła je też uzyskać od swoich partnerów z KGB lub ze Stasi, tym bardziej że po przełomie politycznym w Polsce kontynuowano współpracę pomiędzy SB a Stasi (np. sprawa o kryptonimie "Sycylia", dotycząca rozpracowania Solidarności Walczącej). W każdym razie w świetle dokumentu płk. Jasika możemy uznać za pewne, iż po 1990 r. posiadane wcześniej przez Stasi, a więc i przez KGB, dossier "Solidarności" i "jej przywódcy" stało się wspólną wiedzą państwa rosyjskiego i zjednoczonych już wkrótce Niemiec".

Czy trzeba udowadniać, że ograniczenie ustawowych uprawnień IPN-u, z których jedno dotyczy archiwizacji dokumentów związanych z działalnością aparatu represji w latach 1944-1989, lub uprawnień pionu śledczego IPN - czyli uniemożliwienie niezależnym historykom dostępu do archiwów komunistycznej bezpieki - będzie działaniem na korzyść i w interesie rosyjskich i niemieckich służb? Jakiegokolwiek nawoływanie do „zakazania", „ograniczenia", „spalenia" czy „zabetonowania" tych archiwów służy wyłącznie interesom obcym polskiej racji stanu. Mając pewność, że cała wiedza o dzisiejszych elitach IIIRP znajduje się w Moskwie, a ogromna jej część również w Berlinie - chcąc ukryć tę wiedzę przed własnym narodem - ludzie obecnego układu skazują Polskę na rolę bezwolnego, zależnego przedmiotu w politycznych i gospodarczych rozgrywkach. Bez znaczenia pozostaje fakt, czy autorami takich wypowiedzi są komunistyczni aparatczycy, „zasłużeni” opozycjoniści bądź ludzie Kościoła - wszyscy oni świadomie lub nieświadomie, źle służą sprawie polskiej.

Już raz, na początku polskiej „transformacji” dokonano aktu podporządkowania interesów niepodległej Rzeczypospolitej wpływom obcego mocarstwa. Niczym innym, bowiem nie była celowa rezygnacja „elit” politycznych IIIRP z przeprowadzenia dekomunizacji i rzetelnej lustracji. Ukrywając przed własnym społeczeństwem wiedzę o przeszłości, dano wówczas Rosjanom (lecz również Niemcom) groźną i niezwykle skuteczną broń w rozgrywaniu „kwestii polskiej” - naciski i szantaż wobec czołowych postaci życia publicznego, o których agenturalnej przeszłości posiadały wiedzę służby państw obcych. Ten oręż - w choćby niewielkim stopniu - wytrąciła z rąk naszych sąsiadów działalność historyków IPN-u, odkrywających w archiwach służby bezpieczeństwa ponurą prawdę o „ludziach z papieru”.

Ujawnienie współpracy agenturalnej niemal wszystkich „zalegalizowanych” komunistów, tworzących w IIIRP tzw. lewicę, czy prace archiwalne księdza Isakowicza - Zaleskiego - ukazujące agenturę ulokowaną w Kościele, a wreszcie publikacje na temat „opozycyjnej ikony” Lecha Wałęsy - stanowiły istotny, dotkliwy cios, wytrącając z rąk rodzimych i obcych gangsterów broń politycznego szantażu i nacisków. Fakty te musiały wywołać wściekłość i reakcję.

Myszę, że doskonale z obecnego zagrożenia zdaje sobie sprawę prezes IPN-u Janusz Kurtyka, skoro wspominał o agenturalnej przeszłości Aleksandra Kwaśniewskiego, przypominając, znaną od 9 lat prawdę, że postać TW ALEK „gwarantuje Sowiетom przynależność Polski do ich imperium zewnętrznego”. Odważne twierdzenie prezesa Instytutu zawiera głęboki sens.

Każdy z byłych współpracowników policji politycznej PRL, a w szczególności - pełniący w IIIRP najwyższe funkcje państwowe - który ukrywa lub po ujawnieniu zaprzecza swojej agenturalnej przeszłości, dowodzi tym samym, że nadal znajduje się w obszarze wpływów obcych służb specjalnych i nadal wykonuje swoją agenturalną „misję”. Wpływów obcych - bowiem działalność perelowskiej bezpieki i zgromadzona przez nią wiedza należała i należy do zakresu działań wrogich Polsce, związanych z długoletnią okupacją sowiecką. Dla państwa mniającego się wolną Rzeczpospolitą - wiedza na temat najwyższych przedstawicieli IIIRP przekazana przez „polską” bezpiekę do archiwów rosyjskich czy niemieckich, powinna stanowić najpoważniejsze zagrożenie ze strony obcego państwa.

Gdyby było tak, jak wmawiają Polakom rozliczne „autorytety” IIIRP, że ludzie uwikłani w zależności agenturalne wyzbyli się tych obciążeń i godnie służą wolnej Polsce - jak wytłumaczyć fakt, że wszyscy oni przeczą swojej agenturalnej przeszłości i nawet wobec niezbitych dowodów zachowują arogancki upór? Tak wygląda irracjonalna z punktu widzenia interesów wolnej Rzeczypospolitej, lecz dogodna, wyuczona postawa, charakterystyczna dla metod szkolenia agentury, zalecanych w instrukcjach operacyjnych Służby Bezpieczeństwa. Dobitnie świadczy to, że ludzie ci mentalnie, a w wielu przypadkach realnie tkwią nadal w zależnościach i relacjach właściwych dla obcych ekspozytur.

Obecność wśród osób domagających się likwidacji IPN-u, postaci takich jak Bronisław Komorowski - który w niemal wszystkich swoich wypowiedziach otwarcie stoi na straży ochrony interesów rosyjskich w Polsce, nakazuje widzieć w tej umiejętności podsycanej histerii ukrytą celowość i prawdziwy sens.

Mówiąc o wpływach służb rosyjskich, profesor Wieczorkiewicz, w cytowanym już wywiadzie postawił przenikliwie jasną diagnozę:

„Służby, które łączą bezwzględność z wielkimi koncepcjami i potrafią patrzeć daleko do przodu. Jak pisał Bułhakow: dokumenty nie płoną. Wszelkie palenie akt to zwykły teatr. Niszczą się zawsze jakieś duplikaty, bezwartościowe kwity administracyjne i tym podobne rzeczy. To co najważniejsze, to co ma prawdziwe znaczenie - zawsze się zachowuje. W przypadku PRL - w Moskwie. Nie jest tajemnicą, że kopie akt polskiej bezpieki szły do Moskwy. Oni mają wszystko i dzięki temu do dziś kontrolują wielu agentów. Agentury tej prędko nie odkrywamy. Dopiero teraz, po 60, 70 latach z trudem dokopujemy się do prawdy o agenturze sowieckiej w II RP. Ale warto mieć świadomość, że tacy ludzie u nas działają. I to na najwyższych szczeblach. Należy o tym pamiętać zawsze, gdy dochodzi do jakichś konfliktów czy sporów polsko-rosyjskich.

Należy wówczas uważnie wsłuchać się w debatę publiczną: artykuły prasowe, wypowiedzi polityków. Od razu widać, kto reprezentuje rosyjski punkt widzenia”.

Mając pełną świadomość, że państwa sąsiadujące z Polską posiadają dogłębną i realną wiedzę na temat przeszłości establishmentu IIIRP należałoby dokonać rzetelnej, obejmującej wszystkie obszary życia publicznego lustracji, a wszystkich współpracowników policji politycznej PRL odsunąć na zawsze od wpływów na nasze sprawy. Wiemy już, że to postulat niemożliwy do wykonania, a obecna Rzeczpospolita pozostanie państwem przeżartym agenturalną dżumą.

Nie wolno jednak dopuścić do sytuacji, gdy wspólny, zmasowany atak komunistów i ludzi partii powstałej z inspiracji służb specjalnych PRL, doprowadzi do likwidacji lub ubezwłasnowolnienia niezależnej instytucji badającej dziedzictwo archiwalne PRL. W państwie zbudowanym na relacjach agenturalnych, w którym istnieją ogromne i wpływowe grupy interesu sprzecznych z polskimi, pozbawienie społeczeństwa tej jedynej możliwości poznania własnej historii i odebranie mu wiedzy o przeszłości „elit”, urasta do rangi sprawy najważniejszej. To dziś niezwykle realna groźba, że o polskiej przyszłości decydować będą obce służby i przywódcy państw, posiadający wiedzę z archiwów PRL-u.

Niepotrzebne wydają się wielkie słowa, nawoływanie do patriotyzmu i obrony prawa narodu do posiadania pamięci. Wspólny wszystkim nam instynkt samozachowawczy powinien obudzić zdecydowany sprzeciw wobec planów likwidacji IPN-u i zdecydować o wszelkich, dostępnych środkach obrony. Również tych, które stosowaliśmy w czasach PRL-u.

Tak nakazywałby realizm i trzeźwa ocena sytuacji. Ci, którzy jej obecnie nie rozumieją lub tchórzliwie zamykają oczy na niewygodną rzeczywistość - powinni milczeć, w nadziei, że nie staną się współwinnymi tej antypolskiej, groźnej koncepcji.

http://www.rp.pl/artykul/107684,283043_Napiszmy_historie_Polski_od_nowa_czesc_2_.html

http://www.glaukopis.pl/index.php?menu_id=3&id=10

<http://www.wprost.pl/ar/103644/Pokalane-poczecie-III-RP/?O=103644&pg=2>

<http://www.polskatimes.pl/stronaglowna/100410,wywiad-z-januszem-kurtyka-prezesem-ipn,id,t.html#sondaWyniki>

03.04.2009 18:48 67

273. LIKWIDACJA W IMIENIU WSI.

„Istnieją trzy dziedziny życia, gdzie kłamstwo pozostaje głównym narzędziem pracy. Jedną jest propaganda, drugą - wywiad wojskowy, a trzecią - polityka. We wszystkich trzech przypadkach kłamie się nie tylko przez przeinaczanie faktów i informacji; o wiele częściej przemilcza się prawdę lub modyfikuje w ten sposób, aby skutecznie, choćby tylko częściowo, wprowadzać w błąd odbiorcę „ - pisał Włodzimierz Paźniewski.

Czy istnieją podstawy by podejrzewać, że historyczny spektakl obrońców dobrego imienia „legendy Solidarności”, domagających się likwidacji lub ograniczenia kompetencji IPN-u, stanowi element zaplanowanej i wyreżyserowanej gry, której scenariusz napisały służby IIIRP? Czy fakt, że udział w tej sprawie biorą wszystkie trzy wymienione w cytacie środowiska, pozwala postawić tezę, że powód ataku na IPN jest zgoła inny, niż starają się nam wmówić media i politycy?

Choć nie jest tajemnicą, że rządzący Polską układ, od chwili przejęcia władzy, przy pomocy licznych groźby i prób nacisku czynił starania, by ograniczyć aktywność historyków IPN-u, warto zadać sobie pytanie - dlaczego właśnie teraz, dlaczego w tym momencie zdecydowano się na podjęcie gwałtownego i frontalnego ataku?

Mało przekonującą przesłanką, wydaje się być publikacja kolejnej książki o Wałęsie, wydanej przez prywatną oficynę. Tym mniej wiarygodną, że nikt z arogantów, rzucających gromy na IPN nie próbuje nawet wykazać związku pomiędzy książką Zyzaka, a żądaniem likwidacji Instytutu. Również nawoływanie do ograniczenia budżetu IPN-u, ma się nijak, do faktu jednej publikacji Gontarczyka i Cenckiewicza, wobec kilkuset wydawnictw finansowanych ze środków Instytutu. Wielodniowe, emocjonalne zaangażowanie premiera polskiego rządu w walkę o „dobre imię” Wałęsy, w żaden sposób nie może stanowić dostatecznego uzasadnienia dla konkretnych działań, jakie pod tym pretekstem podejmuje rząd.

Oto bowiem wczoraj, dzięki publikacji portalu Niezależna.pl mogliśmy dowiedzieć się, że przygotowywany naprędce projekt nowelizacji ustawy o IPN zakłada likwidację pionu śledczego i przeniesienie wszystkich śledztw do prokuratury. Drugim pomysłem jest powszechne otwarcie archiwów, choć nikt chyba nie wie, jak dokonać tej niewykonalnej czynności.

Warto zatem postawić istotne pytanie - co wspólnego z rzekomą obroną Wałęsy lub „niszczeniem po 20 latach po obaleniu komunizmu tego, co w Polsce jest tak ważne” ma wspólnego likwidacja pionu śledczego IPN?

Pod tą powszechnie używaną nazwą kryje się bowiem Główna Komisja Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu powołana jako pion śledczy Instytutu Pamięci Narodowej ustawą z 1998 roku o Instytucie Pamięci Narodowej - Komisji Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu. Pion śledczy nadzoruje w trybie instancyjnym i służbowym postępowania prowadzone w jedenastu Oddziałowych Komisjach Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu działających w miastach, w których mają swe siedziby Sądy Apelacyjne. Nadzór nad tymi postępowaniami sprawują prokuratorzy Głównej Komisji w ramach pracy Wydziału Nadzoru nad Śledztwami Głównej Komisji. W chwili obecnej prokuratorzy IPN-u nadzorują ponad 1200 śledztw prowadzonych w Oddziałowych Komisjach w całym kraju w sprawach o zbrodnie komunistyczne, nazistowskie oraz zbrodnie przeciwko ludzkości, pokojowi i zbrodnie wojenne. Występują również we wszystkich postępowaniach odwoławczych przed Sądami Apelacyjnymi.

Jest rzeczą oczywistą, że działalność pionu śledczego IPN nie ma żadnego związku z publikacją Cenckiewicz i Gontarczyka, a tym bardziej z książką Zyzaka. Nie sposób racjonalnie wykazać zależności, pomiędzy śledztwami prowadzonymi przez Komisję Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu, a publikacjami dotyczącymi agenturalnej przeszłości Lecha Wałęsy. Wydaje się, że częścią Instytutu „odpowiedzialną” za tego rodzaju prace badawcze historyków jest Biuro Udostępniania i Archiwizacji Dokumentów, w ramach którego działa pięć wydziałów: Ewidencji; Gromadzenia, Opracowywania i Obsługi Magazynów; Udostępniania i Informacji Naukowej; Obsługi Bieżącej; Badań Archiwalnych i Edycji Źródeł. Drugim, ewentualnym „współwinowajcą” mogłoby być Biuro Lustracyjne, prowadzące rejestr i analizę oświadczeń lustracyjnych i przygotowujące katalogi zawierające dane osobowe.

Gdyby projekt Platformy dotyczył ograniczenia uprawnień tych biur IPN-u, można byłoby sądzić, że ma to związek z obroną Wałęsy. Ale skąd pomysł likwidacji pionu śledczego?

Wskazówką w tych dociekaniaх mogą być słowa rzeczywistego „ojca” Platformy - Andrzeja Olechowskiego, który już przed ponad miesiącem (gdy nikt o książce Zyzaka jeszcze nie słyszał) wyraził sformułował postulat dotyczący likwidacji właśnie pionu śledczego. W wywiadzie, udzielonym „Dziennikowi” w dn.2 marca br. TW MUST powiedział na temat IPN-u i działań Platformy:

„Stworzyliśmy sobie instytucję, która to zacierzawienie z konieczności wymusza, ponieważ nie jest sądem. A Platforma, która mówiła, że tę sprawę załatwi, nic nie zrobiła. Miała otworzyć archiwa, teraz słyszałem, że chce zlikwidować pion śledczy w IPN, i nadal cisza. Wzięła się natomiast do odbierania całej grupie ludzi uprawnień emerytalnych. To przecież musi być niezgodne z konstytucją!”

Ponieważ (co wielokrotnie już wskazywałem) pan Olechowski ma zwyczaj instruowania swojej partii poprzez medialne wystąpienia - byłoby rzeczą nierozważną uznać, że głos założyciela nie został i tym razem wysłuchany.

Ta okoliczność, nie wyjaśnia doszaleństw gwałtowności obecnego ataku na IPN i pośpiesznego, a jak na dotychczasowe dokonania Platformy - wprost ekspresowego - trybu przygotowania nowelizacji ustawy.

Byłoby truizmem zwracanie uwagi, że likwidacja pionu śledczego pozwoli zamknąć wszystkie śledztwa dotyczące generałów Kiszczaka i Jaruzelskiego oraz na zawsze zlikwiduje potencjalne zagrożenie procesem karnym, dla setek żyjących dostatecznie oprawców komunistycznych. Ta niewątpliwa korzyść dla zaplecza tzw. lewicy, wtórującej Platformie w pomyśle kasacji Komisji Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu, nadal nie wyjaśnia specyfiki obecnej sytuacji.

Warto więc przyjrzeć się bliżej niektórym śledztwom, prowadzonym obecnie przez pion śledczy IPN, by dostrzec, które z nich i dlaczego mogłoby stanowić dostateczne alibi dla działań podjętych przez rządzący układ.

Pomocą w tych dociekaniach niech będzie, znajdująca się na stronie internetowej IPN-u - „Informacja o działalności Instytutu Pamięci Narodowej Komisji Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu w okresie 1 stycznia 2008 r. - 31 grudnia 2008 r”, a w szczególności Część II - Aneks do Informacji o działalności Instytutu Pamięci Narodowej - Komisji Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu, w którym wymienia się wszystkie najważniejsze śledztwa, prowadzone obecnie przez prokuratorów IPN.

Tak oto, na str.54 aneksu, po sygnaturą S 17/06/Zk znajdziemy śledztwo w sprawie tzw. Grupy „D”: „dotyczące funkcjonowania w okresie od 28 listopada 1956 r. do 31 grudnia 1989 r. w strukturach Ministerstwa Spraw Wewnętrznych w Warszawie związku, w którego skład wchodził funkcjonariusze byłej Służby Bezpieczeństwa, kierowanego przez osoby zajmujące najwyższe stanowiska państwowe, który miał na celu dokonywanie przestępstw, a w szczególności zbrodni zabójstw osób - działaczy opozycji politycznej i duchowieństwa. W ramach prowadzonego śledztwa są wyjaśniane zdarzenia, które były przedmiotem prac Sejmowej Komisji Nadzwyczajnej do Zbadania Działalności MSW (tzw. Raport Rokity). [...] Zakresem śledztwa objęto 46 wątków zdarzeń związanych z działaniami funkcjonariuszy SB przeciwko duchowieństwu i działaczom opozycji antykomunistycznej.

Przedmiotem śledztwa jest w szczególności sprawa dokonania w nocy z 19 na 20 października 1984 r. w Górsku, woj. toruńskiego i w okolicach Włocławka pozbawienia wolności i zabójstwa ks. Jerzego Popiełuszki, w części dotyczącej kierowania wykonaniem tego zabójstwa przez osoby zajmujące wyższe stanowiska państwowe od Władysława Ciastonia i Zenona Płatka. Ponadto są badane również okoliczności m.in. zabójstw: ks. Stanisława Suchowolca, ks. Sylwestra Zycha, ks. Stefana Niedzielaka, ks. Leona Błaszczaka oraz śmierci: ks. Stanisława Kowalczyka (ojca „Honoriusza”), ks. Romana Kotlarza, ks. Stanisława Palimaki i ks. Antoniego Kija. Zakresem postępowania objęto także wyjaśnianie przyczyn nieprawidłowości, ujawnionych w postępowaniach prowadzonych w minionych latach. [...] W toku prowadzonych czynności są dokonywane oględziny nieznanych wcześniej materiałów MSW, pochodzących z archiwów IPN, Policji i Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego. **Odtwarzana jest agentura zajmująca się dostarczaniem informacji o pokrzywdzonych.** Ustalane są jej zadania, które następnie są oceniane pod kątem ewentualnego wyczerpania znamion czynu zabronionego. W drodze przesłuchań świadków, weryfikowane są ustalenia wynikające z akt operacyjnych MSW oraz akt personalnych funkcjonariuszy. Do chwili obecnej przesłuchano łącznie ponad 220 świadków. **W wyniku dotychczas prowadzonych czynności uzyskano wiele nowych informacji istotnych dla poszczególnych wątków postępowania, które są w toku dalszych czynności śledczych pogłębiane.** Informacje dotyczące tych ustaleń z uwagi na dobro prowadzonego postępowania nie mogą być obecnie upublicznione, można jedynie stwierdzić, że odnoszą się one do wykonawców przestępstw popełnianych na szkodę poszczególnych pokrzywdzonych. Obecnie postępowanie jest na etapie uzupełniania zignorowanego materiału dowodowego oraz merytorycznego opracowywania wątków śledztwa, w których **wyczerpano inicjatywę dowodową**”. (podr..moje)

Niewątpliwie, na uwagę zasługuje również śledztwo przejęte z Prokuratury Okręgowej w Warszawie, pod syg.S 51/01/Zk - „kontynuowane od dnia 30 sierpnia 2001 r., swoim zakresem obejmuje przekroczenie uprawnień służbowych przez funkcjonariuszy resortu spraw wewnętrznych, działających na szkodę wymiaru sprawiedliwości w latach 1983-1984 w związku z prowadzonym przez Prokuraturę Wojewódzką w Warszawie śledztwem dotyczącym śmierci Grzegorza Przemyka, utrudnianie śledztwa Prokuratury Wojewódzkiej w Warszawie w sprawie śmierci Grzegorza Przemyka w latach 1983-1984 przez funkcjonariuszy resortu spraw wewnętrznych oraz kierowanie gróźb bezprawnych przez funkcjonariuszy resortu spraw wewnętrznych w celu wywarcia wpływu na czynności, w tym zeznania świadków występujących przed sądem w sprawie śmierci Grzegorza Przemyka. [...] Śledztwo obecnie jest kontynuowane w kierunku ustalenia zakresu odpowiedzialności karnej pozostałych sprawców ze szczebla kierowniczego resortu spraw wewnętrznych oraz funkcjonariuszy z Wydziału III Służby Bezpieczeństwa Stołecznego Urzędu Spraw Wewnętrznych w Warszawie w zakresie czynności operacyjnych prowadzonych wobec Michała W”.

Czy którekolwiek z tych postępowań - o ogromnej doniosłości - mogłoby uzasadniać ekspansywność i pośpiech obecnych dążeń Platformy? Dzięki ostatniej publikacji IPN-u - „Aparat represji wobec księdza Jerzego Popiełuszki 1982-1984”, t. 1, wiemy, że prace historyków Instytutu weszły w nowy i zapewne groźny dla wielu środowisk etap odkrywania sieci agenturalnej, oplatającej księdza Jerzego. Czy ustalenia śledztwa w sprawie działalności Grupy „D”, mogą mieć związek z planami likwidacji pionu śledczego?

W cytowanej Informacji IPN-u pojawia się jednak wzmianka o śledztwie, którego konsekwencje, mogą w znacznie większym stopniu dotyczyć faktycznego zaplecza rządzącego układu i - jak sądzę - być prawdziwą przyczyną obecnej sytuacji.

Oto na str.52, pod sygnaturą S 8/05/Zk znajdziemy „śledztwo Oddziałowej Komisji Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu w Warszawie prowadzone w sprawie wyłudzenia w latach 80. XX w. przez funkcjonariuszy Zarządu II Sztabu Generalnego Wojska Polskiego środków finansowych, pochodzących z zagranicznych mas spadkowych po obywatelach polskich, którzy zmarli poza granicami PRL, poprzez przedkładanie organom spadkowym kraju zamieszkiwania spadkodawców fałszywych dokumentów, potwierdzających rzekome uprawnienia do tych mas spadkowych osób podstawionych przez Zarząd II Sztabu Generalnego WP. W toku wszczętego w dniu 12 grudnia 2006 r. postępowania, ujawniono materiały potwierdzające udział oficerów Zarządu II Sztabu Generalnego WP w przejmowaniu mas spadkowych po obywatelach polskiego pochodzenia, zmarłych w Kanadzie i w Szwajcarii. Na podstawie materiału dowodowego zgromadzonego dotychczas w sprawie mechanizmu

przestępczego, działania miały następujący przebieg. Rezydentom Zarządu II Sztabu Generalnego WP, umiejscowionym przy placówkach dyplomatycznych PRL, wydano polecenie przeglądania postępowań spadkowych prowadzonych przez Wydziały Konsularne. Kopie dokumentów postępowań spadkowych, drogą dyplomatyczną były przysyłane do Zarządu II Sztabu Generalnego WP, gdzie były poddawane dalszemu opracowaniu. Po wytypowaniu konkretnego postępowania spadkowego, który ze względu na osobę spadkodawcy i wartość mienia nadawał się do przejęcia, dokonywano sprawdzenia spadkodawcy i jego rodziny w kraju w celu ustalenia ewentualnych spadkobierców, którzy nieoczekiwanie mogli zgłosić swoje roszczenie do spadku. Podobnego sprawdzenia w miarę możliwości dokonywano za granicą. Po ustaleniu, iż określony spadek nadaje się do nielegalnego przejęcia, dokonywano wyboru dokumentów, które należy sfalszować i ustalano stopień pokrewieństwa, który powinien posiadać podstawiony spadkobierca. Typowano agenta, który najbardziej odpowiadał roli podstawionego spadkobiercy i nawiązywano z nim kontakt. Po uzyskaniu zgody agenta na odegranie roli spadkobiercy podejmowano kroki mające na celu wystawienie na dane tego agenta legalizowanych dokumentów, a także dokonywano sfalszowania stosownych spisów w aktach USC. Po zgromadzeniu dokumentów potwierdzających rzekome roszczenia podstawionej osoby do spadku zgłaszano w MSZ w Wydziale Spadków roszczenie o przyznaniu podstawionemu agentowi masy spadkowej. Cała operacja była nadzorowana przez oficerów Zarządu II Sztabu Generalnego WP. Obecnie prowadzone są czynności procesowe mające na celu ujawnienie kolejnych przypadków zaangażowania się funkcjonariuszy Zarządu II Sztabu Generalnego WP w dokonywanie tego typu przestępstw oraz ustalenie pełnego kręgu osób uczestniczących w popełnianiu tych przestępstw". (podr..moje)

Z informacji pochodzącej z wykazu śledztw, możemy się nadto dowiedzieć, że „trwają czynności zmierzające do ustalenia podobnych przypadków oraz innych ewentualnych działań przestępczych, których dopuścili się funkcjonariusze Oddziału Y”.

Dlaczego to właśnie śledztwo mogłoby mieć związek z dążeniem do likwidacji pionu śledczego?

Stanowi ono jedyny, ocalały z „pogromu” ostatnich miesięcy rządów Platformy wątek dotyczący działalności Wojskowych Służb Informacyjnych. Warto przypomnieć, że Komisja Likwidacyjna i Komisja Weryfikacyjna WSI skierowała do prokuratury wojskowej ponad 200 zawiadomień o popełnieniu przestępstw przez żołnierzy WSI. Ponieważ nie słyszymy o jakiegokolwiek postępowaniach sądowych, wszczętych na tej podstawie, należy domniemywać, że zgodnie z logiką działania układu III RP, zostały one umorzone lub odmówiono wszczęcia postępowania.

Jedynie śledztwo w sprawie działalności Oddziału Y, którego prowadzenie zlecono IPN-owi doczekało się kontynuacji i efektów procesowych. Jak wynika z cytowanej publikacji, bardzo dokładnie odtworzono mechanizm dokonywania wyłudzeń spadków oraz - co najważniejsze - podjęto czynności celem ustalenia podobnych przypadków i innych działań przestępczych, których dopuścili się funkcjonariusze Oddziału Y.

A chodzi tu o nie byle jaki oddział i nie poślednie osoby.

W toku prac Komisji Weryfikacyjnej WSI ujawniono tajne dokumenty MSW i Sztabu Generalnego z lat 1987-1988. Wskazywały one jednoznacznie, że w tamtym czasie, w służbach specjalnych PRL-u powstały tajne komórki: "X" (odpowiedzialne za wpływy na władzę), "Y" (odpowiedzialne za gospodarkę) i "Z" (odpowiedzialne za media). Niezależnie od nich, powstał jeszcze oddział "C", którego zadaniem było pomaganie byłym kolegom w unikaniu odpowiedzialności karnej za przestępstwa popełniane po roku 1989. Najważniejszy był Oddział "Y" i to również on jako pierwszy rozpoczął działalność. Jego zadanie polegało na przejęciu strategicznych resortów gospodarczych i zabezpieczeniu w nich najważniejszych miejsc dla ludzi ze specsłużb. Miało to pozwolić przejąć kontrolę nad biznesem, po planowanej transformacji ustrojowej.

Sam Oddział Y stanowiła bardzo wąska grupa ludzi. W sumie przez cały czas jego istnienia (a istniał od 1 listopada roku 1983, do prawie końca 1991 roku,) przeszło przezeń nie więcej jak 30 osób, jeśli chodzi o samych oficerów. Za to agentura tego oddziału, zarówno współpracownicy, jak cały aparat pomocniczy siedł w setki ludzi. To był bardzo wydajny zespół - podkreślał Antoni Macierewicz.

Działalność oddziału "Y" jest jednym z dowodów tezy, że WSI były przedłużeniem GRU, sowieckiego wywiadu wojskowego, a jego powstanie w roku 1983 miało na celu przygotowanie komunistów do marszu ku „transformacji ustrojowej”. „Ludzie ci byli szkoleni przez służby sowieckie i wykonywali najistotniejsze zadania werbunkowe i finansowe na rzecz ZSRR. To ludzie niesłyszanie niebezpieczni” - twierdził Macierewicz.

"Mowa tu o osobach o dużej sile oddziaływania i dużej samodzielności" - dodaje.

O faktycznym znaczeniu oddziału niech świadczą nazwiska agentów, których wymienia Macierewicz. Byli to m.in. Ireneusz Sekuła, były wicepremier, który zginął w tajemniczych okolicznościach, oraz Grzegorz Żemek, dyrektor generalny Funduszu Obsługi Zadłużenia Zagranicznego. To Oddział Y stał za „matką afer” III RP - sprawą FOZZ-u.

Z innych nazwisk oficerów O/Y można wymienić: Kazimierza Głowackiego, Zenona Klameckiego, Krzysztofa Ładę, Konstantego Malejczyka, Cezarego Liperta, Marka Dukaczewskiego, czy doradców Samoobrony - Lecha Szymańskiego i Marka Mackiewicza.

Nie miejsce tu, by szczegółowo opisywać działalność Oddziału Y. Dość stwierdzić, że ludzie z tej elitarnej grupy oraz prowadzona przez nich agentura, przejęły kontrolę nad głównymi obszarami gospodarki i nadal czynnie uczestniczą w życiu publicznym III RP. Analizując chronologię wydarzeń, widać, że proces przejmowania gospodarki przez służby specjalne PRL-u przebiegał trójetapowo. Najpierw, emeryci ze służb objęli kierownicze stanowiska w państwowych przedsiębiorstwach, które potem kupowali za bezcen, zostając w ten sposób pionierami biznesu III RP. Inni korzystali z wiedzy o planowanych zmianach prawnych, zezwalających zarobić miliony. Kolejni uzyskiwali koncesje na działalności gospodarcze (handel bronią, ochrona, koncesje na eksploatację złóż w innych krajach). Gdy na rynku wykrylizowały się najbardziej dochodowe branże i najwięcej warte państwowe spółki, kluczowe stanowiska w nich zajęli ludzie związani ze służbami. Trzecim etapem było zmonopolizowanie najważniejszych segmentów rynku i uzyskanie nad nimi pełnej kontroli. Działo się to przy cichym wsparciu służb specjalnych III RP.

Otóż, można sobie wyobrazić, że prowadzone przez IPN rzetelne śledztwo, w sprawie działań Oddziału Y, doprowadziłoby do sformułowania aktu oskarżenia i postawienia przed sądem kilku lub kilkunastu prominentnych i nadal wpływowych żołnierzy lub agentów WSW/WSI.

Nie trzeba przekonywać, że ciężar zarzutów, które można byłoby postawić tym ludziom musiałby być znaczny.

Ponieważ Platforma Obywatelska, od początku swoich rządów uznaje za priorytet zapewnienie bezpieczeństwa ludziom ze środowiska WSI - czy wolno wykluczyć, że w sytuacji realnego zagrożenia śledztwem IPN-u, zdecydowano się na frontalny atak na Instytut, wykorzystując jako medialną „zasłonę” sprawę książki o Lechu Wałęsie?

Sądzę, że ten motyw działania wydaje się znacznie bardziej prawdopodobny, od rzekomej „obrony ikony Solidarności”. Trudno posądzać ludzi, którzy mając w głębokim poważaniu polską tradycję i historię, wykazują nagłą, niemal histeryczną reakcję na książkę młodego historyka i tej reakcji podporządkowują natychmiastowe działania rządu. Tym bardziej, nie należy się spodziewać, by faktyczne zaplecze PO było zainteresowane wspieraniem politycznego bankruta - jakim jest Lech Wałęsa.

Nic natomiast nie stało na przeszkodzie, by umiejętnie spożytkować osobę krzykliwego, impulsywnego Wałęsy i w powiązaniu ze sterowanym, medialnym szumem wokół książki Zyzaka wykorzystać okazję do przeprowadzenia planu likwidacji pionu śledczego IPN. Jeśli nawet, ten przeprowadzany „pod przykryciem” zamysł, przyniesie krótkotrwały spadek notowań Platformy i wzbudzi krzyk otumanionych odbiorców - o ileż stanowi to mniejsze zło, od ujawnienia rzeczywistych intencji, związanych z ukryciem przestępczych działań sowieckiej agentury.

Źródła:

<http://www.olechowski.pl/home/2009/03/02/polityczny-alkoholik-to-ja/>

<http://www.niezalezna.pl/article/show/id/18944>

<http://www.ipn.gov.pl/download.php?s=1&id=16823>

http://www.ipn.gov.pl/porta1/pl/31/9359/w_okresie_1_stycznia_2008_r_31_grudnia_2008_r.html

http://ipn.gov.pl/porta1/pl/201/6872/Wykaz_sledztw_prowadzonych_w_Oddzialowej_Komisji_Scigania_Zbrodni_przeciwko_Naro.html

http://www.rp.pl/artykul/55271,250731_IPN_nadal_szuka_mordercow_.html

<https://www.wprost.pl/ar/101478/Prokuratura-pracuje-nad-doniesieniami-Macierewicza/>

<http://www.wprost.pl/ar/?O=99414>

<https://www.wprost.pl/ar/95332/Z-archiwum-Y/?O=95332&pg=0>

<http://www.raport-wsi.info/oddzia%B3%20Y.html>

http://www.wsi.emulelinki.com/aneks_23.htm

06.04.2009 13:11 32

274. DYPLMACJA IDIOTÓW- czyli GRY OPERACYJNE

01.12.2008r.

Kwaśniewski lub Sikorski zostanie szefem NATO?

Były prezydent Aleksander Kwaśniewski powiedział w poniedziałek, że zgodziłby się zostać sekretarzem generalnym NATO, gdyby padła taka propozycja.

- Zgodziłbym się, dlatego, że z różnych stanowisk międzynarodowych to wydaje mi się naprawdę pasjonujące - powiedział Kwaśniewski w TVN24.

Niemiecki tygodnik Der Spiegel wymienia Kwaśniewskiego oraz szefa polskiej dyplomacji Radosława Sikorskiego jako potencjalnych kandydatów na stanowisko sekretarza generalnego NATO.

02.12.2008r.

Sikorski: Nie kandyduję na szefa NATO

Szef polskiej dyplomacji Radosław Sikorski zapewnił, że chce pozostać w rządzie Donalda Tuska.

- Nie kandyduję i widzę swoją przyszłość jako doradca i minister w rządzie Donalda Tuska do końca kadencji - powiedział Sikorski dziennikarzom na zakończenie pierwszego dnia posiedzenia ministrów spraw zagranicznych państw NATO w Brukseli.

Odnosił się w ten sposób do doniesień niemieckiego tygodnika Der Spiegel, który w najnowszym wydaniu wymienił jego oraz Aleksandra Kwaśniewskiego jako potencjalnych kandydatów na stanowisko sekretarza generalnego NATO po Jaapie de Hoopie Schefferze.

Dziwię się, że jeden artykuł wzbudza tyle emocji - powiedział Sikorski. - To są spekulacje prasowe, które moim zdaniem robią więcej szkody niż pożytku.

Dodał jednak, że było mu miło jak usłyszał, że prezes PiS Jarosław Kaczyński mógłby jego kandydaturę lub byłego prezydenta poprzeć na stanowisko sekretarza generalnego NATO. - Sam sentyment był miły i patriotyczny, w takim ekumenicznym sensie. Co mnie cieszy, bo może przezwyciężamy niepotrzebne emocje - powiedział Sikorski.

Szef polskiej dyplomacji zdementował podawane przez media - za źródłami w NATO - informacje, że sekretarzem generalnym NATO powinien być Europejczyk z kraju Unii Europejskiej. To nie jest prawda. Jest dwóch poważnych kandydatów, którzy pochodzą z krajów, które nie są członkami UE - powiedział Sikorski nie ujawniając ich nazwisk.

28.12.2008r.

Kaczyński poparł Sikorskiego

Jarosław Kaczyński jest zdania, że dobrze by się stało, gdyby Radosław Sikorski - lub inny Polak - został szefem NATO.

To komentarz prezesa PiS do sugestii brytyjskiego tygodnika "The Economist", że obecny szef naszej dyplomacji jest najlepszym kandydatem na sekretarza generalnego Sojuszu.

30.12.2008r.

Klich: Sikorski byłby dobrym szefem NATO

Temat nie był poruszany na posiedzeniach rządu - zastrzega jednak szef MON.

Minister obrony narodowej Bogdan Klich uważa, że Radosław Sikorski byłby bardzo dobrym sekretarzem generalnym NATO. Gość Salonu Politycznego Trójki w ten sposób skomentował artykuł w brytyjskim The Economist, który wskazywał na polskiego ministra spraw zagranicznych jako jednego z możliwych kandydatów na przewodniczącego NATO. Bogdan Klich powiedział, że temat kandydatury Sikorskiego na szefa Sojuszu Północnoatlantyckiego nigdy nie był poruszany na posiedzeniach rządu. Szef resortu obrony nie chciał także ujawnić, jakie jest wobec tych spekulacji stanowisko premiera Donalda Tuska.

30.12.2008r.

Sikorski: Fotel szefa NATO to korzystne dla Polski spekulacje

Minister spraw zagranicznych Radosław Sikorski cieszy się ze spekulacji o możliwym objęciu przewodnictwa w NATO przez polityka z Europy Środkowej. Zdaniem The Economist, to właśnie szef polskiej dyplomacji może być kandydatem na to stanowisko. Radosław Sikorski odmawia jednocześnie odpowiedzi na pytanie, czy politycy z innych krajów Sojuszu rozmawiali z nim o możliwości objęcia funkcji szefa Paktu.

- Chciałem jednocześnie podziękować panu Jarosławowi Kaczyńskiemu, że jest gotów w sprawie polskiej kandydatury na tego typu urząd, kierować się przede wszystkim dobrem kraju i poprzeć kogoś nawet w poprzek podziałów politycznych - zaznaczył Sikorski.

31.12.2008r

Kandydatura Sikorskiego to nie spekulacje

- Jestem w tej sprawie konsultowany od wielu miesięcy. To by była ogromna szansa dla Polski - przyznaje Donald Tusk w wywiadzie dla Dziennika.

Szef rządu podkreśla, że kandydatura Radosława Sikorskiego na stanowisko szefa NATO to jest gra na serio. Gra całego rządu. - W takich instytucjach jak NATO przychodzi czas na nowe państwa - ocenia premier.

26.01.2009r.

Sikorski: Nie jestem kandydatem na szefa NATO

Taką deklarację polski minister spraw zagranicznych złożył w Brukseli.

Równocześnie szef polskiej dyplomacji dodał, że nadszedł czas, aby kandydatura z Europy Środkowej na szefa Sojuszu Północnoatlantyckiego była poważnie rozważana.

18.02.2009r.

Sikorski: Nie spekulujmy na mój temat

Minister Spraw Zagranicznych Radosław Sikorski zaapelował, aby nie uwzględniać jego nazwiska w spekulacjach kadrowych, jeśli chodzi o stanowiska w Unii Europejskiej i NATO.

- Oczywiście te najwyższe stanowiska będą kwestiami politycznymi, natomiast proszę mojego nazwiska w tych spekulacjach nie uwzględniać - oświadczył. - To są spekulacje, które się dzieją poza mną - podkreślił szef polskiej dyplomacji. Dopytywany o pogłoski, jakoby był brany pod uwagę jako kandydat na stanowisko sekretarza generalnego NATO, szef polskiej dyplomacji kolejny raz podkreślił, że takie spekulacje nie mają związku z jego działaniami.

27.02.2009r.

Sikorski: Nie rozmawiałem o fotelu szefa NATO

Minister spraw zagranicznych Radosław Sikorski zaprzecza jakoby podczas wizyty w USA rozmawiał o swojej kandydaturze na szefa NATO. Osoby z jakimi spotyka się w Waszyngtonie mogą jednak bardzo pomóc szefowi polskiej dyplomacji w osiągnięciu tego celu.

01.03.2009r.

Sikorski szefem NATO - lobbing trwa

Premier Donald Tusk ujawnił w niedzielę, że rozmawiał z kilkoma przywódcami europejskimi, w tym z kanclerz Niemiec Angelą Merkel, o możliwości kandydowania na sekretarza generalnego NATO przez szefa MSZ Radosława Sikorskiego.

- Na razie nie mamy jeszcze pewności, jak będą na to reagowały poszczególne kraje - mówił Tusk w Radiu Zet, po raz pierwszy odnosząc się do wiadomości, że Sikorski chce kandydować na to stanowisko.

04.03.2009r.

Sikorski zgłosi się na szefa NATO?

Gazeta Wyborcza zapowiada, że szef MSZ Radosław Sikorski prawdopodobnie niebawem zgłosi swoją kandydaturę na sekretarza generalnego NATO.

Według gazety poufną instrukcję od Sikorskiego o zbadaniu intencji co do wyboru sekretarza NATO otrzymali w ubiegłym tygodniu ambasadorowie przy 27 krajach członkowskich. Według informacji Wyborczej instrukcja jest rozbudowana. Szef MSZ prosi między innymi o zbadanie, czy dane kraje zamierzają wystawić własnych kandydatów i jaki jest ich stosunek do jego kandydatury. Zdaniem dyplomatów, z którymi rozmawiała gazeta, oznacza to, że minister zdecydował się kandydować na szefa NATO.

05.03.2009r.

Prezydent poprze Sikorskiego w walce o fotel szefa NATO?

Rząd robi, co może, by zapewnić Radosławowi Sikorskiemu fotel szefa NATO. O pomoc poprosił nawet prezydenta - powiedział się Dziennik. A Lech Kaczyński, który wiele razy ostro krytykował szefa MSZ, nie mówi nie, ale stawia warunek: rząd ma zaakceptować jego kandydatów na ambasadorów. Jest wśród nich m.in. Anna Fotyga.

10.03.2009r.

Kwaśniewski pomoże Tuskowi

- Donald Tusk liczy na pomoc Aleksandra Kwaśniewskiego w sprawie polskich kandydatów na ważne stanowiska w instytucjach międzynarodowych - powiedział rzecznik rządu Paweł Graś, relacjonując spotkanie premiera z byłym prezydentem.

Jak poinformował Graś w RMF FM, głównym tematem poniedziałkowego spotkania Tusk-Kwaśniewski była kwestia zaangażowania się b. prezydenta w pomoc polskim kandydatom: Jerzemu Buzkowi na stanowisko szefa Parlamentu Europejskiego, Radosławowi Sikorskiemu na stanowisko sekretarza generalnego NATO oraz Włodzimierzowi Cimoszewiczowi na stanowisko sekretarza generalnego Rady Europy.

14.03.2009r.

Sikorski ma plan zdobycia NATO

Radosław Sikorski, który walczy o fotel szefa NATO, by uzyskać konieczne do zwycięstwa poparcie, organizuje w Brukseli śniadanie. Dziennik "Polska" pisze, że do wspólnego stołu zaprosił szefów dyplomacji Wielkiej Brytanii, Niemiec, Francji, Włoch i Holandii.

21.03.2009r

NATO nie dla Sikorskiego. Amerykanie wolą Duńczyka

Premier Danii, Anders Fogh Rasmussen, to zdaniem USA lepszy kandydat na szefa Sojuszu. Tak twierdzą amerykańscy dyplomaci, z którymi rozmawiali dziennikarze agencji Reuters. Zdanie Amerykanów przy obsadzie fotela sekretarza generalnego Sojuszu Północnoatlantyckiego ma bardzo istotne znaczenie. Bez ich zgody kandydatura Radosława Sikorskiego jest praktycznie bez szans.

24.03.2009r.

Graś: Nie ma stanowiska ws. Rasmussena

Rzecznik rządu Paweł Graś podkreśla, że nie ma oficjalnego stanowiska rządu ws. kandydatury premiera Danii Andersa Fogha Rasmussena na nowego szefa Sojuszu Północnoatlantyckiego. Graś był pytany w Radiu ZET o doniesienia Rzeczypospolitej, według której Warszawa nie chce, by nowym szefem NATO został Rasmussen. Jak dowiedziała się nieoficjalnie Rz, polskie władze będą przekonywać sojuszników, że dużo lepszym kandydatem na sekretarza generalnego jest minister obrony Kanady - Peter MacKay.

- Nic mi na ten temat nie wiadomo. Nie ma oficjalnego stanowiska rządu w tej sprawie. Wszystko rozstrzygnie się na szczycie NATO 3- 4 kwietnia i tam naprawdę zapadną ostateczne decyzje - powiedział Graś w Radiu ZET. Podkreślił, że obecnie jest trzech poważnych kandydatów na stanowisko sekretarza generalnego NATO. De facto do 3-4 kwietnia te trzy kandydatury będą w grze i ostatecznie szczyt NATO przesądzi o tym, kto nim zostanie - zaznaczył rzecznik rządu.

28.03.2009r.

Sikorski ma poparcie Czech, by zostać szefem NATO

Czechy popierają kandydaturę Radosława Sikorskiego na stanowisko sekretarza generalnego NATO. Minister spraw zagranicznych tego kraju Karel Schwarzenberg uważa, że szef polskiej dyplomacji mógłby być kandydatem wszystkich krajów Grupy Wyszehradzkiej.[...]

Dyplomaci krajów należących do Grupy Wyszehradzkiej mówią, że ta wypowiedź czeskiego ministra powinna skłonić Polskę, aby oficjalnie wystawiła swojego kandydata i szukała poparcia dla niego w regionie.

03.04.2009r.

Sikorski: Nie jestem kandydatem na szefa NATO

Minister spraw zagranicznych Radosław Sikorski zapewnił po raz kolejny, że nie jest kandydatem na sekretarza generalnego NATO i nigdy nim nie był. - Jest trzech kandydatów na sekretarza generalnego NATO, wśród nich jest premier Rasmussen, ja nie jestem jednym z nich - powiedział w radiu TOK FM szef SZ Radosław Sikorski. O tym, że premier Danii Anders Fogh Rasmussen zgłosił swoją kandydaturę na sekretarza generalnego NATO, poinformowały w czwartek wieczorem duńskie media.

- Nigdy nie byłem kandydatem - podkreślił Sikorski. Szef MSZ zaprzeczył, że kandydatem z naszego regionu Europy jest były prezydent Aleksander Kwaśniewski.

06.04.2009r.

Echa szczytu NATO. Sikorski znów oskarża prezydenta

Radosław Sikorski uważa, że Lech Kaczyński nie wypełnił konstytucyjnego wymogu współpracy z rządem. Zdaniem szefa MSZ, powstaje pytanie z kim - skoro nie z rządem - prezydent konsultował swoje stanowisko.

W sobotę prezydent poparł kandydaturę premiera Danii Andersa Fogha Rasmussena na kolejnego sekretarza generalnego NATO. Premier Donald Tusk zarzucił mu, że działał wbrew stanowisku rządu. Sikorski ocenił, że zachowanie prezydenta było straconą okazją, bo można było coś ugrać. - Nie zagrałiśmy i to szkoda - mówił szef MSZ w radiu ZET.

Pytanie 1 - W co i przeciwko komu grał rząd Tuska?

Pytanie 2- Co nie spodobało się administracji S24 w tym zestawieniu?

<http://news.money.pl/artykul/kwasniewski;lub;sikorski;zostanie;szefem;nato,174,0,404654.html>

<http://news.money.pl/artykul/sikorski;nie;kandyduje;na;szefa;nato,196,0,405188.html>

<http://news.money.pl/artykul/kaczynski;poparl;sikorskiego,62,0,410942.html>

<http://news.money.pl/artykul/klich;sikorski;bylby;dobrym;szefem;nato,188,0,411836.html>

<http://www.money.pl/archiwum/mikrofon/artykul/sikorski;fotel;szefa;nato;to;korzystne;dla;polski;spekulacje,132,0,411780.html>

<http://news.money.pl/artykul/kandydatura;sikorskiego;to;nie;spekulacje,109,0,412013.html>

<http://news.money.pl/artykul/sikorski;nie;jestem;kandydatem;na;szefa;nato,88,0,421976.html>

http://www.money.pl/archiwum/wiadomosci_agencyjne/artykul/sikorski;nie;rozmawialem;o;fotelu;szefa;nato,61,0,430653.html

<http://news.money.pl/artykul/prezydent;poprze;sikorskiego;w;walce;o;fotel;szefa;nato,78,0,432206.html>

<http://news.money.pl/artykul/kwasniewski;pomoze;tuskowi,254,0,433406.html>

<http://www.money.pl/archiwum/wiadomosci/artykul/sikorski;szefem;nato;-;lobbing;trwa,9,0,431113.html>

<http://www.money.pl/archiwum/wiadomosci/artykul/nato;nie;dla;sikorskiego;amerykanie;wola;dunczyka,54,0,436534.html>

<http://news.money.pl/artykul/gras;nie;ma;stanowiska;ws;rasmussena,97,0,437857.html>

<http://news.money.pl/artykul/sikorski;zglosi;sie;na;szefa;nato,123,0,431739.html>

<http://news.money.pl/artykul/sikorski;nie;jestem;kandydatem;na;szefa;nato,106,0,441194.html>

<http://news.money.pl/artykul/echa;szczytu;nato;sikorski;znow;oskarza;prezydenta,242,0,441842.html>

12.04.2009 19:37 45

275. TRZECI ŚWIAT

„Uprawiający „Ketmana” jest swoistym marranem naszego czasu, przechowuje czystość moralną i wierność starej wierze służąc nowej, na dnie duszy gardząc nią i nienawidząc jej. [...] Ketman, pomyślany jako raczej perwersyjne Dobro, płacące jakimś cierpieniem za swą wielodennność, jest w gruncie rzeczy niezwykle wygodnym stanem ducha i ciała: ten, kto go uprawia, jest przeświadczony o swej immanentnej szlachetności, bo on jeden wie jak jest naprawdę, opływając

jednocześnie w dostatek wszelki, gorliwie dostarczany przez komunistów, którzy już wiedzą, jak wynagrodzić tych co im służą, choćby tylko na pokaz. Mnie to hadzi” - pisał Tyrmand w „Dzienniku 1954”.

Znamy „Ketmana”. Zналиśmy go w czasach PRL-u, gdy służył usprawiedliwieniu „dystygowanej” zdrady - dostrzegamy dziś - wśród rzesz „immanentnie szlachetnych”, którzy na przymierzu z komunistami oparli swoją wegetację.

W „Zniewolonym umyśle” Miłosz zbudował definicję Ketmana, którą zaczerpnął od francuskiego myśliciela Artura Gobineau. To z jej pomocą próbował analizować zachowania intelektualistów w epoce stalinizmu i rozprawić się z własnym „ukąszeniem”.

Pisał: *„Czym jest Ketman? [...] Zdaniem ludzi na muzulmańskim Wschodzie posiadacz prawdy nie powinien wystawiać swojej osoby, swego majątku i swego poważania na zaślepienie, szaleństwo i złośliwość tych, których Bogu spodobało się wprowadzić w błąd i utrzymać w błędzie. Należy więc milczeć o swoich prawdziwych przekonaniach, jeżeli to możliwe. Jednakże są wypadki, kiedy milczenie nie wystarcza, kiedy może ono uchodzić za przyznanie się. Wtedy nie należy się wahać. Nie tylko trzeba wtedy wyrzec się publicznie swoich poglądów, ale zaleca się użyć wszelkich podstępów, byleby tylko zmylić przeciwnika. Będzie się wtedy wypowiadać wszelkie wyznania wiary, które mogą mu się podobać, będzie się odprawiać wszelkie obrządki, które uważa się za najbardziej niedorzeczne, sfalszuje się własne książki, wykorzysta się wszelkie środki wprowadzania w błąd. [...] Ketman napętnia dumą tego, kto go praktykuje. Wierzący dzięki temu osiąga stan trwałej wyższości nad tym, którego oszukał, chociażby ten ostatni był ministrem czy potężnym królem [...]. Sztydysz z nieinteligentnej istoty, rozbrajasz niebezpieczną bestię. Ileż uciech jednocześnie!”*

Tym samym było Orwelowskie pojęcie dwójmyślenia - pozwalające na wyznawanie dwóch sprzecznych poglądów i wierzenia w oba naraz - owa bezpieczna, wsparta nowomową odmiana dialektyki, przeznaczona dla wybitnych konformistów.

Ale to nie Koran powołał Ketmana, nie Miłosz i Gobineau go przywrócili. Istniał od zawsze, wszędzie tam, gdzie do własnej nędzy przykładano miarę szlachetnej postawy myśliciela, gdzie słabość tłumaczono rozsądkiem, a pychę - przezornością. To on dokonał „politycznego” wyboru Judasza, gdy ten, rozczerowany „niemesjańskim” przesłaniem Jezusa wydał Nazareńczyka Najwyższej Radzie Kapłanów. To on stał za Radziwiłem, Opalińskim i Radziejowskim, on wznosił „racje” Chłapowskiego i Lubeckiego. Ile postaw wyznaczył w czasach PRL-u - owych literackich „inżynierów dusz”, wzniosłych „Puczymord” i autoryzowanych dysydentów - przekonanych o moralnej „dostojeści” i „potykaniu” się ze złem. Ilu przyniósł samousprawiedliwienie i kojące poczucie spełnienia? Wysublimowany z pospolitej zdrady miał zaspokajać potrzeby ludzi zbyt słabych, by pogodzić się z własnym zbydlęciem, zbyt tchórzliwych, by znieść swoją twarz.

*„Poznać mnie po głosie; pókim był w okuciach,
Pęzając milczkiem jak wąż, tudziłem despotę,
Lecz wam odkryłem tajnie zamknięte w uczuciach
I dla was miałem zawsze gołębia prostotę”* -

pisal poeta, budząc wizją Ketmana nadzieję - bycia węzem i gołębiem - siłą wewnętrzną wielkości zdolnej połączyć dwa, oddzielne światy.

„Wydawało mi się, że taka gra będzie możliwa. Wtedy nie przyszło mi do głowy, że Ketman musi się pograć w wewnętrzny kłamstwo, które w końcu przenika całą jego istotę. Że jest to droga w ślepy zautek” - tłumaczył swój wybór człowiek, który sam nazwał się Ketmanem.

A przecież „bycie Ketmanem” to kuszące wyzwanie, probierz intelektualnej sprawności, niemal egzystencjalny test na wielkość ludzkiego ducha, zdolnego przekraczać granice różnych światów. Czy może być większe wyzwanie, niż zachowanie własnych myśli i wyznawanie cudzych poglądów, głoszenie kłamstwa i posiadanie depozytu prawdy, niż przejście przez morze hipokryzji suchą stopą? Kto z nas oparłby się pokusie posiadania władzy nad złożoną dialektyką i prowadzenia gry na pograniczu antynomicznych rzeczywistości? Władzy również bogom, zdolnym bezkarnie przekraczać granice dobra i zła.

Ketman zawsze zna odpowiedź na pytanie „Cóż to jest prawda” i wie kiedy i przed kim być „Królem Żydowskim”. Ketman nie powie „Oto jestem”, lecz „tam są inni” i nie wkroczy na drogę z której nie ma odwrotu.

*„Patrzcie i podziwajcie zawrotną grę losu
o możliwości potencje o uśmiechy fortuny.
A Barabasz być może wrócił do swej bandy*

*A Nazareńczyk został sam
bez alternatywy
ze stromą
ścieżką
krwi”.*

Istnieje jakaś przedziwna moc, która wciąga w „bycie Ketmanem” i sprawia, że nie potrafimy zdystansować się, ani myśleć obojętnie o tej postawie. Być może przeczuwamy, że Ketman jest naszą osobistą sprawą, że do żywego dotyka naszego wnętrza, odkrywając w nim jakąś niezgłębioną i mroczną przestrzeń pytań, która nas przeraża, ale zarazem fascynuje, odpycha i przyciąga - niczym *mysterion prodosias* - tajemnica zdrady... To wystarczy by ulec.

Ustanowiona przez samych Ketmanów - *mysterion prodosias* - to obszar który istnieć nie może, który istnieć nie ma prawa. Jak nie istnieje świat między kłamstwem, a prawdą, pomiędzy dobrem, a złem. Jak nie można znaleźć przestrzeni między bytem, a niebytem.

Miano tajemnicy nadano jej po to, by nikt nie pytał o imię zła, by nazwę zdrajcy ukryć za fasadą wzniesłego rozdarcia. Ich „ślepy zaułek” ma bardziej przypominać hamletyczny dylemat, niż służalcze wywody Doktora.

Nie jest jednym ani drugim. Od Hamleta oddziela go lęk przed stawianiem pytań, do Doktora nie dorasta samouświadomieniem zaprzęstwa. Jest niczym.

Stworzony jako literacka fikcja, został pochwycony przez błyskotliwych nędzarzy jako ostatnie koło ratunkowe, namiastka bytu, pozwalająca utrzymać się na powierzchni rzeczywistości.

„Można przyjąć, że życie jest grą, a człowiek graczem. Poza tym nie ma niczego. Istnieją reguły gry, istnieją wygrane i przegrane, są tacy co wygrali i przegrali, ale nic z tego nie jest na serio. [...] Wszystko wygląda tak, jakby naprawdę było, ale nic nie jest naprawdę”.

„Szlachetni naprawiacze świata”, wygodni konformiści, bufoni, karierowicze i pospolite kanale stworzyli przestrzeń własnej miernoty, nieistniejący „świat Ketmana”, w którym próbują dyktować judaszową wersję zdarzeń, pisaną językiem kamuflażu. W świecie który wnoszą - ich postawa „na granicy” ma znieść wszelkie granice, zatrzeć hierarchie i zniszczyć normy. Ma przeczyć istnieniu naturalnego porządku, w którym wybór dokonuje się zawsze w kategoriach dobra lub zła, a wolna wola nie podlega żadnej determinacji. W „świecie Ketmana” zniewolenie nosi nazwę „wolnomyślicieltwa”, kłamstwo nazywa się „dyskursywnością”, zdradę - „kompromisem”. Lęk przed Słowem, wymusza wielość słów, groza pustki żąda zgłębienia i agresywnej kazuistyki. Próbuje żyć ukrywając własną nicość - przeciwko wszystkim, którym przynależy wiedza o własnej historii i semantyczne prawo nazywania rzeczy po imieniu.

A przecież -

*„niewiedza o zaginionych
podważa realność świata
wtrąca w piekło pozorów
diabelską sieć dialektyki
głoszącej że nie ma różnicy
między substancją a widmem”*

Wolno zrozumieć mordercę, który mówi „zabiłem i będę zabijał”, oszczędzić złodzieja chętnego się swoim oszustwem i szanować łgarza, gdy złapany na kłamstwie nie kryje się za gardą demagogii.

Lecz nie wolno godzić się na Ketmana - który z negacji dobra i zła próbuje uczynić „trzeci świat” i swoją „niby obecnością” niszczy wieczny porządek, występując przeciwko tym, którzy mają prawo być świętymi lub łotrami.

Nie można pozwolić, by pseudointelektualny bełkot „bycia Ketmanem” uzasadniał najzwyklejsze łajdactwo i z zaprzeczenia rzeczy niezaprzeczalnych czynił fałszywą normę. Nie wolno - ponieważ każdy Ketman, nienazwany swoim imieniem zabija fundamentalną prawdę o naszej rzeczywistości i drwi z ludzi, zdolnych udźwignąć ciężar odpowiedzialności za słowa i czyny. Nie wolno - bo Ketman jest śmiertelnym wrogiem człowieka, wszystkiego, co w nas słabe i potężne - co czyni nas wolnymi i pozwala się zmierzyć z autentycznym wyzwaniem. Jeżeli szczytem moralności jest wierność, to dnem upodlenia staje się zdrada.

*„patrzmy w twarz głodu, twarz ognia, twarz śmierci
najgorszą ze wszystkich - twarz zdrady”.*

Ketman odrzuca każdy wybór. Ketman nie ma twarzy. Nawet twarzy zdrajcy.

Dlatego nie istnieje „trzeci świat” Ketmana. Budowanie na nim, to tworzenie najgroźniejszej fikcji - gorszej od „socjalistycznej ojczyzny” i „Europy bez granic”. Fikcji złowrogiej, bo -

*„zasnutej gęstą mgłą
przez mgłę nie sposób dostrzec
oczu palających
łakomych pazurów
paszczy
przez mgłę
widać tylko
migotanie nicości”*

Państwo tworzone przez Ketmanów musi upaść, bo zaprzęgnięte do obrony ich postaw, toczy walkę ze wszystkim co autentyczne i prawe - choćby było ułomne i nazbyt wątłe. Z pamięcią - nie mając własnych wspomnień, z wolną myślą - nie dając żadnej w zamian, a wreszcie z życiem - samemu będąc martwym.

„nie o wieniec kamienny Troi prosimy Cię Panie /

nie o pióropusz sławy białe kobiety i złoto / lecz jeśli możesz przywróć splamionym twarzom dobroć / i włóż prostotę do rąk”.

15.04.2009 13:03 50

276. FARFAL ZDOLNIE STEROWANY

Gdy przed trzema tygodniami w tekście GRA napisałem, że za działalnością zniechęconego przez „salon” Farfała stoi Platforma Obywatelska, teza ta spotkała się z żywiołową reakcją wszelkiej maści funkcyjnych „bloggerów” i bezrozumnych krzykaczy, oskarżających autora o kolejną „teorię spisku”. Napisałem wówczas, że „**Prowokacja, której jesteśmy świadkami, nie mieści się w arsenale metod politycznych i jestem głęboko przekonany, że jej autorów należy poszukiwać wśród „zaplecza” PO, związanego ze specjuszami i agenturą**”. Twierdzenie to musiało okazać się boleśnie trafne, na tyle, że niektórzy z uczestników „dyskusji” stracili trzeźwość umysłu i dystans do spraw służbowych, a nawet posunęli się do stosowania żalostnych gróźb. I choć należało zdawać sobie sprawę z preferencji, jakie zaplecze Platformy wiąże z zawłaszczaniem mediów publicznych, to ówczesna reakcja oddelegowanych na S24 „bloggerów” była zaskakująco gwałtowna i mogła świadczyć, że operację „Farfał” rozgrywa nie byle jaka persona.

Wczorajsza informacja „Dziennika” w pełni potwierdziła zasadność podejrzeń, że p.o. prezesa TVP Piotr Farfał wykonuje dobrą robotę na rzecz Platformy, a jego działania są zamierzone i sterowane przez głównego „rozgrywającego” na linii politycy - służby - Grzegorza Schetynę.

W artykule Marcina Graczyka i Anny Nalewajk czytamy bowiem - „*Pewne jest jedno: prezesa Farfała łączą bliskie relacje z człowiekiem będącym prawą ręką Schetyny*” - podkreśla nasz rozmówca. Chodzi o wiceministra MSWiA Tomasza Siemioniaka.

Jak dodaje inna z osób z TVP, kontakty kojarzonego z LPR prezesa telewizji z wiceministrem z PO rozpoczęły się już w grudniu, zaraz po zawieszeniu starego zarządu telewizji. Potwierdza to zresztą jeden z zawieszonych wiceprezesów. „O tym, że za całym przewrotem stoją Platforma Obywatelska i Tomasz Siemioniak, wiedziałem od dawna” - przyznaje w rozmowie z nami Sławomir Siwek.

Nie może zaskakiwać informacja, iż kontakty Farfała z wiceministrem z PO rozpoczęły się w grudniu, zaraz po zawieszeniu starego zarządu telewizji. Trzeba pamiętać, że koncepcja działania Farfała została przygotowana podczas tajnego spotkania Romana Gierycha z politykami Platformy właśnie w grudniu, o czym pod koniec roku donosiły media. „Dorzęliśmy watahę w telewizji” - meldował Giertych Sikorskiemu, nie kryjąc wówczas zamiarów, jakie postawił przed sobą układ.

Nie jest również zaskakujące, że nadzorcą posunąć Farfała okazuje się Grzegorz Schetyna. Tylko ktoś, kto nie zna lub nie rozumie treści zeznań Andrzeja Czyżewskiego na temat „mafii paliwowej” i nie chce pamiętać, że nazwisko Schetyny pojawia się wśród stałych bywalców wrocławskiej „wilii Baraniny”, może uważać tego człowieka za tzw. polityka, a jego obecne działania oceniać w kategoriach politycznych. Nie przypadkiem, nad zeznaniami Czyżewskiego, złożonymi w trakcie śledztwa komisji „orlenowskiej” zapadła natychmiast głucha cisza.

Na uwagę natomiast zasługuje osoba „łącznika”, bezpośrednio sterującego działaniami Farfała. Tomasz Siemioniak - to „człowiek Schetyny” z Wałbrzycha, którego kariera jest wzorcową ilustracją powstawania nomenklatury IIIRP. Trafną ocenę działalności, tego byłego działacza NZS-u, a potem KLD i Unii Wolności znajdziemy w artykule z tygodnika „Nowe Państwo”, z roku 1996:

„Nurt liberalny NZS od początku odnosił się krytycznie do programu dokończenia rewolucji solidarnościowej. Dla nich liczy się liberalizm, zarabianie pieniędzy i wchodzenie do Europy - komentował Tomasz Prus z Uniwersytetu Warszawskiego, jeden z liderów NZS PK w 1993. Przykładem, jak daleko liberalni enzetesowcy odeszli od antykomunistycznych korzeni Zrzeszenia jest Tomasz Siemioniak, nowy dyrektor I Programu TVP. Tomasz Siemioniak w latach 1988-1992 był działaczem NZS SGPiS, w okresie 1991-1992 skarbnikiem Komisji Krajowej NZS. Dzisiaj uczestniczy w zamachu bloku SLD-PSL-UW na niezależne kierownictwo TVP. W pierwszym wywiadzie po nominacji Tomasz Siemioniak zaatakował telewizyjną publicystykę i „WC Kwadrans” za prawicowe odchylenie”.

Niewiele jest chyba stanowisk publicznych, których ów omnibus by nie piastował. W latach 1994-1996 pracował w TVP, pełniąc funkcje dyrektora Biura Oddziałów Terenowych oraz dyrektora Programu 1. W 1997 roku był koordynatorem programu Media i Demokracja w Instytucie Spraw Publicznych. W latach 1998-2000 sprawował funkcję dyrektora Biura Prasy i Informacji Ministerstwa Obrony Narodowej, natomiast od 1998 do 2002 roku pełnił obowiązki wiceprzewodniczącego Rady Nadzorczej Polskiej Agencji Prasowej. W latach 1998-2000 uzyskał mandat radnego Gminy Warszawa Centrum i pełnił funkcję wiceprzewodniczącego Komisji Kultury Rady Gminy Warszawa Centrum. Następnie, od grudnia 2000 do lipca 2002 roku był wiceprezydentem Warszawy; a - od listopada 2006 do listopada 2007 roku - pełnił funkcję wicemarszałka w Urzędzie Marszałkowskim Województwa Mazowieckiego. Poza tym w latach 2002-2006 zasiadał w Zarządzie Polskiego Radia w Warszawie. Warto przypomnieć, że stanowiska w zarządach PR, politycy Platformy zawdzięczałi wówczas poparciu takich person jak Włodzimierz Czarzasty. Towarzysz Czarzasty sam wspominał przed rokiem: „*Między innymi przy moim poparciu członkiem zarządu Radia Gdańsk był Sławomir Nowak, zarządu Polskiego Radia - Tomasz Siemioniak, a dyrektorem 1 Programu Polskiego Radia - Rafał Jurkowlaniec. Pod tym względem tłumaczenie Iwony Śledzińskiej-Katarasińskiej, że PO jeszcze cnoty nie straciła, jest na tyle prawdziwe, że nigdy jej nie miała.*”

Po objęciu władzy przez obecny układ rządowy, Siemioniak został powołany na zastępcę szefa MSWiA Grzegorza Schetyny, z rangą sekretarza stanu. Do jego zadań miało m.in. należeć przygotowanie.... „programu antykorupcyjnego” Platformy.

„Siemioniak współpracował z byłym prezydentem Warszawy Pawłem Piskorskim wiele lat. - To nie najlepsza rekomendacja, jeżeli oni naprawdę się przyjaźnią, bo Piskorski teraz świadomie rozdaje ludziom takie uściski - skomentowała w roku 2007 nominację Siemioniaka Julia Pitera.

W roku 2006 Siemioniak dał się poznać jako autor tzw. raportu Platformy - „Media publiczne według koalicji rządowej”, o którym PO wołałaby zapewne szybko zapomnieć, skoro usunęła nawet jego treść ze swojej strony internetowej. W raporcie znalazły się zarzuty dotyczące dominacji partii rządzących w mediach oraz opisano rzekome naciski polityków na dziennikarzy. Szefowie mediów publicznych uznali wówczas główną tezę dokumentu za fałszywą, bo opartą na faktach niezwyfikowanych u źródeł. Dziennikarze, których nazwiska pojawiły się w dokumencie, domagali się przeprosin i zagrozili pozwami sądowymi. W imieniu Platformy przeprosił za raport Jan Rokita, mówiąc, iż było w nim napisanych „bardzo wiele niestosownych rzeczy”.

Może warto przypomnieć styl Siemioniaka z owego raportu, by zrozumieć, jakim poświęceniem dla swojego pryncypała odznacza się działacz Platformy, gdy jest zmuszony obecnie spotykać się z Farfatem „gdzieś na mieście”:

„Rady Nadzorcze konstruowano na zasadzie partyjnych parytetów, lojalności wobec partyjnych mocodawców i koneksji towarzysko-rodzinnych. O rodzinę rzecz jasna szczególnie zadbała Liga Polskich Rodzin, a o „towarzystwo” Samoobrona. Prawo i Sprawiedliwość mając nieco bogatsze zaplecze kadrowe zadawała się promowaniem aktywistów partyjnych. Ów partyjno-towarzysko-rodzinny mechanizm przełożył się na skład zarządów nadawców publicznych. Swoistym alibi dla Prawa i Sprawiedliwości mogłaby być postać Prezesa TVP SA - Bronisława Wildsteina, który na pewno nie jest czynnym aktywistą partyjnym, a na pewno był niezależnym publicystą. Niemniej trudno zapomnieć, że swoją funkcję objął nie w wyniku np. konkursu, lecz po bezpośredniej rozmowie z Jarosławem Kaczyńskim, wówczas „tylko” prezesem PiS. Tak jak i trudno nie zauważyć, że towarzyszą mu w zarządzie m.in. Piotr Farfał (LPR), zaledwie 28-letni prawnik, który we wczesnej młodości zastąpił parafaszystowskimi publikacjami, Anna Milewska (Samoobrona), wcześniej członek Rady Nadzorczej TVP SA z nadania SLD czy Sławomir Siwek, związany z PiS od czasu Porozumienia Centrum”.

Myślę, że właśnie udział Siemioniaka - człowieka który piętnował rzekome upolitycznienie mediów za czasów PiS-u, - w obecnej „grze Farfalem”, stanowi najbardziej symptomatyczny objaw cynizmu ekipy Platformy. Cała kariera Tomasza Siemioniaka, to niemal klasyczny przykład przekraczania wszelkich poziomów kompetencji i budowania pozycji dzięki zbiegom okoliczności, układom biznesowo-towarzyskim i przynależności partyjnej. Nietrudno domyślić się, że ktoś, kto pełnił tak wiele i tak różnorodnych funkcji w IIIRP - naprawdę - nie miał kwalifikacji do zajmowania żadnej z nich.

Niewątpliwie pan Siemioniak potrafi dbać o własne interesy. Jak wynika z treści jego oświadczeń majątkowych jest właścicielem trzech mieszkań, przeznaczonych na wynajem. I choć kwoty kredytów, jakie ciążyą na działaczu PO mogą przyprawić o ból głowy, to przecież stałość państwowej kariery daje gwarancję godziwych zarobków.

Zdziwiłem się natomiast, że w żadnym z oświadczeń majątkowych Siemioniaka, nie znalazła się wzmianka, iż w trakcie wykonywania obowiązków wiceministra był członkiem zarządu Międzynarodowego Stowarzyszenia Przyszłość Mediów. Czy stało się to przez zapomnienie, czy też pan Siemioniak nie przywiązywał wagi do tej działalności?

MSPM - jak sami o sobie piszą - „skupia ludzi, którzy pragną dyskutować nad tym, jak działają i jak mogą się rozwijać media. Jaki jest ich wpływ na nasze indywidualne i społeczne życie, jaki może być nasz wpływ na media oraz za ich pośrednictwem na innych ludzi. Chcemy nie tylko analizować działanie mediów, ale przyczyniać się do tego, aby służyły jak najlepiej przenoszeniu wartości kultury i humanizmu w nowoczesnym społeczeństwie”.

Wśród członków - założycieli znajdziemy nazwiska, z których każde gwarantuje „oczywistą apolityczność”, wysoką kulturę i humanizm - Witolda Beresia, Konstantego Geberta, Jana Kidawę-Błońskiego, ks. Andrzeja Lutra i wielu innych, a wśród nich - Tomasza Siemioniaka. Stowarzyszenie prowadzi ożywioną działalność, organizując corocznie festiwale „Sztuka Dokumentu”. W tym roku „Festiwal multimedialny przy Trakcie Królewskim w Warszawie” odbędzie się pod wzniosłym hasłem „Rok 1989 w Europie. Wolność - Media - Demokracja”, a jego partnerem będzie m.in. Urząd m.st. Warszawy. Mając na uwadze nazwiska założycieli Stowarzyszenia, można mieć pewność, że na festiwalu zostaną zaprezentowane jedynie słuszne i zgodne z historiozofią IIIRP produkcje. Tym bardziej należy się dziwić, że Tomasz Siemioniak nie zechciał pochwalić się swoim członkostwem w zarządzie MSPM.

Myślę, że po ujawnieniu przez „Dziennik” związków Farfała z Siemioniakiem, trudno będzie bronić „cnoty” PO przed zarzutem prowadzenia cynicznej, wyniszczającej publicznie media gry, obliczonej na zdezawuowanie PiS-u i zdobycie akceptacji dla ustawy medialnej. Autorzy artykułu, przytaczają na zakończenie słowa jednego z kolegów Siemioniaka, który bez ogródek mówi:

„Proszę się nie dziwić. Nam Farfał w TVP w jakiś sposób jest na rękę. Jeśli w czasie wyborów do Parlamentu Europejskiego wszechpolacy będą robić na siłę kampanię LPR, to przecież odbiorą głosy PiS, a nie nam. Nie mamy więc powodów do narzekania”.

Jestem niezmiernie ciekaw - jak na tę informację zareagują dziennikarze i publicyści, organizujący medialne akcje w obronie zwalnianych kolegów i gromko potępiający „faszystę” Farfała? Czy świadomość, że za jego plecami działają światli liberałowie z PO, będzie miała wpływ na ocenę dalszych dokonań p.o. prezesa TVP, czy też może, w najbliższych dniach będziemy świadkami gwałtownego wychodzenia z tej całkiem udanej kombinacji operacyjnej?

Źródła:

[http://www.dziennik.pl/polityka/article359869/Farfał został w TVP a PO się cieszy .html](http://www.dziennik.pl/polityka/article359869/Farfa%20zostal%20w%20TVP%20a%20PO%20sie%20cieszy.html)

<http://www.bezccenzury.net/index.php?main=article&action=view&article=137&images=thumb180>

<http://pisowis3.webd.pl/index.php?id=2>

<http://www.alternatywa.com/modules.php?name=News&file=print&sid=1911>

<http://www.money.pl/archiwum/wiadomosci/artykul/tusk;w;raporcje;byly;niescislosci,23,0,196375.html>

<http://www.tvn24.pl/-2,1529290,wiadomosci.html>

http://www.money.pl/archiwum/wiadomosci_agencyjne/pap/artykul/raport;po;media;publiczne;wedlug;koalicji;rzadowej,7,0,196103.html

http://www.bip.mswia.gov.pl/palm/bip/180/17961/Tomasz_Siemioniak_Sekretarz_Stanu_w_MSWiA.html

<http://www.krs-online.com.pl/miedzynarodowe-stowarzyszenie-przyszlosc-archiwum-106561-6819.html>

<http://www.przyszloscmediow.pl/index.php?sec=1>

<http://sztukadokumentu.pl/index.php?lang=pl&date=2009&type=fest&page=main>

<http://cogito62.salon24.pl/393130.html>

18.04.2009 21:10 36

277. ONI - INTEGRACJA

Są w polskim Internecie miejsca, w których odwiedziny i lektura zamieszczonych tekstów pozwala lepiej zrozumieć rzeczywistość IIIRP i dostrzec prawdziwe oblicze państwa, odchodzącego tryumfalnie swoje 25 -lecie. Szczególnie zaś tę rzeczywistość, która bywa starannie ukrywana przed wzrokiem przeciętnego odbiorcy, pomijana w medialnych przekazach i oficjalnych analizach.

Należą do nich strony internetowe organizacji, skupiających funkcjonariuszy policji politycznej PRL i żołnierzy LWP. Przed kilkoma miesiącami w cyklu wpisów „PROMILITO” - DROGA DO WŁADZY, przedstawiłem jedno z tego typu stowarzyszeń, założonych tuż przez wyborami 2007 roku przez wysokich rangą oficerów LWP i WSW/WSI. Postępujący szybko rozwój działalności tego stowarzyszenia, zdaje się potwierdzać moje ówczesne uwagi.

Przed rokiem zaś, w tekście ONI zwróciłem uwagę na stronę internetową Związku Byłych Funkcjonariuszy Służb Ochrony Państwa. Znany wcześniej jako - Związek Byłych Funkcjonariuszy UOP, jeszcze w 2002 roku skupiał około 350 osób zwolnionych ze służby za rządów Jerzego Buzka. Prawie wszyscy przed 1990 rokiem pracowali w Służbie Bezpieczeństwa. Związek przez kilka lat działał jako struktura równoległa do założonej przez liderów SLD Fundacji Naukowej - tzw. Instytutu Problemów Bezpieczeństwa. Władze związku od lat reprezentuje płk. Maciej Niepsuj - funkcjonariusz tzw. kontrwywiadu SB, czyli Departamentu II MSW. W 1988r. płk Niepsuj przeszedł trzymiesięczne szkolenie w Szkole KGB im. Feliksa Dzierżyńskiego w Moskwie. W latach 2002-2005, gdy Agencją Bezpieczeństwa Wewnętrznego rządził tow. Andrzej Barcikowski, Niepsuj był „konsultantem” tej służby. Jest z pewnością człowiekiem dobrze przygotowanym do reprezentowania interesów środowiska byłych esbeków i dbania o ich interesy w IIIRP.

Na obecnej stronie ZBFSOP próżno szukać smakowitych cytatów, jakie znalazły się w tekście ONI z maja 2008 roku. Podobnie jak w przypadku stowarzyszenia PROMILITO, również byli esbecy szybko zrozumieli, że emocjonalna, agresywna retoryka nie popłaca i może zostać odebrana negatywnie przez postronnych odbiorców. Nie znajdziemy więc już na nowej stronie ZBFSOP tak szczerych wyznań jak poniższe:

„Trzeba bowiem przerwać ten nasilający się, stymulowany strachem i niewiarą w przyszłość chocholi płąs pod dyktando zajadłych w swej nienawiści polityków, usługowych wobec nich pseudohistoryków i propagandystów, plujących „oczywistymi prawdami”, demagogią i kłamstwem na temat ostatniego ćwierćwiecza Rzeczypospolitej i rzeczywistych uwarunkowań tych historycznych przekształceń, które w tym czasie nastąpiły, w tym także miejsca w nich służb specjalnych PR”.

Ani tak napastliwych pretensji :

„Czy czołowi eksponenci rządzących obecnie ugrupowań, wożący ryngraf z podobizną NMP do Pinocheta (...) mają jakiegokolwiek moralne prawo do nazywania hurtem „katami” i „zbrodniarzami” oficerów SB z lat 80-tych, w tym m.in. tych, których działania doprowadziły do wykrycia i skazania sprawców zabójstwa ks. Popietuszki, tysięcy zapewniających bezpieczeństwo wizytom Papieża, czy tych, którzy na nieznanym sentymentów światowym rynku gospodarczym chronili i wspierali nasze narodowe interesy, o które tak wtedy, jak i teraz żaden ówczesny ani obecny „Wielki Brat” za nas nie zadba..”?

Nietrudno zgadnąć, że skończyły się z chwilą, gdy władzę przejął obecny układ. Również ta cezura czasowa wyznacza wzrost aktywności ZBFSOP. Jest on widoczny, nie tylko poprzez nową szatę graficzną strony, ale przede wszystkim w kontekście wystąpień władz związku, licznych wniosków i petycji, kierowanych do organów nowej władzy.

Dwie, podstawowe sprawy zdają się obecnie zaprzętać uwagę byłych funkcjonariuszy - ustawy odbierającej esbekom przywileje emerytalne i działalności IPN. Oba tematami poświęcona jest większość materiałów, zamieszczonych na stronie internetowej. O ile jednak początkowa histeria, związana z uchwaleniem ustawy, ustąpiła miejsca przekonaniu, że sprawa zostanie definitywnie zakończona poprzez orzeczenie Trybunału Konstytucyjnego (gdzie skargę skierowali towarzysze z tzw. lewicy), o tyle działalność IPN-u budzi wśród funkcjonariuszy gwałtowne reakcje.

Już tylko przegląd tytułów artykułów zamieszczonych na stronie ZBFSOP - „Instytut Polowania Narodowego”, „Łzy Kurtyki”, czy „Popłynie z Nilem” (rzecz o odnalezieniu miejsca pochówku gen. Fieldorfa) - pozwala zrozumieć, że obecna nagonka na IPN, w wykonaniu rządzącego układu jest zjawiskiem mile widzianym w tym środowisku.

Na stronie zamieszczono także wystąpienia osób, których działania odbierane są pozytywnie przez byłych esbeków. Do stałego grona tego typu „autorytetów” należą : Janusz Zemke, Jan Widacki, Adam Michnik i Tomasz Lis oraz gen. Gromosław Czempiński. Na przeciwnym biegunie sympatii znajdziemy postaci braci Kaczyńskich i Janusza Kurtyki. W tym kontekście, poczytuję sobie za wyróżnienie, że osoba autora równie często bywa wymieniana na stronie ZBFSOP, niekiedy w bardzo ciekawym zestawieniu:

Oto Redakcja strony (sądząc po stylu, w osobie tow. Niepsuja) zamieściła tekst odezwy do „Koleżanek i Kolegów”, w którego początkowych zdaniach zawarto, jak się zdaje główne problemy trapiące środowisko ZBFSOP:

„Koleżanki i Koledzy!

Strona internetowa ZBFSOP cieszy się coraz większym zainteresowaniem! Czytają nas (ilość wejść na stronę zwiększyła się w ciągu ostatnich kilku miesięcy kilkanaście czy kilkadziesiąt razy!) - już nie tylko zawsze czujni „prawdziwi patrioci” typu Aleksander Ścios & Co., Konsulat Generalny Federacji Rosyjskiej czy służby chińskie (prawda, że wdzięczne towarzystwo?!) - ale wreszcie, co nas bardzo cieszy, przede wszystkim szerokie rzesze byłych funkcjonariuszy wszystkich polskich służb specjalnych. Cieszymy się, że możemy służyć Wam radą, otuchą, a przede wszystkim, że z Waszą pomocą coraz częściej udaje się nam odpowiednio reagować na zjawiska w naszym życiu publicznym, na które musimy reagować, by nie dać zajadłym zakłamywaczom najnowszej historii Polski luksusu niezakończonych występowania z „jedyną prawdą” na ten temat. Bo to jest chyba nasze najważniejsze zadanie, może nawet ważniejsze niż obecna doraźnie toczona walka z odwetową i bezprawną ustawą emerytalną. Bo ta ustawa nie mogłaby powstać, nie mogłaby się optać cynicznym hipokrytą, którzy ją sklecieli, gdyby nie przygotowali wcześniej i dalej aktywnie urabiana (vide: np. informacja o przygotowywanym przez katowicki oddział IPN serialu o SB, lub zamiana stojącego niegdyś na bardzo wysokim poziomie Teatru TV na prymitywną agitkę w postaci tzw. „Teatru Faktu”) tzw. „opinia publiczna” (pozostając w kręgu skojarzeń teatralnych dedykujemy zaciekle wyrażicielom woli ludu „Wroga ludu” Ibsena..).

Uważny czytelnik znajdzie również na stronie Związku, w dziale „Z Internetu” kilka rozbrajających paszkwili, autorstwa blogerów znanych z Salonu24: Bohuna - czyli Mirosława Lewandowskiego i Ziggiego - Zbigniewa P. Szczęsnego. To niezwykle ciekawy przykład „przenikania” tych dwóch, z pozoru odrębnych światów.

Myliłby się jednak ten, kto sądziłby, że działalność Związku Byłych Funkcjonariuszy stanowi jedynie swoisty i niewiele znaczący folklor, a wizyta na ich stronie może dawać okazję do obserwacji obyczajowych i językoznawczych. Jako stały obserwator tej strony (z ramienia „prawdziwych patriotów”) dostrzegam w ostatnich miesiącach wielką aktywizację środowiska ZBFSOP. Naturalną przyczyną tego zjawiska jest oczywiście ustawa emerytalna i integracja byłych esbeków wokół akcji przeciwdziałania skutkom tej ustawy. Ale czy tylko o to chodzi?

Cytowany już fragment „Słowa od Redakcji” jest jednocześnie odpowiedzią na listy, kierowane do Związku przez byłych funkcjonariuszy SB. Znajdziemy je w dziale „Korespondencja”. Oto kilka fragmentów tych wystąpień:

- *„Ze zdumieniem przyjąłem do wiadomości, że członkiem ZBFSOP może być jedynie były funkcjonariusz UOP.ABW i AW. Czyżby do służb ochrony państwa nie można zaliczyć byłych funkcjonariuszy Departamentu I, II, innych jednostek MSW, którzy się weryfikacji nie poddali lub jej nie przeszli?*

Wyrzekając się solidarności z naszymi kolegami, kryjemy się za enigmatyczną nazwą „służb ochrony państwa”.. Niepotrzebnie, bo i tak zawsze dla naszych oszczerców i przeciwników będziemy „esbekami” Czy aż tak jesteśmy

wystraszeni, żeby się uciekać do takich manewrów i pozbawiać się szacunku naszych dawnych kolegów, często starszych i mających nie mniejsze zasługi w ochronie naszego państwa.”

- „Cieszę się, że działa stowarzyszenie, który reprezentuje interesy wielkiej rzeszy byłych funkcjonariuszy służb. Także osobiście wyrażam chęć przystąpienia w poczet członków ZBFSOP. Jestem byłym pracownikiem Służby Bezpieczeństwa (1982-1990). Po (pozytywnej) weryfikacji pracowałem w pionie kryminalnym policji, odchodząc - w 1997 roku - na emeryturę.

Proszę o podanie warunków wstąpienia w szeregi Związku.

Pragnę poinformować, iż utrzymuję kontakty z wieloma kolegami, także byłymi pracownikami SB, którzy są bardzo zainteresowani aktywnym członkostwem w ZBFSOP”

- ” Uważam, że w minionym okresie Zarząd szczególnie mało akcentował swój sprzeciw wobec haniebnych i bezprawnych procedur legislacyjnych w sprawie obniżenia emerytur a zaprezentowane dwie uchwały /pisma/ koncentrowały się na obronie tylko tych byłych oficerów służb peerelowskich, którzy mieli szczęście pracować w UOP-ie. Takie stawianie sprawy jest nieuczciwe i nie sprzyja integracji całego środowiska. Nie podejmowano także prób przeciwstawienia tendencyjnym i zmanipulowanym audycjom telewizyjnym i artykułom prasowym, kłamliwie pokazującym działania dawnych służb. Na stronie winna ukazać się uchwała Zarządu odpowiadająca na pytanie, czy członkami mogą być również koledzy z okresu PRL. Ze statutu to jasno nie wynika”.

Dodajmy do nich relację autorstwa „Małgorzaty Guzowskiej lat 32”, opisującą „napad na emerytowanego oficera wywiadu naukowo - technicznego”, w której m.in. czytamy:

„Sprawa trafia do sądu w O. z oskarżenia publicznego o groźby karalne. W sądzie, jako jeden z motywów działania napastników, pojawia się argument, że „nie będzie byle ubek mi dzień dobry mówił”. obrońca napastników rozpoczyna proces lustracyjny. Co esbek robił przed 89? Czy przeszedł weryfikację? Przeszedł? Nieważne, skoro esbek, to pewnie ludzi pałował na ulicach i torturował w więzieniach więc to raczej napastnicy mają się jego bać. A nie ON ich. Zresztą przez takich jak ON to Pazika zamordowali w więzieniu. Bo przecież nieważne, że był 89. Świadczenie się bali zeznawać, bo JEGO macki sięgają wszędzie. Wiadomo, spec-Służby, taki sam jest prokurator i policja, to przecież jedna siła. I ON śmie twierdzić że się boi?. Ze JEGO napadnięto. Sędzia nie reaguje. Nie reaguje do końca procesu. W mowie końcowej obrońca napastników jeszcze raz odwołuje się ob. sumienia Wysokiego Sądu, że tacy jak ON nie mają prawa czuć się zastraszeni, że skoro tacy jak ON próbują oskarżyć porządnymi obywateli (zaraz się okaże, że kombatanów, skoro po pijaku tak zaciekle z esbekiem walczyli), to ten kraj zmierza ku upadkowi, i że wyrok może być w związku z tym tylko jeden. I jest Uniewinnienie! Można esbeka i jego rodzinę napaść, opluć, pobić. Potem jeszcze oskarżyć, że to ON bił. Wiadomo, TAKI ma to we krwi.[...] Dowalić esbekom. Za to, że całe życie uczciwie pracowali. Tak. Pracowali w strukturach państwa dziś odsądzanego od czci i wiary. Ale wtedy jedyne, jakie istniało. Mógł być teraz jak Kukliński w USA, chcieli. Ale on nie chciał. Bo czuł się lojalny wobec swojego kraju. Szkoda.”

Reakcją na ten opis jest apel redakcji :

„Tego rodzaju zdarzenia - jak słusznie pisze K. - mogą się powtarzać. W tej sytuacji, moim zdaniem, powinniśmy się jak najszerzej samoorganizować, zaś najskuteczniejszą formą tego byłoby powszechne składanie deklaracji członkowskich do Związku Byłych Funkcjonariuszy Służb Ochrony Państwa (następca Związku Byłych Funkcjonariuszy Urzędu Ochrony Państwa). Nasze członkostwo w tym Związku nie tylko ukazałoby na zewnątrz naszą siłę, lecz także przyczyniłoby się do pozyskania ze źródeł funduszy na ekspertyzy prawne i ew. zaangażowanie dobrych prawników”.

Jeśli ktoś uważa, że to nieszkodliwy bełkot jest w błędzie. Cytowane powyżej głosy w pełni korespondują z działaniami, jakie środowisko to obecnie podejmuje.

Oto dowiadujemy się, że 14 stycznia br. odbyło się posiedzenie Komitetu Założycielskiego Federacji Stowarzyszeń Służb Mundurowych, na którym uchwalono m.in. statut Federacji. W Komitecie Założycielskim znajdziemy m.in. nazwiska ludzi, których cała służbowa „kariera” w komunistycznych organach przemocy poświęcona była walce z własnym społeczeństwem:

„- gen. dyw. Adam Rębacz, pułkownicy Jan Kacprzak, Zenon Biesaga, Aleksander Kubacki, Józef Piotrowicz, Kazimierz Kolasa i Stanisław Kordowski - Związek Byłych Żołnierzy Zawodowych i Oficerów Rezerwy Wojska Polskiego;

- Zdzisław Czarnecki, Ewa Grzegorzczak, Zdzisław Jaworski i Zdzisław Pietryka - Stowarzyszenie Emerytów i Rencistów Policyjnych;

- bryg. Jan Caba, bryg. Ireneusz Mańko, płk Jan Nowak i Albin Piątkowski ? Związek Emerytów i Rencistów Pożarnictwa RP;

- gen. insp. Leszek Szreder oraz nadinspektorzy Leszek Lamparski i Henryk Tokarski - Stowarzyszenie Generatów Policji;

- gen. Jana Pyrcak i płk Janusz Kwiecień - Związek Emerytów i Rencistów Służby Więziennej.

Ten fakt - niebywale, organizacyjnej integracji wszystkich środowisk funkcjonariuszy związanych z komunistycznymi służbami specjalnymi i LWP został praktycznie niezauważony i przyjęty bez żadnej reakcji mediów. A chodzi przecież o rzecz niesłychanie istotną z punktu widzenia bezpieczeństwa i naszych praw obywatelskich.

Ludzie, którzy przez całe swoje życie zawodowe służyli sowieckiej hegemonii nad własnymi rodakami, represjonując społeczeństwo, walcząc z każdym przejawem wolnego działania i wolnej myśli - skorzystali na nienależnym im prawie demokracji do zrzeszania się, w celu obrony własnych interesów. Już samo istnienie tego rodzaju związków, jak ZBFSOP stanowi kpinę z rzekomego „zwycięstwa nad komunizmem” i obrazę dla milionów, represjonowanych przez Służbę Bezpieczeństwa Polaków.

W moim najgłębszym odczuciu, formacje takie jak SB czy WSW były organizacjami przestępczymi, powołanymi z inicjatywy i na rzecz okupanta, służącymi celom sprzecznym z narodowymi interesami Polaków. Istnieje dość dowodów historycznych, by w pełni uzasadnić i obronić tę tezę. Państwo, powstałe po roku 1989 - będące kontynuacją „państwowości” PRL, dozwoliło, by ludzie z tych przestępczych środowisk zachowali wszelkie uprawnienia i wpływy - w tym możliwość korzystania z dobrodziejstw demokracji - z którą przez całe swoje życie zawodowe walczyli. To paradoks, na miarę przyrównania istniejącej sytuacji, do stanu Niemiec po upadku III Rzeszy. Nie do wyobrażenia wydaje się okoliczność, by członkowie organizacji faszystowskich mogli, po roku 1945 zrzeszać się w federacje i związki korporacyjne. Przy zachowaniu wszelkiego rodzaju różnic historycznych - nie istnieją żadne, realne powody, by inną miarą oceniać organa represji w totalitaryzmie komunistycznym, od organizacji nazistowskich. Tylko niespotykanemu, zabójczemu dla świadomości pokoleń Polaków historycznemu kłamstwu zawdzięczamy, że III RP traktuje funkcjonariuszy policji politycznej PRL na prawach pracowników służb ochrony państwa i obdarza ich przywilejami pełnoprawnych obywateli.

Nie trzeba przekonywać, że środowiska byłych wojskowych i funkcjonariuszy to nie kluby zniedołężniałych emerytów. Organizacja, karność i dyscyplina, - wyniesione ze służby, stanowią naturalne cechy, predestynujące tych ludzi do

efektywnego i skutecznego działania, a dostęp do broni i znajomość technik pracy operacyjnej, czyni z nich niebezpieczny legion - narzędzie.

Jeśli pod rządami obecnej koalicji, totalitaryzującej niemal każdą sferę życia publicznego, powstaje Federacja Stowarzyszeń Służb Mundurowych, założona przez oficerów komunistycznych służb specjalnych i LWP - należy to działanie odczytać jako realne zagrożenie dla naszego bezpieczeństwa. Zorganizowana armia ludzi, którzy agresywnie i coraz dobitniej domagają się respektowania swoich rzekomych uprawnień, szacunku dla „profesjonalizmu” i „dobrego imienia” - stanowi dla państwa tak słabego, jak obecna IIIIRP niebezpieczne wyzwanie.

W odpowiedzi udzielonej jednemu z byłych esbeków, płk. Niepsuj napisał:

„Dzisiaj w obliczu wiadomej Ustawy z dn.23.01.2009r. powstaje FEDERACJA związków i stowarzyszeń służb mundurowych, a w niej będą reprezentanci wszystkich środowisk. Istnieje zatem formuła organizacyjna w której jest miejsce dla różnych życiorysów. [...]

Po pierwsze, nie jesteśmy naiwni, ale ponieważ Polska jest tylko jedna stawiamy potencjał intelektualny naszego środowiska do dyspozycji stosownych instytucji administracji państwowej.

Po drugie, zasady etyczne - czy stosowne są tu wątpliwości co decyduje o wartości człowieka? Przecież w tak wysublimowanej sytuacji jak gra operacyjna, aby osiągnąć pozytywny rezultat, konieczna jest wierność zasadom.

Po trzecie, jak jesteśmy oceniani to widać i słyhać, gdy weźmie się do ręki jakąkolwiek gazetę, albo przycisnie guzik w pilocie. Brak najmniejszej drobiny obiektywizmu w tych ocenach jest bardzo denerwujący - to oczywista oczywistość jak mawia jeden z głównych aranżerów tej hecy wobec nas, dlatego trzeba przebijać się z prawdą”.

Sądzę, że podkreślone fragmenty tej odpowiedzi to faktyczny „program” działania środowiska byłych esbeków. „Stawianie potencjału intelektualnego” - jakkolwiek brzmi nieco anegdotycznie, nie jest przecież niczym innym, jak dążeniem do posiadania wpływu na działalność służb ochrony państwa, a „przebijanie się z prawdą” - warto byłoby odczytać jako zapowiedź dalszego, coraz bardziej agresywnego zakłamywania najnowszej historii.

Na uwagę zasługuje fakt, że w celu wzmocnienia procesu integracji środowiskowej, sięga się po sprawdzone już środki socjotechniczne, jak choćby sztucznie wywoływane poczucie zagrożenia i przeświadczenia o rzekomych prześladowaniach byłych esbeków. Tę samą metodę zastosowano w roku 1981, tuż przed wprowadzeniem stanu wojennego, gdy rozpowszechniano wśród nomenklatury komunistycznej pogłoski o sporządzanych przez Solidarność „listach proskrypcyjnych”.

W każdym, normalnym państwie działalność tego rodzaju organizacji byłaby objęta nadzorem służb specjalnych, jako stanowiąca potencjalne zagrożenie dla bezpieczeństwa państwa. Ponieważ III RP nadal korzysta z „doświadczeń” byłych esbeków, powierzając im zarządzanie największą służbą - ABW i stosuje wobec własnych obywateli środki zaczerpnięte z arsenału peerelowskiej policji politycznej - nie sposób wymagać, by w sytuacji, gdy następuje nadzwyczajna integracja tych środowisk, podjęto jakiegokolwiek działania zabezpieczające.

Tymczasem sprawa jest poważna, gdyż dotyczy ludzi, którzy potrafią działać skutecznie i w sposób bezwzględny, często przy pomocy metod operacyjnych egzekwować swoje roszczenia. Retoryka, jaką obecnie stosują świadczy, że doskonale opanowali metody manipulacji rzeczywistością, a swoją służbę komunistycznemu okupantowi traktują jako powód do chwały. Cytowany już płk.Niepsuj tak ocenia pracę w organach bezpieki i „profesjonalizm” policji politycznej:

„Owoce naszej pracy była informacja o ludziach naruszających prawo i sytuacjach grożących porządkowi prawnemu. Tak było, tak jest i chyba jeszcze długo pozostanie, że w służbach specjalnych najważniejszy jest człowiek i informacja - ta zasada cechowała naszą pracę w służbie dla PAŃSTWA, którego pozycji i autorytetu w stosunkach międzynarodowych żadne inne państwo nie kwestionowało. Nasz profesjonalizm doceniły wszystkie służby specjalne w NATO, sojuszu, którego Polska stała się uczestnikiem formalnie w 1999 roku. Wiele osób reprezentatywnych dla naszego środowiska uhonorowanych zostało dowodami uznania tego profesjonalizmu, który przyczynił się do odpowiedniej pozycji naszej Ojczyzny w tym sojuszu.[...]

Nam też rodzice zaszczepili miłość do Polski i nauczyli nas, że nie tylko warto ale trzeba być człowiekiem uczciwym, wiarogodnym i wrażliwym na ludzką krzywdę i też pragniemy, aby nasze wnuki żyły w sprawiedliwym i bezpiecznym kraju. I równieź jesteśmy wierni przez całe życie zasadom wyniesionym z domu rodzinnego, bo przecież Polska jest tylko jedna, obojętnie jaki jest przy Niej przymiotnik, to zawsze jest POLSKA”.

Nie podejmę się nawet zdefiniować - czy ten styl wypowiedzi świadczy o cynizmie byłego esbeka, czy też jest przejawem braku autorefleksji i niezdolności do dokonywania ocen moralnych.

Sądzę natomiast, że właściwą reakcją obywateli wolnego społeczeństwa, winno być uświadomienie sobie realności zagrożeń, płynących ze wzmocnienia i integracji środowisk funkcjonariuszy komunistycznych służb. Nie licząc na jakiegokolwiek racjonalne reakcje organów tego rządu, należałoby sprawą zainteresować posłów i senatorów, zobowiązanych do dbałości o nasze bezpieczeństwo i stan państwa. Skoro milczą o tym media, warto byłoby nagłośnić problem, a od naszych przedstawicieli w parlamencie domagać się podjęcia sprawy na forum sejm i komisji sejmowych, w celu wyjaśnienia - jakie jest stanowisko rządu, wobec działań podejmowanych przez Federację byłych funkcjonariuszy i co w tej sprawie robią służby IIIIRP.

Nim będzie za późno.

<http://www.krs-online.com.pl/zwiazek-bylych-funkcjonariuszy-sluzb-krs-203949.html>

http://www.zbfsop.pl/index.php?option=com_content&view=category&layout=blog&id=3&Itemid=9

http://www.zbfsop.pl/index.php?option=com_content&view=section&layout=blog&id=8&Itemid=21

http://www.zbfsop.pl/index.php?option=com_content&view=article&id=45:paranoja-rafi

http://www.zbfsop.pl/index.php?option=com_content&view=article&id=196:dzielenie-&catid=12:wpyno&Itemid=18

http://www.zbfsop.pl/index.php?option=com_content&view=article&id=197:akces&catid=12:wpyno&Itemid=18

http://www.zbfsop.pl/index.php?option=com_content&view=article&id=205:dziennikarska-rzetelno&catid=3:zinternetu&Itemid=9

http://www.zbfsop.pl/index.php?option=com_content&view=article&id=185:przeladowania-&catid=12:wpyno&Itemid=18

http://www.zbfsop.pl/index.php?option=com_content&view=article&id=148:federacja-stowarzysze-sub-mundurowych&catid=3:zinternetu&Itemid=9

http://www.zbfsop.pl/index.php?option=com_content&view=article&id=210:w-sprawie-statutu-list-i-odpowied&catid=18:informacje&Itemid=2

http://www.stmagnum.republika.pl/biezaca_dzialalnosc/artykuly/1017-rzeczpospolita.htm

http://www.zbfsop.pl/index.php?option=com_content&view=article&id=184:bezczelno-hipokryzja-oszustwo-i-co-jeszcze&catid=12:wpyno&Itemid=18
<http://cogito62.salon24.pl/72936.html>

20.04.2009 19:07 23

278. SPRZĄTANIE PRZED KOMISJĄ.

„Sprawcy zażądali okupu, wysyłając ojcu ofiary esemesy. Rodzice jadą we wskazane miejsce, ale porywacze nie podejmują pieniędzy. To ich taktyka. Kiedy dochodzą do wniosku, że mogą wpaść, rezygnują. Takie wyjazdy odbyły się jeszcze kilka razy. [...] Po kilku tygodniach ustalają czas i miejsce złożenia okupu. Gdzie, jak i ile pieniędzy przekazała rodzina - śledczy nie chcą zdradzić. Jedna z wersji mówi, że pieniądze zostały zrzucone z mostu w Warszawie[...]

Ten opis nie dotyczy sprawy porwania Krzysztofa Olewnika, choć okoliczności i zachowanie sprawców są identyczne. Pochodzi z artykułu sprzed roku, w którym „Rzeczpospolita” informowała o działaniach „gangu obcinaczy palców”, opisując m.in. porwanie córki przedsiębiorcy z branży mięsnej. Pod tą wymyśloną przez media nazwą kryją się przestępcy, działający w strukturach „gangu mokotowskiego” - największej i najgroźniejszej w Polsce grupy przestępczej. Gdyby wierzyć w doniesienia prasowe, „gang mokotowski” miał być rozbity wiele razy, choć każda, kolejna informacja o zatrzymaniu osób związanych z tą grupą świadczyła o miernych efektach działań policji.

Oto 21.12.2005 roku mogliśmy się dowiedzieć, że „Policja wygarnęła wczoraj rano z domów 17 członków tzw. grupy 'Korka', czyli gangu mokotowskiego. Gangsterzy tworzyli jedną z najbardziej niebezpiecznych grup zbrojnych w Polsce. Chociaż sam 'Korek' czyli Andrzej H. od lipca siedzi w areszcie w Gdańsku, to jego gang był nadal groźny. Grupa zajmowała się napadami na tiry, produkcją i sprzedażą kokainy, handlem bronią na skalę międzynarodową. Narkotyki sprzedawali w ilościach hurtowych od 1,5 kg do 100 kg kokainy. Podejrzewa się ich również o napady i porwania dla okupu”.

Pytany wówczas przez dziennikarzy - „Czy może pan powiedzieć, że gang mokotowski został doszczętnie rozbity”? - prokurator krajowy Janusz Kaczmarek, miał stwierdzić - „W dużej części, reszty jeszcze szukamy”. Na efekt poszukiwań trzeba było trochę poczekać.

Trzy lata później, 28 kwietnia 2008 roku, Gazeta Wyborcza donosiła: „Po godz. 6 w niedzielę do 25 budynków w Warszawie i okolicach weszło 300 policjantów m. in. z Centralnego Biura Śledczego i antyterrorystów. Cel - członkowie gangu mokotowskiego. 20 przestępców zostało aresztowanych, między innymi Karol R. ps. Karol, Norbert D. ps. Szlugu, Krzysztof P. ps. Skrzat i Janusz M. ps. Jarek. To zaufani szefów pilnujący ich interesów. Bossowie Mokotowa, w tym Andrzej H. ps. Korek, który siedzi za przemyt ponad 3 kg kokainy od 2004 roku. Zatrzymanie gangsterów zaplanowano, kiedy źródło operacyjne powiadomiło policję, że 'Mokotów' planuje zamachy na ostrołęckich prokuratorów i policjantów, którzy ostatnio zbierali dowody na członków grupy”.

W lipcu 2008 roku aresztowano również Artura Należytego - ps. Ojciec - szefa grupy gangu „obcinaczy palców”.

Minął niemal równy rok i oto dziś dowiedzieliśmy się, że „policja zatrzymała 20 osób należących do tzw. grupy mokotowskiej-poinformował Krzysztof Hajdas z KGP [...] Funkcjonariusze podczas akcji zabezpieczyli także mienie wartości 170 tys. zł. Zatrzymani dokonali w niedzielę funkcjonariusze CBŚ przy udziale antyterrorystów. - W akcji na terenie Warszawy i województwa mazowieckiego uczestniczyło 250 policjantów, byli wspomagani przez śmigłowce ze snajperem na pokładzie - powiedział Hajdas.

Jak wyjaśnił, zatrzymani przestępcy, według policyjnych informacji, dążyli do odbudowania i poszerzenia struktur grupy mokotowskiej po zatrzymaniu w ub. roku jej przywódców”. [...]

Grupa mokotowska była przez policję określana jako jedna z najniebezpieczniejszych w Polsce, specjalizowała się w napadach na tiry, handlu bronią i narkotykami (także na skalę międzynarodową), praniu brudnych pieniędzy’.

Myszę, że tę ostatnią informację warto zestawzić z przebiegiem prac sejmowej komisji w.s zabójstwa Krzysztofa Olewnika i spojrzeć na sprawę z nieco innej perspektywy, niż wymiar sensacyjnego newsu.

17 lutego br. Rzeczpospolita” poinformowała, że za przełomem w śledztwie w sprawie Olewnika stoją zeznania nowego świadka. Według gazety, ma to być świadek koronny, który wcześniej pomagał rozbić gang pruszkowski. Miał on potwierdzić związki byłego współnika porwanego- Jacka K. z ludźmi z gangu mokotowskiego. Dowodów dostarczyła także nowa analiza billingów jego rozmów, zlecona przez gdańskich prokuratorów. Analiza połączeń telefonicznych wykazała, że Jacek K. kontaktował się między innymi z przestępcami związanymi z gangiem mokotowskim.

O nowych ustaleniach śledztwa informował wkrótce potem „Dziennik”, opisując, iż z analizy bilingów wynika, że z Jackiem K kontaktował się Andrzej A - gangster związany z pruszkowskimi grupami przestępczymi. W roku 2002 r. A. intensywnie kontaktował się z jednym numerem w sieci Idea. Z tego telefonu dzwonił w lutym 2002 r. do Jacka K, a 17 lutego 2002 r. sam A. zatelefonował do Jacka K. (co autor policyjnej analizy opatrzył wykrzyknikiem). Andrzej A. często dzwonił też do firmy żony Wojciecha Franiewskiego - herszta bandy porywaczy.

A. kontaktował się również z Rafałem K. "Farbowanym", bandytą z grupy mokotowskiej. "Farbowanego" i Krzysztofa Olewnika łączyła bliska znajomość z Izabellą L. Ta zeznała w śledztwie, że K. wiele razy pytał ją o Olewnika i akceptował jej romans, mówiąc, że „to dobra partia, że można by wyrwać od niego parę złotych”.

Rafał K był do niedawna prawą ręką gangstera Zbigniewa C. "Daksa", jednego z bossów grupy mokotowskiej. W 1999 r. razem z "Daksem" i Krzysztofem Mrozowskim "Fraglesem" został zatrzymany na próbie wymuszenia długu (kartkę z namarami do "Fraglesa" policja znalazła w 2005 r., gdy zrobiła przeszukanie w domu Jacka K.). Z informacji "Dziennika" wynikało, że "Farbowany" siedzi w areszcie podejrzewany o udział w akcjach gangu i zlecenie zabójstwa. Przypomnę, że Krzysztof Mrozowski „Fragles” to gangster znany Grzegorzowi K - byłemu „baronowi” SLD z Sierpca, wymienionemu przeze mnie wielokrotnie w cyklu „KRĘGI”.

Śledztwo w sprawie gangu mokotowskiego prowadzi Prokuratura Okręgowa w Gdańsku. Ta sama, która zarządza postępowaniem, mającym wyjaśnić nieprawidłowości w śledztwie dotyczącym zabójstwa Olewnika.

26 marca br. marza, z prowadzącymi sprawę prokuratorami spotkali się członkowie sejmowej komisji śledczej.

„Nie będzie tematów tabu, nasza współpraca jest bardzo bliska. Determinacja jest bardzo wyraźna” - oświadczył wówczas szef komisji Marek Biernacki. Ustalono, że zamknięte spotkania komisji z prokuratorami mają być cykliczne, a prowadzący śledztwo będą udostępniać sejmowej komisji kolejne materiały z postępowania i ustalać zasady ich wykorzystania.

Jak się okazało, gdańscy prokuratorzy badają powiązania ludzi służb specjalnych PRL z gangsterami, którzy uprowadzili i zabili Krzysztofa Olewnika. **Jeden z wątków sprawy prowadzi do byłego pułkownika SB, a dziś wpływowego biznesmena w branży spożywczej**, który znał prawdopodobnie i porywaczy Olewnika, i ludzi, którzy mieli stać za uprowadzeniem Jana Z., a dzięki tej znajomości mógł sprowadzać śledztwo na boczne tory. Porwanie Jana Z. z roku 2001 wydaje się tu istotnym kluczem do sprawy. Porywacze mieli go wieszać na haku, bić i grozić, że zabiją mu dzieci, jeśli nie spełni ich żądań.

Jan Z. - czyli Jan Żaluszka został wymieniony w aneksie nr.16 Raportu z Weryfikacji WSI, jako przedsiębiorca, który „przekazywał na rzecz WSI ustalony procent z zysków z zarządzanych firm oraz zawarł z WSI umowę na udzielenie mu pożyczki”. Jego porwanie miało mieć związek z planami przejęcia przez WSI kontroli nad Rafinerią Trzebinia, a od Żaluszki miano żądać, by podpisał sfałszowany dokument. Plan się nie powiódł, bo porwany odmówił podpisu dokumentu - obiecał wpłacić 600 tys. dolarów i odzyskał wolność. Proces porywaczy (których szefem według aktu oskarżenia był adwokat Janusz Sz.) jeszcze nie ruszył.

Przed kilkoma dniami - 16 kwietnia postowie komisji śledczej, na zamkniętym, ponad trzygodzinnym, posiedzeniu spotkali się z rodziną zamordowanego Krzysztofa Olewnika.

Szef komisji - Marek Biernacki stwierdził, że „bliscy Krzysztofa Olewnika, wskazywali na „fundamentalne” - ich zdaniem - sprawy oraz ważne wątki, którymi komisja powinna się zająć”. Pytany o szczegóły, Biernacki zastanawiał się zamkniętym charakterem spotkania. Także rodzina Olewników nie chciała zdradzić swoich sugestii.

Po zestawieniu powyższych informacji, można z dużą dozą prawdopodobieństwa postawić tezę, że dzisiejsze zatrzymanie członków „gangu mokotowskiego”, mają związek ze śledztwem prowadzonym przez prokuraturę gdańską i pracami sejmowej speckomisji. Choć nie znamy żadnych szczegółów tego śledztwa, trudno przypuszczać, by zorganizowana na wielką skalę, spektakularna akcja zatrzymania 20 osób była zdarzeniem incydentalnym, w stosunku do sprawy Olewnika - tym bardziej, że prowadzący śledztwo prokuratorzy odbyli przed miesiącem spotkanie z członkami komisji. Czy plan tej akcji jest efektem spotkania i jakie dowody zgromadzono wobec zatrzymanych gangsterów - nie wiemy. Można przypuszczać, że działania policji mają związek z zatrzymaniem Jacka K. i złożonymi przezeń zeznaniami oraz rolą świadka koronnego. Wydaje się natomiast rzeczą oczywistą, że dzisiejsza akcja policji może potwierdzać zasadność prowadzenia śledztwa w kierunku ustalenia powiązań „mafii mokotowskiej” z ludźmi policji politycznej PRL.

Pojawia się ważne pytanie: czy nasilenie w ciągu ostatnich miesięcy, działań prokuratorsko - policyjnych (zatrzymanie Jacka K., akcja przeciwko „gangowi mokotowskiemu”) ma na celu wykazanie przez organy ścigania ich skuteczności i woli wyjaśnienia sprawy Krzysztofa Olewnika, - czy też jest działaniem wyprzedzającym ewentualne ustalenia komisji śledczej i ma spowodować, że prace komisji zostaną skierowane w stronę, jaką wytyczają obecne akcje? To pytanie zasadne, bowiem trudno uwierzyć, by obecne działania prokuratury nie miały wpływu na prace sejmowej speckomisji lub nie wynikały z uwarunkowań politycznych. Każda z tych czynności sprawia przecież, że rysuje się wyraźny kierunek, w jakim prokuratura będzie prowadziła śledztwo i hipoteza, według której będzie ono konstruowane. Choć istnieje autonomia działań prokuratury, wobec ewentualnych ustaleń posłów, a prace komisji w żaden sposób nie zastępują czynności procesowych - nie sposób odnieść wrażenia, że uaktywnienie organów ścigania, tuż przed startem komisji nie jest rzeczą przypadkową.

W związku z tą sytuacją, warto zwrócić uwagę na jeszcze jedną rzecz. Otóż, areszt wobec Jacka K. i bardzo prawdopodobne sankcje aresztu dla zatrzymanych dziś „gangsterów z Mokotowa”, stwarzają szczególną sytuację, w której prokuratura ma możliwości traktowania tych środków jako „prewencyjnych” - a niekoniecznie „wydobywczych”. Ewentualne zeznania tych osób na temat zleceńodawców (a tacy z pewnością istnieją) i ustalenie wyższych „kręgów” osób zamieszanych w sprawę porwania i zabójstwa, pozwolą śledczym na dowolne ukierunkowanie prac komisji - która ma przecież korzystać z efektów pracy prokuratury. Co i ile powiedzą gangsterzy lub Jacek K. - pozostaje w gestii prowadzących śledztwo. Im dłużej trwał będzie areszt i im większe będzie zagrożenie karą więzienia - tym możliwości „moderowania” tych zeznań stają się większe. Byłoby naiwnością sądzić - znając praktykę upolitycznienia polskiej prokuratury, że jej działania miałyby zaszkodzić obecnemu układowi sił politycznych lub naruszyć „porządek III RP”.

Warto zatem przyszykować się dalszemu rozwojowi sytuacji, biorąc pod uwagę, że komuś może mocno zależeć, by sprzed oczu publiczności i obserwatorów prac komisji sejmowej „sprzątnąć” kilka niewygodnych spraw i nazwisk.

Źródła:

http://www.rp.pl/artukul/265085,137208_Mamy_go_zaplaccie_okup_.html

<http://www.wirtualna.warszawa.pl/w/051221/gang-mokotowski-prawie-rozbity>

<http://wyborcza.pl/1,76842,5160644.html>

http://www.rp.pl/artukul/21,157584_CBS_zatrzymalo_szefa_gangu_obcinaczy_palcow_.html

http://fakty.interia.pl/kraj/prawo_i_bezprawie/news/policja-zatrzymala-20-osob-z-grupy-mokotowskiej,1293002,2943

<http://www.bankier.pl/wiadomosc/Sprawa-Olewnika-sledztwo-przelom-nowy-swiadek-1909160.html>

<http://www.dziennik.pl/polityka/article319624.ece?service=print>

http://www.wsi.emulelinki.com/aneks_16.htm

<http://www.wprost.pl/ar/157075/Komisja-Olewnika-zbada-role-sluzb-specjalnych/>

<http://cogito62.salon24.pl/388787.html>

<http://www.rp.pl/artukul/2,292069.html>

25.04.2009 22:49 47

279. ABWEHRGRUPPE

1. W Wydziale II Departamentu III MSW (zajmującym się rozpracowaniem środowisk AK,NZS,WiN,ROPCiO, mniejszości narodowych oraz dywersją ideologiczną) **nie pracował** funkcjonariusz - „St. Inspektor Wydz. II Dep. III MSW **ppłk M. Kijowski**”.

W II Wydziale pracował natomiast **kapitan Marian Kijowski**.

2. Do zadań SB w chwili wprowadzenia stanu wojennego - a w istocie tuż przed - należało przeprowadzenie internowań (**operacja "Jodła"**) i "rozmów ostrzegawczych" (**operacja "Klon"**). Pierwsza z tych operacji, która wedle stanu na 16 października powinna objąć 4277 osób, miała na celu nie tylko odsunięcie ich od działalności, ale także wprowadzenie na miejsce internowanych swoich ludzi - różnego rodzaju tajnych współpracowników czy "kontaktów osobowych" - oraz takich osób, które będą uległe. W ten sposób miała powstać "ludowa", czy - jak to określił gen. Kiszczak - "socjalistyczna

Solidarność". Podobne plany powstały w całym kraju. Oznaczało to konieczność licznych werbunków, rozmów operacyjnych, instalowania urządzeń podsłuchowych, przygotowywania skrzynek i lokali kontaktowych.

Akcji internowania przywódców Solidarności towarzyszyła **operacja "Klon"**, polegająca na rozbijaniu opozycji poprzez prowadzenie rozmów "profilaktyczno-ostrzegawczych". Skutkiem takich rozmów miało być nie tylko zastraszenie, ale również wymuszenie podpisania "lojałek" - czyli oświadczeń o zaprzestaniu "wrogiej działalności" oraz werbowanie konfidentów.

Fragment planu operacji "Klon" na przykładzie Rzeszowa wyglądał następująco:

„P L A N przeprowadzenia operacji kryptonim. "KLON"

Operacja krypt.[onim] "KLON" dotyczy przeprowadzenia rozmów ostrzegawczych po wprowadzeniu stanu wojennego z osobami, wytypowanymi przez jednostki operacyjne Służby Bezpieczeństwa KWMO w Rzeszowie.

Przeprowadzenie rozmów ma na celu skłonienie osób, z którymi zostaną przeprowadzone, do zaniechania działalności zagrażającej bezpieczeństwu Państwa w warunkach stanu wojennego, w tym poprzez pozyskanie do współpracy operacyjnej ze Służbą Bezpieczeństwa, dezintegrację środowisk, w których prowadzona jest szkodliwa politycznie działalność oraz demaskowanie zamierzeń i działań politycznego przeciwnika.

W rezultacie rozmowy, uznając, że spowoduje ona zaniechanie działalności zagrażającej bezpieczeństwu Państwa, należy przyjąć oświadczenie o zobowiązaniu do przestrzegania porządku prawnego.

Jeżeli w rezultacie rozmowy uzna się, że nie spowoduje ona zaniechania działalności zagrażającej bezpieczeństwu Państwa w warunkach stanu wojennego, osoba wezwana na rozmowę podlega internowaniu.

3. W materiałach archiwalnych IPN, dotyczących J.Kaczyńskiego, nie widnieje żadna wzmianka, by był objęty działaniami w ramach **operacji „KLON”**. Istnieje natomiast informacja, iż „Występuje jako figurant w aktach **sprawy obiektowej krypt. „KLAN”** i „ZWIAZEK” (nr ew. 37004), prowadzonej w latach 1980-83 przez Wydział III "A" i Inspektorat 2 KW MO Gdańsk, wymierzonej przeciwko NSZZ "Solidarność".

W tym samym czasie występuje jako figurant w aktach sprawy operacyjnego rozpracowania krypt. „LIGA” (nr ew. 67401) - założonej na Klub Służby Niepodległości, którego jednym ze współzałożycieli był J. Kaczyński - prowadzonej przez Wydział IX Departamentu III MSW w okresie listopad 1981-lipiec 1982. Materiały po archiwizacji zmikrofilmowano. Akta SOR "LIGA" - sygn. MSW 51469/II; mikrofilm sygn. MSW 8950/2.

Rejestrowany w ramach **kwestionariusza ewidencyjnego krypt. „JAR”** (nr ew. 69056) w okresie 20.01-18.08.1982 r. (założony na Jarosława Kaczyńskiego, członka - sygnatariusza deklaracji celów Klubu Służby Niepodległości). **Kwestionariusz ewidencyjny** - był wprowadzoną instrukcją z 1970 r. kategorią spraw operacyjnych. Kwestionariusz służył dokumentowaniu działalności osób, które w przeszłości podejmowały „wrogą działalność lub były podejrzane o chęć jej rozpoczęcia, jednakże żadnych działań aktualnie nie podejmowały”.

Jeśli zatem rzekomy „**ppłk M.Kijowski**” stwierdza w dniu **18 grudnia 1981** roku we wniosku 1, iż „Rozmowa potwierdziła trafność koncepcji działań operacyjnych w stosunku do figuranta Jar” - to kryptonim „Jar” nadano kwestionariuszowi sprawy założonej od **20 stycznia 1982r.**

Mam nadzieję, że Jarosław Kaczyński i jedyna partia opozycyjna nie zrezygnują z gruntownego wyjaśnienia, - kto i w jakich okolicznościach wyprodukował fałszywki, którymi posłużył się poseł PO oraz zrealizował dzisiejszą prowokację?

<http://www.abcnnet.com.pl/node/2216>

<http://internowani.xg.pl/index.php?type=article&aid=348>

<http://katalog.bip.ipn.gov.pl/showDetails.do?lastName=Kaczy%C5%84ski&idx=&katalogId=0&subpageKatalogId=3&pageNo=1&osobald=>

28.04.2009 19:34 136

280. SUKCESORZY - OD BERMANA DO MICHNIKA

„Kocham moją władzę.

A za co ją właściwie kochasz?

Za wszystko.

Za to, że cię nie ruszała i nie wsadzała do więzienia?

Za to szczególnie. Za wszystko gotów jestem kochać moją władzę.

A co ci się najbardziej podoba w twojej władzy: jej słowa, jej usta, jej chód i czyny?

Wszystko w niej kocham. To wy, kurwa mać, możecie sobie rozprawiać o mojej władzy Wy możecie strugać wariata, ja bardzo kocham swoją władzę, i nikt tak nie kocha swojej władzy, żadna gadzina nie kocha tak mojej władzy”. -Wieniedikt Jerofiejew

Jakub Berman - jeden z największych zbrodniarzy - agentów sowieckich, instalujących w Polsce reżim komunistyczny, nie bez racji wierzył, że „suma konsekwentnie i umiejętnie prowadzonych działań stworzy nową świadomość”. Jak wiemy, w tworzeniu „nowej świadomości” komuniści sięgali po wszystkie „socjotechniczne” środki, próbując zmienić mentalność Polaków za pomocą terroru i oglupiającej propagandy. Pod tym terminem - pozornie tylko odnoszącym się do kwestii światopoglądowych - kryje się przecież narzucenie społeczeństwu rządów okupacyjnych i trwała instalacja obcej władzy. Budowanie w Polsce „przodującego ustroju” to droga ciągłej indoktrynacji, walki o rząd dusz, w której zmiana środków i zastąpienie słowem kuli karabinu wyznaczało poziom „ucywilizowania” sowieckiej doktryny. Od początku tego procesu tzw. polscy komuniści - agenci wyszkoleni przez sowieckie służby, biegle posługiwali się grą operacyjną, prowokacją i dezinformacją, by narzucić społeczeństwu własny sposób widzenia rzeczywistości. Jednym z kluczowych pojęć, przy pomocy których dokonywano podporządkowania Polaków ideologii komunistycznej był termin „polski nacjonalizm”.

W opublikowanym w Rzeczpospolitej, doskonałym artykule „Moskwa wybiera Bermana”, historyk IPN-u Bogdan Musiał przedstawia kulisy rozgrywek o władzę, jakie toczyli komuniści w latach 40-tych i 50-tych. W oparciu o dokumenty z archiwów sowieckich wyraźnie wskazuje, iż od początku instalowania w Polsce reżimu komunistycznego, wśród sowieckich agentów nazywanych polskimi komunistami, obecne były wewnątrz kierownictwa PPR dwie orientacje. Ich charakterystykę, Musiał zaczerpnął ze sprawozdania, jakie w marcu 1948 roku sporządził ówczesny ambasador sowiecki w Warszawie Wiktor Lebiediew, dla Władysława Mołotowa. Czytamy tam m.in.:

„Grupa skupiona wokół Gomułki była „zarażona polskim szowinizmem”, druga natomiast „jawnie promoskiewska” i składała się - według sowieckiego ambasadora - „głównie z Żydów, co w warunkach polskich nie może nie osłabiać ich pozycji” ze względu na mocne antysemickie nastroje w Polsce, także w szeregach PPR”.

Bogdan Musiał precyzyjnie dowodzi, że w rozgrywce o władzę z Władysławem Gomułką, jego przeciwnicy (w tym Jakub Berman) skutecznie posługiwali się wobec swoich sowieckich protektorów straszakiem zagrożenia w postaci „polskiego nacjonalizmu” i konkluduje, że „antysemickie czystki w roku 1968 zostały zainicjowane przez tych komunistów, którzy po 1948 byli przegranymi w kampanii przeciw „odchylem nacjonalistycznym”, a mianowicie przez Władysława Gomułkę, Zenona Kliszkę, Mieczysława Moczara, Grzegorza Korczyńskiego. Do nich dołączyli ochoczo młodzi działacze wychowani i ukształtowani już w czasach komunizmu, tacy jak np. Wojciech Jaruzelski czy Stanisław Ciosek”.

Ta doskonale udokumentowana (nie tylko w cytowanej publikacji) teza, wskazuje, jak ważną bronią w walce o „nową świadomość” było używanie przeciwko polskiemu społeczeństwu ideologicznych „straszaków”, rozgrywanie fałszywych podziałów i tworzenie symulowanych pojęć. Warto zauważyć, że gdyby tego rodzaju walki „frakcyjne”, dotyczyły wyłącznie zamkniętego kręgu komunistycznych agentów - można byłoby tę konstatację potraktować jako historyczną ciekawostkę i wyrazić żal, iż nie doprowadziły do fizycznej samolikwidacji członków tzw.PPR-u. Wiemy jednak, że ówczesne „spory ideologiczne” w łonie partii komunistycznej miały ten skutek, że dotyczyły całego polskiego społeczeństwa, bowiem wywoływały fale represji i terroru. Pisz o tym również Musiał, przypominając:

„Berman z towarzyszami zainicjowali nagonkę, która zataczała coraz szersze kręgi i nabierała rozmachu. W następnych miesiącach i latach przekształciła się w narastającą falę terroru obejmującą wszystkie dziedziny życia publicznego. Liczba ofiar represji poszła w dziesiątki tysięcy, a ogromna większość z nich nie miała nic wspólnego z wewnętrzną walką o władzę w komunistycznym aparacie”.

Z tej głównie przyczyny, ów sowiecki system sprawowania władzy, poprzez mnożenie podziałów i wykorzystywanie ideologicznych haseł dla budowania „nowej świadomości” zasługuje na pogłębioną refleksję. Tym bardziej, że okazał się skuteczny.

Znalazł bowiem tak wiernych i zdolnych kontynuatorów, że przetrwał wszystkie „polskie rocznice” i zakręty naszej historii, by objawić się najpełniej w państwie nazwanym IIIRP - jako emanacja „sumy konsekwentnie i umiejętnie prowadzonych działań”.

Dzieło ich życia - a tak przecież można nazwać państwo, którym od 20 lat zostaliśmy obdarzeni - zostało zbudowane na identycznej, spójnej z logiką dialektyki marksistowskiej zasadzie i stanowi, jak dotychczas najbardziej optymalne urzeczywistnienie marzeń Jakuba Bermana.

Budowa tego dzieła mogła zakończyć się sukcesem, gdyż dokonano arcymistrzowskiej operacji, opartej na wieloletniej, wielowymiarowej grze, podczas której przekonano całe niemal polskie społeczeństwo, iż ludzie, którzy byli zaledwie schizmatykami wiary komunistycznej, sami siebie nazywając dysydentami, stali się „demokratyczną opozycją” i wspólnie z robotnikami obalili ustrój komunistyczny. To gigantyczne, historyczne kłamstwo legło u podstaw poglądu, jakoby III RP powstała na gruzach komunizmu, podczas gdy w rzeczywistości, to komunizm, w zmodyfikowanej, przepoczwarzonej postaci obrócił w grzyby polskie dążenia do niepodległości.

W dziewiątej, ostatniej części cyklu **IIIRP CZY TRZECIA FAZA - FAŁSZYWA OPOZYCJA II** postawiłem pytanie - Jak mogło dojść do tego, że mianem „demokratycznej opozycji” obdarzono w Polsce ludzi, którzy głosili sekciarskie poglądy, w ramach ogólnoswiatowej pseudoreligii komunistycznej? Jak i dlaczego szlachetne *oppositio* zostało obłudnie powiązane z trywialnym *revisio*, a powstały z tego megalomaniacznego twór nazwano „demokratyczną opozycją”?

Na podstawie wielu źródeł i publikacji próbowałem wykazać, że poglądy ludzi takich jak Jan Józef Lipski, Jacek Kuroń czy Adam Michnik - z którymi zresztą nigdy specjalnie się nie kryli - sytuują ich w gronie wyznawców ideologii komunistycznej, są odmianą trockistowskiej wizji komunizmu, opartej na deklaracjach ideowych Czwartej Międzynarodówki.

„Materializm dialektyczny nie zna dualizmu środka i celu. Cel w sposób naturalny wynika z samego historycznego ruchu. Środki są w sposób organiczny podporządkowane celowi. Najbliższy cel staje się środkiem dla celu bardziej odległego” - nauczał Trocki, a ludzie wyrosli z tradycji lewicowej doskonale potrafili zastosować jego nauki w praktyce.

Oni sami też, nigdy nie twierdzili, że walczą z komunizmem. Ich bitwy i działania dotyczyły tylko tych obszarów komunizmu, które nie przystawały do wizji dysydenckich, które były sprzeczne z ich sposobem widzenia doktryny. Nieznajomość „dualizmu środka i celu” pozwalała im z równym skupieniem traktować Kościół, jak robotników czy naród, w równym stopniu podziwiać Wojtyłę jak Kiszczaka, na równi stawiać niepodległość jak „socjalizm z ludzką twarzą”. Wykorzystując imperatyw walki o wolność i nasze marzenia o „drodze ku Niepodległej”, łatwo przyszło im przyoblec się w szaty obrońców sprawiedliwości i usankcjonować nasze złudzenia pod szyldem awangardowej „demokratycznej opozycji”.

Jak trafnie zauważył Jacek Bartyzel w eseju - „O fałszywej historii jako mistrzyni fałszywej apologetyki” - „Ażby zrozumieć naturę i sens tej opozycji należałoby prześledzić całą (w tym „sekretną”) historię marksizmu i międzynarodowego ruchu komunistycznego, zwłaszcza pod kątem jego głównego wewnętrznego, od końca lat 20., pęknięcia na nurt stalinowski i trockistowski oraz ze szczególnym uwzględnieniem frakcyjnych kłótni i dintojr w obrębie jej „polskiego” (terytorialnie) sektora, od SDKPiL, poprzez KPRP i KPP (nie zapominając o KPZU i KPZB), dalej Centralne Biuro Komunistów Polskich i PPR, aż po PZPR”.

Rzecz znamienna, że ludzie ci potrafili swoje „schizmatyczne rozdarcie” przedstawiać jako oznakę cnoty i szlachetności, co pozwalało Michnikowi napisać w apologii Jacka Kuronia:

„Był spadkobiercą najlepszych polskich tradycji: Rzeczypospolitej Wielu Narodów i państwa bez stosów; Polski zatroskanej o skrzywdzonych i poniżonych; Polski wolnej od komunistycznego kłamstwa, ale otwartej na ludzi z PRL-u, którzy chcieli być wierni demokracji; Polski bezwzględnej wobec korupcji; Polski, która nie boi się prawdy o sobie, choćby ta prawda była gorzka; Polski ufundowanej na tradycji chrześcijańskiej i niepodległościowej, ale też na tradycji racjonalizmu oświecenia i pozytywistów, na tradycji lewicowego ruchu robotniczego, Waryńskiego i Perłę, Daszyńskiego i Pużaka. Jacek umiał -- jakże to imponujące i nieczęste - oddać hołd ludzkiej wartości, choćby wywodzili się z całkiem odmiennych tradycji: Róży Luksemburg i kardynałowi Stefanowi Wyszyńskiemu”.

Nierozstrzygnięte jednak pozostaje pytanie - jak mogło dojść do tego fałszu, w jaki sposób - poza oczywistym partycypowaniem policji politycznej PRL w procesie „historycznego kompromisu” - przekonano polskie społeczeństwo, że dążenia tych ludzi urzeczywistniają nasze pragnienie życia w wolnym kraju?

Myślę, że odpowiedzi na to pytanie, a przynajmniej ważnych jej składników należy poszukiwać właśnie w metodzie działań, którymi Sowietci rozgrywali sprawy Polski już od czasu zakończenia II Wojny światowej. Istnieje mocno zauważalna, metodyczna ciągłość pomiędzy praktyką, jaką posługiwano się w latach 40-tych i 50-tych, prowadząc sterowane przez Moskwę „walki frakcyjne” w łonie partii komunistycznej, ze sposobem działania głównych ideologów IIIRP. Podobieństwa jakie można dostrzec, przy całym zróżnicowaniu ówczesnej i obecnej sytuacji historycznej, są na tyle istotne, że nie pozostawiają wątpliwości, iż zachowano w tej metodzie jej zasadniczy zgrab.

Przede wszystkim - tak wtedy, jak obecnie, **przedmiotem** tych działań jest całe społeczeństwo. Ponieważ ich rzeczywista przyczyna, jak i cel, do którego zmierzają, są przed społeczeństwem skrywane, można uznać, że przedmiot działań staje się nieświadomą ofiarą.

Przed 50 laty rozgrywki pomiędzy „polskimi szowinistami”, a „frakcją promoskiewską” doprowadziły do rozpętania fali masowego terroru i spowodowały śmierć lub cierpienia milionów Polaków. W roku 1989, udoskonalona, systemowa gra, której kulminacją były obrady „okrągłego stołu” nie wywołała już tak dramatycznych skutków, a liczbę ofiar ograniczono do kilkuset, nie licząc dziesiątków tysięcy przymusowych emigrantów. O przedmiotowym traktowaniu polskiego społeczeństwa, może najmocniej świadczyć epizod z czasów zakończenia obrad, cytowany przez Andrzeja Gwiazdę, gdy Tadeusz Mazowiecki zadał gen.Kiszczakowi pytanie: „A kto będzie podmiotem porozumień?”. I otrzymał jasną odpowiedź: „Podmiotem porozumień będą sygnatariusze”.

Każdy chyba, kto był świadomym uczestnikiem życia publicznego w pionierskich czasach „transformacji ustrojowej” lat 1989-92 miał świadomość, że był to proces, w którym tylko niektórzy, starannie dobrani biznesmeni, politycy, prawnicy czy dziennikarze odnosili sukcesy na miarę niedostępną dla innych, a wielkie fortuny i kariery osiągało się poprzez uczestnictwo w środowisku, szyderczo i trafnie nazwanym „salonem”. W tym zakresie, w pejzażu IIIRP nie nastąpiły żadne zmiany.

Szukającym, nawet z perspektywy naszej dzisiejszej wiedzy jest świadectwo ludzi, którzy byli bezpośrednimi obserwatorami obrad „okrągłego stołu” i już wówczas dostrzegli wyrazisty podział na „podmiotowych sygnatariuszy” i traktowaną z pogardą „resztę”. Krzysztof Czabański wydał w roku 2005 książkę, „Pierwsze podejście. Zapiski naocznego świadka”. której ostatnia część jest dziennikiem prowadzonym w trakcie obrad OS, od 6 lutego - do 6 kwietnia 1989 roku. Na stronie 225 Czabański zanotował:

„Tu nie chodzi o żadną czystość w rozumieniu romantycznym czy coś w tym rodzaju. O nie. Tu chodzi, po prostu, o wartości. Rozbrat z nimi, obserwujemy to na własne oczy, jest przeżyciem ciężkim i właściwie niewytłumaczalnym. Czyż tego wszystkiego, co się dzieje nie można by robić uczciwiej, rzetelniej?! Myślę, że tak. I wcale nie potrzeba by było do tego więcej wysiłku, wystarczyłoby zaufanie do innych, szanowanie innych, mniej klikowe rozgrywanie spraw. Zapewne się powtarzam, ale mam nieodparte wrażenie, że salon dominował nie tylko inicjatywy „S” i Wałęsę, ale w ogóle całą opozycję. Salon najprostszą drogą do degrengolady. A z drugiej strony potworny łeb populizmu! W tej sytuacji należałoby opowiedzieć się za salonem. Jednak obie opcje są mi obmierzłe. Właśnie dlatego, że zmusza do takich wyborów, polityka jest dla mnie obrzydliwa. Wolę odrzucić obie opcje - salon i populizm, i tkwić w domu. W luksusie nieponoszenia odpowiedzialności i niepodejmowania decyzji”.

Kilkanaście stron wcześniej znajdziemy zapis, który swoim profetycznym realizmem powinien nawet wiernych wyznawców idei :historycznego porozumienia” skłonić do poważnej refleksji:

„Zadaniem K. W. wszystko to jest mistyfikacją. Według L. za „okrągłym stołem”, a właściwie za zawartym wcześniej układem, stoją duże pieniądze (kilka miliardów dolarów) i to skłania władzę do porozumienia. Według K. jest to plan sowiecki, realizowany bezwzględnie przez Jaruzelskiego i Wałęsę, który zwiertzył możliwość utworzenia przez elitę opozycji establishmentu wspólnie z elitą władzy. Jakby jednak nie było, wydaje się, że efekt końcowy może być podobny. Otóż, nastąpi legitymizacja władzy, Jaruzelski zostanie prezydentem wybranym przez sejm, który z kolei będzie wybrany przez naród. Wałęsa zaś będzie następnym prezydentem, a na razie np. przewodniczącym Frontu Porozumienia Narodowego. Jadzia uważa, jak donieśli mi wspólni znajomi, że „beton” zaciera ręce i śmieje się ze stołu. Bardziej z „S” zresztą. Dwa centra zawierają układ, a wszystko się i tak wywróci, z tym, że „S” zostanie po drodze skompromitowana. U końca drogi zaś, prorokuje K. W., skorumpowane elity będą blokować społeczeństwo, zaś rządzić będzie prezydent - choćby i Wałęsa - i tajna policja”.

W roku 1990 Alain Besancon, znany francuski historyk i sowietolog - , udzielił Adamowi Michnikowi odpowiedzi na szeroko rozkolportowany przez lewicową prasę na Zachodzie list otwarty Michnika, zamieszczony w „Gazecie Wyborczej” , pod wymownym tytułem "Przegrałeś Alain". Besancon m.in. napisał:

„Kompromis historyczny, przypieczętowany przy okrągłym stole w 1989 roku, doprowadził do powstania "podwójnej monarchii" i podwójnej nomenklatury, trudniejszej do obalenia niż monopartyjna władza Gierka czy Kani. Tandem Jaruzelski-Wałęsa może doprowadzić do dyktatury jednego lub drugiego z nich. Walka polityczna, której "Solidarność" nie chce prowadzić z komunizmem, kieruje się przeciw prawdziwej opozycji, rozproszonej i bezsilnej, która dopiero próbuje się zorganizować. W polityce zewnętrznej utworzyła się oś Moskwa-Warszawa. W "Litieraturnoj Gazietie" Michnik dał wyraz swemu zadowoleniu z tego, że wojska sowieckie raczą pozostać w Polsce. Zarzucono mi, że wspominałem o Targowicy. A przecież ta grupa zdrajców nigdy nie zaaprobowała przedłużenia okupacji trwającej 45 lat”.

Autor kończył swoją odpowiedź następującą konkluzją:

„To, co dzieje się w Polsce, to właśnie to, czego chciał dokonać Gorbaczow u wszystkich swych satelitów. Niemal wszędzie manewr ten zakończył się niepowodzeniem. Powiódł się w Polsce i to jest największym sukcesem Gorbaczowa. Ma w tym swój udział Michnik”.

Ten cytat niech stanowi ważne uzasadnienie dla tezy, że drugą, istotną analogią, spajającą działania komunistów w latach 40 z dziełem budowania III RP, jest **podmiot**, na rzecz którego te działania są prowadzone - ich rzeczywisty beneficjent. Poza wąską grupą osób - czyli establishmentem, wyselekcjonowanym w procesie przejmowania władzy, tak wówczas - na początku komunistycznego zniewolenia, jak obecnie - głównym, historycznym i politycznym odbiorcą tych przemian była Moskwa i jej interes wydaje się priorytetowy wobec pozostałych racji. Dość łatwo to stwierdzenie poprzeć licznymi faktami z lat 1989-91, gdy na terytorium niepodległej IIIRP nadal stacjonowały wojska Armii Czerwonej, a bezpieczeństwo polskiej armii przez kilkanaście lat „chronił” kontrwywiad wojskowy, złożony z oficerów wyszkolonych przez KGB. Nigdy też, w polityce wolnej Polski nie pojawił się nawet projekt, by długoletni okupant poniósł ekonomiczne lub choćby polityczne konsekwencje swoich poczynań.

Wiemy natomiast - z szyfrogramów placówki peerelowskiej bezpieki w Moskwie, czyli Grupy Operacyjnej „Wista”, że kilkakrotnie, w roku 1989 Adam Michnik odbywał spotkania z przedstawicielami władz sowieckich. O czym wówczas rozmawiał z Sowietami, jakie poczynił ustalenia i kto upoważnił go do tych rozmów, jako reprezentanta opozycji - nie dowiedzieliśmy się nigdy, przez 20 lat obowiązywania wolności w wydaniu IIIRP. A przecież to w tym samym czasie, w lutym 1989 roku, z treści notatki dyrektora Departamentu III MSW gen. Krzysztofa Majchrowskiego, skierowanej do gen. Jaruzelskiego możemy się dowiedzieć, że głównymi architektami polityki podczas obrad „okrągłego stołu” są Adam Michnik i Bronisław Geremek. W kontekście wiedzy o moskiewskich rozmowach Michnika, całkiem zasadnym wydaje się pytanie: kogo - w czym interesie i przed kim, ludzie ci reprezentowali w roku 1989?

Warto zauważyć, że nie jest dziełem przypadku, iż decyzje polityczne i ekonomiczne podejmowane przez polskie rządy po roku 89 r, posiadają immanentną, wspólną cechę. Jest nią fakt, że żadna z nich nie spowodowała naruszenia kontroli naszego rejonu przez Moskwę i nie przyczyniła się do radykalnego, definitywnego oderwania Polski od sfery wpływów rosyjskich. Gdy w roku 2006 podjęto wreszcie taką decyzję i zlikwidowano Wojskowe Służby Informacyjne - reakcja układu powstałego przed 20 laty, była i jest nadal, aż nadto zauważalnym dowodem wskazującym na faktyczny podmiot „historycznego kompromisu”.

CDN...

Źródła:

<http://www.rp.pl/artukul/292965.html>

<http://cogito.salon24.pl/77781,iii-rp-czy-trzecia-faza-cz-9-falszywa-opozycja-ii>

<http://www.obywatel.org.pl/index.php?module=subjects&func=viewpage&pageid=1318>

Krzysztof Czabański - „Pierwsze podejście. Zapiski naocznego świadka” - Warszawa 2005r.

<http://www.abcnet.com.pl/4-alain-besancon-adamowi-michnikowi-w-odpowiedzi-tekst-otrzymany-od-autora>

http://www.kuron.pl/wspomnienia_cz2k.html

<http://cogito.salon24.pl/77638,zrobmy-przewrot-majowy>

MAJ 2009

02.05.2009 13:48 76

281. SUKCESORZY - OD BERMANA DO MICHNIKA - 2

Zdawałem sobie (...) sprawę z tego, że najwyższych stanowisk jako Żyd objąć albo nie powinienem, albo nie mógłbym. Zresztą nie zależało mi, by ustawić się w pierwszych rzędach. (...) Faktyczne posiadanie władzy nie musi wcale iść w parze z eksponowaniem własnej osoby. (...) Zależało mi, żeby wnieść swój wkład, wycisnąć piętno na tym skomplikowanym tworze władzy, jaki się kształtował, ale bez eksponowania siebie. Wymagało to, naturalnie, pewnej zręczności” - wspominał Jakub Berman w wywiadzie dla Teresy Torąńskiej „Oni”.

Ludziom, przygotowanym przez Sowietów do zaprowadzenia w Polsce stanu „nowej świadomości”, nigdy nie brakowało umiejętności działania w każdych, niekiedy mocno niesprzyjających okolicznościach. Ta przydatna cecha niekoniecznie wynikała z predyspozycji intelektualnych działaczy PPR-u, a wcześniej KPP. Prędzej już, miała związek ze szkoleniem agenturalnym, jakiemu poddawano członków partii komunistycznej, przygotowując ich do prac w Prywiskim Kraju.

Jedną z użytecznych umiejętności, jakie KGB zaszczepiło w tzw. polskich komunistach była zdolność prowadzenia wszelkiego rodzaju gier, w ramach których korzystanie z ideologicznych izmów, (w tym kwestii narodowościowych czy wyznaniowych)) było traktowane instrumentalnie, jako użyteczne narzędzie służące rozgrywkom personalnym lub prowadzeniu walki politycznej. Strategia działania tzw. aktywistów komunistycznych, wykonujących faktycznie zadania właściwe dla agentury, pod osłoną hasel ideologicznych lub działalności partyjnej - stanowiła niezwykle skuteczny sposób na rozprzestrzenianie komunistycznego reżimu. Metody tego rodzaju wykorzystywano sprawnie już w czasach II Rzeczypospolitej, o czym świadczy relacja z „procesu łuckiego”, z roku 1934, w którym za zbrodnie stanu sądzono czołowych funkcjonariuszy Komunistycznej Partii Zachodniej Ukrainy. Jednym z oskarżonych był wówczas Ożjasz Szechter - sekretarz okręgowy KPZU we Lwowie i w Stanisławowie, a w chwili aresztowania szef Wydziału Zawodowego KC KPZU. Jak wynika z artykułu Piotra Gontarczyka „Zwyczajna agentura”, proces miał stać się trybuną walki z „faszystowską Polską”. KPZU zaplanowała rozmaite wystąpienia propagandowe przeciwko Polsce oraz przemowy oskarżonych na rzecz komunizmu i ZSRR. Kwestie prawne, w tym obronę oskarżonych traktowano marginalnie.

Równie propagandowymi spektaklami, były procesy polityczne w Związku Radzieckim, oraz rozliczne „czystki”, dokonywane zawsze pod pretekstem zwalczania rzekomych różnic i odchyłeń ideologicznych.

Doskonałą ilustracją tego procesu stanowi wykorzystanie przez Stalina „antysemityzmu” - jako broni przeciwko politycznym rywalom. Trzeba pamiętać, że pierwsze akcenty antysemickie pojawiły się w ZSRR wraz z narastaniem konfliktu Stalina z Trockim. Propaganda stalinowska szczególnie mocno podkreślała wówczas żydowskie pochodzenie Trockiego, operując wprost skojarzeniami „Żyd to trockista, trockista to Żyd”. Gwałtowny odwrót od „antysemityzmu” można natomiast zaobserwować z chwilą rozpoczęcia wojny niemiecko - sowieckiej, gdy Stalin potrzebował środowisk żydowskich (ich wsparcia finansowego i politycznego) w obliczu zagrożenia klęską w pierwszych miesiącach wojny. Utworzony wówczas przez Stalina Żydowski Komitet Antyfaszystowski, zajmował się propagowaniem pozytywnego obrazu ZSRR na Zachodzie, zwłaszcza w Stanach Zjednoczonych. Gdy komitet stał się zbyt skuteczny, jego członków aresztowano i rozstrzelano, posługując się dla odmiany zarzutem „kosmopolityzmu”, który zastąpił oskarżenie o „trockizm”.

Nie może zatem dziwić, że agentura sowiecka w Polsce doskonale opanowała umiejętność manipulacji politycznych i posługiwania się ideologią w celu ochrony swoich interesów. Umiejętnie rozgrywane kwestie narodowościowe, idealnie odpowiadały zapotrzebowaniom społecznym i stanowiły dogodny narzędzie dla osiągnięcia celu. Podobnie więc, jak Jakub Berman traktował „polski nacjonalizm”, posługując się nim przeciwko frakcji Gomułki, tak też został potraktowany przez

swoich towarzyszy, gdy w latach 50-tych skończył się dla niego stalinowski parasol ochronny. Poniższy fragment protokołu z 91-ego posiedzenia Biura Politycznego PZPR z 2-5 maja 1956 roku, na którym omawiano rezygnację Jakuba Bermiana z funkcji członka Biura Politycznego KC, niech zilustruje tę strategię:

„Ja bolałem nad tym lata całe, przeżywałem ciężkie uczucia, zapytywałem dlaczego świadomy komunista tak robi w ciągu lat, że tworzy się teoria, iż tajne sprawy można zaufać tylko żydowskiemu towarzyszom. Czy rzeczywiście Żyd jest bardziej godny zaufania niż Polak? [...] Dlaczego my mówimy o nacjonalizmie polskim, a nie mówimy nic o nacjonalizmie żydowskim, który jest bardzo niebezpieczny? [...] Jeszcze dziś kupa żydowskich towarzyszy siedzi na stanowiskach w Bezpieczeństwie, a przecież tam decyduje się życie ludzkie, losy kraju. Czy są podstawy ku temu, by tam, gdzie stanowiska wymagają zaufanych ludzi, by na te miejsca posyłało żydowskich towarzyszy? Czy można było szukać innych ludzi Polaków na fabrykach?” - pytał dramatycznie tow. Aleksander Zawadzki.

Rezygnacja Bermiana została przyjęta, choć przecież nigdy komuniści nie przyznali, że pozbyto się pospolitego mordercy, a powodem jego „dymisji” było poczucie zagrożenia partii ze strony rozbudowanego aparatu bezpieczeństwa. Jak jednoznacznie wynika z protokołu - nie zbrodnica działalność Bermiana w MBP, a inwigilowanie i prześladowanie przez bezpiekę członków kierownictwa partii, było istotnym powodem jego odejścia.

Tymczasem, dla celów propagandowych posłużono się „żydowskim nacjonalizmem” i uczyniono z niego czynnik odpowiedzialny za komunistyczny terror lat 40 i 50-tych.

Tę samą broń użyto w rozgrywkach partyjnych w roku 1968, gdy partia odczuła wzrost zagrożenia ze strony młodych działaczy. Tak sytuację w PZPR z tego okresu przedstawia prof. Jerzy Eisler w artykule „Rebelia generacji”:

„Tam też rozpoczęła się rewolucja. Była to jednak rewolucja czterdziestolatków. Aparatczyków, którzy byli nie tylko zbyt młodzi, żeby należeć do KPP (przed wojną byli dziećmi), ale nawet do PPR w czasie wojny. Byli ambitni i żądni stanowisk. A w systemach dyktatorskich układ personalny w aparacie państwowym jest bardzo kosztowny, nie ma w nim naturalnej dla demokracji rotacji. Aby zwolnić miejsca, trzeba było stworzyć jakiś sztuczny ruch kadrowy. Wskazano na Żydów, bo rzeczywiście wśród starych komunistów na stanowiskach było wiele osób o żydowskim pochodzeniu. Mówiono: pozbędziemy się KPP-owców, internacjonalistów, Żydów, zamiast nich przyjdziemy my, polscy patrioci.”

Pytany o ludzi, których zmuszono wówczas do emigracji z Polski, Eisler podkreśla:

„Wyjechało niemal 15 tys. osób. Znacznie mniej niż w latach 40. i w drugiej połowie lat 50. Wśród tych, którzy wyjechali w roku 1968, było bardzo wielu ludzi z wyższym wykształceniem, ale również co najmniej kilkaset osób, które w okresie stalinowskim pracowały w aparacie bezpieczeństwa. Głównym Zarządzie Informacji Wojska Polskiego, prokuraturze wojskowej, sądownictwie czy cenzurze. W rozmaitych zbrodniczych i nieciekawych instytucjach”.

Zwykle nie kojarzy się faktu, że wybuch „Marca 68” poprzedziła rozgrywka na arenie międzynarodowej. Otóż, po wojnie sześciodniowej w 1967 roku ZSRR ostro potępił Izrael i opowiedział się jednoznacznie po stronie państw arabskich - a w ślad za nim uczyniły to wszystkie kraje bloku wschodniego. Władysław Gomułka wygłosił wtedy swą słynną tezę o „syjonistycznej V kolumnie” w Polsce, która popiera „imperialistyczną agresję Izraela na Egipt”.

Jak wiemy, w oficjalnej, obowiązującej obecnie wersji, zdarzenia z roku 1968 przedstawia się jako efekt „polskiego antysemityzmu”, tłumacząc nim istotę ówczesnych czystek partyjnych. To dlatego Jakub Berman mógł sobie pozwolić na zachowanie, opisane w książce „Okno za okno” autorstwa amerykańskiego dziennikarza Johna Sacka. Na str. 237 opisuje on rozmowę Bermiana z Teresą Torąńską, gdy pisarka zbierała materiały do książki „Oni”:

„[...]...społeczeństwo polskie - powiedział Jakub, sącząc herbatę i obierając wychudłymi palcami pomarańczę - "jest w swojej konsystencji bardzo antysemityczne”.

- Pan to mówi? Pan? - obruszyła się kobieta z „Solidarności”.

- Bo taka jest, niestety, prawda. Moją córkę wielokrotnie przezywano w szkole śledziarą.

- I nie rozumie... - mówiła pisarka, która całymi godzinami musiała przypominać mu, jak Urząd torturował Polaków, jak wyrwał im paznokcie, wycinał języki, wypalał oczy, nie mówiąc już o tym, jak ich zabijał, po czym słuchała, jak Jakub z uporem powtarza, że „Rewolucja to rewolucja”. - I nie rozumie pan dlaczego?

- Nie... - odpowiedział Jakub”.

W rzeczywistości, w marcu 1968 nastąpił moment kulminacyjny w rywalizacji dwóch grup interesów, wewnątrz samej PZPR. Podobnie jak przy innych okazjach, doszło do konfliktu, którego rozwiązanie miało doprowadzić do powstania „nowych miejsc” w aparacie władzy i przygotować ją do kolejnego etapu działania. Dokonano tego za zgodą Moskwy, wykorzystując ponownie ideologię, w służbie ekspansji komunizmu. W roku 1948 tę robotę wykonał dla Kremla tow. Berman, w 1968 to samo zrobił Moczarski. Ten ostatni, dokonał „przy okazji” zabiegu niezwykle skutecznego.

To wówczas bowiem objawiła się tzw. „lewicowa opozycja” - inaczej „rewizjoniści”, tacy jak Kuroń i Modzelewski, którzy jako członkowie partii, krytykowali ją za rzekome odejście od prawdziwego socjalizmu. Po „wyczyszczeniu” Polski z funkcjonariuszy KPP i osadzeniu „nowego rozdania”, pozwolono więc partii na hodowlę „narybku” - tyleż pewnego, że mającego doskonałe, sprawdzone pochodzenie.

„Wtedy wiedzieliśmy na pewno, że w walce z Gomułką nie mamy żadnych szans. Ale nasz strach przed jego autorytetem - jak sądzę - miał o wiele głębsze podłoże niż polityczna kalkulacja. Mimo głęboko ideologicznych rozrachunków wciąż jeszcze byliśmy uwięzieni w systemie ideologii komunistycznej, w jej języku i fobiach. Z tej perspektywy nie mogliśmy zrozumieć narodowych aspiracji Polaków, ani tym bardziej kompleksów. Te pierwsze widzieliśmy przez te drugie, a więc jawiło nam się to wszystko jako nacjonalistyczna prawica. Nie bez pewnych racji, bo bolszewizm nałożony na lata niewoli i okupacji wpędził naród polski w prawicowo-nacjonalistyczne odchylenie. Tego jednak nie byliśmy w stanie zrozumieć. Baliśmy się więc nie tyle Gomułki, co narodu, który Gomułkę szczerze kochał. Mimo wszystko bliżej nam było do tego pierwszego, jakże więc mogliśmy się zdobyć na walkę z nim. - pisał o swojej ówczesnej postawie Jacek Kuroń.

Niemal to samo mówił w niedawnym wywiadzie dla „Polityki” Adam Michnik:

„Był moment, kiedy bardzo się bałem spadkobierców moczarskiej formacji komunistyczno-narodowej. Kiedy system komunistyczny się sypał, w każdej narodowej partii były dwa pomysły na zakorzenienie się w społeczeństwie. Był zmierzający do socjaldemokracji nurt reformatorski i był nurt stawiający na nacjonalizm.”

Nazwali się „komandosami”. Andrzej Friszke opisując ich środowisko twierdzi, że „cechowała ich zdolność do myślenia kategoriami systemu, zasad, idealistycznych celów, a nie pragmatyki czy przystosowania. PRL jako państwo była ich państwem, rodzice je współtworzyli i niekiedy nim rządili. Nie bali się aparatu władzy i jego przedstawicieli, przynajmniej do czasu, co wyróżniało ich wśród kolegów, którzy z niekomunistycznych domów wynieśli przestrożę, aby uważać i nie nadstawiać głowy”.

Warto zauważyć bardzo charakterystyczny rys, łączący tę grupę z tradycją komunistyczną i wyznaczający dalsze kierunki działalności. Kiedy w marcu 1965 r. aresztowano Kuronia i Modzelewskiego, zatrzymani zostali także związani z nimi studenci m.in. Blumsztajn, Michnik, Nagorski, Kofman. Michnika zwolniono po dwóch miesiącach. Wysłał wówczas na Zachód kopie "Listu otwartego do partii" autorstwa Kuronia i Modzelewskiego - jedną do paryskiej "Kultury", drugą do Ligi Trockistowskiej.

„...nie będę ukrywał, że coś mieliśmy wspólnego z Trockim - ale z syjonizmem nic. Co mieliśmy wspólnego z trockizmem? [...] ...mieliśmy kontakty z trockistami. Przyjeżdżali do Polski młodzi ludzie z SCR (Liga Trockistowska), którzy mówili, że są zbuntowanymi marksistami przeciwko stalinowskiej ortodoksji we francuskiej partii. Co było dla nas atrakcyjne w ich myśleniu? To, że dzięki trockizmowi można było być zbuntowanym, antysowieckim, a jednocześnie być komunistą-marksistą” - wspominał po latach Michnik w książce „Między panem a plebanem”.

Z pewnością do tych młodych, zbuntowanych ludzi musiały trafiać słowa Trockiego:

„Zadaniem awangardy jest ponad wszystko nie dać się porwać wstecznej fali - trzeba płynąć pod prąd. Jeśli niekorzystna relacja sił uniemożliwia awangardzie utrzymanie zdobytych wcześniej pozycji politycznych, trzeba utrzymać się przynajmniej na pozycjach ideologicznych, ponieważ jest w nich wyrażone drogo okupione doświadczenie przeszłości. Głupcom taka polityka wydaje się "sekcjarstwem". W rzeczywistości tylko ona przygotowuje nowy gigantyczny skok naprzód wraz z falą nadchodzącego historycznego przypiływu”.

To do takich jak oni, młodych, ideowych komunistów kierował słowa Lenin, gdy mówił: *„Trzeba zrozumieć(...), że należy być przygotowanym na wszelkie możliwe sztuczki, podstępny, nielegalne metody, na przemilczanie, zatajanie prawdy, byleby tylko dostać się do związków zawodowych, pozostać w nich i tam za wszelką cenę prowadzić komunistyczną robotę”*.

Tę myśl powtórzył Trocki w „Ich moralność, a nasza” : *„Konieczność uciekania się do podstępów i sprytu, zgodnie z wyjaśnieniem Lenina, wynika z faktu, że reformistyczna biurokracja, zdradzająca robotników na rzecz kapitału, szczuje na rewolucjonistów, prześladuje ich, a nawet korzysta przeciwko nim z burżuazyjnej policji. „Spryt” i „zatajanie prawdy” są w tym wypadku tylko środkami uzasadnionej samoobrony przed zdradziecką reformistyczną biurokacją.”*

Myślę, że to ważne wskazówki, by dokonać oceny późniejszej działalności „komandosów”. W tej nazwie, tkwi bowiem głęboki sens.

Otóż są tacy, którzy w dyskusjach Klubu Krzywego Koła i aktywności „warszawskiego salonu” Jana Józefa Lipskiego, Kuronia i Michnika upatrują początek „opozycji demokratycznej” w Polsce. Cokolwiek byśmy nie rozumieli pod tym terminem, miałby on oznaczać działalność skierowaną przeciwko systemowi totalitarnemu, prowadzoną metodami pokojowymi. Opozycjonistą będzie ten „kto przeczy, przeciwstawia się”, jest „przeciwnikiem”. Tymczasem niemal wszyscy ludzie „opozycji demokratycznej” to osoby w różny sposób związane z partią komunistyczną - jej członkowie, sympatycy, beneficjanci ówczesnych władz, uczestnicy życia publicznego. Biorąc nawet pod uwagę, że możliwa jest pełna konwersja postaw i poglądów, wolno a nawet trzeba dokonywać analizy działalności ludzi tej opozycji ze świadomością - kim byli, z jakich środowisk się wywodzą, jaką drogę przeszli. Tym bardziej, jeśli oni sami chcieliby żeby o tym zapomnieć. Niezależnie - czy zdefiniujemy ich działania jako obtudne i wyrachowane, czy będziemy w nich widzieć przejaw młodzieńczych, „rewizjonistycznych” mrzonek - w niczym nie zmieni to faktu, że mieliśmy do czynienia z **opozycją wewnątrz systemu komunistycznego - nigdy zaś - opozycją przeciwko systemowi**.

W nr.2 (4) z 2003 roku pisma „Pamięć i Sprawiedliwość” znajduje się opracowanie historyka IPN-u Łukasza Kamińskiego zatytułowane - „Władza wobec opozycji 1976-1989”. Autor opisując działania władz w roku 1976, zwraca uwagę na opracowane przez komunistów programy przeciwstawiania się działalności opozycyjnej na poszczególnych uczelniach, lecz także na zalecenia ogólnopolskie, z którymi 17 września 1976 r., na tydzień przed powstaniem Komitetu Obrony Robotników, zapoznano rektorów i I sekretarzy komitetów uczelnianych ośmiu największych polskich uczelni.

Kamiński pisze: *„Sporządzone wówczas plany przewidywały możliwość rozwoju sytuacji w czterech kierunkach: „braku ostrzejszych napięć w środowisku akademickim”, „napięć cząstkowych (ulotki, wyolbrzymianie drobnych incydentów, wykorzystywanie zająć i spotkań dyskusyjnych do wrogich wystąpień politycznych, akcje zbierania podpisów, kolportaż wrogich wystąpień itp.)”, „ostrych napięć politycznych (organizacja wieców, jawna, wroga agitacja, strajki itp.)”, „zaburzeń politycznych w uczelniach (demonstracje na ulicach, powszechny strajk okupacyjny, niszczenie mienia)”*.

Dla każdego wariantu rozwoju sytuacji przewidywano przedsięwzięcie określonych środków i metod przeciwdziałania. Najciekawsze są zalecenia w przypadku drugiego wariantu, najbardziej prawdopodobnego - wiele z nich wykorzystano w kolejnych latach. W razie pojawienia się „napięć cząstkowych” przewidywano m.in.: **„1. Podstawową zasadą działania jest stworzenie politycznej alternatywy dla grup organizujących opozycyjną działalność w samym środowisku studentów i młodej kadry. Oznacza to czynne uruchomienie grup aktywu, które podejmą walkę polityczną środkami i formami zbliżonymi do form i metod ataku przeciwnika. Chodzi o to, aby walka polityczna toczyła się nie między grupą opozycyjną a władzą a między dwoma grupami przeciwnymi, z których zaangażowana po naszej stronie ma przewagę w operatywności, środkach technicznych, informacji i pomocy merytorycznej ze strony doświadczanego aktywu”**.

(Projekt planu przedsięwzięć związanych z poprawą sytuacji polityczno-wychowawczej na Uniwersytecie Warszawskim [w:] Opozycja demokratyczna w Polsce w świetle akt KC PZPR..., s. 26-28)

Zwracam uwagę na ten dokument, ponieważ ilustruje on sposób myślenia i działania władz komunistycznych w stosunku do opozycji. Począwszy do sowieckiej operacji „TRUST”, w latach 20-tych i prowokacjach bezpieki, związanych z V komendą WiN - taktykę postępowania wobec przeciwników systemu wyznaczano w kategoriach gier operacyjnych, sterowanych przez policję polityczną. Najczęściej stosowaną metodą, było zastępowanie autentycznej opozycji ludźmi tworzącymi „polityczną alternatywę”, wśród których następnie poszukiwano partnerów do rozmów z władzą. Zapewniało to pełną kontrolę ruchów społecznych i stwarzało pozory działań żywiołowych, oddolnych. Cytowana instrukcja postępowania musiała powstać na podstawie wieloletnich doświadczeń bezpieki i jak stwierdza historyk IPN-u - była wykorzystywana w kolejnych latach.

Jest rzeczą niezwykle charakterystyczną, iż grupa „komandosów” potrafiła przystosować sposób działania do zmieniających się okoliczności. Można oczywiście sądzić, iż wynikało to z naturalnych predyspozycji osób skupionych wokół Lipskiego i Kuronia, że było wynikiem mądrze stosowanej strategii walki z komunizmem i świadczyło o dużej inteligencji i politycznej dojrzałości tych osób.

Daleki jestem od podobnych uproszczeń.

Przede wszystkim, w sprzeczności z takim wnioskiem musi stać wiedza o początkowym okresie fascynacji komunizmem, a właściwie, jego odmianą, zwaną „trockizmem”. Kto posiada choćby elementarne rozeznanie w „ideologii” Lwa Trockiego

wie, że podporządkowanie środków celowi oraz relatywizm, zaprzęgnięty w służbę pragmatyki, stanowił podstawowe *credo*, służące do przeprowadzenia „permanentnej rewolucji”. Nie wdając się w szczegółowe rozważania, dość zauważyć, że celem tak pojmowanej rewolucji było „przekształcenie procesu rewolucji burżuazyjnej w rewolucję robotniczą”. Rażące normalnych ludzi anachronizmy językowe, właściwe dla komunistycznego żargonu, można przetłumaczyć na język dostępny, stwierdzając, iż chodziło o zawłaszczenie wszelkiego rodzaju procesów społecznych (skierowanych przeciwko władzy) i wykorzystanie ich do realizacji własnych celów. By tego dokonać, wolno, a nawet należało stosować „wszelkie możliwe sztuczki, podstępny, nielegalne metody, przemilczanie, zatajanie prawdy, byleby tylko dostać się do związków zawodowych, pozostać w nich i tam za wszelką cenę prowadzić komunistyczną robotę”.

Analizując wypowiedzi i zachowania dwóch bohaterów „demokratycznej opozycji” - Kuronia i Michnika, wolno dojść do wniosku, że ewolucja ich poglądów, a nade wszystko zasób środków, jakimi się posługiwali był zawsze adekwatny do aktualnych nastrojów i oczekiwań społecznych, a ich celem ostatecznym było zawłaszczenie naturalnych procesów sprzeciwu społecznego i doprowadzenie do porozumienia z komunistami. Ten cel, został wyznaczony w ramach strategii „permanentnej rewolucji”, zmodyfikowanej przez doktrynę, która odtąd dopuszczała „kontrolowaną rewolucję” i ruchy dysydenckie - jako zjawisko, służące poddaniu autentycznych sprzeciwów społecznym nadzorowi partii komunistycznej. Rolę „łącznika” - pomiędzy społeczeństwem, a partią powierzono sprawnym, ideologicznie pewnym, gotowym na wyrzeczenia i działanie w trudnych warunkach - „komandosom”.

CDN...

Źródła:

<http://www.rp.pl/artykul/2,206325.html>

http://dziedzictwo.polska.pl/katalog/slide,Protokol_KC_PZPR_dotyczacy_Jakuba_Bermana_z_dnia_2-5_V_1956_roku_ilustracja_19,pid,130874,gid,116362,cid,1642.htm?sh=19

<http://www.rp.pl/artykul/102872.html>

http://www.kuron.pl/osobie_cz1d.html

<http://www.polityka.pl/uwierzenie-wlasnym-oczom/Lead33,933,276737,18/>

<http://cogito.salon24.pl/77781,iii-rp-czy-trzecia-faza-cz-9-falszywa-opozycja-ii>

<http://www.marxists.org/polski/trocki/1937/08/stalinizm-bolszewizm.htm>

<http://www.marxists.org/polski/trocki/1930/rp/10.htm>

<http://www.ipn.gov.pl/download.php?s=1&id=6282>

<http://cogito.salon24.pl/77780,iii-rp-czy-trzecia-faza-cz-8-falszywa-opozycja>

07.05.2009 10:37 69

282. SUKCESORZY - OD BERMANA DO MICHNIKA - 3

„To było racjonalne, polityczne założenie. Racjonalne nie znaczy mądre. Środowisko Michnika uznało, że największym zagrożeniem dla Polski jest polski nacjonalizm, szowinizm, antysemityzm, to wszystko, co nazywało ono „endeckim ciemnogrodem”. Uznało ono, że polskie społeczeństwo jest w swej masie postendeckie, powodowane „ciasnym katolicyzmem”, podatne na narodowo-patriotyczną retorykę, którą posługuje się prawica. Mówiąc krótko, jak to w chwili irytacji otwarcie powiedział profesor Geremek, że Polacy nie dorośli do demokracji i jeśli nie utrzyma się ich pod kontrolą, albo dojdzie do wojny domowej, albo totalitaryzm komunistyczny zastąpi dyktatura parafaszystowska. Z tego wynikało logicznie, że aby przeprowadzić Polaków do Europy, trzeba pozbawić społeczeństwo możliwości swobodnego kształtowania życia publicznego, wziąć je na krótką smycz „autorytetów”, kształtujących je, a nie tylko informujących mediów, i nie poddających się demokratycznej kontroli struktury zarządzania gospodarką. Wynikało też z takiego założenia, że trzeba chronić postkomunistów przed rozliczeniami, bo są oni potrzebnym sojusznikiem w walce z zagrażającą Polsce konkurencyjną wobec michnikowszczyzny częścią opozycji” - mówił przed dwoma laty Rafał Ziemkiewicz, w rozmowie z Ludwikiem Mańczakiem.

Trudno nie zgodzić się z autorem „Michnikowszczyzny”, że użycie przez środowisko „komandosów” ideologicznych straszków „polskiego nacjonalizmu”, szowinizmu i antysemityzmu było zamierzeniem racjonalnym i celowym. Abstrahując od motywów, jakie wskazuje Ziemkiewicz, wykorzystanie w walce politycznej tych właśnie „izmów”, jest najmocniej zauważalnym i charakterystycznym przejawem sukcesji po Bermanie i wpisuje metody polityczne środowiska „komandosów” w tradycję komunistycznej „walki z reakcją”.

Po publikacji dwóch pierwszych części niniejszego cyklu, wczytując się w komentarze pozostawione przez szanownych gości nabieram przeświadczenia, że termin „sukcesorzy” wymaga precyzyjnego uściślenia, a rola „komandosów” winna zostać przedstawiona jednoznacznie. Nie chcę bowiem, by postaci bohaterów tego cyklu i dotyczące ich procesy historyczne były postrzegane wyłącznie (lub głównie) poprzez pryzmat uwarunkowań narodowościowych, a istotę owej sukcesji sprowadzano do wspólnoty wynikającej z przynależności do narodu żydowskiego. Jestem przekonany, że taki sposób widzenia stanowi błędne, zgubne dla prawdy uproszczenie i oddala od zrozumienia problemu.

Nie „żydowskość” jest cechą kwalifikującą sukcesję od Bermana do Michnika i nie spisek „żydomasoński” leży u podstaw tego stosunku. Wynika on bowiem z relacji łączących te osoby z polską rzeczywistością po roku 1944, zdeterminowaną przez system komunistyczny. Cechą kwalifikującą będzie zatem komunizm i wspólnota oparta na czynnym, historycznym uczestnictwie tych osób w ramach funkcjonowania zbrodniczego systemu. Mówiąc inaczej - błędem jest definiowanie motywów seryjnego mordercy poprzez fakt, że należy on do narodu żydowskiego, jeśli dokonuje swoich czynów w zakresie i na rzecz syndykatu zbrodni, określonej grupy interesu, znacznie większej niż narodowościowa. Gdy skoncentruję się na jego żydowskości, faktyczny motyw działań umknie mojej uwadze. Ta obserwacja wydaje się konieczna, by ustrzec się pokus łatwej manipulacji.

Nadto - dla wyjaśnienia wszystkim, którzy zechcą zarzucić autorowi prymitywne uproszczenia lub nieuwzględnienie różnic, między represyjnymi, bandyckimi metodami bermanowskich „przemian”, a odzeganą się od przemocy, pokojową drogą „komandosów” informuję, że dostrzegam tę odrębność, a termin sukcesji definiuję jako odnoszący się do relacji celów i środków, użytych do ich realizacji.

Cechą wspólną tak uściślonej sukcesji będzie zawsze służebne, instrumentalne traktowanie społeczeństwa, w kategoriach przedmiotu, poddanego realizacji własnych (lub uznanych za własne) celów i wykorzystywanie ideologii jako narzędzia służącego tym celom. Rozwiązania siłowe, terror na skalę masową, był instrumentem koniecznym (z punktu widzenia komunistycznej pragmatyki) w procesie instalowania ustroju, gdy aktywny sprzeciw społeczeństwa groził niepowodzeniem działań sowieckiej agentury.

Od momentu gdy obcy Polakom ustrój opanował wszystkie dziedziny życia publicznego, a prowadzona systematycznie fizyczna likwidacja przeciwników zakończyła się sukcesem - przemoc, jako narzędzie, stało się bezużyteczną, propagandowo niezręczną spuścizną, do której wracano jedynie w chwilach zagrożenia realnym buntem.

„Komandosi” Michnika i Kuronia zastali Polskę Ludową jako „produkt” gotowy, ukształtowany przez ludzi ideowo i środowiskowo im bliskich. „PRL jako państwo -charakteryzował ich Andrzej Friszke - była ich państwem, rodzice je współtworzyli i niekiedy nim rządzą. Nie bali się aparatu władzy i jego przedstawicieli, przynajmniej do czasu, co wyróżniało ich wśród kolegów, którzy z niekomunistycznych domów wynieśli przestrożę, aby uważać i nie nadstawiać głowy”.

Ich sprzeciw wobec zastanej rzeczywistości dotyczył tych jej elementów, które nie przystawały do wizji państwa komunistycznego. Był reakcją w granicach systemu, nigdy nie kwestionując jego zasadności. Ideologiczne podłoże zawdzięczał głównie naukom schizmatyka Lwa Trockiego oraz elitarnemu poczuciu przynależności do świata działaczy partii komunistycznej.

Jest zatem rzeczą oczywistą, że cele, jakie stawiali przed sobą „komandosi” nie wymagały odwoływania się do środków przemocy, stosowanych masowo przez komunistów w latach 40 i 50-tych. Berman ich używał, ponieważ przedmiotem operacji komunistów było obce im, niechętne systemowi, wielomilionowe społeczeństwo, posiadające własną tradycję i kulturę. Fizyczna likwidacja najbardziej wartościowych, reprezentatywnych przedstawicieli tego społeczeństwa, otwierała komunistom drogę do władzy nad zastraszoną, bezwolną i pozbawioną elit masą.

Dla „komandosów” przedmiotem działań była rzeczywistość Polski Ludowej, bliska im, choć niezgodna z ideologiczną wizją. Już nie instalacja i budowanie podstaw systemu, a jego **przeobrażenie i ewolucja** narzucały zupełnie inny katalog środków, znacznie bardziej złożonych, o innym ukierunkowaniu. Ponieważ zastany przez nich system funkcjonował już w społeczeństwie - ono również stawalo się przedmiotem działań. Problem sprowadzał się do pogodzenia obu, nieprzystających do siebie rzeczywistości. Komunizm miał zrezygnować z jawnych, strukturalnych elementów totalitaryzmu, w tym z dominacji politycznej (wymienionej na interes ekonomiczny), społeczeństwo zaś - w zamian za namiastkę demokracji - winno zaniechać prób rozliczenia zbrodni systemu i odstąpić od dążeń niepodległościowych. Efekt spotkania tych dwóch światów, musiał okazać się niekorzystny dla społeczeństwa, bowiem komunizm i jego przedstawiciele, raz zaakceptowani w roli partnerów i przyjęci z „dobrodziejstwem inwentarza” uzyskali tym samym atest legalizmu i trwale ulokowali się w rzeczywistości III RP.

Z jednej więc strony, przyszło „komandosom” sprzeciwiać się komunizmowi w wersji peerelowskiej (w czym należy upatrywać cechy wewnątrzsystemowej opozycji) - z drugiej zaś - walczyć z tymi właściwościami polskiego społeczeństwa, które mogły okazać się przeszkodą w realizacji zamierzonych celów. Myślę, że to właśnie zdecydowało, iż „polski nacjonalizm”, szowinizm i antysemityzm znalazły się w katalogu środków - straszków, którymi środowisko Michnika terrorizowało własne społeczeństwo, chcąc uzyskać jego ustępstwa na rzecz komunistów. Pomni doświadczeń Marca 1968 roku, uzbrojeni w użyteczną, antykomunistyczną retorykę, traktowali rzekome „polskie izmy” jako broń przewencyjną i osłonową, służącą obronie już zdobytych pozycji. Czy wynikało to z ich żydowskości? Oczywiście nie, bo pomijając fakt, iż nie wszyscy przedstawiciele tego środowiska byli Żydami, użycie rzekomo „polskich przywar” jako racjonalnej i celowej broni było de facto działaniem na rzecz przeobrażania systemu komunistycznego i nie musiało mieć nic wspólnego z interesem narodu żydowskiego.

Gdy Adam Michnik w książce „Kościół, lewica, dialog” napisał, iż: „*Rozpętana na wielką skalę kampania antysemicka miała nie tyle ugodzić w tę resztę społeczeństwa żydowskiej ocalałą z hitlerowskiego piekła, ile miała rozpaść nastroje nacjonalizmu i ksenofobii, przysłonić rzeczywiste przyczyny kryzysu społecznego, oduczyć Polaków racjonalnego myślenia i uczynić ich współnikami zbrodni.*” - powiedział prawdę, lecz tylko tę, wygodną i użyteczną dla swoich celów. Pomiął natomiast milczeniem fakt, że ówczesna kampania antysemicka nie zrodziła się z ideologicznego podłoża i nie miała nic wspólnego z rzekomym „polskim nacjonalizmem” Gomułki, lecz stanowiła pożyteczny instrument sprawowania władzy. Wynikająca z tego doświadczenia wiedza, iż jest to instrument skuteczny, przy pomocy którego jedna grupa interesu sparaliżowała drugą, została następnie spożytkowana przez środowisko „komandosów” i użyta w momencie, gdy głosy przeciwników ustaleń „okrągłego stołu” zagrażały stabilności układu z komunistami.

W II tomie pracy zbiorowej „Aparat represji w Polsce Ludowej 1944-1989” znajdziemy tekst Piotra Gontarczyka - „Relacja TW „Return” ze spotkania z Jackiem Kuroniem. Przyczynę do rozważań na temat wydarzeń marca 1968 r”. Autor zwraca uwagę, iż w listopadzie 1977 roku doszło w Krakowie do spotkania Jacka Kuronia z grupą tamtejszych opozycjonistów ze Studenckiego Komitetu Solidarności (najpierw w mieszkaniu Bogusława Sonika a następnie, w mniejszym gronie, w rezydencji Ziemowita Pochitonowa).

„Jaki obraz marca 1968 r. przedstawił Kuroń na spotkaniu w Krakowie? Kuroń pokazuje zajścia marcowe, jako wielką prowokację nacjonalistycznej frakcji Mieczysława Mocza, która dążyła do władzy w PZPR. Poniosła ona jednak klęskę przy istotnym udziale „komandosów”. Nie historiograficzne wywody są tu jednak najważniejsze. Otóż z gawędy warszawskiego gościa wyłania się obraz marca 1968 zasadniczo odmienny od tego, jaki można odtworzyć na podstawie książki Eislera „Marzec68”. Przytoczone w relacji wypowiedzi Kuronia wskazują, iż główny motyw działań komandosów nie był bynajmniej głęboko moralny. Bardziej istotne wydają się natomiast cele taktyczne: jakoś trzeba było się odnieść do spontanicznie narastających wydarzeń, gdyż „komandosi” zdawali sobie sprawę, że: „atmosfera na uczelni jest taka, że wcześniej czy później dojdzie do wystąpień - i one są nieuchronne”. Opowieść Kuronia dowodzi, że nie chodziło też o dawanie jakiegokolwiek świadectwa na wzór Pana Cogito, tylko o udział w walce dwóch konkurencyjnych frakcji wewnątrz PZPR. Niepodległość, wolność czy inne, transcendentne wobec taktyki politycznej wartości były tu mniej istotne. „Komandosi” działali, bo chcieli zwycięstwa „partyjnych rewizjonistów” (z którym związane było środowisko Kuronia) nad frakcją Mieczysława Mocza. W szerszym kontekście ideowym, jako „ortodoksyjni marksistowsy bez reszty” komandosi występowali w obronie komunistycznego internacjonalizmu, a przeciwko stanowiącemu zagrożenie dla Partii, „nacjonalizmowi”.

Warto zauważyć, iż rządzący Polską komuniści nigdy nie mieli złudzeń, że ich system wartości moralnych i politycznych, spojrzenie na tradycję czy historię jest zasadniczo odmienne niż większości społeczeństwa, a przebudowa świadomości Polaków wymagać będzie długiego czasu. Jednocześnie, zdawali sobie sprawę, że polska tradycja i chrześcijańskie korzenie cywilizacyjne będą największą przeszkodą w procesie wprowadzania komunizmu.

"My skazani jesteśmy, by dźwigać na plecach ogromny bagaż tysiącletnich doświadczeń- mówił pod koniec życia Jakub Berman - i proces odrywania się od tradycji (...) nie jest przez to procesem łatwym. (...) Tym bardziej że te wszystkie rojenia jagiellońskie połączone z marzeniami o wielkiej ekspansji na Wschód, które znamy z Sienkiewicza, żyją w świadomości Polaków ciągle, bo były przez wieki pielęgnowane w różnych środowiskach. (...) Jestem przekonany, że suma konsekwentnie prowadzonych przez nas działań przyniesie w końcu efekty i stworzy nową świadomość Polaków".

Jak wiemy, w początkowym okresie instalowania komunizmu podejmowane były próby oszukania Polaków, poprzez odwoływanie się do tradycji II Rzeczypospolitej, używania jej symboli, czy praw. Udział komunistów w uroczystościach religijnych miał stanowić dowód, jakoby możliwe było pogodzenie wiary katolickiej z światopoglądem materialistycznym, a przybyli z Moskwy agenci stroili się w szaty autentycznych patriotów. Szybko jednak zaniechano tych zabiegów, gdy Polacy okazali się odporni na tego rodzaju manipulacje. Nigdy natomiast nie zaniechano „rozgrywania” kwestii religijnych i tworzenia w tym zakresie fałszywych antynomii.

W czerwcu 1948 r. podczas konferencji redaktorów prasy partii robotniczych, Jakub Berman oświadczył: *"Demaskujemy politykę Watykanu bez obrażania w najmniejszym stopniu uczuć religijnych, przeciwnie toczymy walkę o dusze katolików patriotów, którzy chcą takiej Polski jakiej my chcemy, lepszej, szczęśliwszej, i którzy są zdolni do wyemancypowania się od wpływów Watykanu, tak jak masy peeselsowskie okazały się zdolne do wyemancypowania się od „Mikołajczykizmu".*

Do tego, jakże charakterystycznego rysu sukcesji po Bermanie, jeszcze powrócę.

Odstąpienie przez komunistów, od nieudolnych prób przywłaszczenia polskich tradycji, zostało przypieczętowane brutalną, rozpętaną na skalę masową kampanią terroru, w której przemoc zastąpiła wszelkie argumenty i rozwiła wszystkie wątpliwości.

Kula karabinu i ubecka pałka była pierwszym filarem na jakim wsparto system. Filarem drugim była propaganda, wykorzystywana wbrew zasadom socjotechniki - w sposób masowy i długotrwały, wszędzie i stale. Wiemy, iż nie było takiej dziedziny życia społecznego, do której nie wciskałaby się w sposób nachalny. W rezultacie, po pewnym czasie uzyskano efekt znieczulenia, co dało znać o sobie już w okresie kryzysu związanego z procesem destalinizacji w 1956 roku.

Uzbrojeni w te doświadczenia „komandos” przyjęli zgola inną metodę, dostosowaną do własnych celów, lecz jednocześnie uwzględniającą specyfikę miejsca i potrzeby ludzi, wśród których przyszło im działać. Podstawowy problem, z którym musiano się zmierzyć, był znacznie poważniejszy, niż zadania stojące przed ich poprzednikami.

Nie chodziło wszakże o cel już osiągnięty, - narzucenie siłą obcego, okupanckiego systemu. Zgoda na jego funkcjonowanie wynikała ze swoście pojmowanego „realizmu geopolitycznego”, którego wyraz znajdziemy w wielu pismach Michnika i Kuronia. Sprowadzał się do tezy, że nie było innego wyjścia - komunizm okazał nieuchronny, jako efekt historycznych uwarunkowań, w których Polska stała się przedmiotem w grze światowych mocarstw. Dominacja sowiecka była faktem i można było grać tylko w ramach bardzo ograniczonych możliwości.

*„Myśmy sobie nie wyobrażali, że ten system może się skończyć” - wspominała swoją działalność w KOR Henryka Wujec. I dodawała „Nie wyobrażaliśmy sobie, że można zmienić ustrój, mając silnego sąsiada na czele z Breżniewem, wojska radzieckie stacjonujące na terenie Polski, i taki aparat bezpieczeństwa. Staraliśmy się walczyć o drobne wolności, wywalczony obszar wymuszał walkę o następny, to była erozja...” (w „Historii nie da się zakłamać...”, wywiad Ewy Koźmińskiej-Frejłak z Ludwiką Wujec, *Midrasz* nr 109 (maj 2006).*

Adam Michnik w artykule „Potrzeba reform” z października 1977 roku, którego publikacji w KOR-owskim „Głosie” odmówił Antoni Macierewicz pisał:

„[...] granicą zmian jest militarna i polityczna obecność ZSRR w Polsce. Dlatego opozycja powinna sobie uświadomić, że zmiany te muszą odbywać się w ramach doktryny Breżniewa”. Wskazał także na fundamentalną zbieżność interesów kierownictwa politycznego ZSRR, władz politycznych w Polsce i demokratycznej opozycji oraz stwierdził, że „w partii jest wielu „pragmatyków”, którzy wiedza, że represje niczego nie rozwiązują .”

Może szczególnie wyraziście ów rys „geopolitycznego realizmu” uwidocznił się w roku 1989, gdy snując rozważania o niepodległości Michnik, który niedawno wrócił z moskiewskich konsultacji, pisał w „Gazecie Wyborczej”:

„Co to znaczy dzisiaj chcieć niepodległości? Znaczy to konsekwentnie, krok po kroku, przebudowywać Polskę; znaczy to pracować, by doktryna Breżniewa została pogrzebana na zawsze. Jednak nie drogą rozpalania antyrosyjskiej nienawiści ani urządzaniem antysowieckich demonstracji. Wytwarzanie obrazu Polski dyszącej potrzebą antysowieckich akcji jest sprzeczne z polskim interesem narodowym i godzi w politykę rządu Tadeusza Mazowieckiego” - (Gazeta Wyborcza 10.11.1989r.)

Dla środowiska „komandosów” było rzeczą oczywistą, że nie sposób zaproponować Polakom kolejnej, „ulepszonej”, zmodyfikowanej formy sprawowania władzy przez komunistów. Nawet „socjalizm z ludzką twarzą” był projektem nie do zaakceptowania przez społeczeństwo, które na własnej tkance poznało uroki „realnego socjalizmu”. Należało zatem wypracować taką formułę działalności, która zyskałaby akceptację Polaków i oddalała skojarzenia z komunizmem. Dla społeczeństwa miała być przejawem dążeń niepodległościowych, dla władz - dysydenckim sprzeciwem wobec „błędów i wypaczeń” komunizmu.

Chodziło więc o przekonanie Polaków, że ci oto - ludzie „demokratycznej opozycji” są jedynymi i wiarygodnymi wyrazicielami dążeń wolnościowych polskiego społeczeństwa. Chodziło o zbudowanie takiego stanu społecznej świadomości, w którym cele „komandosów” zostałyby przyjęte przez społeczeństwo (lub jego reprezentatywną część) jako cele własne, z którymi należy się integrować, utożsamiać i o nie walczyć.

Jeśli więc pierwszymi filarami komunizmu w Polsce były karabin i propaganda, kolejne dwa, wносиły w polską rzeczywistość nową, niespotykaną nigdy wcześniej „jakość”. Były wspornikami utworzonymi na zawierzeniu społecznym - czyli nadziei oraz poczuciu wspólnoty dążeń - czyli wierze w suwerenne, niepodległe państwo - wskazywane jako cel. Oba zostały wydobyte z polskiej tradycji niepodległościowej i zawłaszczone, w drodze wytrawnych, wielowątkowych gier, a następnie - po udanym spektaklu „historycznego kompromisu” - obrócone przeciwko Polakom.

By dokonać tego dzieła, nie można było występować z otwartą przyłbicą, tym bardziej - traktować społeczeństwa jako partnera i sprzymierzeńca. Ono - jako obiekt działań nie zasługiwało na podmiotowość, było tylko przedmiotem w grze, prowadzonej przez przebiegłych, posiadających polityczny patent zawodników. Ta okoliczność musiała prowadzić do

poczucia alienacji, ale też przeświadczenia o własnej wyjątkowości i nieomyślności, oraz bez mała misyjnym charakterze prowadzonej gry.

Krystyna Kersten, pisząc o Jakubie Bermanie zwraca uwagę, że „był politykiem o dominującej osobowości. Swoim rozmówcom i pracownikom w bezpośrednich kontaktach okazywał „pewność siebie, aż do nonszalancji, niemal do lekceważenia obecnych”. Sprawiał wrażenie, że „nie potrzebuje się z nikim liczyć” i jest „panem sytuacji”. Przewagę nad wieloma zapewniało mu wykształcenie wyższe, które nie było częste wśród kierowniczej kadry nowej władzy. Za Bermanem stało bardzo pomocne doświadczenie polityczne, sięgające jeszcze okresu przedwojennego. Był osobą inteligentną, obytą, o nienagannych manierach. Wszystko to razem tworzyło obraz człowieka silnego, zdecydowanego i pomagało mu umacniać swe formalne i nieformalne wpływy”.

Gdy w lutym 1946 roku ważyły się losy koncepcji bloku wyborczego z PSL-em, Berman mówiąc o PPR otwarcie wyznał: *„We właściwym czasie ustaliliśmy, że tylko nasza droga będzie dobra dla Polski”*.

Wydaje się, iż te same cechy towarzyszyły wszystkim posunięciom „komandosów”, szczególnie wówczas, gdy dochodziło do starcia z odmiennymi koncepcjami i działaniami politycznymi. Gdy sięgniemy do wspomnień ludzi współpracujących ze środowiskiem Kuronia i Michnika, dostrzeżemy jak mocne było wśród nich przekonanie o własnej racji, chęć dominacji i ambicjonalne poczucie misyjności. Sądzę, że na tych właśnie, osobowościowych cechach zbudowano szczególną rolę „komandosów” i zostały one wykorzystane w procesie „legalizacji” komunizmu.

Ksiądz. Stanisław Małkowski w audycji „Świadkowie Historii Prawdziwej: Ksiądz Stanisław Małkowski i Antoni Zambrowski o działalności i życiu prawdziwym towarzysza Jacenta Kuronia, członka KSS KOR” wspominał:

„Kuroń chciał mieć pierwsze miejsce w Kościele. Z chwilą gdy zaczął przemawiać w kościołach, chciał stanąć PONAD naukę Kościoła, wybierać z nauk ewangelicznych to, co uważał sam za słuszne, odrzucając to, co uważał za niesłuszne. Kiedy podczas spotkań z młodzieżą, na które został przeze mnie zaproszony na jego sugestię, powiedziałem coś, co jemu się wydało niesłuszne, od razu mnie gasił. Kuroń przekazał mi kiedyś list, jeszcze gdy siedział w więzieniu, w którym zarzucił mi szerzenie nienawiści. Dlaczego? Dlatego, że zajmuję się obroną dzieci poczętych, a w ten sposób »musisz tych, którzy dokonują aborcji nazwać mordercami, a to jest szerzenie nienawiści«. Z tego samego powodu zarzucił mi też nienawiść Jerzy Urban, także z powodu, że mam inny punkt widzenia na temat komunizmu niż on sam i funkcjonariuszy komunistycznych. Że nazywam morderców - mordercami. (...) Jacek starannie selekcjonował informacje - czasami nawet specjalnie mówił przez telefon o pewnych rzeczach po to, by „spalić” ludzi, by dowiedzieli się o nich SB-ecja. Przykładem manipulacji ze strony Kuronia jest sprawa znanego Listu 59-ciu, który nie był wcale Listem 59-ciu, lecz 60-ciu, lecz akurat mu „wypadło” nazwisko Wojciecha Ziemińskiego, znanego opozycjonisty niepodległościowego - bo mu po prostu „nie pasował” (...) Kuroń traktował ludzi jak pionki w swojej grze. Utrwalił przy tym pewien kurs polityczny, który w naszej ojczyźnie oznacza konserwowanie komuny - pod inną nazwą- i tego zła, które w postaci zakłamania i zbrodni, które w systemie komunistycznym się dokonało, i które trwa jak trup w szafie, rozkłada się i zatruwa życie społeczne”

Antoni Zambrowski w „Suplemencie do wspomnień o Jacku Kuroni” napisał: *„Jacek Kuroń umiał realizować się wyłącznie jako działacz polityczny. [...] był on człowiekiem wielkich ambicji na skalę międzynarodową. Podobnie jak dla Róży Luksemburg Polska była zbyt małym dla jej ambicji krajem, które realizowała w europejskich ramach Międzynarodówki Socjalistycznej, tak i dla Jacka Polska była zbyt małym boiskiem. Swe ambicje pragnął realizować on w skali globalnej.[...] Będąc nosicielem Prawdy Absolutnej, Jacek zwalczał (zapewne w dobrej wierze) wszelką konkurencję w ruchu opozycyjnym. Wraz z kolegami przejął kierownictwo Komitetem Obrony Robotników, którego inicjatorami i pomysłodawcami byli harcerze z Czarnej Warszawskiej Jedyńki.*

[...]Jacek do tego stopnia czuł się wodzem przyszłej rewolucji, że w czasie strajków sierpniowych 1980 roku powiedział w swoim mieszkaniu dziennikarzom zagranicznym, że Lech Wałęsa - to porucznik w okopach, zaś „Sztab Generalny jest tu, w jego domu”.

Bardzo wyraziście tę właściwość - przeświadczenie o własnej, nieomyślnej racji, posuniętą do granic absurdu kłamstwa można dostrzec w tegorocznej rozmowie Michnika z Heleną Łuczywo, zatytułowanej „Nasz stół”:

„ Michnik: Oczywiście w podziemiu były środowiska, które mówiły, że z komuną nie ma co rozmawiać: Leszek Moczulski, Konfederacja Polski Niepodległej, Solidarność Walcząca. Ale w moim przekonaniu to były środowiska marginalne.

Łuczywo: Byli jeszcze działacze „Solidarności” skłóceni z Wałęsą: Andrzej Gwiazda, Andrzej Słowik, Marian Jurczyk.

Michnik.: Coś tam mówili, żeby z czerwonymi nie negocjować. Ale im głównie chodziło o to, że Lechu nie chciał ich przy Okrągłym Stole. Nie wierzę, że tak naprawdę chcieli jakiejś rewolucji.”

Również Krzysztof Czabański, redagujący w 1989 roku „Kuriera Okrągłego Stołu”, w książce „Pierwsze podejście. Zapiski naocznego świadka”, na str. 199 pisał:

„Dopiero wieczorem dorywa mnie Józek z relacją z Geremka. Jest wstrząśnięty jego zachowaniem: chamskim pokrzykiwaniem na ludzi z NZS-u, którzy śmieli zadać nietaktowne pytanie (zresztą, wcale nie nietaktowne, tylko rzeczowe i co najwyżej niewygodne; władza też uważa to, co niewygodne za nietaktowne lub wrogie). Kuroń przyklepuje twierdzenia Geremka, Michnik tak samo. Grają tę samą rolę, tę samą grę. [...]

Ogólne wrażenie, że naczelnictwu „S” bardzo przeszkadzają ludzie, pytania dziennikarzy, członkowie „S” jako tacy, tylko coś tam im wszyscy brużdżą, a to strajk, a to nieufność, a to złośliwe pytania (choć tych, jak Boga kocham, nie ma, mimo, że to wręcz dziwne!). I to wszystko im przeszkadza w chwili, gdy oni zatapiają z władzą tak wielkie rzeczy dla „S” i kraju! Taka niewdzięczność...”

Kwestią niezwykle istotną dla oceny działań grupy „komandosów”, ale też ważną ze względu na prawdę historyczną, wydaje się rozstrzygnięcie pytania: czy działania „komandosów” były od początku koordynowane przez władze komunistyczne i wkomponowane w sowiecką strategię podstęp i dezinformacji, czy też - dokonano przejęcia ich środowiska w sprzyjającym dla władzy momencie i naznaczono im rolę „łącznika” między społeczeństwem, a partią, zmierzającą do „ustrojowej transformacji”?

Powolny, lecz nieuchronnie postępujący proces ujawniania tajemnic, zawartych w aktach policji politycznej PRL sprawia, iż uzyskujemy coraz pełniejszy, odmitologizowany obraz najnowszej historii. Z pewnością więc, również to pytanie doczeka się udzielenia rzetelnej odpowiedzi. Mając na uwadze, że system komunistyczny poddaje kontroli każdą sferę aktywności, a szczególnie skierowanej przeciwko jego interesom, oraz dostrzegając rzeczywisty wymiar marnej jakości intelektualizmu Michnika czy Kuronia - skłaniałbym się ku tezie, że sami „komandosi” zostali potraktowani jako użyteczne, w pełni funkcjonalne narzędzie. Za takim stanowiskiem, przemawia szereg zdarzeń i wypowiedzi, do których powrócę w kolejnym

tekście. Wówczas też, głębszego znaczenia nabierają dosadne słowa Rafała Ziemkiewicza z roku 1994, przytoczone w „Salonie” Waldemara Łysiaka: *„Każdy, kto udeckiego guru nazywa agentem, niepotrzebnie i niezastępowanie go dowartościowuje. Michnik był tylko, jak to zwał Lenin, „pożytecznym idiotą”, miotany jakimiś zapiekłymi kompleksami i urazami, urabiającym milionową rzeszę udeckich potakiwaczy podług swych neurotycznych odłotów. Jeśli go czymś kupiono, to daniem mu możliwości nadymania się do woli, daniem mu mesjanistycznego poczucia, że prowadzi masy ku rajowi tolerancji. Zdaje się, że to wystarczyło, by się pan Michnik swym mesjanizmem upił do nieprzytomności, tak, że nawet nie zauważył, iż mu ktoś włożył kijek w d... i kręci nim jak kukietką. To by miał być agent? Kpiny. To pajac. Szmaciany pajacyk na patyku, nic więcej”.*

CDN...

Źródła:

<http://www.papierowemysli.pl/arts/artsReadFull/23>

<http://www.gomulka.terramail.pl/towberman.htm>

<http://www.abcnet.com.pl/?q=node/1539>

<http://wyborcza.pl/1,75546,3652986.html>

<http://www.asme.pl/109597402914844.shtml>

<http://www.asme.pl/111119029142158.shtml>

http://wyborcza.pl/1,97189,6245203,Adam_Michnik_i_Helena_Luczywo_Nasz_stol.html

<http://www.google.pl/url?sa=U&start=13&q=http://www.krzysztof.czabanski.net/PierwszePodejscie>

15.05.2009 17:46 106

283. SUKCESORZY - OD BERMANA DO MICHNIKA - 4

Poza wszelką wątpliwością pozostaje fakt, że organizacja tzw. polskich komunistów powstała z inspiracji i za zgodą obcego mocarstwa. Niezależnie od kolejnych przeobrażeń, powołanej w 1918 roku Komunistycznej Partii Robotniczej Polski - od KPP i PPR, do PZPR, SRP i SLD - ta specyficzna cecha, stanowi niepodważalną, historyczną przesłankę świadczącą o agenturalnym charakterze całego ruchu komunistycznego w Polsce.

Gdy pod koniec grudnia 1943 roku, Jakub Berman w rozmowie z Wacławem Mołotowem pytał swego współmówcę - jak radzieccy przywódcy widzą ewentualność powołania organizacji partyjnej przez komunistów polskich przebywających w ZSRR - Mołotow odpowiedział, że KPP została rozwiązana przez Komintern, a skoro Kominternu już nie ma, Polacy mogą już więc tworzyć swoją organizację.

Tak też się stało i 10 stycznia 1944 r. Berman wspólnie z Mincem i Jędrzychowskim opracowali specjalny memoriał adresowany do Mołotowa, w którym proponowali m.in. powołanie 7-osobowej komisji organizacyjnej, mającej zająć się utworzeniem „organizacji komunistów, jako zagranicznej organizacji PPR na terenie ZSRR”. Podkreślano, że powstanie takiej komisji jest niezbędne dla zaktywizowania tamtejszych komunistów polskich. Ponadto, brak takowej może doprowadzić do tego, że „istniejące na terytorium ZSRR polskie organizacje polityczne i jednostki wojskowe nie wypełnią swych zadań zasadniczych”. *Może się nawet zdarzyć, że zamiast tego, zostaną one wykorzystane przez siły wrogie ZSRR. Mocno przy tym akcentowano fakt, że „komisja organizacyjna została powołana i działa pod kierownictwem KC WKP(b)”.*

Jak pisze Robert Spalek w „Wiadomościach Historycznych” 3/01 - *„Józef Stalin potrzebował wiernej i oddanej grupy polityków, która mogłaby skutecznie zmierzyć się w walce z premierem rządu RP na uchodźstwie Stanisławem Mikołajczykiem. 24 grudnia Berman wraz z kilkudziesięcioma działaczami Związku Patriotów Polskich został nieoczekiwanie zaproszony na Kreml. Tam zapadła decyzja o powołaniu rządu „moskiewskiego”, mającego być przeciwwagą dla legalnie działającego rządu w Londynie.*

Lapidarny i niezwykle trafny opis tego towarzystwa, przekazał Clement Attlee przywódca labourystów, następca Winstona Churchilla. Gdy zobaczył ekipę PKWN podczas konferencji w Poczdamie orzekł: *„Nigdy w życiu nie widziałem takiej zbieraniny podejrzanego wyglądujących osobników”.*

Tę charakterystyczną, agenturalną cechę ruchu komunistycznego w Polsce, warto mieć na uwadze, gdy chcemy wytyczyć linię sukcesji - od Jakuba Bermana - do Adama Michnika. Z niej bowiem wynika fakt, iż 45 -letnie rządy partii komunistycznej były de facto formą sowieckiej okupacji na obszarze powojennej Polski, w niej również należy upatrywać genezy stosunku, jaki wobec ZSRR reprezentowali polscy komuniści oraz wywodzący się z tej samej tradycji trockistowsy „schizmatycy”, skupieni w ruchu „komandosów”.

„Nie sposób stwardzić - pisał przed dwoma laty Antoni Dudek - w jakiej części proradzieckość i proradyjskość kolejnych ekip rządzących Polską Ludową miała podstawy ideologiczne, w jakiej zaś geopolityczne czy wręcz czysto pragmatyczne (strach przed Wielkim Bratem)”. Nie ma też potrzeby, by analizować podłoże tego zjawiska. Dość stwierdzić, że postawa wobec „przyjaciół radzieckich” była w Polsce Ludowej jednym z najważniejszych atrybutów, jakimi funkcjonariusze komunistyczni mierzyli stopień lojalności i użyteczności swoich towarzyszy oraz czynnikiem (w ogromnej mierze) decydującym o karierze i awansach. Zupełnie odwrotna hierarchia obowiązywała w społeczeństwie, gdzie postawy antyrosyjskie czy antyradzieckie były postrzegane jako atrybut ludzi godnych i niezależnych.

Wydaje się, iż to jedna z najbardziej widocznych cech, świadczących jak mocno komunizm (a w nim podległość Sowietom) jest tworem obcym polskiej tradycji i wartościom.

Tym, co w sposób zasadniczy odróżnia poglądy „komandosów” na temat Związku Sowieckiego, od postaw komunistycznych aparatczyków, jest ich fakultatywność. O ile bowiem bycie funkcjonariuszem partyjnym obligowało do wierności Związkowi Sowieckiemu, a w najlepszym wypadku głoszenia „realizmu geopolitycznego” - o tyle, poglądy Michnika czy Kuronia, od czasów nazwania się „demokratyczną opozycją” należy odbierać jako wyrażane w warunkach względnej dobrowolności, nie obarczone przymusem komunistycznych „dogmatów wiary”, bądź nakazem wynikającym z uczestnictwa w aparacie władzy. Z tej przyczyny, wolno sądzić, iż wszystko, co „komandosi” głosili na temat stosunków polsko - sowieckich było wyrazem ich autentycznych poglądów. Stąd też, znaczenie tych wypowiedzi dla wytyczenia linii sukcesji, jest nie do przecenienia.

W poprzednim tekście, przytoczyłem kilka opinii świadczących, iż Adam Michnik pojmował „realizm geopolityczny” jako akceptację dla zastanego porządku, w którym komunizm okazał się nieuchronnym efektem historycznych uwarunkowań, a Polska przedmiotem w grze światowych mocarstw. Dominacja sowiecka była faktem, a gra o przyszłość Polaków mogła się

toczyć tylko w ramach bardzo ograniczonych możliwości. Trudno byłoby odmówić słuszności takiej wizji, gdyby tylko stanowiła punkt wyjściowy - w pełni racjonalny, lecz nie determinujący myślenia o wolnej Polsce. Tymczasem we wszystkim, co Michnik pisał i mówił na temat przyszłości tkwiła - niczym blokada - świadomość, że ZSRR/Rosja jest hegemonem, którego polityczna i militarna obecność jest granicą nieprzekraczalną, poza którą nie wolno przesunąć naszych dążeń, a wszelkie koncepcje wolnej Polski muszą mieć na uwadze interes Rosji. To posunięte do granic absurdu przekonanie, nakazywało Michnikowi w roku 1989 stawiać na jednej płaszczyźnie interes kata i ofiary, okupanta i okupowanego, gdy powołując się na opinię koncesjonowanego, sowieckiego dysydenta twierdził - „Prof. Andriej Sacharow, moralny autorytet Rosji i Europy, powiedział, że *„płyniemy w jednej łódce”*. I łatwiej nam będzie przepłynąć wszystkie mielizny i pułapki, gdy będziemy sobie wzajemnie pomagać. Inaczej utoniemy. (Polska ZSRR. Dwa inne kraje) Gazeta Wyb..25.10.89

A przecież to sam, ideowy przyjaciel Michnika - Jacek Kuroń, podczas sejmowej dyskusji, w roku 1998 nad projektem uchwały o przestępczym charakterze systemu komunistycznego (której był przeciwnikiem), przyparty słowami Antoniego Macierewicza, stwierdził: „W wyniku II wojny światowej i porozumienia mocarstw, które tę wojnę wygrały, społeczeństwo polskie zostało oddane w pełną władzę ZSRR. Taka decyzja zapadła na mocy porozumienia jaltańskiego oraz poczdamskiego i była utrwaleniem wyników wojny. A w związku z tym była okupacja, zgadza się, to znaczy obecność władz sowieckich na terenach polskich, które tam się znalazły w wyniku wojny”

Nigdy jednak, nie udało się zapytać obydwu „mędrców” - jakie to wspólne interesy, na jakiej to „jednej łódce” mogą mieć okupant i okupowany?

Już podczas pobytu w Paryżu, w roku 1977 Michnik w wywiadzie dla „Le Monde” sformułował tezę jakoby istniała fundamentalna zbieżność interesów kierownictwa politycznego ZSRR, kierownictwa politycznego w Polsce i polskiej demokratycznej opozycji. Stwierdził także, że „w partii jest wielu pragmatyków, którzy wiedzą, że represje niczego nie rozwiązują”. Dlatego - zdaniem Michnika PZPR może być dla demokratycznej opozycji partnerem, z którym można zawrzeć polityczny kompromis.

Ten pogląd w pełni współbrzmiał ze słowami Jacka Kuronia, który w „Biuletynie Informacyjnym KSS”KOR” nr. 3, z 1979 roku zamieścił artykuł pt. „Sytuacja kraju a program opozycji”. Objawił się wówczas jako zwolennik dialogu z partią komunistyczną, deklarując chęć współpracy z jej „pragmatyczną frakcją”. Jednocześnie w paryskiej „Kulturze” w nr. 1-2, z 1979 r., w artykule pt. „Drogi i podziały” Kuroń zapewniał, że mówienie o niepodległości Polski i domaganie się jej, to „deklaracje budzące litość”.

Słowo niepodległość, wydaje się obcym w arsenale pojęć Michnika. Z powodzeniem zostało zastąpione ulubionym hasłem, główną bronią komandosów” - „kompromisem”:

„Co to znaczy dzisiaj chcieć niepodległości? - pisał w roku 1989. „Znaczy to konsekwentnie, krok po kroku, przebudowywać Polskę; znaczy to pracować, by doktryna Breżniewa została pogrzebana na zawsze. Jednak nie drogą rozpalania antyrosyjskiej nienawiści ani urządzaniem antysowieckich demonstracji. **Wytwarzanie obrazu Polski dyszącej potrzebą antysowieckich akcji jest sprzeczne z polskim interesem narodowym i godzi w politykę rządu Tadeusza Mazowieckiego.** Powtórzmy: **sytuacja Polski polega na tym, że proces demokratycznych przeobrażeń opiera się na kompromisie i wymaga konsekwencji działań - każdy z partnerów kompromisu potrzebny jest w politycznym kontrakcie.** Wszelako ten kompromis jest kruchy. Opiera się na porozumieniu stron wczoraj jeszcze ostro skonfliktowanych. Dlatego potrzeba nam będzie wiele tolerancji, uporu i dobrej woli”

Warto pamiętać, że w rozmowie z Jackiem Żakowskim na temat „Traktatu o gnidach” Wierzbickiego, Michnik jasno określił swój stosunek do Polski Ludowej, mówiąc: „Nigdy nie przyjąłem formuły, że w Polsce przez czterdzieści lat de facto trwała sowiecka okupacja. Byłem zdania, że PRL to jest polska państwowość pozbawiona suwerenności. Ta państwowość jednak istniała i stanowiła pewną wartość”.

Można zastanawiać się, na ile poglądy Michnika czy Kuronia wynikały z racjonalnych ocen rzeczywistości, na ile zaś miały podłoże w „syndromie Dupczeka”, który wydaje się wspólnym doświadczeniem komunistycznych „wyznawców”? Przed dwoma laty, w artykule „Wiara i strach” Antoni Dudek pisał: „

„Strach władz PRL przed reakcją Kremla był najwyraźniej widoczny w okresie legalnej działalności NSZZ *„Solidarność”* w latach 1980-1981. Znalazło to wyraz zarówno w oficjalnej propagandzie, która nieustannie oskarżała tzw. ekstremalne skrzydło *„Solidarności”* o rozniecanie nastrojów antyradzieckich, jak i w nerwowych reakcjach tych przywódców PZPR, którzy oceniali, że tracą poparcie Moskwy. *„Dziwią mnie metody, do jakich się uciekacie (...). Nie zasłużyłem na to (...) gorzkie to dla mnie doświadczenie, że straciliście do mnie zaufanie”* - skarżył się w czerwcu 1981 roku szefowi prezydentury KGB w Polsce gen. Witalijowi Pawłowowi I sekretarz KC PZPR Stanisław Kania. Strach przed gniewem Kremla, który nawiązując do wydarzeń z 1968 roku w Czechosłowacji można określić z kolei mianem syndromu Dubczeka, w jeszcze silniejszym stopniu występował u gen. Wojciecha Jaruzelskiego, w którego przypadku miał zresztą istotne uzasadnienie biograficzne, czyli deportację na Syberię w latach II wojny światowej. Syndrom Dubczeka zaczął słabnąć dopiero po objęciu władzy w ZSRR przez Michaiła Gorbaczowa i proklamowaniu przez niego pierestrojki. Charakterystyczny był przebieg obrad Sekretariatu KC PZPR jesienią 1986 roku, kiedy zastanawiano się też nad problemem białych plam w historii wzajemnych stosunków. *„Podejmowaniu ich musi towarzyszyć wyobraźnia co do skutków. Nieodzwonna ostrożność. Pierwszy raz towarzysze radzieccy zgodzili się rozmawiać na ten temat”* - stwierdził podczas dyskusji Włodzimierz Natorf, ambasador PRL w Moskwie. Obawy te łagodził sam Jaruzelski, mówiąc: *„Tow. Gorbaczow jednoznacznie opowiada się za podjęciem tych problemów przez historyków obu stron. (...) W świadomości społecznej, również nie bez naszej winy, tkwi sprawa Katynia (...). My też byliśmy kiedyś nadgorliwi i mieliśmy swoje tragiczne procesy oficerów”. Równocześnie generał proponował, by „pomyśleć o śmiałych, szokujących przedsięwzięciach, niemieszczących się w dotychczasowych ramach (np. może wizyta w Moskwie kardynała Glempa, może sprowadzenie prochów króla Stanisława Augusta Poniatowskiego). Liczą się skutki”. Te ostatnie okazały się rzeczywiście doniosłe, a dla gen. Jaruzelskiego zgoła szokujące”.*

Tę sam sposób myślenia, oparty na „nieodzwonnej ostrożności” można zaobserwować u Michnika w roku 1989, gdy w artykule „Pałka i kompleks” pouczał rodaków: „Ten kto uważa, że hasło *„Sowieci do domu”* wystarcza dziś za całą polityczną mądrość. powinien zastanowić się, czy w wyniku takich zawołań osiągnąć można skutek zamierzony. Albo inaczej: postępując się hasłami uchodzącymi powszechnie za obraźliwe w stosunku do radzieckiego supermocarstwa, nie proponując nic poza wrogością, w chwili, gdy to i owo warto by zaproponować przekreśla się szansę nowego modelu relacji polsko-radzieckich. Takich relacji, gdzie obustronna równoprawność i suwerenność nie będą sloganem propagandowym. lecz codziennie budowanym partnerstwem. Nie osiągnie się tego antysowieckimi demonstracjami trzeba to powiedzieć wyraźnie. Jasno

powiedzmy jednak, że głupotą jest wierzyć, iż antysowiecki kompleks Polaków można przelamać zomowskimi pałkami. Te pałki ten kompleks utrwalają”.

Warto pamiętać, że to w tym właśnie czasie lider „komandosów” odbywał konsultacje w Moskwie, o czym informowały szyfrogramy Grupy Operacyjnej „Wisła”, (zamieszczone w nr.4 (39) Biuletynu IPN z kwietnia 2004 roku). Meldunki „Wisły” stanowiły dla władz PRL jedno z cenniejszych źródeł informacji, zarówno na temat sytuacji wewnętrznej w ZSRR, jak i kremlowskich ocen biegu wydarzeń w Polsce. Z treści meldunków wiemy, że Rosjanie już wiosną 1988 r. byli skłonni rozpocząć wstępny dialog z przedstawicielami tzw. konstruktywnej części opozycji w Polsce, a w kilka - najdalej kilkanaście miesięcy później - rozmowy takie faktycznie zostały rozpoczęte. W świetle szyfrogramu z czerwca 1989 r., zawierającego sprawozdanie z rozmowy z Walerijem Musatowem, czytelnie rysują się też motywy działań Kremla: wobec postępującej erozji ekipy Jaruzelskiego, której potwierdzenie stanowiła czerwcową klęska wyborcza, Rosjanie przystąpili do budowy „mostów porozumienia” z umiarkowaną częścią opozycji. Ich celem strategicznym był bowiem - jak wynika z innego z szyfrogramów - „pomyślny rozwój stosunków z USA” i utrzymanie Polski w radzieckiej strefie wpływów. Oba te cele wymagały zachowania spokoju społecznego i nadania przemianom ustrojowym w PRL ewolucyjnego charakteru. To zaś było możliwe tylko w przypadku pozyskania do współpracy umiarkowanej części opozycji. Otwarte pozostają natomiast pytania - o szczegóły prowadzonych wówczas rozmów, a także o to, kto jeszcze poza Adamem Michnikiem, Januszem Onyszkiewiczem oraz Andrzejem Wajdą był ich uczestnikiem oraz jaki był ich wpływ na powstanie rządu Tadeusza Mazowieckiego.

O wizytach Michnika w Moskwie wspomina również w swoich pamiętnikach Mieczysław Rakowski. Pod datą 14 października 1989 roku zanotował: „Wieczorem, bez uprzedzenia, wtargnął do nas AM. Wracał z ambasady radzieckiej. Wybiera się do Moskwy. (...) AM starał się mnie przekonać, że jestem w PRL tym, „który może ten kraj wyciągnąć z dna, w jakim się znalazł”. Nie wiem, na jakiej podstawie tak sądzi. Zalecał nawiązanie kontaktu z Geremkiem, choć ostrzegał, że nie powinienem z nim tak otwarcie rozmawiać, jak my rozmawiamy. O Wałęsie powiedział, że jest to dureń (...). A w ogóle, to cele wtargnięcia do mnie określił w ten sposób: „Jadę do Moskwy (...) i przyszedłem do pana po sugestie. Z kim warto rozmawiać, co im mówić itd.”.

Nie wiemy, jakich rad udzielił koledze towarzysz Rakowski. Sam Michnik też nie był skory dzielić się z Polakami doświadczeniem z moskiewskich wizyt. Pewne sugestie odnośnie poruszanych wówczas tematów, można wywnioskować na podstawie artykułu Gazety Wyborczej z 25.10.1989 r. Michnik pisał bowiem:

„Wszelako w stosunkach polsko-radzieckich wciąż obecny jest historyczny bagaż urazów i nieporozumień. Nie ingerując w sferę wielkiej dyplomacji, powiedzmy, że polską opinię niepokoi - w epoce bezkompromisowego ujawniania stalinowskich zbrodni - odkładanie w nieskończoność publicznego powiedzenia prawdy o katyńskiej zbrodni. Ta sprawa jest otwartą raną i Polacy nie zaaprobują żadnych przemilczeń. Z kolei rosyjską opinię zaniepokoiły dochodzące z Warszawy sformułowania o „okupacji wschodnich województw Polski po 17 września 1939 roku”. Odczytano to jako zapowiedź żądania rewizji granic. Polacy wiedzą, że takiego żądania nikt rozumny w Polsce nie formułuje. Ale to pytanie, które tylekroć słyszałem w Moskwie, dowodzi wielkiego uwrażliwienia. Dlatego trzeba starannie dobierać słowa. W polskim myśleniu, winien zostać zrewidowany dotychczasowy wizerunek ZSRR. Ale w myśleniu rosyjskim musi zostać odklamany obraz „Solidarności” jako „amerykańskiej agentury” i „awangardy światowej kontrrewolucji”. Tylko tak skończyć można z wizerunkiem wroga”. (podkr.moje)

Trzeba było dopiero mocnego głosu francuskiego filozofa i politologa Alaina Besancon, by odpowiedzieć Michnikowi na ten stek groźnych, ahistorycznych komunałów, którymi skutecznie zatruwał umysły Polaków u progu III RP. Besancon w roku 1990, na łamach paryskiej „Kultury” tak skomentował wystąpienie Michnika w „Litieraturnej Gazecie”:

„W polityce zewnętrznej utworzyła się oś Moskwa-Warszawa. W „Litieraturnej Gazecie” Michnik dał wyraz swemu zadowoleniu z tego, że wojska sowieckie raczą pozostać w Polsce. Zarzucono mi, że wspominałem o Targowicy. A przecież ta grupa zdrajców nigdy nie zaaprobowała przedłużenia okupacji trwającej 45 lat.

Byliśmy świadkami jak Jaruzelski i Mazowiecki usiłowali w Paryżu reanimować sojusz francusko-rosyjski wymierzony przeciw Niemcom, który tak drogo kosztował Europę i Polskę. Jak Wałęsa, używając szalonych wręcz sformułowań, groził Niemcom zagładą atomową. Jak ten sam Wałęsa domagał się jako rzeczy samo przez się należnej subsydiów, które umacniają obecny, dwuznaczny system i pośrednio przynoszą korzyści okupantowi. Widzieliśmy zakłopotanie Polski wobec bohaterkiej postawy Litwy, która w warunkach tysiącokrotnie trudniejszych próbuje dokonać tego, przed czym Michnik i jego przyjaciele cofają się od trzech lat. Wszyscy niestety opuścili Litwę, ale Polska powinna wiedzieć skąd wywodzili się jej najwięksi królowie i poeci. [...]

To, co dzieje się w Polsce, to właśnie to, czego chciał dokonać Gorbaczow u wszystkich swych satelitów. Niemal wszędzie manewr ten zakończył się niepowodzeniem. Powiódł się w Polsce i to jest największym sukcesem Gorbaczowa. Ma w tym swój udział Michnik”.

Niewątpliwie Michnik miał udział w „budowaniu mostów porozumienia” i utrzymaniu Polski w radzieckiej strefie wpływów - czyli w realizacji tych koncepcji, o których informuje szyfrogram GO „Wisła” z dn. 20.01.1989 r., relacjonujący „ciekawsze wypowiedzi osób z aparatu partyjnego, MSW i wojska, uzyskane przez rzetelne źródło podczas spotkania prywatnego w szerszym gronie w dniu 18 bm”. Skutki tej fatalnej dla Polski polityki będziemy odczuwać jeszcze przez dziesięciolecia.

Nie przypadkiem poświęcam tyle miejsca cytatom z roku 1989. Wydają się niezwykle ważne, bo reprezentatywne dla środowiska „komandosów”. O ile w latach 70 -tych, „realizm geopolityczny” można tłumaczyć strachem przez interwencją militarną, o tyle ten argument upada, gdy rozpatrujemy końcówkę lat 80-tych. Ci zatem, którzy nie bacząc na kilkadziesiąt lat sowieckiej okupacji i konieczność wyrwania Polski ze strefy wpływów Moskwy, wbrew odczuciom zdecydowanej większości społeczeństwa i naszym, narodowym interesom, głosili potrzebę stosunków „opartych na partnerstwie i kompromisie”, twierdząc, iż „obraz Polski dyszącej potrzebą antysowieckich akcji jest sprzeczny z polskim interesem narodowym”, musieli być politycznymi analfabetami, lub realizować zamierzoną, ustaloną w Moskwie strategię. Ponieważ nie posądzam „komandosów” o infantylizm, dostrzegam w wypowiedziach Michnika i innych przejaw cynicznej, choć politycznie efektywnej gry, obliczonej na zapewnienie sobie wpływów, w sposób praktykowany od czasów Jakuba Bermana - poprzez poparcie płynące z Kremla. To najmocniejsza cecha sukcesji, jaką „komandosi” odziedziczyli po Bermanie. Bez tego poparcia, bez akceptacji „konstruktywnej opozycji” przez przywódców sowieckich, operacja „okrągły stół” byłaby niemożliwa, a wpływy środowiska „komandosów” na kształt polityczny III RP ograniczone. Warto dostrzec tę historyczną analogię.

Od czasu, gdy sowieccy agenci, podążający za Czerwoną Armią zaprowadzili w Polsce okupacyjne porządki i oparli swój byt na wsparciu Kremla, obecność takich ludzi w polskim życiu publicznym stanowi nieomylną wskazówkę, że państwo, stworzone na bazie „historycznego kompromisu” znajduje się nadal pod wpływem wschodniego imperium

CDN...

Źródła:

Leszek Piątkowski - Z dziejów lewicy polskiej w ZSRR (Polski Komitet Narodowy i Centralne Biuro Komunistów Polskich) w Annales Universitatis Mariae Curie-Skłodowska Lublin

<http://www.annales.umcs.lublin.pl/F/2005/18.pdf>

<http://www.gomulka.terramail.pl/towberman.htm>

http://www.rp.pl/artysta/2,292965_Moskwa_wybiera_Bermana.html

<http://wyborcza.pl/1,75546,3652986.html>

<http://wyborcza.pl/1,93057,3647843.html>

<http://orka2.sejm.gov.pl/Debata3.nsf/main/396583D6>

<http://wyborcza.pl/1,93057,3647750.html>

http://www.ipn.gov.pl/portal/pl/24/1351/nr_42004.html

http://www.dziennik.pl/opinie/article35731/%20Kto_nie_ze_mna_ten_klamca.html

<http://cogito.salon24.pl/77638,zrobmy-przewrot-majowy>

<http://www.abcnet.com.pl/4-alain-besancon-adamowi-michnikowi-w-odpowiedzi-tekst-otrzymany-od-autora>

28.05.2009 19:12 29

284. GRA SZYFRANTEM

Przez wiele dni, zaginięcie szyfranta wywiadu wojskowego było tematem medialnych doniesień i spekulacji. Z mniej, lub bardziej mądrych wypowiedzi wyłaniały się dwie, podstawowe wersje służące wyjaśnieniu zdarzenia.

Według pierwszej - forsowanej przez media, szyfrant mógł zostać porwany lub podjął współpracę z obcym wywiadem. Druga wersja, o której zgodnie zaświadcza premier Tusk, Jacek Cichocki i Janusz Zemke mówi o problemach zdrowotnych i osobistych, lub nieszczęśliwym wypadku, jako realnej przyczynie zniknięcia żołnierza SWW.

Dla nas - odbiorców tych informacji, obie wersje brzmią wiarygodnie, a brak racjonalnych przesłanek dla wykluczenia którejkolwiek z nich, powinien powstrzymać zbyt wybujałą wyobraźnię. Warto jedynie zauważyć, że zgodny chór tzw. „czynników oficjalnych” dywagujących o problemach osobistych żołnierza SWW, brzmi mało wiarygodnie, zważywszy na standardową, ustawiczną ochronę i kontrolę, jakiej poddawane są szczególnie ważne obszary przetwarzania i przekazywania informacji, w tym ludzie wykonujący zadania szyfrantów. Wewnętrzne procedury każdej służby, praktycznie uniemożliwiają przypadki nieujawnionych „problemów osobistych lub zdrowotnych” na tym stanowisku. Żołnierz o długim stażu służby w WSW/WSI/SWW - jak zaginiony szyfrant, nie wydaje się człowiekiem podatnym na tak prozaiczne problemy.

W sprawie wypowiedzieli się już niemal wszyscy eksperci, politycy i dziennikarze, również wielu blogerów poświęciło jej uwagę. Z większości tych wypowiedzi można wyprowadzić wniosek, że zaginięcie szyfranta stanowi spektakularną kompromitację służb wojskowych i świadczy o fatalnym stanie naszego bezpieczeństwa. Uzasadnieniem dla takiej oceny byłby sam fakt zniknięcia żołnierza, a następnie wyciek tej informacji i podanie danych osobowych zaginionego. Rzeczywiście - to sytuacja bez precedensu.

Trudno wszakże sobie wyobrazić, by w sprawie tak ważnej dla naszego bezpieczeństwa i prestiżu służb wojskowych, sprawie - którą bacznie obserwują służby innych państw, nastąpił niekontrolowany wyciek informacji, na tyle nieograniczony, że dopuszczono do publikacji danych szyfranta, jego wizerunku i szczegółów z życia prywatnego. Mając nawet bardzo negatywną opinię o polskich służbach, nie sposób uwierzyć, by w tak wyjątkowej sytuacji mogło nagle dojść do ujawnienia tytułu ważnych informacji.

Jeśli jednak tak się stało należałoby rozważyć kilka prawdopodobnych wersji:

- Służby wojskowe wiedzą, że szyfrant został uprowadzony lub przewerbowany, a kontrolowany wyciek informacji i dekonspiracja żołnierza to czytelny dla innych służb sygnał, że jego wiedza już jest nieprzydatna.
- Służby wojskowe wiedzą, że szyfrant nie żyje, a nie mając pewności, czy jego wiedza nie została pozyskana przez obcy wywiad, wyprzedzająco dokonują przecieku - w celu jak wyżej.
- Służby wojskowe wiedziały, że nie uda się zachować w tajemnicy zniknięcia szyfranta - dokonały więc same przecieku informacji, ukierunkowując ją na określone wątki.
- Przecieki informacji nastąpił wbrew intencjom służb wojskowych i został dokonany w celu ich kompromitacji.

Warto zauważyć, że oficjalnie zwolennikiem jednej z podanych wersji jest gen. Marek Dukaczewski, ostatni szef WSI. „*Jestem przekonany*,- stwierdził Dukaczewski, *że służby od dawna poszukiwały już szyfranta. Możliwe, że jest to kontrolowany przeciek, wyraz bezradności służb przed nieuniknionym wyciekiem. Takie zniknięcia w służbach już się zdarzały, ale rzadko*”.

Nie odważę się na dywagację - która z powyższych wersji wydaje się najbardziej prawdopodobna i dlaczego. Nie uprawnia do nich obecny stan wiedzy, jaką posiadamy, a utrwalanie fantastycznych scenariuszy pozostawię panu premierowi i jego politykom.

Mam jednak prawo podzielić się pewną obserwacją - o tyle intrygującą, że jeśli uczynimy słuszne w tego rodzaju sprawach założenie, iż reakcje pewnych środowisk nie są rzeczą incydentalną, warto poświęcić jej uwagę.

Na stronie Stowarzyszenia „**PROMILITO**” ukazały się w ostatnim czasie publikacje dotyczące kryptografii i kryptologii. Ich autor - występujący pod pseudonimem „Stanisław Kowłowski”, dysponuje dużą wiedzą na temat problemów które porusza i jest - jak należy przypuszczać oficerem byłej WSI. Choć użyty przez niego sposób argumentacji i zakres zainteresowań, zdaje się być bliski wystąpieniom pewnego oficera WSI znanego z aktywności na forum Blogmedia24, nie ma potrzeby dociekania kim jest autor. Nie to bowiem wydaje się najważniejsze.

Z trzech artykułów Kowlopskiego, zamieszczonych na forum PROMILITO, tuż po ujawnieniu informacji o zaginięciu szyfranta, warto spróbować wyeksponować wspólne cechy.

Oto, w tekście zatytułowanym „Kryptografia w Raporcie i Antyraporcie” Stanisław Kowlopski dzieli się z czytelnikiem wnioskami z analizy Raportu z Weryfikacji WSI i tzw. Antyraportu - „opinii zespołu ekspertów Platformy Obywatelskiej do publikacji Raportu”, pod redakcją pośta Marka Biernackiego, w zakresie, w jakim te dokumenty dotyczą obszaru polskiej kryptografii. Ponieważ mój tekst nie ma ambicji polemiki z tezami autora, pominę szereg błędów i nieścisłości zawartych w artykule. Warto jedynie zwrócić uwagę, że oficer WSI dokonuje nieuprawnionego ujednolicenia obu dokumentów, nazywając je „oficjalnymi” i „elektryzującymi opinię publiczną”, gdy tymczasem tylko Raportowi z Weryfikacji przysługuje miano dokumentu urzędowego i oficjalnego, a anonimowy „Antyraport” Platformy nigdy takiej cechy nie posiadał, a nadto nie był przedmiotem publicznej dyskusji.

Kowlopski na wstępie do swojego artykułu zauważa:

„Pojawia się ważne pytanie, dlaczego polityczni „specjaliści” od służb specjalnych nie zajęli się w dyskusji trzecim obszarem odpowiedzialności WSI - ustawową działalnością SOP i KWB sfery wojskowej? Przecież to właśnie ten obszar i tylko ten, ze względu na jego istotny wpływ na bezpieczeństwo państwa, wymagał i powinien podlegać publicznej dyskusji, tym bardziej, że większość dyskutantów, ustawowo odpowiada za stan ochrony informacji niejawnych i bezpieczeństwo teleinformatyczne, z tytułu kierowania jednostkami organizacyjnymi. Nie podjęto tego tematu pomimo, że jednym z dziesięciu zawiadomień o podejrzeniu popełnienia przestępstwa przesłanych przez Przewodniczącego Komisji Weryfikacyjnej do Naczelnej Prokuratury Wojskowej było rzekome łamanie prawa w obszarze kryptografii (strony 145-146 w elektronicznym wydaniu Raportu)”.

Przywołany przez autora fragment Raportu dotyczy rozdziału zatytułowanego „Nieprawidłowości przy organizacji zakupów” i opisuje działania szefostwa WSI w zakresie „zakupu sprzętu specjalistycznego dla pionów zajmujących się obsługą techniczną działań operacyjnych”. Opis dotyczy głównie spółki SILTEC (powstała w 1982 r. prawdopodobnie jako firma przykrycia Zarządu II Sztabu Generalnego LWP) oraz firmy DGT-System, a także nieprawidłowości stwierdzonych przy zakupie sprzętu kryptograficznego oraz dopuszczeniu do użytku urządzeń, które nie przeszłyby stosownej certyfikacji. Na stronie 145 Raportu czytamy:

„Opisane, nie będąc wyjątkiem, działania powodowały wymierne straty dla budżetu państwa. Stanowiły również, poprzez akredytowanie urządzeń kryptograficznych bez faktycznego przeprowadzenia wymaganych badań, olbrzymie zagrożenie dla bezpieczeństwa państwa. Z dopuszczonych w ten sposób do użytku urządzeń korzystały lub korzystają osoby sprawujące najwyższe urzędy państwowe w tym: Prezydent RP, Szef BBN, Minister Obrony Narodowej, Szef Sekretariatu MON, Sekretarz Stanu i Zastępca MON, Szef Sztabu Generalnego WP, Szef WSI czy Komendant Główny ŻW. Na uwagę zasługuje także fakt, iż gdyby zamiast wieloletnich starań zmierzających do zakupu obcych urządzeń zdecydowano się na przygotowanie własnych rozwiązań, prawdopodobnie w tym samym czasie udałoby się je wdrożyć.

W tym kontekście istotna jest przekazana Komisji Weryfikacyjnej informacja, dotycząca nieformalnej grupy wewnątrz WSI, powiązanej z gen. Dukaczewskim. Dzięki mianowanej według ustalonego przez siebie klucza kadrze, stanowiącej w razie potrzeby swoiste lobby lub grupę nacisku, miała ona mieć możliwość realizacji dowolnego zadania, niekoniecznie legalnego i związanego z działaniem służby. [...]

Nieprawidłowości w zakresie procedur przetargowych, jakie występowały w WSI, odnotowano także w prowadzonej od 2005 r. sprawie „P”. Prowadząc tę sprawę funkcjonariuszy WSI ustalili, że procedury przetargowe były na ogół źle zorganizowane. Nadmiernie często ze szkodą dla WSI stosowano procedurę zakupów „z wolnej ręki” i dzielono przetargi celem obejścia przepisów. Zazwyczaj nie publikowano ogłoszeń w „Biuletynie Zamówień Publicznych”, a ograniczano się do wysyłania zaproszeń przetargowych do kilku zaprzyjaźnionych firm, bez konfrontowania ich ofert na szerszym rynku. W roku 2004 wytypowano m.in. firmę INSAM, która została wpisana do Krajowego Rejestru Sądowego w 8 dni po wygraniu przetargu. Zwieńczeniem sprawy „P” było zawiadomienie prokuratury wojskowej o podejrzeniu popełnienia przestępstwa. W tej sprawie interesujące jest także to, iż całość postępowania ograniczono do stosunkowo niskich rangą oficerów. Najstarszy z nich był w stopniu majora”.

Tyle Raport z Weryfikacji.

„Stanisław Kowlopski”, po postawieniu pytania dotyczącego tego fragmentu, udziela też odpowiedzi:

„Odpowiedź na to pytanie wydaje się być oczywiste - brak merytorycznego przygotowania oraz nie zdawanie sobie sprawy z wagi tego problemu przez polityków i decydentów. Jak pokazuje czas oraz fakty, zagadnienie ochrony kryptograficznej nie tylko przerosło dyskutantów, ale i Komisję Weryfikacyjną, a także zapewne prokuraturę wojskową, która od 14 lutego 2007 r. prowadzi śledztwo o sygn. Po.Śl.84/05 w tej sprawie i prawdopodobnie nie szybko można spodziewać się jego zakończenia oraz wyników. Jak widać z sygnatury, rozwikłanie sprawy kryptografii w MON jest bardzo skomplikowane, gdyż śledztwo jest faktycznie prowadzone od 2005 roku - czwarty rok bez konkretnych wyników. Pojawia się więc kolejne pytanie: „Dlaczego?”. Przecież pan Antoni Macierewicz przed kamerami wielokrotnie twierdził, że ma niezbitę dowody popełnionych przestępstw przez oficerów WSI.”

Na zakończenie artykułu oficer WSI konkluduje :

„Minęły ponad dwa lata od likwidacji WSI oraz opublikowania „Raportu” i Antyraportu”. Zostało przerwane wdrażanie naprawczych programów w obszarze wojskowej narodowej kryptografii, odeszli ich autorzy oraz pozbyto się wielu fachowców - je wdrażających. Można dziś powiedzieć, że w wojskowej narodowej kryptografii niestety nie zmieniło się wiele na lepsze” - i stawia m.in. takie pytania:

„Ilu z 15 (piętnastu) osobom negatywnie opisanym w „Raporcie”, w tym pięciu oficerom WSI, Naczelna Prokuratura Wojskowa postawiła zarzuty popełnienia przestępstw i działania na szkodę państwa w obszarze kryptografii? [...]

Co z pracami nad koncepcją dotyczącą zasad tworzenia narodowych algorytmów kryptograficznych, ich implementacji i budowy narodowych urządzeń kryptograficznych, bez których nie można budować nowoczesnych bezpiecznych narodowych niejawnych systemów i sieci teleinformatycznych w celu profesjonalnej realizacji „Strategii Bezpieczeństwa Narodowego Rzeczypospolitej Polskiej”?

Panowie Reformatorzy, a może było warto zastanowić się chwilę, podejmując tak ważną decyzję o likwidacji WSI oraz wyznaczając weryfikatorów ich kadr?

W drugim z artykułów zatytułowanym „Czy powinniśmy rozmawiać o kryptologii” „St.Kowlopski” bezpośrednio nawiązuje do faktu zaginięcia szyfranta SWW dostrzegając, iż „problematyka ochrony informacji niejawnych i bezpieczeństwa systemów teleinformatycznych,

a szczególnie ochrony kryptograficznej jest obca nie tylko społeczeństwu, ale przede wszystkim naszym politykom i dziennikarzom”.

Po rozprawieniu się z niewiedzą wyżej wymienionych, oficer WSI zauważa:

„Jednocześnie za absurd można uznać nieprofesjonalne zarzuty pod adresem specjalistów WSI dotyczące kryptografii, przedstawione na dwóch stronach w Raporcie Antoniego Macierewicza, a także niektóre podjęte działania w tym obszarze w czasie likwidacji WSI i tworzenia nowych służb wywiadu i kontrwywiadu wojskowego, w tym służby ochrony państwa sfery wojskowej.

Wydaje się, że ponad dwa lata, które minęły od rozwiązania WSI i funkcjonowania nowej służby ochrony państwa sfery wojskowej (SKW) są wystarczające, aby spokojnie powrócić do rozpoczętej edukacji nie tylko społeczności wojskowej, ale całego społeczeństwa oraz przede wszystkim rozpocząć merytoryczną dyskusję o stanie narodowej kryptografii, w celu profesjonalnego i niezwłocznego wdrożenia nowej „Strategii Bezpieczeństwa Narodowego Rzeczypospolitej Polskiej” podpisanej w dniu 13 listopada 2007 roku przez Prezydenta RP, której istotnym elementem jest bezpieczeństwo informacyjne i telekomunikacyjne naszego kraju, oparte na najnowocześniejszych technologiach telekomunikacyjnych i najwyższych standardach bezpieczeństwa, zapewniających właściwą ochronę narodowym informacjom niejawnym, przesyłanych drogą elektroniczną”.

Na koniec, przytoczę fragment trzeciego artykułu, zatytułowanego „POPIS WERYFIKACJI KADR WSI”, w którym ten sam autor zawarł niezwykle interesujący pogląd na sprawę likwidacji WSI:

„Należy przypuszczać, że społeczeństwo nigdy nie dowie się prawdy o przyczynach likwidacji WSI oraz zakresie istniejących patologii w WSI, o których tak ochoczo dyskutowano w latach 2006-2007, nie bacząc na bezpieczeństwo naszego kraju i krzywdząc wielu uczciwych żołnierzy i pracowników WSI. Pokazanie prawdy o zakresie patologii w WSI oraz rzeczywistej liczby przestępców nie jest na rękę ani politykom PiS (autorom Raportu), ani politykom PO (autorom Antyraportu), gdyż cel został osiągnięty - sprawdzono i przechwycono materiały tak przydatne w grze politycznej a straty poniesione przez żołnierzy i pracowników WSI nie są istotne - przecież od początku nie chodziło o rzetelną weryfikację kadr WSI lecz o szukanie „haków na swoich”. Dwa lata od opublikowania Raportu pokazują, że prokuratura wojskowa nie jest w stanie postawić zarzutów łamania prawa przez żołnierzy i pracowników WSI. Ostatnią nadzieją rehabilitacji dla pokrzywdzonych jest trwające śledztwo dotyczące przekroczenia uprawnień i nie dopełnienia obowiązków przez Komisję Weryfikacyjną, prowadzone przez prokuraturę cywilną, po zawiadomieniu jej przez 24 osoby i 2 instytucje po opublikowaniu Raportu w dniu 16 lutego 2007 r. Poważnym pytaniem jest mizerne tempo prowadzonego śledztwa oraz fakt blokowania prokuraturze cywilnej dostępu do materiałów weryfikacyjnych, najpierw przez Komisję Weryfikacyjną, a obecnie przez nowe służby. Zaistniałe fakty, uchwalenie ustawy praktycznie przerywającej weryfikację oraz nie rozliczenie Komisji Weryfikacyjnej z pracy, pozwalają odpowiedzialnie stwierdzić, że „koalicja POPiS” nie jest zainteresowana pokazaniem prawdy o łamaniu prawa w czasie weryfikacji oraz o stanie niejawnych akt weryfikacyjnych. Zdziwienie budzi również bierność postawy masmediów, które opuściła ciekawość na temat rzeczywistych rozmiarów patologii w WSI oraz ukarania winnych popełnionych przestępstw - wyników pracy prokuratury wojskowej i cywilnej oraz sądów”.

(pogrubienia tekstu - moje)

Dwie rzeczy wydają się wspólne wystąpieniom oficera byłej WSI - mocne przekonanie, że prokuratura wojskowa nie jest w stanie potwierdzić zarzutów łamania prawa przez żołnierzy WSI - szczególnie w obszarze kryptografii oraz nawoływanie, by w tej sytuacji powrócić do „prac nad koncepcją dotyczącą zasad tworzenia narodowych algorytmów kryptograficznych, ich implementacji i budowy narodowych urządzeń kryptograficznych”

Jak można się domyślać, uczestnikami tych prac, w ramach wdrożenia „Strategii Bezpieczeństwa Narodowego” mieliby być „doskonali fachowcy” - oficerowie rozwiązanych WSI - skrzywdzeni niesłusznymi podejrzeniami Komisji Weryfikacyjnej. Ważnym argumentem przemawiającym za ich udziałem będzie - według autora cytowanych artykułów - fakt, że do tej chwili prokuratura wojskowa nie jest w stanie potwierdzić kryminalnych zarzutów. Co więcej - to w prowadzonym przez prokuraturę postępowaniu przeciwko członkom Komisji, autor dostrzega „ostatnią nadzieję” na rehabilitację pokrzywdzonych oficerów WSI.

Adresatem tego przesłania - zważywszy na formę w jakiej zostało sporządzone, wydaje się obecny rząd, bo choć Stanisław Kowłowski dostrzega w postawie polityków Platformy rzekomą „koalicję POPiS”, to przecież postulat „rehabilitacji pokrzywdzonych”, przeprowadzonej przez prokuraturę wojskową wydaje się jednoznacznie wskazywać kierunek tych oczekiwań.

Zastanawiam się - jakie to okoliczności mogą stanowić podstawę dla tez, stawianych przez autora z PROMILITO, skąd czepie pewność o wynikach prokuratorskich śledztw i - przede wszystkim - dlaczego sugestia powrotu do prac nad tworzeniem „narodowej kryptologii” pojawia się właśnie w tym momencie, gdy ujawniono informacje o zaginięciu szyfranta wojskowych służb?

Choć jestem ostrożny w wyrażaniu nadziei - chciałbym liczyć na to, że profesjonalni dziennikarze śledczy, a szerzej „masmedia” potraktują całkowicie poważnie zdziwienie pana oficera WSI i nigdy nie opuści ich „ciekawość na temat rzeczywistych rozmiarów patologii w WSI oraz ukarania winnych popełnionych przestępstw - wyników pracy prokuratury wojskowej i cywilnej oraz sądów”.

Tak wiele intrygująca opinię publiczną sprawa zaginięcia żołnierza SWW, oraz mnożące się w tej sprawie pytania i wątpliwości - powinny tę naturalną ciekawość wyzwoić.

http://www.policyjni.pl/Policyjni/1,91152,6581388,Zaginiony_szyfrant_chcial_odejsc_ze_sluzby.html

<http://www.promilito.pl/pro-milito-blog-promilito.htm>

http://www.promilito.pl/kryptografia_w_raporcie_i_antyra.htm

<http://www.raport-wsi.info/str.143>

http://www.promilito.pl/czy_powinnismy_rozmawiac_o_kryptologii.htm

http://www.promilito.pl/popis_weryfikacji_kadr_wsi.htm

18.05.2009 19:42 81

285. ŚWIĘTO POLSKIEJ GŁUPOTY

Ten wywiad przeszedł bez echa. Nie skomentowali go politycy, nie wzbudził zainteresowania dziennikarzy. Towarzyszące mu milczenie jest znakiem czasów, w jakich przyszło nam świętować 20 lecie „obalenie komunizmu” i powinno skłonić do refleksji tych wszystkich, którzy datę 4 czerwca 1989 uznają za szczęśliwe poczęcie III RP i są święcie przekonani, że żyją w państwie w pełni wolnym i sprawiedliwym.

Tych słów nie wolno pominąć, bo sformułował je założyciel Wolnych Związków Zawodowych Wybrzeża, jeden z głównych twórców NSZZ „Solidarność”. Przed 20 laty, grupa samowolnych „przedstawicieli narodu” uznała, że dla ludzi takich, jak Andrzej Gwiazda - przeciwników paktowania z komunistami - nie ma miejsca w najnowszej historii. Dziś robią to samo, próbując zamilczeć ten głos.

Uważam, że polskiemu życiu publicznemu niewiele jest osób, które posiadają zdolność tak trafnej, dosadnej i zwięzłej oceny rzeczywistości, jak Andrzej Gwiazda. Dlatego zamieszczam treść wywiadu na swoim blogu, by choć w ten sposób został usłyszany i zapamiętany.

(podkreślenia w tekście - moje)

.....

PIOTR GURSZTYN: *Martwi się pan tym, że uroczystości 4 czerwca odbędą się w atmosferze ostrego sporu politycznego?*

ANDRZEJ GWIAZDA: Nie wiem, czy ta kłótnia ma sens. Wszyscy się podniecają sporem o miejsce uroczystości, a lepiej zadać sobie pytanie, co faktycznie chcemy świętować? Problem w tym, że w tych wyborach podział mandatów był z góry ustalony, jedną trzecią kandydatów wyznaczył Lech Wałęsa, a dwie trzecie Czesław Kiszczak. Społeczeństwo nie miało nic do powiedzenia, tylko miało posłusznie wrzucić kartki. To nie były nawet częściowo demokratyczne wybory.

Nie ma więc pana zdaniem sensu świętować tej daty?

Świętujemy swoją głupotę. Cały proces wyborczy był inscenizowany, a my się upieramy, by tego nie zauważyć.

Mimo tego, co pan mówi, wszyscy chcą świętować tę datę. Popierany przez pana prezydent Kaczyński tak samo jak Donald Tusk. „Solidarność” i PiS, tak samo jak PO. Kto tutaj ma największy mandat, by to świętować?

Kiszczak. Gdyby to było święto ku jego czci, to byłoby to uczciwe postawienie sprawy. Obchodząc 4 czerwca, świętujemy ciągłość prawną z PRL.

Czyli Lech Kaczyński niepotrzebnie chce w tym uczestniczyć?

Uważam, że niepotrzebnie.

A Donald Tusk?

Nie chciałbym być nieuprzejmy wobec krakowian, ale wolalbym, by się wyniósł do Krakowa. W ogóle, czy tylko na 4 czerwca? Ostatnio żartowano, że jeszcze lepiej, jakby wyjechał do Pułtuska. Ale powtórzę na poważnie: **4 czerwca to święto polskiej głupoty.**

Pan to nazywa „świętem polskiej głupoty”, ale każdy chce być w nim najważniejszy. Solidarność też.

Niech pan sobie przypomni, co mówił Wałęsa w czasie debaty z Miodowiczem. „Nowa „S” będzie zupełnie inna niż ta w 1981r”. No i była zupełnie inna.

Stoczniovcy nie mają racji, domagając się dla siebie miejsce w czasie obchodów?

Ich sprawa. Kiedyś stocznia zatrudniała 17 tys. pracowników i wodowała ponad 40 statków rocznie. Teraz jeden co trzy lata. Więc mówienie dziś o uratowaniu stoczni oznacza jej symboliczne istnienie. Gdy decydowano o likwidacji przemysłu, ci sami stoczniovcy darli się: „nie przeszkadzać Wałęsie”. I akceptowali plan Balcerowicza. Stoczniovcy w tej chwili mają rację, tylko spóźnili się z nią o 20 lat.

Kaczyński jest oskarżany o niszczenie III RP. Teraz bardzo chce świętować.

Kaczyński był przy Okrągłym Stole i trudno to ukryć. W związku z tym musi jakoś bronić swojego udziału, jeśli nawet potem się okazało, że chodziło mu o coś innego.

Tusk za to nie uczestniczył w obradach Okrągłego Stołu.

O Tusku jedyny komentarz, jaki mogę powiedzieć, to jego wypowiedź w ankiecie z 1987 r.: „Piękniejsza od Polski jest ucieczka od Polski. Polskość to nienormalność. Nie mam zamiaru dźwigać tego brzemienia, którego historia i geografia włożyły na moje barki”. Wtedy był szczery.

Uważa pan, że to dowód na brak jego patriotyzmu? I że słowa sprzed 22 lat nadal obowiązują?

Uważam, że cały czas myśli tak samo, ale dla realizacji swych celów musi mówić, że kocha Polskę.

A nie kocha?

Według mnie nie. Np. cała jego polityka zagraniczna jest prowadzona na klęczkach.

Czy to odbiera Tuskowi prawo do bycia jednym ze spadkobierców „Solidarności”? Był działaczem opozycyjnym, także w 1987 r., gdy pisał zacytowane słowa.

On jest zaprzeczeniem „Solidarności”. Cała ideologia neoliberalna, którą Tusk wyznaje, jest zaprzeczeniem lub odwróceniem idei, z których wyrosła „Solidarność”. Nie wiem zresztą, co Tusk robił w „Solidarności”, bo ja go z 1980 r. nie pamiętam.

Był jej członkiem.

Linia Tuska jest dokładnie sprzeczna z wartościami i istotą „Solidarności”. Tusk wywodzi się z Kongresu Liberalno-Demokratycznego. Pod koniec lat 80. spotkałem ludzi z jego grupy, kiedy jechali do Warszawy. Opowiadali mi, że skoro komuniści są bliscy upadku, to oni właśnie jadą z ofertą. By komuniści zachowali połowę majątku narodowego, a opozycja przejęła drugą. Nie wiem, czy Tusk tam był, bo ich wtedy nie rozróżniałem, ale to byli ludzie z jego środowiska.

Co pan będzie czuł, gdy zobaczy Tuska składającego kwiaty pod pomnikiem Poległych Stoczniovców?

Nie będzie mnie tam, a w telewizji nie będę miał czasu tego zobaczyć. Chyba że będą powtórki, bo Tusk przecież przez cały czas jest na wszystkich antenach. Więc nie będzie to dla mnie szokiem. Złożyć kwiaty ma oczywiście prawo. Każdy może. Nikt nie ma prawa mu tego odmówić.

Podsumowując, czyli najlepiej byłoby nie czcić w ogóle rocznicy 4 czerwca?

Nie stawiam w ogóle takich postulatów. Sam nie będę uczestniczył. Ale mówienie o tym, że to powinno być święto ponad podziałami, jest hipokryzją. I Okrągły Stół, i odtworzenie nowej "Solidarności", i wybory wszystko było poprzedzone układami z ludźmi takimi jak Kiszcza. **Podział społeczeństwa został już wtedy dokonany.** Część ludzi i część poglądów już wtedy zostały wykluczone i zepchnięte na margines. Obecne podziały to nic nowego. Polska Platforma i Polska PiS to mniej więcej ciąg dalszy tamtych sporów.

Andrzej Gwiazda, związkowiec, współtworzył NSZZ "Solidarność" Rozmawiał: Piotr Gursztyn, Dziennik 2009.05.12
http://glos.com.pl/index.php?option=com_content&task=view&id=1311&Itemid=76
<http://www.andrzejgwiazda.pl/index.html>

21.05.2009 19:11 42

286. SUKCESORZY - OD BERMANA DO MICHNIKA - 5

„Kościół jest w Polsce wielką, materialną siłą hamującą, ponieważ koncentruje w sobie filozoficzne treści nadbudowy ideologicznej reakcji i nieustannie przekłada je na masy (...). Kościół więc jako organizacja jest w świadomości mas, przede wszystkim inteligencji humanistycznej, bastionem tradycji i kultury polskiej, najpełniejszym wyrazicielem polskości (...). W związku z powyższym Państwo Ludowe musi działać aktywnie w kierunku wydatnej redukcji siły Kościoła”. Trudno o większe uznanie, złożone Kościołowi przez jednego z jego najzagorzalszych przeciwników - Jakuba Bermana.

Mocodawca Bermana, Józef Stalin dokonując w latach 1944-1945 podboju Polski i włączenia jej do swojej strefy wpływów, nie zamierzał poprzestać na zainstalowaniu całkowicie oddanej sobie władzy. Celem, po zniszczeniu zbudowanych podczas wojny struktur Polskiego Państwa Podziemnego, złamaniu oporu podziemia niepodległościowego i zlikwidowaniu legalnej opozycji politycznej była całkowita przebudowa społeczeństwa polskiego i przybliżenie go do ukształtowanego w ZSRR totalitarnego wzorca. Droga do zamierzonego celu wiodła poprzez destrukcję utrwalonych przez pokolenia więzi społecznych, antagonizowanie różnych grup: pokoleniowych, narodowych, środowiskowych, religijnych, przez zniszczenie dawnych elit i ich etosu. Bez wątplenia Kościół katolicki, od początku był traktowany (obok PSL) jako główny przeciwnik w walce o nowy ustroj i „nowe społeczeństwo”. Stąd - postulat redukcji siły Kościoła (postrzeganego jako najgroźniejsza opozycja), tak wyraźnie sformułowany przez Bermana w roku 1947, będzie aktualny dla wszystkich ekip komunistycznych w Polsce.

To właśnie Jakub Berman, w roku 1947 sformułował tezy służące opracowaniu systemowej metody walki z Kościołem. Wspomina o niej Robert Spatek, którego artykuł - „Jakub Berman - współtwórca podstaw państwa komunistycznego w Polsce (XII 1943-XII 1948)” często przywołuję w tym cyklu. Píše on:

„[Berman] Przedstawił własną koncepcję osłabienia i swego rodzaju rozmycia katolicyzmu w Polsce. Zaproponował w tym celu zastosowanie strategii: „Kościół wszędzie - Kościół nigdzie”. Wedle jego pomysłu należało nieustannie podkreślać obecność Kościoła w oficjalnym życiu politycznym, dzięki czemu można było się spodziewać osłabienia jego jednoznacznie antykomunistycznego wizerunku, a dla przeciwwagi organizować liczne święta i uroczystości o świeckim charakterze np.: „święto gór, lasu, morza, matki, dziecka, tysięcznej obrabiarki, setnej kamienicy itp.” Mając na uwadze całą perfidię powyższej koncepcji nie można odmówić Bermanowi swojskie rozumianej inteligencji politycznej i poczucia pragmatyzmu”.

Według koncepcji Bermana - z jednej strony należało stosować środki represyjne i rozbić jedność Kościoła - z drugiej zaś, tworzyć „alternatywę” dla katolików chcących włączyć się w proces budowania nowej rzeczywistości. „Demaskujemy politykę Watykanu bez obrażania w najmniejszym stopniu uczuć religijnych,- mówił Berman - przeciwnie toczymy walkę o dusze katolików patriotów, którzy chcą takiej Polski jakiej my chcemy, lepszej, szczęśliwszej, i którzy są zdolni do wyemancypowania się od wpływów Watykanu”.

Przez cały okres Polski Ludowej nie zapomniano o tych wskazówkach, a podstawową metodę „rozgrywania” katolicyzmu wciąż doskonalono. Jak dalece zalecenia tow. Jakuba były żywe w tradycji partii komunistycznej, niech świadczy fragment wystąpienia Wojciecha Jaruzelskiego z listopada 1984 r podczas posiedzenia Rady Ministrów. Tuż po zamordowaniu księdza Jerzego, generał ludowego wojska poświęcił swoje przemówienie stosunkom PZPR- Kościół. Powiedział wówczas m.in.:

[...] Nie trzeba się bać wychodzenia z naszą platformą, z naszymi oczekiwaniami i z naszymi postulatami w stosunku do kleru.[...] Informować o sytuacji gospodarczej, o patologii, o przestępczości, pokazywać, ilu w tym jest wierzących, praktykujących aktywistów Kościoła, o programach demograficznych i potrzebach stąd wynikających. Co może Kościół tutaj pomóc, a nawet może publikować. Wojewoda czy ktoś inny zwrócił się do biskupa z prośbą, żeby to [pomóc] w takich i to w takich sprawach. Oni będą w bardzo nieprostej sytuacji. Bo [jak] odrzucić publicznie tego typu ofertę, tego typu chęć współdziałania. Ale my to jeśli robimy, to robimy po cichu, albo robimy to w charakterze ogólnych deklaracji z tej trybuny czy jakiejś sejmowej, to sływa jak woda. Ale jak pokażemy palcem pewną sprawę, to jest zupełnie inaczej.

Przy tej okazji, towarzysze, myślę, że trzeba w tych kontaktach i pokazywać rolę organów bezpieczeństwa. I powiedzieć, że tolerowanie przez Kościół, a tym bardziej jeszcze jakieś podniecanie przez niektórych duchownych atmosfery przeciwko przedstawicielom tych organów, jest bardzo niebezpieczną zabawą. Poza wszystkim innym ona może się zemścić i na interesach Kościoła, bo po prostu te organy przestaną strzec i wielkich dóbr zgromadzonych w obiektach sakralnych, i na plebaniach. [...] Sądzę, że trzeba premiować, popularyzować księży pozytywnych, duchownych pozytywnych. [...] Towarzysze, nam znacznie wygodniej jest pracować potem jakiegoś takiego księdza Jancarza, czy kogoś innego, pokazując obok, a właśnie to jest wzór postawy obywatelskiej. Przecież to jest dla nas bardzo wygodna płaszczyzna, że my nie walcymy z Kościołem, nie walcymy z duchowieństwem. Na odwrót - szanujemy, pokazujemy tych, którzy są patriotami, ale tym ostrzej możemy wtedy bić w tamtych. Trzeba zadbać o to, żeby te bliskie środowiska katolików świeckich, PAX, ChSS, Caritas i nie tylko świeckich, bo Caritas to przecież duchowni. Żeby oni nie poszli w rozsypkę, żeby tam się nie zaczęły jakieś wahania. Musimy ich tutaj podtrzymywać. Jeszcze bardziej może dobitnie dokumentować, że są naszymi bliskimi sojusznikami, że mają wszystkie możliwości uczestniczenia w życiu publicznym”.

W części trzeciej niniejszego cyklu „SUKCESORZY” przypomniałem, że w początkowym okresie instalowania komunizmu podejmowane były próby oszukania Polaków, poprzez odwoływanie się do tradycji II Rzeczypospolitej, używania jej symboli i praw, podkreślania ciągłości obyczajów i kultury. Jednym z elementów tego oszustwa był udział komunistów w uroczystościach religijnych. Miał świadczyć o patriotyzmie i polskości oraz stanowić dowód, jakoby możliwe było pogodzenie wiary katolickiej ze światopoglądem materialistycznym. Analogię z tą „dialektyczną” taktyką komunistycznych agentów, można z łatwością dostrzec w późniejszych o 30 lat grach, jakie „komandosi” prowadzili w celu zbliżenia się do środowisk kościelnych.

W latach 40 -tych, szybko wszakże zaniechano takich zabiegów, gdy Polacy okazali się odporni na prymitywne środki propagandy. Nigdy natomiast nie zaniechano „rozgrywania” kwestii religijnych, manipulowania środowiskami katolickimi, wzniecania konfliktów oraz tworzenia w tym zakresie fałszywych antynomii. Podobnie jak w odniesieniu do społeczeństwa polskiego, tak wobec Kościoła, istotną cechą stosunku komunistów była przedmiotowości - czyli traktowanie zastanej rzeczywistości jako „poła operacyjnego”, na którym należy przeprowadzić planowany zabieg. Stosunek ten nigdy nie uwzględniał prawdziwych potrzeb, czy aspiracji podbitego narodu, nie zawierał troski o jego dobro. Pojęcia związane z wiarą, tradycją i kulturą narodową - były z gruntu obce i wrogie ideologii marksistowskiej, zatem wszystko, co z nimi kojarzono traktowano jako przedmiot walki ideologicznej.

Otwarcie wrogi stosunek komunistów wobec Kościoła, musiał z czasem ustąpić pragmatycznej koncepcji koegzystencji, choć błędem byłoby dopatrywanie się w niej elementów partnerstwa. Komuniści nigdy nie zaakceptowali tej „wielkiej siły hamującej”, starając się wszędzie tam, gdzie to tylko było możliwe zwalczać lub neutralizować wpływy Kościoła, a jego oddziaływanie na społeczeństwo traktować instrumentalnie.

Zacytuję ponownie fragment wystąpienia Jaruzelskiego z roku 1984, ponieważ użyte przez niego sformułowania niezwykle trafnie oddają istotę tego stosunku:

„Ja powiedziałbym: u nas część towarzyszy traktuje Kościół, religię jako nazwijmy to znów obrazowo, dziedziczną chorobę, która nas toczy od tysiąca lat, i uważał, że można jakimś wstrząsem tę chorobę wyleczyć. Z kolei Kościół uważa, że partia, socjalizm to jest nowotwór, który się pojawił w tym narodzie. Z tym że jedni z nich uważają, że jest to nowotwór złośliwy, który trzeba jak najszybciej usuwać i robić wszystko, żeby on z życia narodowego został usunięty. A drudzy traktują to jako nowotwór niezłośliwy, no który trzeba od czasu do czasu nakłuwać, no ale z którym trzeba żyć i go tolerować.

I ja myślę, towarzysze, [że] my się musimy przyzwyczaić do [tej] dziedzicznej choroby. To nie znaczy, że z nią się godzić, a to znaczy, że nie dopuszczać do tego, aby ona się rozpowszechniała, rozszerzała. A na odwrót, robić wszystko, żeby wszędzie tam, gdzie można, ona się cofała. Ale jest to sprawa przeciwieństw pokoleń”.

Środowisko „komandosów” bardzo skrupulatnie przejęło od swoich antenatów metody postępowania wobec Kościoła i potrafiło w praktyce zastosować pragmatyczne zalecenia Jakuba Bermana. Cały zasób pojęć i poglądów, głoszonych w latach 50-tych i 60-tych przez Michnika i Kuronia był efektem ich autentycznej fascynacji komunizmem - w jednej z najgorszych, trockistowskich mutacji. Byłoby absurdem uważać, że ten fakt nie zaciążył na dalszej drodze życiowej „komandosów” lub nie miał znaczenia dla systemu wyznawanych przezeń zasad.

To przecież Jakub Berman twierdził, że wystarczy wychować w duchu ideologii marksistowskiej jedno pokolenie Polaków, aby dokonać zmiany poczucia narodowej tożsamości całego polskiego narodu. Z tej przyczyny, lata pięćdziesiąte cechowała w Polsce m. in. szczególnie intensywna indoktrynacja ideologiczno - polityczna skierowana głównie na młodzież. Z punktu widzenia interesów Kremla, było rzeczą pożądaną sprawić, by na czele „awangardy” tego pokolenia stanęli ludzie ideowo bliscy, których nawet „schizma trockistowska” nie pozbawił poczucia łączności ze światowym ruchem komunistycznym. Po wyczyszczeniu Polski z funkcjonariuszy KPP i odstawieniu ubeckich zbrodniarzy na zasłużone emerytury, przyszedł czas na „nowe rozdzianie” i hodowlę „narybku” - tyleż pewnego, że mającego doskonałe, sprawdzone pochodzenie.

Ci ludzie musieli bardzo mocno zapamiętać nakaz Lwa Trockiego i w tych właśnie słowach marksistowskiego „guru” wolno upatrywać podstawową „normę moralną”, przyjętą przez „komandosów” jako zasada działania. Pisał Trocki:

„Zadaniem awangardy jest ponad wszystko nie dać się porwać wstecznej fali - trzeba płynąć pod prąd. Jeśli niekorzystna relacja sił uniemożliwia awangardzie utrzymanie zdobytych wcześniej pozycji politycznych, trzeba utrzymać się przynajmniej na pozycjach ideologicznych, ponieważ jest w nich wyrażone drogo okupione doświadczenie przeszłości. Głupcom taka polityka wydaje się "sekiarstwem". W rzeczywistości tylko ona przygotowuje nowy gigantyczny skok naprzód wraz z falą nadchodzącego historycznego przypływu”.

Jak już zwracałem uwagę wcześniej, wejście „w politykę” Michnika czy Kuronia przypadło na ten okres naszej najnowszej historii, gdy komuniści odstępowali od stosowania represji na skalę masową i sięgali po administracyjne i policyjne środki nadzoru nad społeczeństwem. Fizyczna likwidacja polskich elit intelektualnych oraz wymierne sukcesy w budowie „socjalistycznego państwa” pozwalały na przejście do kolejnego etapu, w którym kulę karabinu zastąpiono propagandą i działaniami operacyjnymi, a oddziały wojsk KBW, liczną rzeszą „użytecznych idiotów”. Stąd środki, jakim przyszło operować młodym wyznawcom wiary marksistowskiej, były oczywiście różne od tych, jakich używano w latach 40 -tych i 50-tych.

„Popieraliśmy politykę represji, często okrutnych, widząc w niej drogą do „ nowego wspaniałego świata ”, oskarżaliśmy Kościół o reakcyjność i wszystkie inne grzechy główne, nie bacząc na to, że w atmosferze totalitarnego zniewolenia Kościół bronił prawdy, godności i wolności człowieka [...]. Tradycyjnie przywykliśmy sądzić, że religijność i Kościół to synonimy wsteczności i tępego Ciemnogrodu. Z tej perspektywy wzrost indyferentyzmu religijnego traktowany był przez nas jako naturalny sojusznik występku i moralnego postępu. Pogląd taki, którego sam byłem jego wyznawcą uważam za fałszywy” - pisał Michnik w książce „Kościół, lewica, dialog”.

Kłamał. Wszystkie poglądy na temat Kościoła, wyznawane w tamtych czasach Michnik zachowuje nadal, a sama książka stanowi najpoważniejszy dowód hipokryzji i manipulacji.

Nie ma chyba potrzeby udowadniać, że obydwóm ,czołowym „komandosom” obca była tradycja katolicka, a ich fascynacja trockizmem musiała jeszcze pogłębić niechęć wobec religii. Jedyne, dostępne dla ich ideologii podział, sytuował Kościół jako źródło polskiego nacjonalizmu i antysemityzmu - czyli po prawej, gorszej stronie dwuwymiarowego świata. Dość przeczytać książkę Kuronia - „Siedmiolatka czyli kto ukradł Polskę” (pisaną już w IIIRP) i zawarte w niej opisy postaw „polskich katolików” - gorszych częstokroć od esebeckich oprawców. Po zrozumieć jaki był stosunek tego człowieka do Kościoła.

Podczas spotkania w Klubie Dyskusyjnym ZMS na Uniwersytecie Warszawskim, 22 maja 1963 roku Jacek Kuroń, przy aplauzie zebranych, perorował : *„Rząd twierdzi, że sam jest lewicą, a ci, co są przeciw niemu, prawicą. Trzeba to pojęcie sprecyzować. Zarówno [Bolesław] Piasecki, jak nasz obecny rząd, jak i jego agentury stawiają naród ponad wszystko. Kościół równie tę sprawę stawia podobnie jak rząd. Piasecki zawsze reprezentował pogląd, że naród powinien być karny, posłuszny bezwzględnie rządowi. Rządowcy uważają, że oni tylko reprezentują socjalizm, kto przeciw nim, ten przeciw socjalizmowi [...] W Październiku episkopat poparł Gomułkę, wspólny im, zarówno rządowi, KC, jak i Kościołowi jest nacjonalizm. Polemika toczy się legalnie o to, która prawica będzie uciskać naród”.*

Chociaż od czasu tej wypowiedzi upłynęło 46 lat, to zasadniczy podział, jaki zarysował wówczas Kuroń pozostał dla „komandosów” rzeczywistością aktualną do chwili obecnej. Według tej koncepcji, Kościół był strukturą - organizacją prawicową, generującą najgorsze wady polskiego społeczeństwa - czy jak nazwał to Berman - *filozoficzne treści nadbudowy*

ideologicznej reakcji, i stanowił realną siłę polityczną, którą - wobec niemożności całkowitego podporządkowania - należało wykorzystać dla własnych celów i traktować instrumentalnie.

Jakże dobitnym dowodem ciągłości tej koncepcji, są słowa Adama Michnika sprzed 3 lat:

„Przez wiele lat wierzyliśmy w wielką protekcję Kościoła katolickiego dla wolności. Nigdy nie zapomnimy mądrego heroizmu Prymasa Tysiąclecia, księdza Kardynała Stefana Wyszyńskiego, który potrafił łączyć chrześcijańskie świadectwo ze zmysłem kompromisu ku wspólnemu dobru. [...] Wybór Karola Wojtyły na tron papieski utwierdził nas w przekonaniu, że Kościół katolicki, który zawsze był znakiem sprzeciwu, nigdy już nie będzie znakiem przymusu. Męczeńska śmierć księdza Jerzego Popiełuszki utwierdziła nas w poczuciu, że Kościół reprezentuje wszystko to, co w polskiej duchowości jest najlepsze. To był błąd. Okazało się, po 1989 r., że Kościół katolicki reprezentuje zarówno to, co najlepsze w Polsce, jak i to, co najgorsze. Objawiły się duchy integryzmu, triumfalizmu, nietolerancji i ksenofobii. Znacząca część Kościoła przemówiła językiem pogardy i nienawiści do inaczej myślących. Z kościelnej ambony usłyszeliśmy wezwanie, by głosować na partie skrajne, głoszące destrukcję. Trwało to krótko, ale zasiało strach przed tym, do czego zdolne jest duchowieństwo.” - (Gazeta Wyborcza „Polska na zakręcie. Gazeta na zakręcie” - 28.09.2006).

Kolejne zdania z tego artykułu, stanowią potwierdzenie dla tezy, że instrumentalny stosunek do Kościoła jest widocznym objawem ideologicznej sukcesji, jaką środowisko Michnika odziedziczyło po komunistycznych przodkach. Oto, zganiwszy Kościół za „polskie defekty”, Michnik konkluduje:

„Dzisiaj, dzięki Bogu, Kościół przemawia innym głosem. Dzisiaj Kościół mówi o pluralizmie, dialogu i tolerancji. Otwarcie deklaruje, że Unia Europejska nie jest dla Polski nieszczęściem, ale szansą. To bardzo dobrze. Proszę jednak się nie dziwić, że pamiętamy, iż nie zawsze tak właśnie brzmiał głos polskich biskupów”.

My również powinniśmy pamiętać, w jaki sposób komuniści próbowali zawłaszczyć polski Kościół, dokonując rozlicznych manipulacji, tworząc fałszywe podziały i antynomie.

W sierpniu 1949 r podczas wizyty w Moskwie Bolesław Bierut otrzymał od Stalina bardzo znamiennej dyrektywę. Brzmiała ona: *„Przy klerze: nie zrobicie nic, dopóki nie dokonacie rozłamu na dwie odrębne przeciwstawne sobie grupy. [...] Propaganda masowa to rzecz konieczna, ale samą propagandą nie robi się tego, co potrzeba [...], nie nastawiacie się na rozłam [...], bez rozłamu wśród kleru nic nie wyjdzie, prawa karne potrzebne, ale one nie rozstrzygają”.* (J. Poksiński, - „Przeciw Kościołowi”, Karta Nr 9, s. 139) Dyrektywa ta stała się odtąd zasadą działania władz PRL w stosunku do Kościoła.

Już dwa lata wcześniej, w roku 1947 pod przywództwem Bolesława Piaseckiego (współpracownika NKWD) - jednego z dawnych liderów skrajnej prawicy - i wokół tygodnika „Dziś i Jutro” skupiła się pewna część działaczy katolickich i narodowo-katolickich. Środowisko to posłużyło Jakubowi Bermanowi do stworzenia grupy „postępowych katolików”, którą następnie przy współudziale funkcjonariusza NKWD Iwana Sierowa przekształcono w organizację PAX. Z tej właśnie „tradycji” wywodzi się znana postać „postępowego katolika” - najbliższa oczekiwaniom „komandosów” - Tadeusz Mazowiecki. Podobnie jak tworzenie fałszywego ruchu dysydenckiego, tak również powoływanie „katolików specjalnej troski” leżało w gestii i w interesie partii komunistycznej. Pod koniec roku 1949 stworzono organizację pod nazwą Związek Bojowników o Wolność i Demokrację (ZBoWiD), a w niej sekcję dla księży, która przerodziła się w silny później ruch tzw. księży postępowych lub księży patriotów. Nie trzeba dodawać, że ruch księży „postępowych” współpracował ze Stowarzyszeniem PAX, a celem obu organizacji było rozbięcie jedności Kościoła, polskich katolików i hierarchii kościelnej.

Nie miejsce tu, by przeprowadzać historyczny przegląd wszystkich inicjatyw, jakimi posługiwali się komuniści w walce z Kościołem. Ich zasadniczą cechą stanowiło instrumentalne, oparte na grze interesów traktowanie katolicyzmu w kategoriach użytecznej, bądź wrogiej ideologii. Tę pierwszą uosabiali takie postaci, jak wspomniany Tadeusz Mazowiecki, środowisko „Tygodnika Powszechnego” i „Więzi”, a współcześnie - abp. Życiński, Andrzej Wielowiejski, czy ex jezuita Obirek. Po drugiej - ciemnej stronie polskiego katolicyzmu umieszczano bp. Kaczmarka, kard. Wyszyńskiego i Wojtyłę, a obecnie - ksiądz Isakowicz Zaleskiego, abp. Michalika, czasem prymasa Glempa.

Dzielenie Kościoła, według wzorca własnych interesów i ideologicznych rojeń, zawsze było domeną komunistycznej strategii i wynikało z konsekwentnej realizacji dyrektyw Stalina. „Polityka” komandosów w tym zakresie, stanowiła wierną kopię taktyki stosowanej przez partię komunistyczną. Gdy nauka Kościoła, lub głosy poszczególnych hierarchów odpowiadały poglądom „komandosów” były nagłaśniane i chwalone, gdy stanowiły przeszkodę w realizacji własnych interesów - zwalczano je i krytykowano.

Ksiądz. Stanisław Małkowski w audycji „Świadkowie Historii Prawdziwej: „Ksiądz Stanisław Małkowski i Antoni Zambrowski o działalności i życiu prawdziwym towarzysza Jacenta Kuronia, członka KSS KOR” wspominał: *„Kuroń chciał mieć pierwsze miejsce w Kościele. Z chwilą gdy zaczął przemawiać w kościołach, chciał stanąć PONAD nauką Kościoła, wybierać z nauk ewangelicznych to, co uważał sam za słuszne, odrzucając to, co uważał za niesłuszne. Kiedy podczas spotkań z młodzieżą, na które został przeze mnie zaproszony na jego sugestię, powiedziałem coś, co jemu się wydało niesłuszne, od razu mnie gasił”.* Gdy Michnik i Kuroń zwrócili się w latach 70-tych do prymasa Wyszyńskiego z propozycją współpracy, spotkali się ze zdecydowaną odmową. Kardynał napisał później w swoich „Zapiskach” - *„Kościół zawsze broni interesów narodu i nie da się wykorzystać do koniunkturalnych celów ugrupowań politycznych”.* Peter Raina w książce „Kardynał Wyszyński i Solidarność” twierdził, - *„Wyszyński uważał, że KOR działa na zlecenie zewnętrzne, że jego cele są sprzeczne z polskim interesem narodowym i dlatego trzeba odciąć KOR od Solidarności”.*

To niepowodzenie Michnik skomentował w swojej książce „Między Panem a Plebanem” - *Nikt z nas nie potrafił wówczas zrozumieć, co się Prymasowi stało...”,* lecz od tej chwili Prymasa zaczęto nazywać „konserwatystą” „anachronicznym”, „nacionalistą” i „wsteczniakiem”. Później (w tej samej książce) Michnik dołoży jeszcze jeden zarzut — że Wyszyński nigdy nie potępił „polskiego antysemityzmu”.

W podobny, instrumentalny sposób, Michnik nie waha się traktować osoby Jana Pawła II: czy to posługując się nauczaniem papieskim w obronie Jaruzelskiego - *„W przesłaniu Jana Pawła II był szacunek dla drugiego człowieka. Arcybiskup Kowalczyk, nuncjusz papieski, wspomina o szacunku, jaki okazywał Jan Paweł II generałowi Jaruzelskiemu. To warte przypomnienia dziś, kiedy widzimy ten nieprzytomny jazgot i tak mało odważnych ludzi, którzy by się upominali o prawdę w tej materii”* („Świat po Papieżu” Gaz.Wyb 06.12.2008), czy też atakując IPN i lustrację, gdy cytuje słowa Papieża i konkluduje - *„Tyle Jan Paweł II. Nie był on z pewnością obrońcą pedofilów; krytyk lustracji także nie jest chwalcą i obrońcą agentury. Tu idzie po prostu o minimum przyzwoitości i zdrowego rozsądku. I jeszcze o to, by podczas badania zawitych mroków pedofilii czy agentury policyjnej, nie posługiwać się siekierą do niszczenia godności ludzkiej i dobrego imienia bliźnich”* („Papież Jan Paweł II i narkotyk lustracji” GazWyb 28.09.2006).

„Metamorfoza”, jaka pod koniec lat 70 -tych dotknęła środowisko „komandosów”, nagle poszukujących dróg do Kościoła miała swoje podłoże w słusznym skądinąd przekonaniu, że bez wsparcia tej siły zamierzenia „opozycji demokratycznej” okazały się niewykonalne. Nadto, Michnik i Kuroń zdawali sobie sprawę, że ujawniając swój wrogi stosunek do Kościoła nie mogą liczyć na poparcie społeczne, a ich rola opozycjonistów zostanie zmarginalizowana. Postanowiono zatem zaniechać antykościelnej retoryki i zbliżyć się do środowisk katolickich. W realizacji tego celu posłużono się „postępowymi katolikami” oraz tymi środowiskami, które nie miały obiekcji przed współpracą z „lewicą laicką”.

W imię własnych interesów uznano, że przyszła pora na przedstawienie się społeczeństwu jako lewica „dialogu i porozumienia”, znająca i rozumiejąca specyfikę polskiego katolicyzmu, traktująca Kościół jako partnera i sprzymierzeńca w trosce o przyszłość narodu. Już w roku 1975, Jacek Kuroń (pod pseudonimem „Maciej Gajka”) ogłosił w miesięczniku „Znak” swój pierwszy artykuł „Chrześcijaństwo bez Boga”. Wydana w Paryżu książka Michnika „Kościół, lewica, dialog” miała w swojej ekspiacyjnej formie pomóc „komandosom” zyskać to poparcie i służyć „nawiązaniu dialogu” z Kościołem. Niestety - tak również została odebrana przez wiele środowisk i tylko niektórzy potrafili odczytać prawdziwe przesłanie Michnika.

Zdzisław Najder, w polemice z tą książką, zamieszczoną w roku 1977 w „Kulturze”, pisał: „*Michnik określa lewicę "w kategoriach podstawowych elementów jej ideologii, wymieniając Wolność, Równość, Niepodległość jako jej "tradycyjne wartości" i podkreślając, że jej cechami niezbędnymi muszą być antytotalitaryzm i obrona praw i wolności przed dominacją państwa. Wyniknąć by z tego powinno jasne stwierdzenie, że „lewica”, która popierała porowolucyjny totalitaryzm sowiecki, podporządkowała się anty-wolnościowej linii Kominternu, nie protestowała przeciwko stalinowskiemu terrorowi - nigdy na prawdę lewicą nie była. Ale Michnik bynajmniej tak nie uważa - i "zdaje się zapominać, że w roku 1945 zasadnicza linia podziału nie biegła między lewicą, jakkolwiek definiowaną, a prawicą (której nigdzie w książce nie identyfikuje), ale między tymi, co godzili się na dominację sowiecką a tymi, którzy się jej przeciwstawiali*”.

W artykule „Antykomunizm i prawica”, Najder trafnie zauważa - „W roku 1977 Adam Michnik nie twierdził, że ówczesny reżim PRLowski jest lewicowy; przeciwnie, postulował dialog między "prawdziwą", opozycyjną i demokratyczną lewicą "rewizjonistyczną" a Kościołem. Jednakże teoria "jednej lewicy" przydała się bardzo po roku 1989, kiedy tenże autor i jego środowisko stali się orędownikami - teoretycznymi i praktycznymi - porozumienia z post-komunistami. Wspólnym zagrożeniem okazał się ten sam "nacjonalizm", którym Michnik straszył w swojej książce; w obliczu tak groźnego niebezpieczeństwa lewica musiała szukać wewnętrznego porozumienia”.

Trzeba przyznać, że ten manewr taktyczny „komandosów”, godny najbardziej złożonych gier operacyjnych prowadzonych przeciwko Kościołowi, został uwieńczony sukcesem. Wielu szlachetnych ludzi, świeckich, hierarchów i księży uwierzyło wówczas w dobrą wolę „komandosów” i ich szacunek dla wartości wyznawanych przez Kościół. Z pełną cynizmem premedytacją Michnik i Kuroń wykorzystali w latach 70-tych i 80-tych tę opiekę, oraz wsparcie materialne i organizacyjne jakie im wówczas udzielano. Zdobyty dzięki tej mistyfikacji społeczny kredyt zaufania i autorytet „działaczy opozycyjnych”, zaczęto aktywnie wykorzystywać już w połowie lat osiemdziesiątych, gdy partia komunistyczna postanowiła przeprowadzić proces „transformacji ustrojowej”, powierzając „komandosom” troskę o bezpieczeństwo swoich interesów.

Ale też - bez udziału Kościoła, a szczególnie tej części jego hierarchów, którzy z wielu (często bardzo koniunkturalnych) pobudek znaleźli wspólny język z władzą komunistyczną, nie byłaby możliwa legalizacja komunizmu w Polsce. „Komandosi” prowadząc gry, obliczone na skonfliktowanie i podzielenie środowisk kościelnych, stwarzając mętł własnej opozycyjności i niepodległościowych dążeń przywłaszczali sobie rolę przewodników, a korzystając ze wsparcia Kościoła umiejętnie przejęli inicjatywę rozmów z komunistami.

W tekście **IIIRP CZY "TRZECIA FAZA - 9 - FAŁSZYWA OPOZYCJA II** zwróciłem uwagę, że niezależnie czy zdefiniujemy działania „komandosów” jako obłudne i wyrachowane, czy będziemy w nich widzieć przejaw idealistycznych, „rewizjonistycznych” mrzonek - w niczym nie zmienia to faktu, że mieliśmy do czynienia z „**opozycją wewnątrz systemu komunistycznego - nigdy zaś - opozycją przeciwko systemowi**”. Oni sami też, nigdy nie twierdzili, że walczą z komunizmem. Ich bitwy i działania dotyczyły tylko tych obszarów komunizmu, które nie przystawały do wizji dysydenckich, które były sprzeczne z ich sposobem widzenia doktryny. Nieznajomość „dualizmu środka i celu” pozwalała im z równym skupieniem traktować Kościół, jak robotników czy naród, w równym stopniu podziwiać Wojtyłę jak Kiszczaka, na równi stawiać niepodległość jak „socjalizm z ludzką twarzą”. Wykorzystując imperatyw walki o wolność i nasze marzenia o „drodze ku Niepodległej”, łatwo przyszło im przyoblec się w szaty obrońców sprawiedliwości i usankcjonować nasze złudzenia pod szyldem awangardowej „demokratycznej opozycji”.

CDN...

Źródła:

<http://www.gomulka.terramail.pl/towberman.htm>

Grzegorz Majchrzak, Jan Żaryn - Dwa nowotwory. Biuletyn IPN 10/2004 str.82-91

<http://wyborcza.pl/1,75546,2062557.html?as=2&ias=5&startsz=x>

http://www.radiopomost.com/index.php?option=com_content&task=view&id=8243&Itemid=42

http://www.kuron.pl/osobie_cz4b.html

Peter Raina -, „Kardynał Wyszyński i Solidarność”, Wyd. von borowiecky, Warszawa 2005.

http://wyborcza.pl/1,76842,6030692,Swiat_po_papiezu.html

<http://wyborcza.pl/1,75546,2867495.html>

<http://www.omp.org.pl/index.php?module=subjects&func=printpage&pageid=257&scope=all>

23.05.2009 14:40 82

287. JA - PSEUDONIM

W naszej najnowszej historii, pseudonim był zawsze czymś więcej, niż sposobem na ukrycie nazwiska. Od czasów II WŚ stanowił naturalne narzędzie, chroniące bezpieczeństwo tych, którzy podejmowali walkę z niemiecką i sowiecką okupacją. We wszystkich tajnych strukturach Polskiego Państwa Podziemnego używano pseudonimów, a wiele z nich jest dziś bardziej znanych, niż prawdziwe nazwiska bohaterów. Tę tradycję, kontynuowali żołnierze powojennej konspiracji

niepodległościowej, zmuszeni sowieckim terrorem do skrywania tożsamości i ochrony swoich rodzin. Była obecna w czasach PRL-u, a szczególnie w tych strukturach opozycji, gdzie praktykowano zasady konspiracji.

W Solidarności Walczącej obowiązywał system „piątkowy” zaczerpnięty z doświadczeń Armii Krajowej i używanie pseudonimów - na tyle skuteczne, że dopiero po roku 1990 mogłem poznać prawdziwe nazwiska ludzi z innych sekcji. Obowiązywała święta zasada, że nic nie powie tylko ten, kto nic nie wie. Jeśli z dzisiejszej perspektywy te zabezpieczenia, wydawać się mogą przesadne, w tamtych czasach - Polski Ludowej - wszystko zależało od przestrzegania ustalonych reguł. Tylko dzięki nim mogliśmy działać.

Konspiracja SW doprowadzała do wściekłości esbeków. Choć używano wobec nas wywiadów i kontrwywiadów wojskowych, niemieckiej Stasi i sowieckiego KGB, nigdy nie dotarto i nie zlikwidowano centrum kierowniczego organizacji. W tamtych czasach pseudonim był nie tylko zwykłą nazwą: był kodem, służącym konkretnym celom, miał za zadanie chronić przed obcymi, ale też informować swoich i ułatwiać z nimi komunikację.

Był jednym z tych symboli sprzeciwu wobec zniewolenia, który pojawiał się wówczas, gdy w Polsce rodziły się demony, gdy występowanie pod własnym nazwiskiem wiązało się z represjami, więzieniem, czasem śmiercią.

Ujawnienie czyjegoś pseudonimu, było zawsze aktem zdrady. Dopitywanie - kto kryje się pod pseudonimem - zapowiadało zdradę. Emigracyjny historyk Władysław Pobóg-Malinowski, opisując lata okupacji niemieckiej, odnotował w trzecim tomie „Najnowszej historii Polski”:

„Polskiej Partii Robotniczej zależało bardzo na wdarciu się w głąb polskiego autentycznego podziemia.. Celem było rozszyfrowanie jego sieci, rozbicie i „zlikwidowanie” go wszelkimi środkami, nawet rękoma niemieckiej Gestapo”. Malinowski opisuje następnie akcję, kierowaną przez Marcelego Nowotkę - twórcę specjalnej komórki dezinformacyjnej - „Węszono i tropiono, zdobywano pseudonimy, nazwiska i adresy działaczy i placówek podziemia i AK i taką drogą zbierany „materiał” przekazywano do Gestapo pocztą lub przez umieszczonych w Gestapo agentów sowieckiego wywiadu”.

Również w Polsce Ludowej, rozszyfrowywanie pseudonimów było „ulubioną” grą komunistycznej bezpieki. W tej samej drużynie, wszelkiej maści szpicle i konfidenci prześcigali się w „dopasowywaniu” ludzi opozycji do znanych im pseudonimów. Zwykle - z marnym skutkiem, bo jak powiązać „Marysię” z brodatym drągałem, lub filigranowej blondynce przypisać srogiego „Bohuna”?

Ale przecież pseudonimy to także ogromny obszar historii literatury. Chroniły piszących przed gniewem władzy, zapewniały twórczy spokój, osłaniały przed uwagą tłumów. Bez nich, nie znalibyśmy dzieł Anatola France, Marka Twaina czy Stendhala, pod pseudonimem tworzyli Słowacki, Balzak i Żeromski. Iluż pisarzy i publicystów sięgało po to narzędzie w czasach perelowskiego zniewolenia? Nie gardzili pseudonimem Michnik, ani Kuroń, pod ukryciem publikował Macierewicz - był powszechnie używany i akceptowany w całej, konspiracyjnej prasie.

Wspominam o tym wszystkim dzisiaj, by przypomnieć, że pseudonim jest w naszej kulturze czymś więcej, niż prostą metodą na ukrycie tożsamości. Zawsze był bronią przeciwko kłamstwu i sprawdzał się wówczas, gdy cena prawdy była zbyt wysoka, by rozrzutnie ją płacić.

Jak każde narzędzie, tak również pseudonim mógł - w zależności od intencji posiadacza - być dobrze lub źle wykorzystany. Na przeciwnym biegunie tradycji o której piszę, znajduje się cała rzesza wszelkiego rodzaju kreatur, zdrajców, agentów i tajnych współpracowników, którzy z uwagi na zasady pracy operacyjnej przyjmowali pseudonimy i pod ich osłoną prowadzili działalność. Tacy będą zawsze. W tym wypadku - pseudonim był atrybutem tchórzostwa i znakiem najniższych, podłych intencji.

Podobnie, - użycie pseudonimu w Internecie i schronienie się za anonimowością może służyć rzeczom dobrym i godziwym, lub dawać okazję do szerzenia kłamstw, oszczerstw i awanturnictwa.

Jednak nikt rozsądny nie będzie żądał zakazu używania pseudonimów - tylko dlatego, że są ludzie, dla których to narzędzie stanowi wygodne alibi tchórzostwa. Nikt też nie zabroni anonimowości - która jest prawem każdego obywatela - z tego powodu, że niektórzy czynią zły użytek z należnego im prawa. W każdej sytuacji - ukrywanie nazwiska pod pseudonimem, musi być oceniane poprzez rzeczywiste zachowanie i intencje anonima, nigdy zaś poprzez sam fakt używania pseudonimu.

Są jednak tacy, dla których anonimowy autor stanowi zagrożenie, a w najlepszym wypadku, kojarzy się z brakiem wiarygodności i rzetelności. Koronnym argumentem tych ludzi, świadczącym o rzekomo mniejszej wartości anonimowego przekazu, jest zarzut jakoby pisanie pod pseudonimem zapewniało poczucie bezkarności i było wykorzystywane w szerzeniu kłamstw. Trudno o większą bzdurę.

Jeśli pisząc pod pseudonimem złamię prawo: dokonam pomówienia, oszczerstwa, podżegania do przestępstwa lub inaczej pogwałcę czyjeś dobra osobiste - odpowiem dokładnie w ten sam sposób, jak ktoś, kto występuje pod własnym nazwiskiem i poniosę identyczne konsekwencje swoich czynów.

Każdy przecież, kogo prawa rzeczywiste naruszyć ma możliwość zawiadomienia o tym fakcie organów ścigania, - po to, by moja potencjalna bezkarność okazała się iluzoryczna, a sprawiedliwości stało się zadość. Wiemy, że ta sama zasada - wzmocniona dodatkowymi przepisami, dotyczy naruszenia praw osób publicznych, w tym polityków. O ile bowiem polskie prawo zdaje się nie interesować ochroną najłagodniejszych obywateli - o tyle, tym najsilniejszym przyznaje dodatkowy aparat jurystyczny. Następujące, po stwierdzeniu faktu złamania prawa ustalenie danych anonima, jest rzeczą już na tyle oczywistą, że nie warto o niej wspominać.

Mając to na uwadze - czy wolno mówić, jakoby używanie pseudonimu było samo w sobie rzeczą negatywną lub nawet implikowało poczucie bezkarności? Nie można też pomniejszać znaczenia (prawnego lub moralnego) czyjeś wypowiedzi - tylko z tego powodu, że jej autor korzysta z należnego mu prawa.

Kolejną sytuacją związaną z używaniem pseudonimu jest ta, w której osoba posługująca się własnym nazwiskiem czyni anonimowi zarzut, że jego wypowiedzi i poglądy nie zasługują na miano racjonalnych lub wiarygodnych - tylko z tego powodu, że nie zostały opatrzone nazwiskiem autora. To najczęściej spotykane pomówienie w dyskusjach internetowych, którym bardzo łatwo można doprowadzić do zdezawuowania treści, pochodzących od osób anonimowych.

W tym wypadku, trzeba takim mędrkom zadać zasadnicze pytanie: czy przekaz nabiera znaczenia merytorycznego ze względu na to KTO mówi, czy też - CO mówi? Bo jeśli wartość przekazu, jest zależna od osoby autora, posługującego się nazwiskiem, to przecież treść tego przekazu nie ma znaczenia i stanowi element wtórny. Jeśli natomiast waga przekazu opiera się na jego treści - osoba autora ma znaczenie, o tyle, o ile przekaz jest wartościowy. Chcąc pozostać w zgodzie z logiką, trzeba by powiedzieć zwolennikom pierwszej opcji że, dopuszczając się semantycznego absurdu, bowiem stosunek treści do podmiotu, który je wyraża staje się marginalny, to zaś uniemożliwia sensowną komunikację i wymianę myśli.

Mówiąc inaczej - każdy, podpisany swoim nazwiskiem, a w szczególności ten, kto rości sobie miano autorytetu - może pisać i mówić dowolne głupstwo lub szerzyć kłamstwo. Wartością „samą w sobie” jest jego osoba, nie treść przekazu. Kto w ten, najbardziej prostacki sposób „podmienia” sens - na autorytet - przyznaje tym samym, że nie interesuje go prawdziwość sądów, stan faktyczny, spójność czy logika, a jedynym wyróżnikiem wartości przekazu staje się dla niego „wiara w autorytet”. Nieznośna tępota takich postaw jest o tyle rażąca, jeśli praktykują je osoby, które z racji wykształcenia czy pozycji zawodowej powinny posiadać dostateczną zdolność samodzielnej oceny - nie opartej na „autorytecie nazwiska”. Wydawało mi się, że tych elementarnych rzeczy nie należy powtarzać, ponieważ nigdy realnie nie zostaną podważone. Myliłem się. W państwie, w którym przyszło nam żyć, niemal wszystkie podstawowe prawa bywają zagrożone, dlatego więc to akurat miałyby się ostać?

To, co wydarzyło się w ostatnich dniach wokół kataryny jest dla mnie bezspornym dowodem, że używanie pseudonimu i anonimowość w Internecie staje się koniecznością. Taką samą i na tej samej zasadzie zbudowaną, jak w latach Polski Ludowej.

Gdyby nie istniały żadne inne dowody, że III RP dryfuje w stronę PRL-u, a na dwuletnie rządy obecnego układu spuścilibyśmy zastaną amnezję - ten jeden wypadek wystarczy, by uznać, że anonimowość znowu musi stać się zbroją niepokornych. Funkcjonariusze gazety „Dziennik”, stosując wobec blogerki szantaż i ujawniając jej dane mieli świadomość, że żyjemy w kraju, w którym publikowanie tekstów krytycznych wobec władzy (jakkolwiek rozumianej) stwarza dla autora zagrożenie i może być związane z poważnymi kłopotami. Dali tym samym dowód, że mają doskonałe rozeznanie w polskiej rzeczywistości i wiedzą, że groźba ujawnienia danych anonimowego blogera to mocny argument nacisku. Gdyby III RP była państwem prawa, a krytyka poczynań władzy stanowiła naturalne prawo obywatela - groźby „Dziennika”, mogłyby co najwyżej wywołać szydercze komentarze i śmiech. Ponieważ jest inaczej i wszystkie strony tej sytuacji zdają sobie sprawę z czym wiąże się „rozszyfrowanie” pseudonimu - akcja funkcjonariuszy medialnych może okazać się skutecznym sposobem na zastraszenie blogosfery, a nasza reakcja na ten czyn jest usprawiedliwiona. Nie będę wskazywał oczywistych analogii - między esbecką „zabawą intelektualną” w odgadywanie pseudonimów, a metodą działania funkcyjnych „Dziennika”. Dość zauważyć, że możliwości (głównie techniczne) obecnych sukcesorów tej „zabawy” są znacznie większe, niż ich antenatów. **Niezmienna pozostaje zasada: ujawnienie nazwiska, kryjącego się za pseudonimem stanowi potencjalne zagrożenie dla tej osoby, ze względu na stosunek państwa do przejawów krytyki i wolnej myśli. Tylko dlatego, „rozszyfrowanie” pseudonimu może stanowić skuteczny środek nacisku.**

Użycie do akcji przeciwko blogosferze gazety, która „wstawiła” się rozpętańiem rzekomej „afery aneksowej” i wielomiesięczną kampanią podżegania przeciwko legalnemu organowi państwa oraz zastraszania jego członków - nie jest oczywiście przypadkowe. Ludzie tej gazety mają doskonałe kontakty w środowisku służb specjalnych, a cały szereg publikacji jest dowodem na inspirujący charakter tych znajomości. Choć pisałem to wiele razy, warto powtórzyć raz jeszcze - nie wolno publikacji tej gazety (jak i kilku innych) traktować w kategoriach pracy dziennikarskiej, skoro są elementem kombinacji i gier operacyjnych, a „dziennikarze” spełniają rolę przekazańników. Tak traktowano media w PRL, tak jest obecnie.

Dlatego, mam prawo nie ufać temu państwu. Moje prawo do nieufności wynika z 20 lat obserwacji życia publicznego i z setek przesłanek, jakich dostarczyła mi ta obserwacja. Począwszy od śmierci Michała Falzmana, „nocnej zmiany”, rządów „lewicowej” mafii, zabójstw świadków w sprawie księdza Jerzego, panoszenia się łajdaków i szpicli, prześladowania Sumlińskiego, wszechwładzy służb....

Mam prawo nie ufać temu państwu, bo są w nim obecni ci sami ludzie, którzy oszukali nas w roku 1989. Co gorsze - są w tym państwie nadal obecni ludzie, którzy oszukiwali nas w Polsce Ludowej, prześladowali i zamykali do więzień. Ich obecność, ich twarze na ekranie telewizora to szyderstwo ze wszystkiego, co przeżyliśmy w PRL-u. Żaden Michnik czy Mazowiecki nie miał prawa zalegalizować tej bandy na pełnoprawnych obywateli wolnej Rzeczypospolitej.

Mam prawo nie ufać temu państwu, ponieważ nie jest państwem prawa i wykorzystuje swoje struktury do tłumienia wolnej myśli, do zastraszania niepokornych i ochrony establishmentu.

Mam prawo mu nie ufać, bo przez 20 lat nie zbudowano w nim wolnych mediów, a dziennikarzom przeznaczono tę samą rolę, jaką spełniali w ustroju totalitarnym. Nieliczne przejawy dziennikarstwa niezależnego są wyjątkami. Polscy dziennikarze stracili szansę na rolę sprzymierzeńca społeczeństwa.

III RP wyłaniała się przeciw w opozycji do zniewolenia, przemocy i wulgarne kłamstwa, stanowiących realność czasów komunizmu. Media, które w PRL-u spełniały wyłącznie rolę służebną wobec partii, pozbawione podmiotowości i wpływu na własny język, mogły pozbyć się piętna niewolnictwa i odrzucić dialektykę „panowania i służebności”. Nie chciały.

Dawną indoktrynację zastąpiono ordynarną manipulacją, a miejsce cenzury zajęła poprawność polityczna i jej znacznie ohydniejsza siostra - autocenzura, nakazująca dziennikarzom „wiedzieć”, co i kiedy mają komunikować społeczeństwu. Lęk, jaki musi towarzyszyć funkcjonariuszom medialnym, którzy z manipulacji uczynili swoją rację istnienia i przydatności, nie opuści ich już nigdy. Oni wiedzą jak wygląda prawda o rządzących i o tym państwie, oni wiedzą, że „król jest nagi”, a sondaże mają jedynie wartość miernika ich dobrze wykonanej, propagandowej misji. Ponieważ pozwolili narzucić sobie tę rolę - w takim samym stopniu odpowiadają za wszystkie patologie III RP i muszą zniknąć, razem ze swoimi „panami”, gdy nadejdzie koniec tego państwa.

Dla nich, istnienie blogosfery, niezależnej od wpływów władzy jest zagrożeniem śmiertelnym, a coraz mocniej słyszalny głos ludzi publikujących w Internecie, wytrąca im narzędzia propagandowych wpływów. Boją się tego głosu, na równi z tymi, którzy „namaścili” ich na funkcję „niezależnych publicystów”. Ten strach, tworzy prostą linię łączącą ich z rzeszą komunistycznych satrapów - tych wszystkich, przez których musieliśmy używać pseudonimu, by móc pisać prawdę i walczyć z zakłamaniami PRL-u.

Ponieważ nie ufam temu państwu i mam świadomość, że obawia się ono wolnej od nadzoru wymiany myśli, przez wolnych od nacisków anonimowych publicystów - będę używał pseudonimu jako narzędzia i zachęcał wszystkich, by pod żadnym pozorem nie rezygnowali ze swojego prawa do anonimowości i recenzowania poczynań władzy.

24.05.2009 22:36 34

288. O ZABOBONIE - tekst ukryty w "piwnicy" przez adm24

Ten krótki tekst polecam uwadze wszystkich, którzy łatwo zapominają o rzeczach podstawowych i wykazują zadziwiającą skłonność do zabobonów. Szczególnie dziś, gdy emocje zdają się panować nad zdrowym rozsądkiem, a rzeczom przydaje się fałszywą, niewspółmierną do prawdy miarę:

„Dziennikarstwo jest zawodem ludzi wyspecjalizowanych w tak zwanych środkach masowego przekazu, a więc w gazetkach, periodykach, telewizji, radiu itp. jak sama nazwa wskazuje, zadaniem środków masowego przekazu jest przekazywanie masom informacji. Stąd dziennikarz jest sprawozdawcą i niczym innym. Jest specjalistą w zbieraniu, przedstawianiu i podawaniu innym informacji. Jak długo pozostaje w tej dziedzinie, jego praca jest pożyteczna i nie można mu niczego zarzucić. Ale w ciągu ostatniego wieku dziennikarze przywłaszczyli sobie inną funkcję, a mianowicie występują w roli nauczycieli, kaznodziej moralności. Nie tylko informują czytelników i słuchaczy o tym, co się stało, ale wydaje się im, że mają prawo pouczać ich, co powinni myśleć i czynić. A że ich poglądy są rozpowszechniane masowo, dziennikarze zajmują uprzywilejowane stanowisko, mają niekiedy istny monopol na pouczanie ludzi, co jest dobre, a co niedobre.

Wiara, że tak ma być, że dziennikarz ma prawo tak się zachowywać, że należy mu wierzyć, gdy nas poucza, jest jednym z typowych zabobonów współczesnych.

Bo jeśli chodzi o pouczanie nas, dziennikarz nie ma żadnego autorytetu. Nie jest, jako taki, ani specjalistą w żadnej nauce, ani autorytetem moralnym, ani przywódcą politycznym. Jest po prostu dobrym obserwatorem i umie pisać, względnie mówić. Co gorzej, sam zawód dziennikarza jest dla niego samego o tyle niebezpieczny, że musi pisać o najróżniejszych rzeczach, o których zwykle niewiele wie, a w każdym razie nie posiada głębszej wiedzy. Dziennikarz jest więc niemal z konieczności dyletantem. Uważać go za autorytet, , pozwalać mu pouczać innych ludzi, jak to się obecnie stale czyni, jest zabobonem.

Kiedy szukamy przyczyny szerzenia się tego zabobonu, wypada przyznać ze wstydem, że nie ma chyba innej, niż dziecinne wierzenie, że wszystko co drukowane jest prawdziwe - a zwłaszcza jeśli jest drukowane pięknymi słowami.

Choć od pierwszego wydania pracy niezrównanego mistrza logiki - ojca Józefa Marii Bocheńskiego, zatytułowanej „**Sto zabobonów**” upłynęły 22 lata, myślę, że te słowa nie straciły nic na aktualności.

To tylko my zapomnieliśmy jak wygląda rzeczywistość.

26.05.2009 20:13 56

289. PRZYWILEJ DZIENNIKARSKIEGO MILCZENIA

„Dziennikarskim obowiązkiem jest opisywanie rzeczywistości, szczególnie tej, którą ludzie władzy chcieliby ukryć przed wzrokiem społeczeństwa. Prawem dziennikarza jest stawianie władzy trudnych pytań i ujawnianie mechanizmów jej funkcjonowania. Tak przecież pojmuję się rolę wolnych mediów w demokracji i takie media chcielibyśmy mieć w Polsce. Jak zatem nazwać dziennikarzy, którzy świadomie wprowadzają społeczeństwo w błąd i stają po stronie władzy, oszukującej własne społeczeństwo? Czy wolno jeszcze nazywać dziennikarzami ludzi, wykonujących polecenia funkcjonariuszy służb specjalnych i publikujących materiały, w ramach największej w ostatnich latach kombinacji operacyjnej?

Gdzie kończy się dziennikarstwo, a zaczyna świadoma i dobrowolna kolaboracja pracownika mediów z ludźmi służb specjalnych, oparta na relacji, jaka łączy tajnego współpracownika z prowadzącym go funkcjonariuszem?”- pytałem w sierpniu ubiegłego roku we wpisie DZIENNIKARZE CZY FUNKCJONARIUSZE?

A pytać było o co. To wówczas rozgrywano jedną z największych kombinacji operacyjnych ostatnich lat, zatytułowaną „afery aneksowa”, która - jak się wkrótce przekonaliśmy powinna nosić nazwę „afery marszałkowej”.

Do działań skierowanych przeciwko legalnie działającemu organowi państwa - jakim była Komisja Weryfikacyjna WSI zaprzęgnięto wówczas wielu dziennikarzy, rozpętlając niebywałą w swej zaciętości kampanię medialną. Nie trzeba chyba przypominać, że ten atak zainicjowany został artykułem Anny Marszałek - „Aneks do raportu o WSI na sprzedaż”, zamieszczonym w „Dzienniku” w dniu 17 listopada 2007 r. Przez kilkanaście następnych miesięcy opinia publiczna bombardowana była rewelacjami dziennikarzy tego pisma, sugerującymi, iż doszło do ujawnienia treści aneksu do Raportu z Weryfikacji WSI, a wśród członków komisji są ludzie skorumpowani i nierzetelni. Podejrzania skierowano również wobec dziennikarza - Wojciecha Sumlińskiego. Wymieniłem tylko niektóre tytuły tych publikacji „Dziennika”: „Nocne gry i zabawy polityków Pis”, „PiS ukrył przed Tuskiem aneks Macierewicza - Premier nie mógł się z nim zapoznać”, „Nie ma części tajnego aneksu - Znikające komputery Macierewicza”, „Macierewicz i jego Bonzowie”, „Kolejne szczegóły tajnego raportu”, „Były szef kontrwywiadu pod lupą - Śledczy sprawdzą Macierewicza”, „Wtyki w komisji weryfikującej agentów? Tak handlowano aneksem Macierewicza”, „Kto gra aneksem Macierewicza?”.

Dziś - po upływie blisko 2 lat od rozpętania rzekomej „afery aneksowej” - wiemy, że redaktorzy „Dziennika” wprowadzili nas w błąd, że dokonano manipulacji faktami i ich nieuprawnionej nadinterpretacji. Nie potwierdziły się zarzuty o rzekomym przecieku i handlowaniu aneksem, nic nie wiadomo o domniemanej korupcji wśród członków Komisji Weryfikacyjnej. Wszystkie insynuacje i poszlaki - o których miesiącami zapewniali nas dziennikarscy fachowcy okazały się fałszywe, a intensywnie prowadzone czynności śledcze nie przyniosły żadnych rezultatów. Od wielu miesięcy nad sprawą zapadła cisza.

Pozostały jednak ofiary tej medialnej nagonki: członkowie Komisji, których zastraszano, inwigilowano, odebrano dobre imię i zarzucono działanie z niskich pobudek; Piotr Bączek i Leszek Pietrzak, w których domach przeprowadzono spektakularną rewizję i bezpodstawnie oskarżono. I wreszcie - Wojciech Sumliński - podejrzany o płatną protekcję, pozbawiony pracy, pomówiony o korupcyjne kontakty z oficerem WSW/WSI. Zastraszony, doprowadzony do desperacji próbował popełnić samobójstwo.

Ofiarami medialnej kampanii „Dziennika” jest również ta, znaczna część społeczeństwa, która lekkomyślnie uwierzyła w oskarżenia wysuwane pod adresem Macierewicza, Komisji, PiS-u i nadal jest przekonana o aferalnym charakterze całej sprawy. Ofiarami są ci wszyscy, którzy nie wierząc wówczas w doniesienia mediów i traktując je z trzeźwą rezerwą, narażali się na zarzut stronniczości i politycznego zaślepienia, a którym zarzucano tworzenie „teorii spiskowych” i „prawackie oszobotstwo”.

Choć od zakończenia tej kampanii upłynęło wiele miesięcy, nikt nie zapytał „gwiazd” dziennikarstwa śledczego - jak to się stało, że doszło do publikacji tak kompromitujących artykułów, na jakiej podstawie wysuwano wówczas niebotyczne oskarżenia i formułowano tezy bez pokrycia? Jaką rolę odegrali wówczas publicyści „Dziennika”, skąd czerpali informacje i inspiracje do swoich publikacji?

Nam, jako odbiorcom - społeczeństwu, na rzecz których dziennikarze wykonują swój zawód, wolno pytać - czy była to rola obiektywnych sprawozdawców, politycznych stronników czy też mieliśmy do czynienia z wykonywaniem zadań zleconych przez służby?

W kwietniu ub roku Antoni Macierewicz jednoznacznie wskazał - „Mamy dowody, że istnieje współpraca między mediami a Ministerstwem Obrony w sprawie ujawniania tajemnic komisji weryfikacyjnej WSI”, a premier Olszewski twierdził: „Trwa medialna kampania oczerniania Komisji Weryfikacyjnej ds. WSI, szeroko zakrojona operacja policyjno- polityczna”, nazywając doniesienia mediów, jakoby aneks do raportu z weryfikacji WSI był do kupienia „formą prowokacji”.

Nikt z dziennikarzy, nie może mieć pretensji do ludzi stawiających takie pytania ani oburzać się, że zostały sformułowane. Takie nasze prawo, by pytać profesjonalistów - dlaczego spartaczyli robotę i skompromitowali się powtarzaniem kłamstw. Odpowiedź na te pytania, bardziej leży w interesie samych dziennikarzy, niż odbiorców.

Są, bowiem w najnowszej historii polskiego dziennikarstwa rzeczy, które wymagałyby reakcji nie tylko dociekliwych blogerów, ale komisji śledczych lub prokuratury.

Do takich spraw można zaliczyć wyjaśnienie roli Anny Marszałek i Bertolda Kittela, w znanej kombinacji operacyjnej, skierowanej przeciwko wiceministrowi MON - Romualdowi Szeremietiewowi i jego asystentowi, Zbigniewowi Farmusowi. Na próbie wyjaśnienia tej sprawy „połamał sobie zęby” ówczesny minister sprawiedliwości Lech Kaczyński, gdy za wszczęcie postępowania został zdymisjonowany przez premiera Buzka.

Dziś, gdy Szeremietiew został prawomocnie oczyszczony z zarzutów, może ktoś pokusi się o wyświetlenie mechanizmów tej prowokacji i wytłumaczy szczególną rolę, jaką odegrali w niej dziennikarze? Jest tak wiele elementów wspólnych, łączących sprawę z roku 2001 z obecną „afērą aneksowej”, że byłoby aktem wielkiej naiwności nie zwrócić na to uwagi. Czy musimy czekać znowu kilka lat, gdy ewentualny (a mało prawdopodobny) proces Wojciecha Sumlińskiego udowodni, że doniesienia „Dziennika” były fałszywe?

Przypominam o tych pytaniach, ponieważ jeden z publicystów pisma „Dziennik” považył się dziś na rzecz tak horrendalną w swoim cynizmie, że nie sposób pominąć jej milczeniem. Pisząc o blogerach, z właściwą ludzom tego pisma odwagą Michał Karnowski oznajmił:

„[...] właśnie dowiedzieliśmy się, że część tego świata domaga się dla siebie specyficznego rodzaju immunitetu. Chce wolności od pytań, kto za nim stoi, chce ochrony przed dziennikarskimi śledztwami, żąda przywilejów, jakich nie mają politycy, biznesmeni, wojskowi (i dziennikarze też). I nie chce pamiętać, że ich słowo - choć anonimowe - również potrafi niszczyć i zabijać”.

Nie mam najmniejszego zamiaru wdawać się w jakąkolwiek polemikę z tym twierdzeniem, lub pytać tego pana o przykłady ofiar - zabitych lub zniszczonych „anonimowym słowem”. Nie warto też wyjaśniać, jaka różnica istnieje między politykiem, dziennikarzem, wojskowym, a obywatelem, korzystającym z prawa do wyrażania swoich myśli.

Nie warto, - ponieważ ktoś, kto pracując w gazecie wstawionej wielomiesięczną kampanią kłamstw i oszczerstw, ma czelność wypisywać podobne brednie, - nie zasługuje na poważne traktowanie. Więcej - nie zasługuje na szacunek. Trzeba niezmiernych pokładów złej woli, pychy i prostackiej arogancji, by z podobnym cynizmem traktować czytelnika. Trzeba być wyjątkowym tchórzem, by uciekając przed własną, zawodową odpowiedzialnością, próbować przerzucić ją na innych.

Ten sam człowiek, w tym samym tekście zawarł wszakże istotną deklarację, pisząc, iż: „Prasa jest właśnie po to, by odkrywać tajemnice, by odpowiadać na pytania, jakie zadają sobie czytelnicy”.

Napisał zatem słowa, w które sam nie wierzy lub których znaczenia nie rozumie. To właśnie czytelnicy tej gazety - jak żadnej innej - mają pełne prawo zadawać pytania; o udział publicystów „Dziennika” w wielomiesięcznej kombinacji operacyjnej, o ich dostęp do tajnych materiałów, o kontakty z ludźmi służb specjalnych, o inspiracje i intencje towarzyszące publikacjom o rzekomej „aferze” - a wreszcie - mają prawo zapytać: dlaczego byli oszukiwani i manipulowani?

Czy redakcja „Dziennika” odważy się odkryć te tajemnice?

Dopóki tego nie uczyni - powinna milczeć, w tchórzliwej nadziei na amnezję społeczeństwa, licząc, że nikt ich nie rozliczy za niszczenie słowem.

AFERA MARSZAŁKOWA

<http://cogito.salon24.pl/77691,dziennikarze-czy-funkcjonariusze>

<http://cogito.salon24.pl/77694,agent-czy-dziennikarz-pytania-konieczne>

<http://cogito.salon24.pl/77697,dziennikarskie-artefakty>

http://www.dziennik.pl/opinie/article386870/Slowa_w_internecie_moga_zabijac.html

CZERWIEC 2009

01.06.2009 20:01 59

290. POWRÓT DO „NOWEJ POLSKI”

„Wy - Oficerowie WSI - na pewno usłyszycie jeszcze z ust Pana Prezydenta, albo Pana Premiera patetyczne, łacińskie słowa: „TOTUS TUUS” - nie mylcie z „TOTUS TUUSK”, choć - okazuje się - Nadeszła już Pora, Nadszedł ten Czas! Opozycja parlamentarna zaś (za słowami wyśpiewanymi przez Violetę Villas) celującą lansuje dyskurs: „przyjdzie na to czas, przyjdzie czas...”. Czekaćcie i bądźcie aktywni. Nie lękajcie się. Wyptłyście na głębię. Piękno linii brzegowej akwenu (plaży), zarysu gór, kształtu piramidy, monumentu , etc. - pełniej bowiem postrzegane jest z dystansu, z dużych odległości. Sursum corda! Myśli niniejsze, uczesane inaczej, zaczerpnięto z Konwencji PiS i trochę je zmanipulowano. Niektóre z nich sparafrazowano (kontekst interdyscyplinarny)”.

Nie od dziś wiadomo, że oficerowie ludowego wojska to intelektualni mocarze. Wielu z nich, otrzymawszy staranne, humanistyczne wykształcenie w Akademii Sztabu Generalnego im. Woroszyłowa, może uchodzić za prawdziwych erudytów i myślicieli. Nic zatem dziwnego, że spotkanie z głębią myśli oficera ludowego wojska musi stanowić niezwykłą, intelektualną przygodę i cenne doświadczenie. Cóż dopiero - gdy wojskowy humanista dzieli się z nami refleksją na temat rozwiązania Wojskowych Służb Informacyjnych.

Cytat, którym uraczyłem czytelników pochodzi z najnowszego 5 nr. Biuletynu „Chłodnym okiem”, wydanego przez Stowarzyszenie Pro Milito. Cały numer tego zacnego periodyku zappełnia twórczość „płk dypl. w st. spocz.” dr. Mikołaja Szczepana „Kruka” Ociosanego.

Na treść nr 5 Biuletynu składają się dzieła pana podpułkownika, sporządzone między lipcem, a wrześniem 2007 roku. Tytuł części pierwszej, z której zaczerpnąłem większość cytatów może odstraszać naukową zawartością, brzmi bowiem - „DYSKREDYTACJA TEZAURYCZNA WIELKĄ GRĄ „Czarnej Wdowy” PRZECIWKO WSI (Intelligence Service).

Gdy już pokonamy wrodzoną nam, - cywilom niechęć do nauk ścisłych i zagłębimy się w piękno języka pana oficera - nagrodą będzie głębia i śmiałość myśli oraz wprost encyklopedyczna erudycja, wycierająca z każdego zakamarka tekstu. Czegóż tam nie ma! Znajdziemy zacną łacinę, cytaty z filozofów i wojskowych strategów, Stalina, Hitlera i Jana Pawła II, a wszystko to okraszone Suworowem i fragmentami poezji. Szczegółowo zapoznać się z dziełem oficera LWP i mam nadzieję, że niniejszy tekst wzbudzi zaciekanie czytelników.

Pod głównym cytatem z księdza Jerzego Popiełuszki, dr. „Kruk” Ociosany prezentuje nam odważną i nowatorską tezę, której podstawowym składnikiem jest stwierdzenie, iż „Oficerów WSI zdradzili w roku 2007 przedstawiciele Państwa polskiego”.

Autor przedstawia skróconą, ale jakże barwną historię bohaterskich oficerów wojskowych służb, wywodząc ich honorową postawę od dzielnego wodza Persów Kserksesa I, poprzez „okupujących” Kreml żołnierzy hetmana Stanisława Żółkiewskiego, którzy w 1610 roku straszliwie złupili moskiewskich obywateli. Nie oszczędza nam przy tym opisów aktów kanibalizmu, jakiego dopuszczali się polscy żołdacy - najwyraźniej sugerując, iż przyczyną upadku wojsk hetmana była zła praca wywiadu i kontrwywiadu. Ta historyczna przestroga ma nas upewnić w przeświadczeniu, że likwidacja WSI to „przebogaty prezent polskich władz nie TYLKO dla rosyjskich służb specjalnych (spadkobierców OCHRONY, Czek, NKWD, GRU i KGB), lecz także wywiadów całego świata oraz bardzo dobrze zorganizowanych grup terrorystycznych, struktur gangstersko-mafijnych i różnego autoramentu dewiantów”.

By nie było najmniejszych wątpliwości, kto dokonał tej nikczemnej zdrady, autor informuje nas, iż „Akt ten roziskrzył diaboliczny wzrok super rządzącego Antoniego M. oraz wywołał i utrwalił ironiczny uśmiech na jego ministerialnym „obliczu” (maska satyra). Ów „faworyt” władzy - „lepszy patriota” wedle PiS-u - to „osoba szczególnie zasłużona dla Polski”??

Choć nie chcę pozbawiać czytelników osobistych doznań, płynących z lektury doktora oficera LWP, nie mogę pozostać obojętny na ten fragment z jego dzieła, w którym wymienia on „arsenał środków dyscyplinujących” ludzi wywiadu i kontrwywiadu, które w sposób naturalny, poprzez „samokontrolę i samoobserwację” chronią ich od błędów i przestępstw. To jeden z najbardziej smakowitych urywków, pozwolę więc sobie zacytować go w całości:

„O przestępstwach ludzi Wywiadu i Kontrwywiadu na świecie (oraz szpiegach), o ich winie i karze decydowały - prawie zawsze - niezawisłe Sądy Wojskowe, albo tzw. „nieszczęśliwe wypadki” (utonięcie w wannie; porażenie prądem elektrycznym; oszpecenie ciała kwasem solnym; porażenie piorunem >>kulistym<< przy bezchmurnym niebie; samowolne wyskoczenie z samolotu bez spadochronu; zdalnie sterowany zawał serca (bądź udar mózgu) - osiągnięcia współczesnej farmakologii; zaccadzenie; marskość wątroby; kopnięcie „konia” w ciało ofiary na autostradzie lub pasie startowym lotniska wojskowego; „galopująca” gruźlica; nieuleczalna odmiana białaczki; bardzo silna dawka „specyfiku” - dioksyny, alkoholu, środka narkotycznego (we krwi denata); porwanie osoby „błądzącej” przez >>tornado<<; samobójstwo przez „samopowieszenie” lub wyskoczenie z okna wieżowca (... gdy >>przyszli...<< to John White, Helmut Miller, Jurij Gromow, Zenon Nowak... nie zdążyli uciec); wycięcie nerki; uduszenie; zasztytowanie (wykrwawienie); śmiertelna dawka pierwiastka radioaktywnego - izotopu (choroba popromienna); zainfekowanie zdrowego organizmu sepsą bądź wirusem HIV; zastrzelenie (śmierć honorowa); podpalenie dobytku osoby krnąbrnej; permanentna inwigilacja i zastraszanie oraz inne P r z y p a d k i (na przykład - ptasia grypa).

Do najbardziej drastycznych opisów brutalnego karania śmiercią, nie tylko Oficerów Wywiadu, czy Kontrwywiadu, lecz osób sprzeniewierzonych i zaprzędanych (cywilów), zaliczyć można: spalenie żywcem w piecu krematoryjnym; zakopanie osoby niewiernej (zdrajcy) 1,5 metra pod ziemią w trumnie, kiedy ona jeszcze nie umarła!; wrzucenie żywcem >>zbrodniarza << do pojemnika wypełnionego kwasem solnym o dużym stężeniu; inne kary cielesne powodujące cierpienie (np. drażnienie prądem elektrycznym)”.

Nie może więc zaskakiwać, że pan Ociosany, mając świadomość z jak wielkim ludźmi mamy do czynienia, w osobach oficerów WSI, wyraża zdziwienie ich postawą, tuż po rozwiązaniu tej służby przez „superzrzedę” Antoniego M?

„Dziw ogarnia Oficerów z cenzurem (zwłaszcza tych, którzy już z Armii odeszli), że środowisko żołnierzy zawodowych milczy, przyjmując postawę pokutną wobec p i s o w c ó w - brutalnych „iluminatów” oraz zastanej politycznej rzeczywistości (patologiczny wpływ na świadomość żołnierzy zawodowych paradygmatu na przykład - „apolityczność Armii”, powodującego „intelektualny stupor”).

Jest jednak w myślach pana podpułkownika mocna nuta nadziei. To ona właśnie zainspirowała mnie, by zwrócić uwagę czytelników na to wiekopomne dzieło. Warto bowiem pamiętać, że ppłk Ociosany pisał je w okresie między lipcem, a wrześniem 2007 roku - czyli w czasie, gdy Polską rządzą - „Wybitni pisowscy politycy, zarządzający Krajem tytanową ręką (autor są - Pan Premier i Pan Prezydent, czyli „Bracia Bliźniacy - prawnicy, humaniści” - którzy, jak zastanawia się autor są „zwolennikami i promotorami społecznego reżimu?”

Na wielką uwagę i uznanie zasługuje fakt, że oficer LWP dzieli się z nami swoją głęboką nadzieją na zmiany, upatrując jej (jakże słusznie) w zbliżających się wyborach parlamentarnych. Píše bowiem:

„Trzeba mieć nadzieję, że po 21 października 2007 roku - następcy Koalicji rządzącej Polską - posiadą zgoda odmienny sposób „słuchania Rodaków”, w tym: Oficerów Służb Specjalnych - z Przedstawicielami Wywiadu i Kontrwywiadu Wojskowego włącznie oraz byłych Funkcjonariuszy Wojskowych Służb Informacyjnych (WSI). Tak Im dopomóż Bóg!, i wszyscy Święci. Obywatelom Najjaśniejszej Rzeczypospolitej pozostaje jeno - nadzieja ! „

W refleksjach ppłk Ociosanego z 2007 roku ze zdumieniem, ale też podziwem możemy dostrzec profetyczne zdolności, jakich nigdy byśmy nie podejrzewali u człowieka tak ścisłego, logicznego umysłu. Autor kończy swoje dzieło taką oto przepowiednią i życzeniem:

„Po odejściu rządzącej K o a l i c j i (zdominowanej przez PiS), kolejna demokratycznie wybrana opcja polityczna, której Naród polski zaufa 21 października 2007 roku - musi powodować , poprzez realizację programów edukacyjnych - „aby Polacy nie warrrrczeli na siebie zaznaczając, który (...) ma mocniejsze r r r...” (Tomasz Jastrun).

• Po wyborach parlamentarnych (2007) przyszedł Premier Rządu RP, cieszący się poszanowaniem Rodaków (posiadający autorytet wiedzy i wysokie morale), powinien l u b i ć wszystkich Polaków (nie tylko „wykształciuchów”, którzy będą mu przydatni w procesie rządzenia i w czasie rozwiązywania problemów doraźnych), dopóty, dopóki będzie ich potrzebował, i przynajmniej - jeden dzień dłużej!

• Europejczycy, dbający o kulturę Europy, obligowani Testamentem Przodków (odrzucający pychę), powinni czynić wysiłki na rzecz przedłużania ciągłości trwania cywilizacji łacińskiej , aby Zachód nie umarł, a Wschód żył godniej („cywilizacja

śmierci" bowiem zbiera w Europie obfite żniwo i daje o sobie znać poprzez „wytwory” umysłów >>iluminatów<< - przedstawicieli przygaszającego CZŁOWIECZENSTWA - Kultury Zachodu, projekcja - aborcji, narkomanii, seksizmu, eutanazji, starzejących się Rodów i Społeczeństw).

Jak wszyscy doskonale wiemy, 21 października 2007 roku istotnie nadszedł czas premiera, który „lubi wszystkich Polaków”. Dla panów oficerów WSI, którzy doczekali tego sprawiedliwego czasu, ma nasz myśliciel mądrą radę:

„Hurra!!! Stop! Tylko roztropnie Panowie, tylko z umiarem... Wyhamujcie w sobie, Bracia Oficerowie, lwią bezkarność (szaba daba da, szaba daba da, szaba da...). Sza...! Oby Polska Była Polską! Dla wszystkich Obywateli jest z korzyścią bezpieczeństwo Rzeczypospolitej (łac.„OMNIBUS BONIS EXPEDIT SALVAM ESSE REM PUBLICAM”).Będą zmiany ! Wracajcie do >>Nowej Polski<< , która na Was czeka. Wracajcie „ Do kraju tego , gdzie kruszynę chleba podnoszą z ziemi z ucatowaniem”(C.K. Norwid). Z Bogiem!

Chciałbym również mieć nadzieję, że panowie oficerowie wracając do „Nowej Polski”, która na nich czeka” rzeczywiście wyhamują w sobie „lwią bezkarność”.

<http://www.promilito.pl/pro-milito-e-biuletyn.htm>

<http://www.promilito.pl/chlodnym-okiem-nr-5.pdf>

04.06.2009 14:52 56

291. TRZY RAZY „NIE”

Pamiętajcie o ludziach, których III RP skazała na milczenie:

„TRZY RAZY "NIE!"

Przyjmujemy wszystkie korzyści, które nam dacie, ale kwitu nie damy. My chcemy Polski przedrozbiorowej niepodległej. Pójdźcie precz od nas, jedyne załatwienie sprawy.

(Andrzej Zamoyski w liście do cara, 1863)

1. Muszę krzyczeć.

Jesteśmy zmęczeni i zniechęceni - całe społeczeństwo. Patrzymy bezsilnie, jak się wali wszystko dokoła. Ceny rosną, każdy zastanawia się z trwogą, jak będzie żył za pół roku, za rok, jak będą żyły jego dzieci. Służba zdrowia, komunikacja, budownictwo mieszkaniowe, zaopatrzenie, szkolnictwo, kultura, ochrona środowiska - wszystko w stanie upadku i zacofania. Wszechmocne państwo, które zagarnęło całą gospodarkę i zabiera cały dochód z pracy społeczeństwa, twierdzi, że nie ma pieniędzy. Może to nawet być prawdą, skoro (jak pisze E. Szumiejko w "Gazecie Związkowej", nr 4 z 31 marca 1989) PRL składa roczną daninę wysokości 50 miliardów dolarów na rzecz "oboazu pokoju i socjalizmu". Żadnej nadziei, tylko ciężka praca i coraz trudniejsza codzienna walka o byt. Zdrowe, normalne społeczeństwo w takiej sytuacji staje do walki, buntuje się, odmawia posłuszeństwa. Jest przecież wiele form cywilnego nieposłuszeństwa i walki z przemocą państwa, wśród nich walka zbrojna jest możliwością skrajną, stosowaną w ostateczności. My jednak wolimy angażować się w "wybory" do PRL-owskiego Sejmu.

Przypominamy wszyscy człowieka chorego na raka. Czuje, że jest z nim źle, staje się nerwowy, chudnie, ma bóle - ale nie chce słyszeć o operacji. Woli udawać, że nic się nie dzieje, woli zaufać znachorom i oszustom niż zaryzykować i wyzdrowieć. Pełne troski rady przyjaciół wprawiają go we wściekłość. Prawda często bywa trudna i przykra, prawda zmusza do działania, a chować głowę w piasek jest najwygodniej.

Ciężko chore społeczeństwo, jak tonący brzytwy, uczepiło się nadziei na porozumienie, porozumienie "przedstawicieli społeczeństwa" z rakowatą naroślą na jego ciele - komunistycznym państwem. Jeśli ktoś chce być oszukany, to będzie. Nie myślimy, nie dyskutujemy, zostawmy wszystko Wałęsie - on już zadba o nasze interesy. A każdy, kto ma wątpliwości, naraża się na wybuch histerycznego gniewu, na oskarżenia i wyzwiiska.

Bo chować głowę w piasek jest najwygodniej.

Mimo to trzeba mówić, a nawet trzeba krzyczeć. Trzeba stawiać sprawę na ostrzu noża, nazywać rzeczy po imieniu, trzeba prowokować, jątrzyć, podburzać ! Przecież tonimy, przecież ginimy, z europejskich wyżyn staczamy się w azjatycką dżicę ! Nie mogę milczeć, choćbym miał zostać za to złinczowany przez oślepionych i wystraszonych rodaków.

Kłótnie i spory Polaków w kwietniu 1989 r. obracają się wokół trzech pytań :

- Czy należało przystąpić do rozmów z komunistami ?
- Czy wynik tych rozmów (porozumienia "okrągłego stołu") jest sukcesem społeczeństwa ?
- Czy należy wziąć udział w nadchodzących wyborach ?

Moja odpowiedź jest: Trzy razy "NIE"! I chociaż mój głos nie przebiję się przez pienia połączonych chórów propagandy Wschodu i Zachodu, muszę krzyczeć: NIE !

2. "NIE !" po raz pierwszy

Kto chciał mógł od dawna zauważyć, że kapral Wałęsa wykazuje nienormalną wręcz gotowość do kompromisu z komunistami. Przypuszczalnie pierwszym wyraźnym sygnałem było tzw. "porozumienie warszawskie", kończące sprawę prowokacji bydgoskiej w 1981 r. Najpierw jednak nie chcieliśmy tego widzieć, potem widząc - nie chcieliśmy wyciągnąć wniosków. Ale tak niestety było: cała polityka Wałęsy nastawiona była konsekwentnie na wyciszenie buntu i doprowadzenie do bezpiecznego dla komunistów porozumienia. Nieodparcie nasuwa się porównanie z samobójczą taktyką przywódców Powstania Listopadowego, którzy tak jak Wałęsa nie chcieli zwyciężyć ale zawrzeć kompromis (patrz - J. Łojek: "Szanse Powstania Listopadowego").

Przez lata komuniści odrzucali ofertę Wałęsy, ich pewność siebie symbolizowały bandyckie wyczyny Kiszczaka i arogancja Urbana. Ale i na nich przyszła chwila opamiętania: okazało się wreszcie bez żadnych wątpliwości, że Zachód nie da już nowych kredytów za darmo. Ceną, jaką muszą zapłacić władcy PRL, jest legalizacja "Solidarności" i "porozumienie się" ze społeczeństwem (to ostatnie oznacza przypuszczalnie złagodzenie ostrych konfliktów między społeczeństwem a państwem). Bez tego nie będzie dolarów.

I tu dochodzimy do "okrągłego stołu". W czasie drugiej fali strajków 1988 r. (sierpień wrzesień) stało się jasne, że komuniści muszą ustąpić. Rzeczą przywódców "Solidarności" było otwarte sformułowanie żądania legalizacji związku., Nikt jednak tego

nie zrobił, a Wałęsa energicznie i zdecydowanie wygasił strajki w zamian za mgliste obietnice "rozmów przy okrągłym stole". Mimo że czerwoni musieli pod naciskiem społeczeństwa i Zachodu zgodzić się na "Solidarność", przywódcy "konstruktywnej opozycji" dali się wciągnąć w zawiłą grę przetargów i szantaży. Przystąpili do rozmów, w których - wiadome było od początku, bo na tym polegają negocjacje - będą musieli ustępować, zgadzać się, płacić jakąś cenę. A przecież można było bez tego!

Czyż nie byłoby prościej, piękniej i skuteczniej, gdyby Wałęsa jeszcze w sierpniu 1988 r. poparł strajki, ogłosił żądanie ponownej legalizacji "Solidarności" i odmówił wszelkich negocjacji na ten temat?

Może mielibyśmy "Solidarność" parę miesięcy później niż mamy, ale chyba mielibyśmy wcześniej - bo komuniści wiedzą, kiedy muszą ustąpić.

Tymczasem już samo przystąpienie "konstruktywnej opozycji" do rozmów, samo podanie ręki ministrowi policji jest zwycięstwem czerwonych. Bo w ten sposób ludzie powszechnie szanowani, uznawani za autentycznych przedstawicieli tego udręczonego społeczeństwa, wchodzą w kręgi władzy - pokazują całemu światu, że społeczeństwo uznaje czerwonych za partnera, że w jakimś sensie uznaje władzę komunistów. Wielotygodniowe rozmowy "okrągłego stołu", natrętnie reklamowane przez propagandowy aparat państwa, zostawiają nieodparte wrażenie, że oto rozmawiają ze sobą ludzie zatroskani losami tego kraju, że obie strony chcą naszego dobra, a różnią się tylko poglądami na sposób jego osiągnięcia. W tym wielkim oszustwie musieli współuczestniczyć przywódcy opozycji.

Tak więc przystąpienie Wałęsy i jego grupy do rozmów z czerwonymi było poważnym błędem politycznym. Komuniści, ustępując pod naciskiem społeczeństwa i Zachodu, odnieśli propagandowy sukces zamieniając wymuszone ustępstwo na historyczny gest politycznego "realizmu" i "liberalizmu". Zmusili przy okazji znanych i cieszących się autorytetem przywódców społecznych do uznania przestępczego reżimu za partnera i do poparcia przez nich swej oszukańczej gry.

Dłatego nie należało przystępować do rozmów z komunistami.

3. "NIE !" po raz drugi

Nie będę komentował przebiegu rozmów "okrągłego stołu", tej skomplikowanej i wielostronnej gry propozycji i kontrpropozycji, taktycznych sojuszy i taktycznych ustępstw, błędów i szantaży. Nie będę też ubolewał, iż to lub tamto nie zostało przy "okrągłym stole" poruszone. Jedno tylko chciałbym podkreślić - całkowitą tajność negocjacji, jakże sprzeczną z powszechnymi wyobrażeniami o "Solidarności". Właściwie do tej pory, a piszę ten tekst w niedzielę, 23 kwietnia 1989 r., nie są znane wszystkie ustalenia. A to, co jest

znane, potwierdza moje najgorsze przypuszczenia.

Przed wszystkim uderza zgoda strony "społecznej" na dalsze pozostawienie komunistów przy władzy. Ci, którzy doprowadzili do katastrofalnej sytuacji kraju, opisywanej w "Porozumieniach okrągłego stołu", nie mają moralnego prawa, by rządzić tu dalej. Niestety, przedstawiciele opozycji przy "okrągłym stole" przyjęli jako oczywisty i naturalny punkt wyjścia założenie o dalszym trwaniu komunistycznej władzy - chociaż mogli przynajmniej zrobić z tego element przetargu.

Jeżeli już się godzić z dalszym panowaniem czerwonych, to raczej na zasadzie: "wy zepsuliście, to wy naprawiajcie". Tymczasem strona opozycyjna w imieniu nas wszystkich wzięła na siebie współodpowiedzialność za stan gospodarki i wychodzenie z kryzysu gospodarczego, społecznego i politycznego. Wałęsa po raz drugi wykrzyknął: "Pomożemy", ale tym razem nie była to jego prywatna deklaracja. W ten sposób społeczeństwo PRL zostało wmanewrowane w sztuczną i niewygodną sytuację: staliśmy się współodpowiedzialni za coś, na co nie mamy wpływu i co nie my doprowadziliśmy do ruiny. Pozbawia to nas moralnego prawa do protestu - chyba, że odrzucimy przywódców, którzy do tego doprowadzili, i ich "Porozumienia" z komuną. A związek "Solidarność" zamiast zgodnie ze swym podstawowym powołaniem, bronić interesów robotników przed pracodawcą - państwem, będzie zobowiązany pilnować byśmy wydajnie i sprawnie "przezwyciężali kryzys". Mało tego, komuniści zdolali nakłonić stronę opozycyjną do kilku dalszych, zgoda katastrofalnych ustępstw, jeszcze skuteczniej wiążących ręce "Solidarności". Najpoważniejszym z nich jest zgoda na osiemdziesięcioprocentową "indeksację", czyli na częściowe wyrównanie wzrostu cen podstawowych artykułów przez wzrost płac, stanowiący 80 % wzrostu cen. Oznacza to zgodę przedstawicieli "opozycji konstruktywnej" na dalszy, systematyczny wyzysk społeczeństwa przez komunistyczne państwo. Oto jak to widzi reżimowy dziennikarz ("Przegląd Tygodniowy", nr 16 z 1989 r.): "Skrupulatnie indeksując płace wskaźnikiem 0,8 na początku każdego kwartału - a więc z opóźnieniem do narastających cen - okaże się, że po upływie roku średni wzrost płac będzie i tak około dwukrotnie niższy, niż przyrost cen w tym samym czasie. Nawet stu procentowa indeksacja nie rekompensuje w pełni kosztów utrzymania. Płace, w ostatecznym rozrachunku przegrają wyścig z cenami (...)" Nie dość na tym: dopłaty z tytułu indeksacji mają być uzależnione od "możliwości płacowych przedsiębiorstw", a te z kolei, jak wiadomo, zależą od zupełnie dowolnych decyzji władz centralnych (szczególnie, że strona rządowa nie zgodziła się na wycofanie "ustawy o konsolidacji gospodarki" z 24.2.1988 r., dającej szerokie możliwości "ręcznego sterowania" gospodarką przez administrację). Otwiera to dla władz nieograniczone pole nadużyć i manipulacji, a uniemożliwia "Solidarności" obronę poziomu życia pracowników. Wałęsa będzie musiał "gasić" strajki spowodowane ubożeniem społeczeństwa, bo sam zgodził się na to ubożenie. Jak mógł się na to zgodzić pozostanie tajemnicą jego sumienia. Tłumaczenie się naciskiem zachodnich wierzycieli PRL-u i opinią ekspertów MFW jest kolejnym skandalem. Nawet laik spostrzeże bez trudu, że zachodni "eksperci" nie mają żadnego pojęcia o funkcjonowaniu gospodarki PRL, a któż jak nie Wałęsa powinien im to powiedzieć?

O ile chodzi o strajki, to rząd załatwił sobie kolejne zabezpieczenie. "Porozumienia" zakładają, że prawo do strajków jest regulowane przez ustawę o związkach zawodowych z 8.10. 1982 r. Ponieważ rozdział VI statutu "Solidarności" z 1980 r. jest sprzeczny z tą ustawą, nowa "Solidarność" została zarejestrowana ze statutem, w którym ów rozdział jest (do czasu zwołania zjazdu krajowego "Solidarności"). Wspomniana ustawa obwarowuje prawo do strajku tyłoma wstępnymi procedurami, że w praktyce uniemożliwia jakikolwiek legalny strajk. W ten sposób nowa "Solidarność" zostaje pozbawiona kłów i pazurów.

Zostaje również pozbawiona prawa głosu: strona opozycyjna zgodziła się na cenzurowanie przez państwo wszystkich wydawnictw związkowych z wyjątkiem biuletynów wewnątrzwiązkowych, a uzyskała jedynie symboliczny dostęp do państwowych środków masowego przekazu.

Wszystko to powoduje, że związek zawodowy zarejestrowany 17 kwietnia 1989 r. pod nazwą "Solidarność" będzie poważnie różnił się od "Solidarności" jaką pamiętamy. Będzie to neo "Solidarność", skrepowana, pozbawiona możliwości protestu i strajku, niezdolna do obrony swych członków, a raczej zobowiązana do popierania ich wyzysku. Wobec tego stanu rzeczy drobiazgiem staje się fakt oddania komunistom majątku "Solidarności" zagrabionego w stanie wojennym i rezygnacja z odszkodowań.

Skoro już mowa o neo-"Solidarności" to zauważmy, chociaż nie wiąże się to z porozumieniami "okrągłego stołu", że jest ona tworzona dokładnie odwrotnie w porównaniu z dawną "Solidarnością". Wtedy, w pamiętnym wrześniu 1980 r. "Solidarność" powstawała spontanicznie i oddolnie wśród powszechnego entuzjazmu. Najpierw były masy członków, dopiero z tego żywiołu kształtowały się zręby struktury organizacyjnej i wyłaniali się przywódcy. Teraz w sytuacji, gdy "Solidarność" to Wałęsa, budowę związku zaczęto wręcz odwrotnie: najpierw przewodniczący i jego świta, potem zarządy regionalne wybrane jeszcze przed rozpoczęciem rozmów "okrągłego stołu" spośród ludzi wiernych Wałęsie, a dopiero teraz struktury zakładowe i szeregowi członkowie. Przy takim systemie neo-"Solidarność" powstaje jako organizacja scentralizowana, niedemokratyczna, ściśle podporządkowana przewodniczącemu. Jest to karykatura dawnej "Solidarności" - mówię to z wielkim żalem. Poza neo-"Solidarnością" muszą pozostać legendarni działacze związkowi: Jurczyk, Gwiazda, Kołodziej, Rulewski, Słowik. Poza neo-"Solidarnością" pozostaną też ci, którzy są wrogami każdej dyktatury, którzy chcą walczyć o swoje prawa, którzy chcą walczyć z komunizmem. Neo-"Solidarność" będzie grzeczną "Solidarnością".

Wspomniane wyżej przyjęcie przez stronę opozycyjną odpowiedzialności za stan PRL ma, oprócz pacyfikacji neo-"Solidarności", jeszcze inne groźne skutki. Otóż działacze neo-"Solidarności" chcąc nie chcąc stają teraz po stronie władzy, muszą utożsamiać się z interesami komunistycznego państwa. Jeszcze w czasie trwania negocjacji "okrągłego stołu" przedstawiciele opozycji dwukrotnie apelowali do rządów Zachodu o pomoc finansową dla PRL (dla komunistycznego państwa, nie dla nas!). Inny przykład to zagraniczne podróże Wałęsy - zarówno jego pobyt w Paryżu (grudzień '88), jak i w Rzymie (kwiecień '89) to imprezy propagandowe komunizmu. Wałęsa, uważany za przywódcę społeczeństwa doprowadzonego przez komunistów do nędzy, chwala na Zachodzie pieriestrojkę, Gorbaczowa, "przemiany" w PRL i prosi o kredyty dla czerwonych. Żaden komunista nie byłby skuteczniejszy - czy przewodniczący nie zdaje sobie z tego sprawy?

Listę zastrzeżeń do "Porozumień" można ciągnąć dalej. Ale skończmy na tym, bo wstyd słuchać. Myślę, że wystarczająco uzasadniłem swój pogląd: utworzenie neo-"Solidarności", główny wynik rokowań "okrągłego stołu", nie jest sukcesem społeczeństwa. Jest raczej sukcesem komunistów, którzy wydarli nam niemal pewną legalizację "Solidarności" w dawnym kształcie.

4. "NIE !" po raz trzeci

I na koniec sprawa wzbudzająca najżywsze spory: udział w nadchodzących wyborach. W całym kraju powstają komitety obywatelskie "Solidarność", zajmujące się wysuwaniem kandydatów do poselskich i senatorskich foteli. Działacze neo-"Solidarności" zamiast organizować związki, tworzyć struktury zakładowe, oddali się bez reszty akcji wyborczej. Aktywiści większości partii i ugrupowań opozycyjnych gorączkowo zbierają głosy i fundusze, by wepchnąć "swoich" do PRL-owskiego "Sejmu". Nawet uchodząca za radykalną KPN deklaruje "czynną postawę wobec wyborów, która wyrazić się może zarówno w uczestnictwie, jak i bojkocie" - na razie jest to jednak uczestnictwo (cytat z Uchwały Rady Politycznej KPN z 10 kwietnia 1989 r.). Solidarność Walcząca w swoim zdecydowanym bojkocie wyborów sprawia wrażenie żałobnika, który zamiast na stypę przez przypadek trafił na bal karnawałowy. Zewsząd słychać zachwyty nad pierwszymi "prawie demokratycznymi" wyborami w PRL.

Gdzieś w tym sterowanym zbiorowym entuzjazmie zagubił się artykuł Kuronia w "Tygodniku Mazowsze" (nr z marca 1989). Z zadziwiającą szczerością pisze jeden z liderów "opozycji konstruktywnej": "Warto przypomnieć, że kiedy nasza strona szła do rozmów, to myślała tak: dostaniemy 'Solidarność' i może coś jeszcze, zapłacimy za to niedemokratycznymi wyborami". Otóż to, niedemokratyczne wybory były ceną za "Solidarność" - cóż się więc stało, że teraz wszyscy przedstawiają je jako sukces społeczeństwa? Mogę jedynie snuć domysły.

Ogólnikowe sformułowanie: "zapłacimy niedemokratycznymi wyborami" można rozumieć na wiele sposobów. Mogło ono oznaczać, że opozycja nie wezwie do bojkotu, albo, że nie będzie starała się kontrolować frekwencji wyborczej, albo, że zachęci społeczeństwo do udziału w wyborach, albo nawet, że przedstawiciele opozycji zgodzą się zasiąść w "sejmie" PRL.

Można przypuszczać, że negocjatorzy rządowi zmusili stronę opozycyjną do "zapłaty" w znaczeniu najsilniejszym: opozycja nie tylko ma zasiąść w spełniającym czysto dekoracyjną rolę "Sejmie", ale i zorganizować społeczny entuzjazm w stosunku do niedemokratycznych jak zwykle "wyborów". Po wyrażeniu zgody na taką cenę, Wałęsa nie mógł już powiedzieć prawdy. Zaangażowanie tylu ludzi w akcję wyborczą i masowy udział w "wyborach" można było osiągnąć tylko przedstawiając ów tradycyjny komunistyczny obrządek jako "sukces" społeczeństwa i wielki krok w kierunku "demokracji". Jest to, niestety, oszustwo. Udział społeczeństwa w tych "wyborach" i wejście opozycji do "Sejmu" PRL są ceną jaką Wałęsa zobowiązał się zapłacić, a więc są ustępstwem na rzecz komunistów, a więc służą im, naszym wrogom, a nie nam.

Cóż za interes mają w tym czerwoni? Komuniści już dwa razy zdołali wciągnąć opozycję do współpracy: przed wyborami w styczniu 1947 r. i przed wyborami w styczniu 1957 r. Teraz udało się im po raz trzeci. Historia powtarza się aż do znudzenia: za każdym razem komuniści byli w ciężkim kryzysie politycznym i ich władza wisiła na włosku, za każdym razem przywódcy niezależni zgodzili się poprzeć czerwonych za małą cenę paru miejsc w beśsilnym "Sejmie", za każdym razem komuniści wciągali ich do współpracy hasłami w rodzaju: "Polska jest jedna", "płaszczyzna wspólnych interesów władzy i społeczeństwa", "uznanie stanu faktycznego", "realizm polityczny". Nawet "ratowanie biologicznej substancji narodu" już było! I za każdym razem kończyło się tak samo: po opanowaniu kryzysu politycznego i przejęciu pełni władzy, komuniści eliminowali naiwnych przywódców "niezależnych" z życia politycznego, chociaż ci zaklinali się na wszystkie marksistowsko-leninowskie świętości, że chcą współpracować przy "budowie socjalizmu". Ku rozweseleniu i przestrodze przytoczę parę cytatów (za Józefem Mackiewiczem, "Zwycięstwo prowokacji"):

"Polityka Polski Ludowej stanęła na mocnym fundamencie, wybrała sojusz odpowiadający interesom narodu, sojusz zgodny z perspektywami rozwojowymi naszego narodu. Jest to sojusz ze Związkiem Radzieckim."

"Stwierdzaliśmy wielokrotnie /.../, że ogólny kierunek rozwoju społeczno-politycznego wytyczony dla Polski po drugiej wojnie światowej uważamy za słuszny. Przemiany w Polsce Ludowej zrealizowane dały nam wreszcie zdrową strukturę /.../."

Któż to mówił? Trudno uwierzyć, ale są to fragmenty przemówień sejmowych z lat 1960-61 pośła "niezależnej" grupy "Znak" Stanisława Stommy, obecnie przywódcy "opozycyjnego" Klubu Myśli Politycznej "Dziekania".

Oto dlaczego wejście opozycji do "Sejmu" PRL jest na rękę czerwonym - będzie to widome potwierdzenie odwiecznego kłamstwa komunistów, że ich rządy są rządami z woli ludu. Z tych samych powodów zależy im na naszym masowym udziale w niedemokratycznych ceremoniach "wyborczych". W ten sposób mamy pokazać wszystkim i samym sobie, że godzimy się z tym systemem, że akceptujemy brak demokracji i dalsze rządy komunistów. Obecnie jest to dla czerwonych szczególnie ważne, bo "porozumie- nie narodowe", czyli pogodzenie się społeczeństwa z państwem komunistycznym, jest warunkiem zachodnich kredytów dla PRL. Do tej roli przygotowuje nas teraz neo-"Solidarność".

Słyszysz się opinie, że nowy "Sejm" będzie się jednak różnił od starego, że będzie mógł jednak "coś zrobić" wbrew czerwonym. Pogląd taki bierze się z naiwnego rozumienia mechanizmów władzy. W państwie takim jak PRL żadne ciało przedstawicielskie nigdy nie miało i nie będzie mieć żadnej władzy, bo władza jest tam, gdzie siła, a siła jest całkiem gdzieś indziej. Żaden z fundamentów władzy komunistów: pełna kontrola gospodarki, pełna kontrola aparatu przemocy, pełna kontrola aparatu propagandy nie został w istotny sposób osłabiony przez "porozumienia okrągłego stołu". Zrozumienie, że władza komunistów opiera się koniec końców na przemocy nie wymaga szczególnej przenikliwości i pisze się o tym już od dawna. Na przykład w tygodniku "Jedność", wydawanym przez NSZZ "Solidarność" Pomorza Zachodniego, czytam (nr 47 z 27 listopada 1981 r.): ".../ związek zmuszony będzie do ponoszenia odpowiedzialności za politykę, na którą nie będzie miał wpływu, a nie będzie miał na tę politykę wpływu tak długo, jak długo poza sferą politycznej kontroli pozostają instytucje przemocy, zwłaszcza aparat bezpieczeństwa". Ciekawe, że tą prostą prawdę rozumiał świetnie w 1981 r. Adam Michnik, bo to właśnie on jest autorem przytoczonej wypowiedzi, a całkowicie o niej zapomniał teraz, po siedmiu latach dodatkowo bolesnych doświadczeń z komunizmem.

Wobec tego nawet 35 % posłów "niezależnych" (zakładając, że uda się nie dopuścić na te mandaty komunistycznych marionetek) będzie mogło zrobić akurat tyle, co kilkanaście procent posłów PSL w 1947 r. i parę procent posłów "Znaku" w 1957 r. - czyli dokładnie nic, oprócz ewentualnych rejtanowskich gestów. PRL-owski "Sejm" zawsze był będzie oszukańczą dekoracją, listkiem figowym "demokracji", przysłaniającym totalitarną w swej istocie dyktaturę. To samo dotyczy "Senatu", tym bardziej, że jego rola już nawet od strony formalno- -prawnej będzie czysto dekoracyjna.

Nie będzie natomiast dekoracją stanowisko prezydenta. Strona społeczna zgodziła się na wyposażenie prezydenta w uprawnienia dyktatorskie. Zgodziła się również, co jest już hańbą, na to by tym dyktatorem został "z woli społeczeństwa" Jaruzelski. Właśnie on, morderca "Solidarności" i winowajca ośmiu lat gospodarczej zapaści ! I my udając się do urn wyborczych, mamy na to wszystko wyrazić zgodę.

A więc udział opozycji w "Sejmie" i udział społeczeństwa w "wyborach" przyniesie polityczne korzyści jedynie komunistom. Ci, którzy twierdzą inaczej, mylą się lub kłamią. O ile chodzi o "reprezentantów społeczeństwa" przy "okrągłym stole", to w grę wchodzi ta druga możliwość, bo nie można ich wszak podejrzewać o intelektualną słabość i nieznaną historię. Jedynym ich usprawiedliwieniem może być, że i to kłamstwo uważają za cenę, jaką trzeba zapłacić za "Solidarność". Jednakże nie trzeba było nic płacić, należało po prostu wziąć! Dlatego zaangażowanie się "opozycji konstruktywnej" w komunistyczną farsę wyborczą jest kolosalnym błędem politycznym.

O rozmiarach tego błędu świadczy fakt, który każdy może stwierdzić kręcąc gałkami swego radioodbiornika. Otóż na wszystkich falach, ze wschodu i z zachodu, z "Wolnej Europy" i z "Polskiego Radia" słyszymy ten sam entuzjizm wyrażany nieomal w tych samych słowach. Czyż to nie jest podejrzane ? Wiemy przecież z licznych i długoletnich doświadczeń, że propaganda komunistyczna nadaje rozgłos tylko tym zjawiskom, które uważa za korzystne dla czerwonych.

A jak to wszystko ocenić z moralnego punktu widzenia ? Dla żadnego myślącego człowieka nie jest tajemnicą, że państwo zwane PRL jest specyficzną formą obcego panowania nad nami, jest państwem narzuconym nam przemocą i podstępem. Departament Stanu USA, a w ślad za nim cała polityka Zachodu, uznaje za wskazane podtrzymywanie fikcji formalnej suwerenności PRL. Jest to rzekomo (Bóg wie czemu) świetny środek politycznego nacisku na Sowiety. Oczywiście namiestnicy Kremla w Polsce też są zainteresowani w nachalnym podkreślaniu tej fikcyjnej "niepodległości". Niemniej jest to fikcja.

Miarą politycznej i moralnej słabości Wałęsy i całej "opozycji konstruktywnej" jest, że nigdy nie poddali oni w wątpliwość obowiązującej tezy o "niepodległości" PRL, nigdy nie upomnieli się o niepodległość. Niemniej zdają sobie świetnie sprawę z faktycznej sytuacji (we wspomnianym artykule Kuroń twierdzi, że wszystko, co się dzieje w Polsce, dzieje się za zgodą Gorbaczowa). Wobec tego wejście do "Sejmu" PRL i udział w "niekonfrontacyjnych wyborach" to nie jest tylko poparcie powszechnie zniechęconej władzy, która doprowadziła kraj do bezprzykładnej ruiny. Jest to coś znacznie gorszego, bo jest to poparcie dla władzy okupacyjnej. Kiedyś, gdy ludzie nie bali się nazywać rzeczy po imieniu, takie postępowanie określano jednoznacznie: zdrada i kolaboracja. Piszę to z prawdziwą przykrością, bo jeszcze nie tak dawno temu szanowałem działaczy obecnej "opozycji konstruktywnej".

Udział w wyborach jest więc politycznie szkodliwy i moralnie naganny. Bojkot jest jedynym wyjściem rozsądnym i godnym.

5. Po trzykroć "NIE !"

Obecny chorobliwy entuzjazm wokół wyborów to początek końca przywódców "opozycji konstruktywnej". Zacytuję znów Kuronia ze względu na jego brutalną szczerość (wywiad dla "Washington Post", marzec 1989) "Jeśli uda się nam zbudować demokratyczne instytucje, część radykalnej opozycji przyłączy się do nas, a reszta będzie odgrywać tylko marginalną rolę. Ale jeśli nam się to nie uda, będziemy zdyskredytowani i radykałowie zyskają ogromny kapitał polityczny. A to będzie miało katastrofalne skutki dla kraju". Nigdy nie uda się panu, panie Kuroń, zbudować demokratycznych instytucji w totalitarnym państwie. To ab- surd. A więc zostanie pan zdyskredytowany, oby jak najszybciej. A tym "katastrofalnym skutkiem" będzie wolność !

Początek końca "opozycji konstruktywnej", którą zmiotą nadciągające młode pokolenia, jest też, niestety, końcem "Solidarności". Neo-"Solidarność" będzie związkiem scentralizowanym, rządzonej po dyktatorsku przez przewodniczącego Wałęsę i jego wasali, współpracujących z komunistami. Neo-"Solidarność" to nie "Solidarność". Naszą "Solidarność" zabrali nam komuniści tak jak zabrali symbole i sztandary narodowe, zabrali Mickiewicza i Piłsudskiego, zabrali ZHP, PCK, "Caritas" i wszystko czego nie zniszczyli. Społeczeństwo to czuje, nie ma tego entuzjazmu i nadziei co we wrześniu 1980 r., jest zamieszanie i zagubienie.

Wszystko to, chociaż smutne, jest też optymistyczne. Musimy odrzucić stare struktury i starych przywódców, choćby to nie wiem jak boleło.

Musimy odświeżyć stare idee i wymyślić nowe. A na dziś, jeśli nie możemy zaszkodzić czerwonym, to przynajmniej im nie pomagajmy. A więc PO TRZYKROĆ "NIE!"

Alfred B. Gruba - czerwiec 1989 r.

SERWIS AGENCJI INFORMACYJNEJ SOLIDARNOŚCI WALCZĄCEJ CZERWIEC 1989 - <http://www.abcnet.com.pl/1989-wrzesien>
Stawomir Bugajski. „Norbert Liszka”, „Alfred B. Gruba” (1941-2003) - fizyk, działacz opozycyjny. Do wiosny 1981 r. w PZPR, działacz NSZZ Solidarność, w stanie wojennym internowany. Działacz Solidarności Walczącej, organizator i pierwszy przewodniczący Oddziału Katowickiego, w X 1982 r. z przyczyn politycznych zwolniony z pracy. Czołowy publicysta organizacji, członek redakcji „PIK”.

07.06.2009 22:07 14

292. PAŃSTWO „NIESPRZYJAJĄCYCH OKOLICZNOŚCI”

Opublikowany przed kilkoma dniami Raport Biura Bezpieczeństwa Narodowego - „*Analiza w sprawie oceny rzetelności działań podejmowanych przez urzędy państwowe w związku z uprowadzeniem i śmiercią Piotra Stańczaka*” - zawiera, w moim przekonaniu istotny brak w zakresie ustalenia stopnia odpowiedzialności politycznej osób winnych zaistniałej sytuacji. 14 stron merytorycznego Raportu BBN, jest analityczną odpowiedzią na „*Raport Ministerstwa Spraw Zagranicznych w sprawie polskiego obywatela porwanego w Pakistanie*”, wypowiedzi polityków oraz doniesień medialnych (krajowych i zagranicznych) związanych z porwaniem i śmiercią Piotra Stańczaka”. I choć końcowa konkluzja dokumentu nie stanowi niespodzianki, - jest on ważnym potwierdzeniem zarzutów, formułowanych wielokrotnie pod adresem obecnego rządu.

O ile jednak - w dokumencie BBN- u dokonano rzeczowej analizy polityki MSZ, od dnia porwania krakowskiego inżyniera, do czasu odzyskania jego zwłok i precyzyjnie wskazano zakres odpowiedzialności ministra Sikorskiego, o tyle - z zupełnie niezrozumiałych przyczyn pominięto kwestię odpowiedzialności premiera rządu, za zaniedbania i brak koordynacji działań polskich służb specjalnych.

Już podstawowy, słuszny zarzut, zawarty w pkt. 2 raportu BBN-u, wskazujący, „**że brak było w Polsce jednego ośrodka koordynującego i decyzyjnego w sprawie uwolnienia Polaka**”, zadziwił mnie stwierdzeniem, jakoby nie można było określić, kto koordynuje działania służb specjalnych. Punkt ten brzmi następująco:

„*Problem właściwej koordynacji działań był kluczowy w sprawie uwolnienia P.Stańczaka. Z wypowiedzi polityków udzielanych bezpośrednio po śmierci P.Stańczaka wynikało, iż w praktyce były dwa ośrodki koordynacyjne: w MSZ (w którym za koordynację odpowiadał kierunkowy podsekretarz stanu) oraz na poziomie służb specjalnych, gdzie koordynacją zajmował się osobiście Sekretarz Kolegium ds. Służb Specjalnych, Sekretarz Stanu w KPRM Jacek Cichocki. Sprawą porwania Polaka w MSZ zajmowało się kolejno czterech wiceministrów spraw zagranicznych: Ryszard Schnepf, Przemysław Grudziński, Jan Borkowski i od grudnia 2008 r. Jacek Najder. Nie było natomiast wskazania, kto koordynował akcję dyplomatyczną oraz działania służb specjalnych.*

Według MSZ, „...zgodnie z konstytucyjną powinnością zapewnienia opieki państwa obywatelom polskim za granicą, Ministerstwo Spraw Zagranicznych w dniu 28.09.2008 roku podjęło się koordynacji działań na rzecz Polaka porwanego w Pakistanie”. W zdaniu tym istnieje rozbieżność logiczna: jeżeli koordynacja była obowiązkiem MSZ, to sformułowanie „podjęło się” jest nieuprawnione.

Według Raportu MSZ, powołany sztab kryzysowy został przekształcony w Zespół Koordynacyjny. Nadzór nad jego pracą został powierzony Sekretarzowi Stanu oraz Podsekretarzowi odpowiedzialnemu za region Azji i Pacyfiku, a koordynacja pracy zapewniona została przez dyrektora Departamentu Konsularnego i Polonii.”

Ponieważ wnioski końcowe Raportu BBN, dotyczą Radosława Sikorskiego i zostały sformułowane na podstawie odpowiedzialności konstytucyjnej ministra spraw zagranicznych, podobnie należałoby postąpić w kwestii ustalenia osób odpowiedzialnych za koordynację działań służb specjalnych.

Przypomnę więc, że podczas wystąpienia sejmowego, w dniu 24 .11.2007 roku Donald Tusk zapowiedział likwidację stanowiska koordynatora ds. służb specjalnych i oświadczył, iż odtąd on sam ponosi odpowiedzialność w tym obszarze. Taką samą deklarację, Tusk powtórzył w styczniu ubiegłego roku, informując, że będzie sprawował osobisty nadzór nad służbami.

Wydaje się zatem rzeczą bezsporną, że odpowiedzialność za brak koordynacji działań służb specjalnych z działaniami dyplomatycznymi w sprawie porwanego Polaka, obciąża bezpośrednio premiera rządu.

Choć na str. 6 Raportu BBN postawiono pytanie o osobę koordynującą działania operacyjne - „*Powstaje wątpliwość kto podejmował decyzje (Zespół nie mógł czegośkolwiek powierzać, bowiem miał charakter „ściśle konsultacyjny”). Kto weryfikował postęp działań operacyjnych i określał dynamikę działań dyplomatyczno-politycznych, skoro nadzorujący pracę Zespołu wiceminister nie miał dopuszczenia do informacji ściśle tajnych*” - to w dalszej treści próżno szukać odpowiedzi na tę wątpliwość.

Odpowiedzialność Donalda Tuska jest o tyle poważna, a jednocześnie rażąca, że wszystkie trafnie zdefiniowane w Raporcie zarzuty (nazwane wątpliwościami) mają bezsporny związek z działaniami służb specjalnych. Zostały one wymienione w 4 punktach:

1.Istnieją rozbieżne informacje w sprawie żądań terrorystów.

2.Opublikowane materiały wskazują, że brak było w Polsce jednego ośrodka koordynującego i decyzyjnego w sprawie uwolnienia Polaka.

3.Brak było efektywnej współpracy z Pakistanem w sprawie uwolnienia P.Stańczaka.

4.W raporcie MSZ nie wspomniano w ogóle o problemie ewentualnego niedopełnienia obowiązków przez osoby zaangażowane w proces uwolnienia P.Stańczaka oraz ujawnienia tajemnicy państwowej.

Warto przede wszystkim zauważyć, że cały dokument sporządzony przez Biuro Bezpieczeństwa Narodowego, jest krytyką pod adresem dysponenta obecnych służb specjalnych. Nie może być inaczej, skoro stanowi negatywną recenzję Raportu MSZ z maja br., który według zapowiedzi wiceministra spraw zagranicznych Jacka Najdera, miałby „*opisem działania, jakie zostały podjęte przez nasze służby oraz dyplomatów, aby uwolnić Piotra Stańczaka z rąk talibów*”. Zgodnie z marcową zapowiedzią Najdera, „*Raport nie będzie zawierał informacji o działaniach tajnych. [...] musi być tak skonstruowany, żeby nie ujawniać kuchni ani instrumentów, jakimi się posługiwały służby w czasie tej operacji.*”

Z pewnością - Raportowi MSZ nie można odmówić wysokiego stopnia sekretności. Jego tajność rozciąga się przede wszystkim na nazwiska osób tworzących tzw. Zespół Koordynacyjny, oraz na okrycie tajemnicą działań poszczególnych osób bądź organów - przez co skutecznie uniemożliwia ustalenie stopnia i zakresu ich odpowiedzialności. Na 24 stronach pomieszczono bowiem opis sytuacji politycznej w Afganistanie i omówiono stan bezpieczeństwa w tym państwie oraz dokonano „*analizy aspektów prawnych porwania Polaka w Pakistanie w kontekście zidentyfikowania, poszukiwania oraz ukarania sprawców*”. Wszystko po to, by dojść do wniosku, że odpowiedzialność za zamordowanie Polaka ponosi „**splot niesprzyjających okoliczności**”.

Na ów „splot okoliczności”, składały się, zdaniem MSZ następujące czynniki:

1. brak gotowości rządu pakistańskiego do spełnienia żądań stawianych przez terrorystów,

2. brak woli porywaczy do zmiany żądań politycznych na inne warunki uwolnienia,

3.międzynarodowy charakter sytuacji zakładniczej obywatela RP, będącej elementem szerszych oczekiwań Talibów wobec rządu Pakistanu (w tym czasie Polak nie był jedynym uprowadzonym cudzoziemcem”).

Przez cały tekst rozwlekłego dokumentu MSZ, niczym uporczywa mantra przewija się zapewnienie, iż rząd polski „uczynił wszystko, co było możliwe”. Zaprezentowany w Raporcie „szczegółowy harmonogram zrealizowanych działań” ma uzasadniać owo „wszystko”. Dość zauważyć, iż zawiera nawet wyszczególnienie rozmów telefonicznych. Najwyraźniej ilość zdarzeń dyplomatycznych miałyby świadczyć o determinacji i woli działań polskiego rządu. Z łatwością natomiast można dostrzec, że nawet w obszarze dyplomacji były to działania bardzo nieregularne i mocno ograniczone, co jest widoczne np. w okresie od grudnia do stycznia br. Analiza tego dokumentu, sporządzona przez BBN niezwykle skrupulatnie wylicza wszystkie uchybienia.

W rażącej sprzeczności z deklaracjami MSZ i służb, iż „uczyniono wszystko” stoją ujawnione w Raporcie „zasady postępowania wypracowane przez Zespół Koordynacyjny”. Dowiadujemy się bowiem, że jedną z podstawowych zasad tego Zespołu było „...powierzenie stronie pakistańskiej prowadzenia działań na rzecz uwolnienia Polaka”, „...regularna kontrola i weryfikacja aktywności pakistańskiej...” oraz „...uzależnienie dynamiki działań dyplomatyczno - politycznych od wyników weryfikacji aktywności pakistańskiej i postępu działań operacyjnych”. Zgodnie z tymi zasadami, już w październiku 2008 r. zapadła decyzja Zespołu Koordynacyjnego o „powierzeniu stronie pakistańskiej prowadzenia działań na rzecz uwolnienia Polaka”.

Nie trzeba być ekspertem w dziedzinie służb specjalnych, by dostrzec rażącą sprzeczność, między rozpoznaniem przez służby wewnętrznej sytuacji w Pakistanie, a decyzją o scedowaniu na stronę pakistańską działań na rzecz uwolnienia Polaka. Jeśli bowiem na str. 3 Raportu MSZ czytamy, że do „niekorzystnych uwarunkowań, które pośrednio wpłynęły na nieskuteczność prowadzonych przez działania należy dodatkowo zaliczyć:

1. trudną sytuację międzynarodową Pakistanu, łącznie z zagrożeniem konfliktem zbrojnym z Indiami po zamachach w Mumbaju,
2. skomplikowaną sytuację wewnętrzną z wysokim zagrożeniem terrorystycznym,
3. rozbieżności w działaniach po stronie pakistańskiej,” -

to na jakiej podstawie i kto podjął decyzję o „powierzeniu stronie pakistańskiej prowadzenia działań na rzecz uwolnienia Polaka”?

Nie wiemy - jakie działania i w jakim zakresie zostały scedowane na Pakistańczyków, jednak decyzja Zespołu Koordynacyjnego, podjęta tuż po porwaniu wydaje się błędna - szczególnie, jeśli rozpoznanie sytuacji w Pakistanie winno skłaniać do działań samodzielnych i poszukiwania sprzymierzeńców w państwach mających realne wpływy w tym regionie.

W sposób wyjątkowo jaskrawy i dramatyczny, błąd ten staje się widoczny, gdy przeczytamy „relację z najważniejszych działań zrealizowanych w wyniku prac zespołu” ze strony 14 raportu MSZ, za miesiąc luty br. - czyli w czasie, gdy zamordowano naszego rodaka. Enigmatyczność tej „relacji” mocno kontrastuje z ostatnim jej punktem:

- gwałtowna intensyfikacja działań dyplomatycznych (ponowny wyjazd Specjalnego Wysłannika) i operacyjnych w związku z ultimatum,
- zapewnienia strony pakistańskiej o dobrym kierunku negocjacji,
- zaskakujące załamanie rozmów, śmierć porwanego,

Pamiętamy, że tuż po porwaniu Polaka pojawiły się w mediach wypowiedzi sugerujące przeprowadzenie operacji militarnej z udziałem jednostki „Grom”.

„Zastanawiamy się nad wyborem skalpela, którym przeprowadzimy operację” - mówił we wrześniu 2008 roku gen. Roman Polko. „Nawet w ramach ćwiczeń przygotowuje się na taką operację, niezależnie od tego, czy zostały wydane odpowiednie rozkazy przez przełożonych - powiedział, komentując sprawę uprowadzenia Polaka. - „GROM jest gotowy do tego typu działań. Tego typu akcje to jednak także domena dyplomatów - przypomniał Polko. I dodał rzecz niezwykle istotną, komentując fakt wycofania z Pakistanu innych polskich pracowników.:

- „Po raz kolejny wycofujemy się z miejsca, w którym sytuacja robi się trudna. Wycofanie wszystkich sił nie jest dobrym rozwiązaniem. Terrorysty osiągnęli już więc częściowo sukces”.

W podobnym tonie wypowiadał się wówczas gen. Sławomir Petelicki, twierdząc, że „gdyby GROM wziął udział w operacji odbicia zakładnika, to Pakistańczycy byłiby zadzwoleni, gdyż spadłaby z nich duża część odpowiedzialności”. „Z tego powodu sądzę - mówił były dowódca GROM-u, - że władze w Pakistanie powinny się zgodzić”.

W Raporcie MSZ próżno szukać odpowiedzi na pytanie - kto i kiedy zdecydował o rezygnacji z tej operacji i postanowił „powierzyć stronie pakistańskiej działania na rzecz uwolnienia Polaka”. Wicepremier Grzegorz Schetyna, już po śmierci inżyniera Stańczaka ujawnił, jakoby rząd miał plan odbicia porwanego. - „Ale bardzo szybko negatywnie zweryfikowany - przyznał Schetyna.

Jednocześnie, podczas konferencji prasowej w dn.10 lutego br. (tuż po zamordowaniu Polaka) mogliśmy usłyszeć, jak Donald Tusk i Jacek Cichocki, (który w kancelarii odpowiada za służby specjalne), zapewniali, że nie było możliwości użycia w Pakistanie nasich wojsk, (czy oddziałów specjalnych w bezpośredniej akcji przeciwko porwaczom inżyniera.

„Gdyby ktoś porwał się na tego typu zadanie, to, bez żadnych szans na uwolnienie Polaka, naraziłby na śmierć kolejnych naszych obywateli, najlepszych naszych żołnierzy” - ocenił szef rządu. Cichocki zaś podkreślił, że „bardzo intensywne działania na poziomie służb podjęto natychmiast - od pierwszych chwil, kiedy dotarła informacja o porwaniu Polaka. Ani razu w ciągu tych czterech i pół miesięcy nie zaistniała sytuacja i możliwość (...), aby wysłać tam jednostki specjalne”.

W kontekście wypowiedzi gen. Polko - którego trudno posądzać o dyletanctwo, szokująco brzmią słowa wypowiedziane wówczas przez Donalda Tuska: „Kiedy słyszę dzisiaj niektórych domorosłych ekspertów, którzy twierdzą, że taka możliwość była, to cieszę się, że nie oni podejmowali decyzję w tych krytycznych chwilach”.

Przytaczam te wypowiedzi, ponieważ stanowią wyrazisty dowód braku koordynacji działań w początkowej, najistotniejszej fazie, po porwaniu inżyniera Stańczaka. Jeśli nawet pomysły z interwencją GROMU byłyby nierealne, to wyczekująca, bierna postawa Zespołu Koordynującego wskazuje, że od początku zakładano, iż sprawę uda się „załatwić” rękami Pakistańczyków, a realny udział strony polskiej ograniczono do kontaktów na szczeblu dyplomatycznym. Nie może zatem dziwić, jeśli po kilku miesiącach tego rodzaju „nacisków” polskie służby straciły sposobność do efektywnego działania. Błędna kalkulacja staje się tym mocniej widoczna, jeśli pamiętać, że faktyczną władzę w zakresie spraw bezpieczeństwa Pakistanu sprawuje wszechwładny wywiad pakistański - Inter Services Intelligence Departament. Tymczasem, w początkowym okresie po porwaniu ograniczono się wyłącznie do kontaktów na szczeblu dyplomatycznym z rządem Pakistanu, a polskie służby uaktywniły się dopiero pod koniec ubiegłego roku.

30 listopada 2008r ambasador Zenon Kuchciak spotkał się w Kabulu z przedstawicielami służb specjalnych Afganistanu (NDS) oraz w Ambasadzie USA z przedstawicielami służb amerykańskich (DIA, CIA, FBI i CJ2X). Jeszcze później, bo 23 stycznia br

pojechał do Pakistanu Szef Sztabu Wojska Polskiego gen. Gągor, oraz płk Dariusz Zawadka, dowódca jednostki GROM, a 31 stycznia br odbyło się spotkanie przedstawiciela Ambasady RP w Islamabadzie z zastępcą Dyrektora Generalnego Departamentu ds. Walki z Terroryzmem Pakistańskich Służb Specjalnych ISI gen.. Waseemem Ayubem. Czy dopiero wówczas sondowano możliwość wsparcia ofensywy sił pakistańskich przez komandosów z GROM, w rejonie, gdzie uprowadzono Stańczaka?

Możemy oczywiście zakładać, że polskie służby prowadziły działania na terenie Pakistanu i przekazywały rządowi bieżące informacje. Nic natomiast nie wskazuje, by doszło do nawiązania kontaktu z porywaczami i wykorzystania nieformalnych kanałów w dotarciu do uwięzionego inżyniera. Jeśli nawet Jacek Cichocki twierdzi, iż „udało się ustalić region operowania grupy porywaczy i gdzie mniej więcej Polak będzie przemieszczał się razem z terrorystami, a informacje te uzyskano bardzo szybko i stale aktualizowano dzięki ścisłej współpracy naszego wywiadu ze służbą pakistańską i służbami sojuszniczymi” -to nie potrafią, lub nie chcieli ich wykorzystać w celu nawiązania kontaktu. Oświadczenie Cichockiego jest o tyle istotne, że zdaje się wskazywać, iż służby prawidłowo wykonywały swoją robotę, a brak wymiernych efektów tych działań należy przypisać politycznej krótkowzroczności i dyletanctwu premiera w sferze zarządzania służbami.

W lutym br. generał Czempiński, były szef UOP wskazywał, że nie skorzystano z pomocy pakistańskiego mułły Szah Abdul Aziza, który brał już udział w rozmowach z terrorystami. To on właśnie - według największych pakistańskich dzienników, miał być kluczową postacią w rozmowach z talibami w trakcie przetrzymywania polskiego inżyniera. - *Jeśli był to człowiek, który docierał do naszego obywatela, nie wiem, czemu tego nie wykorzystaliśmy* - dziwił się Czempiński i oceniał, że Polacy nie próbowali wykorzystać własnych możliwości wywiadowczych.

W tym miejscu pojawia się najbardziej drażliwy temat, związany z polityczną odpowiedzialnością Donalda Tuska. Na konferencji prasowej w dn.10 lutego br, tuż po informacji o zamordowaniu Polaka, premier oświadczył, „*że w stronę polskiego rządu nie kierowano oczekiwań dotyczących okupu za uwolnienie porwanego w Pakistanie Polaka, a "wszystkie spekulacje mediów - zarówno polskich, jak i pakistańskich na ten temat - trzeba uciąć absolutnie jednoznacznie"*. Jednocześnie stwierdził, że „*rząd, który wdaje się w dywagacje na temat okupu, naraża życie innych swoich obywateli, przebywających poza terytorium swojego kraju*”.

Istnieją podstawy, by nie wierzyć słowom premiera.

Pakistański dziennikarz lokalnego wydania "Newsweeka" Sami Yousafzai stwierdził w rozmowie z Polskim Radiem, że *"Polscy dyplomaci zatrudnili członków miejscowej starszyny plemiennej. To właśnie oni zorganizowali sieć połączeń dzięki którym można było skontaktować się z porywaczami. W pewnym momencie talibowie zażądali 500 tysięcy dolarów. Polacy powiedzieli, że mogą dać 200 tysięcy. Wtedy negocjacje de facto się zakończyły"*. O tym, że pod adresem polskiego rządu wysuwano jednak żądania okupu, świadczy również wypowiedź Donalda Tuska z dn. 6 lutego br. - a więc na dzień przed zamordowaniem inżyniera Stańczaka. Pytany przez dziennikarzy - czy Polska jest gotowa zapłacić okup, Tusk odpowiedział: *„Rząd polski nie płaci nikomu okupów”* i dodał - *„Mam nadzieję, że ta sprawa znajdzie swój szczęśliwy finał”*.

Następnego dnia - po tej właśnie wypowiedzi premiera - polski zakładnik został zamordowany. W kontekście informacji o żądaniach dotyczących okupu, zbieżność reakcji porywaczy na deklarację Tuska, nie może być incydentalna.

Ponownie cytuję słowa gen.Polko :

„Błędem było też jednak powiedzenie otwarcie, że strona polska nie będzie płaciła pieniędzy za życie polskiego obywatela. [...] Zdajemy sobie sprawę, że rzeczywiście zasadą działania jest, że nie płaci się okupów, nie negocjuje się, ale prawda jest taka, że się gra. Gra się również tym, że się zapowiada, że ten okup będzie zapłacony. W tego typu rozmowach, w tego typu negocjacjach nie można, nawet jeśli jest taka zasada działania, ogłaszać tego publicznie, w tak wrażliwym, tak ważnym momencie, gdy to życie się decydowało - Każdy członek rządu, czy każdy decydent jest członkiem sztabu kryzysowego. Sztab kryzysowy składa się z ekspertów, z ludzi z wywiadu i to oni powinni podpowiedzieć panu premierowi, co powinien powiedzieć na konferencjach” - ocenił Polko. Również Raport BBN nie pozostawia wątpliwości w tej kwestii. Na str.10 możemy przeczytać:

„Znawca kultury islamu, prof. Janusz Danecki, wyraził opinię, że w Pakistanie dobrze byłoby przyjęte, gdyby tuż po porwaniu przyleciał do tego kraju ważny przedstawiciel polskich władz. Zwyczajowo talibowie negocjują okup z rodziną porwanego lub innymi wskazanymi osobami jego narodowości. Wynika to z kultury rodowo - plemiennej. Dlatego wypowiedź premiera z 6 lutego 2009 r. mogła być sygnałem dla talibów, że rządowi polskiemu tak naprawdę niezbyt zależy na uwolnieniu porwanego i czy nie zyskają oni więcej na jego śmierci, niż na kolejnych niekończących się negocjacjach.

W kulturze ludzi wschodu „targowanie się” jest niemal rytuałem i wyrazem dobrego tonu oraz poważnego traktowania adwersarza. Milcząca postawa Rządu RP m.in. w kwestii wyznaczenia nagrody za uwolnienie P.Stańczaka, brak rozmów z porywaczami prowadzonych przynajmniej za pośrednictwem polityków pakistańskich powiązanych ze środowiskiem talibów, z góry wskazywała na duże prawdopodobieństwo niepowodzenia uwolnienia Polaka. Taktyka ta była świadomą decyzją Rządu RP”.

Wobec tak stanowczych, a uprawnionych twierdzeń, zawartych w Raporcie BBN - niedopowiedzenie w kwestii odpowiedzialności Donalda Tuska za brak koordynacji działań służb specjalnych z działalnością dyplomatyczną - musi zaskakiwać. We wszystkich zaniechaniach rządu w sprawie porwania widoczne są te same, właściwe politykowi Platformy cechy; pozorność działań, ucieczka przed odpowiedzialnością, brak inicjatywy i odważnych koncepcji.

To dość, by w sferze tak ważnej jak nadzór nad służbami dochodziło do zdarzeń niebezpiecznych i kompromitujących.. W praktyce premier rządu nie jest w stanie osobiście i na co dzień kontrolować służb. Po prostu, z racji licznych obowiązków nie ma na to czasu. Dlatego wzorem wielu krajów, w imieniu premiera nadzór nad służbami sprawował specjalnie powołany minister konstytucyjny. W rządzie PO-PSL zrezygnowano z tej funkcji, a premier zadeklarował, że będzie osobiście nadzorował służby. Nie wiemy, czy powodem tej decyzji był brak chętnych na stanowisko koordynatora, czy też służby specjalne stały się priorytetem w polityce obecnego rządu i wymagały osobistego nadzoru ze strony szefa Rady Ministrów. Po prawie dwóch latach tego stanu rzeczy widać, że Tusk nie jest w stanie wypełnić swojej deklaracji. Służby pod jego rządami działają bez realnej kontroli i odpowiedniego nadzoru, a bieżąca koordynacja pięciu służb staje się fikcją.

Ten chaos w sposób szczególnie jest widoczny w sferze polityki personalnej. Można się zastanawiać - jaki wpływ na działania Agencji Wywiadu w sprawie porwanego Polaka miał fakt, że tuż przed wrześniowym zdarzeniem premier odwołał trzech wiceszefów Agencji - osoby bez politycznych konotacji, za to z wieloletnim doświadczeniem w służbach niepodległej Polski? Jednocześnie 11 sierpnia 2008 r premier powołał na szefa Agencji Wywiadu Macieja Hunię, a w grudniu nowego zastępcę

Szeffa, ppłk Marka Stępnia.. Ta karuzela stanowisk, zmiany przeprowadzane co trzy miesiące nie służą żadnej organizacji, a tym bardziej instytucji tak wrażliwej, zajmującej się bezpieczeństwem, jaką są służby specjalne. Jednak rzeczą najbardziej niepokojącą, jest reakcja obecnych decydentów na Raport BBN. Warto przytoczyć niektóre wypowiedzi:

Donald Tusk : „Nikt nie ma prawa wykorzystywania tego typu tragedii do własnych, doraźnych celów politycznych. Sprawa jest przykra. Nie chcę jej komentować, bo musiałbym użyć zbyt mocnych słów pod adresem instytucji, która obsługuje prezydenta w ważnych sprawach bezpieczeństwa narodowego. - Wydaje mi się, że tylko jedno słowo jest tutaj zasadne: skandal.”

Paweł Graś: „Z dużym zdumieniem zareagowałem na to i przez długi moment nie mogłem uwierzyć, że coś takiego pojawiło się w tym momencie. Uważam to za absolutnie haniebną atak wyborczy na rząd. Na kilka dni przed wyborami wykorzystywanie ludzkiej śmierci, ludzkiej tragedii uważam za absolutnie haniebne i niedopuszczalne”.

Radosław Sikorski: „Analiza BBN w sprawie śmierci zamordowanego w Pakistanie geologa Piotra Stańczaka, to polityczna gra przed zbliżającymi się wyborami do Parlamentu Europejskiego. Wychodzenie z takimi oszczerstwami świadczy tylko o braku dobrego smaku, kogoś kto sprawuje ważny urząd państwowy”.

Skandal, hańba, oszczerstwa - ten zasób epitetów zdaje się wyczerpywać zdolności refleksyjne członków obecnego rządu. Żadna z wypowiedzi nie odnosi się do merytorycznej zawartości Raportu, w żadnej nie usłyszeliśmy zaprzeczenia tezom stawianym przez analityków Biura Bezpieczeństwa Narodowego.

Niedopuszczalne jest kojarzenie sprawy zabójstwa polskiego inżyniera z celami bieżącej polityki - szczególnie tak odległymi od istoty sprawy, jak wybory do parlamentu europejskiego. To cyniczny, choć wygodny sposób na obejście ważnego tematu. Po pełnych emocji, efekciarskich wystąpieniach polityków - nad Raportem zapadła cisza. Nie wzbudził zainteresowania dziennikarzy, nie zainspirował publicystów. Można odnieść wrażenie, że bezpodstawne miano „haniebnego ataku wyborczego” zostało bezkrytycznie zaakceptowane i wykorzystane jako wytłumaczenie tchórzliwego milczenia.

Nie chcę posługiwać się taną demagogią i pytać - co będzie, jeśli powtórzy się porwanie polskiego obywatela, a władze państwowe znajdą usprawiedliwienie dla swoich błędów w „splocie niesprzyjających okoliczności”? Zbyt często, w 20 - leciu III RP słyszeliśmy to tłumaczenie z ust polityków, by uznać je za zadowalające. Nie ma najmniejszego znaczenia, czy używają go ludzie Platformy, czy stosują działacze PiS-u.

W tej sprawie ujawniła się słabość naszego państwa, zła koordynacja działań, bezsilność służb, ucieczka od odpowiedzialności. To zjawiska, których fatalne skutki, odczuwalne przez każdego z nas wykraczają poza ramy bieżącej polityki i są ważniejsze od wyborczych ambicji kilku sfrustrowanych polityków.

Źródła:

<http://www.bbn.gov.pl/download.php?s=1&id=2108>

<http://bi.gazeta.pl/im/1/6585/m6585961.pdf>

<http://konflikty.wp.pl/kat,1342,title,Co-sluzby-zrobily-ws-porwanego-Polaka-bedzie-raport,wid,10938470,wiadomosc.html?ticaid=1827a>

<http://wiadomosci.polska.pl/polityka/article,Premier,id,309988.htm>

<http://wiadomosci.onet.pl/1834238,11,item.html>

http://wiadomosci.gazeta.pl/Wiadomosci/1,80708,5743952,Petelicki_Polaka_moze_uwolnic_GROM.html

<http://www.grom.mil.pl/forum/viewtopic.php?p=4835&sid=f41c52b6339b5b938df4a509d17be3e6>

<http://polska.mil.pl/forum/viewtopic.php?t=4791>

http://www.polityczni.pl/premier_polska_zrobila_wszystko_by_zapobiec_%C5%9Bmierci_polaka_w_pakistanie,audio,55,3331.html

<http://fakty.interia.pl/raport/porwanie-polaka/news/premier-rzad-polski-nie-placi-nikommu-okupow,1255884>

<http://www.tvn24.pl/1,1585195,druk.html>

http://wiadomosci.gazeta.pl/Wiadomosci/1,80271,6685184,Tusk_o_raporcie_BBN_To_skandal_.html?utm_source=RSS&utm_medium=RSS&utm_campaign=4189158

http://wiadomosci.gazeta.pl/Wiadomosci/1,80269,6684686,Gras_Raport_BBN_to_haniebny_atak_wyborczy_na_rzad.html

<http://fakty.interia.pl/raport/porwanie-polaka/news/sikorski-analiza-bbn-to-polityczna-gra-przed-wyborami,1317525,5836>

09.06.2009 10:53 22

293. JAK SB BUDOWAŁA NOWĄ POLSKĘ...

Chyba niewiele jest dokumentów, które w tak bezpośredniej formie wskazują na prawdziwe mechanizmy powstawania III RP i weryfikują propagandowe wyobrażenia o tamtym okresie.

Dokument poniższy został sporządzony przez Służbę Bezpieczeństwa i datowany jest na dzień 26 lipca 1989 r. Znalazł się w teczce Wydziału II MSW, zatytułowanej „Analiza sytuacji po wyborze Tadeusza Mazowieckiego na premiera” i - jak wynika z pisma przewodniego, został przesłany przez Kierownika Grupy Operacyjno-Sztabowej w Sekretariacie Szeffa SB MSW płk Leonarda Kaczorkiewicza do ministra Czesława Kiszczaka.

Data dokumentu świadczy, iż powstał on przed powołaniem rządu Tadeusza Mazowieckiego, - tuż po artykule Michnika „Wasz prezydent, nasz premier” i po wyborze gen. Jaruzelskiego na prezydenta PRL. Jak kaže nam wierzyć oficjalna propaganda, był to czas, gdy pokonałmy komunę, a wybory parlamentarne otworzyły drogę do „nowej Polski”.

W tle tych historycznych zdarzeń, funkcjonowała nietknięta „republika MSW”. W sierpniu 1989 r. liczyła sobie 124 tys. etatów (w tym 8500 w centrali), podzielonych na pionów. W Milicji Obywatelskiej zatrudnionych było 62 tys. funkcjonariuszy, w Służbie Bezpieczeństwa 24, 3 tys., w jednostkach pomocniczych (administracja, kwatermistrzostwo, służba zdrowia) 20 tys., w szkolnictwie resortowym 4,5 tys. i w ZOMO około 13 tys. funkcjonariuszy. Do tego należy doliczyć 33 tys. żołnierzy podległych resortowi jednostek wojskowych (Nadwiślańskie Jednostki Wojskowe oraz Wojska Ochrony Pogranicza), a ponadto około 32 tys. pracowników cywilnych. Ogółem, „imperium Kiszczaka” liczyło blisko 190 tys. funkcjonariuszy i pracowników, mogących się obawiać, że zmiany, jakie przyniesie ewentualne porozumienie władz „Solidarnością”, odbiją się na nich bezpośrednio. Nie wolno zapominać, że kolejną grupą żywotnie zainteresowaną ewentualnymi zmianami w kraju była armia ponad 90 tys. tajnych współpracowników SB - podstawowe narzędzie pracy operacyjnej. To dzięki nim minister spraw

wewnętrznych był niewątpliwie osobą najlepiej poinformowaną o tym, co się dzieje w środowiskach opozycji i jakie są nastroje społeczeństwa.

Oczywiście - największe obaw mogli żywić funkcjonariusze Służby Bezpieczeństwa, która właśnie przeżywała okres największego rozwoju. Już w końcu lat siedemdziesiątych na jej barki władza komunistyczna złożyła zadanie utrzymania ustroju, odstępując od prób ideologicznego uformowania społeczeństwa. W ślad za tym szedł oczywiście rozwój liczebny, organizacyjny i poszerzanie kręgu „zainteresowań operacyjnych”. W końcu lat osiemdziesiątych nie było właściwie dziedziny życia społecznego i gospodarczego w Polsce, którą nie zajmowałyby się komórki SB.

Prezentowany poniżej dokument jest projektem przystosowania Służby Bezpieczeństwa do wymogów nowych czasów. Sporządzony przez samych esbeków i nazwany „konceptcją wstępną”, wskazuje na te obszary życia publicznego, w których rola SB - jako policji politycznej została nadal utrzymana. Co istotne - sami esbecy przyznają, że spełniali i będą spełniać w „nowej Polsce” rolę policji politycznej.

Każdy z czytelników, znających dalsze dzieje III RP może sam ocenić - na ile koncepcje esbeków znalazły zastosowanie po 4 czerwca 1989 r. W tekście znajduje się kilka (wytyłuszczonych przeze mnie) fragmentów, które w kapitalny sposób wskazują na instrumentalny sposób traktowania nowej rzeczywistości i zamiar zachowania funkcji kontrolnych przez „nową” policję polityczną.

Już pierwsze zdanie, - o „państwie socjalistycznym nowego typu” - zdumiewa trafnością diagnozy. By wzmocnić to wrażenie, warto zacytować inny fragment dokumentu z tego okresu - „załącznika do informacji dziennej z dn.07.04.1989 r”, w którym SB przedstawia komentarze różnych środowisk na temat zakończenia obrad „okrągłego stołu”. Czytamy tam m.in.:

*„Środowiska inteligentne we wstępnych komentarzach parafowanie komunikatu o zakończeniu obrad „okrągłego stołu” oceniają jako wydarzenie mające historyczne znaczenie dla Polski. **Dominuje pogląd, że wynikiem rozmów jest stworzenie nowego, zreformowanego systemu społeczno-politycznego, którego podstawą będzie społeczeństwo obywatelskie, funkcjonujące w państwie socjalistycznej demokracji parlamentarnej**”.*

Miano „socjalistycznej demokracji parlamentarnej” wydaje mi się niezwykle trafne na określenie „nowego bytu państwowego” - jaki wyłaniał się z porozumienia komunistów z „legalnymi opozycjonistami”.

Koncepcja esbeków wskazuje, że doskonale zdawano sobie sprawę z kierunków najbliższych zmian w państwie i potrafiąco znaleźć skuteczne „środki zaradcze”. W opracowaniu historyka wrocławskiego oddziału IPN Pawła Piotrowskiego „Przemiany w MSW w latach 1989-1990” znajdziemy informacje, które jednoznacznie wskazują, iż „konceptcja wstępna” z lipca 1989 roku została precyzyjnie zrealizowana. Czytamy tam m.in.:

„Zagadnienia związane z funkcjonowaniem MSW nie były podejmowane podczas rozmów okrągłego stołu. Strona „solidarnościowa”, w tej kwestii, jak również w sprawach dotyczących wojska i polityki zagranicznej, oddała pole władzom. Przed wyborami nastroje w resorcie nie należały do najgorszych, jednostki SB w terenie dostawały zadania informowania o kampanii wyborczej Komitetu Obywatelskiego „Solidarności”, jak też stawiania pytań, jakie „społeczeństwo” miało zadawać kandydatom strony solidarnościowej, np. „czy jest pan przekonany, że demokratyczne kraje zachodnie udzielają altruistycznie pomocy opozycji w Polsce”, lub „jaki ma pan konkretny plan zahamowania inflacji w Polsce. [...] Początki zaniepokojenia w MSW dostrzec można dopiero po nieudanej misji sformowania rządu przez gen. Kiszczaka i przyjęciu przez OKP tezy „wasz prezydent, nasz premier”. Gorączkowe prace nad reorganizacją SB prowadzone w sierpniu zakończyły się 24 sierpnia 1989 r., czyli w dniu, w którym Tadeusz Mazowiecki objął funkcję premiera. Na mocy zarządzenia nr 075/89 z 24 sierpnia 1989 r. zlikwidowano dotychczasowe Departamenty III, IV, V, VI, Biuro Studiów SB oraz Inspektorat Ochrony Przemysłu MSW. W ich miejsce powstały nowe departamenty: Ochrony Konstytucyjnego Porządku Państwa, Ochrony Gospodarki oraz Studiów i Analiz. Charakterystyczne, że dotychczasową retorykę, odwołującą się do służby partii, próbowano obecnie zastąpić koniecznością ochrony państwa

Zmian dokonywano w takim pośpiechu, że dopiero we wrześniu miały miejsce ustalenia dotyczące obszarów zainteresowań nowych struktur.[...] Departament Ochrony Konstytucyjnego Porządku Państwa miał nadal „rozpracowywać” takie organizacje „niekonstruktywnej opozycji”, jak KPN, „Wolność i Pokój” oraz oczywiście „Solidarność Walcząca”, natomiast Departament Ochrony Gospodarki nadal „ochraniać” całą gospodarkę, łącznie zadaniami dotychczasowego Departamentu V i VI. Nie trzeba dodawać, że w ślad za tą „reorganizacją” nie poszły żadne większe zmiany kadrowe, aparat nadal trwał niewzruszenie. [...]

W ślad za zmianami organizacyjnymi poszły również zmiany liczebne; jeszcze w lipcu 1989 r. SB liczyła 24 300 funkcjonariuszy, z w styczniu 1990 r. było już tylko 7200 etatów. Oczywiście nie przeprowadzono żadnej poważnej redukcji, dokonano tylko „papierowego” wyjęcia z SB, wywiadu, kontrwywiadu, pionów zabezpieczenia, co zmniejszyło stan SB w sierpniu do 9200 osób, dalszą redukcję osiągnięto, przenosząc 2000 etatów do MO.”

Warto jeszcze dodać słowo o słynnej weryfikacji Służby Bezpieczeństwa. Na propagandową fikcyjność tego procesu najlepiej wskazują cyfry. Funkcjonariuszy SB poddano weryfikacji w lipcu 1990 roku. Spośród ponad 14 tys. osób 8681 (czyli 61 proc.) przeszło ją pomyślnie, w pierwszej instancji, czyli w komisjach wojewódzkich, natomiast 4880 odwołało się do Centralnej Komisji Kwalifikacyjnej, która uchyliła decyzje komisji wojewódzkich w stosunku do 1800 osób. Ogółem więc spośród 14 038 funkcjonariuszy, pozytywnie zaopiniowano 10 439, natomiast negatywnie - 3595.

Byli esbecy zasilili kadry Urzędu Ochrony Państwa, stali się biznesmenami, bankowcami, urzędnikami, wydawcami prasy, - czynnie włączyli się w budowę III Rzeczypospolitej i zadbali o „ochronę bezpieczeństwa” nowego państwa.

Warszawa , 1989.07.26

Tajne egz.nr.1

OCHRONA BEZPIECZEŃSTWA WEWNĘTRZNEGO PAŃSTWA W NOWYCH WARUNKACH SPOŁECZNO - POLITYCZNYCH I GOSPODARCZYCH.

/ koncepcja wstępna/

I. Polska Rzeczpospolita Ludowa przeobraża się w państwo socjalistyczne nowego typu. Realizowane są uchwały X Plenum KC PZPR i porozumienia zawarte przy „okrągłym stole”. Zaistniała nowa sytuacja społeczno polityczna, która wyraża

się w daleko idącym pluralizmie parlamentarnym i zarysowującym się liberalizmie gospodarczym. Rozluźnieniu uległy dotychczasowe więzi koalicyjne partii i stronnictw politycznych, do Sejmu i Senatu weszła licząca się opozycyjna siła polityczna.

Przemiany te powodują konieczność dostosowania organizacji państwa oraz sposobu sprawowania władzy do potrzeb społeczeństwa, w którym w ostatnich dziesięcioleciach zaszły istotne przewartościowania i zmiany strukturalne. Skutkiem pogłębiającej się demokratyzacji życia społecznego będzie m.in. zwiększenie parlamentarnej kontroli nad funkcjonowaniem służb resortu spraw wewnętrznych. Świadczy o tym nasilające się żądanie opozycji nowelizacji ustawy o Urzędzie Ministra Spraw Wewnętrznych i odpolitycznienie resortu. Należy się liczyć także z jakościową zmianą zadań Służby Bezpieczeństwa i ich charakteru. Zapewne zmianie ulegnie także charakter służby - z aparatu o charakterze dotychczas partyjno-politycznym **przekształci się w służbę typu państwowej policji politycznej, który nie musi być tożsamy z interesem poszczególnych partii politycznych.** Stanie się organem wykonawczym o stosunku do ustawy zasadniczej.

Zalegalizowanie istnienia i działalności opozycji politycznej, swoboda zrzeszania się i głoszenia poglądów spowoduje, że zmieni się zakres pojęcia wrogiej działalności ideologicznej i politycznej, co znacznie ograniczy merytoryczny zakres zainteresowań Służby Bezpieczeństwa. Podobnie w sferze gospodarczej, niektóre zjawiska przestaną być zaliczane do przejawów wrogiej działalności.

Niezależnie od powyższych nieuchronnych przekształceń powinnością Służby Bezpieczeństwa będzie służyć narodowi polskiemu, bez względu na układ sił politycznych w kraju i dynamikę przemian polityczno-ustrojowych. Podstawowym zadaniem SB jest i będzie ochrona bezpieczeństwa państwa, które należy rozumieć jako stan rzeczy zapewniający warunki do nie zakłóconego funkcjonowania organów władzy i administracji, a społeczeństwu umożliwiając korzystanie z pełni praw i swobód obywatelskich przysługujących suwerenowi.

Ochrona tak rozumianego bezpieczeństwa wewnętrznego kraju będzie polegać na poprawnym kształtowaniu wzajemnych stosunków między społeczeństwem, a organami władzy i innymi instytucjami państwowymi realizującymi podstawowe zadania w interesie ogólnonarodowym, z poszanowaniem praw i interesów jednostek.[...]

Natomiast w zakresie zapobiegania powstawaniu i likwidowaniu zagrożeń o charakterze politycznym, obowiązek ochrony bezpieczeństwa spełniać musi specjalnie do tego celu powołana wyspecjalizowana służba państwowa, którą jest obecnie SB. Służba ta w zakresie szeroko rozumianego zapobiegania zagrożeniom bezpieczeństwa wewnętrznego państwa winna prowadzić także wykrywanie i rozpoznawanie wszelkich przejawów naruszania bezpieczeństwa i interesów państwa bez względu na to, kto się tego dopuścił.

Do zadań służby ochrony bezpieczeństwa wewnętrznego państwa winno należeć przede wszystkim:

- ochranianie porządku konstytucyjnego w kraju,
- ujawnianie ekstremalnej działalności politycznej godzącej w porządek prawny państwa,
- wykrywanie i likwidowanie organizacji terrorystycznych, niezależnie od ich charakteru politycznego,
- zabezpieczanie interesów państwa w szczególnie ważnych dziedzinach takich jak: nauka, wynalazczość, nowe technologie, bankowość i finanse;
- angażowanie się w działania wymierzone przeciwko przestępczości w sposób szczególnie naruszającej interes państwa, np. korupcja /sięgająca szczebli centralnych/, afery przemytnicze, nielegalny międzynarodowy handel bronią i narkotykami, działalność typu mafijnego;
- wypracowywanie nowych koncepcji działalności profilaktycznej.[...]

II. [...] Służby resortu przede wszystkim prowadzić winny działania operacyjne koncentrując się na ujawnianiu, zapobieganiu i zwalczaniu szeroko rozumianej działalności skierowanej nie przeciwko jakiegokolwiek legalnie działającej organizacji politycznej lecz przeciwko podstawowym interesom państwa.

Z tego też względu, w większym niż dotychczas zakresie należy dążyć do wytworzenia obrazu Służby Bezpieczeństwa, jako służby, której zadaniem jest strzec praworządności i działać zgodnie z interesami i oczekiwaniami całego społeczeństwa.

W związku z utratą możliwości ingerencji resortu w procesy powoływania i rejestracji stowarzyszeń, товариств., itp. oraz dotychczasowej kontroli ich funkcjonowania, zmianom muszą ulec formy i metody pracy, mające głównie na celu operacyjną kontrolę tych organizacji i ich liderów. W tym zakresie należy rozszerzyć współdziałanie poszczególnych służb WUSW z wydziałami społeczno-administracyjnymi Urzędów Wojewódzkich. Działania resortu z oddziaływań administracyjnych winny przejść w prewencyjne.

W sferze gospodarczej musi pogłębić się współdziałanie MSW z systemem bankowym i aparatem fiskalnym. Wynika to m.in. z możliwości dopływu i zaangażowania kapitału zagranicznego do sektora państwowego i prywatnego gospodarki narodowej.

Wskazane byłoby m.in. rozważenie stworzenia systemu precyzyjnego pozamerytorycznych wymagań wobec kandydatów na określone stanowiska w administracji i gospodarce państwowej, z uwzględnieniem ochrony bezpieczeństwa państwa. Wynika to m.in. z decyzji o odchodzeniu od dotychczasowego systemu nomenklatury.

Wydaje się konieczne, aby w zakresie problematyki wyznaniowej praca operacyjna była głęboko zakonspirowana. Z uwagi na uregulowania prawne stosunków między państwem, a Kościołami niezbędne jest wypracowanie nowych metod pracy na tym odcinku.

Szczegółowe rozważania zależne są od ustalenia w nowych warunkach polityczno-ustrojowych miejsca i roli SB w strukturze naczynych organów administracji państwowej. Pozwoli to m.in. na:

- selekcję zainteresowań służby ochroną sfery politycznej i gospodarczej;
- określanie zadań priorytetowych o znaczeniu strategicznym/długofalowym/, jak i taktycznych /instrumentalnych/;
- reformę struktury wewnętrznej resortu z określeniem zadań na poszczególnych szczeblach /centralnym i koncepcyjno-sztabowym; wojewódzkim - koordynacyjno - nadzorczym; rejonowym - wykonawczym/.

IV. Zachodzi potrzeba określenia - odpowiednio do zaistniałej sytuacji - nowej organizacji wewnętrznej SB i jej miejsca w strukturze organów państwowych.

Celowe wydaje się, aby rozważyć zasadność utrzymania SB w systemie Rady Ministrów jako jednego z wyspecjalizowanych organów MSW. Takie usytuowanie stwarza szerokie możliwości ingerencji i kontroli inspirowanych przez przedstawicieli różnych ugrupowań politycznych w parlamencie i rządzie.

Rozwiązaniem alternatywnym bardziej korzystnym byłoby podporządkowanie SB jako państwowej policji politycznej Prezydentowi PRL będącemu organem właściwym także w sprawach bezpieczeństwa państwa. W takim przypadku kierownictwo służby winien sprawować w imieniu prezydenta mianowany przez niego kompetentny przedstawiciel - Szef tej służby, odpowiadający za swą działalność przed Prezydentem i Trybunałem Stanu.

V. Niezależnie od tego, która z koncepcji usytuowania SB zostanie przyjęta, koniecznym wydaje się dokonanie zmian strukturalnych i kompetencyjnych w samej służbie. Z uwagi na zmianę zakresu pojęcia wrogiej działalności politycznej i sposobu rozumienia interesów państwa zmianie ulegną merytoryczne zainteresowania dotychczasowych pionów i departamentów.

W tej sytuacji celowe wydaje się utworzenie w służbie trzech podstawowych pionów merytorycznych. Jeden z nich winien swym zainteresowaniem objąć całokształt zagrożeń o charakterze politycznym - bez względu na środowiska, w jakich powstają. Drugi natomiast powinien zajmować się ochroną istotnych interesów gospodarczych państwa. Trzecim pionem byłby wywiad i kontrwywiad.

Opracowano w Służbie Bezpieczeństwa.

Źródła:

http://www.ipn.gov.pl/ftp/rok1989/Analiza%20sytuacji%20po%20wyborze%20T.Mazowieckieigo%20na%20premiera%20BU_1585_702.pdf

http://www.rok1989.pl/porta1/r89/1158/8675/Archiwum_Centrali_IPN.html

Paweł Piotrowski - „Przemiany w MSW w latach 1989-1990” - Biuletyn IPN 4/2004

10.06.2009 12:20 26

294. IPN - NAPRZECIW OCZEKIWANIOM PLATFORMY

„W proponowanym przez nas , projekcie nowelizacji ustawy w pierwszej kolejności mówimy o uchyleniu klauzul tajności wobec materiałów dotyczących osób bezpośrednio lub pośrednio wywierających wpływ na życie publiczne, w tym wszystkich funkcjonariuszy publicznych oraz osób podlegających lustracji. Uważamy, że wiedza dotycząca tych osób powinna być dostępna w każdej chwili, zaś w stosunku do osób podlegających lustracji niezwłocznie po złożeniu przez nie oświadczenia lustracyjnego. Dlatego [...] proponujemy, aby znacząco rozszerzyć grupę osób podlegających lustracji o kategorię osób mających istotny wpływ na życie społeczne. Jednocześnie proponujemy pełne otwarcie dla wszystkich zainteresowanych dostępem do materiałów zgromadzonych na temat tych osób w archiwach Instytutu Pamięci Narodowej.

Po drugie, [...] proponujemy zniesienie klauzuli tajności w odniesieniu do materiałów komunistycznych służb specjalnych, a w szczególności dotyczy to uchylenia bariery 1983 r., która zakazuje udostępniania danych o agenturze z lat 1983-1990. W rezultacie do jawnych i powszechnie dostępnych zbiorów zostałyby w naszym projekcie dołączone materiały wytworzone przez komunistyczne tajne służby do maja 1990 r., czyli do czasu, kiedy powołano Urząd Ochrony Państwa. [...] wymogi bezpieczeństwa państwa powinny być spełnione poprzez istnienie wyodrębnionego zbioru materiałów zastrzeżonych, których zawartość powinien aktualizować prezes Instytutu Pamięci Narodowej, a nie, jak dotychczas, szefowie służb specjalnych”. - poseł Grzegorz Schetyna- Sejm -5 kadencja, 12 posiedzenie, (09.03.2006)

Jestem przekonany, że członkowie Platformy Obywatelskiej uznają ostatnią inicjatywę IPN za spełnienie własnych postulatów i z wdzięcznością spojrzą na działania Instytutu.

Oczekując przez blisko dwa lata na realizację zapowiedzi lustracyjnych Platformy, IPN postanowił wyjść naprzeciw oczekiwaniom polityków i elektoratu tego ugrupowania.

Zapowiada się prawdziwy przełom w poznawaniu historii PRL. Już w czerwcu IPN udostępni naukowcom i dziennikarzom komputerową kartotekę ze zgromadzonymi w archiwach SB danymi Polaków. Nowa baza, zawierająca ponad półtora miliona tzw. rekordów pozwoli zidentyfikować wielu agentów. Dzięki niej łatwiej będzie można ustalić, czyje donosy gromadzono w teczkach obiektowych i spraw operacyjnego rozpracowania (SOR). Tzw. obiektówki i SOR zawierają bowiem kopie donosów agentów, także tych, których tecki personalne i pracy zniszczono.

Jak zapewnia Prezes IPN Janusz Kurtyka - nowa baza danych, inaczej niż dotychczasowe katalogi Instytutu, pozwoli ze stuprocentową pewnością zidentyfikować konkretną osobę. Zawierać będzie bowiem takie dane osobowe, jak nazwisko, imię, datę i miejsce urodzenia, imiona rodziców i nazwisko panięńskie matki. Do tej pory w IPN zeskanowano wszystkie kartoteki wojewódzkich urzędów spraw wewnętrznych. W trakcie przenoszenia do nowej bazy jest jeszcze najważniejszy zasób - centralna Kartoteka Ogólnoinformacyjna MSW.

Jak trafnie zauważa Dominik Zdort z „Rzeczpospolitej” - „Jeśli można mieć do Instytutu o coś żal, to tylko o to, że to nowe narzędzie będzie na razie dostępne jedynie dla nielicznych. Że - choć są takie możliwości techniczne - do katalogów nie będzie można zajrzeć przez Internet. Że tylko dziennikarze i badacze z rekomendacją swoich redakcji i uczelni będą mogli przekroczyć drzwi do sali, w której stoją komputery z dostępem do owej cennej bazy danych. Warto zapytać, dlaczego nie wszyscy? Dlaczego zwykły obywatel nie miałby prawa sprawdzić, czyje nazwisko - i w jakim charakterze - pojawiało się w kartotekach SB? Dlaczego te informacje wciąż muszą być filtrowane przez dziennikarzy i badaczy?”

Nie martwiłbym się jednak tym ograniczeniem. Dziennikarze mediów wszelakich prześcigają się wszak w staraniach, by rządząca Polską koalicja znajdowała w nich sprzymierzeńców w propagowaniu cennych przedsięwzięć i pomysłów. Pojawia się zatem okazja, by dziennikarze pomogli politykom Platformy w realizacji ich lustracyjnych projektów.

Dlatego jestem głęboko przekonany, że dziennikarze znający opinię Grzegorza Schetyny na temat dostępu do danych, zawartych w katalogach IPN - będą gorliwie dążyć do przeprowadzenia kwerend w nowej bazie Instytutu i powszechnie ujawniać znajdujące się tam materiały. Być może - czeka nas bardzo gorące lato.

<http://orka2.sejm.gov.pl/Debata5.nsf/main/7997C34C>

http://www.rp.pl/artukul/9158,317885_Zdort_IPN_otwiera_kolejne_drzwi_.html

http://www.rp.pl/artukul/55271,317953_Nowa_baza_IPN_ulatwi_lustracje

12.06.2009 21:39 50

295. O RADOŚCI POLITYKA

Czego potrzebuje polityk, by czuć się szczęśliwym? Zapewne - władzy. A jeśli tej władzy nie posiada, a co gorsza - został usunięty z partii, która potencjalnie, kiedyś może po władzę sięgnąć i znalazł się na pozycji bezdomnego gracza? Czym wówczas ma karmić swoją próżność, na czym budować polityczną nieodzowność? Gdzie koić ból zawiedzionej ambicji i poczucie krzywdy?

Doprawdy - bycie politykiem wyrzuconym z gry, nie jest pozycją godną pozazdroszczenia. I podobnie, jak wartość człowieka możemy poznać po tym w jaki sposób znosi porażkę, tak wielkość polityka nigdy mocniej nie staje się zauważalna, jak w chwilach, gdy przestaje być szczęśliwym i traci ów atrybut „władzy”.

Budzi wówczas szacunek lub żaloszny rechot.

Ten polityk wie, w jakim państwie przyszło mu żyć, czym są w tym państwie media, po co i jak zadawane są pytania. Żadna łaska niewiedzy nie chroni jego honoru.

Przed kilkoma tygodniami zachwycił się słowami Biasa z Prieny - jednego z „siedmiu mędrców greckich”. Pouczał on, że przyjaciel należy kochać tak, jakby kiedyś mieli się stać naszymi wrogami.

„Bardzo mi ta maksyma przypadła do serca i rozumu”. - napisał polityk - „Ale - zastanowiłem się - skoro jest ona prawdziwa, to prawdziwe musi być też jej lustrzane odbicie: wrogów należy nienawidzić tak, jakby kiedyś mieli się stać naszymi przyjaciółmi. A obie te maksymy trafnie opisują jedną z podstawowych dyspozycji duchowych, do jakich powinien być zdolny polityk, by zasługiwać na to dumne miano”.

A mnie, przypominała się opowieść o innym mędrцу starożytnej Grecji - Sokratesie.

Oto przybiegł do niego znajomy i zdyszany zaczął opowiadać:

- Sokratesie, muszę ci coś powiedzieć, twój przyjaciel...

- Poczekaj - przerwał mu mędrzec. Czy to, co chcesz powiedzieć, przesiałeś przez trzy sita?

- Trzy sita? - zdziwił się sprawozdawca.

- Tak, przez trzy sita. Pierwsze to prawda. Czy jesteś pewny, że wszystko, co chcesz mi powiedzieć, jest zgodne z prawdą?

- No nie wiem. Opowiedział mi to...

- Ale - przerwał filozof - z pewnością przesiałeś to przez drugie sito, a jest nim dobro. Czy to, co chcesz mi powiedzieć, jest przynajmniej dobre i pożyteczne?

- Przeciwnie...

- To weźmy jeszcze trzecie sito i zapytamy, czy to, co chcesz mi powiedzieć, jest niezbędne?

- Niezbędne? Chyba nie...

- A zatem - uśmiechnął się Sokrates - jeżeli to, co chcesz mi powiedzieć, nie jest ani prawdziwe, ani dobre, ani niezbędne, to nie obciążaj tym ani siebie, ani mnie.

Czy to opowieść potrzebna politykowi? Być może. Tylko wówczas, gdy sprawianie radości wrogom swoich dawnych przyjaciół - daje mu jeszcze niewielkie poczucie szczęścia. I nazbyt jest bliskie mętnym rozrywkom renegata. Później, słowa stają się zbyteczne.

23.06.2009 19:13 69

296. MEDIALNY OREŻ „OBROŃCÓW PRAW CZŁOWIEKA”.

Jeśli nie da się o pewnych sprawach skutecznie kłamać, tak - by zachować przynajmniej pozory prawdy - rozwiązaniem staje się wówczas przemilczenie. Ów propagandowy zabieg, znany doskonale z praktyki PRL-u wynika z przekonania, że problem, o którym się nie mówi, nie istnieje, albo sam z siebie znika.

Nie może zatem dziwić, że główne media przemilczały fakt kolejnej wygranej sądowej ministra Macierewicza. Tylko na podstawie wzmianki na stronie internetowej Tygodnika „Głos”, mogliśmy się dowiedzieć, że Sąd Rejonowy dla Warszawy Śródmieścia, II Wydział Karny umorzył postępowanie w sprawie, którą Antoniemu Macierewiczowi wytoczył były pracownik Polservice Jacek Wojnarowski, za umieszczenie jego nazwiska w Raporcie o likwidacji WSI.

W działaniach byłego Przewodniczącego Komisji Weryfikacyjnej sąd nie doszukał się dowodów wskazujących na popełnienie czynu zabronionego, wskazującego na zniesławienie.

W sprawie procesów wytaczanych Macierewiczowi, przez dotkniętych na honorze współpracowników WSI to kolejne, charakterystyczne przemilczenie.

Podobnie - przed miesiącem główne media solidarnie przemilczały wygraną w procesie wytoczonym przez Waltera i Wejcherta - twórców ITI, którzy pozwali Macierewicza za słowa, pochodzące z wywiadu prasowego w „Rzeczpospolitej” z lutego 2007 r, „żekoncern ITI powstał dzięki wojskowym służbom PRL”. Identycznie przemilczano styczniową wygraną Macierewicza, w procesie wytoczonym przez Krzysztofa Kluzka - byłego wiceprezesa PKN Orlen.

Te same media, nie uznały również za konieczne poinformować nas, że sądy już wcześniej oddały pozwy ITI w tej sprawie - uznając, że Macierewicz „wykonując obowiązki

Przewodniczącego Komisji Weryfikacyjnej działał zgodnie z prawem”.

Przypuszczam, że jawnie manifestowana nieprzychylność polskich dziennikarzy, wobec byłego szefa SKW znajduje podstawę w innych słowach Macierewicza, pochodzących z wywiadu dla „Rzeczpospolitej”. Zadał wówczas prowadzącemu wywiad ważne pytanie:

„Dlaczego żaden z dziennikarzy nie poszedł do panów Waltera i Wejcherta i nie zapytał, jak to było z tworzeniem ich koncernu medialnego w latach 80.? Opisałem w raporcie kwestie z tym związane bardzo wyraźnie. Nikt z państwa nie zadał takiego pytania”.

Ano - nie zadał i nie zada, bo dziennikarska odwaga zdaje się nie wykraczać poza poziom połajania „konformistycznych” blogerów, a pryncypialne „głoszenie poglądów z otwartą przyłbicą” ma przecież swoje granice.

Przemilczanie orzeczeń sądowych korzystnych dla Macierewicza, zdaje się mieć jednak bardziej istotną przyczynę. Orzeczenia te zawierają bowiem twierdzenie, którego sens zadaje dotkliwy i celny cios dwuletniej kampanii propagandowej, przy pomocy której próbowano dyskredytować Raport z Weryfikacji WSI, działania Komisji Weryfikacyjnej i samego Macierewicza.

Prawdopodobnie, już po pierwszym korzystnym dla ministra postanowieniu warszawskiego Sądu Okręgowego, z kwietnia ubiegłego roku, oddalającego pozew Jana Wejcherta, spece od propagandy zdali sobie sprawę, że tylko przemilczeniem niewygodnej prawdy można zapewnić sobie wpływ na opinię społeczną. Wówczas już bowiem sąd podkreślił, że Macierewicz „działał w granicach prawa, nie jako osoba prywatna, ale urzędnik państwowy - szef Komisji Weryfikacyjnej ds. WSI i mówił o urzędowym dokumencie opublikowanym przez prezydenta - raporcie z weryfikacji WSI”.

Ten sam sąd, oddalając pozew Wejcherta orzekł również, że „dokument urzędowy chroni domniemanie prawdziwości i autentyczności, czego nie obalono, podobnie jak nie obalono zgodności z prawem trybu i formy powołania Macierewicza na stanowisko państwowe”.

Orzeczenie sądu zadawało kłam, trwającej od miesięcy kampanii dezinformacji, w której Macierewicza przedstawiano jako nieodpowiedzialnego szaleńca, a likwidację WSI jako proces szkodliwy dla państwa i niemal półlegalny.

Twierdzenia te, miały kapitalne znaczenie dla skutecznego, zgodnego z prawem i logiką odrzucenia wszystkich medialnych zarzutów, pomówień, oszczerstw i kłamstw, jakie o Raporcie i jego autorach wyprodukowali funkcjonariusze medialni.

Wszak nikomu z nich, nigdy nie przyszło do głowy, by atakować jakiegokolwiek ministra rządu Donalda Tuska za to, że wykonując swoje konstytucyjne obowiązki realizuje ustawę, uchwaloną przez Sejm. Co więcej - bodaj w całej, 20 letniej historii III RP próżno szukać podobnego przypadku, by media z taką determinacją, przy pomocy manipulacji faktami dopuszczały się zamachu na dokument urzędowy, dyskredytując jego znaczenie i treść.

Poza jednym przypadkiem. W identyczny, sprzeczny z prawem sposób działano w 1992 roku, gdy ten sam minister legalnego rządu RP wykonywał uchwałę sejmową „o ujawnieniu tajnych współpracowników Służby Bezpieczeństwa zajmujących stanowiska w najwyższych władzach państwa”.

Najwyraźniej, Antoni Macierewicz przejdzie do historii jako ten, który dwukrotnie wywołał niebывały w państwie demokratycznym, prawny precedens - gdy media, z aprobatą i przy współudziale organów państwa, atakowały i próbowały skompromitować urzędowy akt prawny i dokonania konstytucyjnego ministra.

W przeświadczeniu, że przemilczanie korzystnych orzeczeń sądowych jest elementem świadomej taktyki manipulacji, utwierdza również zachowanie ludzi, którzy w III RP mienia się „obrońcami praw człowieka”. Zastuzona skądinąd organizacja Helsińska Fundacja Praw Człowieka prowadzi na swojej stronie internetowej program „Prawa człowieka a rozliczenia z przeszłością”. Jak możemy przeczytać, „celem Programu jest kształtowanie odpowiedniej praktyki tworzenia i stosowania prawa pod kątem respektowania praw i wolności człowieka i obywatela. Działania HFPC polegają także na „monitorowaniu prac ustawodawczych, przygotowywaniu i przedstawianiu opinii prawnych już na tym etapie. Ponadto, działania te obejmują również szeroko rozumiane poszerzanie świadomości prawnej w społeczeństwie - w bardziej lub mniej sformalizowanych formach. To ostatnie poprzez udzielanie porad w indywidualnych sprawach, współpracę z mediami, zamieszczanie opracowań na stronie internetowej Programu”.

W zakresie monitorowania spraw sądowych, związanych z Raportem z Weryfikacji WSI, znajdziemy obszerny wykaz postępowań, w których Antoni Macierewicz występuje w charakterze pozwanego. Warto dodać, że wielu z rzekomo poszkodowanych korzysta z pomocy prawnej HFPC, a Fundacja występuje przed sądem jako tzw. amicus curiae - przyjaciel sądu, prezentując swoje stanowisko - zawsze zgodne z żądaniami pozwu.

Jak zatem należy tłumaczyć fakt, że w wykazie spraw sądowych nie znajdziemy tych postępowań, które zakończyły się korzystnie dla Antoniego Macierewicza, a w szczególności dotyczących licznych pozwów Wejcherta i Waltera oraz spółki ITI? Próżno też szukać ważnego orzeczenia Sądu Okręgowego, w sprawie Krzysztofa Kluzka.

To zadziwiające przemilczenie, musi być postrzegane jako rażąca manipulacja - zwłaszcza, gdy porównamy praktykę działania „obrońców praw człowieka” w przypadku innych zagadnień.

Gdy tylko bowiem pojawia się groźba naruszenia interesów agentury i jej mocodawców, Fundacja podejmuje działania z wprost niebывałą, dla tego typu organizacji dziarskością.

Oto 10 czerwca br. ukazał się w „Rzeczypospolitej” artykuł Cezarego Gmyza, zatytułowany „IPN udostępni gigantyczną bazę ofiar i katów”, zawierający informację o nowej bazie danych Instytutu, udostępnionej dziennikarzom i naukowcom.

Natychmiast, bo już tego samego dnia, prezes zarządu Fundacji, pani Danuta Przywara wystosowała sążyste pismo do prezesa IPN, w którym zawarła 13 szczegółowych, bardzo dociekliwych pytań, związanych z nową inicjatywą Instytutu. Już lektura pierwszych pytań pozwala zauważyć, o co szczególnie troszczą się „obrońcy praw człowieka”. Czytamy m.in:

1. Jakie przesłanki leży u podstaw decyzji o utworzeniu katalogu osób, o których informacje zawarte są w znajdujących się w zasobie archiwalnym Instytutu Pamięci Narodowej dokumentach organów bezpieczeństwa państwa;
2. Jaka jest podstawa prawna utworzenia katalogu, to znaczy, jaka jest podstawa ustawowa jego utworzenia, ewentualnie jaki akt wewnętrzny Instytutu Pamięci Narodowej reguluje jego utworzenie i funkcjonowanie, ponadto czy stanowisko w sprawie utworzenia katalogu zajęło Kolegium Instytutu Pamięci Narodowej; [...]
4. O jakiego rodzaju osobach w katalogu znajdują się informacje, to jest jakiego rodzaju powiązania z organami bezpieczeństwa państwa, bądź jakiego rodzaju zainteresowanie z ich strony stanowiło podstawę zamieszczenia w nim informacji o konkretnej osobie;”

Gorliwy pośpiech obrońców towarzystwa, które mogło się poczuć zagrożone działaniami IPN-u , prowadzi ich nawet do formułowania tyleż żenujących, co bezprawnych ponagleń. W zakończeniu pisma możemy bowiem przeczytać:

„Zdajemy sobie sprawę z tego, że ustawa o dostępie do informacji publicznej w art. 13 ust. 1 przewiduje 14-dniowy termin na udostępnienie informacji publicznej w trybie wnioskowym. Jednakże ze względu na wagę informacji, o które prosimy będziemy wdzięczni za ich udostępnienie w możliwie szybszym terminie”.

Zaiste - waga informacji, o które występuje Fundacja musi być znaczna, bo od niej przecież może zależeć los tysięcy szpicli, agentów i prowadzących ich esbeków, przez dziesięciolecia terroryzujących polskie społeczeństwo.

To samo społeczeństwo, - w ocenie maisteramowych mediów i instytucji podobnych do HFPC, nie zasługuje już na prawdziwą i rzetelną informację. Gdzie zatem ma szukać obrońców swoich praw?

Źródła:

http://glos.com.pl/index.php?option=com_content&task=view&id=1397&Itemid=76

http://www.antonimacierewicz.pl/index.php?option=com_content&task=view&id=170&Itemid=115

http://www.antonimacierewicz.pl/index.php?option=com_content&task=view&id=188&Itemid=72

<http://www.wprost.pl/ar/127834/Macierewicz-mial-prawo-mowic-o-raporcie-WSI/>

http://www.hfhrpol.waw.pl/przeszlosc-rozliczenia/index.php?option=com_content&task=category§ionid=3&id=15&Itemid=39
http://www.hfhrpol.waw.pl/przeszlosc-rozliczenia/images/stories/rozliczenia/2009_06_10_hfpc_prezes_ipn_ad_lista_w_bis.pdf
<http://cogito.salon24.pl/77636,kto-przeprasza-agentow>
<http://cogito.salon24.pl/77623,kto-przeprosi-macierewicza>

16.06.2009 16:29 45

296. KRĘGI ŚLEDZTWA - PROKURATURA

„W nawiązaniu do rozmowy telefonicznej, w załączeniu przesyłam odpis postanowienia prokuratora, skierowanego do Polkomteli SA Plus z prośbą o spowodowanie udzielenia odpowiedzi na to postanowienie” - pismo tej treści z dn.21 listopada 2001 roku znajduje się w aktach śledztwa, w sprawie porwania Krzysztofa Olewnika, prowadzonego przez Prokuraturę Rejonową w Sierpcu. Jego adresatem, był ówczesny minister infrastruktury Andrzej Piłat.

W dniu 27 maja br, w trakcie 7 posiedzenia Komisji Śledczej, podczas którego przesłuchiowano prokuratora Leszka Wawrzyniaka z Sierpca - pierwszego z szeregu prokuratorów prowadzących śledztwo, - odbył się następujący dialog:

„Poseł Zbigniew Wassermann: To jest załącznik nr 16 tomu drugiego, karta nr 366. Proszę popatrzeć na to. Do kogo to jest adresowane? Do pana ministra Piłata. Przez kogo podpisane?

Pan Leszek Wawrzyniak: Na pewno nie przeze mnie.

Poseł Zbigniew Wassermann: A co może pan powiedzieć na temat tego dokumentu?

Pan Leszek Wawrzyniak: Pierwszy raz go widzę.

Poseł Zbigniew Wassermann: Czego dotyczy? Czego dotyczy ten dokument?

Pan Leszek Wawrzyniak: Podpis postanowienia prokuratora skierowanego do prokuratury z prośbą o spowodowanie udzielenia odpowiedzi na to postanowienie.

Poseł Zbigniew Wassermann: Czyli billingu?

Pan Leszek Wawrzyniak: Billingui.

Poseł Zbigniew Wassermann: Pan prokurator powiedział, że pan się tym zajmował.

Pan Leszek Wawrzyniak: Bo ja kierowałem do operatorów, natomiast to skierowane jest do ministra i tutaj podpisane jest...

Poseł Zbigniew Wassermann: No, ja...

Pan Leszek Wawrzyniak: Pierwszy raz widzę to pismo.

Poseł Zbigniew Wassermann: Właśnie to jest zastanawiające, bo do operatorów się kieruje... Pan Leszek Wawrzyniak:

Pierwszy raz widzę to pismo.

Poseł Zbigniew Wassermann: ...billingi, a nie do ministra. Pierwszy raz pan widzi?

Pan Leszek Wawrzyniak: Tak, pierwszy raz to widzę.

Poseł Zbigniew Wassermann: Tak? Proszę dalej.

Pan Leszek Wawrzyniak: Chciałem tylko powiedzieć jedną rzecz, że na tym dokumencie jest tak nieczytelna pieczęć, że właściwie mi nie wiadomo, kto to wysłał”.

(protokół 7 posiedzenia komisji śledczej, str.132 i nast.)

Prezentuję ten fragment stenogramu z prac sejmowej komisji, ponieważ jest on niezwykle charakterystyczny dla niemal wszystkich dotychczasowych przesłuchań. Odnalezienie w aktach sprawy pisma, (sporządzonego prawdopodobnie przez policjanta) skierowanego do ministra infrastruktury w rządzie Leszka Millera - zdaje się potwierdzać tezę o szczególnej roli, jaką w sprawie Olewnika odegrał Andrzej Piłat.

Począwszy od 27 maja br postowie dokonywali przesłuchań prokuratorów prowadzących i nadzorujących postępowanie w sprawie uprowadzenia i zabójstwa Krzysztofa Olewnika. Przebrnięcie przez kilkanaście stron stenogramów z tych przesłuchań, nie jest zadaniem łatwym. Nie tylko z powodu objętości materiału. Chociaż przeczytałem w życiu wiele dokumentów szokujący swoją treścią, muszę przyznać, że ta lektura sprawia wrażenie piorunujące.

Można, a nawet trzeba poczuć się przerażonym obrazem, jaki wyłania się z dokumentów.

Przeraża styl wypowiedzi funkcjonariuszy prokuratury, brak jakiegokolwiek refleksji i zdolności samooceny, ignorancja wobec faktów, ucieczka od odpowiedzialności. Przeraża pogarda dla prawa, poczucie bezkarności i korporacyjna zмова milczenia, nakazująca bagatelizować ewidentne błędy poprzedników i podwładnych. Przeraża wreszcie, owe wszechobecne - „**nie pamiętam**” - jako skuteczna broń przed prawdą.

Pozostajemy przy wątku sprawy, który przedstawiłem na początku, bowiem specyficzna wymowa tego faktu pozwala dostrzec charakterystyczny sposób reakcji przesłuchiwanym prokuratorów. Pytanie o pismo skierowane do Piłata, wprowało ich w stan silnego zakłopotania. Warto przedstawić stosowne fragmenty przesłuchań, by zaakcentować tę okoliczność:

Prokurator Zofia Rogalska - naczelnik wydziału postępowania przygotowawczego Prokuratury Okręgowej w Płocku, nadzorująca śledztwo w początkowym okresie.

„Poseł Zbigniew Wassermann: I już na koniec chciałem pani prokurator pokazać dokument z akt sprawy. I poprosiłbym również o podejsie. [...]Co pan minister Piłat ma do postanowienia prokuratorskiego w zakresie...

Pani Zofia Rogalska: Tego to ja nie wiem. Ale to my przesyłałismy? Na pewno nie.

Poseł Zbigniew Wassermann: Ja biorę akta sprawy.

Pani Zofia Rogalska: Ja nic nie wiem na temat takiego pisma. To w ogóle...

Poseł Zbigniew Wassermann: Pani prokurator...

Pani Zofia Rogalska: To jest w Radomiu...

Poseł Zbigniew Wassermann: Ja rozumiem, że pani tego wcześniej nie widziała.

Pani Zofia Rogalska: Nie.

Poseł Zbigniew Wassermann: Ale widzi pani teraz, to proszę to ocenić. Czy takie pismo ma jakiegokolwiek uzasadnienie? Czy to jest rzecz zastrzeżona dla prokuratora, jeżeli chodzi o podsłuchy i billingi?

Pani Zofia Rogalska: No, w ogóle dziwię się. Nie wiem, o co chodzi tutaj.

Poseł Zbigniew Wassermann: Ale potwierdza pani, że nie ma to uzasadnienia, że to nie jest...

Pani Zofia Rogalska: Ja nie wiem. Na pewno na polecenie prokuratora nie było to chyba robione, no bo przecież...

Poseł Zbigniew Wassermann: Tak się wydaje.

Pani Zofia Rogalska: Nie, naprawdę nie wiem”.

(10. posiedzenie Komisji Śledczej w dniu 9 czerwca 2009 r. str.75 i nast.)

Prokurator Robert Skawiński, nadzorujący śledztwo z ramienia Prokuratury Okręgowej w Warszawie, w okresie od kwietnia 2003 r. do czerwca 2004 roku:

„Poseł Zbigniew Wassermann: A czy pan prokurator zna taki dokument, z którego treści wynika, że w sprawie podsłuchów funkcjonariusze Policji, właśnie ci, z którymi pan współpracował, a których pan zarządzenia nie zna, zwracali się do pana Piłata w tej sprawie? Znany jest panu taki fakt?

Pan Robert Skawiński: Zwracali się...

Poseł Zbigniew Wassermann: O pomoc w sprawie podsłuchów.

Pan Robert Skawiński: A ja mogę zobaczyć ten dokument? [...]

Pan Robert Skawiński: Nie przypominam sobie tego pisma.

Poseł Zbigniew Wassermann: A gdyby pan znał, to miałoby to jakieś znaczenie?

Pan Robert Skawiński: Nie wiem, czy by to miało jakieś znaczenie, bo jeżeli jest wydane postanowienie, to się kieruje do operatora tam wskazanego. Nie wiem, czemu by miało w tym momencie służyć skierowanie do pana... [...]

Pan Robert Skawiński: Przekazanie... Mogę jeszcze raz? Bo tam...

Przewodniczący: Proszę bardzo, jeszcze raz jest pokazanie.

Poseł Zbigniew Wassermann: Dziwne, prawda?

Pan Robert Skawiński: Pan minister Andrzej

Poseł Zbigniew Wassermann: No, na pewno nie pracownik w Ministerstwie Sprawiedliwości.

Pan Robert Skawiński: Znaczący z treści pisma nie wiem, w jakim celu to pismo do pana akurat... do adresata, zostało skierowane. Ja rozumiem, jaka była prośba zawarta, ale..

Poseł Zbigniew Wassermann: Panie prokuratorze...

Przewodniczący: Ja tylko chcę uzupełnić, że to ksero jest w aktach sprawy, żeby była sprawa jasna, że w aktach sprawy.

Poseł Zbigniew Wassermann: Tak, tak. Ja oczywiście nie oczekuję od pana, że pan wie, jak powstało itd., bo pan mówi, pan go nie zna, pan je zobaczył teraz. Ja tylko pana pytam, czy to nie jest zaskakujące, że to nie prokurator, tylko że to robi funkcjonariusz i to zwraca się do kogoś, kto, wydaje się, że nie powinien mieć z tym nic wspólnego?

Pan Robert Skawiński: Odpowiedź w tym momencie, przepraszam, że znów nawiążę, ale pan poseł w tym momencie już stworzył odpowiedź na temat pisma, ja mam tylko tak lub nie odpowiedzieć. A odpowiedzią będzie to, co pan poseł powiedział.

Poseł Zbigniew Wassermann: Nie, będzie to, co pan powie.

Pan Robert Skawiński: Mogę powiedzieć tak. Jest wydawane postanowienie, kierowane ono jest do operatora. Nie spotkałem się z praktyką i nie bardzo widzę uzasadnienie do tego, z jakiego powodu do jakiegoś nieokreślonego ministra można by zwrócić się właśnie z takim pismem w celu...

Poseł Zbigniew Wassermann: No i pan prokurator się obawiał, a udzielił odpowiedzi normalnie. Takiej oczekiwałem.

Dziękuję.

Pan Robert Skawiński: Proszę mi wybaczyć, ale ja nie jestem tak obyty...”

(8. posiedzenie Komisji Śledczej w dniu 28 maja 2009 r. str.93 i nast.)

Prokurator Jacek Dąbrowski z Prokuratury Okręgowej w Płocku, nadzorujący śledztwo prowadzone przez prok. Wawrzyniaka z Sierpca:

„Poseł Zbigniew Wassermann: To jest ten dokument z karty 366 tomu II, już opisywany. Proszę się z nim zapoznać, do kogo on jest, jaką ma treść.

Pan Jacek Dąbrowski: Nie, nie kojarzę w ogóle tego.

Poseł Zbigniew Wassermann: Ale kojarzy pan osobę pana ministra Piłata?

Pan Jacek Dąbrowski: No, kojarzę, ale...

Poseł Andrzej Mikołaj Dera: To jest podpis zastępcy naczelnika.

Przewodniczący: Dziękuję bardzo. Niech pan, panie prokuratorze, siądzie, tak żeby to było wszystko rejestrowane.

Poseł Zbigniew Wassermann: Czy spotkał się pan z takim problemem, żeby była interwencja do pana ministra Piłata w tej sprawie?

Pan Jacek Dąbrowski: Nie, panie pośle, ja nie widziałem tego pisma w aktach i pierwszy raz to widzę.

Poseł Zbigniew Wassermann: Jest z akt wzięte, panie prokuratorze.

Pan Jacek Dąbrowski: Pierwszy raz to widzę.

Poseł Zbigniew Wassermann: A czy było jakiegokolwiek uzasadnienie, pytam pana jako prokuratora nadzorującego to śledztwo, żeby funkcjonariusz Policji do ministra występował w takiej sprawie?

Pan Jacek Dąbrowski: No, to jest ewenement jakiś, który można pierwszy raz widzieć.

Poseł Zbigniew Wassermann: No, w tej sprawie ewenementów jest sporo, panie prokuratorze, i powiem szczerze, że tak coraz bardziej rozumiem, dlaczego telewizja nie transmituje sprawozdania z obrad komisji, która ma być jawna i której główną wartością jest to, że właśnie ma być publicznie dostępna, no, ale to jest inna sprawa. To już jest sprawa telewizyjna”.

(9. posiedzenie Komisji Śledczej w dniu 2 czerwca 2009 r. str.178 i nast.)

Można śmiało stwierdzić, że wszystkie stenogramy z przesłuchań prokuratorów to dokumenty bez precedensu. Nieczęsto zdarza się, by w jednym miejscu zgromadzono tak potężny ładunek aberracji, indolencji i pospolitej głupoty. Nie chcąc zamęczać czytelników rozlicznymi, a szokującymi cytatami, mam nadzieję, że po lekturze wybranych fragmentów sami zdecydują się sięgnąć po całość dokumentacji.

Koniecznym jednak, należy zwrócić uwagę na niebywale skandaliczny przebieg postępowania, prowadzonego w początkowej fazie śledztwa przez sierpeckiego prokuratora Leszka Wawrzyniaka. Oto w jaki sposób pan Wawrzyniak projektował plan śledztwa w sprawie porwania Olewnika:

„Poseł Zbigniew Wassermann: Bo ja uważam, że zrobiono panu wielką krzywdę, że panu tę sprawę w tych warunkach dano do prowadzenia. Dlaczego, pytam? Dlatego że tu pan odpowiadał kolegom postom, że pan aktywnie w sprawie uczestniczył, że pan przecież sporządzał plany i aktualizował. Ja trafiłem na taki aneks do planu śledztwa, nie wiem, czy go pan pamięta.

Pan Leszek Wawrzyniak: Nie pamiętam.

Poseł Zbigniew Wassermann: **Tam są rewelacyjne czynności do wykonania. Jeżeli sprawcy uwolnią pokrzywdzonego, to pan obiecał, że go pan przesłucha, ale jak go pozbawią życia, to pan obiecał, że pan zleci przeprowadzenie sekcji zwłok.** To nie jest dowód na dużą wiedzę na temat sprawy i tego, co można w sprawie zrobić. (wytl.moje)

Pan Leszek Wawrzyniak: Nie pamiętam takiego pisma w ogóle”.

Jeśli do tego obrazu dodać fakty, iż prokurator Wawrzyniak był znajomym sierpeckiego policjanta Wojciecha Kęsickiego, znał SLD-owskiego „barona” Grzegorza Korytkowskiego i jest sąsiadem jego brata - Krzysztofa Korytkowskiego (przy czym dwóch pierwszych wolno uznać za osoby mocno podejrzone w sprawie) - czy może zaskakiwać przebieg pierwszych miesięcy śledztwa?

W trakcie przesłuchania Wawrzyniaka, ujawniono również, że oskarżał on Wojciecha Kęsickiego przed sądem, w sprawie o wyłudzenie na szkodę Włodzimierza Olewnika. Oskarżał tak skutecznie, że mimo przyznania się oskarżonego do winy, został on uniewinniony, a prokuratura nie wniosła zażalenia na tę decyzję.

(7 posiedzenie komisji, str.129 i nast.)

Ten sam prokurator na pytanie posła Andrzeja Dery - „ Czy pan pamięta jakikolwiek dowód czy czynność, która utkwiała panu w głowie z jakiegoś powodu, że był to ślad do tego, żeby znaleźć sprawców, że być może lansowana jest przez Policję jakaś wersja śledcza, że idzie to w tym, a nie w innym kierunku - cokolwiek z czynności operacyjnych Policji. Czy pan pamięta jakikolwiek zdarzenie? - odpowiada z rozbijającą szczerością - „nie pamiętam” (7 posiedzenie komisji, str.84)

Poziom kompetencji tego prokuratora, niech ilustruje również następujący dialog:

Poseł Andrzej Mikołaj Dera: Dobrze. Mówił pan o tej elektronice, o billingach. Mam pytanie: czy były, gdzie są stenogramy z podsłuchów?

Pan Leszek Wawrzyniak: Nie wiem.

Poseł Andrzej Mikołaj Dera: Czy pan się w ogóle tym interesował? Powinny być...

Pan Leszek Wawrzyniak: Nie interesowałem się...

Poseł Andrzej Mikołaj Dera: Czy powinny być stenogramy z podsłuchów i czy to powinny być materiały procesowe według pana?

Pan Leszek Wawrzyniak: W tej chwili nie pamiętam, gdzie one powinny być i nie jestem na to pytanie w tej chwili w stanie odpowiedzieć.

Poseł Andrzej Mikołaj Dera: Czy pan jako prokurator nie jest w stanie powiedzieć członkom komisji, gdzie powinny znajdować się i czy w ogóle są protokoły z podsłuchów dotyczących sprawy uprowadzenia?

Pan Leszek Wawrzyniak: Ja nie pamiętam, jak było w tej sprawie. Wiem tylko, że występowałem z wnioskiem do Sądu Okręgowego w Płocku o założenie podsłuchów.

Poseł Andrzej Mikołaj Dera: O to nie pytam - pytam już o stenogramy z podsłuchów. To jest bardzo istotna rzecz do celów procesowych.

Pan Leszek Wawrzyniak: W tej chwili nie...

Poseł Andrzej Mikołaj Dera: Nie pamięta pan.

Pan Leszek Wawrzyniak: Nie pamiętam w tej chwili.

(7. posiedzenie Komisji Śledczej w dniu 27 maja 2009 r.str.111)

Jeśli ktoś chce się dowiedzieć, w jaki sposób prokuratura zabezpieczała dowody w sprawie porwania, niech zilustruje to poniższy dialog:

„Przewodniczący: Teraz, wracając właśnie do opinii i ekspertyz, ile i w jakim czasie zlecał pan wykonanie ekspertyz kryminalistycznych?

Pan Leszek Wawrzyniak: W tej sprawie?

Przewodniczący: Tak, tak.

Pan Leszek Wawrzyniak: Nie pamiętam.

Przewodniczący: Dlaczego nie wydał pan postanowień w zakresie powołania biegłych celem poddania badaniu śladów zgromadzonych w toku śledztwa z zakresu biologii, mechanoskopii i badań dokumentów oraz fonoskopii?

Pan Leszek Wawrzyniak: Nie pamiętam w tej chwili.

Przewodniczący: Dlaczego dopiero w 2006 r. ślady zabezpieczone w domu Krzysztofa Olewnika bezpośrednio po porwaniu zostały przekazane do badań kryminalistycznych, natomiast ślady osmologiczne zabezpieczone w domu Krzysztofa Olewnika bezpośrednio po porwaniu przekazane zostały dopiero do badań w lutym też 2006 r., a wiadomo przecież, że tego typu badania po pięciu latach stają się bezprzedmiotowe i uległy zatarciu, dlaczego tego pan nie zrobił?

Pan Leszek Wawrzyniak: Nie pamiętam”

Posłowie komisji przesłuchali dotychczas sześciu prokuratorów prowadzących, lub nadzorujących śledztwo. Z wypowiedzi tych funkcjonariuszy, nie uzyskamy żadnej wiedzy na temat sprawy.

Wszystko, czego możemy się dowiedzieć, wynika z pytań stawianych przez członków komisji. Jestem wyjątkowo pozytywnie zaskoczony rzetelnością przygotowania i konkretnością zadawanych pytań, w szczególności pracą posłów Zbigniewa Wassermanna i Andrzeja Dery oraz przewodniczącego komisji Marka Biernackiego. Sposób prowadzenia przesłuchań i stopień znajomości akt sprawy, musi budzić uznanie.

Wnioski dowodowe, zgłoszone przez posła Wassermanna zdają się potwierdzać kierunek śledztwa, o którym szeroko pisałem w „KRĘGACH”. Komisja zaakceptowała dwa ważne wnioski.

Pierwszy - skierowany do Szefa Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego, - o przekazanie komisji informacji, czy niżej wymienione osoby były bądź są zarejestrowane w rejestrach służb, a w przypadku potwierdzenia rejestracji - o przekazanie kserokopii tejże rejestracji wraz z numerem spraw, do których zostały zarejestrowane. Chodzi o następujące osoby: Wojciech Franiwski, Jacek Krupiński, Grzegorz Korytkowski, Ireneusz Piotrowski, Robert Pazik, Sławomir Kościuk i Eugeniusz Drohomirecki.

Drugi - podobnej treści, dotyczący tych samych osób, skierowany do Komendanta Głównego Policji: o przekazanie Komisji pisemnej informacji, czy wymienione osoby były bądź są zarejestrowane w policyjnych bazach danych, a w przypadku

potwierdzenia rejestracji - o przekazanie kserokopii tej rejestracji wraz z numerem spraw, do których zostały zarejestrowane. Jak uzasadnił ten wniosek poseł Wassermann - „w tym śledztwie uderza pewna szczególna pobłażliwość organów ścigania w stosunku do niektórych osób. Ich szczególna rola i znaczenie w strukturze przestępczej powiązanej z tym przestępstwem jest możliwe do ustalenia, podobnie jak relacji i powiązań ze światem przestępczym tych osób. Problemem jest także ustalenie, czego dotyczyło prowadzenie przez te osoby działalności, w tym także przestępczej, poza granicami kraju”.

Kolejnym wnioskiem, istotnym dla ustaleń komisji może być „wystąpienie do prezydenta miasta Płocka o przekazanie komisji kserokopii dokumentów dotyczących przetargu na wykonawcę mostu w Płocku, który w okresie marca 2002 r. został ogłoszony i rozstrzygnięty ze szczególnym uwzględnieniem oferentów, wybranego wykonawcy, dostawców oraz podwykonawców tego projektu”.

Za puentę tego tekstu, niech posłuży fragment z przesłuchania prokuratora Jacka Dąbrowskiego z Prokuratury Okręgowej w Płocku. (9. posiedzenie Komisji Śledczej w dniu 2 czerwca 2009 r. str.195) :

„Pan Jacek Dąbrowski: Ja myślę, że te czynności, które były robione, zmierzały tylko i wyłącznie do tego, żeby cokolwiek pewnego ustalić, pewnego, konkretnego.

Posel Zbigniew Wassermann: Pan prokurator ma rację - cokolwiek.

Pan Jacek Dąbrowski: Cokolwiek.

Posel Zbigniew Wassermann: A tu chodziło o to, że walka szła o życie człowieka”.

CDN...

<http://orka2.sejm.gov.pl/KomSled6.nsf/main?OpenForm&SKKO>

<http://orka.sejm.gov.pl/SQL.nsf/pracekom6?OpenAgent&SKKO>

17.06.2009 18:25 91

297. AFERA MARSZAŁKOWA - „POLITYCZNA PROWOKACJA”

„Dziennikarz Wojciech Sumliński miał trafić do aresztu w wyniku prowokacji tajnych służb, której celem było rozbicie Komisji Weryfikacyjnej WSI. Ten ogromny, polityczny skandal próbuje dziś zatuszować Prokuratura Krajowa, gdyż negatywnymi bohaterami afery są marszałek Sejmu Bronisław Komorowski i szef sejmowej komisji do spraw służb specjalnych - Janusz Zemke. W tle pojawia się również dziwna rola Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego” - tymi słowami Leszek Szymowski rozpoczyna swój artykuł, zamieszczony w najnowszym numerze „Najwyższego Czasu” (25/996 z 20 czerwca 2009)

Zaiste - żyjemy w niewiarygodnie osobliwym kraju - w którym istotne i porażające swoją ważkością zarzuty pod adresem obecnego marszałka Sejmu, nie wzbudzają żadnej reakcji. Ponieważ artykuł Leszka Szymowskiego przynosi szereg wyjątkowo ważnych informacji na temat obecnego stanu „afery marszałkowej”, zatem istnieje bardzo realna perspektywa, że zostanie skazany na zamilczenie w mainstreamowych mediach.

Rzeczą najważniejszą wydaje się fakt, iż uzyskaliśmy potwierdzenie, że akcja ABW z maja ubiegłego roku nie była zwykłym, rutynowym działaniem służb specjalnych lecz starannie wyreżyserowaną kombinacją operacyjną, która miała przynieść określone polityczne cele. Szymowski wskazuje jednoznacznie, że „Celem zasadniczym było skompromitowanie komisji weryfikacyjnej WSI i jej szefa - Antoniego Macierewicza. Ten scenariusz zakładał aresztowanie Wojciecha Sumlińskiego pod zarzutem handlu ściśle tajnym aneksem. Z portretu psychologicznego dziennikarza sporządzonego w ABW wynikało wyraźnie, że robi on wszystko, aby wyjść na wolność i pomóc swojej rodzinie. W zamian za wolność, musiałby złożyć fałszywe zeznania obciążające kluczowych polityków PiS w tym Antoniego Macierewicza i Zbigniewa Wassermanna. Po tym, do akcji miała wkroczyć prokuratura, postawić zarzuty osobom rzekomo odpowiedzialnym za przeciek i najprawdopodobniej też samemu Macierewiczowi. Tak skompromitowaną komisję natychmiast można byłoby rozwiązać, zakończyć jej prace, a przez to umożliwić powrót do służby negatywnie zweryfikowanym żołnierzom WSI”.

Leszek Szymowski z wielką precyzją kreśli obraz zdarzeń, które doprowadziły do rozpętania „afery marszałkowej”. Utrzymuje, że dla sprawy zatrzymania Sumlińskiego, kluczowe są wydarzenia z 2007 roku, gdy dziennikarz opublikował protokół przesłuchania pułkownika Stefana Stefanowskiego - w 1984 roku szefa bydgoskiej Służby Bezpieczeństwa. „Stefanowski twierdził, że Janusz Zemke - dziś poseł Lewicy, członek sejmowej komisji ds. służb specjalnych i przewodniczący komisji obrony narodowej, w latach 80. sekretarz wojewódzki PZPR w Bydgoszczy - w 1984 r. miał go naciskać do tego, by zbytnio nie angażować się w śledztwo w sprawie Popiełuszki. Według tych samych zeznań, osobą, która miała uczestniczyć w zacieraniu śladów zbrodni miał być niejący już brat - bliźniak Janusza Zemkego, Zbigniew - wówczas zastępca szefa Wojewódzkiego Urzędu Spraw Wewnętrznych w Bydgoszczy do spraw SB”.

Pisałem o tej sprawie obszernie w maju 2008 roku, w tekście - ZEMKE-BRAKUJĄCE OGNIWO. Przypomniałem wówczas, że 6 marca 2007r. w regionalnym paśmie bydgoskiej TV wyemitowano program poświęcony bydgoskiemu postłowi Januszowi Zemke.

Dziennikarze poinformowali, że w aktach lubelskiego oddziału Instytutu Pamięci Narodowej nazwisko posła pojawia się w dokumentach śledztwa, dotyczącego śmierci księdza Jerzego Popiełuszki. Zapisano w nich zeznania Stefana Stefanowskiego, -zastępcę Komendanta Wojewódzkiego MO ds.SB w latach 1983-1990, wieloletniego (od 1949r) funkcjonariusza UB i SB., który twierdził, że był naciskany przez sekretarza wojewódzkiego PZPR Janusza Zemke, żeby nie angażować się mocno w śledztwo dotyczące tego morderstwa.

Wkrótce po emisji, poseł Zemke poszukiwał kasety z nagrania 30 - minutowego programu, zastanawiając się nad skierowaniem oskarżenia przeciwko jego autorom. Wśród nich, był Wojciech Sumliński - autor książki „Kto naprawdę Go zabił”, demaskującej prawdziwe okoliczności zbrodni na ks.Jerzym.

Gdy 27 kwietnia 2008 roku „Dziennik”, w artykule „Handel aneksem Macierewicza” opublikował rozmowę z pułkownikiem Lichockim, okazało się, że to Janusz Zemke wystąpił do niego pułkownika Henryka Grobelnego - byłego wiceprezesa Agencji Mienia Wojskowego. Grobelny zaś to dobry znajomy wspomnianego wyżej Zbigniewa Zemke.

Jak pisze Szymowski - „Najwyższy Czas” ustalił, że ich znajomość zaczęła się w latach 80. kiedy obaj kształcili się w Moskwie na kursach organizowanych przez KGB dla oficerów służb specjalnych państw demokracji ludowej. Według Lichockiego, Grobelny prowokował rozmowę na temat zakupu aneksu”. Choć Janusz Zemke nazwał opowieści Lichockiego „bzdurą”, to nigdy rola członka sejmowej komisji ds. służb specjalnych w tej aferze nie została wyjaśniona.

Podobne znaczenie, dla wytypowania Wojciecha Sumlińskiego, jako ofiary kombinacji operacyjnej miały reportaże telewizyjne o Wojskowych Służbach Informacyjnych, powstałe wiosną 2007 roku, których współtwórcą był dziennikarz. Ujawniono w nich m.in. agenturę WSI w mediach oraz poruszono temat fundacji „Pro Civili”, którą wspierał Bronisław Komorowski. Nazwa fundacji pojawia się wielokrotnie w Raporcie z Weryfikacji WSI. Jak stwierdza się na str.133 „[...] z fundacją powiązany był również uważany za przedstawiciela mafii włoskiej Andreas Edlinger oraz Jarosław Sokółowski ps. „Masa”. Proces powołania tej fundacji przypomina powołanie działającej przy MSW fundacji „Bezpieczna Służba”. Fundacja „Pro Civili” oraz powiązane z nią firmy były jednocześnie tzw. „pralnią pieniędzy”, które mogły pochodzić również z nielegalnej działalności grup przestępczych. W Radzie Fundacji zasiadał m.in. oficer WSI Piotr Polaszczuk. Z materiałów posiadanych przez Komisję Weryfikacyjną wynika, że na początku 1990 r. płk. Henryk Dunał z Zarządu II SG wydał Grzegorzowi Żemkowi dyspozycję, by ten wszedł do środowiska braci Kaczyńskich i podjął ich rozpracowanie. Mniej więcej w tym samym czasie dwóch młodych oficerów WSI - por. Piotr Polaszczuk i młdr por. K- nawiązało kontakty z środowiskiem cywilnych polityków. W drugiej połowie 1991 r. nawiązywali oni kontakty z politykami ugrupowań prawicowych (m.in. z Janem Parysem i Janem Olszewskim). [...]Kontakty por. Polaszczuka z politykami prawicy z lat 1991-1993 mogły być inspirowane przez wysokich rangą byłych oficerów Szefostwa WSW, w tym przez płk. Aleksandra Lichockiego (ostatniego szefa Zarządu I Szefostwa WSW).Przypomnę, że Bronisław Komorowski kłamał podczas swoich zeznań przed prokuratorem, twierdząc, iż nie zna Wojciecha Sumlińskiego. Kłamał również publicznie, przed mikrofonami radia, gdy 1 sierpnia 2008 r twierdził: „Akurat o panu Sumlińskim nic nie wiem, chyba nie znałem tego pana, więc moje zeznania dotyczyły byłego czy pułkownika dawnych służb komunistycznych...”

Tymczasem, w listopadzie 2008 roku, zeznając przed sejmową komisją ds.spectużb Sumliński oświadczył, że spotykał się wielokrotnie z Komorowskim w roku 2007, a tematem rozmów był przygotowywany dla programu „30 minut” w TVP Info materiał o Fundacji Pro Civil. Jak pisałem w tekście CZEGO BOI SIĘ MARSZAŁEK POLSKIEGO SEJMU?, niewykluczone, że to wówczas Komorowski zorientował się, iż wiedza Sumlińskiego na temat kontaktów posła PO z wojskowymi służbami, może stanowić zagrożenie dla jego dalszej kariery politycznej.

Jak wskazuje Leszek Szymowski - „pod koniec 2007 roku Wojciech Sumliński prowadził dziennikarskie śledztwo dotyczące nieprawidłowości przy gospodarowaniu mieszkaniami operacyjnymi ABW. Odkrył (napisał to później w liście do mediów), że wiceszef ABW - pptk Jacek Mąka - nielegalnie przejął jedno z takich mieszkań”.

Temat ABW pojawia się w artykule Szymowskiego, w związku z działaniami głównego i jedyne go oskarżyciela - pułkownika Leszka Tobiasza. Twierdził on, iż Sumliński oferował mu możliwość załatwienia za pieniądze pozytywnej weryfikacji dla niego i dla jego syna. To ostatnie wydaje się nieprawdopodobne. Syn Tobiasza został zweryfikowany pozytywnie rok wcześniej, jesienią 2006 roku. Pułkownik twierdził również, że posiada nagrania rozmów z Sumlińskim, na których zarejestrowane są propozycje korupcyjne. Jednak później, na żadnym etapie śledztwa, nie był w stanie ich dostarczyć. Mimo tego, jego zeznania były jedyną podstawą zatrzymania dziennikarza i postawienia mu zarzutów.

Pisząc o śledztwie, prowadzonym przeciwko Tobiaszowi przez Prokuraturę Garnizonową w Warszawie, w którym oficer WSW/WSI był oskarżony składanie fałszywych zeznań, Leszek Szymowski twierdzi, iż „Kilka dni przed decyzją wojskowej prokuratury o zawieszeniu śledztwa, Tobiasz został zarejestrowany w ewidencji operacyjnej Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego jako Tajny Współpracownik. Zachowane dokumenty wskazują, że od tamtego momentu lojalnie pracował dla ABW, nie chcąc wznowienia śledztwa przeciwko sobie. Sam Tobiasz, gdy zadzwoniliśmy do niego, zbył nas, używając słów obraźliwych” - pisze dziennikarz.

Ten fakt, ma bez wątpienia kluczowe znaczenie dla oceny roli Agencji w inspirowaniu kombinacji operacyjnej przeciwko Sumlińskiemu i Komisji Weryfikacyjnej WSI. To przecież funkcjonariusze ABW dokonali 13 maja 2008 roku, zatrzymania Sumlińskiego i przeszukania w jego mieszkaniu. To funkcjonariusze ABW weszli również do mieszkań dwóch członków Komisji weryfikacyjnej: Leszka Pietrzaka i Piotra Bączka. Z mieszkania Pietrzaka zabrano kserokopie dokumentów dotyczących lat 40. i 50., które były jawne, a ponadto nie miały nic wspólnego ze sprawą aneksu. Tych dokumentów, Pietrzak do dziś nie odzyskał. Podobnie, Wojciechowi Sumlińskiemu Prokuratura Krajowa usilnie odmawia oddania wielu niezwiązanych ze sprawą dokumentów, w tym m.in. protokołów przesłuchania świadków koronnych i kserokopii akt śledztwa w sprawie zabójstwa księdza Jerzego Popiełuszki.

Warto zauważyć, że ABW wykazywało tak dalece idącą gorliwość w działaniu, iż przeprowadziło również rewizję u Piotra Bączka - byłego dziennikarza, członka Komisji weryfikacyjnej WSI, a później podpułkownika w Służbie Kontrwywiadu Wojskowego. Z uwagi na stanowisko Bączka w SKW, wszystkie czynności z jego udziałem winna przeprowadzać Żandarmeria Wojskowa.

Leszek Szymowski podaje również kapitalną dla oceny sprawy informację, gdy pisze, iż **na kilka tygodni przed zatrzymaniem Sumlińskiego, w ABW sporządzono bezprawnie jego portret psychologiczny. Szymowski twierdzi, iż pomógł w tym znany dziennikarz, ongiś bliski współpracownik Sumlińskiego, dziś niejawnie współpracujący z ABW.**

W kontekście udziału kolegów i koleżanek Wojciecha Sumlińskiego w rozpętaniu medialnej nagonki na dziennikarza, ta informacja nabiera szczególnego znaczenia. Można domniemywać, że ów „pomocnik” ABW ma otwartą drogę kariery zawodowej i może liczyć na pomoc służb. Szczególnie - jeśli reprezentuje tzw. prawicową opcję.

Podobnego uśmiechu losu, zdaje się nie doświadczać autor artykułu w „Najwyższym Czasie”, który właśnie stał się bezrobotnym dziennikarzem i niewykluczone, że ma prawo łączyć to nowe doświadczenie, z odrzuceniem propozycji współpracy z agencją pana Bondaryka.

Artykuł Leszka Szymowskiego zawiera szokujące informacje ze śledztwa, nadzorowanego przez Prokuraturę Krajową. Dziennikarz pisze:

„Pułkownik Leszek Tobiasz jesienią 2007 roku spotykał się z marszałkiem Sejmu Bronisławem Komorowskim w jego gabinecie poselskim. W trakcie najważniejszego spotkania, Komorowski miał obiecać Tobiaszowi, że po zeznaniach obciążających Sumlińskiego pomoże mu załatwić posadę attache wojskowego w Tadżykistanie (wiąże się to z prestiżem i dodatkową pensją w wysokości 7-8 tys. zł.) Po tej rozmowie, Tobiasz pojechał do ABW i złożył tam zeznania. I tu kolejna, zaskakująca sprawa: Tobiasz został przewieziony do siedziby ABW służbowym samochodem Agencji oddanym do dyspozycji jej szefostwa.

Z akt śledztwa wynika, że Bronisław Komorowski równolegle spotykał się z pułkownikiem Aleksandrem Lichockim. Lichocki był w czasach PRL szefem kontrwywiadu WSW. To właśnie on zaoferował marszałkowi dostęp do aneksu. Komorowski powiadomił o tym koordynatora służb specjalnych Pawła Grasia. Z protokołu przesłuchania Grasia wynika, że ostrzegł on Komorowskiego, że Lichocki jest rozpracowywany przez kontrwywiad ABW na okoliczność kontaktów z wywiadem rosyjskim.

Płynie z tego wniosek, że Komorowski, umawiając się po raz kolejny z Lichockim, wiedział, że spotyka się z osobą podejrzaną o szpiegostwo na rzecz Rosji!...

Z akt śledztwa wynika jednak, że Komorowski powiadomił ABW dopiero wtedy, kiedy Leszek Tobiasz pokazał mu nagrania, na których widać i słycać jak Lichocki powołuje się na wpływy w komisji weryfikacyjnej i oferuje dostęp do aneksu. - *Ciąg wydarzeń wskazuje, że Komorowski zawiadomił ABW dopiero wtedy, gdy zorientował się, że Tobiasz nagrał Lichockiego na korupcyjnej propozycji, a sam Lichocki nie może przynieść aneksu - mówi znający sprawę oficer ABW*".

Szymowski wspomina również o udziale w aferze Jerzego G. - byłego oficera WSI, oficjalnie prezesa warszawskiej spółki zajmującej się systemami telekomunikacyjnymi. Z akt operacyjnych ABW wynika, że we wrześniu 2007 roku, (jeszcze przed Lichockim i Tobiaszem), do marszałka Komorowskiego zgłosił się właśnie Jerzy G., propozycją zakupu aneksu. **Według informacji Szymowskiego, G. nagrał z ukrycia rozmowę z Komorowskim. Gdy sprawa wyszła na jaw, ABW wszczęła przeciwko Jerzemu G. śledztwo dotyczące jego udziału w nielegalnym handlu bronią oraz przeszukała jego mieszkanie i biuro. Ponieważ nagrania nie znaleziono, sprawa stanęła w miejscu.**

Odpowiedź na pytanie - dlaczego ludzie WSI traktowali Komorowskiego jako osobę żywo zainteresowaną aneksem, wydaje się oczywista. Pisz o tym Leszek Szymowski:

„Oficerom WSI mogło się wydawać, że marszałek Sejmu będzie zainteresowany zakupem aneksu. Ustalili oni, że aneks do raportu z likwidacji WSI zawiera informacje kompromitujące wielu wpływowych polityków Platformy Obywatelskiej i Lewicy. Jego autorzy wiele miejsca poświęcili m.in. Jerzemu Szmajdzińskiemu, Januszowi Zemke i Bronisławowi Komorowskiemu. Zdaniem autorów aneksu, w czasach, gdy kierowali oni MON dochodziło tam do licznych nieprawidłowości związanych z funkcjonowaniem WSI i rozstrzyganiem przetargów zbrojeniowych. W tym kontekście aneks wymienia m.in. spółkę Profus Management i spółkę Prodigy Ltd należącą do lobbysty Marka Dochnała. Autorzy aneksu zarzucają również Komorowskiemu odpowiedzialność za przekazanie w obce ręce technologii rozwijanych w ramach projektów badawczych w WAT. „Wojskowe Służby Informacyjne, które odpowiedzialne były za kontrwywiadowczą osłonę technologii rozwijanych w ramach projektów badawczych na Wojskowej Akademii Technicznej, same przekazały je w obce ręce. Odpowiedzialność za to ponosi nie tylko ówczesny szef WSI, ale także były szef Ministerstwa Obrony narodowej. Bronisław Komorowski w szczególnie sposób traktował wszystkie kwestie związane z WAT i interesami tej uczelni” - czytamy w aneksie. *Nie było dla mnie zaskoczeniem pojawienie się mojego nazwiska w aneksie. Wcześniej prasa sugerowała, że moja osoba ma być objęta treścią tego raportu - zeznał Komorowski w prokuraturze 24 lipca 2008 r*”.

Autor artykułu w „Najwyższym Czasie” pisząc o prawdziwych intencjach akcji służb specjalnych przeciwko legalnemu organowi państwa, trafnie wskazuje na korzyści, jakie dzięki tej sprawie osiągnęliby politycy Platformy. Kompromitacja Komisji weryfikacyjnej i nagłe zakończenie jej prac, pozwalałoby politykom PO poznać zawartość aneksu i ośmieszyć zawarte w nim tezy, zwłaszcza te dotyczące powiązań WSI z obozem politycznym PO.

„Taki przebieg zdarzeń - pisze Szymowski - byłby bardzo na rękę wielu wpływowym politykom PO. Tym bardziej, że kompromitując komisję Macierewicza, zamknęliby również usta dziennikarzowi posiadającemu ogromną wiedzę o nieprawidłowościach w tajnych służbach i związkach z nimi ważnych polityków PO i Lewicy. Śledztwo w tej sprawie stoi w miejscu. I nic dziwnego. Wydaje się bowiem, że wyjaśnienie tej afery nie jest na rękę ani tajnym służbom ani rządzącym politykom”.

Obraz kombinacji operacyjnej, jaki wyłania się z artykułu Leszka Szymowskiego nie może szokować tych wszystkich, którzy z uwagą śledzili przebieg „afery marszałkowej”. Warto jednak zauważyć, - że jest to twierdzenie wysoce znaczące, ponieważ świadczy, że przyjmujemy tego rodzaju patologiczne sytuacje jako naturalne. Informacje ze śledztwa, którymi dzieli się z nami Leszek Szymowski, potwierdzają ogrom aberracji państwa i uwikłania czołowych polityków.

To, czego dopuścił się poseł Komorowski, paktując potajemnie z przestępcami i tworząc groźny układ do walki z legalną instytucją państwową, wydaje się działaniem bez precedensu. Jeden człowiek, potraktował państwo polskie i jego najważniejsze organy niczym swoją własność. W obronie swojego prywatnego wizerunku, nie cofnął się przed pogwałceniem prawa i kontaktami z ludźmi komunistycznych, wrogich Polsce służb, nie zawahał się fałszywie oskarżać i pomawiać, nie wstrzymał przed rozpętaniem szkodliwej dla Polski i naszego bezpieczeństwa kampanii medialnej.

Ten sam człowiek, przed kilkoma laty powiedział niezwykle znamienne słowa:

„Mamy głębokie przekonanie o tym, że była to akcja zmierzająca absolutnie nie do wyjaśnienia kwestii wadliwych powiązań między światem mediów a służbami specjalnymi, ale akcja zmierzająca do wystraszenia dziennikarzy, powstrzymania ich przed zajmowaniem się kwestiami niewygodnymi dla niektórych polityków. Problem polega na tym, że dzisiaj ci politycy zajmują bardzo ważne miejsca w hierarchii, w strukturze państwa polskiego. Stawiamy pytanie w związku z tym, o powołanie komisji nadzwyczajnej, która miałaby zbadać kwestie związane z tymi wydarzeniami. Zadajemy to pytanie w przekonaniu, że sprawa ta nie może pozostać ukryta, nie może być pod korcem, musi być wyjaśniona, jeśli chcemy uczciwie mówić o usunięciu z państwowego życia polskiego patologii. Bo patologią jest używanie przez wysokiej rangi urzędników państwowych podległych im instytucji do rozstrzygania kwestii, które ich osobiście bolą w relacjach z dziennikarzami. Zwracamy się z pytaniem, czy to nie jest najwyższa pora, aby powołać komisję nadzwyczajną i być może, aby pan premier w imię sanacji życia publicznego w Polsce podjął działania zmierzające do wyjaśnienia tej wstydlivej sprawy”.

Trzeba koniecznie zadawać to pytanie i uczynić wszystko, by polskie życie publiczne było wolne od wszechwładzy służb i ludzi, pokroju Bronisława Komorowskiego.

Źródła:

Leszek Szymowski - Polityczna prowokacja - „Najwyższy Czas” nr.25 (966) z 20 czerwca 2009r.

<http://nczas.com/spis-tresci/numer-25-996-z-20-czerwca-2009/>

ZEMKE-BRAKUJĄCE OGNIWO

CZEGO BOI SIĘ MARSZAŁEK POLSKIEGO SEJMU?

<http://www.raport-wsi.info/Lichocki.html>

<http://cogito.salon24.pl/77648,oni-zyja-bydgoszcz-1984-abw-2008>

PROTOKÓŁ PRZESŁUCHANIA B.KOMOROWSKIEGO

<http://cogito.salon24.pl/77717,marszalek-o-aferze-marszalkowej>

<http://cogito.salon24.pl/77737,milczenie>

19.06.2009 19:31 107

298. „OJCOWSKA” KOMBINACJA

„Jeżeli wyłoni się partia, w której nie będę się rozpoznawał, to zaangażuję się w powołanie nowej. Dziś jednak nad takim planem nie pracuję.(...) Jeżeli będę mógł znów z czystym sumieniem głosować na Platformę, ponownie zapadnę w miłą bezczynność. Jeżeli jednak okaże się, że nie mam już swojej partii, będę musiał temu zaradzić.”-warto przypomnieć te słowa Andrzeja Olechowskiego z wywiadu dla „Życia Warszawy” z 12 lutego 2007r, by spojrzeć na obecne rozgrywki w łonie partii rządzącej z zupełnie innej perspektywy, niż chce tego oficjalna propaganda.

O roli Andrzeja Olechowskiego w budowaniu „partii interesu” pisałem obszernie w cyklu „POLITYCZNA AGENTURA WPŁYWU”, w szczególności w części 6 zatytułowanej - WRÓG WEWNĘTRZNY

Jak starałem się wówczas wykazać, z punktu widzenia zadań politycznej agentury wpływu, reprezentującej wielorakie grupy interesów, powołanie nowej partii jest korzystniejsze, niż użytkowanie już istniejących ugrupowań. Zasadnicza korzyść, polega oczywiście na możliwości umieszczenia w nowej strukturze swoich agentów wpływu, w charakterze założycieli nowej formacji. Nie ma również potrzeby „przewerbowania” starych członków partii, skoro można budować jej skład, w oparciu o ludzi sprawdzonych i świadomych celów działania. Klasycznym wprost przykładem tego rodzaju „sterowanej demokracji”, było powoływanie partii, z której wywodzą się politycy obecnego rządu.

Ryszard Świątek w doskonałym opracowaniu - „Agentura wpływu. Najniebezpieczniejsza broń mocarstw” - pisał m.in.:

„Przy budowie agentury wybiera się na początku ugrupowanie, reprezentujące określoną opcję polityczną, które może być nośnikiem wspólnego programu, a w dłuższej perspektywie zabezpieczyć własne interesy polityczne. Przez polityczne i materialne wsparcie doprowadza się następnie do rozbudowy obserwowanego ugrupowania i jego bazy, osłabiając jednocześnie konkurencyjne grupy polityczne i wprowadza się „swoich” ludzi w elity rządzące.”

Proces opisany przez autora można obserwować, śledząc drogę, jaką niektórzy politycy rządzącego establishmentu przeszli od Kongresu Liberalno - Demokratycznego, poprzez Unię Wolności, do Platformy Obywatelskiej.

Precyzyjną dyspozycję zadań dla policji politycznej PRL i jej agentury w tym zakresie, wyraził Czesław Kiszcak na posiedzeniu kierownictwa MSW w lutym 1989 roku, mówiąc:

„Służba Bezpieczeństwa może i powinna kreować różne stowarzyszenia, kluby czy nawet partie polityczne. Ma za zadanie głęboko infiltrować istniejące gremia kierownicze tych organizacji na szczeblu centralnym i wojewódzkim, a także na szczeblach podstawowych, muszą być one przez nas operacyjnie opanowane. Musimy zapewnić operacyjne możliwości oddziaływania na te organizacje, kreowania ich działalności i kierowania ich polityką.”

W procesie tworzenia KLD mieliśmy do czynienia z obecnością Witolda Kubiaka i Jacka Merkla - obu, związanych z komunistycznym wywiadem PRL. Podobnego przypadku, próżno szukać w dziejach innych partii, powstałych w początkowym okresie lat 90-tych. Warto też zauważyć, że tylko Kongres Liberalno Demokratyczny dysponował od początku dostatecznymi środkami, by zorganizować struktury partii i przeprowadzić w roku 1991 udaną kampanię wyborczą do Sejmu. W okresie od stycznia, do grudnia 1991 roku, politycy partii współtworzyli rząd, na którego czele stanął Jan K.Bielecki. Wśród członków tego rządu znajdowało się aż ośmiu TW, z tak charakterystycznymi postaciami na czele, jak Andrzej Olechowski (TW MUST) i Michał Boni (TW ZNAK).

Wymienione powyżej osoby, choć same nie zajmowały pierwszych miejsc w polityce i nie angażowały się w bezpośrednie działania „na pierwszej linii”, potrafiły inspirować, stymulować lub wspierać finansowo powstanie partii politycznej. Ich działanie „w cieniu” polityki, na styku służb, biznesu, kontaktów środowiskowych było więc niezwykle skuteczne. O „przypadku” KLD i szczególnej roli Kubiaka oraz Merkla pisałem w 4 i 5 części cyklu o politycznej agenturze wpływu, zatytułowanych PARTIA INTERESU i W SŁUŻBIE III RP.

To właśnie w rządzie J.K. Bieleckiego, jako sekretarz stanu w Ministerstwie Współpracy Gospodarczej z Zagranicą zaczynał swoją polityczną karierę Andrzej Olechowski - agent Departamentu I MSW.

W 1972 r. Andrzej Olechowski podjął współpracę z wywiadem PRL (rejestracja 4 listopada 1972). Wywiad załatwił mu w 1973 roku pracę w sekretariacie Konferencji Narodów Zjednoczonych ds. Handlu i Rozwoju - UNCTAD w Genewie, gdzie był zatrudniony do 1978 roku. Po powrocie do Polski podjął pracę jako adiunkt w Instytucie Koniunktur i Cen, a po uzyskaniu stopnia doktora (1979) został kierownikiem Zakładu Analiz i Prognoz, gdzie zapisał się do „Solidarności”. W roku 1982 roku Olechowski znów wyjechał pracować do UNCTAD. W tym czasie jego oficer prowadzący - Gromosław Czempiński został oficjalnie sekretarzem ambasady PRL w Szwajcarii. Współpraca tych dwóch trwała również w III RP. Olechowski był kontaktem Operacyjnym V Wydziału I Departamentu, który zajmował się obszarem RFN. W czasie spełniania swoich zadań zagranicznych TW „MUST” został „wypożyczony” II Departamentowi, czyli kontrwywiadowi. W latach 1985-87 prowadził działalność agenturalną w Banku Światowym w Waszyngtonie. Po powrocie do Polski, od 1987 r. został doradcą prezesa NBP, następnie w 1988 dyrektorem Biura ds. Współpracy z Bankiem Światowym. W latach 1989-91 był pierwszym wiceprezesem NBP, w latach 1991-92 - sekretarzem stanu w Ministerstwie Współpracy Gospodarczej z Zagranicą. Następnie, jak wielu innych PRL - owskich agentów, znajdujemy go w otoczeniu prezydenta Lecha Wałęsy. To dzięki jego rekomendacji, Olechowski został w roku 1992 ministrem finansów, a w latach 1993-95 był ministrem spraw zagranicznych. Ten „polityk do wynajęcia” - jak sam siebie nazywa, wykazywał niezwykle wprost aktywność w różnych okresach III RP, tylko po to, by po zainicjowaniu sprawy, usunąć się wkrótce w cień.

Pierwszą, „samodzielną” próbą polityczną Olechowskiego był „Ruch Stu”, powołany wspólnie z Krzysztofem Bieleckim, powstały na bazie tzw. Komitetu Stu, nieformalnej organizacji wspierającej w 1995 kandydaturę Lecha Wałęsy. Prawdopodobnie celem Olechowskiego, była reaktywacja mocno już zużytego KLD, gdyż od początku nalegał na połączenie obu partii i stworzenie koalicji z Unią Wolności. Gdy to się nie powiodło, Olechowski natychmiast porzucił Ruch Stu i wycofał się „w biznes”. To z „Ruchu Stu” wywodzą się późniejsi politycy PO - Aleksander Grad czy Paweł Graś.

Pod koniec lat 90- tych, słusznie zauważono, że „zgrani” do końca politycy Unii Wolności nie są w stanie zapewnić trwałości układu III RP, co zresztą potwierdziły wybory parlamentarne 2001r. ,gdy UW uzyskała 3,1% głosów i nie weszła do Sejmu. Należało zatem w porę „ewakuować” ludzi KLD z „tonącego okrętu” i po przegrupowaniu, przystąpić do realizacji kolejnego projektu, służącego ochronie interesów agentury. Niewykluczone, że taktyczne wyjście Unii Wolności z koalicji z AWS było pierwszym elementem koncepcji budowania „nowej siły” politycznej. Klęska AWS, skutecznie rozbijanej przez ułożoną wewnątrz agenturę, była łatwa do przewidzenia już w roku 2000.

Kolejnym elementem tej koncepcji był udział w wyborach prezydenckich Andrzeja Olechowskiego. W wyborach 2000r Olechowski uzyskał 17,3% głosów, co nie było wynikiem rewelacyjnym. Wśród osób wspierających jego kandydaturę

znajdujemy całą plejadę PRL-owskiej agentury : Lecha Falandysza - (TW Wiktor), ministra w kancelarii Wałęsy, Roberta Mrozewicza - byłego podsekretarza stanu w MSZ i MON, Janusza Kaczurkę- podsekretarza stanu w Ministerstwie Gospodarki, Dariusza Ledworowskiego (KO/DI - „LEDWOR”) - byłego ministra współpracy gospodarczej z zagranicą w rządzie Jana K. Bieleckiego. Wśród „współpracowników merytorycznych” znajdziemy Wojciecha Raduchowskiego-Brochwicza. Udział Olechowskiego w wyborach prezydenckich miał na celu wykreowanie go, jako człowieka politycznie niezależnego, odpowiedzianego „męża stanu”, popieranego przez elektorat „elit” III RP. Należy przyznać, że był to udany zabieg socjotechniczny, który utwierdził wielu Polaków w przekonaniu, iż w osobie Olechowskiego mają do czynienia z samodzielnym politykiem, a Gazeta Wyborcza posunęła się nawet do nazwania go ... „wolnym strzelcem” i „kandydatem romantycznym”.

Powołanie w 2001 roku nowej partii, sam Olechowski wyjaśniał bardzo pragmatycznie: *„Ludzie tworzący PO nie mogli sobie znaleźć ugrupowania, do którego mogliby należeć. Dlatego utworzyli własne”*. Co prawda oficjalna geneza powstania Platformy, wskazuje na wspólny wysiłek „trzech ojców”, lecz późniejsze sytuacje i zachowanie Olechowskiego zdają się świadczyć, że to on właśnie był „siłą sprawczą” tej formacji i wywarł na jej powstanie szczególnie mocny wpływ. Nie bez powodu też, w otoczeniu Tuska w roku 2001 pojawia się ponownie Jacek Merkel. Wspólnie z Olechowskim i Płażyńskim budują strukturę nowej formacji, a Merkel zostaje jej pełnomocnikiem okręgowym. Nie wolno również zapominać, że pewien dobrze poinformowany funkcjonariusz tygodnika, (którego nazwy nie wymienia się w towarzystwie ludzi kulturalnych) - Marek Barański, twierdził jednoznacznie, że w roku 2001 doszło w warszawskim gmachu Intraco do spotkania kilku oficerów wywiadu z gen. Gromosławem Czemiński - oficerem prowadzącym TW „Musta”. Generał miał tam nieskromnie powiedzieć: - *„To nie jest Platforma trzech, tylko czterech. Tym czwartym jestem ja.”* W zebraniu uczestniczyć mieli wówczas pułkownicy: Krzysztof Smoliński, Roman Deryło, Marek Szewczyk, Wojciech Czerniak i Zygmunt Cebula. Prawie wszyscy wywodzili się z byłego wydziału amerykańskiego Departamentu I (wywiadu) MSW. Czemiński miał poinformować zaufanych kolegów, że Platforma Obywatelska buduje grupę doradców specjalistów od służb specjalnych i oddziałów specjalnych w wojsku. W niedalekiej przyszłości spośród nich ukształtuje się przyszłe kierownictwo specsłużb. Czemiński namawiał kolegów do wsparcia tej inicjatywy, zachęcał do aktywnego włączenia się do działań na rzecz Platformy.

Przypomnienie genezy rządzącej dziś formacji, wydaje się konieczne, jeśli chcemy w sposób trafny dokonywać ocen zachowania i wypowiedzi Andrzeja Olechowskiego oraz towarzyszących im reakcji ludzi Platformy. Byłoby poważnym błędem, przykładanie do tych zdarzeń publicznych miary, jaką przykładają się do działań partii i polityków w państwach o dojrzałej demokracji. Teatr, który rozgrywa się na naszych oczach, nie został napisany według scenariusza gry politycznej, o której wyniku decydują programy, skuteczność, taktyka.

Choć w swojej warstwie formalnej przypomina spór polityczny, jego główni (a zwykle ukryci) twórcy działają metodami i posługują się środkami, właściwymi dla gier operacyjnych.

W ostatniej części „POLITYCZNEJ AGENTURY WPŁYWU” wskazywałem szereg cytatów z wystąpień Olechowskiego, które w moim przeświadczeniu świadczyły, że wpływy tego człowieka na Platformę nie skończyły się z rokiem 2002, lecz trwają do dnia dzisiejszego i determinują wszystkie działania tego ugrupowania.

Niejednokrotnie w ostatnich dwóch latach, Olechowski wysyłał do swojej partii czytelne sygnały, że jeśli nie sprostają jego oczekiwaniom „...trzeba będzie stworzyć inną partię”.

Wielu obserwatorów sceny politycznej uważa obecnie „flirt” Olechowskiego z Pawłem Piskorskim i jego Stronnictwem Demokratycznym za zapowiedź budowy nowego ugrupowania - nośnika interesów środowiska, które reprezentuje pan Olechowski. Przed kilkoma dniami sam Olechowski zapowiedział, że nie wyklucza swojego startu w wyborach prezydenckich i zabiegał będzie o poparcie SD. Niedawno też pojawił się sondaż, w którym na przyszłego lidera PO typowano właśnie Olechowskiego.

W mojej ocenie - wszelkie tego rodzaju medialne „operacje” mają wyłącznie za zadanie zdyscyplinowanie polityków Platformy oraz oczyszczenie przedpola do prezydentury dla Donalda Tuska. W nikim innym, jak tylko w tym polityku układ III RP pokłada nadzieję na kolejne lata prosperity. Medialne „wystawianie” rzekomych kontrkandydatów Tuska, ma za zadanie uprzedzenie ich ewentualnych ambicji i sondażowe skontrolowanie skuteczności.

Jakkolwiek Olechowski grzmi na błędy Platformy i zapowiada odwrót w stronę innego ugrupowania - nie działa przecież pod wpływem emocji, a tym bardziej rzekomych „różnic programowych” i doskonale zdaje sobie sprawę, iż jednym, realnym nośnikiem interesów nomenklatury III RP jest dotychczasowy twór polityczny.

Dowodem tego stanu rzeczy są przede wszystkim sondaże, wskazujące na stałe poparcie udzielane przez społeczeństwo Platformie, oraz marginalizacja i zwalczanie wszystkich osób, mogących zagrozić Tuskowi w drodze do Pałacu Prezydenckiego. Dowodem, jest nieustanne roztaczanie nad obecnym układem rządowym medialnego „parasola ochronnego” i wykorzystywanie mediów do eliminacji przeciwników politycznych - nawet z grona własnej partii. Budowa nowego ugrupowania - na rok przed wyborami prezydenckimi i dwa lata przed parlamentarnymi - wymagałaby przede wszystkim „przeorientowania” mediów i odstąpienia od wsparcia propagandowego. Na to zaś, się nie zanoszą.

Niewątpliwie natomiast, intencją Olechowskiego i środowiska które za nim stoi, jest „oczyszczenie” Platformy i jej ukierunkowanie na najbliższe dwa lata. Wszak również w PO, jak w każdej strukturze działającej z dużym marginesem swobody, zdarzają się przypadki niezdyktynowanych, ambicjonalnych działaczy. Jeśli nawet są tak zasłużeni dla tego ugrupowania jak Janusz P. , a wykazują zbyt daleko idącą samodzielność, z pomocą spieszą sprawdzone metody medialnych akcji odwetowych. Niedawne publikacje gazety na „D”, która zdaje się wykonywać swoją ostatnią misję, potwierdzają ten kierunek działania. Do wzmocnienia efektu - również jako „straszaka” wobec innych „niepokornych” przyczynia się zainteresowanie, jakie towarzyszy tym rozgrywkom ze strony odbiorców, w tym również blogerów.

Przed dwoma miesiącami, w wywiadzie dla „Trybuny”, Olechowski stwierdził wprost:

„Nie zamieniłbym pod żadnym pozorem, tak jak pewnie i pan, a także wielu Polaków, obecnych rządów, jakkolwiek utomnych, na poprzednie. Ale ponieważ zwłaszcza wobec swoich ma się wymagania bardzo wysokie, chciałbym, aby wiele rzeczy było robionych bardziej energicznie. Trudno mi jeszcze przewidzieć, jakie będą losy Stronnictwa Demokratycznego. Z jednej strony mam wielkie uznanie dla Pawła Piskorskiego i jego umiejętności organizowania inicjatyw politycznych, ale z drugiej strony zdaje sobie sprawę z trudności i barier, jakie przed nim zostały postawione i jakie się jeszcze pojawiają. Wiem natomiast, że coraz mocniej ja i podobni mi ludzie odczuwamy brak platformy politycznej, na której moglibyśmy swobodnie i skutecznie wyrażać nasze centrowe i liberalne poglądy i propozycje”.

Na pytanie dziennikarza - *„Ale przecież to Platforma Obywatelska miała być taką platformą”*- Olechowski odpowiada - *„Miała być, ale tego nurtu w jej działaniach w tej chwili nie widać”*.

Kierunek, jaki „ojciec - założyciel” PO wyznacza swojemu „dziecku” wydaje się czytelny.

W celu zawłaszczenia polskiej sceny politycznej i skutecznego forsowania interesów establishmentu III RP konieczne jest jeszcze ściślejsze zbliżenie z ugrupowaniami komunistycznymi i „zaliczenie” ich elektoratu. Efektywność tej drogi została potwierdzona podczas „skoku na media” i zawartej w tym celu koalicji. Walka ze wspólnym wrogiem musi stać się priorytetem i ustąpić innym ambicjom. Tylko poprzez radykalną polaryzację sceny politycznej, z podziałem na dwa, podstawowe bloki Platforma i otaczający ją układ może zapewnić sobie długoletnie panowanie. Wspólnota interesów obu tych formacji wydaje się oczywista, a postulat Olechowskiego trafny.

Co ważne - prowadząc pozorną grę przeciwko własnej partii, - Olechowski kreuje się na „wolnego strzelca” i niezależnego arbitra, co przy kolejnym rozdaniu pozwoli mu raz jeszcze objawić się społeczeństwu jako polityk autonomiczny i wciąż poszukujący formy dla „wyrażania swoich poglądów”. To zaś, może okazać się przydatne, gdy Platforma stanie się ugrupowaniem bezużytecznym.

Jeśli pod pojęciem „kombinacji operacyjnej”, rozumiemy zespół takich przedsięwzięć i działań, które mają na celu doprowadzenie figuranta do określonych zachowań, zgodnie z założeniami i intencjami prowadzącego operację - to w postępowaniu Andrzeja Olechowskiego i grach medialnych wokół niektórych polityków Platformy, możemy dostrzec niemal klasyczny przykład tego rodzaju kombinacji.

Czy wiedząc - kto i dlaczego stworzył „partię interesu” - można być zaskoczonym?

Źródła:

<http://www.olechowski.pl/home/2007/02/12/przestalem-rozumiec-platfome/>

<http://cogito.salon24.pl/77725,polityczna-agentura-wplywu-5-w-sluzbie-iii-rp>

<http://cogito.salon24.pl/77734,ludzie-politycznego-departamentu>

<http://www.tvn24.pl/0,1605313,0,1,olechowski-na-prezydenta-podejscie-drugie,wiadomosc.html>

http://wiadomosci.wp.pl/kat,1342,title,Beton-w-polityce---Olechowski-nie-ma-szans,wid,11231940,wiadomosc.html?ticaid=183c7&_ticrsn=3

<http://www.olechowski.pl/home/2009/04/15/prezydentura-czemu-nie/>

22.06.2009 20:20 70

299. DLACZEGO BUZEK - CZYLI BAL W OPERZE

Na ratuszu bije druga, Na tajniaka tajniak mruga,
Na widowni i w sznurowni, I pod dachem i w kotłowni
I pod sceną i w bufecie, Na galerii i w kłozecie,
W kancelarii i w malarni, W garderobach i w palarni
I w dyżurce u strażaka, Mruga tajniak na tajniaka...

„Jest co się cieszyć, ale nie można przesadzać” - tak Aleksander Kwaśniewski skomentował szum wokół kandydatury Jerzego Buska na szefa PE. - „Porównania wyboru przewodniczącego Parlamentu Europejskiego do wyborów innych np. na papieża są nieuprawnione” - dodał.

Wprawdzie podzielałam zdanie Kwaśniewskiego, ale warto przecież zastanowić się - z czegoż to cieszą się tajniacy, że jeden na drugiego mruga? A, że mrugają to rzecz pewna, skoro tak niezwykła jednomyślność zapanowała wśród establishmentu III RP w sprawie kandydatury Buzka. Jak Polska długa i szeroka, zewsząd słychać jeden głos, a towarzysze Gierek i Siwiec prześcigają się w entuzjastycznych deklaracjach poparcia. Ponieważ sprawa Buzka staje się niemal patriotycznym manifestem, trzeba pochylić się z uwagą nad tym radosnym „mruganiem”.

Sporo na ten temat mógłby powiedzieć sam Kwaśniewski. Jakkolwiek 12 lat to dość czasu, by wszyscy zapomnieli jak powstawał rząd Buzka, to przecież towarzysz Aleksander powinien doskonale pamiętać te okoliczności.

Jeszcze zanim gabinet AWS rozpoczął urzędowanie, w październiku 1997 roku Jerzy Buzek, otrzymał od prezydenta Kwaśniewskiego prezent - listę osób, które zostały zarejestrowane w archiwach służb specjalnych. We wrześniu 1999 roku Kwaśniewski tak opisywał to zdarzenie:

„Dokument ma charakter ściśle tajny, natomiast warto wrócić do tej historii, bo odbyło się to na prośbę pana premiera, wtedy desygnowanego premiera. Ja go ostrzegałem, mówiłem mu, że to nie jest potrzebne ponieważ dysponuje procedurami lustracyjnymi, czyli z jednej strony oświadczeniami kandydatów, a z drugiej strony całą procedurą która miała być uruchomiona. Na początku premier powiedział, że zastanowi się, później jednak stwierdził, że on bardzo prosi. Zwróciłem się wtedy do dwóch instytucji - Urzędu Ochrony Państwa oraz Wojskowych Służb Informacyjnych aby poinformowały, czy w zasobach archiwalnych są materiały dotyczące nazwisk kandydatów do rządu i taką informację otrzymałem, i 30 października 1997 roku przekazałem premierowi. Podkreślam, jest to i była to wyłącznie informacja o zasobach archiwalnych i nic poza tym, ani mniej, ani nic więcej”.

Na liście przekazanej Buzkowi miało znajdować się kilka nazwisk. Jak mówił Kwaśniewski, „nie 6 i 7, liczba jest zupełnie inna”.

Spróbujmy policzyć.

Kwaśniewski sam przyznał, że na liście było nazwisko Janusza Tomaszewskiego - ówczesnego wicepremiera i ministra spraw wewnętrznych i administracji. Nieco później mogliśmy poznać nazwiska czterech podsekretarzy:

Robert Mroziewicz - podsekretarz stanu w ministerstwie obrony narodowej (1997-wrzesień 1999), działacz UW.

Janusz Kaczurba - podsekretarz stanu w ministerstwie gospodarki (1997), podsekretarz stanu w MSZ (1998-1999; 2001-2002).

Krzysztof Luks - tajny współpr. Zarządu II Sztabu Generalnego - podsekretarz stanu w b. Min. Transportu i Gospodarki Morskiej (1997 - 6 czerwca 1999), działacz UW.

Tadeusz Donocik - podsekretarz stanu w ministerstwie gospodarki.

Co z resztą? Raport z Weryfikacji WSI pozwolił uzupełnić listę o kolejne nazwisko - nie było jakiejś osoby, bo samego Andrzeja Madery ps. „CHARON”, współpracownika Zarządu Wywiadu WSI, pracującego w rządzie Buzka w sekretariacie ministra koordynatora ds. służb specjalnych.

Nie wiemy czy te właśnie i jakie jeszcze nazwiska znajdowały się na liście przekazanej Jerzemu Buzkowi. Niewykluczone, że były to zupełnie inne nazwiska od wymienionych powyżej, lista dotyczyła bowiem tylko konstytucyjnego składu Rady Ministrów, czyli premiera, wicepremierów i ministrów, w sumie 22 osób.

Nie to zresztą, wydaje się najważniejsze.

Wówczas, przed 12 laty Jerzy Buzek i jego rząd stali się przedmiotem gier operacyjnych, prowadzonych przez WSW/WSI. Wolno przypuszczać, że spis, który - jak wynika z chronologii zdarzeń - przygotowano rzekomo w ciągu 24 godzin, - był jednym z elementów precyzyjnie zaplanowanej gry. Brak jakiegokolwiek reakcji ówczesnego premiera, był poważnym błędem, którego skutki okazały się brzemienne dla całego okresu rządów AWS.

Wydaje się, że lista, dostarczona przez Kwaśniewskiego - skutecznie spętała rząd, z którym wielu Polaków wiązało nadzieje, a cały ten okres stanowi jeszcze jeden przykład tryumfu przeciwników rzetelnej lustracji i dekomunizacji.

Dość wspomnieć, że wkrótce potem, jeden z posłów KPN wystąpił z wnioskiem o wszczęcie postępowania lustracyjnego również wobec Jerzego Buzka, przytaczając rzekome dowody agenturalnej przeszłości premiera. Wniosek ten i jego uzasadnienie jest jeszcze do chwili obecnej wykorzystywany jako argument przeciwko byłemu premierowi, a pochodzące z niego fałszywe oskarżenia bywają chętnie prezentowane w niektórych „prawicowych” środowiskach.

Jedynie szybkiej i jednoznacznej reakcji ówczesnego Rzecznika Interesu Publicznego, sędziego Bogusława Nizieńskiego, który stwierdził we wniosku posta KPN „*nie istniejące sygnatury, nie istniejące akta, nie istniejące załączniki, nie istniejące dowody*” - zawdzięczamy wiedzę o faktycznym pochodzeniu owych rewelacji. Co ważne - późniejsza o wiele lat kwerenda w archiwach IPN potwierdziła brak dowodów na agenturalną przeszłość Jerzego Buzka. Któż zatem i w jakim celu posługiwał się tymi materiałami?

Dziś, po wielu latach od tamtych zdarzeń, Jerzy Buzek jawi mi się nadal jako polityk infantylny, z łatwością ulegający wpływowi i zewnętrznym inspiracjom. Jego flirt z Platformą dowodzi ponadto, że jest człowiekiem przedkładającym własną karierę nad zasady, którym rzekomo był wierny. Ale czy tylko?

Jestem przekonany, że obecny „front jedności narodu” wokół kandydatury Jerzego Buzka, jest oparty o tę samą, niezmienną od 12 lat koncepcję, jaka towarzyszyła ludziom WSI, gdy przygotowywali „listę Kwaśniewskiego”. I podobnie, jak wówczas - stawką jest Polska.

„Bał w Operze” Tuwima kończy się sceną, która oby nigdy nas nie rozśmieszyła...

"Jak bał, to bał! Maestro, wał!

Grubasku, teraz solo! O, IDEOL! O, IDEAL!

Takie małe, małe, słodkie IDEOLO!

I gdy w strop szampitrem strzelił, Metaliczny tusz kąpieli,

Ani się nie obejrzel,

Ani zdążył z żyrandziaka

Mrugnąć tajniak na tajniaka -

Jak błyskawicowym zdjęciem, Foto-ciosem, blasku cięciem,

Wszystkich wszyscy diabli wzięli, diabli wzięli, diabli wzięli

Aż ze śmiechu małpy spadły

Z zodiakalnej karuzeli”.

http://wiadomosci.gazeta.pl/Wiadomosci/1,99844,6739169,Kwasniewski_ws_szefa_PE_Jest_co_sie_cieszyc_Ale.html

<http://www.prezydent.pl/x.node?id=1011872>

http://www.videofact.com/polska/TW_w_rzadach_po_1989.html

http://new-arch.rp.pl/artukul/232936_Rzecznik_obala_zarzuty_Karwowskiego.html

<http://katalog.bip.ipn.gov.pl/showDetails.do?lastName=Buzek&idx=&katalogId=0&subpageKatalogId=4&pageNo=1&osobald=6502&>

<http://univ.gda.pl/-literat/balwop/poemat.htm>

24.06.2009 17:42 44

300. W TAJNEJ SŁUŻBIE JEJ SOWIECKIEJ MOŚCI.

Nie wiem, czy Marian Zacharski czytał Volkoffa ale przyznaję, że z coraz większym uznaniem przyglądam się ostatniej misji pana generała. To, czy prowadzi dziś grę na własną rękę, czy też jest rozgrywany - nie wydaje się najważniejsze, wobec faktu, że doskonale potrafił wcielić się w rolę komedianta i odegrać przed widownią fascynujący spektakl.

Wydaje się, że pan generał wrócił już na stałe do obiegu III RP. Udany flirt z TVN, potem wywiad w „Dzienniku”, a obecnie promocja książki - autobiografii, wywołała falę zachwytów nad sprawnością i patriotyzmem tzw. peerelowskiego wywiadu.

Co prawda, ani w filmie o Zacharskim, ani w wywiadzie dla „Dziennika” z listopada ubiegłego roku - nie było żadnej nowej informacji, o której by nie wiadomo od lat, ale kto przejmowałby się takim szczegółem, wobec faktu, że dzielny, „polski Bond” dzieli się z nami szpiegowską tajemnicą.

Już same okoliczności wydania książki Zacharskiego, zatytułowanej pięknie "Nazywam się Zacharski. Marian Zacharski. Wbrew regułom" - przypominają dobrze skrojoną kombinację operacyjną, lub - jeśli kto woli - kampanię PR.

Po wyczerpujących zmaganiach z TVN i „Dziennikiem” usłyszeliśmy w grudniu ubiegłego roku, że „mimo szumnych medialnych zapowiedzi w najbliższym czasie nie ukaże się książka od lat mieszkającego za granicą generała Mariana Zacharskiego, byłego asa peerelowskiego wywiadu”. Jak napisała wówczas „Rzeczpospolita” - „informacja zelektryzowała wiele osób, ponieważ Zacharski mógłby w niej nie tylko ujawnić, kto rzeczywiście współpracował z rosyjskimi służbami, ale również opowiedzieć o sprawach, które mogłyby okazać się niewygodne dla wielu wpływowych polityków”.

Jak wyjaśnił zaskoczonym miłośnikom sensacji, gen. Henryk Jasik - przyjaciel Zacharskiego „powodem tej decyzji są podejrzenia, iż publikacja mogłaby zostać uznana za element jakiejś gry politycznej. Nie wyjaśnia jednak jakiej”.

Co prawda, o tym, że Zacharski pisze wspomnienia słuchać już od lat 90-tych, ale założmy, że pan generał musiał dać sobie trochę czasu na odświeżenie pamięci i przypomnienie zdarzeń.

Nie upłynęło od tego dementi nawet pół roku, gdy na rynku księgarskim ukazała się wspomniana już książka, o tytule - a jakże, nawiązującym do Bonda.

Jak zapewnia nas wydawca - „*To fascynująca autobiografia legendy polskiego wywiadu. Autor ujawnia kulisy pracy służb wywiadowczych, metody i techniki werbunku oraz działania. Pokazuje, jak funkcjonuje kontrwywiad, jak bez pistoletu w rękę czy wkradania się do strzeżonych budynków można wejść w posiadanie ściśle tajnych dokumentów*”.

Sam autor, podczas telekonferencji w Centrum Prasowym PAP, skromnie wyznał:

„*W książce chciałem pokazać, że wywiad PRL nie był żadną, jak to się dziś mówi, organizacją przestępczą. Byliśmy wyselekcjonowanym, bardzo małym gronem ciężko pracujących osób, które starały się zdobywać jak najszerszą wiedzę, po to, aby politycy decydowali o losach naszego kraju. To przecież oni, a nie oficerowie wywiadu, decydują o tym, z kim w danym czasie Polska znajduje się w strategicznej przyjaźni*”

Pozostajmy przy tej wypowiedzi, bo niewykluczone, że jej sens wskazuje na faktyczne intencje autobiografii Zacharskiego. Warto zauważyć, że w taki sam sposób widział swoją pracę towarzysz generał Gromosław Czempiński, gdy w październiku ubiegłego roku zagroził emigracją z Polski, jeśli III RP odważy się zabrać mu esbeckie przywileje emerytalne. Powiedział wówczas m.in.:

[...] *myśmy w wywiadzie zrobili wiele dobrego. A teraz przyrównuje się nas do sługusów Moskwy. Dla oficera wywiadu nie ma nic gorszego. Byliśmy dumni, każdy wiedział, że polski wywiad chodził własnymi ścieżkami.(...) skoro jesteśmy przy Rosjanach, to jedno chcę podkreślić. Nikt z naszego wywiadu nie sprzedawał im informacji. To wszystko byli patrioci. Totalną bzdurą jest też opowiadanie, że rozkazy dla nas przychodziły z Moskwy.*

Z całą pewnością, taki obraz „polskiego wywiadu” znajdzie uznanie wśród oglądaczy TVN-u i całej rzeszy osób, czerpiących wiedzę o PRL-u z przekazów medialnych. Reakcje, jakie można było zaobserwować w Internecie po wyznaniach Zacharskiego, a obecnie, po publikacji jego książki wskazują, że grono słuchaczy bajek wciąż się powiększa.

Już w październiku, w tekście WYWIAD PRL-W SŁUŻBIE SOWIECKIEGO IMPERIUM, a wcześniej w tekście ESBECY III KATEGORII - WYWIAD PRL wskazałem na prawdziwe oblicze tworu, który generałowie III RP nazywają „polskim wywiadem”. Nie ma potrzeby powtarzania zawartych w tych tekstach argumentów i cytowania dokumentów, świadczących, że esbecka struktura peerelowskiego wywiadu, była wyłącznie ekspozyturą sowieckich służb i wykonywała zadania na rzecz okupanta. Kto zechce - dowie się sam.

Formalne umocowanie Departamentu I MSW (wywiadu) w strukturach Służby Bezpieczeństwa dowodzi jednoznacznie, że był częścią megasowieckiej policji politycznej, działającej we wszystkich krajach Bloku Wschodniego, a rola owych „polskich agentów” sprowadzała się do wykonywania moskiewskich dyrektyw. Dowodem tego stanu rzeczy jest również działalność szpiegowska „polskiego Bonda”.

Gdy Zacharski, podczas konferencji promującej jego książkę stwierdził, jakoby „*Polska, nawet w tych starych czasach jako PRL, miała bardzo dobry wywiad*” - należałoby go zapytać o konkretne zdobycze tego wywiadu - nowoczesne technologie, wyniki badań, zdobyte informacje - które służyły Polsce.

Co z „zakupów”, które zagranicą poczynili Lax, Zacharski, Przychodzeń czy Pieterwas - zostało w PRL-u i było wykorzystane np. przez polski przemysł? Co stało się z dokumentacją techniczną, którą Zacharski kupił w USA, kto i w jaki sposób ją eksploatował? Na czym polegały owe „własne ścieżki”, którymi miał podążać wywiad PRL? Jaki był udział „patriotów” z Departamentu I w zamachu na życie Jana Pawła II i operacjach „na kierunku” watykańskim?

Odpowiedzi na podobne pytania, nie należy oczekiwać od zasłużonych esbeków -wywiadowców. A jeśli nie chcą lub nie mogą na nie odpowiedzieć, świadczy to, że nadal czują się funkcjonariuszami Departamentu I MSW i jako ludzie dobrze poinformowani, w głębokim poważaniu mają zapewnienia okrągłostołowych „autorytetów” o upadku komunizmu i końcu PRL.

Gdyby pan Zacharski ograniczył pole rażenia swoich medialnych wystąpień do opowiadania smakowitych bajek i barwnych opisów operacji wywiadowczych, z przeznaczeniem dla głupowatych pańienek i także rozwiniętych chłopców - można byłoby uznać, że jest to dozwolony sposób dorabiania do esbeckiej emerytury. Skoro jednak, strojąc się w szaty komedianta, próbuje tworzyć mitologię peerelowskiego wywiadu i martyrologię swoich patriotycznych zmagania - trzeba temu panu wskazać miejsce, wyznaczone mu przez nieubłaganą historię.

We wszystkich swoich wystąpieniach, Zacharski zdaje się grać rolę naiwnego faceta, który wiedziony „patriotycznym zapalem i adrenaliną” nie wie dla kogo i po co robił „zakupy” w USA. Jego wcześniejsze występy przed kamerami TVN-u i szczere wyznania uczynione wobec dociekliwych żurnalistów „Dziennika”, wolno zaliczyć do znakomitych opowieści z gatunku - „jak mały Marianek wyobraża sobie pracę Jamesa Bonda”. To cieszy, ale nie do końca. Można bowiem zrozumieć, że prawda przekazywana przez szpiega, ma się tak do prawdy, jak tow. Kiszczak do honoru, ale przesadne akcentowanie własnej głupoty, nie wydaje się dobrym chwytem marketingowym.

Wolno zatem przypomnieć, że w PRL-u spec - zadaniami dla szpiegów zajmował się bardzo inteligentny Rosjanin o nazwisku Pawłow, który dobrał sobie do pomocy dwóch, wiernych wasali - generałów Milewskiego i Pożogę. Jeśli nawet młodego Zacharskiego werbowali panowie z legitymacjami SB czy WSW - to nic nie stało na przeszkodzie, by byli to moskiewscy poddani Leonida Breżniewa, a sam figurant został zaliczony do elitarnych „szpiegów KGB”. Pan Zacharski wydaje się nadto doświadczonego przez życie człowiekiem, by miał nie wiedzieć o swoim „zaszeregowaniu”. „Fanty”, które nabył w USA zostały natychmiast (bez otwierania przesyłek) przekazane do rąk własnych Jurija Andropowa i zapewne dobrze przysłużyły się rozwojowi „ojczyzny światowego proletariatu”. Przebieg dalszej kariery Zacharskiego, po powrocie z amerykańskiej niewoli sugeruje, że władza ludowa potrafiła docenić jego zasługi, a i III RP pozostała wierna nakazowi uszanowania doświadczeń „polskiego Bonda”.

Szkoda, że tego tematu pan Zacharski nie chce pogłębić w swojej książce. Podobnie, jak nie zdradza nam przyczyn zaliczenia go do „elitarnego” grona polskich szpiegów, dopiero po złapaniu przez imperialistów amerykańskich.

Książka Zacharskiego, według zapewnień tow. gen. Jasika i oczekiwań widzów TVN miała być prawdziwą „bombą”, a nawet - stanowić „element jakiejś gry politycznej”. Ponieważ upłynęło już kilka tygodni od jej prezentacji, a w życiu publicznym nie widać oznak paniki, wolno chyba pokusić się o podsumowanie występowania pana generała.

W listopadzie ubiegłego roku poświęciłem Zacharskiemu obszerny tekst zatytułowany

OSTATNIA MISJA EMERYTA, w którym zastanawiałem się nad przyczynami aktywności zasłużonego „dla partii i narodu” emeryta. Ponieważ troskliwy administrator Salonu24, bardzo szybko ukrył ów tekst, chciałbym powrócić do niektórych, zawartych w nim myśli. Zwróciłem wówczas uwagę, że z wielowątkowej operacji medialnej, pod roboczym tytułem - „Patriota Zacharski - tropiciel sowieckich agentów, w służbie III RP” można odnieść nieodparte wrażenie, że:

1. Zacharski jest „superszpiegiem”, który z pobudek patriotycznych chciał pracować dla Polski, (nie bił opozycji, nie prześladował księży itp);
2. Działając w UOP, przyczynił się do wykrycia sowieckiej agentury na najwyższych szczeblach władzy państwowej (sprawa Olina);
3. Za tę działalność dla wolnej Polski, został zmuszony przez komunistów (agentów sowieckich) do opuszczenia kraju, zniszczono jego karierę i uniemożliwiono pracę dla III RP;
4. Wiedza Zacharskiego to „bomba”, której siła może zmienić kształt polskiej sceny politycznej.

Z tak zarysowanej koncepcji medialnego przekazu, wyłaniał się obraz człowieka, który wiele wie i równie wiele może ujawnić, jeśli tylko nadejdzie stosowna chwila. Kontekst, w jakim Zacharski wymieniał w wywiadzie dla „Dziennika” nazwiska „ojców” Platformy Obywatelskiej był o tyle negatywny, że sugerował, iż działania Olechowskiego i Czempińskiego były „elementami rozgrywki”. O szczegółach, obiecywał nam napisać więcej w przyszłej książce. I nie napisał.

Co gorsze - jego oracje i książkowe opowieści na temat „polskiego wywiadu” brzmią bliźniaczo z tyradami tow. Czempińskiego i próżno w nich szukać zapowiadanych sensacji. Chyba, że uznamy za taką propagandowe „oswajanie PRL-u”. W listopadowym tekście napisałem, że jeśli był to szantaż, to wyrażony w jak najbardziej ekskluzywnej, eleganckiej formie - całkiem stosownej dla ludzi pokroju Zacharskiego.

Dziś, jeszcze mocniej podziwiam umiejętności ludzi Departamentu I MSW i jestem przekonany, że głos zasłużonego emeryta posiada wielką moc sprawczą, a pan Zacharski nadal rzetelnie wypełnia swoją misję.

http://www.dziennik.pl/opinie/article259161/Slynnny_szpieg_uderza_w_Kwasniewskiego.html

<http://www.rp.pl/arttykul/182403,238387.html>

<http://www.wprost.pl/ar/163311/Wydano-autobiografie-Mariana-Zacharskiego/>

<http://cogito.salon24.pl/77733,wywiad-prl-w-sluzbie-sowieckiego-imperium>

<http://cogito.salon24.pl/77730,esbecy-iii-kategorii-wywiad-prl>

<http://cogito.salon24.pl/77755,ostatnia-misja-emeryta>